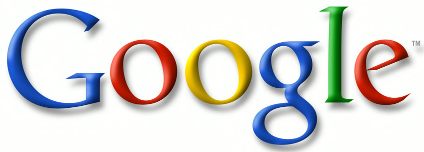
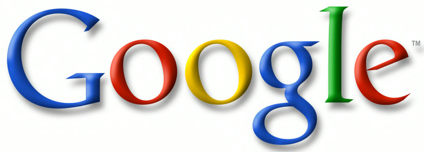


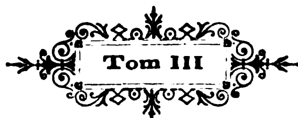


Bolesław Prus
(Aleksander Głowacki)



EMANCYPANTKI

Powieść w 4 tomach



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

EMANCYPANTKI

EMANCYPANTKI

Jeremiah Curtin.

BOLESŁAW PRUS

(ALEKSANDER GŁOWACKI)

EMANCYPANTKI

POWIEŚĆ



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1894

Дозволено Цензурою.
Варшава 9 Августа 1893 года.

Warszawa. — Druk St. Niemiery, Plac Warecki Nr 4.

I.

P o w r ó t.

— Panno Magdaleno, pora wstawać!...

Te wyrazy, a jednocześnie — turkot pociągu, dźwięczenie łańcuchów i szybki oddech lokomotywy usłyszała Madzia. Ale nie mogła jeszcze otworzyć oczu, ubezwładniona miękkością poduszek i kołysaniem wagonu.

Wtem stuknęło okno i na Madzię wionął orzeźwiający prąd powietrza. Westchnęła i przetarła oczy.

Sen uciekł, Madzia zaczyna rozumieć rzeczywistość. Oto siedzi w kącie przedziału pierwszej klasy, a naprzeciw — jej towarzyszka, pani naczelnikowa, przeglądając się w małem lusterku, obmywa sobie twarz kolońską wodą i gładzi włosy. Na świecie jest pogodny ranek.

— Dzień dobry pani naczelnikowej...

— Dzień dobry... dzień dobry, kochana panno Magdaleno... Doskonale pani spała!... Po łaźni i po płaczu zawsze się dobrze śpi.

— Daleko jeszcze do Warszawy?... — pyta Madzia.

— Wyjechaliśmy z ostatniej stacyi.

Madzia chwiejnym krokiem zbliża się do okna i zaczyna oglądać okolicę.

Pola zżęte; na ścierniach zapalają się i gasną krople rosy; drzewa uciekające w tył, mają niezdrową zieloność, jakby w tem miejscu jesień zaczynała się wcześniej, aniżeli w Iksinowie. Niekiedy, między polami, zabieli się chata, otoczona płotem z żerdzi; zdaleka widać parę wysokich kominów.

A na granicy horyzontu rozpiera się olbrzymi, szary obłok, przecięty trzema czarnemi smugami dymu. Najniższa smuga oznacza powiśle, średnia — stoki, najwyższa szczyty Warszawy, która wygląda jak tajemnicze pasmo wzgórz zębatych, z wyskakującemi tu i owdzie skałami.

— Piękne macie powietrze w tej Warszawie — odezwała się naczelnikowa. — Jestem pewna, że za dwa dni będę miała płuca czarne... Ach, Boże, jak wy tu żyć możecie?...

— Ale widzi pani, że im bliżej podjeżdżamy, tem bardziej rozpraszają się dymy... O! wieża kościoła ewangielickiego... na lewo święty Krzyż... na prawo Zamek i kościół Panny Maryi... Coraz wyraźniej!...

— Już ja dziękuję za taką wyraźność, Panie Boże!... W rok umarłabym tutaj... A pani niech wraca do Iksinowa zaraz z początkiem przyszłych wakacyi... Ot, już gwiżdżą... zaraz wysiadamy... Odwiozę panią, gdzie trzeba.

To mówiąc, naczelnikowa zaczęła śpiesznie wyj-

mować z siatki wagonu torby, pudełka, parasole... Pociąg zwalnia, słychać gwar rozmów, konduktorzy otwierają drzwi...

— Warszawa...

— Ej, człowieku!... a zamów wygodną dorożkę...— woła naczelnikowa, podając tragarzowi stos rupieci.

Po nad ramieniem tragarza Madzia spostrzega szczupłą osóbkę, w ciemnych sukniach, której zafrasowana twarz wydaje się jej znajomą.

— Madziu!... — nagle odzywa się zafrasowana osóbka, wyciągając ręce.

— Żanetko!... — odpowiada Madzia. — Co tu robisz?

— Przyjechałam na dworzec po ciebie...

— A ty skąd wiesz, że ja miałam wrócić?...

— Przecież telegrafowałaś do panny Malinowskiej i ona mnie tu przysyła w zastępstwie...

Obie panny tak gwałtownie padają sobie w objęcia, że robi się z nich jedna bryła, tamująca ruch na peronie. Zaczepił je wózek, potrącił konduktor, wreszcie wpadł na nie tragarz i niechcący rozdzielił parasolem naczelnikowej.

— Takim sposobem ja już niepotrzebna pani?...— mówi naczelnikowa i — ona znowu chwyta Madzię w objęcia. — Więc do widzenia panno Magdaleno, najpóźniej w końcu przyszłego czerwca. Mówię: do widzenia, nietylko od siebie, ale od całego miasta i od mego męża, któremu pani także głowę zawróciła... Oj! będziemy się kłócić w Iksinowie... A nie zobaczymy pani na termin, to przyjadą strażnicy do Warszawy i siłą zabiorą...

Tragarz zajął się odebraniem rzeczy Madzi i obie panny podeszły do sali pasażerskiej.

— Boże, jak ty ślicznie wyglądasz Madziu — mówiła panna Żaneta — a tu ktoś rozpuścił plotkę, żeś w kwietniu umarła!... Od kwietnia do sierpnia zrobiłaś sobie wakacye, winszuję!... Dopiero musiałaś użyć?...

— Niewidziałam nawet mojej siostrzyczki — wtrąciła Madzia. — Cóż u was?...

— Nic. Na pensyę taki natłok, że panna Malinowska już nie chce przyjmować uczennic... Ale co za zmiany!... W dawnem mieszkaniu Ady Solskiej i pani Latter są dziś sypialnie; gospodaruje matka panny Malinowskiej, a ona sama, oprócz salonu do przyjęć ma tylko jeden pokój... Słyszałaś?... Przełożona w jednym pokoju!...

— Musi mieć mniejsze dochody, aniżeli pani Latter.

— Wątpię — odparła panna Żaneta. — Choć, wyobraź sobie, bierze po 50 i po 100 rubli taniej od pensyonarek; nam popodwyższała pensye, no... i stół jest lepszy... O, lepszy!...

— To doskonale.

Panna Żaneta westchnęła.

— Straszny ucisk!... Pensyonarkom nie wolno wychodzić na wizyty; nam niewolno przyjmować gości w swoich pokojach, tylko w ogólnym salonie... O dziewiątej wieczór wszystkie musimy być w domu... Joasia nie miałaby co robić u nas. To klasztor!...

Wyniesiono rzeczy, panny wsiadły w dorożkę.

— Jak te wasze dorożki trzęsą... ach, wylecę!..— zawołała Madzia. — Kurz... zaduch...

— A mnie się zdaje, że dziś jest cudowne powietrze — uśmiechnęła się panna Żaneta. — Tak dawno już nie byłam na wsi, że nawet nie potrafiłabym tam oddychać — dodała z westchnieniem.

— Panna Howard jest u was?—spytała Madzia.

— Co też ty mówisz?... U nas niema miejsca dla progresistek w obec panny Malinowskiej.

— Gwar... hałas!... Nieznośna Warszawa... A nie słyszałaś czego o Solskich, o... Helenie Norskiej?...— pytała Madzia, rumieniąc się.

— Wszyscy siedzą za granicą, ale już niedługo mają wrócić — mówiła panna Żaneta. — Ada chce doktoryzować się z nauk przyrodniczych, a Helenka podobno jest zaręczona z Solskim. Tylko że oni ciągle to — godzą się, to — zrywają ze sobą... Hela ma być taka despotyczna jak pani Latter za dobrych czasów, a Solski zazdrosny... Nic tego nie rozumiem.

Madzia przygryzła usta: nie powiedziano jej o najważniejszej osobie.

— Proszę skręcić w bramę i wjechać na dziedziniec!... — zawołała panna Żaneta do woźnicy.

W kilka minut później Madzia, z biciem serca, wstępowała na tak dobrze znane jej schody pensyi. Uderzyła ją cisza panująca w korytarzach i brak pensyonarek, które dawniej ciągle kręciły się między salami, ile razy był czas wolny.

— Pani przełożona u siebie? — zapytała panna Żaneta szpakowatego mężczyznę, który, w czarnym surducie zapiętym pod szyję, stał przy schodach, wyprostowany jak żołnierz.

— Pani przełożona...—odparł, lecz nagle umilkł. Otworzyły się drzwi i jakiś pan, wśród ukło-

nów, cofał się tyłem z pokoju, w głębi którego słychać było łagodny głos panny Malinowskiej:

...bo od chwili, gdy sprowadzi się na pensyę, wychodzić do miasta nie może...

— Nieodwołalnie?... — zapytał ciągle kłaniający się pan.

— Tak.

Pan zbiegł ze schodów i prawie w tej samej chwili Madzia ujrzała przed sobą pannę Malinowską. Miała taką samą ciemną suknię, taką samą spokojną twarz, jak przed półrokiem. Tylko jej piękne oczy nabrały koloru stali.

— Aaa... panna Brzeska jest?... — rzekła przełożona i pocałowała Madzię w czoło. — Będziesz mogła pojechać ze mną dziś, o piątej, do twoich panienek?

— Owszem, proszę pani.

— Panno Żaneto zajmij się Brzeską...

— Czy mogę przywitać się z dawnemi uczennicami?... — nieśmiało zapytała Madzia.

— Owszem. Piotrze, śniadanie dla panny Brzeskiej... Potem może Piotr wysłać list, który mu dziś dałam...

— Do pani Korkowiczowej — wtrącił wyprostowany mężczyzna.

— Właśnie zawiadamiam w nim panią Korkowiczową, że przyjechałaś i że będziemy u niej o piątej — rzekła do Madzi panna Malinowska i poszła na górę.

Madzia w osłupieniu patrzyła na pannę Żanetę, która, zobaczywszy, że przełożona znikła już w korytarzu drugiego piętra, pokiwała głową i szepnęła:

— Tak, tak!...

Teraz uchyliły się inne drzwi i w wąskim otworze ukazał się cień dziewczynki, która dawała znaki ręką, wołając: pst!... pst!... panno Magdaleno!...

Madzia z panną Żanetą weszły do sali, gdzie zebrała się gromadka mniejszych i większych panienek.

— Pani przełożona pozwoliła przywitać się — rzekła panna Żaneta.

Wtedy dziewczynki otoczyły Madzię ze wszystkich stron, zaczęły ją całować i mówić jedna przez drugą.

— Widziałyśmy oknem, jak pani zajechała... Pani do nas?... Nie, do Korkowiczówien... Ach, gdyby pani wiedziała, jak nas teraz ostro trzymają!... Wie pani, że Zosia Piasecka w lipcu umarła...

— Ja miałam wszystkie celujące i dostałam pierwszą nagrodę... — mówiła głośniej od innych piękna brunetka z aksamitnemi oczyma.

— Moja Malwinko, nie chwal się tak...

— A ty nie przeszkadzaj, moja Kociu. Ja przecież byłam uczennicą panny Magdaleny, więc przyjemnie, jej będzie dowiedzieć się, że jestem najzdolniejsza z całej pensyi...

— Wie pani, że biedna Mania Lewińska nie skończyła szóstej klasy?...

— Ach, Łabęcka, jak się masz!... — zawołała Madzia. — Dlaczego nie skończyła?...

— Musi siedzieć u swego wuja, Mielnickiego... Pamięta pani: taki gruby pan... Sparaliżowało go po śmierci pani Latter, a Mania go pielęgnuje...

— O mnie to już pani zapomniała... A ja tak tęsknię za panią...

— Ależ nie... Zosiu...

— Tyle mam do powiedzenia... Niech pani ze mną pójdzie do okna...

Zaprowadziła Madzię we framugę i zaczęła szeptać:

— Jeżeli pani zobaczy go... bo on ma tu niedługo wrócić...

— Kogo, Zosiu?...

— No... tego pana... Kazimierza...

— I ty jeszcze o nim myślisz?... W szóstej klasie!... — rzekła zgorszona Madzia.

— Właśnie że już wcale nie myślę... Sto razy... tysiąc razy wolę pana Romanówicza... Ach, pani, jaka jemu śliczna broda urosła od wakacyi...

— Dziecko jesteś, Zosiu...

— O, wcale nie, bo już umiem pogardzać... Niech się żeni z tą mongołką...

— Kto, z kim?... — zapytała Madzia, blednąc.

— Kazimierz z Adą Solską... — odparła Zosia.

— Któż ci znowu mówił o takich dzieciństwach?...

— Nikt nie mówi, bo nikt nie wie, tylko... moje serce przeczuwa... O, nie napróżno oni siedzą razem w Zurichu...

Zapukano do drzwi. Dziewczynki rozpierzchły się jak wróble przed jastrzębiem. Ukazała się pokojówka, zapraszając Madzię na śniadanie.

W pokoju przełożonej Madzia zetknęła się ze staruszką białowłosową i szczupłą, ale bardzo ruchliwą.

— Jestem tutejsza gospodyni — rzekła wesoło staruszka — i, w zastępstwie córki, proszę panią...

Staruszka była podobna do matki, więc wzruszona Madzia ucałowała jej ręce.

— Niechże pani siada... przepraszam, ale nie pamiętam nazwiska?...

— Magdalena...

— Niechże pani siada, panno Magdaleno... Ja pani naleję kawę, bo musi pani być zmęczona... I bułkę nasmaruję... ja się na tem znam...

— Bardzo dziękuję, ale... nie jadam z masłem— szepnęła Madzia, pragnąc jak najmniej narażać na koszta swoje protektorki.

— Nie chce pani masła?... — zdziwiła się staruszka. — A niechże Bóg broni, ażeby o tem dowiedziała się Felunia!... Według niej, pieczywo bez masła nic nie warte... Tu wszyscy musimy jadać masło.

Więc i Madzia jadła bułkę z masłem, a w sercu jej odezwała się cicha tęsknota. U jej rodziców, na podwieczorkach w altance, także jadano do kawy bułki tylko z masłem... Co teraz robi major... proboszcz... rodzice?... Ach, jak to ciężko dom opuścić!...

Staruszka, może przeczuwając jej smutne wspomnienia, odezwała się:

— Pewnie pani znowu kilka lat posiedzi w Warszawie, jak my?... Felunia już bardzo dawno nie była na wsi.

— O, nie, proszę pani! — zaprotestowała Madzia. — Ja już może za rok wrócę, bo mam zamiar otworzyć pensyjkę — dodała ciszej.

— W Warszawie?... — spytała żywo staruszka, patrząc na Madzię wylęknionemi oczyma.

— O, nie... w Iksinowie...

— Iksinów?... Iksinów?... Nie mamy żadnej uczennicy z Iksinowa... Ha, może to i dobrze... Przysyłałaby nam pani panienki do wyższych klas.

— Ależ naturalnie, że tylko tutaj... — odparła Madzia.

Staruszka uspokoiła się.

W tej chwili do obocznego saloniku, do którego drzwi były uchylone, weszły prędko przełożona, a za nią jakaś dama.

— Zdecydowałam się na czterysta rubli — mówiła dama. — Trudno, cóż robić?...

— Już nie mam miejsca dla córeczki pani, wczoraj zostało zajęte — odpowiedziała przełożona.

Chwila milczenia.

— Jakto?... przecież... Przecież zmieści się jeszcze jedno łóżeczko w tak obszernym lokalu — mówiła dama, w której głosie czuć było zmieszanie.

— Nie pani. U nas liczba uczennic stosuje się do obszerności mieszkania... Dziewczynki muszą mieć powietrze, albo blednicę, a ja nie chcę u siebie blednicy.

Dama widocznie podniosła się do wyjścia i rzekła tonem irytacyi.

— Pani Latter nigdy nie była tak bezwzględną... Żegnam panią...

— Ale bardzo źle na tem wyszła. Żegnam panią — odparła przełożona, wyprowadzając damę na korytarz.

Madzia była zadziwiona stanowczością panny Malinowskiej, a jeszcze więcej fizyognomją jej matki. Przez cały czas rozmowy w saloniku, na twarzy sta-

uszki kolejno malowała się obawa, duma, gniew, achwyt.

— Ona taka zawsze... Felunia!... mówiła matka, składając ręce i trzęsąc głową ze wzruszenia. — Co to za wyjątkowa kobieta!...

Prawda panno... przepraszam, ale?...

— Magdalena... przypomniała jej Madzia.

— Tak... panno Magdaleno... bardzo przepraszam. Ale prawda, że Felunia jest nadzwyczajną kobietą?... Drugiej takiej, ja przynajmniej, nie spotkałam na świecie.

W progu ukazała się przełożona.

— Cóż mamo — rzekła — bielizna Gniewoszówny zgadza się z rejestrem?

— Bielizny ma dosyć — odparła staruszka — ale żadnego rejestru.

— Jak zwykle!... Gniewoszówna nie pójdzie dziś na spacer, tylko z mamą porachuje bieliznę i zrobi rejestr, który da do podpisania ojcu, gdy ją odwiedzi. Wieczny nieład!...

Teraz panna Malinowska zwróciła na Madzię swoje spokojne oczy.

— Proszę cię, panno Magdaleno. Rzeczy twoje są w dawnym pokoju Solskiej, który możesz zająć do piątej. Do tej godziny jesteś wolna.

Madzia podziękowała staruszce za śniadanie i przeszła do wskazanego jej pokoju. Znalazła tam już swój kufer i pudełka, ogromną miednicę wody, ręcznik śnieżnej białości, ale z ludzi — nikogo. Widocznie wszyscy byli zajęci i nikt nie myślał jej bawić.

Brr!... jak tu chłodno... Madzi jeszcze huczał

w głowie turkot pociągu, jeszcze odurzał ją dym lokomotywy, jeszcze nie mogła oswoić się z myślą, że jest w Warszawie. Stojąc na środku pokoju, przymknęła oczy, ażeby mieć złudzenie, że ona jeszcze nie opuściła Iksinowa. Za drzwiami słychać jakiś szelest... może idzie do niej matka?... Ktoś odchrząknął — to pewnie ojciec, albo major?... A to co?... Ach, słychać przeraźliwe granie katarynki!...

Jakże pragnęła w tej chwili przytulić się do kogo, całować i być całowaną... Gdyby przynajmniej odezwał się do niej kto, gdyby wysłuchał, jak jej w domu było dobrze, a jak dziś tęskno... Żeby choć jedno słówko otuchy... Nic, nic!... Po korytarzu cicho biegają jacyś ludzie bez głosu; niekiedy chrząka woźny, stojący przy schodach; przez otwarty lufcik napływa duszne powietrze, a zdaleka, gdzieś na drugiej ulicy, gra katarynka...

„O, mój pokoiku, mój ogrodzie... moje pola, ptaszki!... Nawet nasz cmentarzyk nie jest tak smutny, jak ten dom; nawet mogiła biednego samobójcy nie jest tak pusta, jak ten pokój...“ — myśli Madzia, z trudnością powstrzymując wybuch płaczu.

Gdyby choć w tym gabinecie została jaka pamiątka po Solskiej. Nie ma nic; nawet zdarto obicia i pomalowano ściany na stalowy kolor, który przypomina spokojne oczy panny Malinowskiej.

Kiedy Madzia przebrała się, wpadła do niej panna Żaneta.

— Ach... nareszcie!... — zawołała Madzia, wyciągając ręce do zafrasowanej osóbki, która dawniej nic ją nie obchodziła, lecz w tej chwili wydawała się najdroższą.

— Przyszłam się z tobą pożegnać, bo zaraz wychodzimy z klasą do Botanicznego ogrodu, a później już możemy się nie zobaczyć...

— Już nie przyjdziesz do mnie?... — zawołała Madzia z żalem.

— Nie mogę... Dziś mój dyżur...

— A ja z wami nie mogłabym pójść na spacer?... — zapytała tonem prośby.

— Czy ja wiem?... — odparła panna Żaneta, robiąc jeszcze bardziej zafrasowaną minkę. — Poproś panny Malinowskiej... może pozwoli...

— To już do widzenia się...—rzekła Madzia ze smutkiem.

Bardzo jej było źle w tym jasno-niebieskim pokoju, ale jeszcze gorzej bała się prosić przełożonej. Ona taka zajęta... a jeżeli odmówi, albo pozwoli z niechęcią.

— Możeś ty chora?... — spytała nagle panna Żaneta. — Powiem, a doktór zaraz przyjdzie...

— Na Boga, Żanetko, nie mów nic!... Mnie nic nie jest...

— Bo masz taką dziwną minę?...— rzekła panna Żaneta i pożegnała Madzię, lekko wzruszając ramionami.

Po wyjściu koleżanki, Madzia znowu została sama ze swemi myślami, które ją tak dręczyły, że zdobyła się na krok bohaterski. Opuściła pokój, przebiegła korytarz na palcach, oglądając się jak człowiek, który ma spełnić przestępstwo i, znalazłszy w garderobie matkę przełożonej, rzekła zarumieniona:

— Proszę pani, mam teraz czas, możebym pani w czem pomogła?...

Staruszka, która właśnie rachowała bieliznę, w towarzystwie pensyonarki z zaczerwienionemi powiekami, podniosła na Madzię zdziwione oczy.

— Droga panno... przepraszam... panno Magdaleno, w czemże mi możesz pomódz?... Prędzej chybaby u Feluni coś się znalazło... Ona teraz jest w kancelaryi...

I zaczęła znowu rachować bieliznę, mówiąc do pensyonarki:

— Chusteczek piętnaście... napisałaś, moje dziecko?...

— Napisałam — szepnęła dziewczynka, trąc oczy palcami, zawalanemi atramentem.

— Trzeba wyraźnie pisać, kochanko... bardzo wyraźnie...

Madzia, opuściwszy garderobę, z wielkim strachem weszła do kancelaryi, gdzie, pochylona nad biurkiem, panna Malinowska pisała listy.

Usłyszawszy szelest kroków, przełożona odwróciła głowę.

— Może, proszę pani... czy nie mogłabym w czem pomódz?... — cicho zapytała Madzia.

Panna Malinowska popatrzyła na nią uważnie, jakby usiłując zgadnąć: w jakim celu Madzia oświadcza chęć pomożenia jej? — i odparła:

— No, no!... Korzystaj, moja droga, z tych kilku godzin swobody, które ci zostały... Pracy jeszcze będziesz miała dosyć...

Po tej odprawie, zawstydzona i rozżalona Madzia czemprędzej wróciła do swego pokoju i, ażeby nie poddać się desperacyi, wydobyła z kufra wszystkie rzeczy, książki, kajety i zaczęła je układać.

Zajęcie to, pomimo, że nie wymaga zbyt wielkich wysiłków umysłu, uspokoiło jednak Madzię. Dziś dopiero zrozumiała niezmierną różnicę pomiędzy rodzinnym domem, gdzie wszyscy mieli czas na to, ażeby ją kochać, a domem obcym, gdzie nikt nie miał czasu nawet rozmawiać z nią.

Około trzeciej zrobił się ruch w korytarzach: pensyonarki wróciły ze spaceru, następnie poszły na obiad. Z odgłosów dochodzących ją, Madzia wywnioskowała, że dziewczynki maszerują parami a rozmawiają po cichu. Za czasów pani Latter w podobnej chwili było dużo śmiechu, skoków, bieganiny... dziś nic z tego!

„Zapomniano o mnie?...“ — nagle pomyślała Madzia, spostrzegłszy, że jej nikt nie prosi na obiad.

Krew uderzyła jej do głowy, łzy zakręciły się w oczach i uczuła niepokonaną chęć wracania do domu.

„Do domu!... do domu!... nie chcę już ani panny Malinowskiej, ani jej protekcyi, ani nadewszystko jej gościnności... Przecież moja mama nie postąpiłaby w podobny sposób z żebrakiem, któryby znalazł się u niej w porze obiadu... Mam dziewięćdziesiąt rubli papierami, złoto od majora, więc wrócić mogę... A w Iksinowie, choćbym tylko zapracowała piętnaście rubli miesięcznie, nikt nie zrobi mi impertynencyi...“

Tak sobie mówiła Madzia, chodząc po pokoju rozgorączkowana... ale na palcach. Bała się, ażeby kto, usłyszawszy kroki, nie przypomniał sobie o niej. Pragnęła, ażeby wszyscy o niej zapomnieli, ażeby

rozstąpiły się mury i uwolniły ją z tego dziwnego domu, bez zwrócenia niczyjej uwagi.

— Boże, Boże!... po co ja tu przyjechałam?...— szeptała, załamując ręce.

Okropność jej położenia zaostrzał jeszcze smutny fakt, że Madzi jeść się zachciało.

„Nie mam najmniejszej ambicyi!... — myślała z rozpaczą. — Jak można w podobnej chwili być głodną?...“

Wtem ogarnęło ją zdziwienie: na górze zrobił się ruch, rozległy się śmiechy, bieganina, dźwięki fortepianu... Bodaj nawet, czy kilka par nie tańczyło?...

— Cóż to znaczy?... — mówiła do siebie.—Więc i tu wolno się bawić?...

Jednocześnie zapukano do drzwi i weszła panna Malinowska, prawie że uśmiechnięta.

— Teraz nasza kolej — rzekła — bądź łaskawa.

Wzięła Madzię pod rękę i zaprowadziła do pokoju swej matki, gdzie był stół nakryty na trzy osoby i dymiła się waza.

„Boże, ja nigdy nie będę mieć rozumu!“— pomyślała Madzia, śmiejąc się w duchu z samej siebie.

Rozpacz już ją opuściła, ale apetyt spotężniał.

— Zaczynam oddychać — odezwała się panna Malinowska, po sztuce mięsa. — Doprawdy, mam czasami ochotę zazdrościć, że ci się nie udała twoja pensyjka, w tym jakimś Iksinowie...

— O, ja jeszcze wrócę tam i założę choć dwie klasy: wstępną i pierwszą — odparła Madzia, chcąc uspokoić swoją gospodynię.

— I dwie klasy dadzą ci się we znaki, szcze-

gólniej w początkach. My coś wiemy o tem, prawda mamo?

— O!... — westchnęła staruszka, chwytając się oburącz za głowę. — Bo też dostałaś pensyę, Chryste Elejson!... Mówię pani — zwróciła się do Madzi — ile ja łez wylałam, ile nocy nie przespałam w tamtym kwartale!... Ale Felunia żelazna kobieta... O!...

— Pani mi pozwoli czasem przyjść do siebie i popatrzeć na swoje gospodarstwo?... — zapytała nieśmiało Madzia przełożonej.

— Owszem, ale... co tu zobaczysz, moja droga? Trzeba najwcześniej wstawać, najpóźniej kłaść się spać, wszystkiego pilnować, a co najważniejsza — każdemu odrazu wyznaczyć obowiązki i... żadnych ustępstw... żadnych ustępstw!... Latterowa, kiedy nie wydaliła pierwszej pensyonarki za spóźniony powrót od rodziców, już była zgubioną. Od tej chwili zaczęły się wizyty studentów u panny Howard, spacery panny Joanny... No, ale mniejsza o to... Znasz panią Korkowiczową, u której obejmujesz miejsce?

— Dziewczynki znam... Panią zdaje mi się raz widziałam... odparła Madzia.

— I ja jej nie znam. Słyszę, że są to ludzie bogaci, dorobkowicze, a sama pani podobno bardzo dba o wychowanie córek. Rozumie się, że gdyby ci tam było źle, znajdziemy inne miejsce, a może nawet u mnie otworzy się jaka posada...

— Ach, to byłoby najlepsze!... — zawołała Madzia, składając ręce.

Panna Malinowska pokiwała głową.

— No, no!... Zapytaj swoich koleżanek: czy

one się tak mocno zachwycają?... — rzekła przełożona. — Ale trudno... ja nie chcę iść za panią Latter...

Po obiedzie przełożona pobiegła na górę, gdzie mimo jej obecności, nie zmniejszył się gwar pensyonarek. Zaś na kwadrans przed piątą, wpadła na chwilę do Madzi.

— Ubierz się — rzekła — jedziemy. Kufry odeślę ci za godzinę.

Madzię ogarnął strach. Jak ją przyjmie pani Korkowiczowa?... — może i u niej jest taki rygor jak u panny Malinowskiej?... Blada, drżącemi rękoma włożyła na siebie okrywkę, a ponieważ była sama w pokoju, więc przeżegnała się i chciała uklęknąć, z prośbą do Boga, ażeby ją pobłogosławił w tak ważnym momencie życia.

Zgięła kolano, lecz nagle wyprostowała się. „Bóg nie wysłucha mojej modlitwy!... przebiegło jej przez myśl. Choć... czy to może być grzech?... Sama przecież Cesia mówiła, że z takich rzeczy niema się co spowiadać!“

II.

Dom z guwernantką.

Przełożona uchyliła drzwi. Wyszły na ulicę, wsiadły w dorożkę, a w kilka minut były już na pierwszem piętrze bardzo wykwintnego domu. Panna Malinowska pociągnęła kryształową rączkę dzwonka przy drzwiach, które w tej chwili otworzył lokaj w granatowym fraku i czerwonej kamizelce.

— Kogo mam zameldować? spytał.

— Dwie panie, które miały tu być o piątej — odpowiedziała panna Malinowska, wchodząc do przedpokoju.

Przybyłe nie zdążyły jeszcze zdjąć okrywek, kiedy z salonu wpadła między nie dama niska, otyła i ruchliwa, w jedwabnej sukni z długim ogonem, w koronkowym kołnierzu, z koronkową chustką w jednej ręce, z wachlarzem ze słoniowej kości w drugiej. W jej uszach lśniły się dwa wielkie brylanty.

— Jakżem wdzięczna, że pani przełożona sama się fatyguje!... — zawołała dama — ściskając pannę Malinowską. Jakżem szczęśliwa, że nareszcie poznaję panią!... — zwróciła się do Madzi. — Niechże panie pozwolą do saloniku... Jan, powiedz panienkom, ażeby tu zaraz przyszły... Proszę, bardzo proszę... niechże panie siadają... O na tych krzesełkach...

I podsunęła dwa złocone krzesełka, kryte amarantowym jedwabiem.

— Kiedyż przyjeżdżają państwo Solscy? — mówiła w dalszym ciągu dama, patrząc na Madzię. — Pan Solski w sąsiedztwie mego męża ma majątek... co za majątek!... Lasy, łąki, a jakie grunta!.. Dwieście włók, proszę pani... Mój mąż mówi, że tam możnaby postawić cukrownią za psie pieniądze, a mieć z niej ogromne dochody... Pani ciągle koresponduje z panną Solską?.. — zapytała znowu Madzię.

— Tak, pisałam do niej parę razy... — odparła zmieszana Madzia.

— Co to parę razy!... — zawołała dama. — Kto ma szczęście posiadać przyjaciółkę z tej sfery, powi-

nien do niej ciągle pisywać... Ja poprostu jestem zakochana w pannie Solskiej... Co to za rozum, skromność, dystynkcya...

— Pani zna pannę Solskę? — wtrąciła panna Malinowska, z właściwym sobie spokojem patrząc na tęgą damę.

— Osobiście nie mam jeszcze honoru... Ale pan Zgierski tyle mi o niej opowiadał, że nawet ośmieliłam się prosić ją o składkę na założenie szpitala w naszej okolicy... I wie pani co?... przysłała tysiąc rubli i odpisała jak najgrzeczniej!...

Pulchne policzki pani Korkowiczowej zaczęły drżeć.

— Darujcie panie — mówiła, mrugając powiekami — ale nie mogę przypomnieć sobie tego wypadku bez wzruszenia... Jestto jedyna osoba... jedyny dom, któremu pierwsza złożyłabym wizytę, tyle mam uwielbienia dla państwa Solskich... A przytem tak bliskie sąsiedztwo...

Podczas długiego i szybkiego wykładu gospodyni domu, twarz Madzi promieniała zachwytem. Cóż to za szczęście dostać się do rodziny, która tak kocha jej przyjaciółkę! A jak szlachetną musi być sama pani Korkowiczowa, skoro nie znając Ady, oceniła jednak jej wartość... Natomiast oblicze panny Malinowskiej nie wyrażało nic, choć równie dobrze mogło oznaczać znudzenie, albo nawet drwiny. Siedziała wyprostowana, ustawiwszy swoje wielkie oczy w ten sposób, że nie było wiadomo, na co mianowicie zwraca uwagę: czy na panią Korkowiczową, czy na jej salon, napełniony kilkoma bardzo różnemi garniturami mebli, czy na dwa olbrzymie dywany na

posadzce, z których jeden był ciemno - wiśniowy, a drugi jasno-żółty.

Kiedy gospodyni podniosła do ust koronkową chustkę, jakby dając znak, że już wypowiedziała wszystkie uniesienia, panna Malinowska odezwała się bardzo przyjemnym głosem.

— Jakież będą obowiązki panny Brzeskiej u pani?

Pulchna dama stropiła się.

— Obowiązki?... żadne!... Towarzyszyć córkom moim, ażeby nabrały pięknego układu i pomagać im w naukach, a właściwie pilnować... Moje panienki biorą lekcye od profesorów, od renomowanych nauczycielek...

— A pensyę jaką pani przeznacza dla panny Brzeskiej?... O ile sobie przypominam...

— Trzysta rubli rocznie — wtrąciła dama.

— Tak, trzysta rubli — powtórzyła panna Malinowska i, zwróciwszy się do przerażonej i zaczerwienionej Madzi, dodała:

— W ciągu roku masz jeden tydzień wolny na Boże Narodzenie, drugi na Wielkanoc i miesiąc na wakacye, w czasie których możesz odwiedzać rodziców.

— Naturalnie!... — potakiwała zdumiona pani Korkowiczowa.

— W rezultacie twoja miesięczna pensya wynosi trzydzieści rubli...

— No tak... tak!... — wtrąciła dama.

— I rozumie się, że będziesz w domu państwa Korkowiczów traktowana, jak starsza córka...

— Nawet lepiej!... wiem przecież, kogo biorę...

— A teraz może mi pani pozwoli zobaczyć pokój panny Brzeskiej — mówiła dalej przełożona, podnosząc się ze złoconego krzesełka, tak obojętnie, jakby chodziło o najzwyklejszy stołek.

— Pokój?...—powtórzyła pani Korkowiczowa. — A tak... pokój dla panny Brzeskiej już gotów... Proszę...

Madzia, zupełnie straciwszy przytomność, jak automat szła za panną Malinowską. Minęły pod przewodnictwem ruchliwej gospodyni długi szereg saloników i gabinetów i znalazły się w niewielkim, ale czystym pokoju, z oknem wychodzącem na ogród.

— Łóżko zaraz każę tu przynieść — mówiła gospodyni. Obok mieszkają moje panienki, — a syn... na drugiem piętrze...

— O, widzisz, masz tu i popielniczkę, gdybyś kiedy nauczyła się palić papierosy... — rzekła panna Malinowska do Madzi.

— Ach, to popielniczka mego syna, który tu czasem lubi zdrzem... czytać po obiedzie... — odparła zakłopotana gospodyni. — Ale on tu już nigdy nie przyjdzie...

— Żegnam panią — odezwała się nagle panna Malinowska, ściskając rękę damie — i dziękuję za warunki. — Bądź zdrowa, Madziu — dodała — pracuj, jak to ty umiesz i pamiętaj, że mój dom jest w każdej chwili na twoje usługi. Rozumie się... dopóki nie przyjadą Solscy, których przyjaźń i opiekę ja tylko tymczasem zastępuję — kończyła z naciskiem.

— Ach!... — westchnęła pani Korkowiczowa, patrząc na Madzię z wyrazem macierzyńskiej miłości. — Upewniam, że państwo Solscy będą zadowoleni...

Gdy po oględzinach panie wróciły do salonu,

zastały tam dwie panienki wcale rozwinięte, ładnie ubrane, może zanadto ulegające naciskowi gorsetów. Obie były blondynki o okrągłych rysach, tylko jedna miała zmarszczone czoło, jak osoba, która się gniewa, druga wysoko podniesione brwi i wpółotwarte usta, jakby wiecznie lękała się czegoś.

— Panie pozwolą przedstawić sobie moje córki — rzekła gospodyni. — Paulina... Stanisława...

Obie dziewczynki dygnęły przed panną Malinowską, według wszelkich prawideł, przyczem brwi Stanisławy podniosły się jeszcze wyżej, a czoło Paulinki pofałdowało się jeszcze posępniej.

— Panna Brzeska... — mówiła gospodyni.

— O, my się znamy!... — zawołała Madzia, całując zarumienione dziewczynki, które uśmiechnęły się bardzo życzliwie — jedna z odcieniem goryczy, druga z wyrazem melancholji.

— Żegnam panią — powtórzyła panna Malinowska. — Do prędkiego widzenia, Madziu... do zobaczenia, moje dzieci...

Madzia wyprowadziła przełożoną na schody i całując ją w ramię, szepnęła:

— Boże, jak ja się boję...

— Bądź spokojna... — odparła panna Malinowska. — Znam ten fason i już wiem, o co im chodzi...

Kiedy Madzia wróciła do salonu, pani Korkowiczowa, opuściwszy grupę mebli złoconych, usiadła na aksamitnym fotelu, a Madzi wskazała miejsce na krześle.

— Pani dawno ma przyjemność znać państwa Solskich?... — zapytała dama.

Lecz w tej samej chwili obie dziewczynki schwyciły Madzię za ręce i jednocześnie odezwały się:

— Czy Wenzlówna jest jeszcze na pensyi?...

— Czy pani słyszała o pani Latter?...

— Linka... Stasia!... — zgromiła je matka, uderzając ręką w poręcz fotelu. — Ile razy mówiłam, że panienki dobrze wychowane niepowinny przeszkadzać starszym?... Zaraz... Ot, i już nie pamiętam, o co chciałam pytać pannę Brzeską!...

— Naturalnie, że o tych Solskich, których majątek sąsiaduje z browarem papy — odpowiedziała Paulinka z miną rozgniewanej.

— Linka! — pogroziła jej matka. — Linka, ty swojem postępowaniem wpędzisz mamę do grobu... Pamiętaj, że niedawno wróciłam z Karlsbadu...

— Ale już mama jada mizeryę — wtrąciła Stasia, patrząc na matkę z taką obawą, jakby jej istotnie groziło niebezpieczeństwo.

— Mamie wolno wszystko jadać, bo mama wie, co robi — odparła dama. — Ale dobrze wychowane panienki nie powinny... Linka, ty niedługo siądziesz na kolanach pannie Brzeskiej...

— Albo to ja raz siadałam na pensyi.

— Na pensyi co innego...

W przedpokoju rozległ się potężny bas:

— Mówiłem ci, błaźnie, ażebyś mi się nie stroił, jak małpa...

— Jaśnie pani kazała... — odparł inny głos.

Drzwi otworzyły się, i do salonu wszedł, w kapeluszu na głowie, tęgi mężczyzna, z dużą brodą.

— Cóż to dziś znowu za maskarada?... — wołał pan w kapeluszu. — Z jakiego u dyabła...

Umilkł i zdjął kapelusz, spostrzegłszy Madzię.

— Mój mąż... — rzekła prędko gospodyni. — Panna Brzeska...

Pan Korkowicz chwilę przypatrywał się Madzi, a na jego dobrej twarzy odmalowało się zdziwienie.

— A... — odezwał się przeciągle.

— Najserdeczniejsza przyjaciółka państwa Solskich.

— Ech!... — odparł lekceważąco, a potem, wziąwszy rękę Madzi w swoje ogromne dłonie, dodał:

— To pani ma uczyć nasze dziewczęta?... Bądź dla nich miłosierna!... Głupiutkie to, ale poczciwe...

— Piotruś! — upomniała go pani, uroczyście poprawiając koronkowy kołnierz.

— Moja Toniu, kogo ty chcesz w błąd wprowadzić, panią nauczycielkę?... Pani nauczycielka odrazu pozna się na twoich córkach, jak szynkarz na młodem piwie... Cóż ten wałkoń już wrócił?...

— Nie rozumiem cię, Piotrze... — odparła oburzona dama.

— Papo pyta się, czy Bronek wrócił? — objaśniła Paulinka.

— Piękne panna Brzeska będzie miała wyobrażenie o naszym domu!... — wybuchnęła pani. Tylko wszedłeś, zaraz prezentujesz się jak człowiek ordynarny...

— Przecież ja taki zawsze... — odparł pan, ze zdziwieniem rozkładając ręce. — Panna Brzezińska, czy jak tam, nie będzie płaciła moich weksli, choćbym się do niej krygował Bóg wie po jakiemu... A gałgan!... Nie waliłem za młodu, teraz on mnie wali...

— Co ty gadasz?... co się z tobą dzieje...— wołała pani Korkowiczowa, widząc, że Madzia jest przestraszona, a obie jej córki śmieją się.

— Co gadam!... Ten hultaj nie zapłacił mi wczoraj wekslu w banku i, gdyby nie poczciwy Świtek, miałbym rejenta w kantorze... A rozbójnik!...

— Ale przecież Bronek nie stracił tych pieniędzy, tylko spóźnił się do banku... przerwała oburzona matka.

— Pięknie go bronisz, nie ma co mówić!... Gdyby choć grosz stracił z tych pieniędzy, byłby złodziejem, a tak jest wałkoniem...— krzyczał ojciec.

Na twarz pani wystąpiły fjoletowe rumieńce. Zerwała się z fotelu i, zadyszana, rzekła do Madzi:

— Niech pani wyjdzie z dziewczynkami do ich pokoju... A mój kochany!... taka awantura przy osobie, która nas nie zna...

Madzia, blada ze wzruszenia, opuściła salon. Lecz humor obu panienek nie zmienił się; gdy zaś znalazły się w swoim pokoju, Linka stanęła przed Madzią i, patrząc jej w oczy, rzekła:

— Pani boi się papy?... Pani myśli, że papuś jest naprawdę taki straszny?... — dodała, pochylając głowę na bok. — Tu nikt nie boi się tatki, nawet Stasia...

— Widzi pani, papuś robi tak... — wmięszała się Stasia.—Jak papuś jest zły na mamę, to jej samej nic nie powie, tylko gniewa się na nią przed nami. A jak Bronek co zmaluje, to papuś znowu nic nie mówi jemu, tylko wygraża się na niego przed nami, albo przed mamą...

— Teraz na wszystkich będzie skarżył się przed

panią... — wtrąciła Linka. — O, ja wiem!... Pani bardzo podobała się papusiowi...

— I mamie — dodała Stasia. — Mama mówiła, że, gdyby pani miała rozum i potargowała się, to mogłaby dostać u nas z pięćset rubli rocznie...

— Moja Stasiu... pani i tak dostanie... — przerwała jej Linka.

— Dzieci, co wygadujecie?... — zawołała Madzia ze śmiechem. — Któż słyszał zdradzać w taki sposób tajemnice rodzinne.

— Alboż pani nie należy do naszej rodziny? — rzekła Stasia, rzucając się Madzi na szyję. — Jest pani u nas godzinę, a mnie się wydaje, że już od stu lat...

— Widzę, że pani będzie więcej kochała tego lizusa, aniżeli mnie... Ale ja do pani jestem bardziej przywiązana, choć nie obrywam pani sukni... — odezwała się obrażona Linka, tuląc się do ramienia Madzi.

— Będę was obie kochała jednakowo, tylko powiedzcie mi, czego się uczycie? — odparła Madzia, całując każdą po kolei. Naprzód Stasię i Linkę, potem Linkę i Stasię.

— Ja pani powiem! — zawołała Stasia. — Od kiedy wyszłyśmy z pensyi — do wakacyi uczyłyśmy się wszystkiego: literatury, historyi, algebry, francuskiego:..

— Od wakacyi nie uczymy się niczego — wtrąciła Linka.

— Przepraszam... ja uczę się fortepianu... — przerwała Stasia.

— Kochasz się w panu Stukalskim, który ci wymyśla, że masz palce do obierania kartofli...

— Moja Linko!... Sama romansujesz z panem Zacieralskim i myślisz, że zaraz każdy musi się kochać... — odparła zarumieniona Stasia.

— Cicho dzieci! — uspokoiła je Madzia. — Kto jest pan Zacieralski?

— Malarz, uczy Linkę malować, a tatko pyta się: kiedy oboje zaciągną nam podłogi, bo froterzy drogo kosztują...

— A Stasię pan Stukalski uczy grać na fortepianie i przez połowę każdej lekcyi rozstawia jej palce na klawiszach... Nie bój się!... już mama spostrzegła, że podczas tych wykładów za mało słychać muzyki... Przysięgnę, że gdyby twój Kocio, zamiast dwu rubli, brał rubla, skończyłyby się wasze czułości...

— Może ten twój Zaciereczka uczyłby cię darmo?... — wtrąciła Stasia.

— Właśnie, że uczyłby mnie darmo — odparła obrażona Linka — bo ja mam poczucie natury...

— O, tak!... Kiedy ci zadał do wymalowania koszyk wiśni, to wiśnie zjadłaś, liście wysypałaś za okno, a potem rozchorowałaś się na głowę...

— Dzieci!... ach, Boże!... — uspakajała je Madzia. — Powiedzcie mi lepiej: gdzie odbywają się wasze lekcye?

— Fortepian na górze, ja maluję w oranżeryi, a inne wykłady odbywają się, czy mają się odbywać, w auli — objaśniła Linka.

— Ja panią tam zaprowadzę — rzekła Stasia.

— I ja.

Schwyciły Madzię pod ręce i, ze swego pokoju

przez cały szereg gabinetów, kurytarzy i sionek wyprowadziły do wielkiej sali.

Było już ciemno, więc Linka, znalazłszy zapałki, zapaliła cztery płomienie gazu, mówiąc:

— Oto jest nasza aula, w której przez wakacye prasowała się bielizna...

— Przepraszam, bo stały kufry z futrami... poprawiła ją Stasia.

Salon zadziwił Madzię. Było w nim kilka wyściełanych ławek przed eleganckiemi stoliczkami, była wielka tablica, jak na pensyi, a nadewszystko— była jedna szafa wypchanych zwierząt, a druga pełna aparatów do wykładu fizyki.

— Pocóż tyle ławek? — zapytała Madzia.

— A... bo mama chce, żeby u nas zbierały się komplety panienek, którym mają wykładać najlepsi profesorowie — rzekła Linka.

— A na cóż te narzędzia?... Uczycie się fizyki?...

— Jeszcze nie — pochwyciła Stasia. — Ale, widzi pani, było tak: mama dowiedziała się, że panna Solska ma takie same przedmioty i zaraz nam je kupiła.

— I to stoi bez użytku?

— Owszem rzekła — Linka — w machinie pneumonicznej czy jak tam, Bronek dusił myszy; więc papuś rozbił klosz, Bronka ogromnie wykrzyczał i szafę zamknął na klucz. Ale pani pewnie klucz odda...

Z pół godziny zeszło Madzi na oglądaniu naukowego salonu, aż wreszcie lokaj (już ubrany w surdut) dał znać, że zaraz będzie herbata.

— Chciałabym umyć ręce — rzekła Madzia.

— To pójdziemy do pokoju pani — zawołała Stasia. — Linka pozakręcaj gaz, a ja wezmę zapałki...

Przeszły znowu sień, garderobę, oświetlony korytarz i zatrzymały się przed jednemi drzwiami. Stasia zapaliła zapałki, Linka popchnęła drzwi i nagle... Madzia poczuła silny zapach tytuniu, a jednocześnie usłyszała męzki głos:

— Won stąd!... czego wy tu?...

Skrzypnęło, stuknęło i z szesląga zerwał się młody człowiek, dość otyły, ubrany tylko w kamizelkę. Szczęściem zapałka zgasła.

— Czego wy tu sikory?... — pytał zaspany młody człowiek.

— Co ty tu robisz?... to pokój panny Brzeskiej!... — wołały obie dziewczynki.

— Na złamanie karku!... — mruknął młodzieniec, usiłując zamknąć drzwi, czemu przeszkadzała Linka.

Teraz otworzyły się inne drzwi w głębi korytarza i wybiegła z nich pani Korkowiczowa, pan Korkowicz, a za nimi lokaj z kandelabrem.

— Co ty tu robisz Bronek?... — pytała niespokojnie pani młodego człowieka, który, chowając się za szafę, wdziewał surdut. — A gdzie łóżko?... — dodała, gdy blask świec oświetlił wnętrze pokoju. — Jan, gdzie łóżko dla panny Brzeskiej?...

— A na górze, w pokoju młodego pana...

— Zwaryowałeś?... — jęknęła dama.

— Przecie jaśnie pani kazała wstawić łóżko do tego pokoju, gdzie młodszy pan sypia...

— Ale gdzie sypia po obiedzie, głąbie jakiś...— mówiła zirytowana dama.

— To też pan Bronisław tam sypia po obiedzie, a tu dopiero nad wieczorem — tłómaczył się lokaj.

— Otwórz okno... przynieś stamtąd łóżko... a niegodziwiec...

— Ehe! widzę, że już dawno nie smarowałem maszyn w tej fabryce!... — odezwał się pan Korkowicz. Wyrwał służącemu z rąk kandelabr i, ująwszy samego za kark, wyprowadził do garderoby. W chwilę później rozległ się krzyk i parę tępych uderzeń.

— Chodźmy, moi państwo, do stołowego pokoju, — westchnęła pani. — Strach, co się to dziś dzieje ze służbą!...

Gdy zaś wszyscy usiedli przy stole, zwróciła się do Madzi:

— Mój syn, Bronisław... Przeproś-że panią za swój nietaktowny postępek...

Tłusty młodzieniec ukłonił się Madzi bardzo nisko i rzekł mrukliwym głosem:

— Prze... przepraszam panią... Choć, jak Boga kocham, nie wiem za co?...

— Za to, że ośmieliłeś się spać w pokoju pani...

— Wszyscy mi oczy wykłuwają tem spaniem!... Przecie każdy człowiek musi spać...

Wszedł starszy pan.

— No!... — zawołał do syna — powiedz-no mi, jak to było wczoraj z tym bankiem?...

— Już tatko zaczyna się awanturować!... — odparł syn. — Słowo honoru daję, że wyprowadzę się od rodziców...

— Proszę cię, Piotrusiu, daj mu spokój!—wtrąciła matka. — Stasia, zadzwoń.

Wszedł Jan, zakrywając nos chustką.

— Dlaczego nie usługujesz do herbaty? — zapytała pani.

— Bo ja już jaśnie państwu dziękuję za służbę.

— Co to znaczy?... — groźnie odezwał się pan domu.

— A tak!...—odparł służący.—Jaśnie pan tylko ciągle obraża człowieka, a potem się dziwi...

— No... no... no... nic nie gadaj... Nie stało ci się nic złego...

— Łatwiej jaśnie panu bić, niż mnie brać — mruknął Jan.

Zdziwiona i wystraszona Madzia pomyślała, że jednak dom państwa Korkowiczów jest bardzo oryginalny.

III.

Bodajeś uczył cudze dzieci!

Pani Korkowiczowa posiadała, jeżeli nie dyktatorską, to przynajmniej dość wyłączną władzę nad domem. Tylko jej lękała się służba, tylko jej ustępował mąż, tylko jej rozkazy spełniały panienki, a nawet ukochany syn, który nie bardzo słuchał ojca.

Opanowała wszystkich, z mniejszym lub więcej

kszym oporem z ich strony. To też nie małem było zdziwienie pani Korkowiczowej, gdy po niejakimś czasie spostrzegła, że obok niej, w tym domu zaczyna wyrastać nowa indywidualność — Madzi.

Ta Madzia, zawsze wesoła, zawsze grzeczna nawet dla służby, nigdy nie opierająca się, a stanowczo posłuszniejsza od Linki i Stasi, z każdym dniem nabierała znaczenia. Wszyscy czuli jej obecność, a przedewszystkiem sama pani, choć nie rozumiała, w jaki się to dzieje sposób.

Zaraz w kilka dni po przyjeździe, pani Korkowiczowa uroczyście wezwała Madzię do salonu, ażeby zakomunikować jej swoją wolę co do kierunku, w jakim mają być kształcone panienki.

— Panno... panno Brzeska — zaczęła pani Korkowiczowa, rozsiadając się na kanapie — trzeba żebyś pani odwiedziła pannę Malinowską i spytała: jakich zaleci profesorów dla moich dziewczynek? W każdym razie... tak... sądzę, że mąż musi zaprosić pana Romanowicza, bo on w kwietniu miał odczyt w ratuszu i w jesieni także ma mieć... No i oprócz pana Romanowicza weźmiemy jeszcze kilku...

— Proszę pani — rzekła Madzia — na co naszym dziewczynkom profesorowie?

Pani Korkowiczowa drgnęła.

— Co?... jak to?...

— Rezultaty wykładów są dziś wątpliwe — mówiła Madzia — a koszt bardzo wielki. Gdybyśmy miały tylko dwie takie lekcye codzień, po dwa ruble godzinę, to już wyniesie około sto rubli na miesiąc. Moja pensya, lekcye muzyki i malarstwa już kosztują 90 rubli, więc razem około dwustu.

— Dwieście!... — powtórzyła pani mocno zmieszana. — Nie myślałam o tem... Ależ będziemy miały komplet, z dziesięć panienek... Na każdą wypadnie może 20 rubli, a może nawet i taniej...

— A czy pani już ma komplet?...

— Właśnie zajmuję się tem?... Ale w tej chwili jeszcze nic... — mówiła pani Korkowiczowa wzruszonym głosem.

— Więc proszę pani zróbmy tak... Kiedy pani już zbierze komplet, zwrócimy się do profesorów; a tymczasem ja będę powtarzała z dziewczynkami, co przeszły na pensyi i czego trochę zapomniały.

— Dwieście rubli na miesiąc!... — szeptała dama, ocierając twarz chustką. — Naturalnie, musimy poczekać... Następnie, chwilkę odpocząwszy, dodała: Otóż mam myśl... Ja zajmę się zebraniem kompletu, a pani zapyta pannę Malinowską o najodpowiedniejszych profesorów... Tymczasem będzie pani powtarzała z dziewczynkami to, co przeszły na pensyi.

— Dobrze, proszę pani.

Pani Korkowiczowa była zadowolona, że ostateczny rozkaz wyszedł z jej ust i że Madzia, bez opozycyi, podjęła się go wykonać. Była zadowolona, ale w jej duszy pozostało nieokreślone zakłopotanie.

„Dwieście rubli!... — myślała. — Że mi to odrazu nie przyszło do głowy?... No, od tegoż ona jest guwernantką...“

Był to dopiero początek.

W gorące dni, pan Korkowicz starszy od niepamiętnych czasów miał zwyczaj siadać do obiadu bez surduta. Otóż raz, w końcu sierpnia, zdarzył się tak silny upał, że pan Korkowicz zasiadł przy

stole nawet bez kamizelki. A nadto rozpiął gors koszuli, dzięki czemu doskonale uwydatniało się jego różowe łono, pokryte bujnym meszkiem.

Obok matki uplacował się pan Bronisław, lokaj wybiegł prosić panny i niebawem weszły do pokoju Linka, Stasia, a na końcu Madzia.

— Szacunek dla panny Magdaleny!... — zawołał gospodarz, lekko pochylając się naprzód; co wpłynęło na mocniejsze otworzenie się koszuli.

— Ach!.... — krzyknęła Madzia i gwałtownie cofnęła się za drzwi.

Pan Bronisław zerwał się od stołu, a zdumiony pan Korkowicz zapytał:

— Co się stało?...

— Jakże co się stało?... —rzekła Linka.—Przecież papuś jest zupełnie rozebrany...

— A niechże cię najjaśniejsze!... — mruknął gospodarz, chwytając się za głowę. — Poproścież tu pannę Magdalenę... Bodaj dyabli...

Wybiegł do swego pokoju i w kilka minut wrócił ubrany jak ze sklepu artykułów mody. Ponieważ w tej chwili weszła powtórnie Madzia, więc przeprosił ją wśród ukłonów i zapewnił, że tak smutny wypadek nigdy się już nie powtórzy.

— W twoim wieku Piotrusiu dużo uchodzi... — odezwała się nieco kwaskowatym tonem pani.

— Dużo... nie dużo...—wtrącił pan Bronisław.— Anglicy do obiadu ubierają się we fraki.

— Panna Magdalena nie ma powodu gniewać się — mówiła pani — ale przypomnij sobie Piotrusiu, ile razy prosiłam, ażebyś nie negliżował się przy

obiedzie? Trzeba przestrzegać form towarzyskich, choćby ze względu na dziewczęta...

Gdy obiad skończył się, Madzia zawiadomiła panią, że pragnie odwiedzić Dębickiego.

— Dębicki?... Dębicki?... — powtarzała pani, lekko marszcząc brwi.

— To ten bibliotekarz i przyjaciel Solskiego— objaśnił gospodarz.

Oblicze pani Korkowiczowej rozpogodziło się.

— Ach — rzekła z uśmiechem — chce pani dowiedzieć się kiedy przyjeżdżają państwo Solscy?... Ależ proszę, niech pani idzie...

— A ja panią odprowadzę!... — zawołał, zrywając się z krzesła pan Bronisław.

— Dziękuję panu — odpowiedziała Madzia, tonem tak chłodnym, że pani Korkowiczowa aż drgnęła.

— Hę!... wstydzi się pani?... — mówił pan Bronisław ze śmiechem. — Jak nas kto spotka, to powiem, że jestem trzecim uczniem pani...

— Na ucznia już pan za duży.

— To pani powie, że ja jestem pani guwerner.

— Na guwernera jest pan za młody — zakończyła Madzia. — Do widzenia się z państwem...

Za Madzią wybiegła Stasia; Linka zaś została i, wygrażając pięścią bratu, rzekła z gniewem:

— Słuchaj-no... Jak ty będziesz tak traktował pannę Magdalenę, oczy ci wydrapię...

— Dobrze mówi! — potwierdził ojciec. — Trzeba być cymbałem, ażeby w podobny sposób narzucać się porządnej dziewczynie...

— Eh!... porządek... — odparł z lekceważeniem

otyły młody człowiek. — Porządne panny nie mają zegarków, wysadzanych brylantami...

— Co to bydlę mówi, co?... — zapytał ojciec.

— Naturalnie! — upierał się pan Bronisław. — Zegarek wart ze czterysta rubli, więc skąd może go mieć guwernantka...

— A ja wiem!... — zawołała Linka. — O, już będzie z tydzień, jak ze Stasią oglądałyśmy ten zegarek. Prześliczny!... nawet mama nie ma takiego... Wtedy Stasia otworzyła kopertę i przeczytałyśmy napis: „Mojej najdroższej Madzi, na pamiątkę lat 187..., wiecznie kochająca Ada...“ Ada, to panna Solska — zakończyła Linka.

— Taki napis?... rzeczywiście... — zapytała pani Korkowiczowa.

— Jak rodziców kocham!... Obie umiemy go na pamięć...

— Ot, i masz zegarek z brylantami, jołopie!... — westchnął pan Korkowicz, uderzając ręką w stół.

— Proszę cię, Bronku, ażebyś był uprzedzająco grzeczny dla panny Brzeskiej — rzekła uroczyście pani. — Ja wiem, kogo wzięłam do domu...

Pan Bronisław zasępił się.

— Głupi Bronek!... głupi Bronek!... — śpiewała, skacząc i śmiejąc się Linka.

— Tylko Linka... ani słowa pannie Brzeskiej o tem, co się tu mówiło — upomniała ją pani. —Wpędziłabyś mamę do grobu...

Kiedy gospodarz wyszedł za interesami do miasta, pan Bronisław na drzemkę, a Linka do Stasi, ażeby asystować jej przy lekcyi fortepianu, pani Kor-

kowiczowa, przeniósłszy się do swego gabinetu, usiadła na biegunowym fotelu i zaczęła rozmyślać.

„Czy mi się zdaje, czy nasza guwernantka już przekracza granice swego stanowiska?... Piotr ubiera się do niej przy obiedzie... No, powinienby się już odzwyczaić od swoich okropnych manier!... Linka broni jej jak lwica... Nic to złego... Zresztą Bronek ją lekceważy... Ale chłopak musi być dla niej grzeczny... i nawet ja i my wszyscy. Takie stosunki za trzydzieści rubli miesięcznie... Złoty zegarek z brylantami!... Jeżeli teraz nie zaprzyjaźnimy się z Solskimi, to już chyba nigdy...

Swoją drogą, przy pierwszej okazyi, dam panience do zrozumienia: czem ja tu jestem, a czem ona...“

Fotel bujał się coraz wolniej; głowa pani Korkowiczowej opadła na wiszącą poduszkę, z półotwartych ust wybiegało chwilami głośne chrapanie. Sen, brat śmierci, skleił powieki dystyngowanej damie.

Już pan Stukalski skończył wtajemniczać swoją uczennicę w trudną sztukę palcowania, przy czem nie zaniedbał przypomnieć jej, że powinna obierać kartofle; już panienki wybiegły do ogródka, gdzie gniewna Linka usiadła na trapezie, a łzami zalana Stasia huśtała ją, — kiedy Madzia, wszedłszy do gabinetu pani Korkowiczowej, zastała ją na biegunowym fotelu, z głową odrzuconą w tył i rękoma, splecionemi na łonie.

— Ach, przepraszam!... — mimowoli szepnęła Madzia.

— Co?... co to?... — zawołała pani, zrywając się. — A, to pani?... Właśnie myślałam... Czegóż kochana pani dowiedziała się o Solskich?...

— Mają wrócić w końcu października. W początkach zaś przyjedzie do Warszawy pan...

Tu Madzia zatchnęła się.

— Pan Solski?

— Nie... pan Norski — odparła Madzia ciszej. — Syn nieboszczki pani Latter...

— Nieboszczki? — powtórzyła pani Korkowiczowa. — Czy to nie z jego siostrą ma się żenić pan Solski?

— Podobno.

— Muszę zapoznać się z panem Norskim, ażeby choć w części wynagrodzić mu mimowolną krzywdę... Obawiam się — wzdychając i kiwając głową, mówiła dama — że odebranie moich córek z pensyi, było jedną z przyczyn samobójstwa nieszczęśliwej pani Latter... Ale Bóg widzi, nie mogłam zrobić inaczej, panno Brzeska!... Pensya w ostatnich czasach miała okropną opinję, a ja jestem matką... Jestem matką, panno Brzeska...

Madzia pamiętała dzień, w którym Linka i Stasia opuściły pensyę; zdawało jej się jednak, że pani Latter nawet nie spostrzegła tego doniosłego wypadku.

— Mam do pani wielką prośbę — odezwała się nieśmiało Madzia po chwili milczenia. — Czy nie pozwoli pani, ażeby siostrzenica profesora Dębickiego uczyła się razem z naszemi dziewczynkami?...

— Chce należeć do kompletu?

— Ona nie ma pieniędzy na lekcye z profesorami, więc uczyłaby się tylko odemnie....

„Aha!... — pomyślała pani. — Teraz panienko zrozumiesz, co jestem ja, a co ty?..."

Głośno zaś rzekła:

— Cóż ubogiej dziewczynce po takich wysokich naukach, jakie będą pobierały moje dzieci?...

Madzia patrzyła na nią zdziwiona.

— Ale... ale... — ciągnęła pani Korkowiczowa, czując, że mówi coś nie do rzeczy. — Ten pan Dębicki, u którego pani bywa, to kawaler?

— Kawaler, ale bardzo stary... Ach, jaki to uczony człowiek, jaki szlachetny... Pan Solski bardzo go kocha i ledwie zmusił go do przyjęcia u siebie posady bibljotekarza...

— Przepraszam... — rzekła nagle dama. — Co to za prześliczny zegareczek ma pani?... Pamiątka?...

— Dostałam go od Ady Solskiej — odparła zarumieniona Madzia, podając zegarek. — Ale czasami to wstyd mi chodzić z nim...

— Dlaczego?... — mówiła pani Korkowiczowa, z trudem otwierając kopertę. — „Mojej najdroższej Madzi...“ Dlaczegóż ta dziewczynka pana Dębickiego nie chodzi na pensyę?... Moglibyśmy przykładać się do płacenia za nią...

— Jej wuj miał przykre zajście z uczennicami i musiał opuścić pensyę pani Latter... Zosię awantura tak przestraszyła, że już niema odwagi chodzić na żadną pensyę, więc uczy się biedaczka sama, trochę przy pomocy wuja.

— Ha, jeżeli pani sądzi, że pan Dębicki jest taki dobry człowiek...

— Bardzo... bardzo dobry...

— A ta dziewczynka jest uboga, to... niech przychodzi... Byle moje panienki nie straciły na tem...

— Przeciwnie, one zyskają... Współzawodnictwo zachęci je do pilności...

— Muszę jednak dodać, że robię to tylko dla utrzymania stosunków z Solskimi... Pana Dębickiego przecież nie znam!... — mówiła dama, wciąż czując, że w obec Madzi zajmuje coraz fałszywsze stanowisko.

Przez parę dni pani Korkowiczowa była nieco cierpka w obejściu z Madzią; ale gdy Dębicki, złożywszy jej wizytę z podziękowaniem, że pozwala Madzi pracować nad jego siostrzenicą, przyznał się, że oboje państwa Solskich zna od dzieci i co parę tygodni koresponduje ze Stefanem, pani Korkowiczowa udobruchała się.

Owszem, nawet podziękowała Madzi za zawiązanie tego nowego stosunku.

„Dębicki — myślała — byłby niewdzięcznikiem, gdyby o nas dobrze nie mówił przed Solskimi. Brzeska także powinna mówić o nas dobrze; zresztą, postaramy się o jej życzliwość...“

Od tej pory było Madzi u państwa Korkowiczów, jak w niebie. Pan Bronisław miał obowiązek witać ją i żegnać z największem uszanowaniem; starszy pan miał prawo okazywać, że Madzię lubi; sama pani wreszcie wyznaczyła Madzi miejsce przy stole obok siebie, a lokaj podawał jej półmiski zaraz po gospodyni domu.

Pomimo jednak najlepszych chęci pani Korkowiczowej, Madzia — czy to skutkiem niedość starannego wychowania, czy braku delikatnych uczuć — nieustannie narażała się w obec swojej chlebodawczyni. Z właściwą sobie wyrozumiałością, pani Kor-

kowiczowa nie uważała tego bynajmniej za występki; owszem, niektóre czyny Madzi zdradzały nawet dobre serce, ale zarazem — niesłychany brak taktu. To też szanowna dama bardzo musiała panować nad sobą, ażeby powściągnąć się od wybuchu. Zrobiła więcej — postanowiła bowiem jakiś czas patrzeć przez szpary na postępowanie Madzi, a dopiero, gdy okażą się złe skutki, wypowiedzieć jej wszystko po macierzyńsku i dać stosowną naukę.

Pani Korkowiczowa ułożyła nawet treść mowy, z którą przy okazyi miała odezwać się do Madzi. Zaczynałoby się to tak:

„Panno Brzeska!... Przyjęłam cię i traktowałam, jak córkę; pozwoliłam ci uczyć razem z mojemi panienkami dziewczynkę obcą... Ty w zamian, nietylko przewracasz w głowach moim dzieciom jakiemiś emancypacyjnemi zasadami, ale nadto ośmielasz się burzyć zwyczaje mego domu, jeżeli nie jego spokój!...“

Na dowiedzenie zarzutu faktów nie brakło.

Raz Linka spostrzegła na podwórzu córkę praczki z tego samego domu. Dziecko było tak bose, w tak podartej koszuli, w tak połatanej sukience, że nieledwie prosiło się na model. Linka zawołała dziewczynkę i, posadziwszy w oranżeryi, zaczęła ją malować w otoczeniu palm, kaktusów i wielu innych roślin egzotycznych.

Studyom tym przypatrywała się Stasia, pani Korkowiczowa, pan Korkowicz, nawet pan Bronisław, który miał niejakie wątpliwości: czy jego siostra w danej chwili maluje kaktus, czy nogę obdartej dziewczynki? Lecz dopiero Madzia zauważyła, że dziecko strasznie kaszle.

— Boże! — zawołała — ależ ona prawie naga... A potem dodała po francusku:

— Jeżeli biedactwo nie będzie leczyć się i nie dostanie odzieży — umrze...

Linka przestała malować, a wylękniona Stasia już miała oczy pełne łez.

Obie siostry uważniej zaczęły oglądać dziewczynkę i rzeczywiście odkryły, że kaszlące dziecko nie ma ani śladu trzewików, że oberwana do połowy koszulka nie zastąpi braku spódniczki, że wreszcie pełna łat sukienka prędzej przypomina sieć pajęczą, aniżeli ubranie...

Od tej chwili panienki przestały ją malować, a zaczęły się opiekować. W tajemnicy przed matką złożyły się na sprowadzenie jej lekarza, kupiły małe trzewiczki i pończochy, a potem płótna i barchanu, z którego same zaczęły szyć ubranie, przy pomocy panny służącej i Madzi.

— Widzicie, jak to dobrze, że u pani Latter uczyłyście się krawiecczyzny — przypomniała im Madzia.

Kiedy pani Korkowiczowa zobaczyła Linkę z wielkim trudem szyjącą barchan na maszynie, myślała (według jej własnych słów), że — padnie trupem. Madzi w pokoju nie było, więc zacna dama ograniczyła się na przeprowadzeniu śledztwa i wziąwszy fatalny barchan, z zaciętemi ustami pobiegła do pokoju męża, a za nią Linka, która dosyć stanowczo prosiła matkę o nie mieszanie się do jej interesów.

— Czyś widział, Piotrze?... — zawołała pani,

rzucając barchan na biurko męża. — Czy słyszałeś coś podobnego?...

Poczem na wyścigi z Linką zaczęły opowiadać historyę obdartej dziewczynki, jej kaszlu i pomocy, jaką udzieliły jej panny. Przyczem Linka kładła nacisk na nędzę dziecka, a pani Korkowiczowa na jego brudy, możliwą zaraźliwość kaszlu i emancypacyjne zachcianki Madzi.

Wyrozumiawszy, o co chodzi, pan Korkowicz pogłaskał bujną brodę i odezwał się tonem spokojnym, który bardzo zaniepokoił jego małżonkę:

— Czy to dziecko nie było brudne, kiedyś je malowała?

— Jak smoluch, papusiu! — odparła Linka.

— A nie kaszlało?

— O, kaszlało daleko gorzej, niż teraz...

— Idź Linko — rzekł ojciec, wciąż tonem szkaradnie spokojnym — idź i ucałuj ręce pannie Magdalenie, za to, że was zachęciła do uczciwego postępku...

— Ależ Piotrze... tak być nie może!... — zawołała pani. — Ja nie pozwolę...

— Toniu — odpowiedział mąż, gdy Linka wyszła. — Toniu, nie bądź waryatką!... Przecież ja dopiero dziś widzę, że moje córki mają serce... Bóg nam zesłał tę pannę Brzeską...

— Wiem, wiem... — mówiła pani. — Wszystko ci się podoba, co robi panna Brzeska... I gdybym dziś zeszła do grobu...

— Miejże rozum Toniu. Jeżeli chwalisz Solską, że dała ci tysiąc rubli na szpital, nie gań własnych dzieci, kiedy sprawią odzież sierocie...

— Ale one same szyją... ..

— Księżniczki angielskie także szyją odzienie dla ubogich dzieci — odparł mąż.

— Czy to tylko pewne?... — mimowoli zapytała pani, czując, że gniew jej szybko ucieka.

W godzinę później pochwaliła córki za ich zajęcie się dziewczynką i nawet podziękowała Madzi. W duszy jednak postanowiła przy pierwszej okazyi wytknąć jej te emancypacyjne nowatorstwa, które zasiewają niezgodę wśród najczcigodniejszych rodzin.

Najważniejszy jednak w domowych stosunkach wypadek trafił się mniej więcej w sześć tygodni po przyjeździe Madzi.

Było to przy obiedzie. W czasie krótkiej pauzy, oddzielającej befsztyk od kurcząt z mizeryą, Linka z gniewem odezwała się do lokaja:

— Zabierz sobie ten talerz...

— Czysty, proszę panienki — odparł Jan, stawiając napowrót talerz, który obejrzał.

— Bałwanie... bierz, kiedy mówię!... — zawołała Linka, niezwykle rozdrażniona z powodu kłótni ze Stasią o to: czy pan Zacieralski jest większy od Lessera, czy tylko równy jemu?

— Kiedy panienka mówi, musi tak być — ostro odezwała się pani Korkowiczowa.

Lokaj zabrał talerz, podał inny; potem obniósł kurczęta i mizeryę, wreszcie wyszedł do kuchni.

Wtedy Madzia pochyliła się do Linki i, objąwszy ją ręką za szyję, szepnęła:

— Drugi raz już nie odpowiesz tak Janowi... prawda?...

Niewinne te słowa wywołały piorunujący efekt

przy stole. Stasia podniosła brwi wyżej niż zwykle; pan Bronisław wyjął z ust widelec, którym wykłuwał zęby; pan Korkowicz zrobił się fjoletowy i tak pochylił twarz, że powalał brodę w resztkach mizeryi. Linka zaś, kilka razy prędko odetchnąwszy, rozpłakała się i wybiegła z jadalnego pokoju.

— A wracaj na leguminę, bo będzie krem! — zawołał pan Bronisław, tonem szczerego współczucia.

— Bardzo dobrze... — mruknął ojciec.

Pani Korkowiczowa w pierwszej chwili osłupiała. Ponieważ jednak była osobą niezwykle bystrego umysłu, szybko więc zorjentowawszy się w sytuacyi, rzekła uroczystym głosem do Stasi:

— W domach arystokratycznych panienki z wyszukaną grzecznością odzywają się do służby.

Pan Korkowicz klapnął się w gruby kark, jak gdyby mądre skądinąd zdanie żony, nie wydawało mu się wypowiedzianem w porę.

Pani także, pod pozorami wielkiej pewności siebie, ukrywała zmięszanie. Czuła, że od tej chwili stosunek dzieci do służby zmieni się w domu i to wcale nie na skutek jej morałów, ale — łagodnego odezwania się Madzi. Przypominała też sobie z goryczą, że Jan chętniej usługuje Madzi, weselej z nią rozmawia, a przy obiedzie manewruje półmiskiem w taki sposób, ażeby guwernantce podsuwać jak najlepsze kawałki, których zresztą ona nie brała, wyszukując najgorszych.

„Widzę, że to Bismark dziewczyna!... — myślała pani, odkładając podwójną porcyę kremu dla nieobecnej Linki. — Swoją drogą, Bóg wie od ilu lat proszę Piotrusia, ażeby nie wymyślał służbie... Bar-

dzo też dawno zbierałam się powiedzieć dziewczętom, ażeby były grzeczne w obejściu z ludźmi niższego stanowiska... No, i ta... uprzedziła mnie!... Porachujemy się kiedyś, panienko... porachujemy...“

Po obiedzie pani Korkowiczowa dosyć chłodno podziękowała guwernantce za towarzystwo i kazała Stasi zanieść Lince krem. Za to pan, mówiąc Madzi: dziękuję... trochę zadługo trzymał jej rękę i dziwnie patrzył jej w oczy. To też gdy Madzia odeszła, zirytowana pani odezwała się do męża:

— Myślałam, że... pocałujesz pannę Brzeską...

Pan kiwnął głową.

— Wiesz — odparł — rzeczywiście chciałem ją pocałować w rękę...

— W takich razach ja tatkę mogę wyręczać... — wtrącił pan Bronisław, odwracając się do okna.

— Żebyś ty mnie, mój kochany, wyręczał w kantorze — odparł ojciec.

— Musisz jednak przyznać, mój drogi, że Bronek od kilku tygodni zmienił się na awantaż... — zabrała głos pani. — Prawie że nie wychodzi z domu i już nie wiem od jak dawna regularnie siada z nami do obiadu, kolacyi...

— Pewnie znowu chce odemnie wykpić kilkaset rubli... Znam ja go!... Cholera mnie bije, kiedy patrzę na jego łajdactwa; ale skóra na mnie cierpnie, kiedy zaczyna się poprawiać...

— Mylisz się — rzekła matka. — Bronek nic złego nie zrobił, tylko uległ moim perswazyom. Wytłómaczyłam mu, że niewłaściwie postępuje, włócząc się po nieodpowiednich towarzystwach, że wpędza rodziców do grobu i — on mnie zrozumiał...

— Eh! — mruknął ojciec — zawsze ci się coś zdaje... Z dziewczętami nie umiesz sobie dać rady, a myślisz, że taki birbant usłucha twoich perswazyi.

— Więc któż im daje radę?... kto kieruje ich edukacyą?... — zawołała pani, rumieniąc się, jak żelazo rozpalone do wiśniowej czerwoności.

Ale pan Korkowicz, zamiast odpowiedzieć małżonce, zwrócił się do syna:

— Słuchaj-no!... bo mnie doprowadzisz do kija i torby, wałkoniu... Albo weź mi się do roboty tutaj, ażeby Świtek mógł jechać do korkowskiego browaru, albo sam ruszaj do Korkowa... Ja, na dwie fabryki o trzydzieści mil odległe nie rozedrę się... Kiedy jestem w Warszawie, tam się coś psuje; kiedy jestem w Korkowie, tu niema dozoru... A ty wałęsasz się po restauracyach...

— Powiedziałam ci, że ciągle siedzi w domu — wtrąciła matka.

— Mnie nie o to chodzi, ażeby on wysypiał się w domu — ryknął ojciec — ale, żeby choć parę razy dziennie zajrzał do fabryki i sprawdził: co robią?...

— Przecież zastępował cię kilka dni.

— Tak!... i połowy obstalunków nie wypełnili na czas... Bodaj to najjaś...

Nagle pan Korkowicz uderzył się ręką w usta i niedokończył przekleństwa. Natomiast dodał spokojniej:

— Bądź tu łagodny... nie wymyślaj... kiedy wszyscy począwszy od rodzonego syna, wbijają ci noże w wątrobę...

— Widzę, że i na ciebie wpłynęła lekcya panny Brzeskiej?... — syknęła pani Korkowiczowa.

— Nie... to twoje morały!... — odparł ojciec i wyszedł z pokoju.

Przez cały ten czas pan Bronisław stał pod oknem i bębnił palcami w szybę, odwracając się niekiedy, albo wzruszając ramionami.

Pani Korkowiczowa załamała ręce i, tragicznie patrząc na syna, rzekła:

— Cóż ty na to?...

— A... no... że ładna, to ładna, nie ma co gadać — odparł rozwinięty młodzieniec.

— Kto?... co tobie się śni?...

— Magdzia ładna i dobrze tresuje dziewczęta, tylko... ma za dużo fochów. Solscy i Solscy!... a mama jeszcze jej podbija bębenka tymi Solskimi... Tymczasem cóż Solscy?... Ja się boję Solskich, czy co?... — mówił z flegmatyczną gestykulacyą pan Bronisław.

Potem ucałował skamieniałą matkę w obie ręce i wyszedł mrucząc:

— Cóż to, stary myśli, że ja mu będę piwo rozwoził?...

— Boże!... — jęknęła pani, chwytając się za głowę.—Boże! co się tu dzieje?... na co ja zeszłam?...

Była tak zirytowana, że nawet, znalazłszy się w swoim gabinecie, na biegunowym fotelu, nie mogła odrazu zasnąć po obiedzie.

„Z dziewczętami robi, co jej się podoba, a one tylko płaczą... — myślała pani. — Psuje służbę... do domu naprowadza dzieci rozmaitej hołoty... Sam Bronek, zachwyca się, że ładna (co oni widzą w niej ładnego?...), a ten stary niedźwiedź, nie dość, że mnie zaprzecza wpływu na dom, ale jeszcze chce ją w rę-

kę całować... Nie, ja muszę z tem zrobić jakiś koniec!...“

Po chłodniejszej jednak rozwadze, zarzuty przeciw Madzi poczęły rozwiewać się w umyśle pani Korkowiczowej. Przecież Zosię do nauki ona sama przyjęła, ona, pani Korkowiczowa; a zrobiła to dla zawiązania ścisłych stosunków z Solskimi. Obdartą dziewczynkę ona w rezultacie pozwoliła ubierać swoim córkom; i nie stało się nic złego, gdyż o ich pięknym czynie mówią dziś w całej kamienicy. Nareszcie — dobrze wychowane panienki (a nawet mąż!...) nie powinny wymyślać służbie... Bo cóżby to był za cios dla jej macierzyńskiego serca, gdyby kiedy Linka przy Solskich, albo w innem dystyngowanem towarzystwie, nazwała lokaja bałwanem?... Choć spal się ze wstydu!...

Lecz im zupełniej rozgrzeszał Madzię umysł pani Korkowiczowej, tem silniejszy żal w jej sercu budził się do nauczycielki. Jakie to okropne położenie: czuć do kogoś niechęć i nie mieć przeciw niemu ani jednego zarzutu!

„Cóż jej powiem?...—myślała dama z goryczą.— Kiedy i ona, i dziewczęta, i mąż i nawet Bronek odpowiedzą, że: panna Magdalena robi to, czego ja sobie życzę...“

Niechęci także nie wypada okazywać. Bo nuż guwernantka obrazi się i opuści jej dom? Coby na to powiedziały córki, Bronek, mąż — a nadewszystko: jakby wyglądała upragniona znajomość z Solskimi?

„Dziwna ta panna Solska... — rzekła do siebie pani Korkowiczowa.—Przyjaźnić się z guwernantką!...“

Szanowna dama uczuła się bezsilną w obec Madzi, całkiem bezsilną. Nietylko nie mogła jej wyrządzić żadnej przykrości, ale nawet nie mogła jej powiedzieć nic przykrego. Owszem, musiała hamować się, uśmiechać, wbrew woli zmuszać się do serdeczności w obec swojej własnej guwernatki, ona, pani domu, mająca mieszkanie złożone z kilkunastu pokojów i kilkanaście tysięcy rubli rocznie!...

Ale pani Korkowiczowa postanowiła wszystko to przenieść i wycierpieć, gdyż miała wielki rozum i wielkie plany, jeżeli nie dla siebie, to dla swoich dzieci. Pani Korkowiczowa musiała wejść w stosunki z Solskimi i arystokracyą, a dla takiego celu można było tolerować Madzię.

Tylko w jej sercu coraz żywiej kipiało jakieś gorzkie uczucie. Nie żadna niechęć, uchowaj Boże, bo któżby znowu miał niechęć do młodej i tak ustosunkowanej dziewczyny? Był to raczej żal, cichy, głęboki żal, że we własnym domu, własne dzieci, mąż, nawet służba, lubią i szanują jakąś inną kobietę, obok pani Korkowiczowej, a nawet na równi z nią!

„Pod właściwym kierunkiem możeby z tego co wyrosło — myślała pani. — Ale strasznie zarozumiała dziewczyna... no... i lubi intrygować, a to fatalna wada...“

Na twarzy pulchnej damy zarysował się dobrotliwy uśmiech; fotel zaczął bujać się wolniej... wolniej... Wreszcie stanął.

Niewyczerpana pobłażliwość pani Korkowiczowej nie uwolniła jej jednak od nowych prób.

Los uwziął się na nią i wciąż dolewał goryczy.

IV.

Niepokoje pani Korkowiczowej.

W pierwszych dniach października dom pani Korkowiczowej już stanowczo (według jej własnych słów) był przewrócony do góry nogami. Ona zaś sama czuła się w położeniu rozbitka, który, siedząc na wąskiej skale, widzi dokoła rozhukany ocean, ale nad falami jego — nie panuje. Owszem czeka, kiedy go pochłoną.

Córki jej, ukochane Linka i Stasia, na których edukacyę tyle wydała pieniędzy, niedość, że przestały być opryskliwemi dla służby (w czem zresztą nie było nic złego), ale jeszcze — weszły w zażyłość z panną służącą, kucharką, nawet z rodziną lokaja. Pani Korkowiczowa nieraz zachodziła znienacka obie panienki w garderobie, a przy stole widywała na własne oczy, że Jan uśmiecha się nietylko do panny Brzeskiej, ale nawet do Linki i Stasi.

„Niechby kiedy zrobił taką minę do nich przy kimś z towarzystwa, a musiałabym umrzeć ze wstydu!...“ — myślała pani, czując, że od stóp do głowy przechodzą ją dreszcze.

Ale zgromić Jana za poufałość nie miała odwagi, a raczej — odkładała na później. Nie było też racyi skarżyć się przed mężem, który od owego pamiętnego obiadu nietylko nie „smarował maszyn“ Janowi, ale nawet przestał mu wymyślać przy Madzi i córkach. Nieraz pan Korkowicz bywał zirytowany, tak, że siniał z gniewu i wywijał ogromnemi pię-

ściami; ale potężne ciosy, zamiast na kark Jana, padały na stół, albo na drzwi.

— Ciebie kiedy, Piotrusiu, apopleksya zabije, jeżeli będziesz się tak krępował!... — rzekła pewnego dnia pani, widząc, że jej mąż, zamiast trzasnąć w ucho Jana, który przy kolacyi oblał go sosem, uderzył pięścią w udo samego siebie.

— Dajże mi spokój!... — wybuchnął pan. — Od czasu, kiedy wyjeżdżasz do Karlsbadu, nazywałaś mnie ordynarnym; a dziś, kiedym wyelegancił, chcesz, żebym się znowu nie krępował... Przewracają ci się projekta w głowie, jak w zacierowej kadzi...

— Za to z żoną nie robisz sobie subjekcyi — westchnęła pani.

Mąż uniósł się na krześle, ale mimowoli spojrzawszy na Madzię, usiadł, aż podłoga skrzypnęła i, milcząc, oparł głowę na rękach.

„Co to znaczy?... — pomyślała przerażona dama. — Ależ ta guwernantka naprawdę opanowała mego męża!...“

Pani Korkowiczowej zrobiło się tak źle, że wstała od stołu i wyszła do swego gabinetu. A gdy córki i nauczycielka wybiegły za nią, rzekła do Madzi lodowatym głosem:

— Niech się pani mną przynajmniej nie zajmuje... Nic mi nie jest...

Zmieszana Madzia cofnęła się, a pani Korkowiczowa zawołała z gniewem do córek:

— Idźcie sobie, idźcie... do waszej nauczycielki!...

— Co mamie jest?... Cóżeśmy winne?... — pytały z płaczem obie dziewczynki, widząc nadzwyczajną irytacyę matki.

Jak wszyscy ludzie gwałtowni, pani Korkowiczowa prędko ochłonęła i usiadłszy na swym fotelu, rzekła już spokojniej:

— Linka, Stasia...—patrzcie mi prosto w oczy!...— Wy już nie kochacie mamy... wy chciałybyście mamę wpędzić do grobu...

Dziewczęta rozszlochały się.

— Co mama mówi?... A kogóż my kochamy?...

— Pannę Brzeską... Ona teraz wszystko znaczy w domu, ja nic...

— Pannę Brzeską kochamy, jak przyjaciółkę, a mamę, jak mamę... — odparła Linka.

— Chciałybyście, ażebym do grobu wstąpiła, a tatko ożenił się z guwernantką!...

Pomimo łez, obficie twarz im zalewających, obie dziewczęta zaczęły śmiać się jak szalone.

— A toby dopiero była para... Cha... cha... cha!... Cóżby na to Bronek powiedział?... — wołała Linka, chwytając się za boki.

— Błaźnice jakieś, nie śmiejcie się ze słów mamy, bo słowa mamy święte... Co za Bronek?... jaki Bronek?

— Przecież Bronek kocha się w pannie Magdalenie i tak się do niej umizga, że wczoraj aż płakała, biedactwo... Cha!... cha!... cha!... Tatko i panna Magdalena!... — śmiała się Linka.

Wiadomość o zalotach Bronka do reszty uspokoiła panią Korkowiczową. Przyciągnąwszy obie córki do siebie, rzekła:

— Co gadacie o jakichś umizgach Bronka?... Panny dobrze wychowane nie powinny o tem nic wiedzieć... Stasia, Linka... patrzcie mi prosto w oczy...

Przysięgnijcie, że lepiej kochacie mamę, aniżeli pannę Brzeską...

— Ależ, jak mamę kocham, tak sto razy lepiej! — zawołała Linka.

— Sama panna Magdalena ciągle powtarza nam, że powinnyśmy mamę i tatkę kochać nad wszystko w świecie... — dodała Stasia.

W ruchliwem sercu pani Korkowiczowej obudził się cień życzliwości dla Madzi.

— Idźcie kończyć kolacyę — rzekła do córek, dodając w duchu:

„Może i niezłe dziecko z tej Magdaleny, ale cóż to za despotyczny charakter... zaraz wszystkich chciałaby zawojować... No, ma takie stosunki!... Żeby już raz ci Solscy przyjechali... Co one znowu plotą o Bronku?... Umizga się do Brzeskiej?... Pierwszy raz słyszę coś podobnego!...“

Po chwili jednak pani Korkowiczowa przypomniała sobie, że jednak — może i nie pierwszy raz słyszy o czemś podobnem. Ciągłe przesiadywanie pana Bronisława w domu było niewątpliwie skutkiem jej macierzyńskich upomnień; ale — obok upomnień, mogła oddziaływać na syna i obecność pięknej guwernantki.

— Młody, niema się czemu dziwić!...—westchnęła i przyszło jej na myśl, jak pewnego wieczoru, znalazłszy się przypadkiem we framudze korytarza, usłyszała następną rozmowę między synem a guwernantką:

„Panie Bronisławie, proszę, niech mi pan nie zastępuje drogi“ — mówiła zirytowana Madzia.

„Bo ja chciałbym panią przekonać, że jestem

bardzo życzliwy“ — odparł błagalnym tonem pan Bronisław.

„Da mi pan najlepszy dowód życzliwości, nie rozmawiając ze mną nigdy, kiedy jestem sama...“

„Proszę pani, przy ludziach...“ — zaczął pan Bronisław, ale nie mógł dokończyć, gdyż Madzi już nie było.

— Drażni się z nim! — szepnęła, myśląc o tej rozmowie, pani Korkowiczowa, a następnie dodała w duchu:

„Chłopak młody, bogaty, no... i przystojny... Bronek jest wcale niczego na mężczyznę i pannie muszą jego umizgi pochlebiać... Naturalnie powie o nim Solskiej, Solska zwróci uwagę i, przez kobiecą zazdrość, sama zacznie wabić Bronka do siebie... Boże, jak wszystko doskonale się układa!... A nie mogę zaprzeczyć, że Magdalena dużo mi ułatwia...“

Przyszła tedy na panią Korkowiczową epoka czułości dla guwernantki i niezawodnie od tej pory byłoby znowu Madzi jak w niebie, gdyby jej emancypacyjne zachcianki nie napoiły duszy chlebodawczyni nową goryczą.

Od pewnego czasu Linka i Stasia coraz więcej zaniedbywały talentów. Linka rzadziej malowała, potulna Stasia zaczęła kłócić się z nauczycielem muzyki, nawet opowiadać, że pan Stukalski łysieje; obie zaś skracały lekcye: jedna muzyki, druga malarstwa.

Rozumie się, że zatrwożona matka przeprowadziła śledztwo i odkryła rzecz straszną, niepojętą!... Panienki, czas przeznaczony na edukacyę estetyczną, obracały na uczenie Michasia, ośmioletniego syna lokaja. Stasia uczyła go czytać, a Linka pisać!...

Tego już było za wiele i pani Korkowiczowa postanowiła rozmówić się z nauczycielką.

„Panno Brzeska — miała jej powiedzieć — dom mój nie jest ochroną, a moje córki nie są ochroniarkami...“

W tym celu zadzwoniła raz, po chwili drugi raz, gdyż Jan ociągał się. Wreszcie stanął we drzwiach.

— Dla czego Jan zaraz nie przychodzi, kiedy dzwonię? — rzekła pani, nastrajając się na ton surowy. — Poproś tu pannę Brzeską...

— Właśnie przyszedł jakiś pan do panny Magdaleny i czeka w sali — odparł lokaj, podając bilet.

— Kazimierz Norski... — przeczytała pani. — Aha, daj znać pannie Magdalenie...

Zerwała się i ze swego gabinetu szybko przeszła do sali. Gniew ją opuścił, a natomiast opanowało silne wzruszenie.

„Norski!... — myślała. — Tak, miał przyjechać w początkach października... Może już są i Solscy...“

Nogi pod nią drżały, gdy otworzyła drzwi salonu, ale osłupiała na widok młodego człowieka, który, ujrzawszy ją, ukłonił się bardzo elegancko.

„Co za rysy... oczy... brwi!... — pomyślała pani, a głośno rzekła:

— Mam zaszczyt powitać pana Norskiego?... Jestem... u nas właśnie bawi panna Brzeska... a ja jestem wielbicielką świętej pamięci mamy pańskiej... Boże, co za okropny wypadek!... Nie powinnam o nim wspominać, ale moje córki były ukochanemi pensyonarkami świętej pamięci mamy, którą tu wszyscy opłakujemy...

Tak mówiła pani Korkowiczowa, kłaniając się

i wskazując Norskiemu złocone krzesełko, na którem usiadł bez żadnej ceremonji...

„Prześliczny!...—myślała pani, a ponieważ młody człowiek milczał i spoglądał na drzwi, odezwała się znowu:

— Jakże świętej pamięci mama... To jest...

— Właśnie jeździłem na jej grób, gdzie chcemy postawić pomnik...

— Powinni państwo zwrócić się do całego społeczeństwa... — prędko przerwała mu pani. — A w takim razie ja i mój mąż, cały wreszcie nasz dom...

W tej chwili Norski podniósł się ze złoconego krzesełka, patrząc gdzieś po nad głowę uprzejmej gospodyni. Pani Korkowiczowa odwróciła się i zobaczyła za sobą bladziutką Madzię, która oparła się ręką o stół.

— Właśnie panna Brzeska... — znowu zaczęła gospodyni.

Ale Norski, nie czekając na rekomendacyę, zbliżył się do Madzi i wziąwszy ją za rękę, rzekł pięknym, aksamitnym głosem:

— Wiemy, że matka nasza z panią przepędziła ostatnie godziny... Chciałem podziękować i, jeżeli kiedy będzie można, z ust pani usłyszeć szczegóły...

Madzia patrzyła na cieniutkie, białe sznureczki, przyszyte do klap surduta pana Kazimierza i oczy zaszły jej łzami. Nagle zdało jej się, że przez mglistą zasłonę widzi kościół w Iksinowie, ławki pełne znajomych, proboszcza przed ołtarzem i siebie idącą do komunii... W jednej chwili łzy jej obeschły i cofnęła rękę.

— Wszystko opowiem kiedy obojgu państwu —

rzekła, nie patrząc na pana Kazimierza.—Czy i Helenka wróciła?...

— Przyjedzie z Solskimi za tydzień... dziesięć dni... — odparł Norski, nie mogąc oprzeć się zdziwieniu. — Ale jeżeli i ich przywita pani w podobny sposób...

— Obraziłam pana?... — zapytała wylękniona Madzia.

— Czy ja śmiałbym się na panią obrazić... — odparł ożywionym głosem, i wziął ją znowu za rękę. — Ale niechże nas pani osądzi... — dodał, zwracając się do pani Korkowiczowej.—Panna Magdalena, Ada Solska, moja siostra i ja, byliśmy w domu nieboszczki matki jedną rodziną... Matka moja, jadąc na śmierć, przekazała pannie Magdalenie błogosławieństwo dla nas... I dziś, kiedy wracam po pożegnanie mojej matki, ta niedobra, jej druga córka, przyjmuje mnie jak obcego... Niechże pani sama powie, czy godzi się tak...

Madzia spuściła głowę, już nie mogąc powstrzymać łez.

— Jaka pani szczęśliwa!... — rzekł Norski. — Mnie już łzy wyschły...

Przerwał i zmarszczył piękne brwi, spostrzegłszy o parę kroków pana Bronisława, który cicho wszedł do salonu i od kilku chwil przypatrywał się to Norskiemu, to Madzi.

— Może mnie mama zapozna z tym panem — odezwał się pan Bronisław. — Jestem młody Korkowicz, czyli korkociąg, jak mnie nazywają dawni pańscy przyjaciele...

— Panowie się nie znają?... — rzekła zakłopotana gospodyni. — Mój syn... pan Norski...

— Właściwie to znamy się, a przynajmniej ja znam pana z opowiadań... Dużo się nieraz mówi o pańskich figlach u Stępka.... — przerwał matce pan Bronisław, wyciągając ogromną rękę do Norskiego.

Obaj młodzi ludzie uścisnęli się: pan Kazimierz z lekceważeniem, pan Bronisław z niezwykłą energią. Można było jednak poznać, że nie czują do siebie sympatyi.

Norski posiedział jeszcze kilka minut, nieco chmurny, krótko odpowiadając na pytania pani Korkowiczowej o Solskich, a pana Bronisława o to, co słychać za granicą. Wreszcie wstał, pożegnał się i obiecał częściej, jeżeli państwo, pozwolą, odwiedzać Madzię.

— Tyle mamy z sobą do mówienia panno Magdaleno o mojej matce, że musi mi pani kiedy poświęcić godzinkę sam na sam, jak to kiedyś bywało... — rzekł pan Kazimierz na odchodne.

Gdy zamknęły się za nim drzwi przedpokoju, zmieszana i zamyślona nieco Madzia odezwała się do pani Korkowiczowej:

— Jan mówił mi, że pani chciała się ze mną widzieć?...

— Tak... Chiałam ci podziękować, droga panno Magdaleno, że moje panienki zajęły się Michasiem... Piękna to zaleta miłosierdzie!... — żywo odpowiedziała pani Korkowiczowa, kilkakrotnie ucałowawszy Madzię.

W obec bliskiego przyjazdu Solskich i zażyłości, jaka łączyła guwernantkę z Adą Solską, tudzież

z Helenką, przyszłą panią Solską, gniew pani Korkowiczowej rozpłynął się. Niech już Madzia robi w jej domu, co chce, niech córki ubierają i uczą wszystkie dzieci z ulicy, byle na dobre zawiązać stosunki z Solskimi...

„Bronek nawet nie przeczuwa swego szczęścia!..“ — myślała pani, promieniejąc radością.

— Ale... ale!... — zawołała do odchodzącej Madzi. — Niechże pani przy sposobności oświadczy panu Norskiemu, ażeby był łaskaw odwiedzać nas jaknajczęściej... Dom nasz otwarty dla niego zawsze... Boże! zapomniałam prosić go na obiad... Niech pani, panno Magdaleno, z całą delikatnością zaproponuje mu, ażeby u nas stale jadał obiady... A nawet, jeżeli nie ma jeszcze urządzonego mieszkania, niech bez ceremonji sprowadzi się do nas... do przyjazdu państwa Solskich, nawet i dłużej... Zrobi mi pani to, kochana panno Magdaleno?... Całe życie będę ci wdzięczną, bo... wspomnienie nieboszczki Latterowej...

— Proszę pani, nawet nie wiem, czy mi wypada mówić o tem z panem Norskim — odparła zakłopotana Madzia.

— Pani nie wypada?... — zdziwiła się dystyngowana dama. — Przecież w domu nieboszczki — on, Solscy i pani tworzyliście jedną rodzinę...

— Pan Kazimierz tak sobie powiedział... — rzekła smutnie Madzia. — Ja u jego matki byłam tylko damą klasową, niczem więcej.

— A wysadzany brylantami zegarek od panny Solskiej?... — badała zaniepokojna pani.

— Ada Solska lubiła mnie trochę, ale i na tem

koniec. Cóż innego może łączyć ubogą, jak ja, dziewczynę z majętną panną?... Ada jest bardzo dobra dla wszystkich.

Po wyjściu Madzi, pani Korkowiczowa zwróciła się do syna, który ogryzał paznokcie i, stuknąwszy się palcem w czoło, rzekła:

— Oho... ho!... Czyś ty uważał jak ona się wykręca od pośredniczenia między nami i Norskim?... Coś w tem jest, nie uważałeś, Bronek?

— Dobrze robi!... — mruknął syn. — Po co ściągać do domu takiego drania.

— Bronek!... — krzyknęła pani, uderzając pięścią w stół — do grobu wpędzisz matkę, jeżeli będziesz wyrażał się, jak cham... jak twój ojciec... Norski potrzebny mi do zawiązania stosunków z Solskimi... Rozumiesz?

Pan Bronisław machnął ręką i odparł, ziewając:

— A już mama dobiera sobie pośredników... to Zgierski, to Norski!... Solscy także muszą być dranie, kiedy się wdają z podobnymi facetami.

Silny rumieniec wystąpił na twarz pani.

— Słuchaj-no — rzekła — jak mi jeszcze powiesz co złego o panu Zgierskim, to cię wyklnę!... Człowiek mądry, mający stosunki, nasz przyjaciel...

— Przyjaciel, bo wtrynił staremu, dyabli wiedzą po co, trzy tysiące rubli na dwanaście od sta... Śmiech powiedzieć, żeby Korkowicz pożyczał na 12 procent...

— Bo to jest delikatny prezent... Musimy przecie wywdzięczać się w jakiś sposób za jego serce dla nas... nawet dla ciebie... — odpowiedziała matka.

Przez kilka dni Norski nie pokazywał się w do-

mu państwa Korkowiczów. Natomiast Madzia była raz z wizytą u Dębickiego i wróciła wzruszona.

Przypatrzywszy się jej oczom, noszącym ślady łez, pani Korkowiczowa zapytała niby obojętnie:

— A pan Norski był u profesora Dębickiego?...

— Właśnie... — odparła Madzia, mocno rumieniąc się. — Mówiliśmy o jego matce...! Powiedział mi też, że z Ameryki przyjeżdża tu jego ojczym ze swoją rodziną...

— Co za ojczym?...

— Drugi mąż pani Latter. Służył w wojsku Stanów Zjednoczonych, a obecnie jest przemysłowcem, czy sprzedaje machiny...

Wielomóstwo Madzi nie podobało się pani Korkowiczowej.

„Ta koteczka coś ukrywa!... — myślała pani. — Czy ona aby nie intryguje przeciw nam? Panna Brzeska przeciw nam i to jeszcze w domu Dębickiego, którego siostrzenicę przygarnęła do nauki... O, niewdzięczności ludzka!..."

Za wiele rozumu miała pani Korkowiczowa, ażeby Madzię bez dowodów posądzać o intrygi. Dla zabezpieczenia się jednak i z tej strony, postanowiła, wydać duży raut i posłała męża z wizytą, tudzież zaprosinami do Norskiego.

Gdy pan Korkowicz wrócił, sapiąc i szybko rozbierając się ze świątecznego odzienia, pani zapytała z niepokojem:

— Cóż Norski, przyjdzie?...

— Dlaczegoby nie miał przyjść?... Każdy przyjdzie tam, gdzie mu dobrze jeść dadzą.

— Ej... Piotruś!... Ty coś uprzedzasz się do

Norskiego... A taki piękny człowiek... i lada dzień zostanie szwagrem Solskiego.

— Ale musi być łobuzina!... — stęknął pan, z trudnością zdejmując ciasny kamasz za pomocą chłopca do butów w formie jelonka.

— Co z tobą gadać — rzekła pani. — Uczciwy jesteś człowiek, ale dyplomatą nie będziesz...

— Phi!... zesłał mi Bóg takiego Metternicha w spódnicy, że na dwa browary wystarczy...

V.

Raut z bohaterem.

W najbliższą sobotę, jaka przypadła w drugiej połowie października, zajaśniały salony państwa Korkowiczów; na schodach położono dywany i ustawiono kwiaty, przedpokój zapełnił się służbą na czele której stał Jan, wygolony, w granatowym fraku, czerwonej kamizelce i żółtych spodniach.

— Czysta małpa z wyspy szczęśliwości!... — mruknął, patrząc na niego, pan Korkowicz.

— Mój drogi, tylko nie powiedz tak głośno, bo ludzie poznają, że masz zły gust i gminne wysłowienie — odrzekła pani.

Około jedenastej wieczorem zebrało się ze sześćdziesiąt osób. Większość stanowiły zamożne rodziny mieszczańskie: piwowarów, kupców, jubilerów, powoźników. Panie, poubierane w brylanty i jedwabie, zasiadły wzdłuż ścian, aby zacząwszy rozmowę o te-

atrze, zakończyć ją kwestyą sług, które co roku są gorsze. Panienki rozbiegły się po kątach, szukając towarzystwa literatów i artystów, w celu dowiedzenia się najświeższych wiadomości o pozytywizmie, teoryi Darwina, ekonomii politycznej, i, budzącej się podówczas, kwestyi kobiecej.

Młodzi fabrykanci i kupcy odrazu wynieśli się na papierosa, ażeby tam kpić z uczonych panien i różnego rodzaju poetów, którzy nie mają całych spodni. Wreszcie ojcowie, ludzie tędzy i poważni aż do szorstkości, źle dopasowani do swoich fraków, potrącający złocone meble, obrzuciwszy posępnym wzrokiem swoje żony i córki, zwolna przeszli do pokojów karcianych.

— Hrabskie przyjęcie! — rzekł fabrykant powozów do dystylatora. — Bekną kilkaset rubli.

— Albo to ich nie stać? — odparł zaczepiony.— Każdy hrabia, kto ma pieniądze. Jakże siadamy?... Ja z tamtym, a pan z nim...

Rozmieścili się; obok, przy innych stołach zasiadły inne grupy i wkrótce — znikli wszyscy w dymie doskonałych cygar. Tylko od czasu do czasu odezwał się kto: pas!... trzy bez atu!... a niechże cię!... kiedy bo pan nie słuchasz licytacyi!...

O wpół do dwunastej we wszystkich salonach i pokojach karcianych zrobił się szmer. Jedni pytali: co się stało?... inni szeptali: już jest!... Mamy i ciocie od niechcenia zwróciły oczy ku drzwiom, nie dla tego, broń Boże, ażeby je ktoś tam interesował, ale — ot tak sobie: córeczki i siostrzenice jedna po drugiej przerywały w najbardziej interusującem miejscu rozmowę o pozytywizmie i Darwinie i — spu-

szczały oczy, co jednak nie przeszkodziło im wszystkiego widzieć. Poeci, literaci, artyści i w ogóle — inteligencya poczuli się osamotnionymi: młodzi fabrykanci w dalszych apartamentach doznali niepokoju i zaczęli gasić papierosy.

W tej chwili pani Korkowiczowa, oderwawszy gwałtem męża od kart, wbiegła z nim do przedpokoju, gdzie właśnie pan Kazimierz Norski zdejmował palto, a pan Zgierski mówił do jednego ze służących:

— Uważasz, kochanku, nasze paltoty miej pod ręką, bo musimy wyjść...

— Jakiż zaszczyt!... jakżeśmy wdzięczni!... — zawołała pani Korkowiczowa i wyciągnęła do Norskiego obie ręce, które natychmiast pochwycił Zgierski, zwracając cały wybuch radości pani domu na własną osobę.

— Co za zaszczyt!... Mężu... Jakże, czy państwo Solscy jeszcze nie przyjechali? — mówiła dama.

— Mają przyjechać w tych dniach — odpowiedział Norski.

Jan w pąsowej kamizelce i żółtych spodniach, szeroko otworzywszy drzwi do salonu, zawołał:

— Jaśnie wielmożny pan Norski...

— Pan Norski!... — powtórzyła pani Korkowiczowa, rozkosznie zawieszona u ramienia młodego człowieka.

— Szwa... to jest przy... — wtrącił nietyle zachwycony, ile oszołomiony pan Korkowicz.

Pani nagle odwróciła głowę i przeszyła męża tak rozpaczliwem spojrzeniem, iż ten zaprzysiągł sobie wiekuiście milczeć.

— Musiałem palnąć jakieś głupstwo? — szepnął mimo to Korkowicz do Zgierskiego.

— Ach!... — oburzył się Zgierski, słodko przymykając oczki.

W sali zrobiło się cicho, później — tu i owdzie zaczęto szeptać:

— Cóż to znowu?...

— Jeszcze nikogo nie prezentowano w taki sposób.

— Myślałby kto, że królewicza sprowadzili...

Lecz wnet szmer umilkł. Norski był tak piękny, że mamy i ciocie, przypatrzywszy mu się, pohamowały wybuch oburzenia, a córki i siostrzenice odrazu były gotowe przebaczyć mu wszystko.

— Piękny jak grzech śmiertelny! — rzekła pełnoletnia emancypantka do ośmnastoletniej turkawki z szafirowemi oczyma.

Turkawka nie odpowiedziała nic, tylko serce jej gwałtownie biło, a nóżki tak drżały, że musiała cofnąć je pod krzesło.

Po odbyciu bardzo szczegółowej prezentacyi i wymianie grzeczności z najpoważniejszemi damami, Norski nagle spojrzał i przeszedł w kierunku fortepianu. Obecnym zdawało się w tej chwili, że fortepian i grupa siedząca obok niego — rzucają blaski.

— Kto tam siedzi?...

— Linka i Stasia Korkowiczówny.

— A z kim on tak żywo rozmawia?...

— Z guwernatką Korkowiczów.

— Kto ona jest?... Jak się nazywa?...

Kilkuminutowa rozmowa Norskiego wystarczyła do zwrócenia powszechnej uwagi na Madzię, której

dotychczas nikt nie spostrzegł. Wnet starsze panie zażądały, aby gospodyni przedstawiła swoją guwernantkę, a młodsze panienki na wyścigi biegły witać się z Linką i Stasią i przy okazyi zaznajomić się z Madzią.

Nawet młodzi fabrykanci ociężałym krokiem poczęli zbliżać się do nauczycielki, albo obserwować ją zdaleka.

— Pi! pi!... — szepnął jeden. — Ależ to ładna dziewka...

— A zgrabna... Jak żywe srebro...

— Ponosiłaby...

— Jak kogo!... — mruknął młody dystylator, mający opinię siłacza. — Co mówisz, Bronek?...

— Eh! daj mi tam spokój... — odparł gniewnie młody Korkowicz.

— To psiakrew!... — westchnął czwarty.

— No, no, no... panowie młodzi... gębę na angielski zatrzask, bo to porządna dziewczyna — wtrącił półgłosem Korkowicz starszy.

— Cóż się znowu tatko tak ujmuje?... — spytał gburowatym tonem pan Bronisław, z pod oka patrząc na twórcę swoich dni.

Korzystając z chwili, okrąglutki jak piłeczka pan Zgierski potoczył się do gospodyni domu i, miłośnie patrząc na nią, rzekł słodkim głosem:

— Wspaniały raut, daję słowo!... A ledwie wyciągnąłem Kazia, który gwałtem zabierał mnie do hrabiego Sowizdrzalskiego...

— Jakto, miałby nie przyjść do nas?... — spytała zdumiona pani.

— No, tego nie mówię... owszem... Tylko nie

dziw, że taki rozpieszczony bywalec rwie się do towarzystwa młodych lekkoduchów... Ma być tam książe Gwizdalski, hrabia Rozdzieralski... brylantowa młodzież — objaśniał Zgierski.

— Ale na kolacyi panowie zostaniecie u nas — rzekła nieco zirytowana gospodyni.

Zgierski podkręcił mocno ufarbowanego wąsika i pobożnie wzniósł oczy do nieba. Gdy zaś pani Korkowiczowa odeszła, zbliżył się do Madzi i tkliwie uścisnąwszy jej rękę, rzekł głosem, w którym drgało uczucie:

— Przypominam się pani... Zgierski. Przyjaciel (tu westchnął) nieboszczki, a (ośmielę się uzurpować sobie ten honor) i — przyjaciel pani...

Madzia szeroko otworzyła oczy, lecz była tak wzruszona ogólnem zajęciem się nią, że, chcąc choć na chwilę odpocząć, wskazała przy sobie krzesło Zgierskiemu.

Zaproszony usiadł natychmiast i pochyliwszy piękną łysinę, w której malowała się niezamącona pogoda duszy, zaczął mówić miłym półgłosem:

— Cieszę się, że panią widzę w tym domu... Od pół roku życzyłem państwu Korkowiczom towarzystwa pani i... z przyjemnością widzę, że projekt mój należy do tych, które się udały. Dawno pani miała wiadomości od panny Heleny?...

— O, bardzo dawno.

— Tak! westchnął Zgierski — nie otrząsnęła się jeszcze biedaczka... Dzieci te, Kazio i Helenka (przy pani zawsze je tak będę nazywał), żywo mnie obchodzą... Dla ustalenia ich przyszłości, muszę

zbliżyć się do Solskich, a pani mi w tem pomoże. Czy tak?...

— Cóż ja mogę?... — szepnęła Madzia.

— Wiele... wszystko!... Jedno słówko, rzucone w porę gdzie należy... jedno napomknięcie mi o czem należy... Panno Magdaleno — mówił wzruszony — dzieci te, dzieci serdecznej przyjaciółki pani, bardzo mnie obchodzą... Oboje musimy zająć się ich przyszłością... Pani pomaga mnie, ja pani... Jesteśmy sprzymierzeńcy... A teraz — działanie i tajemnica...

Wstał z krzesełka i obrzucił Madzię takiem spojrzeniem, jakby w jej ręce złożył przed chwilą przyszłość świata. Potem wymownie uścisnął ją i znikł w tłumie.

Od strony pieca niedźwiedzim krokiem zbliżył się do Madzi pan Bronisław i rzekł:

— Co ten tam pani znowu gitarę zawraca?... Niech mu pani nic nie wierzy...

Z drugiej strony krzesła znalazł się obok Madzi Pan Korkowicz ojciec.

— Cóż to — spytał — za tajemnice opowiada pani Zgierski?... Nie radzę mieć z nim sekretów, bo to stary umizgus...

— A co ojcu do tego, kto się umizga?... — odezwał się pan Bronisław i całkiem krzywo spojrzał na ojca.

Madzia nie spostrzegła ich starcia, myśląc o Zgierskim. Widziała go na pensyi pani Latter, po jej ucieczce i nieszczególne zrobił na niej wrażenie. Coś niezbyt pochlebnego słyszała o nim, zdaje się, że od gospodyni, panny Marty; dziś znowu obaj Korkowicze mówią o nim z przekąsem...

„Widocznie dobry człowiek — myślała — tylko ma nieprzyjaciół. Rozumie się, że zrobię wszystko, co zechce, dla Helenki i pana Kazimierza... Ale co ja mogę!...“

Była rozrzewniona troskliwością Zgierskiego o dzieci pani Latter i dumna, że ją przyjął na powiernicę.

Pani Korkowiczowa mocno zajmowała się gośćmi: każdy obecny usłyszał od niej jakieś zapytanie, albo uprzejme słówko; każdego usiłowała zabawić, albo obsłużyć. Była więc kolosalnie zajęta, lecz mimo to, nie uszło jej uwagi powodzenie Madzi. Przed godziną nieznana, nikomu nieprezentowana, zapomniana gdzieś w kącie guwernantka, stała się nagle środkiem całego rautu. Z nią najdłużej i kilkoma nawrotami rozmawiał bohater wieczoru — pan Norski; ją o coś prosił, czy zwierzał się, człowiek tak ustosunkowany, jak pan Zgierski: dokoła niej, jak rój motyli, krążyły panienki, z nią zapoznawały się damy poważne stanowiskiem i wiekiem; ją z przyzwoitej odległości, piorunowali spojrzeniami młodzi panowie.

Nawet zdaje się, a pani Korkowiczowa rzadko myliła się w podobnych wypadkach, pomiędzy jej własnym mężem i jej rodzonym synem wynikła jakaś sprzeczka — z pewnością o Madzię. To też nie dziw, że, pomimo całej siły woli, na jasnem czole gospodyni domu utworzyła się głęboka zmarszczka, wcale nie godząca się z dobrotliwym uśmiechem ust i blaskiem policzków, oznaczającym zadowolenie.

— Zainteresował się pan naszą nauczycielką... Prawda, że ładna?... — spytała pani Korkowiczowa Zgierskiego, który ciągle starał się być w pobliżu niej.

— O, znam ją oddawna — odparł. — Serdeczna przyjaciółka panny Solskiej...

— Miał pan przy niej minę bardzo skruszoną — rzekła pani.

— Bo też panna... panna... nauczycielka pani wiele może w tych sferach, w których ja zaledwie jestem... dobrym znajomym. Wiele może!... — dodał wysoce znaczącym tonem pan Zgierski.

Serce pani Korkowiczowej przeszyły w tej chwili dwa sztylety: jednym był żal do Madzi, że ciągle odnosi zwycięstwa, drugim — była tkliwość, szczera tkliwość dla Madzi, że tak wiele może w pewnych sferach.

„Jeżeli tak wiele może — pomyślała pani — to już musi zaznajomić nas z Solskimi... Bo wprawdzie panna Solska jest brzydka, ale Bronek ma zbyt wiele rozumu...“

Podano kolacyę, w ciągu której ukazywały się i znikały misy kawioru, sterty ostryg, stosy dzikiej i hodowanej zwierzyny i omal że nie konewki szlachetnych trunków. Korki zaś szampana strzelały tak często, że ogłuszony pan Zgierski zaprzestał nawet słuchać swoich sąsiadek, a tem skuteczniej oddał się badaniu treści półmisków i wnętrza butelek.

Około trzeciej wszyscy panowie znaleźli się w doskonałych usposobieniach, przyczem miało miejsce nadzwyczajne zjawisko psychologiczne. Jedni z biesiadników twierdzili, że pan Norski siedzi przy kolacyi i że go widzą, drudzy — że tenże pan Norski zniknął przed kolacyą. Potem pierwsi zaczęli twierdzić, że Norskiego wcale nie było, a zaś drudzy, iż — jest, ale w innym pokoju. Że zaś zapytany

o rozstrzygnięcie sporu gospodarz, z równem przekonaniem godził się na obie opinje, więc w końcu nie było wiadomo, co jest prawdą: czy, że Norski nigdy nie istniał na świecie, czyli też, że przy kolacyi znajduje się kilku Norskich, którzy naumyślnie tak pokierowali rozmową, ażeby zakłopotać towarzystwo.

I już energiczniejsi panowie półgłosem zaczęli protestować przeciw tak niewłaściwym żartom, gdy— nowy wypadek skierował uwagę biesiadników w inną stronę.

Oto rozmarzony pan Bronisław ucałował pulchne ramię pełnoletniej emancypantki, która bawiła go traktatem o Szopenhauerze, a gdy ten przygotowawczy manewr został mile przyjęty, pan Bronisław oświadczył, że ją namiętnie kocha.

Przytomne dziewczę natychmiast uroniło kilka łez szczęścia, a jej wuj (tęgi przemysłowiec), który znalazł się prawie cudem obok pana Bronisława, zaczął go ściskać i wyznał prawie publicznie, że nie życzy sobie lepszej partyi dla siostrzenicy.

Wówczas zdarzył się fakt niezwykły. Młody Korkowicz zerwał się z krzesła, przetarł oczy, jak człowiek zbudzony ze snu i bez ogródki wyznał tak pannie, jak jej wujowi, że... on omylił się, ponieważ afekta jego skierowane są do innej osoby, której napróżno upatrywał przy stole.

Szczęściem, był to już koniec kolacyi, dzięki czemu, goście mogli wstać od stołu, a następnie — szybko rozjechać się do domów.

W przykrej chwili Opatrzność, do ratowania honoru Korkowiczów powołała Zgierskiego. Roztropny ten człowiek nietylko nie podniósł się od stołu

razem z innymi, ale jeszcze w imię przyzwoitości głośno zaprotestował przeciw opuszczeniu biesiady; co więcej, nietylko nie wyjechał wraz z większością towarzystwa, lecz nawet nie chciał ruszyć się z krzesła. Dopiero ktoś ze służby, znalazłszy jego palto, wsadził go w dorożkę i odwiózł do mieszkania.

Kiedy owionęło go świeże powietrze, pan Zgierski nagle zapomniał o przygodzie młodego Korkowicza, ale przypomniał sobie rozmowę z Madzią.

„Miła... miła dziewczyna — myślał — muszę się i nią zająć... A nadewszystko muszę sam trafić przez nią do Solskich, bo mi Korkowiczowa urwie głowę, jak ich nie zapoznam...“

Natychmiast po wyjeździe gości pani Korkowiczowa zajęła się odbieraniem srebra od służby, a pan Korkowicz na pewien czas zamknął się w swoim gabinecie, sam na sam z wodą sodową i cytryną. O czem rozmyślał, nie wiadomo, dość, że o piątej rano wezwał do siebie żonę i syna.

Pan Bronisław przedstawiał żałosny obraz, zdolny wzruszyć najmniej czułe serce macierzyńskie: miał twarz bladą i nalaną, bardzo mętne spojrzenie i rozczochrane włosy. Na jego widok pani Korkowiczowa z trudnością mogła wstrzymać się od łez: ale za to ojciec, całkiem przytomny, bynajmniej nie wyglądał na rozczulonego.

Spostrzegłszy na biurku życiodawcy wodę sodową, pan Bronisław niepewną dłonią ujął szklankę i zbliżył ją do syfona. Ale ojciec wyrwał mu szklankę i krzyknął:

— Ręce przy sobie! Nie po to cię zawołałem, ażebyś mi wypijał wodę...

— Piotrusiu — błagalnie odezwała się matka— spojrzyj, jak on wygląda...

— Niech go dyabli wezmą — odburknął starszy pan. — A ja, jak będę wyglądał przez niego?... Coś ty, słuchaj, zrobił pannie Katarzynie?... Jak śmiałeś pocałować ją w ramię, czy gdzie tam?...

— Ma też ojciec o co wyrabiać takie krzyki— odparł apatycznie pan Bronisław. — Pomieszało mi się w głowie i tyle... Myślałem, że to Magdzia...

— Hę?...—zapytał ojciec, podnosząc się z fotelu.

— No, myślał, że to guwernantka... — szybko wtrąciła pani Korkowiczowa.

— Guwernantka?... — powtórzył pan, nadstawiając ucho.

— Przecież Bronek ma tyle taktu, że na trzeźwo nie zrobiłby nic podobnego pannie z towarzystwa — mówiła matka, mrugając na młodego człowieka. — Jutro ją i jej wuja przeprosi i będzie po wszystkiem. Sama wreszcie panna Katarzyna powiedziała mi, żegnając się, że uważa to za żart.

— Niema o czem gadać!... — odezwał się pan Bronisław. — Ja przecie zaraz z miejsca powiedziałem jej wujowi, żem się omylił... Ja przecie nie pannę Katarzynę...

— Nie pannę Katarzynę chciałeś pocałować w żywe mięso, tylko kogo?... — badał dalej ojciec.

— No, Magdzię... Niema o czem gadać!... — odparł pan Bronisław, zasłaniając ręką usta, w celu ziewnięcia.

W tej chwili ojcu zsiniała twarz i tak uderzył pięścią w biurko, że syfon podskoczył, a szklanka spadła na dywan.

— A łajdaku!... — krzyknął Korkowicz. — A farmazońskie nasienie!... To ty myślisz, że ja w moim domu pozwolę kompromitować uczciwą dziewczynę?...

— Ale czego się irytujesz, Piotrusiu?... Przecież nic się nie stało guwernantce — reflektowała pani.

— Bo tatko o nią zazdrosny — mruknął pan Bronisław.

— O kogo?... co ty mówisz?... — zapytał zdumiony ojciec.

— A o Magdzię. Stawia się do niej tatko, jak cietrzew... Ile razy widziałem.

— Widzisz Piotrusiu! — wtrąciła pani. — Sam dajesz chłopcu zły przykład, a potem gniewasz się...

— Ja?... zły przykład?...— powtarzał Korkowicz, chwytając się za głowę.

— Uśmiechasz się do niej... nadskakujesz... poufale rozmawiasz... — mówiła pani z ożywieniem.

— A ja przecie młodszy od tatki i mnie to prędzej uchodzi — dodał syn.

W tej chwili ojciec schwycił go za klapy fraka i prawie przyniósł do lampy.

— Toś ty taki?... — rzekł spokojnym głosem, patrząc mu w oczy. — Ja z uczciwą dziewczyną postępuje jak człowiek uczciwy, a ty, błaźnie, śmiesz mówić, że stają, jak cietrzew?...

— Piotrusiu!... Piotrusiu!...— odezwała się przerażona pani: usiłując drżącemi rękoma uwolnić syna z ojcowskich objęć. — Piotrusiu... przecie to był żart...

— E!... — mówił stary wciąż spokojnym głosem — widzę już za wiele żartów w moim domu.

Tobie uchodzą umizgi, boś ty młodszy?... Prawda, Umizgajże się do dziewczyny, ale... zaraz mi się oświadcz o nią...

— Piotruś!... — krzyknęła pani. — Tego za wiele...

— Nie chcesz, ażeby się twój synek żenił z doktorówną?

— Do grobu mnie wpędzisz!... — odparła wstrząsając się pani.

— Aha!... nie podobało się pani małżeństwo... No, to poczekajcie... Bronek... — mówił ojciec tonem stanowczym — jutro wyprowadzisz się z domu do fabryki... jest tam pokój... Zapędzę ja cię, kochanku, do roboty... dam ci dobry przykład... będziesz ty stawał jak cietrzew, ale do kadzi...

— Ależ mężu...

— Nie zawracajcie mi głowy! — krzyknął ojciec. — Tak będzie, jak ja chce i basta... Już chłopca wychowałaś na łajdaka; jeżeli dziewczęta mają takie same zasady, to pójdą... wiesz gdzie?... Muszę ja i do tej fabryki zaglądać, bo ta chyba najgorsza... Jak przywiążesz fartuch do pasa i włożysz trepki na bose nogi, odechce ci się bałamuctw... — dodał, zwracając się do syna.

Pan Bronisław był w tej chwili nierównie bledszy, aniżeli na początku rozmowy; ale spojrzenie miał już całkiem przytomne. Wziął ojca za rękę i, ucałowawszy go w łokieć, wymruczał:

— Przecie, proszę tatki... przecie... ja mogę się oświadczyć Magdzi...

— Ani mi się waż!... — zawołała matka. — Po moim trupie!...

— Naprzód kochanku, weźmiesz się do roboty, a o żeniaczce później...

— Po moim trupie!... do grobu mnie chcecie wpędzić!... — mówiła z uniesieniem pani.

— Dosyć komedyi — przerwał ojciec. — Ja już muszę jechać do browaru, a wy idźcie spać. Bronek!... — dodał na pożegnanie — jeżeli mi kiedy zaczepisz nauczycielkę, to cię tak zbiję, jak dwa lata temu... Pamiętasz?

— Przecie ja się chcę z nią ożenić...

— Wynoś się.

Gdy oboje z matką znaleźli się w korytarzu, pan Bronisław rzekł półgłosem:

— A widzi mama, że stary mi zazdrości!... No, dobranoc...

Wyszedł do sieni. Pani Korkowiczowa stanęła pode drzwiami Madzi i, grożąc pięścią, rzekła:

— Poczekaj, ty emancypantko!... Niech-no ja poznam się z Solskimi, a zapłacę ci za wszystko...

VI.

Solscy przyjeżdżają.

Pierwszego dnia po wspaniałym raucie, ani starszy ani młodszy pan Korkowicz nie zasiedli do stołu. Na drugi dzień pan Korkowicz syn kazał przynieść obiad do swego pokoju, a ojciec wprawdzie był przy stole, lecz nie miał apetytu i zwymyślał Jana lokaja. Dopiero na trzeci dzień pan Bronisław ukazał się w jadalni z miną bardzo obrażoną; star-

szy zaś pan wyglądał na zawstydzonego i nie śmiał synowi spojrzeć w oczy.

Przez te ciężkie dni pani Korkowiczowa narzekała na migrenę, kłóciła się z córkami i ze służbą, hałaśliwie zamykała drzwi, z Madzią zaś rozmawiała krótko, siląc się na uprzejmość i spuszczając oczy.

— Piękne gospodarstwo! — rzekła w owej epoce Linka do Stasi. — Ze wszystkiego widzę, że rodzice musieli wydać bardzo dużo pieniędzy...

— A przytem Bronek coś zmalował — odparła Stasia. — Podobno uszczypnął pannę Katarzynę przy kolacyi...

— A pfe!... a brzydko!... — Zgromiła ją oburzona Madzia. — Jak możecie powtarzać takie głupstwa, których wstydziłaby się nawet służba w kuchni?

— O, proszę pani!... nam to powiedzieli w garderobie... — No, moje drogie, nie róbcie tego więcej...— rzekła Madzia, całując Stasię i Linkę.

W duchu zaś dodała:

„Biedni ci państwo Korkowiczowie! Ponieść tyle kosztów na raut, ażeby sobie kupić migrenę i zmartwienie... Biedni ludzie..."

I cierpliwie czekała na rozejście się złych humorów, jak ludzie wiejscy oczekują minięcia niepogody, robiąc swoje.

Istotnie, cierpliwość jej została wynagrodzona nawet prędzej, aniżeli można było przypuszczać. Pewnego dnia wpadła do sali wykładowej pani Korkowiczowa, bez tchu, ale promieniejąca radością i zawołała:

— Wie pani co?... Przed chwilą był u mnie Zgierski i powiedział, że państwo Solscy przybyli w nocy do Warszawy... Dzisiaj zaś pan Solski ma

wyjechać na parę dni do swego majątku, który graniczy z naszą fabryką...

— Więc są?... — powtórzyła Madzia i ognie ją oblały. — Ach, jak to dobrze...

Pani Korkowiczowa już nie mogła pohamować objawów czułości, które wezbrały jak górski potok po deszczu.

— Kochana panno Magdaleno — rzekła, obejmując Madzię — przebacz mi, jeżeli zrobiłam ci przykrość w ciągu tych paru dni... Ale tak byłam zdenerwowana... tyle miałam przejść z mężem...

Zdziwiona tą tkliwością, Madzia odpowiedziała, że w domu państwa Korkowiczów nie doznała nic przykrego; owszem — pobyt w nim uważa za jedną z najprzyjemniejszych epok w życiu.

Pani powtórzyła uściski, dodając na zakończenie:

— Zapewne panna Solska poprosi panią do siebie, a może kiedy i sama panią odwiedzi. Proszę więc... niech się pani nie krępuje lekcyami... Może pani wychodzić i wracać kiedy pani chce... A zaś dla swoich gości ma pani do dyspozycyi cały nasz salon... Bardzo proszę...

Wieczorem, stary służący Solskich, przyniósł do Madzi list, dodając, że czeka na nią powóz. Pani Korkowiczowa prawie straciła przytomność. Dała służącemu rubla, którego przyjął bardzo obojętnie, chciała go poczęstować szklanką wina, za które podziękował, a nawet — była gotowa odwieść Madzię, do panny Solskiej. Gdy zaś Madzia, prędko ubrawszy się, wybiegła z mieszkania, pani Korkowiczowa zawołała obie swoje córki, Jana i pannę służącą do salonu i kazała im wyglądać przez okna.

— Patrzcie!... — mówiła gorączkowo — powóz panny Solskiej... Szkoda, że ciemno, choć, zdaje mi się, że dosyć stary powóz, prawda Janie?... O, siada!... O, już jadą... Konie nieszczególne...

Po szerokich schodach pałacu Solskich Madzia, w towarzystwie kamerdynera, weszła na piętro. Minęła kilka dużych komnat, zapełnionych meblami w pokrowcach i znalazła się przy zamkniętych drzwiach, do których kamerdyner zapukał.

— Proszę!... proszę!...

W pokoju oświetlonym lampą z abażurem, naprzeciw kominka, na którym płonęło kilka polan, zawinięta w ciepły szal, siedziała na kozetce Ada Solska.

— Jesteś nareszcie włóczęgo! — zawołała Madzia, biegnąc do niej.

— Nie całuj mnie, bo dostaniesz kataru!... A, teraz to już całuj, tylko nie patrz na mnie — mówiła Ada. — Moja ty kochana... moje ty złotko... Okropnie wyglądam... Stefan wczoraj otworzył okno wagonu i zakatarzyłam się na wieki... Słyszysz, jaki mam głos?... sześćdziesięcioletniej baby!... No, usiądź tu... no, jeszcze mnie pocałuj... Tak dawno nikt mnie serdecznie nie całował. Stefan robi to jak za pańszczyznę, a Helena nie lubi pieścić się i ma usta chłodne, jak marmur. No, mówże co do mnie... Jakaś ty śliczna!... Co robisz, co masz zamiar zrobić?... Przecie to już niedługo rok będzie, jakeśmy się nie widziały...

Tak mówiąc, Ada objęła Madzię w pół i okryła ją swoim szalem.

— Cóż ja mogę robić, moja złota? — odparła

Madzia. — Jestem nauczycielką u państwa Korkowiczów, a na przyszły rok założę pensyjkę w Iksinowie.

— Nieznośni muszą być ci Korkowicze?

— Znasz ich?... — spytała zdziwiona Madzia.

— Ach, czy znam!... Od pół roku zasypują nas listami niby w interesach i bezinteresownie, a dziś słyszałam o nich od pana Kazimierza, że to niesmaczne pyszałki.

— Hela przyjechała?

— Została jeszcze na kilka dni w Berlinie i przyjedzie ze swoim ojczymem.

— Moja kochana — rzekła Madzia — tu mówią o Heli i o panu Stefanie, że są zaręczeni?...

Ada wzruszyła ramionami i wzniosła oczy do sufitu.

— Cóż ja ci odpowiem? — odparła. — Niby to byli po słowie, potem zerwali, znowu się zbliżyli, a teraz jest niewiadomo co: podobno przyjaźń między nimi. Może pobiorą się, gdy Helena zdejmie żałobę... Gdyby jednak dziś wyszła za kogo innego, nie zdziwiłabym się.

— Pan Stefan kocha ją?

— Prędzej uparł się, że ona musi wyjść za niego.

— A ona?

— Czy ja wiem?... — mówiła Ada. — Kiedy Stefek umizga się do innych kobiet, Helena nie ukrywa zazdrości; ale kiedy wróci do niej, traktuje go chłodno. Może go i kocha... Stefka można kochać, o można!...

— A ty?

— Ja już nie zachwycam się Heleną, jak da-

wniej... pamiętasz?... Nie chcę rywalizować ze Stefkiem... Ale radabym, ażeby się pobrali i wiesz dla czego?... Byłyby w domu dzieci—rzekła Ada ciszej—piękne dzieci... A ja tak lubię dzieci, nawet brzydkie...

I ucałowawszy Madzię, mówiła dalej:

— Cała nasza rodzina, wszyscy znajomi oburzają się na Stefka za ten projekt. A to panna bez posagu, a to bez nazwiska... a to córka samobójczyni... — dodała cicho. — Ale im oni więcej gniewają się, tem Stefek bardziej kamienieje w uporze...

— Teraz pan Stefan wyjechał?—spytała Madzia.

— Wyjechał do majątku. Wyobraź sobie, że chce stawiać cukrownię!... Bardzom zadowolona z tego projektu, bo Stefan zawsze desperował, że nie ma celu w życiu. Dziś ma cel i mówi: albo uszczęśliwię jakąś gromadę ludzi, albo będę robił pieniądze, które także są coś warte...

— Jak nasz Zdzisław — wtrąciła Madzia.

— Twój brat? — spytała Ada. — Jakże jemu się powodzi?

Madzia machnęła ręką.

— Taki widać los, ażebyśmy nie rozumiały naszych braci! — rzekła. — Zdzisław jest dyrektorem jednej czy kilku fabryk pod Moskwą, gdzie malują perkaliki. A pisał do mnie (prosząc o sekret przed rodzicami,) że powodzi mu się bardzo dobrze, ale że teraz nie powie mi nic więcej... Myśli widać o zrobieniu rodzicom jakiejś niespodzianki, ale ja go nie rozumiem.

Powiedz mi coś o sobie, moja droga — zakończyła Madzia.

— Ach, o mnie!... — odparła z westchnieniem panna Solska. — Napisałam rozprawę o rozmnażaniu się grzybów, a teraz pracuję nad mchami... Poznałam kilku znakomitych botaników, którzy chwalą moje roboty, no... i nic więcej... Muszę mieć jakąś nerwowę chorobę, gdyż, pomimo usilnej pracy, ciągle mi jest smutno, nawet straszno... Zanim przyszłaś, myślałam ciągle, że nasz dom jest stanowczo za obszerny dla mnie i Stefka, a szczególniej dla mnie... Czy ty sobie wyobrażasz, co to za męka mieć jedenaście pokoi, wyłącznie dla takiej małej osóbki, jak ja?... Boję się nawet chodzić po nich... trwoży mnie ich ogrom i odgłos własnych kroków... Dziś, kiedy się zbliżył wieczór, kazałam je oświecić, bo zdjął mnie strach dziecinny, że nasi przodkowie opuściwszy swoje portrety, błąkają się po ciemnych salach. Lecz doznałam przerażenia na widok oświetlonych a pustych apartamentów i — kazałam pogasić światła... Te same uczucia trapiły mnie w ogromnych weneckich, albo rzymskich pałacach... Oto moje życie... W Zurychu było mi stosunkowo najlepiej, gdyż miałam tylko dwa małe pokoiki, jak u pani Latter. Ale te czasy już nie wrócą... Widzisz, jaki mam nieznośny katar?... — zakończyła panna Solska, ocierając oczy chustką.

— Więc i tu przenieś się do małych pokoików — rzekła Madzia.

Ada uśmiechnęła się smutnie.

— Nie wiesz jeszcze — odparła — że samotność rozszerza najmniejsze mieszkanie... Gdziekolwiek pójdę, zawsze będę sobą i zawsze sama.

— Wybierz sobie towarzystwo.

— Jakie?... Czy z tych ludzi, którzy mi pochlebiają, czy z tych, co mi zazdroszczą?...

— Masz przecie własną sferę... familję, znajomych...

— Dajże spokój! — odparła Ada, pogardliwie wzruszając ramionami. — Już wolę moje mchy, aniżeli tych ludzi, z którymi nawet nie jestem w stanie rozmawiać. Nademną, a szczególniej nad Stefkiem ciąży klątwa: mamy arystokratyczne mózgi, a demokratyczne wychowanie, no... i trochę wiedzy... Owoc z drzewa wiadomości wypędza nietylko z raju, ale przedewszystkiem z eleganckiego towarzystwa...

Podano kolacyę i herbatę, przy której obie przyjaciółki zasiedziały się do północy, rozmawiając o pensyonarskich czasach.

Kiedy Madzia wróciła do domu, zastała w swoim pokoju rozgorączkowaną panią Korkowiczową.

— I cóż panna Solska?... — zawołała pulchna dama, pomagając Madzi zdjąć okrywkę.

— Jest trochę chora; ma katar...

— Czy nie wspominała o nas?... Niech pani powie szczerze...

— Owszem — odparła zakłopotana Madzia. — Coś wspomniała o listach państwa...

— Dobra... szlachetna kobieta!... Czy nie za gorąco pani w pokoju, bo kazałam napalić?... Jutro mąż jedzie do swej fabryki na prowincyę, gdzie zapewne zbliży się z panem Solskim.

Madzia do trzeciej rano nie mogła zasnąć. Była wzruszona przyjazdem Ady, a nadewszystko jej smutkiem. Ciągle widziała tę bogatą pannę, zawiniętą w gruby szal i tulącą się do kozetki; tę właścicielkę

jedenastu pokojów, które były straszne pociemku, a jeszcze straszniejsze gdy je oświetlono.

„Czy to możliwe — myślała — ażeby taka Ada nie była szczęśliwą?... Ma ogromny majątek i siedzi samotna; jest dobra... jest najlepsza dziewczyna i nie może znaleść towarzystwa. Chyba, że na świecie niema sprawiedliwości, tylko jakiś traf, który jednym daje dobroć, a innym zadowolenie?...“

Przebiegł ją dreszcz. Jej przecie mówiono, że cnota otrzymuje nagrodę i ona w to wierzyła. A jednak pani Latter i biedny Cynadrowski zostali ukarani śmiercią, podczas gdy bardzo wielu złych ludzi cieszy się życiem i powodzeniem.

„Jacyż to są źli ludzie?... — myślała Madzia. — No, podsędkowa... Femcia... Ech, co mi się majaczy!... Femcia nie jest zła dziewczyna... (W każdym razie, nie lepsza od Ady, a przecież nie tak opuszczona i smutna...). Albo Cesia? Daleko lepsza od Femci, a jednak mniej szczęśliwa...“

Potem przypomniała sobie swoją modlitwę w kościele iksinowskim, kiedy jako rekonwalescentka poszła pierwszy raz na nabożeństwo. Była wtedy pewną, że od wakacyi założy pensyjkę; chciała przecie spełnić dobry czyn i — nie udał jej się!

„Może za tę spowiedź?... — rzekła do siebie, rumieniąc się pomimo nocy. — Ale spowiedź była już po nieudaniu się pensyi... Wreszcie Ada nie dla tego jest smutna, ażeby zataiła jaki grzech... (Czy to tylko grzech?...). Ada może wszystko mówić na spowiedzi... Ach, Boże! ja nigdy nie będę miała rozumu...“ — zakończyła, czując, że nareszcie usypia.

Przez kilka następnych dni powóz co wieczór

przyjeżdżał po Madzię i zabierał ją do panny Solskiej, gdzie siedziała do późnej nocy. Pani Korkowiczowa była tem zachwycona, lecz nagle zmienił się jej pogląd.

Pan Korkowicz wrócił ze swej fabryki, ze wsi, zły jak dyabeł. Właśnie trafił na obiad, przywitał rodzinę niedbale, a Madzię obojętnie i siadając do stołu, odezwał się do żony:

— Było mnie też po co wysyłać!...

— Jakto... — spytała pani. — Więc nie dokonałeś twego zamiaru?...

— Dajże mi pokój z zamiarami! — wykrzyknął. — To nie był mój zamiar, tylko twój kaprys... Moje zamiary są: ażeby piwo było dobre i ażeby go jak najwięcej kupowali!... Nie szukanie znajomości z arystokracyą...

— Dość Piotrusiu!... — przerwała mu pani, blednąc. — Zawsze jesteś niezręczny... Gdyby z tobą pojechał Zgierski...

— Zgierski łże... on ich także nie zna... Ten twój Solski to jakiś narwaniec, czy zajęty...

— Proszę cię Piotrusiu — już dosyć... — przerwała pani. — Pan Solski musiał być mocno zajęty...

Pomimo gniewu pan Korkowicz jadł za czterech, ale pani straciła apetyt. Po obiedzie zaś wyszła z mężem do jego gabinetu i odbyła długą konferencyę.

Kiedy wieczorem, o zwykłej godzinie, zajechał powóz po Madzię, Korkowiczowa, zastąpiwszy jej drogę w korytarzu, odezwała się z przekąsem:

— Codzień jeździ pani do Solskich, a oni pani nie rewizytują?...

— Ada jest niezdrowa—odparła zmieszana Madzia. — Zresztą...

— Nie do mnie należy pani robić uwagi — mówiła szanowna dama — ostrzegam jednak, że z tymi panami z arystokracyi trzeba się bardzo rachować. Jeżeli więc panna Solska nie odda pani rewizyty, nie wiem, czy wypada...

— Czyliż ja jestem w moim domu?... — odpowiedziała Madzia i aż drgnęła, pomyślawszy, że pani Korkowiczowa może jej słowa wziąć za obrazę, albo wymówkę.

Ale skutek małej impertynencyi był wprost przeciwny: pani rozczuliła się.

— A, panno Magdaleno — rzekła, biorąc Madzię za rękę — czy godzi się w podobny sposób odpowiadać takiej, jak ja, przyjaciółce?... Nasz dom, to pani dom... jesteś jakby naszą córką... możesz przyjmować w salonie kogo chcesz... możesz nawet zaprosić kiedy na obiad, którego się nie zawstydzimy... Jeżeli zaś zrobiłam uwagę o rewizycie, kochana panno Magdaleno, to tylko dla twego dobra... Ja przecież nie mogę pozwolić, ażeby ktokolwiek lekceważył w moim domu osobę która zasługuje na miłość i szacunek...

Madzia w tej chwili doświadczyła dwóch uczuć: braku wiary w troskliwość pani Korkowiczowej i obawy, że istotnie może być natrętną w obec Ady.

„Pani Korkowiczowa jest o coś rozgniewana na Solskich — myślała — ale ma słuszność... Po co ja się narzucam Adzie, z którą przecie nie będę utrzymywała trwalszych stosunków?... Ja — guwernantka i ona — wielka dama!...“

Kiedy znalazła się w pokoju panny Solskiej, mniej śmiała niż zwykle, Ada, spojrzawszy na nią, rzekła:

— Tobie coś jest?... Wyglądasz, jakby cię spotkało co przykrego... Może z domu?...

— Nic mi nie jest, kochanko — odparła Madzia, spuszczając oczy.

W tej chwili wszedł do pokoju siostry Stefan Solski. Zobaczywszy Madzię, zatrzymał się, a w skośnych oczach błysnęło mu zadowolenie.

— Oczywiście — rzekł — witam pannę Brzeską?... Ale wyznaję, że nie poznałbym pani...

Wziął ją za obie ręce, wpatrywał się w nią, a nozdrza grały mu, jak rumakowi szlachetnej krwi.

— W Rzymie — mówił — malarze oblegaliby panią, ażebyś im pozowała... No, powiedz Ada, czy to nie jest uosobienie dobroci i niewinności?... No, powiedz, czy na tysiąc kobiet, znajdzie się dziś jedna taka twarz?... Gdzie ja oczy podziałem wówczas, kiedym panią widział pierwszy raz... No, sama powiedz, Ada...

Ściskał ręce Madzi, pożerał ją wzrokiem i następował na nią tak, że zawstydzona, cofać się musiała, nie śmiejąc spojrzeć w jego czarne oczy, które rzucały iskry.

— Stefek!... — upomniała siostra, łagodnie odsuwając go od Madzi. — Obrazi się na ciebie... ona prawie cię nie zna...

Solski nagle spoważniał.

— Chyba rozumiesz — rzekł do siostry — że wolałbym rękę stracić, aniżeli obrazić twoją przyjaciółkę... I jeszcze taką!...

Szedł znowu do Madzi, ale Ada znowu go powstrzymała.

— Nie gniewaj się, moja złota — rzekła do Madzi — ale Stefek jest taki żywiec, że... Niech tylko co mu się podoba, zaraz... zaraz wyciąga ręce, jak dziecko... Taki żywy i oryginalny, że nieraz wpędza mnie w kłopot... Wyobraź sobie, na audyencyi u Ojca świętego tak podobała mu się statuetka Matki Boskiej, że nie odpowiadał na pytania...

Brat wyrwał się jej i znowu schwycił rękę Madzi.

— Przysięgam pani — zawołał — że jestem dobry chłopiec i Ada niepotrzebnie otacza mnie siecią konwenansów!... Wyznaję, że dopiero dziś przypatrzyłem się pani... widzę na twarzy pani jakiś dziwny wyraz, który kocham... no i nie rozumiem, dlaczego miałbym ukrywać, żem panią polubił...

Madzia przytuliła zarumienioną twarz na ramieniu Ady.

— Jeżeli pan będzie tak mówił do mnie, nigdy już tu nie przyjadę... — odpowiedziała.

— Tak?... — zawołał. — Więc zostanę niemową, tylko niech pani jak najczęściej odwiedza Adę. Ach, zrobi pani uczynek miłosierny, bo moja biedna siostra jest zupełnie opuszczona... Ja rzuciłem się w wir interesów i bardzo być może, iż będziemy spotykali się ledwo raz na tydzień...

Madzia milczała. Solski zrobił na niej ogromne wrażenie. Czuła w nim dziką siłę, w obec której niema oporu, ale którą on sam, dobrowolnie, spętał szacunkiem dla niej.

Solski posiedział jeszcze z pół godziny. Rozma-

wiali wesoło o Włoszech i Paryżu i Ada zapowiedziała Madzi, że gwałtem weźmie ją kiedy zagranicę, choćby na kilka miesięcy.

— Poznasz inny świat — mówiła.—Inaczej zbudowane miasta, inaczej uprawne pola, inne zwyczaje, nawet inne zasady...

— Inne zasady, aniżeli gdzie?...—spytał Solski.

— Aniżeli u nas — odparła siostra.

— My nie mamy żadnych zasad! — rzekł ze śmiechem.

— Uchybiasz samemu sobie.

— Bynajmniej, tylko znam siebie i moje otoczenie... Sam nie mam zasad, ty ich nie masz...

— A pan Kazimierz? — spytała siostra.

— On najmniej.

— Czy i Dębicki? — dodała zarumieniona.

— Chyba on jeden. Ale to człowiek podobny do kursu jeometryi: wszystko w nim jest prawdą, wszystko uporządkowane i oparte na kilku pewnikach. Lecz cały ten aparat jest siłą martwą, która daje cenne wskazówki, choćby do poruszenia ziemi, lecz sama nie podniesie nawet szpilki.

Zresztą Solski był w wybornym humorze, choć było widać, że krępuje się w obec Madzi. Co chwilę zbliżał się do niej, lecz wnet odstępował; niekiedy chwytał ją za rękę i zaraz puszczał. Zdawało się, że robi mu przyjemność nawet dotknięcie jej sukni; po twarzy przebiegały mu błyskawice, a w skośnych oczkach zapalały się i gasły iskry.

„Okropny człowiek!...“ — pomyślała Madzia, czując, że wywierał na nią jakiś nieokreślony wpływ, któremu niepodobna się oprzeć.

Solski wyszedł, jeszcze odedrzwi spoglądając na przyjaciółkę swej siostry, a wkrótce i Madzia pożegnała Adę.

— Adziu — rzekła nieśmiało — mam do ciebie prośbę... Nie przysyłaj po mnie codzień...

— Boisz się Stefka?... Obraził cię?... — zapytała Ada, patrząc na nią wylęknionemi oczyma. — Ależ ty go nie znasz jeszcze... to najszlachetniejszy człowiek!...

— Jestem pewna, że tak... Wreszcie nie o niego mi chodzi, tylko o... o moją chlebodawczynię, która (chwilami, tak mi się zdaje) zazdrości mi waszej znajomości... Ale ani słowa o tem Ado... Mogę się mylić, nawet z pewnością mylę się... z tem wszystkiem...

— Ach, jacyż to nieprzyjemni ludzie!... — odparła Ada, marszcząc brwi. — Pan Kazimierz tyle mi naopowiadał o ich manierach, że prawie ich nie lubię... Gorsze jest jednak to, że pan Korkowicz robił formalną obławę na Stefka, który wrócił ze wsi zirytowany na niego.

— No, więc sama widzisz, że nie mogę bywać u was tak często — zakończyła Madzia.

Umówiły się, że Madzia odwiedzać będzie Adę, co niedzielę i to przed wieczorem; powóz zaś już nie będzie przyjeżdżał.

— Bo wiesz co?... rzuć ty ich i sprowadź się do mnie — rzekła panna Solska.

— Czy ja mogę to zrobić?... Mam przecie z nimi umowę.

Ucałowały się jeszcze raz, na połowie schodów.

VII.

Słówko jasnowidzącej.

Nadciągnęła jesień. Na niebie, zasłoniętem chmurami, podobnemi do rzadkiego dymu, czasem po kilka dni nie ukazywało się słońce. Bruki ledwie wynurzały się z powodzi błota; ściany domów nabrały brudnej barwy; powietrze nasyciło się wilgotną mgłą, zamieniającą się niekiedy w drobny deszczyk. Przemoknięte wróble, uciekając z nagich drzew, gromadziły się na gzymsach i zaglądały do mieszkań ciemnych i ponurych, jak zwierzęta, układające się do snu zimowego.

Solscy ani razu nie odwiedzili państwa Korkowiczów, a nawet tak gościnnie przyjmowany Norski wcale się nie ukazał. Pan Korkowicz od rana do wieczora siedział w browarze, nawet niekiedy zrywał się w nocy i biegł do fabryki, potrącając czasem w bramie syna, który wracał z kolacyi. Pani Korkowiczowa była zamyślona i pochmurna jak sama jesień, a raz zapytała Zgierskiego, który dość częstym bywał u nich gościem:

— Cóż się dzieje z Solskimi?... Pięknie pan dotrzymuje słowa!...

— Nie rozumiem — odparł, rozkładając ręce. — Robiłem, co mogłem, ażeby zbliżyć państwa... Widocznie jednak są silniejsze wpływy od moich...

— Domyślam się!... — rzekła.

— O, tylko proszę niczego nie domyślać się! —

zaprotestował Zgierski, spoglądając na nią wzrokiem, który pozwalał domyślać się wszystkiego.

„Poczekaj panienko!... — rzekła do siebie pani Korkowiczowa. — Zobaczysz, co to znaczy: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie...“

Pewnego dnia kazała Janowi poprosić Madzię do swego gabinetu.

— Panno Brzeska — zaczęła — chcę pomówić z panią o drażliwej kwestyi...

Madzię oblał mocny rumieniec.

— Nie robię wymówek — prawiła dalej — ponieważ ja sama zaakceptowałam plan jej co do kształcenia moich panienek. Widzę jednak, że obecny system jest zły. Dziewczęta, zamiast grać na fortepianie i malować, co przystoi pannom z towarzystwa, spędzają większą część dnia w garderobie, szyją jakieś łachmany, albo uczą lokajczyka... Co gorsze, na własne uszy słyszałam ich rozmowę o tem, że jedna już nie kocha się w panu Stukalskim, a drugiej obrzydł pan Zacieralski... Okropność!...

— Pani przypuszcza, że to z mojej winy?... — żywo przerwała Madzia.

— Za pozwoleniem... Ja nic nie przypuszczam, tylko zaznaczam brak dozoru. Panienki muszą mieć zbyt wiele czasu, skoro zajmują się podobnemi kwestyami. Dla tego, ażeby nieco więcej zabsorbować w użyteczny sposób ich uwagę, prosiłam o lekcye pannę Howard. Panna Howard ma wykładać im trzy razy na tydzień i właśnie dziś tu przyjdzie...

To powiedziawszy, pani kiwnęła głową na znak, że konferencya skończona.

— Ale... ale!... — dodała. — Obecnie panienki

moje będą tak zajęte, że chyba uwolni je pani od szycia i pracy z Michasiem...

Biedna Madzia już w korytarzu zalała się łzami; znalazłszy się zaś w swoim pokoju, upadła na łóżko i wypłakała się serdecznie.

„Mój Boże!... — myślała łkając oczywiście — nie mogę być nauczycielką... Z czego będę żyła?... co powiedzą rodzice?...“

Tego samego dnia przyszła panna Howard i, po rozmowie z panią Korkowiczową, odwiedziła Madzię.

— Kochana panno Magdaleno — rzekła właściwym sobie tonem, nie dopuszczającym dyskusyi. — Niech pani nie sądzi, że wdzieram się w jej prawa... Dziewczęta mogą z panią powtarzać kursa pensyonarskie; ja im wykładam co innego. Będzie to historya wpływu kobiet na rozwój ludzkości, począwszy od mitycznej Ewy, której zawdzięczamy popęd do naukowych badań, a skończywszy na Alicii Walter, która kierowała armjami Stanów Zjednoczonych w czasie ostatniej wojny...

Nie krytykuję też systemu pani — mówiła dalej. — Piękna to rzecz pielęgnować w dzieciach uczucie litości!... Zwracam jednak uwagę, że już za wiele mamy kobiet litościwych, a za mało samodzielnych... Ja będę kształcić ich samodzielność.

Następnie panna Howard prosiła o przedstawienie sobie Linki i Stasi i — zaczęła wykłady.

W pierwszych dniach obie panienki niechętnie przyjęły nową mistrzynię. Mówiły, że jest brzydka i że musi być zła, ponieważ ma rudawe włosy. Narzekały też, że nic nie rozumieją z historyi wpływu kobiet na rozwój ludzkości. Ale gdy po pewnym

czasie panna Howard zaleciła dziewczynkom naukę konnej jazdy, po dwa razy na tydzień, były zachwycone.

I z tym samym zapałem, z jakim miesiąc temu uczyły Michasia, dziś zajęły się konną jazdą. Ubierały się w amazonki i wysokie kapelusze, zamieniały między sobą szpicrózgi i po całych dniach rozmawiały o nowych znajomych, o tem, jak która z nich trzyma się na koniu, albo jak to będzie pięknie, kiedy na wiosnę urządzą wielki spacer za miasto — wierzchem.

Pan Stukalski, mistrz fortepianu i pan Zacieralski malarz, stanowczo poszli w kąt; ich miejsca w sercu Linki i Stasi zajęli panowie: Galopowicz i Wybuchowski, młodzi i przystojni pomocnicy właściciela tatersalu.

Madzia już nie mogła zadawać im lekcyi; obie panienki uczyły się tylko z nią i tylko przez miłość dla niej. Po skończeniu zaś wykładu, książki i kajety zostawały na stole, a Linka i Stasia biegły do garderoby, ażeby choć na chwilę przebrać się w amazonki.

Położenie Madzi w domu państwa Korkowiczów stawało się coraz trudniejsze. Niekiedy, zrozpaczona, chciała podziękować chlebodawcom swoim za pracę, a potem błagać pannę Malinowską o zajęcie na pensyi, albo o lekcye prywatne. Wnet jednak opamiętywała się.

„Cóż to — myślała — będę zmieniać miejsce co kwartał?... Wszędzie są jakieś przykrości, a obowiązkiem człowieka jest wytrwać. Zresztą moim dziewczynkom znudzi się konna jazda, a wówczas znowu

będę miała z niemi mniej kłopotu... Za dobrze działo mi się w życiu i dlatego tak łatwo tracę odwagę. Wytrwać... wytrwać!...“

Kiedy raz poskarżyła się przed panną Howard, że panienki coraz mniej mają ochoty do nauki i są na swój wiek zanadto śmiałe, panna Howard zdziwiła się.

— Jakto? — rzekła — więc pani nie cieszy, że w dziewczętach rozwija się samodzielność?... Czyliż tylko chłopcy mają rwać się do ćwiczeń fizycznych?... Oni tylko mają posiadać przywilej głośnego mówienia i śmiałych ruchów?... O, panno Magdaleno, już minęły czasy, kiedy obłudne rumieńce i spuszczanie cząt stanowiło wdzięk kobiecy!... Nieustraszoność, umiejętność dawania sobie rady w najgorszem położeniu — oto zalety kobiet nowych...

Pewnego dnia pani Korkowiczowa znowu wezwała do siebie Madzię i rzekła:

— Uważam, że pani coraz dłużej odbywa lekcye z dziewczynkami... Taka praca nie może być korzystną ani dla moich panienek, ani dla samej pani i dla tego oświadczyłam listownie panu Dębickiemu, że jego siostrzenica nie może już uczyć się u nas...

— Wysłała pani ten list?... — zawołała Madzia z przestrachem.

— Tak... I pan Dębicki zgodził się ze mną...

— A... chyba już na to nie zasłużyłam!... — odparła Madzia. — Przecież to dziecko nie przeszkadzało naszym dziewczynkom... I co ja teraz powiem panu Dębickiemu?...

Rozpłakała się, a zaniepokojona pani Korkowiczowa od surowego tonu przeszła nagle do czułości.

— Ależ ja chciałam pani dogodzić, panno Magdaleno... mnie pani żal... — mówiła, dodając w duchu, że jeżeli Madzia ją opuści, to zniknie resztka nadziei zapoznania się z Solskimi. Może ją przecież kiedy odwiedzą...

Raz wieczorem (był to dzień powszedni), przed dom państwa Korkowiczów zajechał znowu powóz Ady, a kamerdyner oddał Madzi list.

„Onegdaj — pisała panna Solska — Helenka wróciła z zagranicy ze swym ojczymem i jego rodziną. Dziś wszyscy są u mnie na herbacie, więc przyjedź, gdyż pragną cię poznać."

Pani Korkowiczowa chętnie zgodziła się na wizytę Madzi, która, z największym niepokojem, ubrawszy się w nową sukienkę, pojechała.

W przedsionku jeden ze służby zatrzymał kamerdynera i coś z nim szeptał. Po chwili wbiegła panna służąca Ady; poznawszy Madzię, cofnęła się, lecz niebawem wróciła, prosząc Madzię do pokoju.

— Tylko niech pani będzie łaskawa wchodzi bardzo cicho i zatrzyma się zdaleka, bo tam jest jedna pani, która wywołuje duchy... — mówiła wzruszona panna służąca.

— Jaka pani?

— Żona tego pana, co jest ojczymem państwa Norskich... Może będzie z kwadrans, jak ta pani dostała spazmów, bo przypadło na nią natchnienie...

Przez uchylone drzwi Madzia ostrożnie weszła do saloniku Ady i, zatrzymawszy się u progu, zobaczyła dziwną scenę. Na środku, za stolikiem, siedziała kobieta może trzydziestoletnia, z osłupiałemi oczyma, z włosami rozwianemi, nakształt lwiej grzy-

wy. Na jej twarzy malował się niezwykły wyraz: mieszanina zdumienia i groźby. Obok niej stał bardzo piękny brunet, który zdawał się pytać jej o coś cichym głosem. Reszta osób z tego towarzystwa, siedząc w różnych punktach saloniku, przypatrywała się natchnionej ze skupioną uwagą.

Brunet powtórzył pytanie, ale kobieta nie odpowiedziała mu. Zwróciła zdumione oczy na Madzię i nagle wyciągnąwszy ku niej rękę, zawołała dźwięcznym głosem, po angielsku:

— Oto oblubienica...

Przymknęła oczy, zmarszczyła brwi, jak człowiek, który z trudnością rozmyśla i dodała tonem zdziwienia.

— Szczególna rzecz... nie widzę oblubieńca?... Choć jest wielki i potężny... O, potężny!...

Głowa jej opadła na poręcz fotelu, na twarzy ukazał się wyraz znużenia.

— Nie chcę.... nie chcę!... — powtórzyła kilka razy, trąc oczy rękoma. Brunet pochylił się i dmuchnął jej w twarz. Upłynęło tak kilka chwil...

— Czy ja spałam? — zapytała śmiejąc się, ale zmienionym głosem.

Kiedy Madzia znowu spojrzała na nią, zdawało jej się, że za stolikiem siedzi inna kobieta: groźne przed chwilą oczy przygasły, twarz natchniona zmieniła się w dobrą, a potem w figlarną. Powstała z fotelu i przeszła na kanapę śmiejąc się i ocierając łzy.

— Ach, dajcie mi już spokój — mówiła po angielsku. — Dawno tak nie zmęczyłam się...

Nastąpiły prezentacye i powitania. Ada zapoznała Madzię z owym pięknym brunetem, którym był

ojczym Norskich, pan Arnold Latter, potem z jego żoną, która jeszcze otrząsała się ze snu. Następnie przybiegł do Madzi Solski i powitał ją z zapałem, potem pan Kazimierz, który wyglądał na zakłopotanego, wreszcie Dębicki, jak zwykle roztargniony i obojętny.

Tylko panna Helena Norska nie powstała ze swego fotelu, a gdy Madzia, uwolniwszy się od otaczających, sama przyszła do niej, panna Helena, zdaleka podając jej rękę, rzekła po polsku tonem delikatnej ironii:

— Moja droga, musisz chyba wyjść za Bismarka, jeżeli twój oblubieniec ma być wielki i potężny, jak mówi wyrocznia.

Madzię stropiło powitanie. Lecz w tej chwili, łamaną polszczyzną, odezwał pan się Arnold do Heleny:

— Nie żartuj... Ta sama wyrocznia przepowiedziała śmierć twojej matki...

— Ale mnie i Kaziowi obiecała, że wszystko stanie się według naszych rozmiarów — odparła Helena ze swobodnym uśmiechem, który nie godził się ani z jej czarną suknią, ani ze słowami ojczyma.

Teraz do Madzi znowu zbliżyła się Ada i wziąwszy ją pod rękę, zaczęła szeptać ze śmiechem:

— No, no!... przyznaj się figlarko, kogo to potężnego zbałamuciłaś?... Jaka szkoda —dodała, wzdychając — że ten twój przyszły musi być wielkim i potężnym!... Gdyby był tylko rozumnym i szlachetnym, myślałabym, że ci Stefek przeznaczony...

— Żartujecie ze mnie!... — odparła zmieszana Madzia, która dopiero w tej chwili zaczęła rozumieć,

że pani Arnoldowa zrobiła jakąś przepowiednię, skutkiem której ona jest bohaterką zebrania. Przynajmniej na krótki czas.

— Chodźmy do profesora — rzekła Ada, widząc, że jej brat rozmawia w kącie z Dębickim.

Cóż pan profesor na tę wróżbę? — spytała, podszedłszy do nich.

Dębicki zwrócił na nią niebieskie oczy i już wsadził rękę za klapę surduta, mając zamiar odpowiedzieć, gdy wyręczył go niecierpliwy Solski:

— Wyobraź sobie, że on nie wierzy w spirytyzm!... Mówi, że to jest albo szarlatanerya, albo specyalny rodzaj obłędu...

— Ależ pan przecie wierzy w świat nadzmysłowy — zawołała Ada. — Owszem, pan nawet określa go za pomocą matematycznych formuł... Jak więc pan może wątpić o spirytyzmie?...

— Ostrzegam panią — odezwał się Solski do Madzi — że moja siostra jest skończoną ateistką. Słuchała Haeckla, to chyba dość!... Ateizm jednak nie przeszkodził jej wstąpić do Częstochowy, kiedyśmy wracali — i — wierzyć w pukające duchy.

— Wątpię bardzo — rzekł po długim namyśle Dębicki — ażeby istoty świata nadzmysłowego mogły, a nawet chciały, porozumiewać się z nami...

— Dla czego?... — spytała Ada.

— Czy pani — mówił Dębicki profesorskim tonem — mogłaby porozumieć się naprzykład... z ostrygami?... Czy uważałaby pani za stosowne tracić czas na tłómaczenie im: co to jest świat, który my widzimy i słyszymy?... Czy nareszcie byłaby choć najsłabsza możność objaśnienia o naszym świecie istot,

które ani wzroku, ani słuchu nie mają?... Nam brak zmysłów do ujęcia świata nadzmysłowego, jak ostrygom słuchu do zachwycania się naszemi operami, a wzroku do ocenienia piękności ziemskich krajobrazów.

Do rozmawiających zbliżył się uśmiechnięty pan Kazimierz Norski.

— Oho! — rzekł — widzę, że profesor wpadł na swój ulubiony temat: jak wygląda Królestwo Niebieskie...

— Pan nie wierzy w to?... — z pewnem wahaniem zapytała Ada, raz spoglądając na Kazimierza, drugi raz na Dębickiego, który przy pięknym młodzieńcu wyglądał jak karykatura człowieka.

— Wierzę w to, co widzę...

— Amerykę widzi pan? — spytał Dębicki.

— Inni ją widzieli i widzą...

— A obrót ziemi na około słońca i osi widzi pan?

— Na tem nie znam się — odparł wesoło pan Kazimierz.

Dębicki z Solskim spojrzeli po sobie.

— Nie mogę oprzeć się przypuszczeniu — mówił Norski do panien — że wszystkie pozaświatowe teorye są obmyślone dla pociechy biedaków, przed którymi świat jest zamknięty. Nadzmysłowość ma wynagrodzić głód, jakiego doznają ich zmysły... Ludzie jednak, dla których przystępne są powaby doczesności, poprostu okradają samych siebie, gdy tracą czas na podobnych spekulacyach... Jest to to samo, jak gdyby ktoś, spragniony, wzdychał do malowanej

brzoskwini, zamiast zjeść świeżą, z puszkiem... Ach, ten puszek!...

— Poeta!... — roześmiał się Solski, spoglądając na Madzię.

— Poeta tych czasów — dodał Dębicki.

— Myśli pan, że przyjdą inne? — spytała Ada.

— One są ciągle... Tylko ciągle stoją za drzwiami tych, którzy lubią jadać brzoskwinie.

Do Madzi zbliżyła się panna Helena i odprowadziwszy ją na bok, usiadła razem z nią na kanapie.

— Cóż to—rzekła, patrząc na swój wachlarz—zaczynasz kokietować Solskiego?...

— Ja?...

— Jest tobą zachwycony... Zwierzał mi się... Jesteśmy przecie przyjaciołmi...

— A powinnabyś już być jego żoną — odparła Madzia tonem tak naturalnym, że panna Helena spojrzała na nią uważnie.

Nagle Madzia przysunąwszy się do niej, zaczęła mówić ciszej:

— Po co ty tak robisz, Helenko?... Po co zwłóczysz i drażnisz człowieka, którego matka twoja bardzo... bardzo pragnęła dla ciebie...

— Czy tak?...

— Wierz mi, że tak... wierz mi... I bardzo ją martwiło, kiedy dowiedziała się o zerwaniu...

Panna Helena rzuciła się na kanapie.

— Ach, wiem coś o tem!... Matka, brat, nawet ojczym zawsze zalecali mi tą świetną partyę... Im się nie dziwię, ale... matka!... Prawie jedyną rzeczą, jaką oddziedziczyłam po niej, jest to — że nie po-

trafię się sprzedać... Kto chce posiadać mnie całą, musi mi oddać siebie całego... Nie chodzi mi o piękność, ale o wzajemne posiadanie... Myślisz, że ja nie wiem: co to jest małżeństwo i jaka w niem rola przypada kobiecie?... Brrr!... Za te wszystkie wstręty niechże coś mam... Jeżeli więc komu zrobię to szczęście, że zostanę matką jego dziecka, niech ten ktoś ocenia przynajmniej co mu daję...

— To chyba nie kochasz Solskiego?... — wtrąciła zdziwiona Madzia. — Żadna jeszcze kobieta nie mówiła w taki sposób o małżeństwie...

— Żadna u was... w kraju gąsek... Ale porozmawiaj z amerykankami, szwedkami... tam dopiero kobieta ceni swoją godność!... One pierwsze zrozumiały, że mężczyzna jest przedewszystkiem — łakome zwierzę... Jeżeli więc mam być jedzona, niech mi zapłacą tyle, ile jest warte moje ciało... Ile zaś warte, już oni sami ocenią między sobą — zakończyła ze śmiechem.

— A więc oblubieńcem pani musi być Bismark — odezwał się nagle pan Kazimierz, podając rękę Madzi.

Pani Arnoldowa sama schwyciła Dębickiego, jej mąż wziął Adę, Solski Helenę i wszyscy przeszli do jadalnego pokoju.

— Założyłbym się, że mówiła pani z panną Magdaleną o kobietach? — rzekł Solski.

— Zgadł pan — odpowiedziała panna Helena.

— A czy wolno wiedzieć — co?...

— Zawsze to samo, że — nie jesteście nas warci.

— Niekiedy zdaje mi się, że pani ma słuszność...

— Wyborne jest to: niekiedy!... — roześmiała się

Helena. — O, musicie wy się zmienić... bardzo zmienić... Wreszcie niech tylko utworzy się związek kobiet...

— Na co to?

— Dla obrony, jeżeli nie praw, to przynajmniej kobiecej godności przeciw wam... — odpowiedziała, opierając się na nim.

Solski ścisnął ją za rękę i rzekł, namiętnie patrząc w oczy:

— Przysięgam, że pani ma w sobie coś ze lwicy... Piękna, a niebezpieczna... Gotowa zranić wśród pieszczot...

— Pieszczot!... cóż znowu?... — odpowiedziała, obrzucając go spojrzeniem. — Nic dziwnego, że z waszych dawnych kotek, powyrastały lwice. W tym wieku wszystko potężnieje.

W czasie kolacyi pani Arnoldowa kilka razy potrącała kwestyę nowej religji — spirytyzmu, który w Ameryce liczy już krocie wyznawców.

— A jaki będzie pożytek z tej nowej wiary? — odezwał się pan Norski, usiłując zachować poważną minę.

— Ileż razy muszę panu to powtarzać!... — zawołała po francusku pani Arnoldowa. — Jestto religja, nieustannie dostarczająca dowodów, że — istnieje świat zagrobowy, w którym szczęście każdej duszy zależy od postępowania jej na ziemi. Tym sposobem hamuje ludzi od złego, a zachęca do cnoty... Dalej, spirytyzm uczy nas, że wszyscy ludzie i wszystkie żywe stworzenia stanowią jedną rodzinę, w której zatem winna panować miłość...

— Na miłość — zgoda!... — wtrącił pan Kazimierz.

— Czy i pani tak myśli?—zapytał Solski Helenę.

— Owszem, byle miłości dowodzono czynami.

— Dalej—mówiła pani Arnoldowa, z rosnącym zapałem—spirytyzm pozwala nam utrzymywać stosunki ze zmarłymi...

— Czy tak?...—spytała Madzia.

— Ach, byle nie to!...—wtrąciła, otrząsając się panna Helena.—Tak dalece brak mi zmysłu do wszelkich rzeczy nadprzyrodzonych, że bałabym się...

— A czy nie ma takich duchów, któreby pokazywały ludziom ukryte skarby?—odezwał się pan Kazimierz.

— Owszem. One już nam powiedziały, że największe skarby człowiek nosi w sobie—odparła pani Arnoldowa.

Dębicki uważnie spojrzał na nią i pokiwał głową.

Kolacya była bardzo ożywiona. Tylko Dębicki, chociaż siedział naprzeciw panny Heleny, był posępny i ciągle patrzył w talerz. Madzia zaś, której sąsiadem był pan Norski, niekiedy mieniła się na twarzy, a nawet czasami robiła wrażenie, że chce wstać od stołu.

Po kolacyi, Solski, odprowadziwszy Dębickiego na stronę, rzekł, śmiejąc się:

— Już widzę, że profesor nie masz nabożeństwa do panny Norskiej.

— Bynajmniej—odparł, wzruszając ramionami.—Nie rozumiem tylko, jak mogłeś, ty szaleć za nią.

— Lubię sport!—odpowiedział Solski.—Kiedy jest burza, coś mnie ciągnie na spacer... Kiedy widzę stromą górę, chciałbym się na nią wdrapać...

— Sądziłbym, że strome góry powinny najmniej zachęcać do wycieczek...

— Ale!... jest jednak coś, że właśnie przedmioty niedostępne i niebezpieczne wywierają na człowieka wpływ magnetyczny...

— Jak na kogo... — wtrącił Dębicki. — Zresztą nie widzę, czem panna Helena może być niebezpieczna?

— Ach, czem!... — odparł Solski. — Egoizmem, ubóstwieniem własnego ja, przed którem cały świat korzyć się powinien... W jej oczach każdy człowiek jest prochem... Satysfakcya posiąść taką kobietę!...

— Czy to warte zachodu?...

— Więc cóż jest warte?... — spytał z ożywieniem Solski. — Pojedynkowałem się i wyniosłem szramy, albo wyrzuty sumienia. Pod Capri rozbiłem się z łódką w czasie burzy, alem nic nie doznał, oprócz zwichnięcia nogi. Lew, do którego klatki wszedłem, rozdarł mi pantalony... Ogniem ziejący Wezuwiusz omało nie oślepił mnie popiołem i nabawił kataru... I to się nazywają wrażenia?... Niech licho porwie!... Tymczasem posiadanie pięknej i samowolnej kobiety, dać mi choć jedną chwilę szału, przyczem notabene nie zmoknę, nie potłukę się i nie zostanę skaleczony... Niechże i ja czegoś zaznam w życiu... Po cóżbym wreszcie miał pieniądze?

— Panowie wciąż mówią o spirytyzmie?...— zapytała Madzia, lękliwie zbliżając się do nich.

— Gorzej — pochwycił Solski, — mówimy o szczęściu. Myślała pani kiedy o tem: co to jest szczęście?

— Szczęście?... — powtórzyła Madzia. — Kiedy wszystkim dokoła jest dobrze, wtedy i człowiek czuje się szczęśliwym.

— Oh, to cudze szczęście!... — rzekł Solski. — Ale jak sobie pani wyobrażała swoje własne szczęście?

— Największe własne szczęście jest wtedy, kiedy człowiek może robić dobrze... Chyba tak?... — spytała Madzia, patrząc zdziwionemi oczyma to na Dębickiego, to na Solskiego.

— Jakto... i pani wystarczyłoby takie szczęście?... — spytał Solski.

— Ach, Boże! — zawołała Madzia. — Przecież nic nie ma lepszego na świecie i nawet człowiek nie potrzebuje nic więcej...

— Owszem — odezwał się flegmatycznie Dębicki — człowiek jeszcze potrzebuje skakać w morze, staczać się ze spadzistych gór, pojedynkować się...

— Co też pan mówi?... — reflektowała go Madzia. — To właśnie są nieszczęścia...

— Nie zrozumiemy się, moja pani — rzekł Dębicki, ściskając ją za rękę. — Pani jesteś osoba normalna i zdrowa, a my — chorzy i zwyrodnieli... Nasze nerwy już tak stępiały, że nietylko nie odczuwamy cudzej radości, ale nawet własnej... Dopiero ból fizyczny przypomina nam, że istniemy...

— No, no!... — wtrącił Solski. — Ani egoizm, ani potrzeba silnych wrażeń, nie dowodzą stępienia nerwów.

— Dowodzą... dowodzą!... — odparł Dębicki. — Doskonałe skrzypce nawet wówczas dźwięczą, gdy obok nich odezwie się jakiś ton... Ale, ażeby zadźwięczał kamień, trzeba go zwalić młotem... Altruizm, to są te doskonałe skrzypce, które każda zdrowa istota nosi we własnem sercu. Zaś te wasze silne wrażenia — to młot... młot, którym trzeba tłuc kamienie.

— Nie wiem o czem panowie mówią... — rzekła zarumieniona Madzia i cofnęła się do towarzystwa pań.

— Cóż ty na to?...—spytał Dębicki, wskazując głową w kierunku Madzi.—Nie lepsze to od stromych skał?...

— Sen... objawienie!...—odparł zamyślony Solski.—Jeżeli... nie dobrze odegrywana komedya—dodał po chwili.—Kobietki, gdy chcą, umieją stroić się w skrzydła i w tęczę. Cała zaś mądrość polega na tem, ażeby udając, że im wierzymy, brać kochane aniołki za to, czem są w rzeczywistości.

— A czemże one są?

— Samicami, słabszemi od samców, których skutkiem tego muszą ciągle wyzyskiwać za pomocą rozmaitych manewrów... Jedne pozują na anioły, inne na demony... w miarę zapotrzebowania.

— A twoja siostra na co pozuje?—spytał Dębicki, z drwinami patrząc na Solskiego.

— Ach!...—wybuchnął—Ada jest święta... To wyjątkowa kobieta...

— Więc bądź ostrożniejszy z teoryami, bo wyjątków może być więcej.

Było już późno; rozmowa w salonie rwała się i goście zaczęli się żegnać.

— Mogę panią odwieźć?... zapytał Madzię pan Kazimierz.

— Dziękuję. Może pan Dębicki zechce się mną zaopiekować—odparła zarumieniona Madzia.

— Widzisz, profesorze, jak ci się opłaca twój optymizm—rzekł Solski.

— Niepocieszająca zapłata!... — wtrącił pan Kazimierz.

— Podziękujże Madziu pani Arnoldowej za dobrą wróżbę — rzekła Ada. — Choć zawsze wolałabym, ażeby ci przeznaczono mniej wielkiego oblubieńca...

Wracając do domu, Madzia zaczęła tłómaczyć się przed Dębickim z usunięcia Zosi przez panią Korkowiczową. Ale ten przerwał jej:

— Posyłałem Zosię do tych państwa jedynie dla pani. Dzisiaj zaś jestem kontent, że tak się stało, bo to... osobliwi ludzie. Zdaje mi się, że i pani niedługo ich pożegna.

Domyślając się, że profesor musiał słyszeć o jej stosunkach z Korkowiczami, Madzia zmieniła temat rozmowy i zapytała go: co sądzi o dzisiejszem zebraniu?

— Cóż?... — odparł, krzywiąc się przy blasku latarni, obok której przejechali. — Przepędziliśmy czas w sposób mniej banalny, niż na zwykłych rautach... A co się tycze ludzi...

Potarł sobie koniec nosa i mówił:

— Oboje Solscy, to prześliczne charaktery (znam ich nie od dzisiaj), ale — brak im celu w życiu... Przydałaby się bieda!... Pan Arnold jest, zdaje się człowiek przyzwoity, a jego żona, trochę sekciarka, trochę histeryczka. Kobiety, zbyt pieszczone i swobodne, łatwo wpadają w kaprysy, a potem w histeryę.

— Nie mówi pan nic o Norskich?... — odezwała się po chwili Madzia cichym głosem.

— Cóż o nich powiedzieć?... — rzekł. — Chyba to, że mają skłonność do używania, obok braku poczucia jakichkolwiek obowiązków... Solskiego brak

obowiązków dręczy i popycha do wymyślania sobie sztucznych celów; ale pan Norski podobnych cierpień chyba nigdy nie dozna.

— Nie lubi ich pan? — spytała Madzia, przypomniawszy sobie dawne zajście Dębickiego z Heleną.

Pokiwał głową i rzekł po namyśle:

— Proszę pani, ja, gdybym nawet chciał, już nikogo nielubić nie potrafię.

— Nie rozumiem...

— Widzi pani, każdy człowiek składa się z dwóch części, jak nas jeszcze uczył katechizm. Jedna, jest bardzo skomplikowanym automatem, nad którym można litować się, pogardzać nim, czasem podziwiać... Druga — jest iskrą bożą, która pali się jaśniej lub słabiej, lecz w każdym człowieku warta więcej, aniżeli cały świat.

Niech pani teraz doda, że obie części są ściśle połączone, że zatem człowiek, jako całość, wywołuje w nas pogardę i najgłębszy szacunek, a zrozumie pani, co z tych uczuć może wyniknąć?

— Nic?... — rzekła Madzia.

— Nie. Sympatya tam, gdzie góruje duch, a obojętność — gdzie przeważa automat. Nienawiści w żadnym razie nie można mieć do człowieka, wiedząc, że prędzej czy później straci on zgangrenowaną powłokę i stanie się bytem nieskończenie szlachetnym.

— Pan także wierzy w duchy?...

— Pukające?... — spytał. — Nie!

Powóz zatrzymał się, a Dębicki pomógł Madzi wysiąść i zadzwonił do bramy.

Ledwie Madzia weszła do swego pokoju, ukazała się pani Korkowiczowa w krótkiej spódnicy,

z włosami w papilotach, w nocnym kaftaniku, który uwydatniał jędrną obfitość jej biustu.

— Już druga godzina!... — rzekła rozdrażnionym tonem. — Ciągle była pani u Solskich?

— Tak.

— Wesoło czas przepędzają wielcy panowie, nie tak jak ludzie pracujący... Czy to pan Solski panią odwiózł?...

— Pan Dębicki.

— Musieliście państwo... Tu zacięła się, a potem dodała: Pan Dębicki musi być niekontent ze mnie!...

Madzia milczała. Ale że na jej, zwykle dobrej, twarzyczce ukazał się cień, więc pani Korkowiczowa powiedziała jej dobranoc.

Kiedy Madzia zgasiła światło, przed oczyma jej zaczął przesuwać się niewyraźny obraz salonu Ady. Widziała znowu lwią grzywę i groźne oczy pani Arnoldowej, a dokoła niej piękne postacie Arnolda i Norskich, tudzież brzydkie twarze Solskich i Dębickiego. I — dziwna rzecz — dopiero w tej chwili, kiedy zatarły się rysy szczegółowe, każde oblicze przedstawiało jakiś charakterystyczny wyraz. Arnold był zajęty swoją żoną, Dębicki głęboko zamyślony, w Solskim coś płonęło i gotowało się. Na twarzy Ady było widać rezygnacyę, Helenę cechował jakby gniew i duma, a pan Kazimierz — nie posiadał żadnego wyrazu, a raczej wesołość, która na Madzi przykre robiła wrażenie.

„Nie rozdmuchana iskra boża!...“ — pomyślała.

Nagle między cieniami ukazał się nowy: pani Korkowiczowej, w nocnym kaftaniku, z włosami w pa-

pilotach, pretensyą w oczach... Wyglądała tak zabawnie, że Madzię ogarnął wstyd za nią i litość.

„Nie rozdmuchana iskra boża!...“ — mówiła sobie, usiłując nie patrzeć na pana Kazimierza, który ze swoim drwiącym uśmiechem, z całą pięknością i wykwintnemi ruchami, wydawał jej się banalniejszym — nawet od pani Korkowiczowej i jej pretensyi.

O przepowiedni jasnowidzącej nie pamiętała, uważając ją za jakieś nieporozumienie.

VIII.

Dola guwernerska.

Przez kilka dni następnych pani Korkowiczowa tłumiła gniew, niekiedy tylko półsłówkami nadmieniając o próżniactwie ludzi bogatych i późnem wracaniu do domu. Madzia jednak udawała, że nic nie spostrzega.

Panią drażniło to jeszcze mocniej. Więc raz, przy obiedzie, wziąwszy sobie potrawę z półmiska, rzekła do służącego:

— Teraz podaj panu...

A gdy Jan, nawykły do innego zwyczaju, zawahał się, pani popchnęła go w stronę męża.

— A panna Brzeska?... — zapytał zdziwiony pan domu.

— Bierz, proszę cię...

Korkowicz wzruszył ramionami, ale wziął. Był

to bowiem sezon, w którym stanowczo tryumfowała jego małżonka.

— Teraz podaj pannie Brzeskiej! — zakomenderowała pani.

Linka patrzyła na matkę, rozżalona Stasia na Madzię, a pan Bronisław, ogromnie zadowolony, pokazał Stasi język. Ale Madzia spokojnie wzięła swój kawałek z półmiska; tylko — nieco pobladła i było widać, że zmusza się do jedzenia.

To samo powtórzyło się przy innych potrawach.

Natychmiast po obiedzie obie dziewczynki pobiegły za Madzią i zaczęła mówić jedna przez drugą:

— Niech pani nic na to nie uważa... Za tydzień mama przeprosi panią, ale teraz przyszedł na nią taki humor, że sam tatko boi się jej... Nawet my... Teraz tylko mama i Bronek trzęsą domem, ale za tydzień...

— A może mama już nie życzy sobie, ażebym was uczyła — rzekła spokojnie Madzia.

W tej chwili Stasia zaczęła płakać, a Linka uklękła przed Madzią.

— Ach, pani!... — znowu mówiły obie. — Jak pani może coś podobnego przypuszczać?... Jabym umarła... Jabym uciekła z domu... Ach, bez pani cały świat na nic... Niech nam pani przyrzeknie, że pani nas nie opuści...

Tak rzewnie płakały, tak ściskały Madzię, że, rozpłakawszy się razem z niemi, obiecała nigdy ich nie opuszczać.

Lekcye z panną Howard odbywały się ciągle, po kilka razy na tydzień; lecz zarówno sentymentalnej Stasi, jak i surowej Lince wydawały się coraz

mniej zrozumiałemi. Panna Howard w żaden sposób ani jednej, ani drugiej uczennicy nie mogła wytłómaczyć: z jakiego naprzykład powodu nieposłuszna Ewa, ciekawa żona Lota, albo krwiożercza Judyta były kobietami wyższemi, a zaś Penelopa — wstrętnym typem niewolnicy?...

Nieraz Stasia mówiła do Linki:

— Ciekawam, za co panna Howard gniewa się na Penelopę? Jeżeli jej mąż nie umarł, tylko wyjechał, to musiała na niego czekać. Zresztą nawet nie daliby jej ślubu z innym.

— Ileż to razy mama czeka na ojca i nikt się temu nie zdziwi! — wtrąciła Linka.

— Wiesz co — rzekła Stasia ciszej — mnie się nawet nie podobają te bohaterki. Bo czy dobrze zrobiła Ewa, gwałtem dobijając się o mądrość, za którą dziś wszyscy pokutujemy?...

— Co ty wierzysz w mądrość Ewy! — odparła Linka. — Cóż to, ona wstąpiła do uniwersytetu, jak panna Solska, czy co?... Ja myślę, i zresztą Bronek mi wspomniał, że z tem jabłkiem było coś innego...

— Albo Judyta — prawiła Stasia. —Ja, powiem ci otwarcie, nigdybym Holofernesowi nie ucięła głowy...

— Mógł się przecie obudzić — dodała Linka.

Z powyższych racyi obie panienki serdecznie nudziły się na lekcyach panny Howard: o dziejowej roli kobiety, począwszy od mitycznej Ewy, która dała ludzkości popęd do badań ścisłych, skończywszy na Alicyi Walter, która dowodziła armią Stanów Zjednoczonych Północnych. Stasi ani Linki nie zajął nawet ten ważny fakt, że historycy mężczyzni tendencyjnie milczą o kierowaniu armią Stanów Zjedno-

czonych przez kobietę i że, według najnowszych doniesień, ową głównodowodzącą nie była Alicia Walter, tylko — Elwira Cook, a może jakaś inna.

Stasia i Linka bez ceremonii ziewały na wykładach, albo pod ławką trącały się nogami; najchętniej zaś rozmawiały z panną Howard o wypadkach bieżących i domowych.

To też nie dziw, że po awanturze obiadowej, gdy przyszła do nich panna Howard z nowym rozdziałem, (dowodzącym, że hetery były najsamodzielniejszemi kobietami Grecyi), Linka i Stasia na wyścigi zaczęły opowiadać o złym humorze mamy, o porządku roznoszenia potraw, a najwięcej o dobroci panny Magdaleny, która jest świętą i aniołkiem.

Panna Howard ze zgrozą wysłuchała opowiadania i — ograniczywszy na niem lekcyę — udała się do pokoju Madzi, mówiąc:

— Czy to prawda, że pani Korkowiczowa każe, wbrew przyzwoitości i zwyczajowi, podawać pani półmisek po swoim mężu?...

— Cóż to szkodzi? — odparła zdziwiona Madzia. — Pan Korkowicz mógłby być moim ojcem...

— Aaa!... więc zapominasz pani o swojej płci i stanowisku...

— Nie rozumiem?...

— W ciągu długiego pasma wieków — mówiła panna Howard z natchnioną miną — obdarta, wyzyskiwana, oszukiwana kobieta wywalczyła sobie w obec mężczyzny to, że, przynajmniej w formach zewnętrznych, uznawał jej wyższość nad sobą i — na ulicy, w salonie, przy stole ustępował jej pierwszeństwa. Mojem więc zdaniem kobieta, zrzekająca się tego

przywileju, dopuszcza się zdrady w obec odnośnej zbiorowości, której cząstkę stanowi...

— Cóż mam robić?... — spytała Madzia, zalana potokiem wymowy.

— Walczyć... Zmusić pana Korkowicza, ażeby uznał swój błąd i zwrócił pani należne miejsce.

— Ależ ja tu mam miejsce płatnej nauczycielki.

Czoło, twarz, nawet szyja panny Howard zalały się krwią.

— Tam większy powód!... — zawołała. — Pani chyba nie rozumiesz wzniosłości stanowiska nauczycielki, które o całe niebo góruje nawet nad stanowiskiem rodziców. Bo my tworzymy umysł dziecka, jego samodzielność, jego ja... podczas gdy rodzice dali mu tylko ciało. No, a chyba nie zawaha się pani w ocenieniu: które z tych zajęć jest trudniejsze...

— Ja nie wiem, proszę pani... — odparła prawie wylękniona Madzia.

Ponieważ w tej chwili panna Howard przypomniała sobie, że i ona nie wie, które z tych zajęć jest trudniejszem? więc — wzruszyła tylko ramionami i, kiwnąwszy Madzi głową, wyszła z jej pokoju.

Upłynęło znowu parę tygodni. Spadł pierwszy śnieg i zamienił się w warstwę błota; potem nadciągnęły przymrozki, upadł drugi śnieg i pobielił dachy i ulice. Ale w sercu pani Korkowiczowej niechęć do Madzi nie ostygła; owszem rozgrzała się, pod wpływem walki z obawą, że — trzeba będzie wyrzec się nadziei zawiązania stosunków z Solskimi i zbliżenia pana Bronisława do panny Ady.

„A, niegodziwa!... — myślała nieraz szanowna dama. — Za moje serce, za prerogatywy, jakie jej

dałam, tak mi się wywdzięcza!... Przecież w jej interesie leży podszepnąć słówko Solskim... Przecież to chyba rozumie, że gdybym zapoznała się z nimi, mogę jej podnieść pensyę; w razie zaś przeciwnym będzie traktowana jak guwernantka... Nie wiem, czy głupia, czy zła!...“

Pewnej niedzieli, gdy Madzia wróciła od Solskich w tak dobrym humorze, że aż śmiały się jej szare oczy, a nawet ciemne filutki nad czołem, pani Korkowiczowa rzekła do niej tonem lodowatym:

— Jutro każę panią przenieść do innego pokoju... Na jakiś czas — dodała, ulękłszy się zerwania stosunków.

— Dlaczego, proszę pani?... — spytała Madzia, nie mogąc jeszcze pozbyć się figlarnego wyrazu w oczach, choć na czole już odmalował się niepokój.

— Bo u pani musi być robactwo...

— Skąd?... pani myli się...

— Może być. W każdym razie chcę dać nowe tapety, a nawet... a nawet każę przebudować piec — dodała łagodniej, spostrzegłszy, że Madzi błysnęły oczy i rozszerza się mały nosek.

— Zresztą — zakończyła pani — to tylko na jakiś czas... Nie mogę przecież pozwolić, ażeby mi pani zmarzła...

Ostatnie wyrazy były powiedziane tak macierzyńskim tonem, że w Madzi już zatlony gniew zgasł, a została tylko troska, czy jej ton i fizyognomia nie zrobiły przykrości pani Korkowiczowej. Madzia tak nie chciała nikomu robić przykrości, tak wolała raczej sama cierpieć, dla oszczędzenia innych, że cały wieczór rady sobie dać nie mogła. Była gotowa prze-

prosić panią, a nawet przyznać, że w jej pokoju jest zły piec i brzydkie tapety.

Na drugi dzień przeniesiono rzeczy Madzi do nowego mieszkania. Był to pokój mały i ciemny, nietylko z powodu szarych tapet, jakiemi go wyklejono, ale jeszcze dlatego, że okno wychodziło na szczytową ścianę sąsiedniej kamienicy, odległej o parę kroków. Żelazne łóżko, lakierowany stolik, dwa gięte krzesełka, a zamiast umywalni — miednica na żelaznym trójnogu, takie było umeblowanie. Garderobiana lepiej mieszkała w domu pani Korkowiczowej.

Madzi łzy zakręciły się w oczach.

„Chcą mnie się pozbyć — myślała — ale dla czego robią w taki sposób?... Czyliż nie zasługuję nawet na to, ażeby mi wprost powiedziano, że jestem zbyteczna?...“

Była zdecydowana pójść do pani Korkowiczowej i prosić, ażeby natychmiast uwolniła ją od obowiązków.

„Mam przecież — mówiła sobie — sto kilkadziesiąt rubli z domu i od majora, a to mi nawet na pół roku wystarczy... Przeprowadzę się choćby do panny Howard, a lekcye znajdę. Panna Malinowska i poczciwy Dębicki nie opuszczą mnie...“

Właśnie w tej chwili wbiegły do ciemnego pokoiku Linka i Stasia, obie zapłakane. Obie rzuciły się Madzi na szyję, obie oświadczyły, że zaczynają tracić serce do matki i obie zaklinały Madzię na jej rodziców, na Boga i miłość dla nich (dla Linki i Stasi), ażeby się nie obrażała.

— Tatko zaczęła szeptać Linka — okropnie rozgniewał się na mamę za te przenosiny... Ale mama

tłómaczy się, że tamten pokój trzeba odnowić i że tutaj zabawi pani tylko parę dni... Więc tatko trochę się uspokoił, ale powiedział, że wyjechałby z domu, gdyby mama nie oddała pani tamtego pokoju — odświeżonego...

I znowu obie zaczęły błagać Madzię, ażeby się nie gniewała, ponieważ mama musi być w tych czasach chora na wątrobę i dla tego ciągle jest w złym humorze.

Cóż było robić? Madzia znowu przyrzekła dziewczynkom, że ich nigdy nie opuści, a w duchu zaczęła nawet robić sobie wymówki:

„Cóż to za pretensye budzą się we mnie?... Pokój nie jest taki zły, owszem, ma nawet coś przyjemnego... A gdyby mi przyszło siedzieć na poddaszu, albo w suterynie?... O ileż lepszy i piękniejszy jest ten pokój, aniżeli mieszkanie nauczycielowej w Iksinowie; albo tego stolarza u którego chciałam zamówić ławki, albo choćby biednej Stelli w brudnej izbie zajezdnego domu... Wcale ładny pokoik!...“

Na drugi dzień, w czasie wykładu: o roli kobiety w dziejach, począwszy od mitycznej Ewy, aż do tajemniczej nieznajomej, która dowodziła armią Stanów Zjednoczonych, Linka i Stasia opowiedziały pannie Howard o przenosinach do ciemnego pokoju i nowym dowodzie, że panna Brzeska jest aniołem i świętą. Ponieważ Madzi w pokoiku nie było, więc panna Howard kazała go sobie pokazać, a obejrzawszy miejscowość, wyszła, mrucząc przez zęby:

— Ludzkości nie potrzeba aniołów, tylko kobiet samodzielnych i ceniących swoją godność.

Tego samego wieczora do Madzi i do pani

Korkowiczowej przyniósł posłaniec listy od panny Howard. Oba były dziwnie treściwe. Apostołka emancypacyi oświadczyła Madzi, że nie może nadal utrzymywać przyjaznych stosunków z osobą, nie szanującą kobiecej godności; pani Korkowiczowej, zaś napisała, że nie myśli dłużej wykładać w domu, który nie rozumie wysokiego stanowiska nauczycielki i lekceważy kobietę pracującą.

Pani Korkowiczowa odczytała nadesłany jej list raz i drugi. Nagle, uderzywszy się w czoło, krzyknęła:

— Ona mnie chce do grobu wpędzić, ta waryatka!...

Do późnej nocy trwały spazmy, wyrzekania na pannę Howard, tudzież śledztwo: kto jej mógł powiedzieć o nowym pokoiku Madzi?... Nazajutrz zaś pani Korkowiczowa ze łzami oświadczyła Madzi, że nie miała zamiaru jej uchybiać i że jak najrychlej przeniesie ją do dawnego mieszkania, byle Madzia swoim wpływem pojednała ją z panną Howard, najznakomitszą nauczycielką w Warszawie.

W odpowiedzi na to Madzia pokazała pani Korkowiczowej list, otrzymany przez siebie od panny Howard.

Pani Korkowiczowa, przeczytawszy, osłupiała.

— Ależ ona panią buntuje!.. — zawołała. — Ona jest gorsza... — chciałam powiedzieć: gorętsza emancypantka nawet od pani...

A w godzinę później rzekła do męża:

— Niedługo już garderobiane i kucharki zamiast sprzątać i gotować, będą rozprawiały o godności kobiecej... Boże, cóż za okropna epidemja z tą

emancypacyą!... Jeżeli mojej guwernantce nie dam salonów, to zaraz druga guwernantka zrobi mi impertynencyę...

— No, do panny Magdaleny nie możesz mieć pretensyi... Cichutka... — odezwał się pan domu.

— Twoja panna Magdalena jest gorsza od Howardówny! — wybuchnęła pani. — To dziewczyna podstępna... propagatorka, która naszym panienkom kazała uczyć lokajczuka i obszywać bębny z ulicy.

— Więc rozstań się z nią.

— Aha, jeszcze czego?... — odparła pani. — Przecież może się nareszcie domyśli, że gdyby ułatwiła nam znajomość z Solskimi, nie brakłoby jej ptasiego mleka...

— A jak się nie domyśli, albo oni nie zechcą zapoznać się z nami?...

— To pójdzie precz!... — rzekła pani rozdrażnionym tonem. — Zresztą — dodała, zamyśliwszy się — darmo u nas nie je chleba. A kiedy przytrę jej rogów, może być wcale niezłą guwernantką.

Pan rozpaczliwie schylił głowę i rozłożył ręce. Interesa fabryk tak go pochłaniały, że już nie miał siły do walczenia z żoną.

— Róbcie, co wam się podoba!... — szepnął.

Tymczasem panna Howard opowiadała znajomym i nieznajomym o arogancyi pani Korkowiczowej i o braku kobiecej godności w pannie Brzeskiej. Wieści te, zataczając coraz szersze okręgi, dosięgnęły z jednej strony aż na pensyą panny Malinowskiej, z drugiej — aż do ucha panny Solskiej.

IX.

Nareszcie — złożyli wizytę.

Raz... (było to po Bożem Narodzeniu) około jedenastej z rana, służący Jan wezwał pannę Brzeską i panienki do salonu.

Poszły. Madzia, chwilę zatrzymawszy się we drzwiach, spostrzegła w lustrze dwie zakonnice, w granatowych sukniach i białych kapeluszach, jak wielkie motyle. Był to widok tak niezwykły w salonie, że Madzia prawie przestraszyła się.

— Moje córki... panna Brzeska, przyjaciółka panny Solskiej — rzekła pani Korkowiczowa do zakonnic.

Nastąpiły ukłony; panienki ucałowały ręce obu zakonnicom; Madzia usiadła przy młodszej z nich i, w lustrze naprzeciw kanapy, znowu zobaczyła ich odbicie i — znowu drgnęła sama nie wiedząc dla czego?

— Dobrodziejki — rzekła pani Korkowiczowa uroczyście — jadąc do naszego szpitala w Korkowie, były łaskawe odwiedzić nas...

— Ażeby podziękować państwu za ich pobożną intencyę i hojne dary na szpital — wtrąciła starsza zakonnica. — Bardzo przydał się on tam, bo panuje tyfus w okolicy...

— Doprawdy, aż mi wstyd... — mówiła pani Korkowiczowa. — Ale kiedy już siostry są z takiem uznaniem dla fundatorów, to — daleko większy honor należy się pannie Solskiej, która, na moją listowną

prośbę, odpowiedziała bardzo grzecznie i ofiarowała dla szpitala tysiąc rubli... Szlachetna kobieta!... Byłabym prawdziwie szczęśliwą, gdyby dobrodziejki ją przedewszystkiem odwiedziły, nadmieniając, że nigdy nie zapomnę tego pięknego czynu, jaki za mojem pośrednictwem...

Madzia spojrzała na bok i, w trzecim lustrze, znowu zobaczyła kapelusze zakonnic. Zakonnice na kanapie, zakonnice z frontu, zakonnice z prawej i z lewej strony... Już widać ich nie cztery pary, ale dwa nieskończone szeregi, odbijające się w lustrach bocznych!... Madzię zaczęły w końcu drażnić te białe kapelusze i złożone na piersiach ręce.

— Pani dawno w klasztorze? — spytała młodszej.

— Siódmy rok.

— Ale pani może opuścić zakon, kiedy zechce?

— Nie myślę o tem.

— Więc tak do końca życia?...

Zakonnica łagodnie uśmiechnęła się.

— Paniom światowym — mówiła — klasztor wydaje się więzieniem... Ale my jesteśmy szczęśliwemi, że już za życia dopłynęłyśmy do portu...

Do rozmowy wmieszała się starsza zakonnica i rzekła, patrząc na Madzię:

— Znałam kiedyś, u wizytek, matkę Felicisimę, która na świecie nosiła nazwisko Brzeskiej, choć ziemskiego jej imienia nie pamiętam. Czy pani nie była spokrewniona z jej rodziną...

Madzię prawie przeraziło to pytanie.

— To była ciotka mego ojca... Wiktorya Brzeska... — odparła zdławionym głosem.

— Naturalnie, pani nie mogła jej znać, bo już

od dwudziestu lat nie żyje — mówiła zakonnica. — Była to osoba niezwykłej pobożności, tak zatopiona w modlitwie i praktykach ascetycznych, że nieraz musiano jej zakazywać...

Pani Korkowiczowa znowu skierowała rozmowę na szpital i szlachetność Ady Solskiej. Przy pożegnaniu, starsza zakonnica, ucałowawszy Madzię, rzekła do niej:

— Ja mieszkam stale w Warszawie. Jeżeli mnie kiedy zechcesz odwiedzić, kochane dziecko, będę ci wdzięczna. Babka twoja zrobiła mi wiele dobrego, bardzo ją kochałam.

Po odejściu zakonnic Madzię ogarnął strach i smutek. Dzieckiem będąc, słyszała opowiadania o obłóczynach babki Wiktoryi, które porównywano do pogrzebu. Później, kilka razy stykała się z zakonnicami, zawsze w jakichś przykrych warunkach: przy łóżku chorego, albo przy trumnie.

Dziś odżyły wszystkie żałosne wspomnienia, a nadto ciągle zdawało się jej, że z prawej i lewej strony, widzi nieskończone szeregi zakonnic.

„Cóż to za okropne życie!... — myślała. — Siedzieć w wiekuistem więzieniu, zerwać z rodziną, wyrzec się znajomych, patrzeć na świat tylko przez kratę... I nigdy żadnego celu, żadnej nadziei... Ach, już lepiej odrazu umrzeć....“

Ale pani Korkowiczowa była bardzo zadowolona; tak zadowolona, że, zacierając ręce, rzekła do Madzi.

— Jeżeli tym razem państwo Solscy nie przypomną sobie o nas... No, byliby chyba ludźmi tak niedelikatnymi, że nie warto zbliżać się do nich!..

W kilka dni później, na krótki czas przed obiadem, do pokoju Madzi wpadła Linka, mocno wzburzona:

— Pani!... — zawołała. — Przyszli państwo Solscy... mama prosi... Boże, a tu akurat wyjechał tatko...

Madzia aż uściskała Linkę z radości.

— Nareszcie — rzekła — spełniło się życzenie mamy i moje najgorętsze... Ach, jacyż oni dobrzy!...

Pod zamkniętemi drzwiami salonu stała Stasia i zaglądała przez dziurkę od klucza. Na widok Madzi bardzo zawstydziła się i uciekła do jadalnego pokoju; lecz, po wejściu Madzi do salonu, wróciła na poprzednie stanowisko i, ciągnąc za sobą Linkę, szepnęła do niej:

— Co za szczęście!... jest i Bronek... Teraz już napewno ożeni się z panną Solską... Ale jaka ona nieładna...

Madzia trafiła na moment, kiedy rozgorączkowana pani Korkowiczowa prezentowała Solskim pana Bronisława.

— Mój syn!... — mówiła z mocą. — Prawdziwe nieszczęście, że mąż musiał wyjechać do Korkowa, właśnie tam, gdzie pan hrabia (w tem miejscu skłoniła się obojgu) chce postawić cukrownię... Ale po powrocie mąż mój nieomieszka...

— Hrabia to chyba wcale nie bywa u Stępka?... — odezwał się pan Bronisław.

— Bardzo trafnie odgadł pan — uprzejmie odparł Solski.

— Nie umiem opowiedzieć — mówiła deklamując, pani Korkowiczowa — jak panna Magdalena tęskni za państwem.

Madzia ze zdumieniem spojrzała na panią Korkowiczową, a w tej chwili Solski odezwał się:

— Słowa szanownej pani przypomniały mi, że przyszliśmy tu z prośbą.

— Ależ, niech hrabia rozkazuje!...— zawołała pani, schylając głowę.

— Nie śmiem nawet prosić, nie będąc pewnym skutku.

— Spełnić każde życzenie hrabiostwa cały nasz dom uważa sobie za najświętszy obowiązek.

Madzia siedziała, jak na szpilkach, panna Solska rumieniła się, a pan Bronisław, widząc jej rumieńce — również się zarumienił.

„Nie taka ona brzydka, jak mówili!...“ — pomyślał.

— Siostra moja — mówił Solski — tak kocha pannę Magdalenę, tak nie może obejść się bez jej towarzystwa...

— Ależ co dzień... na cały dzień... — wtrąciła pani Korkowiczowa.

— Że przyszliśmy z najuprzejmiejszą prośbą, ażeby pani raczyła uwolnić pannę Magdalenę od dotychczasowych obowiązków — zakończył Solski.

— Ależ... — zaprotestowała Madzia.

— Moja droga... — proszę cię o to!... — szepnęła zmieszana panna Solska, biorąc ją za rękę.

Pani Korkowiczowa osłupiała.

— Jakto?... Jeżeli rozumiem... — rzekła.

— Tak jest — odparł Solski — o to właśnie prosimy panią...

— Nie wiem, czy panna Magdalena, którą wszyscy tak kochamy...

— Właśnie wiedząc o uczuciach państwa i pojmując wielkość ofiary, jakiej żądamy od pani, przyszliśmy tu z siostrą...

— Ależ ja nie mogę... — wtrąciła Madzia.

Panna Solska ścisnęła ją za rękę.

— Czy zatem raczy pani uwzględnić naszą prośbę? — nalegał Solski w taki sposób, że aż siostra zgromiła go spojrzeniem.

Pani Korkowiczowa była zdruzgotana.

— Ha!... — rzekła zmienionym głosem — jeżeli hrabiostwo koniecznie tego sobie życzą...

— Jesteśmy pani bardzo obowiązani — rzekł Solski i z ukłonem uścisnął rękę pani Korkowiczowej. — Teraz na ciebie kolej — zwrócił się do siostry.

— Ty z nami pojedziesz kochanko... Ty mi nie odmówisz tej łaski... Przecież jesteśmy nawet spokrewnione... — błagała Madzię panna Solska.

— Tak — potwierdził brat — przez Strusiów.

— Więc ubierz się, moja ty jedyna, i kiedy pani tak łaskawa, że cię zwolniła, jedź z nami zaraz...

— Naturalnie — rzekł Solski.

W pięć minut później, w pysznym salonie została tylko pani Korkowiczowa bardzo bliska apopleksyi i jej syn pełen zdumienia.

— Cha! cha! cha!... — zaśmiał się pan Bronisław. — Kuzynka Solskich... A to się mamie udało z tym ciemnym pokoikiem...

— Będziemy ją odwiedzać u Solskich... — nagle odezwała się pani. — Mamy prawo, nawet święty obowiązek...

— Albo oni nas tam przyjmą!... Przecież da-

wno mówiłem mamie, że to dranie... — zakonkludował pan Bronisław.

Linka i Stasia, wyrozumiawszy przez drzwi, o co idzie, nawet nie pożegnały się z Madzią. Zamknęły się w swoim pokoju na klucz i zanosiły się od płaczu.

Stroskana matka, napróżno dobijając się do nich, usłyszała od Linki te wyrazy:

— A co, nie mówiłam, że się mama dowojuje?...

— Przecież będziemy pannę Brzeską odwiedzać u państwa Solskich — uspakajała ją pani Korkowiczowa, choć serce jej szarpały jak najgorsze przeczucia.

X.

Dom przyjaciół.

Od chwili pożegnania pani Korkowiczowej, Madzia rzeczywiście nie rozumiała, co się z nią dzieje?

Pan Solski sprowadził ją ze schodów, pomógł wejść do eleganckiej karety (nie tej, która przyjeżdżała po nią zwykle) obok Madzi usadowił siostrę, sam usiadł naprzeciw pań i kareta ruszyła, skrzypiąc po śniegu, który grubą warstwą bielił się na ulicach i dachach.

Madzia w milczeniu spoglądała na Adę i pana Stefana. Czuła, że wypada przemówić do nich, lecz brakło jej wyrazów, a nawet wątku myśli. Nigdy nie wyobrażała sobie tak dziwnego położenia: była

faktycznie porwaną, jakkolwiek nie gwałtem, ale też i nie z jej wolą i wiedzą.

Kareta stanęła przed domem Solskich. Pan Stefan wysadził swoje towarzyszki i, znowu wziąwszy Madzię pod rękę, skręcił z nią do prawej oficyny. Spostrzegłszy, że nie wchodzą do głównej sieni, Madzia zawahała się; ale Solski nie dał jej czasu do namysłu i stanowczo, choć delikatnie pociągnął na górę.

„Okropny człowiek!...“ — pomyślała Madzia, nie śmiejąc stawiać najmniejszego oporu.

Na pierwszem piętrze już oczekiwała na nich młoda, nieładna panna służąca, wcale nie gorzej ubrana od Madzi.

— Anusiu, oto twoja pani — rzekł do niej Solski, wskazując na Madzię.

— Postaram się, ażeby pani była ze mnie kontenta — odpowiedziała pokojówka, odznaczająca się nietylko brakiem wdzięków, ale i poważnym wyrazem twarzy.

Mimochodem, na jej widok, Madzia zrobiła w duchu uwagę, że w domu Solskich wszyscy służący mężczyzni byli piękni, a wszystkie kobiety brzydkie.

Teraz Solski zatrzymał się przy otwartych drzwiach, Madzi zaś Ada podała rękę.

— Wejdź z nami Stefek — rzekła siostra — Madzia dziś wyjątkowo pozwala ci... Twoje mieszkanie Madziu — mówiła dalej nieco wzruszonym głosem. — Widzisz... salonik... To, pokój do pracy, a to sypialnia, która może łączyć się z moją, jeżeli zechcesz.

Wymienione pokoje były duże, widne, nawet wesołe; gabinet miał balkon, wychodzący na ogród, obecnie zasypany śniegiem.

Pozwoliwszy rozebrać się pokojówce, Madzia stała na środku saloniku bez ruchu, z półotwartemi ustami. Zdumiona patrzyła na wielkie lustra w złoconych ramach, na adamaszkowe krzesła i fotele, na niebieskiem tle ozdobione haftowanemi pasami, na ogromne wazony świeżych kwiatów...

— Więc ja już nie jestem u państwa Korkowiczów?... — cicho spytała Ady.

— Już nie—kochanko... na twoje i nasze szczęście — odpowiedziała panna Solska, okrywając ją pocałunkami. — Rzeczy przywiozą dziś wieczór...

— Więc czemże ja teraz jestem?...

— Naszą przyjaciółka... naszym drogim gościem — mówiła Ada. — Pozwól-że mi — mówiła dalej — wynagrodzić ci choć cząstkę tych przykrości, jakie miałaś z naszego powodu...

— Ja?...

— No, tylko nie ukrywaj!... Dziś już całe miasto wie, że pani Korkowiczowa kazała ci podawać obiad dopiero po swoim mężu, że ulokowała cię w jakiejś komórce, a nawet nie pozwalała ci być litościwą. Wszystko zaś z tego powodu, że nie umiałaś nas ściągnąć do jej salonów...

— Do pałaców sterczących dumnie!... — deklamował pan Stefan.

— Tylko nie wypieraj się — pochwyciła Ada, obejmując Madzię i siadając z nią na kozetce. — Ja, wyznaję, jestem taka niedołężna, że oprócz łez (ale z gniewu!) nie umiem znaleść rady i już byłam zde-

cydowana na projekt panny Malinowskiej, która chciała cię wziąć do siebie. Ale Stefek, powiadam ci, zakipiał... No i widzisz, co się stało!... Mnie porwał na wizytę do pani Korkowiczowej, a ciebie wydarł stamtąd, w imię zupełnie słusznej zasady, że nie możemy pozwolić na krzywdę wnuczki Strusiów, z których krwi pochodzimy sami.

Madzia rozpłakała się. Solski rzucił się do niej zmieszany.

— Panno Magdaleno — rzekł, biorąc ją za rękę — przysięgam, że nie chciałem zmartwić pani... Ale powiedz sama: czy mogłem obojętnie słuchać o sztukach pani Korkowiczowej i patrzeć na fontanny łez mojej siostry?... Przecież ona zmizerniała w ciągu kilku dni, rozpaczając...

— Magduś... — szeptała Ada, tuląc się do Madzi — przebacz mi mój egoizm... Ja taka samotna... mnie tak smutno... Już oddawna chciałam cię błagać, ażebyś zamieszkała u mnie, lecz znając twoją drażliwość, nie śmiałam... No, ale twoja dobroć w obec pani Korkowiczowej, nawet mnie uzuchwaliła... Ty nie gniewasz się Magduś, prawda?... Przypomnij sobie, jak nam było pod jednym dachem... Czyliż nie warto, choćby na kilka miesięcy, odnowić takich wspomnień?...

— Ale ja będę dawać lekcye u panny Malinowskiej... — rzekła nagle Madzia, spostrzegłszy, że jej przyjaciółka jest zmartwiona i zakłopotana.

— Rób co chcesz kochanko...

— I... potem przeniosę się do panny Malinowskiej na stałą... Bo widzisz — usprawiedliwiała się Madzia. — ja przecież muszę obeznać się z admini-

stracyą pensyi, bo... widzisz ja muszę od wakacyi otworzyć szkółkę w Iksinowie...

— Czy koniecznie w Iksinowie? — przerwała Ada. — Przecież tam, jak sama mówiłaś, nie było uczniów ani uczennic.

— Więc gdzież, moja droga?... Tam, choćby nie opłacił mi się pierwszy rok, znajdę pomoc w domu, a później... już jakoś pójdzie.

— Moja kochana — rzekła Ada, dając znak bratu — jeżeli szkoły koniecznie potrzeba ci do szczęścia, to my będziemy mieli szkołę przy cukrowni... Możesz ją wziąć, jak się tylko otworzy, nie narażając się na wydatki i ryzyko.

— Ależ bardzo panią prosimy — wtrącił Solski — a ja specyalnie błagam, ażebyś nie opuszczała siostry... Co najmniej do czasu, w którym ukończę najważniejsze interesa... Ada naprawdę jest bardzo osamotniona i wielką łaskę wyświadczy nam pani, pozwalając jej choć raz na dzień spojrzeć na siebie i zamienić parę słów.

— Psujecie mnie państwo... — szepnęła Madzia, kryjąc twarz na ramieniu Ady.

— Więc nie gniewasz się?... Zgadzasz się, złota, kochana!... — rzekła Ada.

— Błogosławiona!... — zawołał, śmiejąc się Solski i, przyklęknąwszy, ucałował rękę Madzi. — Teraz już cały świat nie odbierze nam pani...

Kiedy Solscy przeszli do swoich pokojów, zostawiając Madzię samą, pan Stefan zatarł ręce i rzekł z zapałem do siostry:

— Ach, cóż to za oryginalna kobieta!... Czy ty pojmujesz Ada?... Zawsze gotowa do poświęcenia się...

cierpi bez skargi, i... wiesz co?... Ona może nawet nie wie o tem, że jest prześliczna... Takie robi wrażenie... Cóż to za prostota, naturalność...

Chodził szybko po pokoju i zacierał ręce, a małe jego oczki rzucały iskry.

— Podobała ci się? — zapytała siostra.

— Oszalałbym dla niej, gdyby... Gdyby była taką, jak się wydaje.

— Za to ci ręczę — rzekła Ada, kładąc mu rękę na ramieniu i patrząc w oczy.

— Za nikogo nie ręcz — odparł tym samym tonem i z tym samym ruchem. Następnie pocałowawszy ją w czoło, dodał z westchnieniem:

— Nasze szczęście, że, w obec rozmaitych rozczarowań, my przynajmniej możemy liczyć jedno na drugie.

— Znowu Helena?... — zapytała siostra.

— Wszystko jedno — odparł, a potem dodał: — Widzisz, Helena, o ile ja znam kobiety, nie gorsza od innych; a ma pieprzyk, a!... Ale gdyby istniały takie kobiety, jaką ty jesteś i jaką wydaje się być Magdalena... Ach, Ada, mówię ci, świat byłby lepszy i nam byłoby lepiej na nim.

— Ręczę ci... ręczę, że Madzia jest taką.

— Bodajbyś miała słuszność... Ale na wszelki wypadek już nie ręcz za nikim... Zresztą mądrość życia polega na tem, ażeby brać ludzi, jakimi są... Podstępne bydlęta, bez których jednak nie możemy się obejść.

— Gdybyś ty znalazł taką żonę jak Madzia! — rzekła siostra.

— Możebym się znudził nią?... — odparł z uśmie-

chem Solski. — Ja przecież także jestem dzieckiem czasu, który lubi nowość...

Pożegnał siostrę i przez długi szereg pokojów, tudzież salon do przyjęć uroczystych, przeszedł do swego gabinetu.

Był to pokój o dwu oknach, obity ciemnym adamaszkiem, zastawiony szafami i stołami pełnemi książek i papierów. Meble były dębowe, obite skórą. Pod jednym z okien stało biurko, zaopatrzone w guziki do dzwonków elektrycznych; za biurkiem, na ścianie wisiał plan przyszłej cukrowni i jej zabudowań.

Solski usiadł przy biurku zasypanem szkicami i raportami i — ziewnął.

„Jest fakt — myślał — że inna na jej miejscu już od kilku lat wyzyskiwałaby Adę, a ona nie robiła tego... Może przez naiwność?...“

Solski dotknął jednego z guzików na biurku. Drzwi od przedpokoju cicho otworzyły się i wszedł lokaj, z miną jeżeli nie zaspanego, to przynajmniej zmęczonego człowieka.

— Był proszę jaśnie pana ten z cegielni, był niemiec i był adwokat. Położyłem bilety na stole.

Solski odrazu zauważył bilety we właściwem miejscu, ale nie chciało mu się odczytywać ich.

— Listy odesłałeś?

— Odesłałem, proszę jaśnie pana.

— Do mnie korespondencyi nie było?

— Nie było, proszę jaśnie pana.

— To dziwne!... — mruknął Solski i jednocześnie pomyślał, że wszystkie te jego listy i cudze listy

i wszystkie wizyty techników, ceglarzy i adwokatów nic a nic go nie obchodzą.

— Możesz odejść — rzekł głośno.

„Może dopiero teraz zacznie korzystać z usług Ady, chociaż... Któż jej bronił, zamiast do Korkowiczów, odrazu sprowadzić się do nas?... Więc ma ambicyę. A jeżeli tam znosiła impertynencye, tylko przez przywiązanie do dziewcząt, więc ma zdolność przywiązywania się...“

Patrzył na sufit i zobaczył cień Madzi w popielatej sukience, z półotwartemi ustami i nieopisanem zdumieniem w oczach, na widok nowego mieszkania.

„Jak ona się kapitalnie dziwiła!... — myślał. — Kto tak dziwić się umie, ten musi być szczerym, to darmo...“

„Zresztą — dodał po chwili — zobaczymy jak postąpi z Korkowiczami. Panna Helena w podobnym wypadku zdobyłaby się na śmiertelną pogardę... No, także nie byle kto potrafi dobrze gardzić... Pyszna lwica... a jak ona się rozwinęła w towarzystwie!... Brak jej tylko pieniędzy i nazwiska, a nawet tylko pieniędzy, ażeby zabłyszczeć w Europie. Miljon, niesłychanie potęguje wdzięki kobiet...“

Tymczasem Madzia, kiedy Solscy opuścili ją, naprzód — schwyciła się rękoma za głowę, a potem zaczęła oglądać swój apartament ze wzrastającą ciekawością.

„Pokój do pracy — myślała — co za biureczko... jakie książki... Szekspir, Dante, Chateaubriand?... Sypialnia... nie wiem, czy potrafię spać na tak ogromnem łóżku?...

Był i bujający się fotel (jak w gabinecie pani

Korkowiczowej) na przeciw kominka. Madzia usiadła, zakołysała się parę razy, co jej wcale nie wydało się przyjemnem i znowu zaczęła rozmyślać.

„Jeżeli tutaj nie zwaryuję, to już nie wiem, co zrobię! Jestem jak chłop, którego przemieniono na księcia... Jabym jednak nie śmiała przerzucać ludźmi — z pokoju guwernantki, do salonu wielkiej damy; ale panom to uchodzi... Nawet nie wiem, czy wypada mi przyjąć od nich szkołę przy fabryce?... Zresztą, może się jeszcze zmienić kaprys... At, mają pieniądze i już sami nie wiedzą, co z nimi robić!...“

Madzię ogarniał coraz większy niepokój. Nie mogła wyobrazić sobie, że jej stosunki z Korkowiczami już są zerwane, a bała się myśleć: co o niej powiedzą? Wzięto ją jak obraz, jak sprzęt i przewieziono do innego mieszkania... Piękna rola!...

Wnet jednak przypomniała sobie niekłamane objawy życzliwości ze strony Solskich. Obrazili się za nią na państwa Korkowiczów i odebrali ją, zupełnie jak gdyby była ich siostrą... Takich rzeczy nie podobna nie cenić i Madzia oceniła je.

— Boże... Boże — szepnęła — jaka ja jestem niegodna niewdzięcznica!... Przecież oni mi zrobili łaskę, chcąc mnie uszczęśliwić...

Kiedy wówczas, w kościele iksinowskim, tak szczerze modliła się o zesłanie jej pracy, Bóg nie wysłuchał jej prośby. Dopiero, gdy w tym samym kościele, nie wyznała jednego grzechu (wreszcie, może to i nie grzech, ale trzeba było powiedzieć!), dopiero teraz spada na nią pomyślność i to bez żadnej zasługi ani obowiązków.

„A może właśnie tu dopiero zaczną się moje

obowiązki?... — myślała. — Ada nie jest szczęśliwa i może mnie Bóg przysłał...“

— Akurat!... — szepnęła. — Miałby się też Pan Bóg kim posługiwać...

„A jeżeli?... A może uda mi się namówić Helenę, ażeby wyszła za Solskiego... Przecież to było największe pragnienie jej matki, której tyle zawdzięczam... Nawet, że tu dziś jestem... To pewna, że nie jestem tu przez siebie, ani dla siebie...“

Wejście Ady Solskiej przerwało gorączkowe rozmyślania.

Około szóstej podano obiad, w ogromnym pokoju jadalnym i w asystencyi dwu służących, ale przy małym stole, na którym było cztery nakrycia.

W chwili, gdy Madzia miała zapytać się: kto będzie czwartym biesiadnikiem? niewidzialna ręka szeroko otworzyła drzwi, przez które majestatycznie weszła ciotka Solskich, pani Gabryela. Była to osoba wysoka, szczupła i chorowita, ale ubrana z elegancką prostotą. Ledwie raczyła spojrzeć na zmieszaną Madzię, którą jej przedstawiła Ada i usiadłszy na swem miejscu, kazała podawać obiad.

— Jakże ciocia spała dziś w nocy? — spytał Solski.

— Jak zwykle nie zmrużyłam oka.

— A nerwy?

— Czy możesz o to pytać?... Od śmierci waszej matki nie opuszcza mnie bezsenność i niepokój.

Następnie, po raz setny w życiu i wśród głębokich westchnień (które jednak nie odstraszały jej apetytu), ciotka Gabryela zaczęła upominać Solskich, ażeby tak nie usuwali się od towarzystwa.

— Dziczejecie — mówiła — odwykacie od widoku ludzi, narażając się przytem na opowiadanie dziwnych historyi...

— Pasyami to lubię — wtrącił Solski.

— Wczoraj naprzykład zaręczano mi u Władysławów, że Stefan ma zostać dyrektorem swojej własnej cukrowni.... Dla czegóż — odpowiedziałam — nie awansujecie go odrazu na rządcę domu, albo stangreta?...

— Mówiono cioci prawdę — rzekł Solski — bo już kieruję przygotowaniem planów do cukrowni...

— Ależ, na Boga! — zawołała ciotka Gabryela, spoglądając w sufit. Następnie zapytała Ady: czy „tej panience“ nie zrobi różnicy rozmowa po francusku? ze względu bowiem na służbę, nie można wszystkiego wypowiadać po polsku. Odebrawszy zaś potwierdzającą odpowiedź, zaczęła prawić:

Że tryb życia, jaki Solscy obecnie prowadzą, w najwyższym stopniu dziwi całe towarzystwo. Że stosunki Stefana z panną Norską (której brat jest zresztą nieźle widziany w towarzystwie), że stosunki te są powodem dwuznacznych uśmiechów. I że nakoniec Stefan powinienby się już ożenić, choćby ze względu na swoją siostrę. Ożenić się zaś może tem łatwiej, że w towarzystwie jest kilka dobrych partyi, na które Stefan może liczyć, że będzie mile przyjęty, pomimo swojej oryginalności, a nawet z powodu tej oryginalności.

— Stefan — kończyła ciocia Gabryela — ma opinję niebezpiecznego bałamuta, co w oczach kobiet światowych otacza go pewnym urokiem.

— A czy te panie, na które rzucam urok, mają przynajmniej pieniądze? — zapytał Solski.

— Nie mówiłabym ci o innych!...—zawołała ciocia Gabryela. — Mają nazwiska, wdzięki, pieniądze i, mimo to, niejednej biedaczcze grozi staropanieństwo, dlatego tylko, że mężczyznom podoba się umieszczać swoje uczucia po za właściwą sferą.

Obiad kończył się, a przy leguminie służący półgłosem zawiadomił Adę, że przywieziono dla panny Brzeskiej rzeczy i listy. Jeden z pieniędzmi, był od pani Korkowiczowej, drugi od jej dziewczynek.

Przy kawie Ada, za nią pan Stefan i ciocia Gabryela uprosili Madzię, ażeby bez ceremonii przejrzała korespondencyę, która może być ważna. Skutkiem tego Madzia zaczęła czytać listy, co chwila rumieniąc się i blednąc. Solski, który patrzył na nią z pod oka, spostrzegł, że pierś jej faluje coraz szybciej, usta drżą i że Madzia robi duże wysiłki, ażeby się nie rozpłakać.

„Kto w taki sposób — myślał — umie czytać listy od swoich uczennic, nie może być złym... Chyba, że popisali jej jakie impertynencye...“

— I cóż? — zapytała Ada.

— Nic... Choć wiesz, Adziu, że będę musiała tam pójść — odparła Madzia, nie podnosząc rzęs, z po za których gwałtem zaczęły się łzy przeciskać.

— Ale nie dziś, kochanko?...

— Kiedy zechcesz, moja złota — rzekła cicho Madzia. Ale już nie mogła pohamować się i wybiegła z pokoju.

Dwaj lokaje dyskretnie odwrócili się do okna, zaś ciocia Gabryela, wzruszając ramionami, zawołała:

— Wiesz, moja Ado, że mogłaś między temi pannami znaleźć weselszą towarzyszkę!... Chyba, że lubisz nerwowe ataki, a w takim razie ja bez potrzeby ukrywam moje cierpienia...

— Ciotko — odezwał się z niezwykłą powagą Solski — te łzy warte są więcej, .aniżeli nasze brylanty...

— Zdumiewasz mnie, Stefanie — zdziwiła się ciotka Gabryela. — Ja codzień wylewam potoki łez...

— Jej widać jest bardzo przykro, że rozstała się ze swemi uczennicami — wtrąciła Ada.

— Więc zamiast płakać, niech do nich wróci— rzekła ciotka Gabryela, tonem rozstrzygającym wszelkie fizyczne i metafizyczne wątpliwości.

Solski uderzył palcami w krawędź stołu.

— Ach, ciociu, ciociu!... — odparł, ty nawet nie domyślasz się, jaką piękną rzecz widzieliśmy w tej chwili... Sama powiedz: czy płakał kto za tobą, za Adą, albo za mną, i jeszcze tak serdecznemi łzami?... Nas nigdy nikt nie opłakiwał, choć nikomu nie zrobiliśmy krzywdy. I może właśnie dlatego musimy wylewać potoki łez nad urojonemi cierpieniami... Powiedz Ada: kochał nas kiedy kto, jak panna Brzeska swoje uczennice?.,.

— Widzisz, a nie wierzyłeś mi... — wtrąciła siostra.

— Święty dzień — mówił głęboko wzruszony Solski — święty dzień, w którym taka kobieta weszła do naszego domu... Będziemy mieli — dodał z ironią — widowiska wspanialsze od zórz północnych i wschodu słońca na Righi...

— Jestem zbulwersowana! — rzekła ciocia Gabryela, uroczyście składając ręce. — Stefanie, mówisz jak zakochany... Jak wówczas, kiedy wróciłeś z pierwszego spaceru z tą panną... no — z panną Norską.

— Eh, co tam panna Norska!... — odparł wzburzony.

— Aa... rozumiem!... Umarł król, niech żyje król... Możemy już wstać od stołu — zakończyła ciotka.

Ponieważ rozmowa toczyła się w języku francuskim, więc lokaje udawali, że nic a nic nie rozumieją. Niemniej jednak od tej pory, ktokolwiek ze służących spotkał Madzię, schylał się przed nią do samej ziemi.

— Nasi państwo — mówił w kuchni jeden z lokajów — zawsze lubią mieć coś nowego na stajni...

— Minie i to... — odparł wiekowy kamerdyner.

— Ale co pieniędzy wykosztuje? — wtrącił kucharz. — Za to, co się wydało dla Norskich, wziąłbym ze trzy takie restauracye, jak w Europejskim hotelu. Żaden wilk nie zje tyle, co baba... A czy to warto?... My najlepiej wiemy, panie Józefie...

Kamerdyner potrząsnął siwą głową.

— Pan przynajmniej nie powinieneś narzekać na ten interes — rzekł powoli. — Z jednej Ewy tylu przecie narodziło się ludzi, że wszyscy kucharze mają za co pić, do ukamienowanej śmierci...

XI.

Na nowem stanowisku.

W taki sposób zainstalowała się Madzia w domu Solskich. Oprócz cioci Gabryeli, niepojmującej: jak można przyjaźnić się z „temi panienkami?“ wszyscy byli jej życzliwi. Ada lubiła ją serdecznie, służba prześcigała się w grzecznościach, a jedyny rzeczywisty władca tej kolonii, pan Solski, wahał się, jak na huśtawce, między bałwochwalczem ubóstwieniem Madzi i nieufnością do ludzkiego rodu, mianowicie w jego żeńskiej połowie.

Madzi jednak, w nowych warunkach, nie opuszczał nieznany dawniej niepokój. W nocy, na rzeźbionem łóżku nie mogła spać; a ile razy zdrzemnęła się, budziło ją przywidzenie, że ona nie ma dachu nad głową, lecz tuła się po ulicach miasta.

Od czwartej rano już nie zmrużyła oka; ale gdy około siódmej weszła pokojówka, Madzia udawała, że śpi, jak zabita. Wstyd jej było, że ta dystyngowana panna ma czyścić jej ubogą sukienkę.

Zjadłszy pierwsze śniadanie w pokoju Ady, Madzia poszła do Korkowiczów, gdzie przyjęto ją ze zdumieniem i zachwytem. Pani rozszlochała się, panienki od wczoraj płakały, a pan Korkowicz, który przed godziną wrócił ze wsi, uściskawszy Madzię, rzekł swoim grubym głosem:

— Wolałbym mieć w pani synowę, aniżeli nauczycielkę, bo synowej niktby mi nie odebrał...

Pani Korkowiczowa westchnęła żałośnie. W ciągu pół doby straciła wszelką nadzieję ożenienia swego syna z Adą Solską, a natomiast wiele myślała o innej kwestyi.

— Proszę pani — wtrąciła wśród pocałunków — ci Strusie, o których mówili wczoraj państwo Solscy, to musi być rodzina zagranicznego pochodzenia?

— Nie pani, to polska rodzina.

— Myślałam. Bo ród mego męża także pochodzi z Niemiec, gdzie nazywali się von Propfenberg. I dopiero edykt nantejski zmusił ich...

— Dajże pokój tym bredniom! — oburzył się pan. — Któryś mój dziad pewnie był w szynku parobkiem do korkowania butelek i ztąd nasze nazwisko...

— Ależ, Piotrusiu, nie zaprzeczaj mi!... Sama przecież byłam nad Renem, na pagórku Propfenberg, który, jak objaśnił mnie hrabia Przewracalski, musi być gniazdem naszych przodków... Nawet hrabia Przewracalski radził, ażebyśmy kupili to miejsce i zbudowali...

— Trzeci browar? — wtrącił pan. Nie głupim!...

— Ależ nie... Ażebyśmy wznieśli tam zameczek...

— Jak Boga kocham — zawołał Korkowicz, bijąc się w piersi — czasami zdaje mi się, że ja mam więcej rozumu od ciebie. A przecież nie chodziłem na pensyę i na starość nie uczę się po francusku...

Wszedł do salonu pan Bronisław. Był nieco zmieszany obecnością Madzi, lecz odzyskawszy humor rzucił się na kanapę i zawołał:

— Ten Kazik Norski ma dyabelskie szczęście: wygrał od nas wczoraj ze sześćset rubli... Ale za to jego siostra!... Mówię ojcu: palce oblizywać...

— Gdzieżeś ty ją widział? — niespokojnie zapytała matka.

— Eh! to cała historya — odparł pan Bronisław, machając rękoma i pomagając sobie w tej czynności jedną nogą. — Spotkałem ją koło Saskiego placu... szła z tym swoim amerykańskim ojcem... Stanąłem, mówię mamie, jak bałwan i patrzę, a ona na mnie — łyp oczkiem... Idę za nią, wymijam... ta znowu łyp... Zgłupiałem do reszty, a ona delikatnie odwraca główkę i coś... jakby się uśmiecha... Ukrop mnie oblał... a ona szep... szep do ojca — i skręcają na wystawę sztuk pięknych, a ja za nimi...

Nicem nie widział, tylko ją — prawił pan Bronisław, ocierając spotniałą twarz chustką — ale i ona trochę na mnie oczkowała... Potem rozeszliśmy się... Ale że ja mam drobną należność u Kazika, więc zaraz wczoraj prosiłem go, ażeby mnie przedstawił swojej siostrze. Obiecał — i dziś albo jutro poznam się z nią... Ale, mówię tatce, kiedy o niej wspomnę, łydki mi drętwieją, jak w kurczach. W Warszawie jest dużo ładnych facetek, ale takiej jeszczem nie widział.

— Słyszałeś?... — zapytała pani Korkowiczowa, z rozpaczą spoglądając na męża.

— Twój wychowanek — odparł mąż.

Pan Bronisław zerwał się z kanapy.

— Ale rodzony syn tatki i wdał się w tatkę!... — zawołał, klepiąc ojca po brzuchu.

— Ho! ho ho!... — zaśmiał się pan Korkowicz.

Wycałowana i serdecznie zapraszana przez całą rodzinę Korkowiczów o jak najczęstsze wizyty, Madzia pożegnała ich zdziwiona. Więc nawet i pan

Bronisław zaciągnął się na listę wielbicieli Heleny, których już w Warszawie było kilku?... Co na to powie Solski, on, taki wyłączny i dumny?... W tenże to sposób Helenka stosuje się do przedśmiertnych a najgorętszych życzeń matki?...

Od Korkowiczów Madzia poszła do panny Malinowskiej, która, powinszowawszy jej porzucenia dotychczasowych obowiązków, sama zapytała: czy nie weźmie na pensyi trzech godzin dziennie arytmetyki i jeografii w najniższych klasach?

— Właśnie przyszłam o to prosić... — rzekła uradowana Madzia.

— Czy tak?... Bardzo dobrze robisz, zapewniając sobie rezerwę z własnej pracy — odparła panna Malinowska. — Bo względy wielkich panów mniej są pewne, aniżeli gusta kobiet... Więc przyjdź jutro o dziewiątej i zaczynaj odrazu. A teraz do widzenia, gdyż jestem zajęta.

Pożegnawszy się z panną Malinowską, Madzia spotkała oczekującą na schodach pannę Żanetę, która bez żadnych wstępów zapytała:

— Cóż to, Madziu, chcesz u nas dawać lekcye?

— A tak — odpowiedziała wesoło — i wyobraź sobie: już mam u was trzy godziny...

Panna Żaneta wzruszyła ramionami i rzekła bardzo obojętnym tonem:

— No, no... Ja, mając takie stanowisko u Solskich, nie pomyślałabym o niczem podobnem...

— Dlaczego?...

— Tak sobie.

Pożegnały się chłodno, a rozżalona Madzia, idąc, mówiła do siebie:

„Czy ona chce, ażebym ja dostała się na łaskawy chleb u Solskich?... Przecież wie, że muszę pracować, a mój pobyt u Ady skończy się za parę miesięcy...“

Od tej pory życie Madzi w domu Solskich płynęło bardzo systematycznie.

Wstawała o siódmej i, ubrawszy się, mówiła pacierz. Była to ciężka chwila: często bowiem przychodziło jej na myśl, że albo Pan Bóg nie wysłucha modlitw tak wielkiej jak ona grzesznicy, albo... może wcale nie zajmuje się ludźmi, skoro do tej pory nie uderzył w nią piorunem za ową spowiedź?...

Ach, straszne były te nieme rozmowy z Bogiem, który czasami ukazywał się jak nieprzebaczający władca, a czasem — rozpływał się, znikał i... wcale go nie było!... Wtedy Madzi przychodziły rozpaczliwe myśli: niechby już ona, za swoje występki, na całą wieczność wpadła do piekielnej otchłani, byle tam, wysoko, został w niebie Bóg, opiekun i sędzia świata.

Niekiedy zaś było jej wszystko jedno.

„Może to naprawdę są bajki i przesądy?... Cóż robić!...“ — mówiła.

Około ósmej przynoszono jej kawę, po wypiciu której, ucałowawszy Adę, leżącą jeszcze w puchach i koronkach, biegła na pensyę, skąd wracała o pierwszej lub trzeciej.

Przez jakąś godzinę, wesoła i uśmiechnięta, opowiadała pannie Solskiej o wydarzeniach na pensyi, a następnie, w swoim pokoju, odrabiała lekcye z Zosią, siostrzenicą Dębickiego, który mieszkał w lewej oficynie na dole, obok biblioteki.

Pewnego dnia rzekła do Zosi:

— Wiesz, Zochna, pójdziemy jutro na pensyę, do czwartej klasy... Przecież pensyę trzeba skończyć, bo inaczej bardzo martwiłby się wujcio.

Dziewczynka zbladła i zaczęła drżeć.

— Ach, pani — rzekła — ja tak się boję. One mnie będą wyśmiewały... Nawet teraz nie przyjmie mnie panna Malinowska.

— Nie bój się!... Przyjdź do mnie jutro o wpół do dziewiątej, ale — wujciowi nie mów nic...

Jakoż nazajutrz rano prowadziła na pensyę Zosię, która była blada ze strachu i miała czerowny nosek z zimna. Madzia tak jednakże wesoło rozmawiała z Zosią i tyle zadawała jej pytań w ciągu drogi, że dziewczynka ani spostrzegła się, kiedy stanęły w korytarzu pensyi.

Jedna z pokojówek zdjęła z Zosi krótką salopkę, a Madzia wprowadziła za rękę drżące dziecko do salonu czwartej klasy.

— Patrzcie — zawołała do uczennic — przyszła Zosia, którąście tak zapraszały... Kochajcież ją i bądźcie dla niej dobre, bo ona jeszcze nie bardzo zdrowa...

Dziewczynki otoczyły dawną koleżankę i tak życzliwie zaczęły z nią rozmawiać, że Zosię opuścił wielki strach. Dopiero, gdy Madzia wyszła z sali, dziewczynka znowu pobladła i zwróciła za nią rozszerzone źrenice.

Madzia z korytarza cofnęła się do klasy i, ucałowawszy wylęknioną Zosię, jeszcze raz rzekła do jej towarzyszek:

— Kochajcie ją, bardzo kochajcie... Ona tak boi się, żebyście jej nie zrobiły jakiej przykrości...

Zosia została w sali. W czasie pauzy o dwu-

nastej przyznała się przed Madzią, że jest jej wesoło w klasie, a wracając o trzeciej do domu, powiedziała, że nie rozumie, jak można tyle miesięcy wytrzymać bez towarzystwa koleżanek?

Zaniepokojony Dębicki czekał na podwórzu, a zobaczywszy mizerną lecz uśmiechniętą siostrzeniczkę, pobiegł kilka kroków naprzeciw i zawołał:

— Cóż to... wróciłaś na pensyę?...

— I już będzie chodziła aż do ukończenia! — szybko odpowiedziała Madzia.

Dębicki podziękował jej spojrzeniem. Wprowadził zziębniętą Zosię do pokoju i, zdejmując z niej wiotką salopkę, pytał:

— Cóż, bałaś się?... bardzo ci było przykro?...

— Okropnie!... Ale kiedy panna Magdalena pocałowała mnie, zrobiło mi się tak na sercu... Wie wujcio, weszłabym do najciemniejszego pokoju...

Tego wieczora Dębicki opowiedział Solskiemu przygodę Zosi: jej przestrach, długą przerwę w naukach i dzisiejszy powrót na pensyę, dzięki Madzi, która w tajemnicy przed nim wszystko przygotowała.

Solski słuchał wzruszony, szybko biegając po gabinecie. Wreszcie kazał prosić do siebie siostrę.

— Słyszałaś, Ada o Zosi?... — zapytał.

— Naturalnie. Madzia cały plan ułożyła w moim pokoju.

— Mybyśmy tego nie umieli zrobić, Ada?...

— Namby to nawet na myśl nie przyszło — cicho odpowiedziała siostra.

— Anioł w ciele kobiety, albo... genialna intrygantka!... — mruknął Solski.

— Ach, proszę cię — wybuchnęła Ada — możesz

stosować swój pesymizm do całego świata, tylko nie do Madzi...

Solski wpadł w rozdrażnienie i, prostując swoją małą figurkę, zawołał:

— Dla czegóż to, jeżeli łaska?... Czyliż panna Magdalena nie jest kobietą, a w dodatku bardzo ładną?... Poeci trafnie nazwali kobietę bluszczem, który, aby się rozwinął i zakwitł, musi opasać drzewo i ssać... ssać... ssać!... A im lepiej ssie, im jego podpora jest bliższą śmierci, tém bluszcz bujniej rośnie i piękniej kwitnie.

— Nie wiedziałam, że jesteś zdolny mówić w taki sposób o przyjaciółce siostry...

— A panna Helena nie była twoją przyjaciółką? — odparł, zasadzając ręce w kieszenie. — Uważałaś ją za istotę nadziemską!... No, a dziś do tej niebianki modli się z tuzin pobożnych... na trzy miesiące przed zdjęciem żałoby po matce!... Przyznaj Ada, że boginie, zanim staną się nieśmiertelnemi posągami, już mają kamienne serca — zakończył, całując siostrę.

Pogodzili się bardzo prędko; Ada wyszła, a Solski z wyrazem znużenia zabrał się do odczytywania papierów, dotyczących jego fabryki.

W początkach lutego, Madzia wcześniej powróciwszy z pensyi, zobaczyła na schodach całą służbę w ruchu. Pokojówki biegały, do góry i na dół, z flaszkami i ręcznikami, a młodsi lokaje, ustawiwszy się na różnych kondygnacyach, pobierali od nich rogatkowe, w sposób mniej lub więcej widoczny, któremu zawsze towarzyszył lekki okrzyk.

W obec Madzi — pokojówki przybrały powagę

infirmerek, a lokaje zaczęli udawać, że to właściwie oni niosą na górę flaszki i ręczniki.

— Co się stało? — zapytała przestraszona Madzia.

— Pani hrabina zachorowała na migrenę — odparł jeden ze służby, nisko kłaniając się i usiłując pohamować westchnienie, które rozsadzało mu piersi.

Panią hrabiną nazywano tu ciocię Gabryelę, która mieszkała przy Solskich na drugiem piętrze. Dama ta, zresztą niezła w gruncie rzeczy, miała sto tysięcy rubli w banku. Narzekając na nudy i samotność, całe dnie spędzała na wizytach, a wieczory w teatrze; do swoich zaś siostrzeńców przychodziła tylko na obiad, aby dowieść im, że jest przez cały świat opuszczona.

Madzia, dowiedziawszy się, że Ady i Solskiego nie ma w domu, pobiegła na drugie piętro i weszła do sypialni chorej. Zastała ją na fotelu jęczącą, z przymkniętemi oczyma, obłożoną plastrami i materacykami, które ustawicznie zmieniała stara dama do towarzystwa, mająca w tej chwili głowę również zawiązaną.

Przy wejściu Madzi chora dama rzekła jękliwym głosem:

— Nareszcie... ukazał się ktoś z dołu!... A ja od godziny umieram... Czarne płatki biegają mi przed oczyma, zęby mam wysadzone, a skronie bolą mnie tak, jakby kto wiercił je rozpalonemi świdrami.

— Ja to samo!... — wtrąciła czarno ubrana dama do towarzystwa.

— Boże, skróć me cierpienia... — jęczała ciotka Gabryela!

— Boże, zachowaj nam panią!... — szepnęła dama do towarzystwa, kładąc jeszcze jeden materacyk na głowę dostojnej chorej.

— Proszę pani — odezwała się Madzia naturalnym głosem — może ja pani w czem pomogę...

Chora otworzyła oczy.

— Ach, to pani?... Bardzo jesteś dobra odwiedzając biedną, samotną kobietę, ale... cóż ty mi możesz pomódz?

— Ojciec — mówiła Madzia — nauczył mnie jednego sposobu leczenia migreny, który niekiedy udaje się...

Zdjęła ze siebie okrycie i kapelusz i, stanąwszy za fotelem chorej, zaczęła szybko odrzucać wszystkie ręczniki i materace opasujące jej głowę.

— Co pani robi!... — krzyknęła dama do towarzystwa, załamując ręce. — Ależ to zabójstwo...

— Pozwól Edyto... — odezwała się słabym głosem ciocia Gabryela, poczuwszy miły chłodek. — Przecież ta pani jest córką doktora...

W tej chwili Madzia zaczęła delikatnie ściskać i rozcierać rękoma czoło, skronie i kark chorej. Ciocia Gabryela zwróciła uwagę na te ruchy i nagle przemknęło jej w myśli pytanie:

„Skąd ona ma takie ręce?... Puch... aksamit!.. Dziwne ręce...“

Madzia wciąż tuliła i rozcierała jej głowę; chora dama z natężoną uwagą odczuwała dotknięcie jej rąk.

„Arystokratyczne ręce!...“—myślała dama, przypatrując się jednem okiem długim palcom Madzi i różowym paznogciom.

— Czy uwierzysz, Edyto, że mi lepiej?...—odezwała się głośno.

— Nie do pojęcia!... — odparła dama do towarzystwa.

— Czuję, jakby mi wchodził w głowę ciepły powiew... strumień magnetyczny... A ból ustępuje...

W minutę później ciocia Gabryela była już zdrowa.

— Ojciec pani — rzekła na podziękowanie — musi być homeopatą, albo uczniem hrabiego Mattei...

— Nie wiem o tem, proszę pani.

— Czy da pani wiarę — zawołała dama do towarzystwa — że i mnie jest trochę lepiej na głowę, choć tylko patrzyłam na ruchy pani?... Istotnie, czuję jakiś ciepły prąd powietrza w lewej skroni, a drugą stroną ból ucieka... Cudowne lekarstwo!... Pani musiała chyba dowiedzieć się sekretu od pani Arnold...

— Kto to jest pani Arnold? — spytała ciocia Gabryela.

— Amerykanka, druga żona ojczyma panny Norskiej...

— Ach, tej...

— Ale ona jest sławną magnetyzerką i rozmawia z duchami — objaśniła dama do towarzystwa.

Zanim Madzia zeszła z drugiego piętra do siebie, już w całym pałacu opowiadano o jej cudownych kuracyach, wykonanych na pani hrabinie i damie do towarzystwa. Ledwie zaś Solscy powrócili z wizyty, natychmiast kamerdyner zakomunikował im wiadomość o nadzwyczajnych wypadkach, a ciocia Gabryela, wezwawszy ich do siebie, w dwu językach

odmalowała barwny obraz swoich cierpień i sposób usunięcia ich przez Madzię. Kładła przytem nacisk na delikatność jej dotknięcia, dziwiąc się: skąd córka doktora może mieć tak piękne ręce?

— Podoba mi się system panny Magdaleny — odezwał się Solski, któremu żółta twarz pociemniała. — Migrenę leczy ściskaniem, a brak odwagi pocałunkami...

— Nie pleć!... — zawołała siostra.

— No, przecież tę małą Zosię ośmieliła, całując ją... Bardzo wierzę, że to pomaga!

Kiedy, pożegnawszy ciotkę, oboje zeszli na dół, odezwała się Ada:

— Tylko, Stefek, nie bałamuć mi Madzi. Ty już, jak widzę, za często prawisz jej komplementa.

— Cóż to, nie wolno?

— Nie wolno, bo jak się dziewczyna w tobie zakocha...

— To się z nią ożenię — odparł Solski.

— Aa... w takim razie...

— Tylko zrób, ażeby się zakochała!... — dodał z westchnieniem.

— Na to nie licz!... — stanowczo odpowiedziała siostra.

— Nie pomożesz mi?... — spytał Solski zdziwiony.

— Nie — odpowiedziała. — To już za poważna sprawa.

— Jak chcesz.

Ucałowali się, ale oboje byli podrażnieni. Ada mówiła sobie:

„Widzę, że Stefek znowu zakochany... Piękna rzecz!... Albo ożeni się z Madzią, a wtedy zobojętnieją dla mnie oboje, albo — rzuci biedną dziewczynę, a wówczas ona będzie miała prawo znienawidzieć mnie...

Gdybyż to były na świecie dwie Madzie, jedna do drugiej podobna jak dwie krople wody!... Nie, nawet jedna niechby sobie była daleko lepsza i piękniejsza od drugiej... W takim razie tamtą, lepszą, oddałabym Stefkowi, a sobie zostawiłabym tę zwyczajną. I wszyscy bylibyśmy szczęśliwi, a tak... niewiadomo, co będzie...“

Solski, z rękoma w kieszeniach, szybko chodził po swoim gabinecie, manewrując spojrzeniami w ten sposób, aby jak najprędzej spotykać się z rozwieszonemi na ścianach planami cukrowni.

„Weszła do nas — myślał — jak iskierka, a zapaliła płomień, który sięgnął aż na drugie piętro... Cha! cha!... — śmiał się — jeżeli pannie Brzeskiej za każdym razem uda się wypędzać migrenę z głowy mojej biednej ciotki, Gabryela zacznie podejrzewać swoją lekarkę bodaj czy nie o królewskie pochodzenie... Tylko francuscy królowie dotknięciem usuwali skrofuły... Zatem panna Brzeska... cha!... cha!... cha!... Już widzę ciotkę w naszym obozie!...

Ale Ada?... Zawsze awantury z temi babami... Ileż ona razy mówiła mi: chciałabym, ażebyś znalazł żonę podobną do Madzi... A jak ją chwali, jak ją kocha!... I właśnie teraz, kiedy znajduję żonę najpodobniejszą do Madzi, ona mówi, że nie chce się mieszać tego...

Przecież z panną Heleną Norską moje rachunki są — jak nie można — czyste... Nie ja zerwałem, tylko ona, radząc mi w dodatku, ażebym zdobywał ją na nowo, wedle jakichś najświeższych zasad, jeszcze nie wypróbowanych przez nikogo, ale które ona dopiero oceni... Chwała Bogu!... Niechże ocenia nowe zasady na innych zwierzętach, a mnie — zostawi w spokoju...

Będę miał żonę piękną, która mówi po francusku i gra na fortepianie, ale która — mnie wszystko będzie zawdzięczać... Majątek, nazwisko, hołdy światowe... Wszystko — prócz anielskiego serca... które zresztą trzeba bliżej poznać... Może i ona wynalazła nowe zasady kochania?... Dyabli wiedzą. Na kobiety padła jakaś umysłowa epidemja, bardzo zabawna w początkach, ale nudna na dłuższą metę..."

W tym samym czasie Madzia, w swoim pokoiku, czytała wypracowania uczennic. Ale zajęcie szło jej z oporem. Co chwilę odkładała kajet i, oparłszy głowę na ręku, przymykała oczy, jakby, odrywając się od zewnętrznego świata, chciała głębiej spojrzeć we własną duszę, którą ugniatał nieokreślony i nieujęty, ale dokuczliwy ciężar.

W domu pani Latter czytanie wypracowań robiło jej przyjemność; nie raz zanosiła się od śmiechu z powodu zabawnych wyrażeń młodych autorek.

Dziś nuży ją niewyraźne pismo, dręczą błędy, a treść nie zajmuje. I wydaje się jej, że lada chwilę wejdzie ktoś i zapyta:

„Skąd się pani tu wzięła?... Co pani tu robi...?"

Może nawet wejść jej własny ojciec, a byle spojrzał na nią, ona już zrozumie: co to znaczy?...

„Jakże — więc rodzicom chciałaś płacić za pokoik i proste obiady, a u wielkich panów darmo zajmujesz salony i jadasz potrawy, jakich my przez cały rok nie widujemy?...“

Madzia schwyciła się za głowę.

— Ja muszę coś robić dla nich, bo inaczej łaskawy chleb otruje mnie!... — szepnęła z desperacyą. — Niepodobna, ażeby Bóg rzucił mnie tu bez celu... Przecież ci ludzie, w swoich pustych salonach, nie są szczęśliwi... Ada tak pragnęła, ażeby pan Stefan ożenił się z Heleną, toż samo nieboszczka pani Latter... Czy ja tu nie jestem jej zastępczynią?... Ona wskazałaby Adzie środek na rozpędzenie nudów, ona umiałaby poprawić stosunki między panem Solskim a Helenką... I wszyscy byliby szczęśliwi, a ja wywdzięczyłabym się za ich dobroć...

XII.

W jaki sposób ożywia się pustka.

Przy mieszkaniu Ady Solskiej był rodzaj małej oranżeryi, ze szklannemi ścianami, cały dzień oświetlonej przez słońce. Za życia matki Ady przynoszono tu najosobliwsze rośliny w czasie kwitnięcia. Później, przez szereg lat, altana stała pustką. Dziś przerobiono ją na botaniczne laboratoryum Ady.

Madzia bywała tutaj, ale rzadko. Nie lubiła laboratoryum. O ile bowiem szklanna altana urządzona była elegancko, o tyle napełniały ją przedmioty brzydkie i dziwaczne.

Ada prowadziła hodowlę mchów i porostów, więc wszystkie stoły i półki były niemi zawalone. Znajdowały się tam płaskie skrzynie, napełnione piaskiem, torfem, błotem, gdzie rosły jedne gatunki. Były wielkie kawały strzechy, kamieni, cegły i kory drzewnej, na których niańczono inne gatunki. Były nadto zielone, żółte, czerwone i szafirowe klosze, dla pielęgnowania mchów i porostów pod wpływem światła różnej barwy. Były olejne lampy, uzbrojone wklęsłemi zwierciadłami, za pomocą których oświetlało się rośliny przez całą noc. Były wreszcie duże skrzynie ze szklannemi ścianami, w których można było, stosownie do woli badacza, wytwarzać podzwrotnikową lub podbiegunową temperaturę, zwiększać ilość kwasu węglanego w powietrzu, dodawać tlenu albo azotu, słowem—grać na siłach i materyałach przyrody jak na klawiszach fortepianu.

Madzia z pewnym rodzajem litości i zgrozy przypatrywała się ledwie widzialnym roślinkom, które zastąpiły tu miejsce pomarańcz, kaktusów, storczyków... Jeszcze mchy przynajmniej były podobne do drzewek, krzaczków, w najgorszym razie do młodych piórek ptaszego pisklęcia, albo do aksamitu. Ale porosty były wręcz dziwolągami. Jeden wyglądał jak żółty albo zielonawy proszek, skąpo rozsypany po cegle. Inny był poprostu siwą plamą na korze, inny jakąś łuską czy wysypką chorego drzewa.

Madzi niekiedy zdawało się, że drobne te isto-

tki były nieudanemi próbami natury, usiłującej stworzyć normalną roślinę. Tu zrobiła jakiś koszlawy listek, tam cudacki płatek korony, owdzie guzik owocowy. Było to niezgrabne, więc odrzucało się na bok, lecz o zgrozo!... żyło jakiemś wyschniętem, trupiem życiem...

Że natura myliła się, trudno... Ale że kazała żyć ofiarom swych pomyłek, wyglądało to już na okrucieństwo.

W takiem otoczeniu Ada spędzała po kilka godzin dziennie; mniej więcej ten odłam czasu, w ciągu którego młode kobiety z jej sfery poświęcają się wizytom i oglądaniu magazynów. Zazwyczaj niektóre ze swych porostów rozpatrywała Ada przez lupę; niekiedy coś zapisywała do specyalnych rejestrów, niekiedy rysowała. Trafiały się jednak i takie dni, że odrzuciwszy głowę na tył fotelu, siedziała bez ruchu, z oczyma utkwionemi w przezroczysty sufit, z wyrazem głębokiego smutku na twarzy.

Ożywiała się naprawdę dopiero wówczas, gdy przyszła do niej Madzia i wzruszając ramionami, zapytywała po raz dziesiąty:

— Ja jednak nie rozumiem, ani tego co robisz, ani—po co to robisz?

— Więc posłuchaj jeszcze raz — odparła Ada ze śmiechem — a przekonasz się, że nawet zagustujesz w tej robocie.

Biorę naprzykład sześć, siedm kawałków kory z żółtemi plamkami: są to porosty tego samego gatunku. Wymierzam powierzchnię każdej takiej plamki i zapisuję: A — ma 100 milimetrów kwadratowych, B—120, C—80 i tak dalej. Potem jeden kawałek

kładę naprzykład pod klosz czerwony, drugi pod żółty, trzeci pod fioletowy, czwarty pod przezroczysty i — zostawiam to w spokoju.

Po upływie tygodnia, wydobywam moje kawałki z pod kloszów, znowu mierzę powierzchnię żółtych plamek i znowu zapisuję. Porównanie zaś tych cyfr z dawniejszemi pokazuje mi jaki kolor światła sprzyja, a jaki nie sprzyja rozwojowi danego porostu.

W podobny sposób badam wpływ ciepła, wilgotności, kwasu węglanego na porosty i już mam dość bogaty rejestr spostrzeżeń.

— Brr!... cóż to za nudy... — otrząsnęła się Madzia. — Zdaje mi się, że między temi suchemi roślinami może człowiekowi serce uschnąć.

— Ach, jakże się mylisz! — zawołała Ada z błyszczącemi oczyma. — Gdybyś wiedziała ile uczuć rozbudza w sercu podobne zajęcie!... Ile razy niepokoiłam się: czy ta, a ta plamka została dobrze zmierzoną? Ile razy wstawałam w nocy, myśląc, że w lampie ogrzewającej zabrakło oliwy, albo że jakiś kawałek leży w niewłaściwym kloszu. I wiesz, że niekiedy bywało tak...

To dopiero jedna strona kwestyi. Bo otóż pewnego dnia, na badanym poroście ukazuje się nowa kropka, listeczek albo guziczek. Widziałam to już sto razy, lecz za każdem pojawieniem się nowej istoty, doznaję dziwnego uczucia: ogarnia mnie obawa, radość i, czy uwierzyłabyś, coś jakby wstyd... Ze Stefanem naprzykład nie rozmawiałabym o tem... Powiadam ci, każdy taki nowy utwór, wydaje mi się czemś bliskiem: cieszę się gdy rośnie, lękam się,

gdy spostrzegę objawy nienormalne, a, gdybyś wiedziała, jak mi żal, gdy podobny biedaczek umiera... Zdaje mi się, że to małe dziecko, które ja stworzyłam, lecz nie umiem go utrzymać przy życiu.

— Dziwne! — szepnęła Madzia. — I zawsze jesteś tak zajęta?

Panna Solska zarzuciła ręce na głowę i przymknęła oczy.

— Nie — odparła po chwili. — Czasami jest tu okropnie cicho, szaro, pusto... Wtedy myślę, że cały świat jest tak pusty i nagi jak moje laboratoryum, a życie martwe jak na kamieniach i korach. W tej zaś powszechnej martwocie i pustce, nasz dom wydaje mi się najbardziej głuchym i martwym...

Ach, Madziu, w podobnych chwilach oddałabym laboratoryum, całe mieszkanie, nawet majątek, wiesz za co?... Za jednego małego siostrzeńczyka, któryby na Stefana wołał tato... a na mnie ciociu... Jakby tu było głośno, jaki ruch w tym naszym klasztorze!...

Zasłoniła oczy ręką, ale między palcami przekradło się parę łez. Po raz niewiadomo który, Madzia powtórzyła sobie, że jednak jej bogata przyjaciółka — nie jest szczęśliwą.

Od tej rozmowy laboratoryum Ady zaczęło się zmieniać. W kątach pojawiały się codzień nowe tuje, oleandry, palmy; pod ścianą — hjacynty, róże, doniczki z fiołkami i konwalją. Czy zmiany były nieznaczne, czy panna Solska tak roztargniona, dość że nie spostrzegła ich.

Pewnego dnia, wchodząc do pracowni, Ada

usłyszała jakiś szelest. Stanęła na środku—szelest nie powtórzył się. Zbliżywszy się do stołu zaczęła oglądać przez lupę jeden z porostów i rysować. Znowu rozległ się szelest bardzo wyraźny.

„Mysz w pułapce?...“ — pomyślała, patrząc.

Zdawało jej się, że w jednym kącie jest bardzo dużo nagromadzonych roślin; spostrzegła też rozstawione tu i owdzie doniczki z kwiatami. Ale że szelest powtarzał się, więc czemprędzej pobiegła między tuje i oleandry.

— Co?... co?... — zawołała, zdzierając czarny kamlotowy pokrowiec. — Klatka?... kanarki?...

Istotnie były to kanarki: jeden żółty jak ciasto z szafranem, drugi nieco bledszy, ale za to z czubkiem na głowie. Ada przypatrywała się im zdziwiona, one jej przestraszone.

Na drucianej klatce była karteczka z napisem: „Dzień dobry pani!...“

„Prezent Madzi!“ — pomyślała Ada, nie wiedząc, czy śmiać się, czy gniewać. Usiadła znowu przy stole, ale już bez ochoty do rysowania. Intrygowały ją różowe dziobki i ciemno-szare oczy, a nadewszystko błyskawiczne ruchy ptaków, które jednocześnie przypatrywały się, uciekały do kątów klatki, skakały po drążku, huśtały się na kółku, robiąc przy tem miny bardzo poważne i kręcąc się na wszystkie strony, tak, że co chwilę jakaś główka ukazywała się na miejscu ogona, a biaława pierś zamiast żółtego grzbietu.

Lutowe słońce, które od rana kryło się lub ukazywało z po za chmur, oświetliło w tej chwili pracownię. Liście palm i oleandrów nabrały meta-

lowego połysku, nieśmiałe dotychczas kwiaty hjacyntów, róż i fiołków, wysunęły się na pierwszy plan, kanarki zaczęły świergotać. Odezwał się czubaty, odpowiedział mu żółty, następnie czubaty usunął się w kąt klatki, a żółty, parę razy wypróbowawszy głosu, zaciągnął taką melodyę, że cała pracownia napełniła się jej dźwiękami, a klosze zcicha zaczęły jej wtórować.

Zdumienie ogarnęło pannę Solską. Zwiesiła ręce i przypatrywała się niepojętym zmianom.

Martwa altana, miała w tej chwili barwy, życie, nawet zapachy. Naukowa pracownia stała się królestwem ptaków, gdzie tuje i oleandry były mieszkaniem, róże i fiołki dekoracyą, a dotychczasowi władcy tej krainy — mchy i porosty, ledwie mogły przydać się na gniazdo dla śpiewaczej pary.

Kiedy Madzia powróciła z pensyi, Ada dziękując jej za niespodziankę, rzekła:

— Albo ja jestem niższą od rodzaju ludzkiego, albo ty jesteś wyższa od ludzi. Jakie na ciebie spadają natchnienia!...

— Żadne natchnienia—odpowiedziała Madzia.— Ty jesteś zajęta poważnemi pracami, więc drobiazgi nie przychodzą ci do głowy. A jednak i one mają swoją wartość, choć niewielką...

Ada podniosła palec do góry. Siedziały w trzecim pokoju od laboratoryum i mimo to dochodziły ich perliste trele kanarka.

— Jedno małe stworzonko pół domu ożywia — rzekła Ada. — Gdyby Stefanowi... — dodała zamyślona.

— Daj mu Helę... — uśmiechnęła się Madzia.

— Żonę on sam sobie znajdzie — odparła panna Solska. — Ja mu dam co innego.

W parę dni, kiedy Madzia z powodu święta nie poszła na pensyę, wbiegła do niej Ada ubrana w płaszczyk z kapturkiem.

— Weź co ciepłego na siebie — rzekła bardzo ożywiona panna Solska — i zejdźmy na dół. Zobaczyś coś...

Przez kryte schody, sienie i korytarze, obie panny poprowadziły się na drugi koniec pałacu, do pralni, która w tej chwili rzeczywiście niezwykły przedstawiała widok. Znajdowało się tam z dziesięciu mężczyzn i kilka kobiet, każda zaś z tych osób trzymała psa na sznurku.

Był tam wystrzyżony pudel, z wąsików i bródki wyglądający na starego kawalera; był taks na krzywych nogach, podobny do czarno-żółtej gąsienicy; były popielate mopsiki z aroganckiemi pyszczkami, ponury buldog, angielski wyżeł, odznaczający się łagodną fizyognomią i pieszczotliwemi ruchami. Po wejściu panien, psiarze i psiarki, prowadzący dotychczas gwarną rozmowę, nagle umilkli; lecz psy, pomimo targania ich za sznurki, niewiele robiły sobie z nowo-przybyłych. Jeden z mopsików umizgał się do czarnej szczurołapki, pudel zaglądał do pustej balii, angielski wyżeł usiłował zjednać dla siebie taksa, który ciągle stawał do niego bokiem.

— Pst!... Parol tu!... Muszka do nogi!... — wołali psiarze.

W tej chwili wysunął się z buldogiem mizerny chłopak w bawełnianych rękawiczkach i niebieskiej

chustce, skręconej na szyi bez kołnierzyka, i zwracając się do Madzi, mówił przeraźliwym dyszkantem:

— Oto jest prawdziwy buldog angielski, żebym tak nogę złamał: proszę jaśnie panienki, urodzony z dzikiej krokodylicy...

— Cicho!... — groźnie odezwał się kamerdyner, z uszanowaniem stojący za Adą.

— Rzeźnickie bydlę, proszę jaśnie pani — wtrąciła tęga jejmość, patrząc na Adę. — Co innego moja Musia... o!... Musia służyć... no, służyć Musia...

— Do sztuby ją pani oddaj, a nie do takiego pałacu — przerwał właściciel pudla. — Suka ani myśli służyć...

— Bo ona się zawstydziła...

— Karo hop!... — zawołał pudlarz.

Pies w jednej chwili porzucił balję i zaczął chodzić na przednich łapach, jak pajac....

— Hii!... Czy ja tego komedyanta nie widziałem na jesieni w cyrku?... — rzekł chłopak w niebieskiej chustce. — Moja pani — zwrócił się do jejmości z ratlerką — o kamienicę, co naprzeciw, założę się, że to emigrant z cyrku.

— Sam widać kradniesz psy, kiedy posądzasz drugich — ofuknął go właściciel pudla. — Karo wychował się u mnie od ślepego szczenięcia... Ja go uczyłem...

— A sama pani go wykarmiła — dodał chłopiec z buldogiem.

— Cicho tam!... — znowu odezwał się kamerdyner, lękając się awantury.

Ale Ada nie uważała na kłótnię; pieściła bowiem psa, który kolorem i wspaniałą postacią lwa przypominał.

— Patrz, Madziu — rzekła po francusku — takiego samego miał Stefan za studenckich czasów. Co to za mądre i łagodne spojrzenie!... Siła i spokój... Cudowne zwierzę...

— Ile ma lat ten pies? — zapytała po polsku jego właściciela.

— Dwa lata.

— A jak się nazywa?

— Cezar.

— Proszę za mną — rzekła, kiwnąwszy głową pozostałym psiarzom.

— A z nami co będzie, jaśnie pani? — zawołał chłopiec z buldogiem. — Taki uczony pudel zarobiłby przez ten czas na podwórkach ze dwa złote... Pani z ratlerką, żeby tu przyjść, zamknęła na pół dnia swój magazyn z paryskiemi modami, a ja — spóźniłem się na giełdę...

Ada, szepnąwszy coś kamerdynerowi, szybko wraz z Madzią opuściła pralnię, a za niemi Cezar i jego właściciel.

— Ten kawaler ma racyę!... — zawołała dama z ratlerką.

— To też dostaniecie państwo po rubelku za fatygę — rzekł kamerdyner.

— Słyszane rzeczy!... — wrzasnął znowu chłopak. — Ratlerka rubla i mój buldog rubla!... Przecie taka wesz mogłaby za pchłę być u mojego i jeszczeby mu między zębami uciekła...

W rezultacie jednak wszyscy wzięli po rublu, oprócz właściciela angielskiego wyżła, który jeszcze w pralni włożył czapkę na głowę i wyszedł, mrucząc, że nie jest żebrakiem.

— Widzieliście państwo coś podobnego?...—odezwała się z pogardą tęga jejmość. — Jaki elegant!...

— Zatkaj sobie pani grzdykę — wtrącił chłopak — bo to prowizor od samego pana Dytwalda... Wiem, przecie byliśmy razem na Sylwestra w resursie obywatelskiej. Ja wyciągałem damy z furgonów, a on patrzył: czy każdy, idący na to wesele, ma z magistratu tabliczkę.

— Ech!... urodziłeś się na adwokata — rzekł właściciel pudla, spluwając.

— Namawiają mnie tam i dziś, ale ja wolę panu dotrzymywać sąsiedztwa.

Ponieważ Solski miał niedługo wrócić z miasta, więc Ada szybko skończyła z właścicielem Cezara. Pies był łagodny i posłuszny, nigdy nikogo nie ugryzł, u obecnego właściciela bawił dopiero dwa miesiące, a oceniony został, jak obwarzanek za grosz, na sto pięćdziesiąt rubli.

Kamerdyner chciał się targować, lecz Ada zapłaciła natychmiast, biorąc w zamian od sprzedawcy pokwitowanie, tudzież papiery osobiste Cezara, gdzie znajdował się jego rysopis, genealogia i świadectwa właścicieli dawniejszych.

Właśnie Ada karmiła psa cukrem, kiedy jego pan opuścił pokój, nie okazując zresztą wielkiej czułości. Cezar spojrzał za nim, upuścił cukier, i, pobiegłszy do drzwi, zaczął w nie skrobać. Przytem z początku piszczał, potem skamlał, a nareszcie wył żałosnym głosem.

— Cezar... Cezar!... chodź tu piesku — mówiła Ada. — Teraz będziesz miał lepszego pana, który cię nikomu nie sprzeda...

Pies spojrzał na nią pełnemi smutku oczyma, jeszcze skrobał do drzwi, wąchał. Widząc jednak, że to nic nie pomaga, zbliżył się do Ady i oparł piękny łeb na jej kolanach. Lecz co parę chwil cicho skamlał lub wzdychał.

— Wiesz — mówiła Ada do Madzi, ciągle pieszcząc Cezara — zrobię tak... Ubiorę go w czepek, owinę w kołdrę i położę na szeslągu u Stefka... Dopiero się zdziwi!...

Nagle Cezar podniósł uszy i rzucił się, kręcąc ogonem, do drugich drzwi, w których niebawem ukazał się Solski. Pies pochylił ogon i przypatrywał mu się z uwagą.

— Co?... co?... — zawołał Solski. — Panna Ada zaczyna handlować psami... Ależ to cień mojego Hektora!... Pójdźno tu mały...

Poklepał psa, wziął go za mordę, wygłaskał wzdłuż ciała. Pies bardzo życzliwie przyjmował te pieszczoty.

— Masz Stefek, to twój Cezar — rzekła Ada. — Ale podziękuj za niego Madzi, która swojemi kanarkami przypomniała mi, że u nas niema żywej istoty w domu. Jakto, nie cieszysz się?... Widzę, że ród męski składa się z samych niewdzięczników, bo nawet i niegodziwy Cezar już nie chce patrzeć na mnie.

— Dziękuję ci, Adziuś — odparł, całując siostrę.

Usiadł przy niej i głaskał Cezara, który na jego kolanach położył głowę.

— Jesteś jakiś nieswój?... Myślałam, że zrobię ci niespodziankę...

— Gorzej, bo nie przywitałem się z panną Magdaleną — rzekł i ścisnął Madzię za rękę. — Ech! co

za niespodzianka... Od wczoraj wiedziałem, żeś kazała naprowadzić psów do domu i tylko ostrzegłem Józefa, ażeby nie pozwolił ci kupić jakiego kundla. Ale myślę w tej chwili o czem innem... Zaraz... zaraz... już wiem!...

Wybiegł do swego pokoju, posłał kamerdynera do miasta, sam poszedł na górę do ciotki i odbył z nią długą konferencyę.

Przy obiedzie zabrał głos:

— Słuchajcie panie, gdyż nie chcę was dłużej torturować. W dniu dzisiejszym... zgadnij Ada, co będzie?.

— Czwartek.

— Co to czwartek!... Dziś będzie teatr. Idziemy z ciocią na „Zemstę za mur graniczny...“

— Cudownie! — zawołała Ada, klaszcząc w ręce. — W tym roku jeszcze nie byłam w teatrze...

— To nie wszystko — przerwał Solski. — „Zemstę“ bowiem dają w teatrze Wielkim, gdzie mamy lożę parterową...

— Aaa!... — zachwycała się Ada.

— Moje dziecko — uroczyście ostrzegła ją ciotka — gdzieżbyśmy indziej mogły siedzieć?

— To jeszcze nie wszystko, albowiem — słuchajcie, słuchajcie!... po przedstawieniu idziemy na kolacyę do Stępkowskiego.

Oparł ręce na kolanach i z tryumfem spojrzał po obecnych. Ada rzuciła mu się na szyję.

— Jesteś nadzwyczajny, Stefanie... Skądże ci to wszystko przyszło?...

— Słuchaj — odparł ze sztuczną powagę — i podziwiaj mądre urządzenie świata. Jak grudka śnie-

gu, staczając się z niebotycznej góry, wyrasta w olbrzymią lawinę, tak w domu naszym drobne cnoty rodzą wielkie czyny. Panna Magdalena darowała ci parę kanarków ważących razem ledwie kilkanaście łutów. Była to owa grudka śniegu, która, trafiwszy na ciebie, już urosła w Cezara, ważącego z pięćdziesiąt kilogramów. Cezar zaś trafiwszy na mnie, przerodził się w teatr, który waży pewne dziesiątki tysięcy cetnarów.

— Już teraz wiem, dlaczego u was miewam większe migreny, aniżeli kiedy mieszkałam sama — rzekła ciotka.

— Ale ma też ciocia i lekarza! — odparł Solski, spoglądając na Madzię. — Pod takim warunkiem chętnie przyjąłbym migreny cioci...

— Stefek, nie pleć! — zgromiła go Ada.

— Gdzie Cezar? — rzekł nagle Solski i gwiznął.

Mądre zwierzę odpowiedziało mu z trzeciego pokoju potężnem szczeknięciem, a za chwilę wbiegło susami.

— Wielki Boże, cóż to za potwór! — jęknęła ciotka. — Proszę cię, Stefan, niech on na mnie nie patrzy...

Powoli jednak uspokoiła się, a nawet pogłaskała Cezara, którego Solski zaczął karmić z ręki.

— Straszne rzeczy dzieją się w naszym domu!... — mówiła ciotka. — W pokojach kanarki wrzeszczą tak, że trzeba zatykać uszy, pies szczeka, aż szyby dźwięczą, a Stefan gwiżdże przy obiedzie. Zdaje mi się, że dostałam się na pustynię...

— Przyznaj jednak cióciu, że dzisiejsza nasza pustynia weselej wygląda od wczorajszego klaszto-

ru — odpowiedział Solski. — Żyliśmy tu jak mnisi, chorzy, albo więźniowie; doszło nawet do tego, że ja sam bałem się głośniej mówić. Słowem — marnowaliśmy życie. Ale już się to nie powtórzy. Jak promień słońca spłynęła do nas panna Magdalena; topi lód, który ugniatał nam piersi i z zatęchłych kątów domu wypędza mary nudów czy smutku...

— Stefek!...

— Nie przeszkadzaj Ada bo jestem w natchnieniu. Lekcya pani — zwrócił się do Magdaleny—trafiła na pojętnych uczniów. Precz z nudami!... od tej pory małe nasze kółko stanie się ogniskiem rozrywek...

— Co?... chcesz otworzyć dom? — spytała Ada.

— Nie dla wszystkich. Chcę się tak urządzić, ażebyśmy nie rozdzierali płuc ziewaniem, początkiem zaś owej epoki będzie — dzisiejszy teatr...

Ciotka Gabryela dała mu lekkie brawo.

— Lubię cię takim — rzekła. — I jeżeli takim zostaniesz, gotowam pogodzić się z Cezarem, a nawet z kanarkami Ady.

— Pogodzisz się z wieloma innemi rzeczami — odpowiedział, całując ciotkę w rękę, która bystro spojrzała na niego.

Madzia siedziała milcząca i zakłopotana. Nad wszelkie rozrywki lubiła teatr, tym razem jednak zamiast radości sprawiał on jej niepokój.

„Po co oni mnie biorą!“ — myślała, czując w tej chwili całą odległość, jaka dzieli ubogą nauczycielkę od osób wyższej sfery.

Wszystko ją raziło; prosty ubiór Ady i pani Gabryeli, które oczywiście pragnęły zastosować się

do niej; doskonałe konie i piękna kareta, a nawet, to że ona z ciotką zajęły siedzenie tylne, a Stefan z Adą przednie.

Ale dopiero w teatrze zaczęła się prawdziwa męka dla Madzi. Przyjechali dość wcześnie i ledwie weszli do loży, wszyscy zaczęli przypatrywać się im. Nawet było słychać szept: Solscy... Solscy... i pytanie: a któż jest ta panienka?

„Kto?... — myślała Madzia. — Zwyczajna dama do towarzystwa, która znajduje się nie na właściwem miejscu.“

Siedziała zarumieniona, bez tchu, ze spuszczoną głową; ile razy zaś musiała podnieść oczy, przerażał ją widok żywej ściany z kobiet i mężczyzn, zapełniających loże, amfiteatr, balkony. Tu i owdzie błyszczały szkła lorynet, skierowanych wprost na twarz Madzi, zaglądających jej w oczy.

Ktoś stanął przed lożą i złożył głęboki ukłon. Po wielkiej, różowej łysinie, Madzia poznała Zgierskiego i — odetchnęła. Przynajmniej jeden znajomy i życzliwy!... Znowu jacyś dwaj panowie... Kazimierz Norski i Bronisław Korkowicz, od pewnego czasu złączeni węzłem nierozerwanej przyjaźni. Może jeszcze jest kto? — myśli Madzia, szybko obrzucając wejrzeniem teatr. A naturalnie! W amfiteatrze pierwszego piętra siedzi towarzystwo, wśród którego Madzia poznaje swoją koleżankę z pensyi, pannę Żanetę i pana Fajkowskiego, prowizora z Iksinowa.

Zawstydzona, spuszcza znowu oczy i mimochodem trafia na olbrzymi kapelusz w krzesłach. To panna Howard — sama; nie, nie sama, piastuje bowiem

w ręku artyleryjską lornetę, jak przystało na damę, która chce dorównać mężczyznom.

Na domiar zbliża się do Ady stary, obrzydliwy, baron Pantoflewicz i patrząc jednem okiem na bukiecik u jej stanika, drugiem na Madzię, zapytuje:

— Cóż to za cudny kwiat egzotyczny?

— Zwykła konwalia.

— A prawda! Tak, i nasze domowe kwiatki bywają piękne, tylko je trzeba często zmieniać...

— Bo na tym świecie mój baronie — pochwycił Solski — wszystko zmienia się, oprócz peruki.

Baron odszedł, jak zmyty, ale Ada pobladła, a Madzi pociemniało w oczach. To ona należy do tych kwiatków, które często trzeba zmieniać!

Teatr, mimo doskonałej gry artystów, nie udał się dla kółka Solskich. Panie były zmieszane i chmurne, Stefan zły. Przy końcu sztuki, Ada powiedziała, że ją boli głowa i że zamiast do Stępkowskiego, chce wracać do domu na kolacyę.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Ada rzekła do Madzi:

— Widzę, że już nie dla mnie teatr. Drażni mnie gorąco, mnóstwo osób... Byłam dziś tak rozstrojona, że wam wszystkim zepsułam zabawę... Stefan odczuł to i musi gniewać się na mnie. Nigdy, już nie pójdę do teatru! — dodała z żalem w głosie.

W obec jej zmartwienia, Madzia zapomniała o własnych przykrościach. Objęła Adę za szyję i powiedziała, śmiejąc się:

— Otóż pójdziesz i będziesz chodzić do teatru, ale powiem ci, jak zrobimy. Weźmiemy lożę drugiego piętra...

— Nie wypada...

— Zobaczysz że wypada, tylko nikomu nic nie mówiąc, wymkniemy się we trójkę z panią Arnoldową, naprzykład na operę włoską.

— Wiesz, że podoba mi się ta myśl — zawołała Ada. — Pójdziemy incognito...

— Rozumie się, że nie tak, jak dziś, karetami, z kamerdynerami.

— Jesteśmy przecie kobiety samodzielne...

— No, i pani Arnoldowa stanowi poważną opiekę. Jaka szkoda, że Hela jeszcze nie bywa w teatrze! — dorzuciła Madzia.

— Wolałaby to, aniżeli flirt ze swoimi wielbicielami — odparła posępnie Ada.

W tydzień później, Ada i Madzia istotnie były na operze włoskiej z panią Arnoldową i bawiły się doskonale. Dowiedziwszy się o tem, Solski machnął ręką i rzekł do siostry:

— Chciałem zrobić ci przyjemność, ale mi się fatalnie nie udało... Widzę z tego, że nasz dom może być szczęśliwym tylko przez pannę Magdalenę. Ona ma ten przywilej!...

XIII.

Echa przeszłości.

Od pewnego czasu Madzi zdaje się, z pewnością tylko zdaje się, ona wreszcie sama wie najlepiej, że to jest czyste przywidzenie, iż w jej stosunkach z ludźmi zaszła jakaś korzystna zmiana.

Jej uczennice podczas lekcyi są spokojniejsze aniżeli dawniej, co Madzię cieszy; ale zarazem jakby mniej śmiałe, co ją trochę dziwi. Widocznie ona sama musiała zrobić się poważniejszą, co zawsze zalecała jej nieboszczka pani Latter, niezapomniana, nieodżałowana...

Podobny odcień nieśmiałości, a raczej delikatności, dostrzegła Madzia w obejściu swoich koleżanek. Przypisywała to jednak szacunkowi, jaki okazywali jej profesorowie, wstając w jej obecności, rozmawiając z nią grzecznie lub unikając niewinnych zresztą żartów, na które dawniej niekiedy sobie pozwalali. Profesorowie zaś traktowali ją uprzejmie, zapewne pod wpływem panny Malinowskiej, która także od pewnego czasu zaczęła wyróżniać Madzię z grona innych nauczycielek.

Za co? Madzia tylko domyślała się. Przecież ona ma założyć szkołę; więc, najpóźniej za rok, będzie także przełożoną, jak panna Malinowska, która już dziś traktuje ją na równi ze sobą, całkiem niepotrzebnie, gdyż Madzia rozumie to, że nigdy i pod żadnym względem pannie Malinowskiej nie dorówna.

Prawda, że raz, kiedy Madzia zaczęła coś mówić o swojej pensyjce, panna Malinowska przerwała ze śmiecham:

— Jakto, jeszcze myślisz o szkole?...

Madzia przecież rozumie dobrze, że przełożona powiedziała to żartem, ażeby ją zakłopotać.

W innych znajomych kółkach Madzia także dostrzegła zmianę. Raz, młody pan Korkowicz, jadąc powozikiem, wyskoczył z niego ażeby przywitać się z Madzią; przy czem zachowywał się z elegancyą,

jakiej w nim nie spostrzegała dotychczas. Pan Arnold (co ją bardzo zdziwiło) parę razy rozmawiał z nią o cukrowni, zachwalając angielskie kotły i maszyny, które, choć drożej kosztują, są jednak trwalsze i lepiej opłacają się w praktyce.

Pani Arnoldowa coraz częściej wtajemniczała Madzię w swoje domowe sprawy, a nawet opowiadała jej wiadomości z tamtego świata, komunikowane przez duchy piszące lub pukające.

Nawet Helenka Norska, która ciągle mieszkała u państwa Arnoldów, pozbyła się wobec Madzi swego wyniosłego, a niekiedy ironicznego tonu. Ale po za chłodną uprzejmością Helenki, kryło się jakieś uczucie, nad którem Madzia nie lubiła się zastanawiać.

Tylko Ada Solska pozostała zawsze tą samą: dobrą i serdeczną, a pan Stefan — nieco spoważniał. Ile razy Madzia była w mieszkaniu jego siostry, przychodził tam ze swoim psem i słuchał w milczeniu rozmowy panien, bawiąc się grzywą Cezara. Ale już nie umizgał się do Madzi,. nawet nie dowcipkował; widać jeszcze kłopotało go zajście w teatrze, a przynajmniej tak myślała Madzia.

Niemniej jednak, drobna i zapewne tylko pozorna, zmiana w stosunkach ludzi z nią czasami niepokoiła Madzię. Nieraz zapytywała siebie: „co to znaczy?... dlaczego to?...“ i odpowiedziawszy: „ach, coś mi się tylko zdaje!“ — wracała znowu do pytania: „a jednak co to znaczy?... bo przecie nie jestem dziś lepsza, ani mądrzejsza, aniżeli przed dwoma tygodniami...“

Pewnego dnia (było to w marcu) siedziała Madzia w swoim gabinecie patrząc na ogród Solskich,

niezbyt wielki, ale pełen starych lip i kasztanów. Słońce mocno grzało. Białe szmaty śniegu, leżące na szarej trawie, topniały, parowały i, zerwawszy się w górę, odlatywały na północ, niby stado srebrzystych ptaków. Ciepłe, a zarazem surowe podmuchy, potrząsały gałęźmi drzew, strącając resztkę lodowych sopli.

Mimo pogodnego nieba było parno i mokro. Mokro na ścieżkach, mokro na gazonach, drzewach i dachach, skąd padał niby deszcz kroplisty.

Z pod białej skorupy śniegów wykluwała się wiosna, jak pisklę, jeszcze wilgotna i naga.

Zdaleka, za ogrodową kratą, widać było na chodniku snujących się tam i napowrót przechodniów, ruchliwych, ożywionych i ubranych już po wiosennemu.

„Oto dla czego — myślała Madzia — ludzie wydają mi się lepszymi... Bo są weselsi. Wiosna daje im radość, jak drzewom młode listki; zielone drzewo jest piękniejsze od nagich konarów, a wesoły człowiek jest lepszy od ponurego...“

W jednym kącie ogrodu spostrzegła gromadę dzieci, które, wynalazłszy suchy kawałek ziemi, ogradzały ją patykami, niby płotem. Był tam wnuczek kamerdynera, wnuczka szwajcara, dwóch synków lokaja, jeden kucharza, siostrzenica szafarki — drobna cząstka tej dzieciarni, której rodzice służyli Solskim.

Madzia przypomniała sobie, że, w tym pałacu, służby z rodzinami jest kilkadziesiąt dorosłych i małych osób — i przyszła jej dziwna myśl. Wszyscy ci ludzie jedzą, śpią, bawią się lub smucą, żenią się

i wychowują dzieci, nietylko bez pozwolenia, ale nawet bez wiedzy Solskich. Żyją sobie całkiem odmiennie od Solskich, jak żyją te oto drzewa w ogrodzie, nie troszcząc się o ziemię, która je karmi.

Kto tu właściwie należy do kogo: drzewa do ziemi, czy ziemia do drzew? służba do Solskich, czy Solscy do swojej służby?... Czy Solscy są naprawdę władcami tego pałacu, w którym każda rodzina ma własne troski, uciechy i cele, niezależne od woli Solskich? I czem wreszcie są ci potężni Solscy, jeżeli nie biednymi niewolnikami, którym kucharz daje obiady, lokaje czyszczą i ogrzewają mieszkanie, garderobiane zmieniają bieliznę, a administrator dostarcza pieniędzy?

Możnaż dziwić się, że oni nie są szczęśliwymi!...

„Ojciec miał racyę — pomyślała — mówiąc, że niema czego zazdrościć wielkim panom... Ale czemże ja tu jestem?...“

Spojrzenie jej pobiegło za kratę, kędy roili się przechodzący.

„Oto czem jestem: przechodniem, który ukazuje się na jednym końcu ogrodu, przez chwilę patrzy na jego drzewa, oddycha jego powietrzem i, za chwilę, znika na drugim końcu ogrodu...“

Przykrość robiły jej podobne myśli: uważała je za pewien rodzaj niewdzięczności względem Solskich. Więc, ażeby uwolnić się od drażliwych pytań, przeszła do saloniku.

Tam okna wyglądały na dziedziniec. Pod kolumnadą pałacu siedział na krześle szwajcar z siwemi faworytami, w długim liberyjnym surducie i rozmawiał z jakąś kobietą czarno ubraną i zawi-

niętą w czarny welon, tak, że jej twarzy ani włosów nie można było poznać.

Po chwili kobieta pożegnała szwajcara i chwiejnym krokiem poszła do bramy. Skręciła na chodnik i wnet rozpłynęła się w ruchliwym potoku przechodniów, który niewiadomo dokąd płynął i na jakie brzegi wyrzucał swoje krople.

„Może uboga z prośbą do Ady...“ — pomyślała Madzia i serce ścisnęło się jej.

Teraz szwajcar rozmawiał z młodym lokajem, a niebawem przyłączył się do nich froter.

Madzi znowu nasunęło się pytanie: co robią ci ludzie w pałacu?... Dla siebie bardzo wiele; bawią się, smucą, odpoczywają, wychowują dzieci... Ale co robią dla Solskich?... Szwajcar pilnuje porządku w salonach, kamerdyner pilnuje porządku w garderobie pana Stefana, panna służąca pilnuje porządku w garderobie Ady, administrator pilnuje porządku w dochodach państwa.

Tu nikt nic nie zmienia, nie tworzy, nie porusza, tylko wszyscy pilnują raz ustalonego porządku, w którym dwie szlachetne dusze: Ady i Solskiego konserwują się jak przedpotopowe motyle w odłamie bursztynu. Cała ich służba, z której każdy człowiek żyje pełnem, indywidualnem życiem, w zamian za dobrobyt jaki mają u swych panów, cała ta służba pracuje tylko w jednym kierunku: ażeby ich panowie nie żyli, a nawet nie pomyśleli o tem, że jest jakieś życie trosk i radości, trudów i odpoczynków, walk, niepowodzeń i tryumfów.

— Ach, ja niegodziwa!... — szepcze Madzia. — Skąd mi znowu przyszło krytykować Solskich, z których dobroci korzystam?

Zapukano do drzwi i weszła pokojówka z listem, mówiąc:

— Jakaś pani dopiero co oddała go szwajcarowi...

— Czarno ubrana?... w czarnym welonie?... — zapytała z mimowolnym niespokojem Madzia.

— Tak, proszę pani. Ona nawet musi być gdzieś niedaleko, bo pewnie czeka na odpowiedź. Niezamożna jakaś...

Madzia szybko rozdarła kopertę i oto co znalazła w liście pisanym nieznaną ręką.

„Trzy razy byłam u pani. Ale gdy stale mi odpowiadano, że pani nie ma w domu, domyśliłam się, że pani nie chce mnie przyjąć. Rozumiem to i już godzę się z myślą, że nie ma dla mnie miłosierdzia, bom go nie warta.

„Przepraszam za moje natręctwo do którego skłoniła mnie dobroć, jakiej doznaliśmy od pani w Iksinowie, a nadewszystko łzy, które widziałam w jej oczach, kiedy weszła pani do naszego pokoju w oberży. Pamięta pani? Płakałam wtedy, a przecież Boże mój, to były nasze najlepsze czasy. Nędza nie jest nieszczęściem, nawet choroba; wówczas dopiero człowiek jest naprawdę nieszczęśliwym, kiedy zostaje sam ze swoją trwogą i boleścią i kiedy nie może już wierzyć cudzym przysięgom, nawet łzom.

„Niech mi Pani daruje ten list bez sensu i ładu, ale tak strasznie cierpię, tak muszę pogadać z kimś bodaj w myśli, że prawie czułabym się szczęśliwą, gdybym miała choć kamień własny, który, wolnoby mi było całować i łzami oblewać. Wiem, że

nic i nikt mnie już nie uratuje, ale piszę — jak człowiek tonący, który woła o ratunek, choć go nikt nie usłyszy.

„Może to już ostatnie słowa moje na tej ziemi. Zwracam je do Pani, która byłaś moją ostatnią nadzieją. Przez kilka dni mówiłam sobie: ona mnie ocali, a przynajmniej doda otuchy, bo ona ma anielskie serce. Ale przekonałam się, że to jest niepodobieństwem; są występki, które człowieka usuwają z pod wszelkiej litości.

„Żegnam Panią i zaklinam, ażebyś mnie nie poszukiwała. Już rozumiem, że pomoc na nic mi się nie zdała, bo nie ma siły, która mogłaby odwrócić to, czego się lękam. Jeżeli łaska, niech Pani czasem wspomni o mnie; albo lepiej niech Pani nie wspomina, bo ta myśl, że jeszcze są serca życzliwe, rozpaczą by mnie napełniła. Albo niech przynajmniej westchnie Pani na moją intencyę. Boże, Boże, ja taka samotna, taka opuszczona, że gdyby mi choć czyj pacierz towarzyszył, byłoby mi pełno jak na najlepszym koncercie.

„Pamięta Pani nasz koncert w Iksinowie?... Ach, jeżeli ziemia nie otworzy się podemną, to już nie ma miłosierdzia na świecie.

„Jeszcze raz błagam: nie szukaj mnie Pani, bo zrobisz mi więcej krzywdy, aniżeli dobrego. Dziś jedynem mojem życzeniem jest, ażeby nikt o mnie nie mówił, nie słyszał, nie wiedział. Może ja zresztą nie jestem tak nieszczęśliwa, tylko bardzo rozdrażniona, a to przecież mija. My, artystki, naprawdę mamy rozstrojone nerwy...

Stella.“

Spłakana i przerażona Madzia wpadła do pokoju Ady, pokazała jej list i w niewielu słowach opowiedziała historyę swojej znajomości ze śpiewaczką. Panna Solska spokojniej oceniała położenie.

— Przedewszystkiem czy nie domyślasz się co jej grozi? — spytała. — Samobójstwo?... chyba nie. Może porzucił ją ten jej towarzysz deklamator? A może ona jest?...

Obie panny zarumieniły się.

— Różne myśli przychodzą mi do głowy — odparła Madzia. — Może ona lęka się więzienia?...

Ada sposępniała.

— Stefan znalazłby ją — rzekła — przez policyę. Gdyby jednak lękała się uwięzienia, nieszczególną oddalibyśmy jej usługę. W każdym razie... Czy znasz jej nazwisko?... Niech Józef jedzie przynajmniej do biura adresowego.

Józef pojechał i wrócił w pół godziny z notatką, że: Marta Owsińska, śpiewaczka, zamieszkała na Nowem Mieście, w maju roku zeszłego opuściła Warszawę.

— Jeżeli teraz nigdzie nie jest meldowana — zauważyła Ada — więc ukrywa się. A w takim razie może i lepiej zrobiła, nie zbliżając się do ciebie.

— Czy ja wiem? — szepnęła Madzia, czując, że jest to jeden z najsmutniejszych wypadków w jej życiu. Tajemnica Stelli była czemś, co mogła porównać się tylko ze śmiercią pani Latter i Cynadrowskiego.

„Niby to jest mi dobrze — myślała — a jednak od czasu do czasu pada obok mnie jak piorun jakieś cudze nieszczęście. Czy to przestrogi?...“

Strach ją ogarnął.

W parę dni, wracając z pensyi, spotkała pannę Howard. Znakomita bojowniczka o prawa kobiece, zapominając wyrządzonych Madzi impertynencyi, powitała ją bardzo serdecznie, nawet z wymówkami.

— Zapomniała pani o mnie, a przecież byłyśmy w przyjaźni. Pamięta pani nasze wspólne troski o nieboszczkę Latterową i usiłowania, ażeby jej dopomódz?... Ale cóż to, widzę, że nie ma pani humoru? Może moje towarzystwo...

Ażeby nie obrazić nowoodkrytej przyjaciółki i zresztą ulżyć sobie w zmartwieniu, Madzia, nie wymieniając nazwisk, opowiedziała pannie Howard historyę Stelli, tudzież treść jej rozpaczliwego listu.

— Nie rozumiem, co to jest — zakończyła Madzia — i nie wiem: szukać jej, czy nie?...

— Szukać nigdy!... — wybuchnęła panna Howard. — Osoba, o której mówisz pani, jest kobietą, istotą świadomą i samodzielną; jeżeli więc pragnie zachować *incognito,* byłoby obrazą nie spełnić jej życzenia...

— Przedewszystkiem jednak nie wiemy: czy taka jest jej wola, czy może jej co grozi? Cała rzecz wygląda tajemniczo i okropnie...

— Zaraz okropnie! — powtórzyła lekceważąco panna Klara. — Przypuszczam, że chodzi o zwyczajne odbycie połogu. A że zapewne trafiło się jej to pierwszy raz, więc biedaczka robi wielką awanturę i, wstydząc się obwoływać na rynku swój wypadek, wynagradza sobie przynajmniej pisywaniem rozpaczliwych listów...

Madzię jakby kto zimną wodą oblał. I biedna Stella z tragicznej bohaterki spadła w jej sercu na szczebel osoby nieprzyzwoitej, o której nawet nie bardzo wypada mówić.

— W każdym razie —rzekła Madzia, rumieniąc się i spuszczając oczy — nieszczęśliwa ta gorzko narzeka na opuszczenie i może być bez środków...

W bladych oczach panny Howard zamigotała błyskawica natchnienia:

— Aaa!... — zawołała — trzeba było od razu tak postawić kwestyę... Kobieta, ofiara, okryta hańbą za to, że odradza ludzkość, porzucona przez swego wspólnika, co jest bardzo naturalne i... opuszczona, odtrącona, kopnięta przez inne kobiety, co już jest podłością! Tym językiem niech pani do mnie przemawia, a wtedy odpowiem, że: od pięciu lat boleję nad tym stanem rzeczy, że od pięciu lat nawołuję kobiety do walki — wszystko napróżno. Niechże nam raz nareszcie otworzą się oczy, niech raz zrozumiemy, że, w tym stanie rzeczy, stowarzyszenie kobiet jest najpilniejszą potrzebą moralną, cywilizacyjną i społeczną... Złączmy się, wszystkie podajmy sobie ręce, a żadna nie będzie narzekać na brak dachu, opieki, chleba, żadna nie będzie potrzebowała kryć się przed opinią publiczną, którą w najlepszym razie można pogardzać, ale nigdy słuchać jej wyroków...

Przechodnie zaczęli się tak oglądać, że Madzia przyśpieszyła kroku. Już dochodziły do pałacu Solskich, gdy panna Howard zapytała:

— Więc cóż, nie mam racyi zachęcać kobiet do zawiązania towarzystwa?

— Prawda — rzekła Madzia.

— A pani należałabyś?

— Owszem i ja i Ada...

— A więc — rzekła z tryumfem panna Klara — stowarzyszenie kobiet już jest!... Sesye co tydzień... składka złoty na miesiąc... Mam panie zapisać?... Chcecie być na sesyi?...

— Zapytam Ady, choć prawie jestem pewna, że nietylko zapisze się do towarzystwa, ale nawet da paniom wygodny lokal na odbywanie narad.

— Bodajby — odparła panna Howard tonem pełnym sceptycyzmu. I mocno ściskając Madzię za rękę, dodała:

— Może choć raz wasze pałace przydadzą się na coś poważnego...

Pożegnawszy zapalczywą apostołkę praw kobiecych, Madzia swobodniej odetchnęła. Nie mniej czuła w sercu radość na myśl, że już istnieje stowarzyszenie kobiet i podziw dla panny Howard, która, pomimo tylu dziwactw, zdobyła się jednak na urzeczywistnienie szlachetnej i praktycznej idei.

Od tej pory każda kobieta, a więc i Madzia, może śmiało myśleć o jutrze. Gdy znajdzie się bez zajęcia, towarzystwo da jej pracę; gdyby kiedy nie miała gdzie mieszkać, ofiarują jej dom, a na wypadek choroby — dozór. W takich warunkach, nieszczęśliwe kobiety, podobne do Stelli, nie potrzebowałyby wpadać w nędzę i rozpacz. Towarzystwo udzieliłoby im pomocy, którą następnie możnaby spłacić z zarobków.

Kiedy Madzia zapytała Adę: czy chce należeć do towarzystwa? panna Solska aż zarumieniła się ze wzruszenia.

— Wątpiłaś o tem?... — rzekła.—Ależ ja z największą chęcią poświęcę tak pięknemu celowi moją pracę i majątek! Bo i co lepszego—dodała z uśmiechem — może zrobić kandydatka na starą pannę? Tylko...

I nagle ożywiona twarz Ady spochmurniała.

— Nie lubisz panny Howard?... — wtrąciła Madzia.

— Ach, nie! miałam przecie czas oswoić się z jej oryginalnością. Tylko... chciałabym wiedzieć: kto należy do towarzystwa? Bo powiem ci—mówiła po namyśle — że te towarzystwa kobiece, z jakiemi zetknęłam się zagranicą, wcale mnie nie pociągały. Widywałam młode panny zaniedbane w ubiorze, z wyzywającemi minami, które paliły tytuń, piły piwo, klęły i kłóciły się tak samo, jak mężczyzni. Tylko, że mężczyzni nawet wśród awantur wyglądają jakoś dobrze, a te biedaczki były poprostu obrzydliwe. Otóż ja z takiemi kobietami nie chciałabym się tu spotkać.

Skutkiem tej uwagi, Madzia przez parę dni zasięgała między znajomemi paniami informacyi o stowarzyszeniu panny Howard. Odpowiadano jej rozmaicie. Jedne z pań uważały towarzystwo za stratę czasu, inne — za nieszkodliwą zabawkę, inne mówiły o niem z zapałem. Ogólna jednakże opinia była taka, że Madzia, porozumiawszy się z Adą, oświadczyła pannie Howard gotowość przystąpienia do jej kółka.

XIV.

S e s y j a.

W parę dni obie panny otrzymały wezwanie, ażeby w sobotę przyszły na tygodniową sesyę do domu pani Zetnickiej, właścicielki magazynu ubiorów damskich. W sobotę zaś z rana do Madzi przyszedł list z Iksinowa, dziwnie odpowiadający chwili i sytuacyi.

Pisała panna Cecylia, siostra aptekarza, z prośbą, ażeby Madzia wyrobiła jej miejsce nauczycielki przy jakiej pensyi klasztornej w Krakowie, albo Jazłowcu.

Wprawdzie brat i bratowa — mówiła panna Cecylia — tak są dobrzy i tak ją kochają, że będzie musiała stoczyć z nimi walkę, zanim jej pozwolą opuścić swój dom. Ale ona czuje się już zmęczoną życiem światowem, tęskni do spokoju i jakiegoś kącika, gdzie mogłaby doczekać starości, nie będąc dla nikogo ciężarem.

„Otóż mam temat na dzisiejszą sesyę!“ —pomyślała Madzia, z góry ciesząc się wrażeniem, jakie wywoła w pannie Cecylii, gdy doniesie, że — ma dla niej miejsce w klasztornej pensyi, a to dzięki protekcyi stowarzyszenia kobiet.

Co za tryumf dla towarzystwa i co za ulga dla biednej Cecylii, która, zamiast dziękować jakiejś litościwej osobie, będzie tylko korzystała z praw, przysługujących każdej kobiecie!...

A jak Madzi będą zazdrościły inne uczestniczki sesyi, jak zdziwi się Ada!...

Kiedy około ósmej wieczorem obie panny, skromnie ubrane, wymknęły się ze swych apartamentów, w dziedzińcu zetknął się z niemi Solski.

— A to pięknie! — zawołał. — Wycieczka w tak niepogodną noc... Dokądże to?...

— Nic mu nie mów, Madziu!...—odparła Ada— Dowiesz się jutro.

— Weźcież panie przynajmniej kogo ze służby...

— Jeszcze czego?... Słyszałaś, Madziu: każe nam korzystać z opieki jakiegoś mężczyzny w podobnej chwili!... Adieu, mój panie — mówiła śmiejąc się Ada — i wiedz o tem, że masz do czynienia z kobietami samodzielnemi.

Skoczyły w dorożkę i wesołe, choć wzruszone, zajechały na miejsce.

Salonik pani Zetnickiej, duży, jasny, oświetlony przez lampę wiszącą pośrodku sufitu, był oczywiście pracownią. Na jednym stole leżała góra tkanin, zakrytych prześcieradłem; w kącie, obok pieca, tulił się druciany manekin do upinania sukien. Ściany były ozdobione sztychami Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, naprzeciw drzwi stało ogromne lustro. Wielka rozmaitość krzeseł wyściełanych i giętych świadczyła, że dom ten nie odznacza się bogactwem umeblowania.

Pań zgromadzonych było ze trzydzieści. W tej liczbie kilka młodych i bardzo wesołych, kilka starszych i jakby rozdrażnionych, najpierwej rzucały się w oczy. Ogół jednak wyglądał spokojnie i bezpretensyonalnie, jak osoby, które, mając dużo kłopotów,

nie kryją się z niemi, ani też ich okazują. Ada spostrzegła, że większość zebranych nie odznacza się wdziękami i — odetchnęła. W towarzystwie pięknych i wykwintnych kobiet zawsze czuła się skrępowaną.

Prezentacya nowoprzybyłych odbyła się krótko. W zagłębieniu jednego okna Madzia spostrzegła Manię Lewińską, siostrzenicę Mielnickiego, która, pomimo nieukończenia szóstej klasy, wyglądała już na kobietę dojrzałą i stroskaną. A że obok niej było jeszcze parę krzeseł wolnych, więc Madzia pociągnęła tam Adę i wszystkie trzy siedziały razem. Dzięki temu wypadkowi, Ada miała sposobność dowiedzieć się niektórych szczegółów o uczestniczkach zebrania.

Sama gospodyni domu, mimo obfitości obstalunków, robionych w jej pracowni, nigdy nie posiadała nawet dziesięciu rubli zaoszczędzonego kapitału: przypuściła bowiem swoje współpracowniczki do udziału w zyskach, a obok tego miała dwie wychowanice, zupełne sieroty. Panna Żetowska, introligatorka, ile razy nie miała roboty, chodziła pielęgnować ciężko chorych, za całe wynagrodzenie przyjmując tylko żywność. Panna Ulewska umiała szewctwo, hafciarstwo i malarstwo na porcelanie; pracowała od świtu do północy, miała początki suchot i brata, który na jej koszt chodził do gimnazyum. Natomiast panna Papuzińska grała na fortepianie, jak Liszt, śpiewała jak Patti, malowała jak Siemiradzki, pisała powieści jak Wiktor Hugo i gniewała się na cały świat, który żadnego z jej talentów nie chciał ocenić.

Pani Białecka, wdowa, od kilkunastu lat opiekowała się kobietami wychodzącemi z więzienia, które

mieszkały u niej, przez nią dostawały służbę i—niekiedy okradały ją na podziękowanie. Panna Zielińska, nauczycielka, z własnej pracy utrzymywała rodziców i dwu braci, którzy ciągle szukali odpowiedniego dla siebie zajęcia, a panna Czerwińska, także nauczycielka, biorąca po złotówce za lekcyę, odznaczała się niezwykłą zdolnością wyzyskiwania swoich znajomych na rozmaite dobroczynne ofiary. Jeden z jej pupilów był dyrektorem fabryki, drugi poszukiwanym adwokatem, trzeci ożenił się z majętną panną. Ale ich opiekunka już zagrożona ślepotą, wciąż brała po złotówce za lekcye i chodziła w podartych trzewikach.

Ukryta za firanką Ada, słuchając tych objaśnień, wypowiadanych szeptem przez Manię Lewińską, doznała wstrząsających uczuć. W pierwszej chwili chciała wybiedz na środek saloniku, upaść na ziemię i całować nogi tych świętych kobiet, które szły przez życie nikomu nieznane, ciche, proste, niekiedy lekceważone. Potem ogarnęła ją rozpacz: stało się bowiem dla niej jasnem, że cały majątek Solskich nie wystarczyłby na zaspokojenie tych potrzeb i niedostatków, których tu zaledwie drobną cząstkę poznała.

Zdumiewało ją, że na te nadzwyczajne kobiety nikt w stowarzyszeniu panny Howard nie zwracał uwagi. One same, nieśmiałe i jakby zawstydzone, kryły się po kątach; mówiła zaś najgłośniej i robiła najwspanialsze wrażenie, albo panna Howard nosząca tytuł członka-założyciela towarzystwa, albo niezadowolona ze świata panna Papuzińska, jej antagonistka, albo antagonistka ich obu, panna czy pani Kanar-

kiewiczowa, która uczyła się na pamięć encyklopedyi większej Orgelbranda.

Około kwadransa panował ruch i gwar. Uczestniczki przechodziły z jednego końca sali na drugi, przesiadały się, naradzały po kątach. Młode panny, rozmawiając głośno, śmiały się, najczęściej bez powodu; starsze i ubogo ubrane szeptały. Ogół nie zwracał uwagi na Madzię i Adę, tylko panna Papuzińska w rozmaity sposób usiłowała okazać, że lekceważy Adę, a pani Kanarkiewiczowa co chwilę zbliżała się do framugi okna, jakby pragnęła bliżej poznać bogatą pannę.

Przez ten czas panna Howard porządkowała papiery na stole, na którym gospodyni domu ustawiła karafkę wody, cukiernicę, parę szklanek i dzwonek ze szklanną rączką.

— Proszę członków o zajęcie miejsc —odezwała się nagle panna Howard — i przypominam, że: członek, bez upoważnienia zabierający głos, płaci złotówkę kary. Raz nareszcie musimy nauczyć się parlamentaryzmu...

Kilka ubogo ubranych pań chrząknęło, jedna westchnęła, jedna z młodych parsknęła śmiechem, lecz w tej chwili zatkała sobie usta chustką, a panna Papuzińska, siadając tyłem do Ady, rzekła:

— Proszę na mnie zapisać złotówkę, a jednocześnie, po raz już nie wiem który, zapytuję pannę Howard: dlaczego ona sama kar nie płaci?

— Bo ja kieruję dyskusyą, więc muszę się odzywać.

— Rozumie się — nieustannie. Bardzo wygodny przywilej...

— Członkowi Papuzińskiej odbieram głos — przerwała chłodno panna Howard.

— Nie podzielając przekonań panny Papuzińskiej, protestuję przeciw dyktatorskiemu' tonowi panny Howard — wtrąciła pani, czy panna Kanarkiewicz.

— I płaci pani karę — dodała w dalszym ciągu panna Howard, zapisując.

Potem zadzwoniła i w sali zrobiło się cicho.

— Czytam protokół sesyi poprzedniej — mówiła panna Howard. — Na ostatniej sesyi członek Papuzińska przedstawiła zebraniu wyjątki ze swej pracy: „Czy dla społeczeństw nie byłoby korzystniej zastąpić dzisiejszych małżeństw wolną miłością...“

Czytanie tych interesujących wyjątków—rzekła w nawiasie panna Howard — zostało przerwane... naturalnie z powodu braku czasu...

— Zbyteczne objaśnienie! — syknęła panna Papuzińska.

— W dyskusyi powstałej stąd — mówiła panna Howard — członek Kanarkiewiczowa postawiła wniosek (żądając uznania go za niecierpiący zwłoki), ażeby dziewczęta uwiedzione pobierały dożywotnią pensyę. Przy głosowaniu wniosek został odrzucony 31 gałkami przeciw jednej...

— A że wszystkich nas było trzydzieści, więc dwie uczestniczki rzuciły po dwa głosy, zamiast po jednym — rzekła blada z gniewu pani Kanarkiewiczowa.

— Członek Czerwińska — czytała panna Howard — postawiła wniosek: o otworzenie domu schronienia dla starych i chorych nauczycielek, motywując

go, że w tej chwili jest trzy nauczycielki potrzebujące przytułku. Zgromadzone jednomyślnie uchwaliły nagłość wniosku, a członek założycielka Howard zaleciła agitacyę między nauczycielkami w celu zebrania funduszów, rachując, że gdyby każda płaciła tylko po rublu miesięcznie, towarzystwo posiadałoby co najmniej 6,000 rubli rocznie.

Członek Papuzińska zaproponowała wysłanie kilku młodych kobiet do uniwersytetów zagranicznych...

W jednym z okien szeptano. Nagle odezwała się Madzia.

— A cóż dzieje się z temi trzema nauczycielkami?

— Nic — odparła panna Howard. I bystro popatrzywszy na framugę dodała:

Członek Brzeska płaci karę.

— Dla czego nic? — nalegała Madzia. — Więc one są bez opieki...

— Opiekuje się niemi po trochu każda z nas. Ażeby im jednak zapewnić byt nieco pewniejszy potrzeba z 900 rubli rocznie, a takiej sumy obecnie nie posiadamy...

— Owszem, taka suma będzie — odezwał się głosik zmieniony i drżący.

— Skąd?... co?... — zaszemrano w sali.

— Jest osoba, która dostarczy 900 rubli rocznie — już płaczliwym tonem dodał ten sam głosik.

— Panna Solska płaci złoty za karę — odezwała się ze złością panna Papuzińska.

— Członek Solska płaci karę — szybko powtó-

rzyła panna Howard. — My zaś, szanowne uczestniczki, uczcimy jej szlachetny dar przez powstanie...

Rozległ się hałas odsuwanych krzeseł i wszystkie panie (z wyjątkiem panny Papuzińskiej i pani Kanarkiewiczowej) powstały, kłaniając się i uśmiechając w kierunku okna, gdzie kryła się za firanką panna Solska.

— To nie ja... to mój brat...—protestowała Ada.

— Niech się członek nie zapiera — zgromiła ją panna Howard. — Wreszcie nasze towarzystwo nie może przyjmować żadnych darów od mężczyzn...

— Proszę o głos — nieśmiało odezwano się w sąsiedztwie manekina do upinania sukien.

— Dyskusya zamknięta! — odparła panna Howard, nie chcąc powiększać zakłopotania Ady. I czytała dalej:

Członek Papuzińska zaproponowała wysłanie kilku młodych panien do uniwersytetów zagranicznych...

— Tego wymaga honor społeczeństwa!... — wykrzyknęła panna Papuzińska. — Bo podczas gdy w Ameryce kobiety już są lekarzami, adwokatami, pastorami, u nas nie ma nawet kobiety-lekarza...

— Ani funduszów na wykształcenie — wtrąciła panna Howard.

— Więc zamknijcie waszą bankrutującą pracownię kaftaników trykotowych — zawołała panna Papuzińska.

— Zapewne!... I wypędźmy na bruk dwadzieścia dziewcząt, które wydarłyśmy rozpuście i nędzy ażeby im dać utrzymanie i pracę — rzekła panna Howard.

— Kosztują nas trzydzieści rubli tygodniowo...

— Ale mamy już gotowych 350 kaftaników, co znaczy 700 rubli kapitału.

— Kaftaników, których nikt nie kupuje...

— Jakto nikt?...—wybuchnęła panna Howard.— Niech powie członek Wyskoczyńska, ile w tym tygodniu sprzedałyśmy kaftaników?...

— Dwa — cicho odezwała się z pod ściany osoba w średnim wieku:

Panna Howard zapaliła się.

— Nie sprzedajemy kaftaników, bo w naszych kobietach nie zbudziło się jeszcze poczucie solidarności, ani nawet godności... Bo uczestniczki tego towarzystwa, zamiast propagować ideę, szkodzą jej złośliwemi krytykami. Jakto, w kraju mającym siedm milionów ludności nie może rozejść się kilkaset kaftaników trykotowych?...

— Proszę o głos — odezwano się znowu z pod manekina.

— Czy w tej kwestyi?

— Nie.

— No, więc niech nam uczestniczka nie zabiera czasu — opryskliwie odpowiedziała panna Howard.

— Ja jednak zawsze twierdzić będę — rzekła panna Papuzińska — że ważniejszem dla sprawy naszej jest wysłanie kilku kobiet do uniwersytetu, aniżeli utrzymywanie jakiejś dobroczynnej pracowni...

Wisząca lampa rzucała na salę krwawe blaski, ale nikt na to nie zważał.

— Protestuję przeciw uniwersytetowi —odparła pani Kanarkiewiczowa — bo każda kobieta sama może kształcić się jak najwyżej...

— Ucząc się na pamięć encyklopedyi — wtrąciła panna Papuzińska.

— Lepsze to, aniżeli gra na fortepianie bez taktu, albo śpiewanie, kiedy się nie ma głosu — rzekła pani Kanarkiewiczowa. — Ważniejszem od uniwersytetu jest zawiązać stosunki z kobietami wyższej cywilizacyi. Dla tego pronuję, ażebyśmy wysłali kilka delegatek do różnych krajów Europy i Ameryki...

— Słyszałyśmy już o tem — sucho przerwała panna Howard. — Członek Brzeska ma nam zakomunikować jakiś projekt praktyczny. Członek Brzeska ma głos.

Kilka ubogich pań z pod pieca zaczęły szeptać między sobą.

Z po za firanki wysunęła się Madzia, zarumieniona jak wisienka!

— Proszę pań — mówiła, jąkając się — znam jedną nauczycielkę w Iksinowie, pannę Cecylię... Panna Cecylia skończyła instytut, nawet dostała cyfrę... Jest bardzo zdolna, ale... jest zniechęcona do świata...

— I ja mam prawo być zniechęcona — rzekła półgłosem panna Papuzińska.

— Więc proszę pań, panna Cecylia chciałaby zostać nauczycielką pensyi w Jazłowcu..: I dla tego zwracam się do towarzystwa, ażeby towarzystwo, przez swoje stosunki wyrobiło miejsce pannie Cecylii (nazwisko powiem kiedyindziej), w Jazłowcu.

— Dzika pretensya! — zawołała panna Papuzińska. — Cóż my, kobiety inteligetne i postępowe, możemy mieć wspólnego z klasztornemi pensyjami.

— Jestem jak najbardziej przeciwna podobnym pensyom — rzekła panna Howard.

— Gdzie hodują się przesądy! — dodała panna Papuzińska.

— Należałoby raz na zawsze usunąć z naszych zebrań wszelkie wnioski, dotyczące metafizycznych hipotez!... — dodała pani Kanarkiewiczowa.

Zawstydzona Madzia prawie ze łzami cofnęła się w głąb framugi.

— Ach, ty niedobra!... — szepnęła do niej Ada. — Dlaczegożeś mnie nic nie powiedziała o tej pannie Cecylii?

— Chciałam ci zrobić niespodziankę — odparła głęboko zmartwiona Madzia.

— Wracając do funduszów naszej bankrutującej pracowni kaftaników trykotowych — mówiła panna Papuzińska.

— Chyba dla tego nazywasz ją pani bankrutującą, że powstała z mojej inicyatywy?... — ostro odparła panna Howard.

— Mało zajmują mnie instytucye pani — ciągnęła panna Papuzińska — a nierównie więcej fundusze... Otóż, po raz nie wiem który, radzę podnieść miesięczną składkę członków...

— Nigdy! — zawołała panna Howard. — Złoty na miesiąc może płacić każda kobieta, a przecież jesteśmy towarzystwem demokratycznem...

— I posiadamy około trzydziestu złotych miesięcznie...

— Ale gdyby wszystkie nasze kobiety należały do stowarzyszenia, miałybyśmy 3,500,000 złotych miesięcznie, czyli... zaraz... dwa razy 35 jest 70, tak miałybyśmy 77 miljonów rocznie...

Nastała chwila ciszy.

— Co?... co?... co?... — zawołała pani Kanarkiewiczowa, przerabiając cyfry na papierze. — Miałybyśmy ledwie 42 miljony rocznie...

— Cóż znowu pani pleciesz? Dwa razy 35 jest 70 i dwa razy...

— Ależ panno Howard, pani nie umiesz mnożyć...

— Ja nie umiem?... — zawołała panna Howard, zrywając się od stołu.

— Proszę, tu jest rachunek?...

— Co mi tam pani rachunek!...

— Tak... tak... tylko 42 miljony... — odezwały się głosy z rozmaitych kątów sali.

Panna Howard upadła na krzesło, przygryzując wargi.

— Pani chciałabyś narzucić swoją wolę nawet tabliczce mnożenia — wtrąciła panna Papuzińska.

— Proszę o głos!... — odezwano się jeszcze raz z pod modelu do upinania sukien.

— Członek Siekierzyńska ma głos...

— Lampa strasznie kopci — odparła cicho członek Siekierzyńska.

Istotnie krwawy płomień wiszącej lampy sięgał do połowy kominka, którego brzeg ozdobił się aksamitnym grzybem. W całej sali unosiły się płatki sadzy, podobne do drobniutkich, ale bardzo czarnych muszek.

— Ach, moja nowa suknia!...

— Wyglądamy jak kominiarze...

— Pyszna rzecz te sesye!... Właśnie miałam jeszcze wstąpić na raut...

— Dla czego pani nie powiedziała o tem wcześniej? — rzekła z gniewem panna Papuzińska do wystraszonego członka Siekierzyńskiej.

— Regulamin zabrania...

— Co mi tam jakiś niedorzeczny regulamin, przez który zniszczyłam nowe rękawiczki...

— Członek Siekierzyńska — wtrąciła z mocą panna Howard — zasługuje na pochwałę, złożyła bowiem dowód, że zaczynamy uczyć się porządku...

Kilka panien roześmiało się, inne uczestniczki zaprotestowały.

— Ależ pani swojem pojęciem o porządku, przerobi nas na gromadę pomywaczek!... — zawołała pani Kanarkiewiczowa.

Tymczasem gospodyni przykręciła lampę, ale uczestniczki zaczęły się rozchodzić.

— Za pozwoleniem — odezwała się skromnie panna Czerwińska — jakże będzie z naszemi pracownicami? Bo już na przyszły tydzień nie mamy dla nich ani na żywność, ani na dzienną płacę.

— Cóż wielkiego — odparła panna Howard. — Na żywność wychodzi dwa ruble dziennie, a na płacę trzy. Złóżmy zaraz, co która może, a resztę zbierzemy w ciągu tygodnia, u znajomych. Oto pięć rubli... Przecież kiedyś zaczną kupować kaftaniki.

Panna Howard położyła na stole papierek, inne uczestniczki z rezygnacyą zaczęły sięgać do portmonetek, albo szeptać gospodyni.

— Ja przyszlę jutro rubla...

— Ja przyniosę pięć złotych we środę...

Niektóre kładły na stole złotówki; było jednak widoczne, że ciężko rozstawać się im nawet i z tym małym grosikiem.

Ada nieśmiało zbliżyła się do panny Howard i, zarumieniona, coś szepnęła jej do ucha.

— Niech członek Solska mówi głośno — nagle zawołała panna Howard. — Moje panie, możecie cofnąć wasze składki, ponieważ członek Solska zakupuje wszystkie gotowe kaftaniki... Wysoce pocieszający fakt, który dowodzi, że naszym kobietom nareszcie zaczynają otwierać się oczy...

— Ciekawam, co panna Solska zrobi z 350-ma kaftanikami? — zapytała drwiącym tonem panna Papuzińska.

— Zapłaci 700 rubli i na pół roku zapewni byt naszym pracownicom — odpowiedziała wyniośle panna Howard.

— A sprzedażą kaftaników zajmie się sama?

— Kaftaniki mogą zostać na składzie — cicho odezwała się Ada.

— Wierzę pani, że wolałabyś dodać jeszcze 700 rubli, byle cię nie obdarowano tym stosem rupieci, który nas do rozpaczy doprowadza — odparła zgryźliwie panna Papuzińska.

Uczestniczki zaczęły zbierać ze stołu swoje pieniądze. Im zaś która miała mniej do wzięcia, tem większą radość było widać na jej twarzy. Tylko panna Howard nie tknęła swoich pięciu rubli, a gdy jedna z pań podała jej papierek, panna Howard rzekła obojętnie:

— Niech to zostanie w kasie.

Znalazłszy się z Madzią na ulicy, Ada była zachwycona.

— Ach, droga Madziu — mówiła, ściskając ją za ręce — jakżem ci wdzięczna!... Bo gdyby nie ty, nigdybym się tu nie wpisała, nawet nigdyby mi to na myśl nie przyszło... Dziś dopiero zaczynam żyć...

widzę jakiś cel... jakąś uczciwą pracę. Cóż to za zacne kobiety, z wyjątkiem paru krzykaczek...

— Niepodoba ci się panna Howard? — zapytała Madzia.

— Ależ przeciwnie. Ona zawsze była dziwaczka, ale w gruncie bardzo dobra kobieta. Tylko te jej dwie pomocnice, Boże!... Ale, ale — dodała nagle — wiesz, Madziu, że gniewam się na ciebie? Jak mogłaś prosić obcych pań o poparcie dla twojej przyjaciółki, nie wspomniawszy mi o niej ani słówka? Przecież my mamy w Jazłowcu takie stosunki, że ją natychmiast przyjmą. A tu, słyszałaś, jak ci odpowiedziano...

— Nie śmiałam nadużywać twojej dobroci — odparła zmieszana Madzia.

— Ach, nie śmiałaś nadużywać dobroci!... Więc już w taki sposób przemawiasz do mnie?... Dajesz nam co dzień i co godzinę jałmużnę ze swej własnej osoby, wniosłaś radość do naszego domu, a sama nie przyjmujesz najmniejszej usługi, nawet dla twoich znajomych. Więc to tak?...

— No, nie gniewaj się, Adziuś, już nigdy tego nie zrobię.

Wsiadły w dorożkę, która lekkim truchtem odwiozła je do domu.

— Pamiętaj, Madziu, pamiętaj i już nie rób z nami tak źle — mówiła Ada. — Ty nawet nie przeczuwasz, jaką to dla mnie było przykrością... Pamiętaj, że nasz dom, to twój dom i że każdy człowiek, który ciebie obchodzi, nas obchodzi... Zapamiętaj to sobie, Magduś, bo inaczej wielką krzywdę

wyrządzisz ludziom, którzy i wiele ci zawdzięczają i bardzo kochają.

Uściskały się w dorożce i powróciła zgoda.

— A do tej panny... jakże ona?...

— Cecylja.

— Do panny Cecylii napisz, że miejsce ma i tylko musi poczekać parę tygodni na wezwanie do przyjazdu.

— A jeżeli nie wakuje teraz posada nauczycielki? — zapytała Madzia.

— Moja droga — odparła Ada ze smutnym uśmiechem — wszędzie i zawsze znajdzie się miejsce dla tego, za kim przemawia pan Solski. Ja dopiero dziś zaczynam rozumieć potęgę stosunków i pieniędzy. Ach, straszna to siła!... A jeszcze Stefek mówi, że są ludzie gotowi padać na twarz przed każdym workiem pieniędzy, choćby z nich żadnego nie odnieśli pożytku.

Madzia ze zdumieniem przysłuchywała się swojej przyjaciółce. Nigdy jeszcze Ada nie była tak ożywiona, nigdy w jej głosie nie było tego tonu pewności, co dziś. Widać, że dzisiejsza sesya otworzyła przed nią jakieś nowe horyzonty, a może tylko dała jej okazyę zakosztowania potęgi majątku.

„Tysiąc sześćset rubli rzuciła w ciągu jednego wieczoru... Stworzyła schronienie dla trzech starych nauczycielek i utrzymanie dla dwudziestu ubogich dziewcząt“ — myślała Madzia i patrząc z boku na twarz Ady, co chwilę oświetlaną błyskami latarni ulicznych, pierwszy raz w obec niej doznała uczucia bojaźni czy wstydu.

„To naprawdę jest wielka pani... Ja naprawdę

znam wielką damę, której jedno słówko zapewnia byt kilkudziesięciu osobom!... Ale, co ja robię przy niej i między niemi?... Po co ja się tu dostałam, ja, biedna nauczycielka, córka ubogiego lekarza?... Ha, zapewne po to, ażeby służyć innym... Chociaż wolałabym, ażeby się to już skończyło..."

Dotychczas Madzia w wyobraźni swojej stała na jednym poziomie z panną Solską: były przyjaciółkami od szkolnej ławy. Dziś uczuła, że ów grunt wspólny pomiędzy nią i Adą zaczyna pękać, a ich stanowiska rozchodzić się.

„Może ona myśli — mówiła do siebie stroskana Madzia — że i ja upadnę na twarz przed workiem pieniędzy?..."

Dorożka stanęła obok bramy pałacu, do którego Ada weszła uradowana, Madzia zakłopotana i smutna. Nigdy jeszcze ten gmach nie przygniatał jej, jak dziś, swoim ogromem; nigdy wykwintne pokoje nie wydały się bardziej obcemi; nigdy nie czuła tego wstydu w obec wygalonowanej służby, co dziś.

„Lokaje, pokojówki, lustra duże jak okna, salony ze złoconemi ścianami, palisandrowe sprzęty!... To nie mój świat, nie mój... nie mój..." — myślała przerażona Madzia.

Na drugi dzień, w południe, ciocia Gabryela zaprosiła do siebie Madzię. Ady nie było, ale był pan Stefan.

— Czy wie pani, co w tej chwili robi moja siostra? — zapytał.

— Zdaje mi się, że wyjechała do miasta... — odparła nieco zaniepokojona Madzia.

— Tak. Pojechała między naszych kuzynów i znajomych zbierać podpisy na założenie instytucyi, opiekującej się staremi nauczycielkami...

Solski zająknął się, lecz po chwili mówił dalej.

— Jeżeli projekt ten uda się, moja siostra będzie miała udział w utworzeniu szlachetnej instytucyi... Spełni dobry czyn, obywatelski czyn... Ona to rozumie i czuje się bardzo szczęśliwą... Ani ciotka, ani ja jeszcze nigdy nie widzieliśmy jej tak uradowanej, podnieconej... Zwykły smutek gdzieś się podział, a jej jakby skrzydła urosły...

Wszystko to zawdzięczamy pani — ciągnął wzruszony Solski. — Zagranicą lekarze przepowiadali Adzie ciężką chorobę nerwową, jeżeli nie znajdzie celu w życiu... No i pani wprowadziła ją na tę drogę... Ada będzie szczęśliwa, a my — spokojni o nią. Wszystko to dzięki pani, która, doprawdy, stajesz się opiekuńczym aniołem naszego domu...

Madzia słuchała bez tchu, nie śmiejąc spojrzeć na niego.

— Dziękuję pani, dziękuję... — rzekł, mocno ściskając jej rękę.

— Ale nie przypuszczałam, że panna Brzeska jest tak gorącą apostołką emancypacyi — wtrąciła ciotka Gabryela.

— Ja?... — spytała zdziwiona Madzia.

— Ludzie mówili to zawsze, a fakta choćby dziś... Powiedzże, Edyto — zwróciła się ciotka do swej pełnoletniej panny do towarzystwa — czy nie słyszeliśmy, że panna Brzeska jest zapaloną emancypantką?

— Ależ tak — potwierdziła stara dama do towarzystwa. — Tak utrzymuje cała Warszawa...

— Mniejsza o to — przerwał Solski. — Jeżeli takiemi są emancypantki, a choćby tylko trzecia część ich, obu rękoma zapisuję się do ich stronnictwa. Mam jednak z panią jeszcze inny rachunek — zwrócił się do Madzi. — Wczoraj zrobiła pani wielką przykrość mojej siostrze... Pani wie, o czem mówię... Otóż mamy prośbę do pani. Ile razy ktoś z bliskich, albo tylko znajomych pani, będzie potrzebował zajęcia, czy poparcia, niech pani zrobi nam ten zaszczyt i najpierwej zwraca się z żądaniem o pomoc do siostry, albo do mnie...

— Proszę pana, czy ja mogę robić coś podobnego?... — odparła dość stanowczo Madzia. — Ja przedewszystkiem za mało znam ludzi... A powtóre — dom państwa nie może być przytułkiem moich znajomych...

— Szlachetna duma!...— szepnęła panna Edyta, z zachwytem patrząc na Madzię.

Solski niecierpliwie machnął ręką.

— Zaraz pani wytłómaczę moją prośbę ze stanowiska kapitalisty. My, ludzie majętni, nie zawsze mamy rozum, ale jedno wiemy, że: gdy otaczają nas ludzie uczciwi, nasze majątki są pewniejsze i dają większy procent. Czy uznaje pani tę zasadę?

— Zapewne... Zresztą nie znam się na tem — odpowiedziała Madzia.

— Otóż widzi pani... Ja dzisiaj potrzebuję wielu ludzi do cukrowni, może niezawsze fachowych, ale uczciwych. I wierzę niezachwianie, że jeżeli pa-

ni zarekomendowałaby mi kogoś ze swoich znajomych, byłby to z pewnością człowiek uczciwy, bo przed hultajem ostrzegłby panią dobry instynkt, który pani posiada w wysokim stopniu. Panno Magdaleno — kończył, biorąc ją znowu za rękę — mam parę... nawet kilka dobrych posad... Gdyby więc ktoś bliski pani potrzebował, zrób nam tę łaskę i... rozporządzaj niemi...

Madzi przyszedł na myśl jej własny ojciec lekarz i brat technolog. Ale jednocześnie uczuła, że tych ludzi nie może zalecać Solskiemu, że nigdy nie zdobyłaby się na to.

Więc, podziękowawszy za uprzejmą obietnicę, odpowiedziała, że gdyby kto z jej znajomych zgłosił się z podobnem żądaniem, nieomieszka zawiadomić Solskiego.

Pożegnała ciocię Gabryelę, pana Stefana i starą damę i wróciła do siebie. W pół godziny później wpadła do niej zawinięta w szal, z miną bardzo tajemniczą, panna Edyta i, oglądając się na wszystkie strony, rzekła dramatycznym szeptem:

— Niema nikogo?

— Nie — odpowiedziała Madzia.

Wówczas panna Edyta schwyciła ją w objęcia i tuląc do serca, mówiła cicho, ciszej, aniżeli szelest skrzydeł motylich:

— Wybornie... cudownie postawiłaś się, drogie dziecię w obec pana Stefana i ich wszystkich... Oszaleje... straci rozum!... Tak ciągle postępuj: niczego nie żądaj, a wszystko przyjmuj chłodno, obojętnie, jakbyś robiła łaskę... Tym sposobem zdobędziesz niezachwiane stanowisko...

Dajże mi twego roskosznego buziaka i... pamiętaj o moich radach!...

To powiedziawszy, dama do towarzystwa wymknęła się z pokoju, w sposób równie tajemniczy, jak do niego weszła.

XV.

Odgłosy z innego świata.

— Proszę pani przyszła pani Arnold.

— Dawno?

— Czeka z kwadrans.

Taką wiadomość na schodach udzieliła pokojówka Madzi, powracającej z miasta.

— A panna Ada jest?

— Nie. Pani wyszła o jedenastej do tych tam robotnic...

Madzia szybko wbiegła do swego mieszkania. Ale ani w saloniku, ani w gabinecie nie zastała pani Arnoldowej. Dopiero, gdy zajrzała do pokoju Ady, którego drzwi były otwarte, za portyerą spostrzegła panią Arnold, z notatnikiem i ołówkiem w ręku. Amerykanka przypatrywała się portretom rodziców Ady, zawieszonym naprzeciw łóżka i zdawało się Madzi — przerysowywała je.

„Ci amerykanie mają podobno zwyczaj wszystko notować. Dobry zwyczaj...“ — pomyślała Madzia.

Na szelest jej kroków pani Arnold odwróciła się i zamknęła notatnik. Potem, nie tłómacząc się

ze swej obecności w pokoju Ady, przeszła do saloniku Madzi.

— Chciałam z panią rozmówić się o ważnych rzeczach — rzekła pani Arnold po francusku. — Ale proszę nie szydzić ze mnie, co zresztą byłoby naturalne w kraju, gdzie ludzie albo nie wierzą w świat duchów, albo wcale się nim nie zajmują.

Madzia słuchała jej, usiłując zapanować nad zdziwieniem. Pani Arnold usiadła na kanapce, schowała notatnik i mówiła dalej:

— Od pewnego czasu weszłam w stosunki z nieboszczką... z matką Heleny i pana Kazimierza...

Madzia otworzyła oczy. Wiedziała ona, że pani Arnoldowa jest spirytystką; głośne to nawet było w Warszawie. Ale dotychczas nie prowadziła z nią rozmowy o tych kwestyach.

— Przykry to dla mnie stosunek duchowy — ciągnęła pani Arnold — nie dla tego, ażebym była zazdrosna o przeszłość mego męża, o nie!... Ale ta nieszczęśliwa bardzo cierpi i czegoś żąda odemnie, czego nie mogę zrozumieć...

— Cierpi?... — powtórzyła Madzia.

Pani Arnold machnęła ręką.

— Ach, jest to jeden z najokropniejszych stanów, w jakim może się znaleźć dusza... Wyobraź sobie pani: ona biedaczka jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, że umarła...

Madzię dreszcz przebiegł.

— Jakto?... więc cóż jej się może zdawać?...

— Zdaje się jej, że jest w domu zdrowia, gdzie nietylko gwałtem ją zatrzymują, ale nawet nie prze-

puszczają wiadomości o dzieciach. Stąd wyrodził się w niej nadzwyczajny niepokój.

Madzia przeżegnała się. Zdania, przed chwilą wypowiedziane, były tak nowe dla niej, że mogła posądzać panią Arnold o mistyfikacyę, albo o obłąkanie. Lecz amerykanka mówiła w sposób naturalny, nawet z odcieniem współczucia, jak osoba, która opisuje fakt nie mający w sobie nic dziwnego.

— Pani odwoziłaś nieboszczkę w dniu opuszczenia przez nią pensyi?... — spytała pani Arnold.

— Ja... Ale tylko przez jedną ulicę... Mówiła, że wyjeżdża na parę dni... Zresztą wszyscy o tem wiedzieli, nie kryłam się... — tłómaczyła się wylękniona Madzia.

— Nieboszczka uważała panią, jakby za drugą swoją córkę, kochała panią...

— Tak... dosyć lubiła mnie.

— Nie wiem, czy nawet nie wspomniała kiedy, że pragnie, ażeby jej syn ożenił się z panią?

Madzia zaczerwieniła się i zbladła. Tchu jej zabrakło.

— Nigdy... nigdy!... — odparła zduszonym głosem.

Pani Arnold przypatrzyła się jej z uwagą i mówiła dalej równie spokojnie:

— Nie zrobiłabyś pani świetnej karyery, ale mniejsza o to. Jak duży majątek zostawiła nieboszczka?

— Żadnego... — prędko odpowiedziała Madzia.

— Czy tylko nie mylisz się pani? Helena ma kilka tysięcy rubli złożonych w banku, a pan Kazimierz, nie ma wprawdzie nic, bo stracił, ale znowu spodziewa się jakiejś sumy po matce. Tak przynaj-

mniej mówi memu mężowi, od którego pożycza pieniądze. Więc majątek został...

— Proszę pani, nic nie zostało — zaprzeczyła Madzia. — W jesieni, zaprzeszłego roku, pani Latter pożyczyła od Ady sześć tysięcy rubli... Wreszcie, zdaje mi się, iż opuściła pensyę z tego powodu, że brakło jej pieniędzy. Pozostałe długi uregulował pan Solski, albo Ada...

Pani Arnold sposępniała.

— W takim razie — rzekła półgłosem — i mój mąż musiał im coś dać... No, dzieci jego żony... Nie mógł ich zostawić bez pomocy...

Potem, biorąc Madzię za rękę, rzekła podniecona:

— Na moją wiarę zapewniam panią, że nie żałuję ani tego, co mąż (choć bez mojej wiedzy) zrobił dla nich, ani tego, że Helena mieszka u nas. Gdzież ma mieszkać, u brata?... Dochody nasze w tym kraju są tak znaczne, że możemy wydawać, i jeszcze coś zostanie dla mego Henrysia. Ale już rozumiem przyczynę strasznego niepokoju nieboszczki: jej dzieci są na łaskawym chlebie, a to musi ranić serce każdej matki.

Madzia uczuła na twarzy piekący rumieniec.

— I niech pani doda — mówiła amerykanka — że nie widać końca tego stanu rzeczy. Pan Kazimierz jest próżniak i hulaka, nad którym wisi jakaś przykrość, czy niebezpieczeństwo (ostrzegły mnie o tem duchy); a Helena, mogąc zrobić świetną karyerę, burzy ją własnemi rękoma. Proszę pani, pan Solski, choć niedowiarek, ale człowiek nietuzinkowy. Bogaty, wysoka inteligencya (ma nawet zdolności do interesów, jak zapewnia mój mąż), a nadewszystko

szalenie kochał Helę. Patrzyłam na to... wulkan nie człowiek!... Ale dziś widzę zmianę. Jeszcze i dziś, kiedy jest przy niej, poszedłby za nią do piekła; niemniej — nie jest to już tamta miłość z przed trzech, albo i dwu miesięcy.

— Hela niepotrzebnie drażni go, kokietując innych panów — wtrąciła zmartwiona Madzia.

— To jeszcze byłoby mniejsze — mówiła pani Arnold. — Ale pan Solski ma za dużo rozumu i uczucia, ażeby od swej żony nie żądał jakiejś wiary, miłości dla ludzi, ideału... Tymczasem dla Heleny żadne podnioślejsze sprawy nie istnieją, ona drwi z nich. A ponieważ jest za dumna, ażeby chciała udawać, więc z panem Solskim postępuje nieledwie w cyniczny sposób. „Ja dam ci moją piękność, a ty mi dasz twój majątek i nazwisko“ — oto jej dewiza!... Pan Solski niezupełnie wierzy w to, posądza ją o pozowanie; ale jednak zniechęca się i może całkiem opuścić.

— Pani nie zwracała jej uwagi na to? — zapytała Madzia.

— Próbowałam, ale bez skutku. Zresztą, nie śmiem przynaglać do małżeństwa, ażeby nie sądziła, że jej domu żałuję. A tu czas płynie i swoje robi. Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa i pan Solski, który dziś, odpowiednio zachęcony, możeby się ożenił, jutro straci do niej sympatyę.

— Oni już byli narzeczonymi i zerwali — rzekła Madzia.

— Takie zerwanie nic nie znaczy. Piękne kobiety mogą się drożyć; na mężczyzn działa to nawet zbawiennie. Nie należy tylko przeciągać struny.

Madzia patrzyła na nią pytającym wzrokiem. Pani Arnold, spostrzegłszy to, rzekła:

— Otóż na czem polega moja prośba do pani. Ja Heli nie mogę mówić ani o zamążpójściu, ani o niepokojach jej matki. Niech więc pani rozmówi się z nią szczerze, jako przyjaciółka...

— Pani Latter bardzo życzyła sobie tego związku i bardzo cierpiała, dowiedziawszy się o zerwaniu...

— Otóż to. Może nawet zerwanie stało się jedną z pobudek jej śmierci tak niezwykłej... Zwracam nareszcie uwagę, że pani w delikatnej formie może Heli wspomnieć o tem, co Solscy zrobili dla nieboszczki... Gdy w sercu Heleny obudzi się wdzięczność i nieco obawy o jutro, wówczas zacznie inaczej traktować pana Stefana i wszystko ułoży się...

Temat rozmowy został wyczerpany i pani Arnold wróciła do kwestyi spirytyzmu. Ubolewała, że w tym kraju klasy oświecone i majętne za mało dbają o świat duchów, a jako przykład postawiła Adę, która więcej zajmuje się rzeczą tak materyalną, jak mikroskop, albo tak doczesną, jak stowarzyszenie kobiet, aniżeli przyszłością własnej duszy i obecnem położeniem swoich rodziców.

— Niech ją pani przekona, a będzie z niej gorliwa apostołka — rzekła Madzia.

Pani Arnold patrzyła w jakiś nieokreślony punkt i kiwała głową.

— Droga pani — odparła — wiele ja myślałam, ażeby bodaj tę jedną rodzinę nawrócić do prawdziwej wiary, bo ludzie majętni, światli i wpływowi, dużo dobrego mogliby zrobić bliźnim. Ale — jak ich przekonać?... Duchy nie są naszymi sługami i nie

przychodzą na każde zawołanie. My, pośrednicy, między tym a tamtym światem, niezawsze rozumiemy ich głos, więc możemy się mylić. Nieraz potrzebne nam są środki czysto ziemskie, pomoc ludzi, a ci nie zawsze, o! nie zawsze godni są zaufania... Wierz mi pani, że gdyby nie poczucie obowiązku, gdyby nie nadzieja, że religja nasza może świat zmienić do gruntu, poprawić go i uszczęśliwić w tem i przyszłem życiu, wierz mi pani, wyrzekłabym się mego powołania. Jakież ono ciężkie!... Same stosunki z duchami zadają dużo cierpień... Gdy zaś, jako istoty niedoskonałe, potkniemy się, ileż spada na nas drwin i obelg?... A jak to przeszkadza rozszerzaniu się wiary, pomimo całej jej prawdziwości!

Żegnając się, pani Arnold jeszcze zapytała Madzi:

— Pani dawniej zna pana Zgierskiego, czy to jest dobry człowiek?

— Czy ja wiem?... Zdaje mi się, że tak...

— Człowiek zręczny i umiałby być użytecznym, ale... On tak prędko nawrócił się, że aż się waham... A pani Edyta, która mieszka u ciotki państwa Solskich, czy nie jest osobą interesowną?...

— Tego nie wiem.

— Można ufać temu, co ona mówi?

— Prawie, że nie znam jej — odparła zakłopotana Madzia.

— Oto widzi pani, jak trudno zebrać między ludźmi najprostszych informacyi! — westchnęła pani Arnold. — A przecież nie mogę zapytywać ducha Cezara o opinję o Zgierskim, albo Maryi Antoniny o panią Edytę...

No, do widzenia — rzekła, mocno ściskając Ma-

dzię za rękę. — Sądzę, że nie mam potrzeby prosić panią o oględne posługiwanie się wiadomościami, których udzieliłam. Dzieciom nie wszystko można mówić o ich matce, ani profanom o trudnościach, z jakiemi musimy walczyć my, pośrednicy. Nie tracę też nadziei; że wkrótce i panią zobaczymy między poświęconymi. Duchy nieraz dawały mi to do zrozumienia. No — adieu!...

Po odejściu gadatliwej amerykanki, Madzi przez kilka chwil zdawało się, że ona jeszcze mówi. Pokój krążył jej przed oczyma i zaczęła się czegoś lękać, sama nie wiedząc: czy duchów, czy ogromnych, pustych salonów, które ją ze wszystkich stron otaczały.

„Boże!... — myślała, chwytając się za głowę. — Dusza, która nie wie o tem, że już opuściła ciało i wyobraża sobie, iż jest w domu zdrowia...“

Przypomniała sobie postawę i fizyognomję pani Arnoldowej. Obłąkana, czy mistyfikatorka? Ale gdzież tam! Zwyczajna, dobra kobieta, trochę wielomówna, która z najlepszą w świecie wiarą opowiadała swoje przywidzenia, czy widzenia...

„Skąd znowu przyszło jej do głowy, że pani Latter chciała mnie wydać za swego... Druga córka!.. No, mogła jej coś powiedzieć Hela... W każdym razie dziwna ta apostołka przypomniała mi mój obowiązek. Hela musi... musi wyjść za pana Stefana...“

Gdy tak myślała, stanął jej w pamięci pan Stefan, prawie piękny mimo swej brzydoty, a imponujący naturą wulkaniczną, szlachetnością, zresztą uprzejmością dla niej samej.

„Ona ma słuszność mówić, że gdy pan Stefan jest przy Heli, wówczas znajduje się pod jej wpły-

wem. Ileż razy sama to widziałam... Ach, nieznośny kobieciarz... Jak on nawet na mnie spoglądał!... Zresztą Ada nie ukrywa tego, że on wybucha wobec każdej kobiety... Rozumie się, że gdy Hela zechce, będzie go miała. I tak stanie się najlepiej...“

Cicho westchnęła i usiłowała nie myśleć o panu Stefanie. Cóż ją obchodził pan Stefan? Szanuje go, podziwia i na tem koniec. Ale jakiż on szlachetny, jaki wspaniały w swoich porywach, a jaki dobry wówczas, gdy hamuje się, ażeby nie umizgać się do Madzi, która jest przecie gościem jego siostry. Nie dziw, że arystokratyczne panny radeby go odciągnąć od Heleny. Ale on musi zostać mężem Heleny... Niczyim, tylko Heleny, naprzekór wszystkim pannom z towarzystwa... Ona przecież także arystokratka z upodobań, z postawy, a nadewszystko z piękności. Któraż jej dorówna, choćby najbardziej utytułowana?

XVI.

Pan Zgierski wschodzi.

W kilka dni, na rogu ulicy Marszałkowskiej i Królewskiej, z ciężkiego szafirowego tramwaju wyskoczył pan Zgierski i jak duża popielata piłka, zatoczył się prawie pod nogi idącej Madzi. Kłaniał się nisko i szeroko, ocierał pot z łysiny i mówił:

— Jakie szczęście, że panią tu spotykam!... Już nawet chciałem złożyć pani w jej mieszkaniu moje najgłębsze uszanowanie... Czy nie idzie pani przez Saski ogród?...

— Owszem, mogę pójść.

— Zawsze ta sama dobroć. Co za gorący dzień!... nie chce się wierzyć, że dopiero jesteśmy w kwietniu. Ogród zdaje mi się chłodniejszym, niż ulica; wreszcie wiosenny krajobraz jest dla pani najwłaściwszem otoczeniem. Czy uważa pani, że tu i owdzie już przezierają jasnozielone listki trawy?... I pączki... słowo honoru!... malutkie, zaledwie pączusiami nazwać je można, ale już są. A niebo?... Proszę, pani — taki błękit!... I tych kilka obłoków białych jak łabędzi puszek, którym panie chronią szyjki podczas balów... Cudownie pani dziś wygląda, tak... jak zwykle, bo trudno mi o ściślejsze porównanie. Nie wiem, czy to wpływ wiosny, czy widok pani, ale czuję się odrodzonym...

— Pan ma do mnie interes? — przerwała Madzia.

— A zawsze ta sama skromność — mówił Zgierski, słodko uśmiechając się i nieomal pieszcząc ją czarnemi oczkami. — Tak, interes i to nie jeden...

— Zaciekawia mnie pan.

— Przedewszystkiem osobisty. Ile razy widzę panią, choćby w przelocie, w pierwszej chwili doznaję czegoś przykrego, jakby uczucia wstydu, że jednak ja jestem zły... Ale wynagradzają mi to chwile następne: czuję bowiem, że stałem się jakby lepszy.

Mówił tak gorąco a delikatnie, z tak głębokiem przekonaniem, że zakłopotana Madzia nie mogła się na niego gniewać.

— A ten drugi interes? — spytała z lekkim uśmiechem, dodając w myśli:

„Jaki to zabawny komplemencista!...“

— Drugi interes jest nie mój i dla tego po-

ważniejszy—odparł zmieniając ton. Chodzi o kogóś, kto panią interesuje...

— Domyślam się, o Helę... O, pan może przypuszcza, że ja zapomniałam o naszej umowie!... Wtedy u państwa Korkowiczów.

— O naszej umowie?... — zdziwił się Zgierski.

— Mieliśmy wspólnie pracować nad ustaleniem jej przyszłości, a ja zaraz zgadłam, że chodzi o nawiązanie małżeństwa z panem Stefanem, które Hela tak niebacznie potargała... Ale mam nadzieję, że to się zrobi...

— Co?... małżeństwo panny Heleny... Z jakim panem Stefanem?... bo i ja jestem Stefan. Ale jeżeli mówi pani o małżeństwie panny Heleny z panem S... to, wybaczy pani, ale ja o tem nie myślałem.

— Ależ pamiętam słowa pańskie: musimy zająć się przyszłością tych dwojga dzieci, to jest Helenki i jej brata...

— Ja?... — pytał zdumiony Zgierski, stając w alei i kładąc rękę na piersi. Z tych dwojga dzieci, jak pani je nazywa, panna Helena interesuje się teraz, naturalnie po swojemu, młodym Korkowiczem. A zaś pan Kazimierz, jest to utracyusz, który potrzebuje tylko pieniędzy i impertynent, który, za przyjacielskie uwagi, płaci... płaci najniewłaściwszemi odpowiedziami. Ja do tego planu, o którym pani mówi, ani myślę należeć... Chciałem zaś zakomunikować pani wiadomość ważną, dotyczącą naszego szlachetnego pana Stefana.

— Prawda, jaki szlachetny?... — powtórzyła Madzia z zachwytem.

— Ależ to nadzwyczajny człowiek!... To, pani,

genjusz: inteligencyi, charakteru, energji... To człowiek, który — poprostu — robi uszczerbek ludzkości, przez to, że nie zajmuje jak najwyższego stanowiska. Umysł — serce — wola, a wszystko w najwyższej potędze — to jest, mojem zdaniem, pan Solski...

Zdawało się, że Zgierski, mówiąc to, z nadmiaru uniesienia, wzleci po nad Saski ogród.

— Ach, jak go pan dobrze ocenia!...

— Ale ile ja walk muszę staczać o niego — odparł Zgierski, wymownie spoglądając na Madzię. — Jakie się to pod nim doły kopią... Jakie intrygi...

— Co pan mówi?... — zawołała wylękniona Madzia.

— W tej chwili — prawił Zgierski znacząco, zniżonym głosem — tworzy się spółka kapitalistów, która chce użyć wszelkich środków, ażeby pana S... odsunąć od cukrowni, na której zbudowanie już podobno kazał zwozić materyały... Powiadają, że zabrał im pomysł, gdyż to oni mieli zamiar budować w roku przyszłym cukrownię w tej okolicy, a z panem S... zrobić kontrakt o dostawę buraków...

— Któż to są ci panowie?

— Kapitaliści, no... i zależna od nich arystokracya. Ludzie tacy nie znoszą, aby im kto wchodził w drogę i nie cofają się przed niczem!... — dodał ciszej.

— Ależ to okropne — szepnęła Madzia, z przerażeniem wpatrując się w bystre oczki Zgierskiego, które w tej chwili skromnie przysłonił rzęsami.

— Ja, choć obcy panu Solskiemu, zapobiegam i będę zapobiegał katastrofie, o ile mogę...

— A cóż oni mu zrobią?

— Będą psuli roboty, buntowali robotników, podstawiali złe materyały, burzyli przeciw niemu sąsiadów i w rezultacie — doprowadzą go do bankructwa. Niech więc pani ostrzeże pana Solskiego, zresztą... nie wspominając mu o mnie...

— Co też pan mówi! — oburzyła się Madzia. — A któż lepiej może go o tem poinformować, aniżeli pan?

— Jak się pani podoba — odparł lodowatym tonem pan Zgierski, ale czarne oczki jeszcze głębiej przysłonił rzęsami. — Pan Solski — dodał — o jednem nie powinien wątpić, że ma we mnie poświęconego człowieka, który choć nieznany, będzie jednak czuwał nad jego interesami i donosił mu o każdej nowej intrydze za pośrednictwem pani.

— Okropność! — westchnęła Madzia, zarówno przejęta niebezpieczeństwami, grożącemi Solskiemu, jak i szlachetnem poświęceniem Zgierskiego.

— Otóż i jesteśmy u kresu — rzekł nagle jej towarzysz, znowu jak najniżej zdejmując kapelusz i schylając się do ziemi, o ile mu na ten wybryk pozwalały okrągłe formy. — Dziękuję pani za udzieloną mi chwilę szczęścia — westchnął — i polecam interes pana Solskiego.

Potem, biorąc ją za rękę i miłośnie patrząc w oczy, dodał:

— Panno Magdaleno, połączmy w tym celu wspólne usiłowania, a nasz ukochany genjusz pokona wszystkie przeszkody...

Jeszcze jedno spojrzenie, jeszcze jeden ukłon, jeszcze jedno odwrócenie głowy i pan Zgierski potoczył się jak bilardowa kula, gdzieś w nieznaną prze-

strzeń. Gdy mu zaś Madzia zniknęła z oczu, zawrócił w przeciwnym kierunku i filuternie oglądając się za damami, poszedł na kawę do pewnej cukierni. Tam codzień zgromadzali się panowie czuwający, jak on, nad cudzemi interesami, pośrednicy w kupnie i sprzedaży, w udzielaniu pożyczek, robieniu nowych znajomości i zbieraniu informacyi o wszystkiem i o wszystkich, co tylko mogło przynieść dochód człowiekowi, mającemu skromne fundusze.

Wróciwszy do domu, wzburzona Madzia wpadła do pokoju Ady i natychmiast zażądała, ażeby przyszedł pan Stefan. Gdy zaś wezwany ukazał się, opowiedziała mu rozmowę ze Zgierskim.

— Ale co pani taka wzruszona?... — odparł Solski, patrząc na nią z uśmiechem.

— Przecież panu grozi niebezpieczeństwo...

— I panią to tak obeszło?... — spytał Solski.

Madzia nagle umilkła i bardzo zawstydziła się, niewiadomo czego.

Brat i siostra przelotnie spojrzeli po sobie.

— Uspokój się Madziuś — rzekła Ada. — Panowie ci nic nie zrobią Stefkowi... O ich pretensyach wiemy oddawna; ten zaś pan Zgierski widocznie ma do Stefana jakiś interes i dla tego tak cię nastraszył.

— Ale on jest bardzo życzliwy dla pana Solskiego — żywo odpowiedziała Madzia. — On bardzo trafnie zcharakteryzował twego brata i mówił, że choć nieznany i obcy, jednak będzie czuwał... Bo go obchodzi człowiek niepospolity...

— Ach, ach!... — zawołał Solski, klaszcząc w ręce. — Pan Zgierski doskonale trafił. Muszę się z nim zapoznać.

— Czemże on jest? — spytała Ada.

— Zręcznym aferzystą, może trochę lepszym od innych—odparł brat.—Będzie mi znosił plotki, z których może się coś przyda, a ja — dam mu z 50 rubli na miesiąc. Tyle, ile brał procentów od nieboszczki Latterowej, co mu się niestety! urwało.

Madzia słuchała nadąsana.

— Czy to gniewa panią?... — zwrócił się do niej Solski.

— Bo... pan nie ufa człowiekowi, który mówi o panu z największem uwielbieniem...

— Ależ ufam, ufam! — odparł Solski. — Jeżeli nawet zapewni mnie pani, że Zgierski ma skrzydełka cherubina, gotów jestem i w to uwierzyć. Zresztą— kiedyś poznamy go bliżej.

Pożegnał obie panny i nucąc, poszedł do swego gabinetu.

Ada jakiś czas przypatrywała się Madzi. Potem usiadła przy niej i, objąwszy ją wpół, spytała:

— Powiedz mi, ale szczerze, jak najszczerzej: co myślisz o Stefanie?

— Myślę to, co dziś słyszałam od Zgierskiego, że twój brat posiada wszystkie zalety w najwyższym stopniu: umysł — serce — wolę... I jeszcze że jest najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam — odpowiedziała Madzia tonem głębokiego przekonania.

Ada ucałowała ją.

— Dobrze, bardzo dobrze, że tak myślisz—rzekła, tłumiąc westchnienie.

— I dla tego, powiem ci — prawiła Madzia — taki człowiek powinien być szczęśliwym... My wszy-

scy powinniśmy pracować nad jego szczęściem... I, powiem ci, że on powinien się ożenić...

— Masz słuszność — rzekła cicho Ada.

— I my obie, a z nami pani Arnold, musimy zrobić to, ażeby oni pogodzili się z Helą... Ona ma wady, ale któż z nas jest bez wad?... Tymczasem panu Stefanowi taka właśnie żona potrzebna.

Ada nagle cofnęła się i głęboko spojrzała w oczy Madzi.

— Ty to mówisz?... — spytała.

— Bo mam słuszność. Pan Stefan jest niepospolity człowiek, ale i Helenka jest niepospolitą kobietą... Jaka ona piękna, zdolna, a jaka dumna!... Ja, powiem ci, nie kocham jej, nawet tak jak Cecylię, tę, której wyrabiasz posadę w Jazłowcu. Ale, mówię ci, że kiedy patrzę na Helenę, korzę się przed nią, bo czuję, że w tej kobiecie jest coś królewskiego. Prawda, że ona ceni tylko siebie, ale widocznie zna swoją wartość i ten czar, który bije od całej jej istoty.

Ada wstrząsnęła głową. W słowach i oczach Madzi było tyle szczerości, obok jakiejś odrobiny żalu, że niepodobna było wątpić o tem, co mówi.

— I nie przypuszczasz, że mogą być doskonalsze kobiety niż Hela? — spytała Ada.

— Może w wyższych towarzystwach, albo za granicą — naiwnie odpowiedziała Madzia.

Panna Solska roześmiała się.

— Oj ty, ty!... — rzekła i ucałowała ją po kilka razy.

Potem zaczęła jej opowiadać o sprawach towarzystwa kobiet. Że zapewne będzie ufundowane

schronienie dla nauczycielek, a może kiedy i przytułek dla biednych matek. Że w pracowni trykotowych kaftaników jest 30 pracownic i że damy z towarzystwa, zachęcone przez nią, kupiły szesnaście kaftaników. Że nareszcie ją, Adę, dziś zajmują tylko pracujące kobiety i biedne dziewczęta i że ona doznaje niekiedy wyrzutów sumienia z tego powodu, iż nieco zaniedbała swoje mchy i porosty.

— Wyobraź sobie, teraz nie robię nawet czwartej części tych obserwacyi, co dawniej! — zakończyła zmartwiona panna Solska.

Minęły Wielkanocne święta, pamiętne dla Madzi, bo w tym czasie poznała kilka osób z rodziny Solskich. Wszyscy panowie starzy i w średnim wieku, więcej i mniej utytułowani, byli dla Madzi uprzedzająco grzeczni. Ale wiał od nich taki chłód, że dla biednej dziewczyny rozmowa z nimi była męką. Wyrzekłaby się bogactw i stanowiska, uciekłaby na pustynię, gdyby jej przyszło częściej widywać tych czcigodnych panów, którzy każdem słowem, spojrzeniem i ruchem, okazywali, że jest im obcą, a nawet niemiłą.

Młodsze damy z towarzystwa udawały, że wcale nie spostrzegają Madzi; zaś witając się z nią, lub żegnając, patrzyły na ścianę lub sufit. Tylko jakaś wiekowa pani rozmawiała z nią dość łaskawie przez parę minut, ale chyba po to, ażeby powiedzieć jej z uśmiechem, że przekonania jej, Madzi, mają wielki wpływ na Adę, gdyż panna Solska żadną miarą nie dała się namówić na przyjęcie udziału w Wielko-tygodniowej kweście.

Trzeciego dnia Madzia powiedziała sobie, że je-

żeli te wizyty i znajomości przeciągną się dłużej, ona, pomimo całego przywiązania do Solskich, opuści ich dom. Jednocześnie przyszło jej na myśl, czy ci państwo w taki sam sposób postępowaliby z Heleną Norską i czy ona wytrzymałaby w ich towarzystwie? Wytłómaczyła sobie jednak, że panna Helena potrafi traktować ich z góry i właśnie, między tak wyniosłymi ludźmi, znajdzie się w swoim żywiole.

— O, Helenka, to nie ja!...

Ale święta minęły, wizyty wielkich dam i panów skończyły się. Madzia wróciła do zajęć na pensyi, gdzie ją otaczano coraz większym szacunkiem; Ada do towarzystwa kobiet, które dzięki jej, wzrosło w liczbę członków i fundusze; pan Stefan do swoich narad nad cukrownią z przedsiębiorcami i technikami.

Tymczasem słońce codzień wcześniej wschodziło, później zachodziło, coraz wyżej podnosząc się na niebie. Miasto obeschło; ludzie włożyli wiosenną odzież; na ulicach zaczęto sprzedawać niebieskie przylaszczki, posypywane korzeniem fijołkowym; ogród Solskich pokrył się młodą trawą, a jego odwieczne drzewa, pączkami, które już tylko czekały na deszcz, ażeby się rozwinąć.

Pewnego dnia Solski wszedł do pokoju siostry i zastawszy Madzię, rzekł wesoło:

— Nareszcie zrobiliśmy układ z uwielbicielem panny Magdaleny...

— Któż to taki?—spytała zarumieniona Madzia.

— Nie jedyny, ale jeden z gorętszych. Pan Zgierski.

— Jakież robi wrażenie? — wtrąciła Ada.

— Salonowiec, gładki i do znudzenia grzeczny. Ale w gruncie rzeczy jestto człowiek, któremu nie potrzeba otwierać drzwi, bo sam sobie otworzy, gdzie zechce.

Kręcił się po pokoju i strzelał z palców.

— Jesteś zadowolony? — spytała Ada.

— Jestem. To, zdaje mi się, gracz!... Wolę go mieć za sobą, niż przeciw sobie... To jest — za sobą nie radbym go mieć; raczej obok siebie. W każdym razie rekomendacya panny Magdaleny jest bardzo szczęśliwa. I jeżeli pani ma jeszcze kogo do zalecenia mi, a nawet z kilku, czy kilkunastu, będę wdzięcznym.

Zapłoniona Madzia złożyła ręce i patrząc ze zdziwieniem na Solskiego zawołała:

— Nie... Pan już coś musiał słyszeć... Jestem pewna, że pan słyszał!...

— O kim? — spytał ciekawie.

— O panu Fajkowskim...

— Fajkowski?... Pyszne nazwisko! Czy ma skład tytuniu?...

— Ależ gdzież tam, to aptekarz... prowizor apteczny...

— Niechże nam pani opowie o tym Fajkowskim, który tak chybił powołania — nalegał Solski.

— Ach, to cała historya — mówiła Madzia. — Pana Fajkowskiego poznałam w Iksinowie, gdzie był w aptece. To jest poznałam o tyle, że on kłaniał mi się a ja jemu... Kłaniałam się, bo był dobry dla tej biednej Stelli, kiedy do nas przyjechała z koncertem, pamiętasz Ada?... (Ach, Boże, co się też z nią dzieje... Pewnie już biedaczka umarła...)

— Nowa historya — wtrącił Solski. — Ale cóż z tym panem Fajkowskim? Niech już będzie i aptekarz, kiedy nim został.

— Otóż. — prawiła Madzia — pan Fajkowski przyjechał tu do apteki. (Wiesz Ada, stracił tam miejsce, gdyż był lunatykiem i, wyobraź sobie, że na piętro łaził do kuchni!)

— Aha — rzekł Solski — ale w Warszawie już nie jest lunatykiem?

— Nie wiem. Ale tu poznał się z nauczycielką od panny Malinowskiej, znasz ją Ada, z Żanetą...

— Ona ma taką smutną minkę — rzekła Ada.

— Już nie... A raczej — była jakiś czas wesoła, ale teraz jest jeszcze smutniejsza. Bo, wyobraź sobie, że poznali się z panem Fajkowskim, no—i pokochali się...

— Te — no — jest paradne! Czy każda znajomość prowadzi do miłości, czy też tylko aptekarze mają taki przywilej?...

— Nie przeszkadzaj Stefek! — zgromiła go siostra.

— Więc — mówiła Madzia — kochają się, ale pobrać się nie mogą, dopóki on nie będzie miał własnej apteki, albo lepszego miejsca, któreby wystarczyło dla dwojga. Zresztą Żaneta mówi, że gotowa jest dawać lekcye, byle się to już raz skończyło...

— Bah!... — wtrącił Solski.

— Ach, Stefek, nie przerywaj...

— Tymczasem wyobraź sobie, co się dzieje. Onegdaj zaczepia mnie Żaneta, zapłakana, i mówi: moja Madziu, podobno pan Solski przy swojej cukrowni będzie miał doktora i aptekę. Spytaj się więc,

czy biedny Fajkowski nie dostałby tam miejsca? To ogromnie zdolny aptekarz (mówi Żaneta), on sam robi analizy. A jaki cichy, pracowity...

— Oczywiście już wyleczył się z lunatyzmu — mruknął Solski. — Rozumiem — dodał głośno — więc pani chce uszczęśliwić tę kochającą się parę?...

— Cóż ja mogę? — odparła zmartwiona Madzia, wzruszając ramionami.

— A ja mam temu panu Fajkowskiemu (dla czego on się nie nazywa — naprzykład: Retortowski?), a ja temu panu mam oddać aptekę przy fabryce?

— Ach gdyby pan to zrobił! — zawołała Madzia. — Oni tacy smutni, tak się kochają...

— Ada, siostro moja — rzekł uroczyście Solski, stając na środku pokoju, — Ada, powiedz pannie Magdalenie, że jej protegowany pan Fajkowski, już ma aptekę przy naszej fabryce. Ale pod warunkiem, ażeby poślubił zapłakaną pannę Żanetę... No, i rozumie się, ażeby mnie nie wyrzucili stamtąd nasi antagoniści...

Madzia, zamiast odpowiedzi, schwyciła Adę w objęcia i zaczęła całować ją po twarzy i rękach.

— Ada — rzekła pół głosem — powiedz twemu bratu, że jest aniołem...

I łzy zakręciły się w jej oczach, gdy spojrzała na pana Stefana.

Solski zbliżył się i pocałował Madzię w rękę.

— Pani to jesteś aniołem — odpowiedział — bo nie tylko dajesz nam możność przyczyniać się do szczęścia ludzi, ale jeszcze myślisz, że robimy im łaskę. A tym czasem jest odwrotnie... Tak, tak —

dodał — niech pobierają się zakochani, a my im pomagajmy...

— Właśnie Madzia i tobie chce pomódz do szczęścia —odezwała się Ada.—Przed świętami wciągnęła mnie do spisku, ażeby pogodzić cię z Heleną i, naturalnie połączyć was...

— Ach, Ada!... — zawołała przerażona Madzia, zasłaniając oczy. — Jak mogłaś powiedzieć coś podobnego?...

Na twarzy pana Stefana ukazał się wyraz przykrego zdziwienia.

— Pani mi tak radzi? — spytał po chwili namysłu. — Ha, może usłucham i w tym wypadku...

— Jakby to było dobrze! — szepnęła Madzia.

— Może, może... — odparł Solski. —Zobaczymy, o ile rada pani jest słuszną... Tymczasem pan Fajkowski dostanie aptekę przy fabryce.

Kręcił się jeszcze po pokoju i wyszedł chmurny.

— Czy pań Stefan obraził się na mnie?...—spytała Ady wylękniona Madzia.

— Cóż znowu?... Tylko widać przyszedł mu na myśl jego stosunek z Heleną i zasępił go. Ale to minie — odpowiedziała Ada.

— Jaki on dobry... jaki on szlachetny... jaki on święty... — mówiła Madzia, tuląc głowę na ramieniu Ady.

XVII.

Brát i siostra.

W domu Arnoldów panna Helena zajmowała duży, wesoły pokój, urządzony jak niegdyś u matki. W oknach wisiały te same firanki, u sufitu ta sama lampa z niebieskim kloszem, na podłodze stały te same sprzęty i sprzęciki, między któremi najokazalej wyglądało lustro, cieszące się największą sympatyą właścicielki.

Na schyłku kwietnia, po południu, w pokoju tym znajdowała się panna Helena z bratem. Ona posępna, siedziała na niebieskiej kanapce, przypatrując się swemu bucikowi, a pan Kazimierz chodził rozgorączkowany i zakłopotany.

— Więc ojczym — rzekła siostra — już nie chce pożyczyć ci pieniędzy?

— Dałby mi, ale sam potrzebuje.

Panna Helena smutnie uśmiechnęła się, kiwając głową.

— I sądzisz, że ja nigdy nie będę potrzebowała pieniędzy — odparła. — Mam wielki majątek i częścią jego dochodów mogę pokrywać twoje szalone wydatki?

— Daję ci słowo, Hela, że to ostatni raz. Przyjąłem miejsce na kolei i będę pracował... Niech licho porwie wielkoświatowe znajomości, które tyle mnie kosztowały czasu i pieniędzy, a nie przyniosły nic. Ale ten ostatni dług muszę spłacić, poprostu dla przecięcia stosunków.

— Tysiąc rubli.... — mówiła panna Helena. — Ja tyle nie wydałam za granicą.

— No, już moja droga!... — przerwał brat. — Wydałaś więcej, choć nie potrzebowałaś niczego.

Na pięknej twarzy panny Heleny zapłonął delikatny rumieniec.

— Kiedy obejmujesz tę ową posadę? — spytała.

— W przyszłym tygodniu.

— A pensya?

— Tysiąc pięćset.

— Za cóż oni będą ci tyle płacić?

— A to dobre! — wybuchnął pan Kazimierz. — Będą płacić za moją znajomość języków, za wiadomości ekonomiczne, wreszcie za stosunki...

— Stosunki, które przyniosły ci jakiś nędzny urzędzik, a kosztowały chyba z dziesięć tysięcy rubli. Było też po co kręcić się po salonach!

Pan Kazimierz musiał być mocno rozdrażniony, stanął bowiem przed siostrą i prawie drżącym głosem odparł:

— Nie moja wina. Traciłem pieniądze, bo szedłem do czegoś lepszego. I z pewnością inaczej miałbym się dzisiaj, wszystko byłoby odzyskane z lichwą, gdyby nie twój kaprys... Zrywając z Solskim, mnie podstawiłaś nogę... Szwagier Solskiego inaczej byłby traktowany.

— Byłeś przecie jego przyszłym szwagrem i cóżeś zyskał oprócz długów? Zresztą, o ile wiem, Solski trzyma się zdaleka od tych panów, którzy rozdają posady...

— On sam byłby coś dla mnie obmyślił, bo niejednokrotnie robił wzmianki o mojej przyszłości.

Teraz zakłada cukrownię... Mógłbym zostać administratorem z pensyą czterech... pięciu tysięcy...

— Cha! cha! cha! — zaśmiała się panna Helena. — Ty — administratorem i w dodatku — Solskiego!...

— Tak, śmiej się, kiedyś mi zwichnęła karyerę. Ja, doprawdy, pytam się nieraz: czy ciebie w życiu kto obchodził? Bo chyba nie ja, a nawet i nie matka...

Panna Helena spoważniała i surowo patrząc na brata, odparła:

— Jak tobie nie wstyd rzucać podobne frazesy? A ciebie kto obchodzi? Czy matka, dla której o tyle byłeś sentymentalnym, o ileś potrzebował pieniędzy? Czy może ja, która, zamiast mieć w tobie opiekuna, muszę przyjmować dom od ludzi obcych?

— Ojczym nie jest obcym. Wreszcie on ma rodzinę, a ja jestem kawalerem.

— Więc żeń się, zostań porządnym człowiekiem, a ułatwisz mi życie. Któż wie, czy to raczej ja nie straciłam karyery przez ciebie.

W przedpokoju rozległ się głos dzwonka. Panna Helena umilkła, a pan Kazimierz, który gotował się już do odpowiedzi, przygryzł usta.

— Zdaje się, że któryś z twoich wielbicieli — mruknął.

— Poproś-że go o posadę administratora — odparła panna Helena.

Weszła Madzia.

Na jej widok, po obliczu panny Heleny przemknął wyraz niechęci, a pan Kazimierz zmienił się. Nieśmiało przywitał Madzię, a w jego gniewnych przed chwilą oczach błysnęło tkliwe uczucie.

Madzia również zmieszała się. Nie spodziewała

się spotkać pana Kazimierza, a może zdziwiła się jego niezwykłemu zachowaniu się.

— Jak się masz, Madziu — rzekła panna Helena, oddając jej chłodny pocałunek. — Oto widzisz — zwróciła się do brata — jej poproś o posadę, a będzie lepsza, niż ta na kolei.

— Mnie?... — spytała Madzia.

— No, droga Madziu, tylko nie udawaj — mówiła panna Helena. — Wszyscy wiedzą, że wyprotegowałaś Zgierskiego, potem narzeczonego Żanety... Aha!... i jeszcze jakąś guwernantkę z prowincyi...

W tej chwili wbiegł w podskokach śliczny chłopczyk i zawoławszy po francuzku:

— Helenko, papa cię prosi...

Schwycił ją za rękę i gwałtem wyciągał z pokoju.

— Nie przywitałeś się, Henryku — ostrzegła go panna Helena.

— Ach, prawda, przepraszam! — odparł, śmiejąc się.

Podał rękę Madzi i znowu zaczął ciągnąć pannę Helenę.

Gdy w dalszych pokojach ucichnął odgłos śmiechu chłopca i kroków panny Heleny, Madzia odezwała się do pana Kazimierza:

— Czy Helenka jest na mnie rozgniewana?

— Rozgniewana — tak, ale nie na panią, tylko na mnie — odpowiedział pan Kazimierz. — Trudno jej pogodzić się z myślą, że po takich nadziejach i tylu kosztach, zdecydowałem się objąć posadę, naturalnie biurową, na kolei żelaznej. Wyobrażam sobie — mówił z goryczą — jak zdziwią się moi wczorajsi przy-

jaciele, kiedy ich dojdzie nieprawdopodobna wiadomość, że Norski został kolejowym urzędniczkiem za 1,500 rubli!

Biedna matka moja — dodał po chwili ciszej — nie takiej spodziewała się przyszłości. A i ja sam, ledwie rok minął, uznałem za konieczne pożegnać się ze złudzeniem. Nie pod tym tylko względem...

— Pocóż się pan tak śpieszy z wyborem zawodu? — spytała Madzia; patrząc na niego ze współczuciem.

— Raczej spóźniłem się, proszę pani — odparł, siadając obok niej. — Gdybym to samo zrobił przed rokiem, nie straciłbym pieniędzy na te obrzydłe stosunki — miałbym już ze dwa lub trzy tysiące pensyi i... mógłbym pomyśleć o szczęściu rodzinnem — dodał ciszej, spuszczając oczy.

— Ale skąd ten nagły zamiar?... Po co to? — mówiła zmieszana Madzia, cofając rękę, którą ujął pan Kazimierz. — Dopiero wchodzi pan w świat, więc skąd to rozczarowanie?

— Nie rozczarowanie, tylko logiczny wniosek. Całą moją zasługą, że pomimo młodości spostrzegłem, iż na nic się nie zdało walczyć z losem.

— Alboż los pana prześladuje?... Ja myślałabym przeciwnie — zaprotestowała Madzia.

Potrząsnął głową.

— Kiedym był dzieckiem — mówił, jakby marząc, a piękne jego oczy pociemniały — matka roiła dla mnie o karyerze dyplomatycznej. Mówiła mi o tem często, kazała uczyć mnóstwa języków, gry na fortepianie, tańca, ukłonów i — bardzo obszernie historyi powszechnej. Mając szesnaście lat, prawie

na pamięć umiałem Momsena, nie licząc mnóstwa dzieł ekonomicznych i prawnych.

Bardzo prędko matka przekonała się, że o karyerze dyplomatycznej nie mogę myśleć, z powodu okoliczności zewnętrznych. Ale we mnie już cel był zasiany. Więc gdy musiałem pożegnać się z przyszłym tytułem ekscelencyi, powiedziałem sobie: będę trybunem.

Jak mi szło w tym kierunku, może pani słyszała. Gdziekolwiek byłem, młodzież widziała we mnie swego kierownika, a starsi nadzieję. „Ten coś zrobi...“ mówili. Wszedłem między arystokracyę i plutokratów, raz ażeby zdobyć odpowiednie stanowisko, drugi raz — ażeby poznać ich bliżej i wybrać między niemi narzędzia do mych celów. Bawiłem się z nimi, wydawałem pieniądze — prawda! — Ale nie robiłem tego na ślepo, tylko z zamiarem. To były szczeble dla mojej karyery, nie ideały.

Madzia słuchała go jak proroka; pan Kazimierz zapalał się i z każdą chwilą piękniał.

— Ale tam — ciągnął — w złoconych salonach, spotkało mnie najcięższe rozczarowanie. Byli tacy, którzy chętnie korzystali z mojej hojności, ale nie było takich, którzyby potrafili mnie zrozumieć. Bawiono się mojemi zaletami towarzyskiemi i pod każdym względem wyciskano jak gąbkę.

Muszę jednak dodać, że nietylko mitry i korony szlacheckie mają przywilej osłaniania tępych głów. Pod frygijską czapką demokracyi jest głupców nierównie więcej, a w dodatku źle wychowanych, wrzaskliwych i nieludzko ambitnych. Młodzież demokratyczna, z którą wreszcie nie robiłem ceremonji,

widząc że żyję wśród wyższego świata, w którym ich ojcowie i bracia zapełniali przedpokoje, ta młodzież — opuściła mnie. Nie zdolni pojąć moich planów, sądzili, iż zdradziłem ich sprawę, tembardziej, że nie mam zwyczaju spowiadać się z moich celów i zasad przy piwie i kiełbaskach. Nie mało także — dodał w nawiasie — u tych sankiulotów zaszkodziła mi wiadomość, że Helena wychodzi za Solskiego.

Tak skończyła się moja karyera, trybuna — mówił z ironią, z którą było mu bardzo do twarzy.— A ponieważ nie mam majątku, więc... cóż lepszego mogę zrobić dzisiaj, jeżeli nie dobijać się stanowiska choćby w biurach kolejowych?... Nie wątpię, że tam wypłynę; ale jest to nadzieja rozbitka, który z potężnego okrętu znalazł się na pustym brzegu, pewny, że choć nie umrze z głodu.

— Przecież i na najskromniejszym stanowisku można być użytecznym i szczęśliwym —wtrąciła głęboko wzruszona Madzia.

— Szczęście!... Wiem coś i o niem—odparł pan Kazimierz. W chwilach zwątpienia nieraz marzyłem, że gdyby wszystko mnie zawiodło, jeszcze zostanie uczucie... Miałem mój ideał; w każdej chwili wolnej widywałem go oczyma duszy, w smutku cieszyłem się nim, w walce — krzepiłem... Ale, ponieważ milczałem, czy nie umiałem przemawiać dosyć głośno, czy... poprostu nie posiadałem majątku, więc mój ideał poszedł w swoją drogę... Życzę mu powodzenia — mówił z namiętnem uniesieniem — i nie mam pretensyi. Byłoby zresztą dziwne, gdyby los niełaskawy dla mnie na wszystkich polach, oszczędził mi tego rozczarowania...

Mówiąc, patrzył w tak szczególny sposób na Madzię, że zmieszana, wylękniona, nie rozumiejąca, co to znaczy: podniosła się z kanapki, jakby chciała uciec.

Na szczęście z dalszych pokojów doleciał ją głos panny Heleny, która po chwili weszła.

— Kaziu — rzekła do brata, już stojącego w oknie — ojczym na ciebie czeka. Podziękuj!... dodała, wyciągając rękę.

— Dajesz?... spytał. — Ach, jakaś ty poczciwa... I gorąco kilka razy pocałował ją w rękę, a potem w usta.

— Ojczym daje pieniądze, ja tylko poręczam— odparła. Gdy zaś brat wybiegł z pokoju, panna Helena zwróciła się do Madzi.

— Czemużeś tak zeszofowana? — zapytała, patrząc na nią z ironią. — Mieliście jaką wzruszającą rozmowę z moim bratem?

— Z tobą chciałam pomówić o ważnych rzeczach — odpowiedziała Madzia tonem, który ją samą zdziwił.

— O, to coś musi być!..—rzekła panna Helena.

Wygodnie zasiadła na kanapie i zaczęła przypatrywać się swej nóżce. Madzia zajęła miejsce obok na foteliku.

— Wiesz o tem — zaczęła Madzia—że ostatnią osobą, z którą przed śmiercią rozmawiała twoja matka, byłam ja...

— No... no... no!... Cóż to za wstęp?... a jaki ton?... Przypomina mi się panna Howard!... przerwała Helena.

Ale Madzia, z niezwykłym u niej chłodem mówiła dalej:

— Posiadałam trochę zaufania u twej matki...

— Aaa!...

— Często od niej słyszałam o tobie. I powiem ci: nie masz pojęcia, jak matka pragnęła twego małżeństwa z panem Stefanem; a nie domyślasz się, jaki to był dla niej cios, kiedy dowiedziała się o nieporozumieniach między wami... Wtedy... we Włoszech...

— Cóż dalej? — spytała panna Helena. — Bo, po takim prologu, muszę spodziewać się jakiegoś dramatycznego zakończenia.

— Nie mam prawa mówić ci wszystkiego, o czem wiem — ciągnęła Madzia. — Ale o jedno cię proszę: ażebyś do moich słów przywiązywała większe znaczenie, niż do mojej osoby. Otóż — pogódź się z panem Stefanem i spełnij wolę matki, na której zresztą... może zależyć... rozmaitym osobom żyjącym...

Panna Helena zaczęła dłonią uderzać się w ucho.

— Czy ja dobrze słyszę?... — spytała, patrząc na Madzię. — Ty, Magdalena Brzeska, grobowym głosem zalecasz mi, w imieniu zmarłej matki, ażebym wyszła za Solskiego?... Wiesz, moja droga, że na tak zabawnej komedyi jeszcze nie byłam!...

— Któraż tu z nas gra komedyę?... — spytała obrażona Madzia.

Panna Helena skrzyżowała ręce na piersiach i płomiennym wzrokiem patrząc na Madzię, odparła:

— Ty, przychodzisz swatać mnie z Solskim, ty... która od kilku miesięcy kokietujesz go z całej siły?...

— Ja... pana Stefana?... Ja kokietuję kogokolwiek?... — zapytała więcej zdumiona, aniżeli rozgniewana Madzia.

Panna Helena zmieszała się.

— Tak mówią... — rzekła.

— Tak mówią!... Przebacz mi, ale... cóż mówią o tobie, o twoim bracie?... Co wreszcie mówiono o...

Tu Madzia nagle zamilkła, jakby przestraszona własnych słów.

— Solski kocha się w tobie... I mówią, że się z tobą ożeni... Widocznie w jego sercu nadszedł twój sezon — rzekła panna Helena.

Madzia roześmiała się, tak szczerze, iż ten śmiech więcej przekonał pannę Helenę, aniżeli wszelkie objaśnienia.

— Może go nie kokietujesz — odparła coraz więcej zmieszana. — Ale jeżeli on zechce się z tobą ożenić, wyjdziesz z pocałowaniem ręki...

— Ja?... Ależ o tem nigdy nie było mowy... Nigdy nie pomyślałam o tem i nie myślę, a nawet gdyby pan Stefan dostał (czego Boże broń!) bzika i oświadczył mi się, nigdybym za niego nie wyszła. Jak rodziców moich kocham. Ja ci się nawet nie tłómaczę — mówiła Madzia — bo nie rozumiem, jak można wierzyć w podobne brednie, będąc przy zdrowych zmysłach. Przecież gdyby był cień czegoś podobnego, nie mieszkałabym w ich domu. A tak — mieszkam teraz i będę mieszkała, choćby dla zamknięcia ust plotkarzom, któremi, doprawdy, pogardzam. Jestto to samo, co gdyby powiedziano, że w tobie kocha się pan Arnold, i ty masz wyjść za niego!...

— To inna rzecz. Za Solskiego wyjść możesz.

— Nigdy! — zawołała Madzia.

— Wybacz, ale nie rozumiem powodów — odparła panna Helena. — Nie jesteś przecie jego nowoznalezioną siostrą.

— Szanuję pana Stefana, podziwiam go, życzę mu szczęścia, bo to najszlachetniejszy człowiek — mówiła Madzia z zapałem. — Ale wszystkie przymioty, jakie posiada, nie zasypałyby przepaści leżącej między nami. Boże!... — tu otrząsnęła się — a toż dla ubogiej i prostej jak ja dziewczyny lepszą jest śmierć, aniżeli wdzieranie się do towarzystwa, które już dziś odwraca się odemnie, aniżeli pukanie do drzwi, które są i muszą być przedemną zamknięte.

Ja także mam dumę — zakończyła z uniesieniem Madzia. — I wolałabym być sługą w domu biedaków, aniżeli członkiem rodziny, która traktowałaby mnie jak przybłędę..

Panna Helena słuchała ze spuszczonemi oczyma, a na jej twarz wystąpił silny rumieniec.

— No, w dzisiejszych czasach—rzekła—ukształcenie i wychowanie zaciera między ludźmi różnice majątkowe...

— I dla tego ty możesz zostać żoną pana Stefana — pochwyciła Madzia. — Twój ojciec był bogatym obywatelem, miał wsie... Matka od stóp do głów była wielką damą... A i ty sama, pomimo braku majątku, jesteś wielką damą i możesz zaimponować rodzinie męża. Ale ja, córka lekarza w małem miasteczku, której najwyższem marzeniem jest mieć kilkuklasową pensyę!... Naturalnie, że jestem przywiązana do Solskich, boć oni obiecali mi dać szkołę

przy swojej cukrowni... Będę uczyła dzieci oficyalistów i robotników, oto moja rola w ich domu...

Zasępione dotychczas oblicze panny Heleny rozjaśniło się, jak piękny krajobraz, kiedy z po za chmur wyjrzy na niego słońce.

— Przepraszam cię... — rzekła nagle i pochyliwszy się do Madzi serdecznie ją ucałowała.

— A widzisz... a widzisz, ty niedobra!... — mówiła Madzia, tuląc ją. — Za wszystkie niesprawiedliwości, jakiemi mnie obrzuciłaś, musisz... musisz pogodzić się z panem Stefanem. Pamiętaj — dodała ciszej — tego chce biedna matka twoja...

— Przecież sama pierwszego kroku zrobić nie mogę — odparła, zamyślając się panna Helena.

— On zrobi... on zrobi... tylko go już nie odpychaj. O, ja coś o tem wiem... wiem!... — szepnęła Madzia.

W drugim pokoju rozległo się ciche skrzypienie butów i na progu stanął pan Kazimierz. Był rozpromieniony: śmiały mu się usta, oczy, twarz, cała postawa... Ale na widok Madzi radosne te objawy znikły; na czole ukazała się delikatna zmarszczka, a w oczach cień łagodnej melancholii. Z takim wyrazem bywał najpiękniejszy, osobliwie, kiedy mu się włosy nieco powichrzyły.

Panna Helena była tak zajęta sobą, że, nie pytając brata o rezultat konferencyi z ojczymem, zawołała:

— Wiesz, że to wszystko plotki o Madzi i Solskim?...

Pan Kazimierz wyglądał w tej chwili, jak człowiek, zbudzony ze snu. Patrzył na Madzię.

— Ona, pod słowem, mówi — ciągnęła siostra — że nigdy nie wyszłaby za Solskiego i że zresztą Stefek ani myśli kochać się w niej...

Madzia doznała jakby ukłucia w serce.

— Przy tem — mówiła panna Helena — poczciwe Madzisko wybornie określiła swoją rolę w ich domu. Stefek obiecał oddać jej szkołę przy cukrowni, a ona mówi: będę uczyła dzieci ich służby i oficyalistów i dla tego jestem przywiązana do Solskich...

Każde słowo pięknej panny, wypowiadane z drwiącym śmiechem, szarpało duszę Madzi.

„Ach, jaka ona nielitościwa, a nawet nie delikatna!...“ — myślała.

— Nic tego nie rozumiem — odezwał się pan Kazimierz.

— Zrozumiesz, gdy ci dodam — rzekła poważniej — że Brzeska namawia mnie, ażebym najpierwej pogodziła się ze Stefkiem, a powtóre wyszła za niego... Słyszysz: tak mi radzi Brzeska, przed którą oni prawie nie mają sekretów...

— Wiwat!... — zawołał pan Kazimierz i zaczął skakać po pokoju. Jego melancholja pierzchła, jak wystraszony zając z bruzdy. — W takim razie, moja Helu, nie zechcesz chyba upominać się o te tysiąc rubli...

— Bądź spokojny — odparła z postawą tryumfatorki — oddam ci nawet to, co mi jeszcze zostało.

Madzia nigdy nie mogła zdać sobie sprawy z uczuć doświadczonych w tej chwili. Zdawało jej się, że wpadła w odmęt, z którego trzeba się wydrzeć.

Podniosła się i podała rękę Helenie.

— Idziesz? — spytała panna Norska, nie uważając ani na milczenie Madzi, ani na jej bladość.

— Do widzenia z panią — rzekł pan Kazimierz, tonem, który przyniósłby zaszczyt najdumniejszemu kuzynowi Solskiego.

„Co się to dzieje?...“ — myślała Madzia, powoli zstępując ze schodów.

W żaden sposób nie mogła pogodzić głębokich rozczarowań pana Kazimierza z jego, zresztą bardzo zgrabnemi skokami, ani czułości, jaką okazywał jej początkowo, z obojętnem, nawet lekceważącem pożegnaniem. A ta Hela, która już nawet nazywa ją „Brzeską!...“

Gdy jednak przeszła się po ulicy, na świeżem powietrzu, wśród wiosennego dnia i wesołych przechodniów, myśli jej przybrały inny kierunek.

„Przecież ja sama, gdy ucieszę się czemś, nieraz zapominam o obecnych. A jeżeli im to tak wielką sprawiło radość, mam dowód, że robię dobrze. Biedny pan Kazimierz nie będzie już potrzebował zabijać zdolności biurową pracą i prędzej urzeczywistni swoje wielkie zamiary... A Hela — cóż?... Taka, jak wszystkie damy z towarzystwa... Ona właśnie da sobie z niemi radę i pan Stefan będzie szczęśliwy.

Kochana pani Latter, gdyby ona mogła widzieć ich radość, prawie dziecinną, niezawodnie powiedziałaby mi: Madziu, jesteś dobrą dziewczyną, jestem z ciebie zadowolona... I dom Solskich ożywi się, do czego tak wzdycha Ada. I pan Stefan, ten szlachetny człowiek...“

Tu, urwał się dalszy bieg jej myśli. Brakło jej odwagi do zastanawiania się nad przyszłem szczęściem pana Stefana.

XVIII.

Co zrobił spirytyzm, a co ateizm?

W końcu kwietnia państwo Arnoldowie zaprosili Solskich i Madzię na wieczór, mający odbyć się w rocznicę ich ślubu. Oznajmili, że nie będzie tańców i że zgromadzi się bardzo nieliczne kółko znajomych, między którymi znajdował się profesor Dębicki.

Istotnie, jedną z pierwszych osób, które spotkała na wieczorze Madzia, był Dębicki. Stał ze zmartwioną miną, przy drzwiach wchodowych, tuż obok gospodarza. Możnaby go wziąć za lokaja, gdyby nie wytarty frak, który w dodatku nie pasował do figury i białe, pomarszczone rękawiczki.

— Dla czegożeś profesor nie przyjechał z nami? — zawołał Solski, przywitawszy się z Arnoldem.

— Ja tu już jestem od siódmej — mruknął skrzywiony Dębicki, kłaniając się wszystkim wchodzącym, którzy go wcale nie znali. Chciał pokazać, że nie są mu obcemi światowe zwyczaje.

Na szczęście Ada Solska schwyciła go pod rękę, szepcząc:

— Mój profesorze, musisz mi pan cały wieczór dotrzymywać towarzystwa, nawet przy kolacyi...

— Ależ doskonale! — odparł z dobrodusznym uśmiechem — bo nawet nie wiedziałbym, co robić w tym chaosie.

Usiedli oboje w kąciku, rozmawiając. Niebawem jednak Dębicki utkwił niebieskie oczy w przestrzeń i zapomniał o pannie Solskiej, co zresztą w jego życiu nie należało do niespodzianek.

Tymczasem Madzia, wprowadzona przez Solskiego, oglądała się między zebranymi. Pomagał jej w tem zajęciu pan Kazimierz, który dziś był tak uprzejmy, jakby chciał zatrzeć w jej pamięci ślady ostatniego spotkania.

„Jaki on dobry!... — myślała zachwycona Madzia. — Choć bardzo myli się, jeżeli przypuszcza, że byłam wtedy obrażona. Ja przecież wiedziałam, że to radość zrobiła ich roztargnionymi...“

— Niech też pani uważa, jacy tu są ludzie — mówił pan Kazimierz. — Ci panowie tędzy, w średnim wieku, to rozmaici przedsiębiorcy, którzy z moim ojczymem robią wielkie interesa. A ten między nimi niemiec, z rudawym zarostem, będzie ustawiał maszyny w cukrowni pana Stefana.

— Aha!... — szepnęła Madzia, na znak, że ją bardzo interesuje niemiec, ustawiający maszyny.

— Ci młodzi panowie, o ten blondynek ze znaczkiem przy klapie fraka, inżynier, tamten piękny brunecik doktór, o... i znajomy pani Bronisław Korkowicz, który wygląda, jakby uczył się roli Otella do teatrzyku na Pradze — to wszystko wielbiciele mojej siostry. Mogę panią zapewnić, że każdy ubóstwia ją bezinteresownie, gdyż każdy jest majętnym. Helena innych nie toleruje przy sobie.

— Czy to potrzebne, proszę pana? — spytała Madzia, z lekkim grymasikiem.

— Czy majątek potrzebny zakochanym?... Ja myślę, że tak; szczególniej przy pannach pięknych, a wymagających.

— Nie... Czy potrzebni są tu ci panowie, przy pannu Stefanie — rzekła Madzia ciszej.

— A to już taktyka mojej siostry i w ogóle pań — odpowiedział pan Kazimierz. — Panie odkryłyście, że najsilniejszemi okowami na mężczyzn, jest zazdrość. Prawda?...

— Nie wiem, proszę pana — odpowiedziała Madzia.

Pan Kazimierz lekko przygryzł usta i objaśniał dalej:

— A teraz niech pani uważa najciekawszą grupę. Te damy, po większej części niemłode i nieładne, ten pan z siwemi faworytami i orderem i ten drugi o niespokojnych rysach, z błędnemi oczyma... Widzi pani, jacy oni wszyscy poważni?... To są adepci spirytyzmu, uczniowie i uczenice pani Arnoldowej. Ruchliwa kobiecina!... Niedawno mieszka w Warszawie, a już w kilkunastu domach stołowe nogi i ekierki głoszą nadziemską mądrość. Gdybym nie wiedział, że moja macocha drugiego stopnia jest w najwyższym stopniu bezinteresowna, wróżyłbym jej, że zrobi majątek. Na nieszczęście, zdaje się, że mój autentyczny ojczym grubo dokłada do stosunków z duchami. Pani, lepiej wydać bal na sto osób, aniżeli jeden pomyślny seans spirytystyczny!...

— Pan żartuje z tego?... — zapytała Madzia.

— I jeszcze jak!...

Nagle ktoś odwołał pana Kazimierza i Madzia przysiadła się do panny Solskiej.

Ada zarumieniona, gorączkowo bawiła się wachlarzem.

— Mówią, że pan Norski — rzekła do Madzi — jest wielki bałamut. Czy i do ciebie się umizga?

— Nie — odparła Madzia, czując, że dopuszcza się połowicznego kłamstwa. — W tej chwili opisywał mi zebrane towarzystwo i nielitościwie drwił ze spirytyzmu.

— Kto wie, czy nie ma słuszności... Prawda profesorze? — zwróciła się Ada do Dębickiego.

— A o czem pani mówi? — spytał, jak przebudzony.

W tej chwili, ubrana w białą suknię z amarantową różą za paskiem, przybiegła do nich panna Norska i po raz drugi, jak najczulej powitała Adę i Madzię. Potem, wyciągając rękę do Dębickiego, rzekła z filuternym uśmiechem:

— Ja czuję, że u profesora nie mam łaski jeszcze od owego nieszczęsnego dwumianu Newtona... Jeżeli na prawdę gniewa się pan, to przepraszam... bardzo przepraszam... Ja już dziś nie zrobiłabym tego, inna jestem — dodała z westchnieniem. — Własne cierpienia uczą, że nikomu nie trzeba robić przykrości...

Była czarująca. Zbliżyła się tak, że Dębicki czuł roskoszny zapach jej ciała i patrzyła w niego wielkiemi, ciemnemi oczyma. Ale stary matematyk odparł z kamiennym spokojem:

— Proszę pani... bo i na co przydałby się pani dwumian Newtona?... Dobre to, jako wstęp do szeregu Taylora, ale tak!...

— Ach, potworze! — zawołała Ada. — Mówi do pana kobieta jak niebiańskie widzenie, a pan, zamiast wpatrywać się w jej oczy, myślisz o Taylorze?...

Zmieszany Dębicki rozłożył ręce, nie wiedząc co odpowiedzieć. Zastąpił go Solski, który przysłuchiwał się rozmowie.

— On cały swój zapał dla piękności panny Heleny mnie odstąpił — rzekł pan Stefan. — I dla tego ja mam przyjemność zachwycać się podwójnie...

— Na dzisiaj?... — zapytała panna Helena, podnosząc oczy.

— Nie koniecznie — odparł Solski. — Pani Arnold prosi panią na gospodarską rozmowę.

Podał jej rękę, na której z pełnem wdzięku zaniedbaniem oparła się panna Helena i odszedł, przelotnie spoglądając na Madzię.

Ale Madzia tego nie spostrzegła. Siedziała ze spuszczonemi oczyma, wsłuchując się w ostry ból, który przeniknął jej serce.

— Prześlicznie wygląda Helenka!... — szepnęła do Ady.

— Jeżeli mam być szczerą — odparła tym samym głosem panna Solska — to... nie!... Jest w niej coś sztucznego...

Madzię jeszcze mocniej zabolało serce.

„Jak prędko zapominają o swych sympatyach, ci wielcy panowie..." — pomyślała.

Zbliżył się pan Kazimierz i zaczął bardzo elegancką rozmowę z Adą, tkliwie patrząc na nią, a ukradkiem rzucając spojrzenia na Madzię. Ale panna Solska bawiła się wachlarzem, odpowiadała obojętnie i skorzystawszy z pierwszej okazyi, odeszła z Dębickim poszukać chłodniejszego pokoju.

— Nie rozumiem, co się stało pannie Adzie — rzekł zaniepokojony pan Kazimierz. — W Szwajcaryi była dla mnie taka łaskawa...

— Za rzadko odwiedza ją pan — odpowiedziała Madzia.

— Bo już od pewnego czasu spostrzegłem w niej zmianę. A że nie cieszę się względami i pana Solskiego, więc... Wie pani, co stąd wynika?... Że zbyt rzadko, na moje nieszczęście, widuję panią...

Gdy to mówił, twarz i oczy pałały mu. Madzia naprawdę wyglądała prześlicznie, a kilku panów w towarzystwie poważnie zastanawiało się nad pytaniem, która piękniejsza: czy posągowa panna Helena, w której każdym ruchu było widać, że zna się na swojej wartości, czy łagodna i cicha Madzia, która zawsze myślała, że jest brzydką?

W zebraniu powstał mały szmer. Szpakowaty adept pani Arnoldowej z wielkiem przejęciem dowodził, że medyum jest dziś usposobione jak nigdy i że należy ją poprosić aby urządziła seans.

— Założyłbym się — mówił do pana z błędnemi oczyma — że zobaczylibyśmy coś niezwykłego. Pani Arnold znajduje się w tym stopniu podniecenia, w którym wola medyów podnosi stoły, a nawet zmusza duchy do ukazania się w materyalnej postaci.

Na to pan z błędnemi oczyma odpowiedział, że w interesie nowej nauki leży, aby profani choć ducha zobaczyli, a bodaj stół latający w powietrzu. Zaś pan Zgierski, który, jak z pod ziemi, znalazł się obok nich, oświadczył gotowość poproszenia szanownej gospodyni o seans.

— No — rzekł pan Kazimierz do Madzi — je-

żeli pan Zgierski wmieszał się do tego, widowisko jest pewne... Przejdźmy tymczasem do dalszych pokojów...

Przeszli i prawie otarli się o pana Bronisława Korkowicza, który, ukrywszy się za futrynę drzwi, blady, z pobielałemi ustami wpatrywał się w pannę Helenę, nie na żart kokietującą Solskiego.

— Oto widzi pani — mówił pan Kazimierz do Madzi, gdy znaleźli się w zacisznym gabinecie — dziś można sprawdzić: w jaki sposób powstaje uporządkowana wiara w duchy i tworzą się religje. Znajduje się medyum, o którem Charcot miałby dużo do powiedzenia, znajduje się kilku fanatyków, którzy tak muszą w coś wierzyć, jak po obiedzie wypijać czarną kawę, jest jakiś pan Zgierski, zawsze gotów do pośrednictwa dla utrzymania swej pozycyi, no — i jest gromada słabych głów, czyli: ogół, który, jeżeli przestanie myśleć o Bogu i życiu przyszłem, natychmiast oddaje się pijaństwu, kradzieży, rozbojom, albo gra w winta...

— Więc pan wcale nie wierzy w duchy? — ciekawie spytała Madzia.

— Ja?...

— Ale w nieśmiertelność duszy...

— Jakiej duszy i w jaką nieśmiertelność?...

— No, ale już w Boga musi pan wierzyć!.... — rzekła prawie z desperacyą Madzia.

Pan Kazimierz uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Musiałbym tu — odparł — wyłożyć pani cały kurs filozofii, jaki wykładałem kolegom uniwersyteckim, osobliwie pierwszorocznym, między któ-

rymi bywało wielu pobożnych. Nie łudźmy się, panno Magdaleno... Bierzmy życie, jakiem jest i troszczmy się przedewszystkiem o to, ażeby nic nie stracić z jego roskoszy... O goryczach pomyślą za nas ludzie... A gdy przyjdzie ostatni moment, będziemy mieli tę przynajmniej pociechę, żeśmy nie zmarnowali cennego daru natury...

Madzia zaczęła się już naprawdę niepokoić.

— Ależ, proszę pana, jak można wątpić o duszy?... — mówiła. — Ja przecież czuję, ja myślę i... no, i jestem pewna życia przyszłego...

— Gdzie ona jest, ta dusza? — spytał pan Kazimierz. — Uczeni odkryli w mózgu tłuszcz, krew, fosfor, miljony jakichś komórek i włókien, ale duszy nie spostrzegli. A gdzie owa dusza kryje się podczas twardego snu, albo zemdlenia i dla czego przestaje wiedzieć o wszystkiem, nawet o sobie, jeżeli do mózgu przypłynie kilka kropel mniej krwi, niż w stanie czuwania? Gdzie była nasza dusza przed naszem urodzeniem? Dla czego nie było jej wówczas, gdy jeszcze mieliśmy miękkie ciemiona; dla czego dusze nasze rosły i dojrzewały razem z ciałem; dla czego dosięgają szczytu w wieku dojrzałym, a słabną w starości? I czy owa dusza nie jest podobna do płomienia świecy, który w pierwszej chwili po zapaleniu ledwie błyszczy, potem rośnie, rozlewa powódź światła, a gdy zabraknie stearyny, poczyna gasnąć i gaśnie? Mówić o nieśmiertelnej duszy, jest to samo, co twierdzić, że płomień trwa, choć świeca się wypali. Płomień jest tylko palącą się świecą, a dusza żyjącem ciałem.

— Więc niema życia przyszłego?...

— Gdzieżby ono istniało? W grobie, czy w tak zwanem niebie, które jest międzygwiazdową pustynią zimniejszą, ciemniejszą i okropniejszą, aniżeli sam grób. Skąd zresztą te dzikie pretensye do wiecznego bytu? Czy nie byłaby komiczną iskra, która błyszcząc przez kilka chwil, zakładałaby sobie życie stuletnie? Wszystko, co miało początek, musi mieć koniec...

— Straszne to!... — szepnęła Madzia.

— Dla chorej wyobraźni — mówił pan Kazimierz. — Człowiek normalny jest o tyle pochłonięty życiem, iż nie ma czasu myśleć o śmierci. Gdy zaś już jej ulegnie, nawet nie wie, że go to spotkało; śpi bez niespokojnych marzeń i zapewne bardzoby się gniewał, gdybyśmy go chcieli rozbudzić.

— Co pan mówi!... — zaprzeczyła Madzia, wstrząsając głową. — Wiem przecie, co jest ludzki organizm tak mądrze zbudowany. Skądże on się wziął, kto go stworzył i w jakim celu? Jeżeli śmierć jest snem przyjemnym, to po co było budzić nas z niego. Przecież to największa niesprawiedliwość.

— Znowu złudzenie — odpowiedział pan Kazimierz — bo nie możemy pozbyć się myśli, że natura została stworzona przez siłę podobną do człowieka, który ma jakieś celę, lubi swoje dzieła i lituje się nad ich zagładą.

W naturze niema miejsca na żadną siłę tego rodzaju. Ziemia krąży na około słońca, bo pcha ją naprzód siła rzutu, a utrzymuje przy słońcu siła ciążenia. Tlen łączy się z wodorem i daje wodę, nie dla tego, że ludziom chce się pić, lecz na mocy powinowactwach emicznego; ziarno rzucone w ziemię

wydaje roślinę, nie dla tego, że tak chce jakiś anioł, ale pod wpływem ciepła, wilgoci i ciał chemicznych znajdujących się w gruncie.

— Dobrze, ale... po co to?... po co?... — nalegała Madzia.

Pan Kazimierz znowu z uśmiechem wzruszył ramionami.

— A po co nad naszą głową chmury układają się niekiedy w formy wysp, drzew, zwierząt i ludzi? Czy i tamte kształty, istniejące po kilka minut, robią się w jakimś celu, czy i one chcą żyć wiecznie?...

Madzia rozgorączkowana, rozżalona, przestraszona, szarpała swoją chusteczkę. Pan Kazimierz był dla niej genjalnym człowiekiem i wątpić o prawdzie jego słów nie potrafiłaby; przynajmniej teraz, kiedy patrzy w jego cudowne oczy, tak głęboko rozumne, a takie smutne.

On widać już pogodził się ze strasznym losem człowieka; więc dla czegóżby ona miała oburzać się przeciw nieugiętemu prawu?

Ale jak jej było żal tych wszystkich, którzy pomarli, a których już nigdy nie zobaczy; jak było żal własnej duszy, która musi zgasnąć, pomimo, że cały świat kocha!... I nikt nie ulituje się nad nią, nikt nie wyciągnie ręki z tej międzygwiazdowej pustyni, okropniejszej od samego grobu.

Ach, ciężki to był wieczór dla Madzi. Zdawało jej się, że pan Kazimierz w ciągu półgodzinnej gawędki, prowadzonej wesołym tonem, rozwalił niebo i ziemię, jej przeszłą wiarę i przyszłe nadzieje. I z całego tego pięknego świata nie zostało już nic... nic, tylko ich dwoje skazańców.

Milczała, nie widząc, co się dzieje dokoła niej, zasłuchana w wewnętrzną burzę, która wybuchła tak nagle i tyle spustoszeń porobiła w biednej duszy. Wewnętrzna istota człowieka doznaje niekiedy wzruszeń, podobnych do trzęsienia ziemi.

Przebiegła jej przez myśl ostatnia spowiedź w iksinowskim kościołku i niepokoje, które ją tak często dręczyły. Madzia posępnie uśmiechnęła się: otóż dopiero był grzech i nieszczęście! Parę wyrazów mniej, wypowiedzianych przez istotę, która zginie, do istoty, która również zginie, przed ołtarzem, który wzniosła ciemnota, a czas rozsypie.

Pan Kazimierz w tej chwili nie myślał o Madzi: patrzył na młodego Korkowicza, którego zachowanie zaczęło go niepokoić. Spostrzegłszy to pan Bronisław, zbliżył się do nich, stanął przed Madzią i rzekł zmienionym głosem:

— Dobry wieczór pani...

Madzia zatrzęsła się, jakby koło niej runęło coś ciężkiego. Podniosła oczy i zobaczyła nad sobą bladą twarz pana Bronisława, okrytą potem i — włosy rozczochrane, jak konopie.

— Jak się masz, Kazik... — mówił Korkowicz, nie patrząc na Madzię. — Ale z twojej siostry amazonka!.. Nie wystarcza jej jeden koń, musi mieć całą stajnię i jeszcze lubi wracać do wyranżerowanych... Cha!... cha!... gust...

Madzi zdawało się, że młody Korkowicz jest pijany. Ale on był tylko zazdrosny.

— Nie awanturuj-że się!... — szepnął do niego pan Kazimierz...

— A... bo panna Helena tak się przypiła do tego Solskiego...

— Przepraszam panią — rzekł do Madzi pan Kazimierz, wstając.

Wziął pod rękę Korkowicza, chwilę rozmawiał z ożywieniem, a następnie wyprowadził go do dalszych pokojów.

„Może będzie pojedynek!...“ — pomyślała Madzia i serce jej zaczęło bić niespokojnie.

Lecz w tej chwili właśnie zrobił się ruch między gośćmi, a do Madzi zbliżyła się Ada z Dębickim.

— Chodźmy razem — rzekła — będzie posiedzenie spirytystyczne.—O czemżeście tak gorąco rozmawiali z panem Norskim?

— Ach, nieszczęśliwy on — szybko odparła Madzia. — Wyobraź sobie, przez cały czas tłómaczył mi, że niema duszy...

Panna Solska przygryzła usta.

— Tyle już razy wykładał to rozmaitym pannom — odpowiedziała — że mógłby wymyślić coś nowszego.

— Dla mnie to było strasznie nowe!...—rzekła Madzia.

Tłum gości rozdzielił ich i na chwilę zbliżył Madzię do stolika, przy którym stał Korkowicz i panna Helena z bratem.

— Pan Bronisław musi być grzeczny — mówiła panna Norska, wymownie patrząc na swego wielbiciela.

— Dziś łatwiej na świecie o grzeczność, aniżeli o uczciwość — odparł gniewnie Korkowicz.

— Pan Bronisław musi i... powinien być... spokojny — dodała panna Helena.

Lekko uderzyła Korkowicza wachlarzem po ręku i rzucając mu jeszcze jedno spojrzenie, odeszła ze śmiechem, szukać Solskiego.

Korkowicz parę chwil patrzył za nią odurzony. Nagle twarz jego zmieniła się: gniew zniknął, a ukazała się radość.

— Przepraszam cię, Kazik!... — zawołał, pokazując w szerokim uśmiechu białe zęby. — Jak Boga kocham, że twoja siostra anioł... Ale ma ostre pazurki... Czasami tak drapie, aż serce się krwawi...

W wielkim salonie Madzia znowu połączyła się z Adą i Dębickim, a jednocześnie cały tłum zebranych począł wychodzić do obocznego pokoju; ktoś bowiem powiedział, że tam odbędzie się posiedzenie. Na parę minut salon opustoszał.

Wnet jednak wpadł Zgierski i jegomość z błędnemi oczyma, który teraz zdawał się być zupełnie nieprzytomny. We dwu schwycili mały, okrągły stoliczek i zaczęli ustawiać go na środku, spoglądając kolejno na podłogę i sufit, jakby upatrywali szczelin, przez które duchy mają odwiedzić gościnny dom państwa Arnoldów.

Ruch gości zaczął się na nowo. Weszły najpierwej, umieszczając się blisko drzwi, damy bardzo ciekawe duchów, gotowe natychmiast uwierzyć w nie, lecz — strasznie lękające się ich przybycia. Wnet jednak zostały popchnięte naprzód i rozmieszczone wzdłuż ścian, przez falę już wtajemniczonych spirytystów i spirytystek. Gdy ci usiedli na miejscach, ukazała się promieniejąca panna Helena, z Solskim

pod rękę i, wesoło rozmawiając, zajęli miejsce tuż obok stolika.

— Spojrzyj Madziu — szepnęła z ironicznym uśmiechem Ada — czy Stefek i Helena nie wyglądają na państwa młodych?

— Ślicznie im razem! — odparła Madzia, czując ściskanie w gardle.

Potem zaczęli się przekradać przez tłum gości — wielbiciele panny Heleny: blondyn inżynier, brunet lekarz i młody Korkowicz. Na twarzy dwu pierwszych widać było jednakową troskę; obaj też z jednakową niechęcią patrzyli na Solskiego. Lecz nawet wspólna niedola nie zdołała ich zbliżyć i każdy umieścił się jak najdalej od rywala.

W sali ucichło. Z bocznego pokoju wyszła pani Arnold, wsparta na ręku szpakowatego jegomości z orderem. Na bladej twarzy i w całej postaci uwydatniało się znużenie, jak gdyby ciężko chorą wydobyto z łóżka. Tylko w oczach niekiedy zatliła się iskra.

Powstał szmer, który ciągle rosnął. Zebrani pobudzali się do uwagi, uspakajali się wzajemnie, mówili: prosimy! lub: dziękujemy! nawet ktoś klasnął, a ktoś drugi zawtórował mu. Ale ich uciszono.

Pani Arnold usiadła przed stolikiem na drewnianem krześle. Natychmiast przybiegł do niej niezbędny Zgierski i spirytysta z błędnemi oczyma, a jegomość z orderem przeszedł między widzów, z taką miną, jakby to on stworzył duchy i swoją władzę nad nimi chwilowo przekazał pani Arnoldowej.

Tymczasem gospodarz, wynalazłszy pod ścianą Adę z jej dwojgiem towarzyszów, przeprowadził ich

na środek i usadowił obok Heleny i Solskiego. Tym sposobem Madzia znalazła się o parę kroków od medyum.

— Zdaje mi się — szepnął Solski do Arnolda — że te posiedzenia niezbyt korzystnie oddziaływają na zdrowie pani. Wygląda na kompletnie chorą.

Arnold wzruszył brwiami i rękoma i odparł tym samym tonem:

— Cóż ja poradzę, skoro ona widzi w tem swoje szczęście?...

Pani Arnold musiała coś usłyszeć; podniosła bowiem głowę i przelotnie spojrzała na Solskiego.

Nowy szmer w sali; dwaj służący wnieśli parawan i postawili go obok stolika.

Teraz pan z błędnemi oczyma zbliżył się do Arnolda i zawiązała się krótka rozmowa. Jegomość nalegał, Arnold z widoczną niechęcią opierał się; w końcu jegomość ustąpił, zaś pan Arnold cofnął się w najdalszy od stolika kąt sali.

Z kolei pan z obłąkanemi oczyma zwrócił się do medyum i coś zapytał po angielsku. Odpowiedziała głosem cichym i bezdźwięcznym, a jegomość położył jej rękę na czole i rzekł głośno:

— Czy szanowni państwo są przygotowani do ujrzenia duchów, czy też wolą poprzestać na drugorzędnych objawach spirytystycznych?

— Prosimy o duchy!... Nie!... Nie!... Nigdy!.... Umarłabym!.. — wołali zgromadzeni. Ogromna większość nie życzyła sobie widzieć duchów...

— Muszę objaśnić — dodał jegomość — że moje śmiałe pytanie bynajmniej nie dowodzi, ażeby duchy koniecznie miały się ukazać. Znaczy ono tylko, że

nasze szanowne medyum, jest dziś wyjątkowo dobrze usposobione.

— To prawda!... — mruknął Solski, spoglądając na Dębickiego, który założył ręce na brzuchu, wysunął dolną wargę i patrzył przed siebie tak obojętnie, jak gdyby zamiast świata duchów, miał zobaczyć ser szwajcarski, którego nie jadał.

Teraz twarz medyum zaczęła ulegać dziwnym zmianom. Z początku zdawało się, że pani Arnold zapadła w spokojny sen, w ciągu którego chorowita bladość ustąpiła miejsca zwykłej cerze, a na ustach ukazał się łagodny uśmiech. Potem otworzyła oczy, w których malowało się stopniowo wzrastające zdziwienie. Nagle spostrzegła Solskiego i włosy jej zaczęły się jeżyć, twarz przybrała wyraz grozy, a wielkie oczy zamigotały żółtawą barwą jak u rozgniewanej lwicy.

— Podajcie mi papier!... — rzekła po angielsku głosem silnym i metalicznym jak dzwon, nie spuszczając oczu z Solskiego.

Jej spojrzenie było tak przejmujące, że Ada zaczęła drżeć, panna Helena cofnęła się z krzesłem do drugiego rzędu, a Madzia spuściła głowę, ażeby nie patrzeć. Solski sposępniał, a Dębicki wyprostował się zaciekawiony.

Tymczasem pan Arnold wybiegł do gabinetu żony i po chwili, z zakłopotaną miną, przyniósł ołówek i kilka niedużych kartek brystolu, które podał jegomości z błędnemi oczyma.

— Pani raczy wybrać jedną z nich — rzekł jegomość zbliżając się do Madzi.

Wybrała. On kartkę i ołówek położył na sto-

liku obok medyum, a resztę papieru zwrócił jej mężowi.

— Zwiążcie mi ręce... — rzekła tym samym co pierwej potężnym kontraltem pani Arnold.

Przyniesiono długą tasiemkę i lak.

— Może panowie raczą związać i opieczętować medyum — zwrócił się jegomość o błędnych oczach do Dębickiego i Solskiego, który miał na palcu herbowy pierścień.

Wezwani zbliżyli się do stolika.

— Mogą panowie wiązać, jak im się podoba — rzekł jegomość.

Dębicki złożył pani Arnoldowej ręce w tył, a Solski omotał ją we wszystkich możliwych kierunkach. Potem przywiązali medyum do krzesła i przypieczętowali do poręczy końce tasiemki.

Wtedy jegomość poprosił obu panów, ażeby pomogli mu otoczyć medyum parawanem. Po chwili pani Arnoldowa była jak w szafie, ze wszystkich stron zasłonięta od widzów.

— Proszę przygasić lampy — zakomenderował jegomość z błędnemi oczyma.

Kilku panów rzuciło się do przykręcenia lamp gazowych, w których pozostały tylko niebieskie płomyki.

— Panowie strasznie mocno wiązali... — szepnęła do Dębickiego wylękniona Madzia. — Cóż to będzie?...

— Znana sztuka amerykańskich spirytystów — odpowiedział Dębicki.

— Ach!... krzyknęła w głębi salonu jedna z dam, obok której siedział pan Norski.

Zaczęto odwracać głowy, pytać, lecz wnet ucichło. Za parawanem bowiem wyraźnie słychać było szelest piszącego ołówka. Po upływie paru minut ołówek zastukał o stolik, a jegomość dyrygujący posiedzeniem, kazał rozświetlić lampy i zaczął odsuwać parawan.

Pani Arnold spała z głową opartą na poręczy krzesła, ręce jej znajdowały się w tej samej pozycyi. Kiedy zaś Solski z Dębickim zbliżyli się, ażeby ją rozpętać, znaleźli pieczęcie nienaruszone, a na tasiemce nie brakło ani jednego węzła.

— Rozumiesz co? — spytał Solski profesora.

Ten wzruszył ramionami.

— W czwartym wymiarze możnaby się tak rozwiązać, albo...

W tej chwili Solski spojrzał na kartkę leżącą na stoliku, pobladł i rzekł zmienionym głosem:

— Ależ to rysy mojej matki!... Patrz profesorze:

Na kartce był napis po francusku:

„Pragnę, ażeby dzieci moje częściej myślały o rzeczach wiekuistych...“

A zamiast podpisu, znajdował się nakreślony także ołówkiem, szkic bardzo wyrazistej twarzy kobiecej, otoczonej obłokami.

Pan z błędnemi oczyma zbudził panią Arnold, która wstała z krzesła uśmiechnięta. Wszyscy goście ruszyli się z miejsc, pragnąc obejrzeć pisaną przez duchów kartkę, którą medyum ofiarowało na pamiątkę pannie Solskiej.

Ada w osłupieniu przyglądała się rysom swej matki. Wtem zwróciła się do brata:

— Czy ty wiesz — rzekła — że to jest pismo naszej mamy?...

— Czy nie zdaje ci się? — spytał zmieszany pan Stefan.

— Jakże!... Mam przecież w książce do nabożeństwa modlitwę pisaną po francusku ręką mamy... Ależ tak... zupełnie ten sam charakter...

Obecni po raz drugi zaczęli oglądać kartkę, która wreszcie dostała się do rąk Madzi.

Tak, na kartce były rysy zmarłej matki Solskich, zupełnie podobne do portretu, który wisiał w pokoju Ady. Tylko, zdawało się Madzi, że kartka papieru jest inna. Na tamtej, którą wybrała, był w jednym rogu ledwie dający się dojrzeć ciemny punkcik.

„Może pan Kazimierz ma słuszność, mówiąc, że ani dusza, ani duchy nie istnieją?...“ — przemknęło jej przez myśl.

Ale nikomu nie wspomniała o swem spostrzeżeniu. Mogła się mylić. Cóż wreszcie stracą Ada i pan Stefan, jeżeli będą wierzyć, że matka ich żyje i troszczy się o nich, jak wówczas, gdy byli małemi dziećmi?

Całe towarzystwo było wzburzone. Jedni otwarcie głosili się stronnikami spirytyzmu, inni po kątach usiłowali wytłómaczyć fakt: magnetyzmem zwierzęcym, elektrycznością lub sztuką magiczną. Solski był zamyślony, Ada zirytowana, a Dębicki znowu obojętny. Nie mniej jednak, gdy, około północy, zaproszono do kolacyi, wszyscy znaleźli się na stanowisku i bodaj czy nie z większym zapałem, aniżeli podczas wywoływania duchów.

Madzia usiadła przy stole, tuż obok Solskich, mając z jednej strony Dębickiego, z drugiej jakiegoś spirytystę, który we wszystkich językach nawracał swoją dalszą sąsiadkę. Na przeciw zaś miała starego pana z miną urzędową, który zawiązawszy serwetę na szyi, brał na talerz wielkie porcye każdej potrawy i niszczył ją do ostatniego okruszka, od czasu do czasu potrząsając głową, jakby prowadził z kimś dysputę i nie zgadzał się na jego zdanie. Przykład ten, a może i głód, tak oddziałał na Madzię, że i ona jadła wszystko, co jej podano: ryby, zwierzynę, kurczęta, lody... zapijając to różnemi gatunkami wina, które ciągle nalewał jej Dębicki. Przy czem taka między nimi toczyła się rozmowa:

— Może pani nalać wina? — pytał Dębicki.

— Proszę — odpowiedziała Madzia.

— A w który kieliszek?

— Wszystko jedno.

Dębicki nalewał w największy, zamyślał się i po krótkiej pauzie, powtarzał swoje pytanie:

— Może pani nalać wina?

W głowie Madzi szumiało jak pod wodospadem wezbranej rzeki, która, zniszczywszy okolicę, ciskała w odmęt ogromne szczątki rzeczy niegdyś pięknych i użytecznych, będących obecnie rupieciami. Co się przesunęło na rozhukanych falach jej duszy!... Pan Stefan z Heleną, całe posiedzenie spirytystyczne i portrety rodziców Solskich, wieczność i życie przyszłe podarte na miljony komórek i włókien mózgowych, starte na bezkształtną masę tłuszczu, fosforu, nawet żelaza, w postaci zardzewia-

łych blach, gwoździ i zawiasów, które kiedyś widziała na Pociejowie.

A na dnie tego chaosu wciąż, uporczywie, powtarzała się zwrotka: używać życia, bo przyjdzie długi sen!... używać życia, bo przyjdzie długi sen!...

Więc Madzia jadła zwierzynę, ryby, kurczęta i piła różnych gatunków wino, z jednego wielkiego kieliszka. Co jej tam nieboszczka pani Latter... już przecie śpi, zamieniona na tłuszcz, fosfór i żelazo. Co białowłosy proboszcz, który stojąc nad nią z opłatkiem mówił: Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku mego... Co major, a nawet ojciec, skoro oni wszyscy prędzej lub później przemienią się w tłuszcz, fosfór i stare żelaztwo!...

Podano kawę.

— Może pani nalać likieru? — spytał Dębicki.

— Owszem.

— A w który kieliszek?

W tej chwili Madzia uczuła brak tchu. Zdawało jej się, że umiera. Wstała od stołu, chwiejnym krokiem przeszła do dalszych pokojów i, upadłszy na małą kanapkę, zasłoniętą oleandrami, wybuchnęła płaczem.

Zaniepokojona Ada wyszła za nią, a ponieważ był już koniec kolacyi, więc i Solski, przeprosiwszy Helenę, wybiegł za siostrą. Spotkał ją na progu pokoju, do którego nie dała mu wejść, i, grożąc palcem, szepnęła:

— Widzisz Stefek, ostrzegałam cię...

Solski spojrzał w głąb pokoju. Zdawało mu się, że między drżącemi oleandrami słyszy ciche szlocha-

nie. Odsunął siostrę, przypadł do kanapki i schwyciwszy za rękę płaczącą Madzię, rzekł:

— Więc to ja jestem winien?...

Madzia podniosła na niego zdumione oczy.

— Pan?... — spytała. — Pan za szlachetny jest na to, ażeby kto płakał z jego winy...

A potem oprzytomniawszy, dodała prędko:

— To nic... Tyle dziś widziałam i słyszałam nadzwyczajności, że mnie to rozdrażniło... Jestem strasznie dziecinna!... — dodała, już śmiejąc się.

Ada z uwagą przypatrywała się bratu, który stał obok Madzi wzruszony, z fizyognomią człowieka zdecydowanego na jakiś krok stanowczy. Już chciał przemówić, gdy w tem ukazał się pan Kazimierz i wesoło zapytał Madzi:

— Cóż to chce nam pani zemdleć?...

— Ach, nie! jestem tylko rozdrażniona... Za dużo spadło na mnie wrażeń—odpowiedziała Madzia, rumieniąc się i spuszczając oczy.

— Może i naszą dzisiejszą rozmowę zalicza pani do tych wrażeń?... — spytał pan Kazimierz, ze spojrzeniem tryumfatora.

— Do pewnego stopnia... tak...

Solski usunął się z Adą do sąsiedniego pokoju i rzekł gniewnie:

— Ciekawym, o czem tak rozmawiali?

— Dałbyś wiarę, że o nieśmiertelności duszy— odparła Ada. — A raczej pan Kazimierz dowodził, że dusza nie istnieje...

— Nieśmiertelność duszy!...—powtórzył Solski.— Gdyby pod tym tytułem był jakiś nowy balet, albo

nowy rodzaj preferansa, uwierzyłbym, że pan Norski zajmuje się nieśmiertelnością duszy...

— Trzeba zawsze wierzyć temu, co mówi Madzia — rzekła Ada. — Ona mówi prawdę...

— Zobaczymy... zobaczymy...

— A jednak przed chwilą miałeś minę, jakbyś chciał się jej oświadczyć.

— I może zrobiłbym to... za wcześnie, albo za późno...

— O, widzisz — odparła Ada — tego zawsze bałam się w tobie... Jesteś gotów zbyt szybko działać i równie szybko porzucać...

Weszła panna Helena, z wymówką, że ją Solski na tak długo opuścił. Ale pan Stefan wytłómaczył się dość obojętnie. Więcej niż panna Helena, zajmowała go myśl, że on, chcąc rozbudzić zazdrość w Madzi, sam pada ofiarą zazdrości. I to jeszcze o pana Kazimierza!

Była blisko druga w nocy; goście państwa Arnoldów zaczęli się rozchodzić i rozjeżdżać.

Wracając do domu, Madzia znowu wpadła w chaos nieśmiertelności, nicości, żelaza, fosforu i tłuszczów; Ada przysłuchiwała się rozmowie brata z Dębickim.

— Cóż profesor mówi o tem, na cośmy patrzyli? — spytał pan Stefan.

— Takie węzły — odparł Dębicki — rozwiązywał podobno Slade, amerykański spirytysta, twierdząc, że robi to w czwartym wymiarze.

— Rzecz możliwa?...

— Mojem zdaniem — mówił profesor — czwarty wymiar o tyle jest dostępny dla człowieka, o ile

wysyłanie i odbieranie depesz telegraficznych dla ostrygi...

— A rysunek naszej matki?

— Jużci pani Arnold widywała w waszym domu portrety rodziców... W zwykłym stanie może ich nie pamiętać; podobno jednak są takie nerwowe podniecenia, w czasie których człowiek najdokładniej odtwarza sobie rzeczy mało znane lub zapomniane.

— A szybkość, z jaką zrobiony został rysunek? — nalegał Solski.

— Może w takiem podnieceniu powstają i szybsze odruchy... Czy ja zresztą wiem? — odparł Dębicki.

„Mówcie wy sobie, co chcecie — przemknęła Madzi myśl — a ja co wiem, to wiem... Portret nieboszczki przerysowała pani Arnold i nawet nie na tym papierze, który położono jej na stoliku...“

Była w tej chwili pod wpływem zupełnego sceptycyzmu, a raczej — wierzyła w dogmat, że duch ludzki jest produktem tłuszczu, fosforu, żelaza...

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

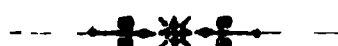
SPIS RZECZY.





Bolesław Prus

(Aleksander Głowacki)



EMANCYPANTKI

Powieść w 4 tomach



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

EMANCYPANTKI

BOLESŁAW PRUS
(ALEKSANDER GŁOWACKI)

EMANCYPANTKI

POWIEŚĆ



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
1894

Дозволено Цензурою.
Варшава 11 Октября 1893 года.

Warszawa. — Druk St. Niemiery, Plac Warecki Nr 4.

I.

Bogacz, który musiał szukać pracy.

Gdy Stefan Solski był małym chłopcem, dom jego rodziców odznaczał się niezwykłą oryginalnością. Niekiedy we wszystkich pokojach i salonach głównego korpusu, tudzież prawego i lewego skrzydła, otwierały się drzwi na oścież, a zdziwiony gość naprzód słyszał odległy, lecz szybko zbliżający się tentent, następnie spostrzegał zadyszanego chłopczyka, który przebiegał salon jak źrebak. Po chwili znowu było słychać zbliżający się tentent, ale już ze strony przeciwnej. Znowu otwartemi drzwiami wpadał chłopczyk, biegł, nie zważając na gościa i niknął za drugiemi drzwiami, gdzie stopniowo uciszały się jego kroki, ażeby znowu odezwać się w tym samym co pierwej porządku.

Wówczas ojciec, a najczęściej matka, zarumieniona, ze spuszczonemi oczyma, mówiła do gości:

— Państwo przebaczą, ale naszemu Stefkowi doktorzy zalecili ruch... A że w mieście nie możemy go wypuszczać z domu, więc państwo pojmują...

Dzięki temu dom Solskich cieszył się rozgłosem niespokojnego, a mały Stefek opinią rozhukanego, a nawet niebezpiecznego dzieciaka, którym Pan Bóg skarał rodzinę. Naprawdę Stefek był chłopcem chorym na nadmiar sił; a ponieważ krępowano go w zabawach najprostszych, więc wymyślał sobie nadzwyczajne.

Gdy raz wdrapał się na drzewo w ogrodzie, ojciec, matka, ciotka, bona i dwu guwernerów przez cały tydzień tłomaczyli mu, że — łażąc po drzewach naraża się na wstyd, bo na drzewa włażą tylko dzieci najniższej klasy. Od tej pory Stefek omijał drzewa, ale za to łaził po wysokich żelaznych sztachetach, na widok czego truchleli uliczni przechodnie.

Raz, widząc, że syn lokaja, zjeżdża z poręczy schodów na dół, zjechał i Stefek. Wnet jednakże dowiedziano się o tem, a ojciec, matka, ciotka, bona i dwu guwernerów znowu zaczęli mu tłómaczyć, że plami nazwisko Solskich, gdyż po poręczy schodów zsuwać się mają prawo tylko lokajskie dzieci. Od tej pory Stefek nigdy nie zjeżdżał z poręczy, ale, pewnego dnia, uwiesił się rękoma na zewnątrz żelaznego balkonu na drugiem piętrze i w ten sposób okrążył go do koła.

Gdy wybiegł na podwórze albo do ogrodu, lubił mocować się z dziećmi służby. Wytłómaczono mu, że hańbi się tego rodzaju stosunkami. Więc Stefek przestał się bawić ze służbą, ale natomiast zaczął próbować swoich niezwykłych sił na hrabiątkach i baroniątkach.

— Sprobujmy się!... — wołał, spotkawszy ta-

kiego biedaka. Potem chwytał w pół (chłopczyka czy dziewczynkę, wszystko jedno!) i walił nim, czy nią, o ziemię. Jeżeli zaś trafił na mocniejszego, wówczas, wypuściwszy go z rąk, odsadzał się na kilka kroków, schylał głowę i uderzał nią w brzuch zdumionego współzapaśnika, który najczęściej nie rozumiał, o co chodzi Solskiemu?...

Skutek był ten, że jeszcze za życia jego rodziców, unikali Stefka dobrze urodzeni panicze i pięknie wychowane panienki. Nazywali go ulicznikiem, a on płacił im pogardą i rósł samotny i ponury, nie wiedząc: ani za co nie lubią go panicze, ani dla czego jemu nie wolno lubić lokajczuków w mieście, a pastuchów na wsi?

Kiedy miał lat trzynaście i już żaden guwerner nie chciał się podjąć dalszej jego edukacyi, ojciec oddał Stefka do szkół, do trzeciej klasy. Ledwie tam pokazał się, mały, żółty, z ogromną głową i skośnemi oczyma, wybiegła na przeciw niemu gromada chłopców, wrzeszcząc:

— Patrzcie, patrzcie... a to małpa japońska!...

Solskiemu zaszumiało w głowie; rzucił się w tłum, zaczął wywijać pięściami, uczuł we włosach czyjeś ręce, na plecach kułaki i — rozhulał się na dobre.

Nagle wszystko ucichło i rozbiegło się, a Stefek, podniósłszy oczy, spostrzegł, że jego pięść leży na brzuchu jakiegoś pana z nalaną twarzą i niebieskiemi oczyma.

— Za cóż ty ich tak rozbijasz?... — zapytał pan zupełnie spokojnym głosem.

— Niech pan się ich zapyta, jak mnie nazywają!... — odparł zuchwały berbeć, gotów rzucić się i na starszego.

Pan popatrzył na niego łagodnemi oczyma i rzekł:

— Idź na miejsce. Masz dobre instynkta, ale nie uporządkowane.

Był to nauczyciel matematyki, Dębicki. Stefek odurzony poszedł do ławki, ale — coś w nim drgnęło. Jemu nikt jeszcze nie powiedział, że ma dobre instynkta!...

Od tej pory między nauczycielem i uczniem zawiązała się cicha sympatya. Stefek na lekcyach Dębickiego zachowywał się najspokojniej i uczył się najpilniej, a Dębicki niejednokrotnie ratował go od rozmaitych nieprzyjemności w szkole.

W piątej klasie (było to już po śmierci rodziców) Stefkowi strzelił do głowy projekt: wypróbowania swojej wytrzymałości. Zamiast tedy do szkoły, poszedł za miasto i — parę dni włóczył się, nie jedząc i nie śpiąc. Wrócił nie bardzo nawet zmizerowany, ale za tę próbę niezawodnie wyleciałby ze szkoły, gdyby nie gorące wstawiennictwo Dębickiego.

W tydzień później, główny opiekun Stefka przyszedł prosić Dębickiego, ażeby sprowadził się do pałacu Solskich i zajął się edukacyą chłopca, nad którym on tylko jeden, ze wszystkich ludzi ma wpływ. Ale Dębicki odmówił; natomiast prosił Stefka, ażeby go niekiedy odwiedzał w domu.

Między kolegami szkolnymi młody Solski nie miał sympatyi, chociaż wiedziano, że za niektórych płaci wpisy, a kilku zawdzięcza mu całe utrzymanie. Nie miał sympatyi ponieważ był szorstki i bez granic ambitny. Parę razy trafiło mu się grać z nimi w piłkę i grał doskonale. Na nieszczęście, jako

„dusza“ nikogo nie chciał słuchać; gdy zaś wybrano go na „matkę,“ tak imponująco narzucał innym swoją wolę, że obrażeni opuszczali zabawę.

Po ukończeniu szóstej klasy zaproponował kilku kolegom na czas wakacyi pieszą wycieczkę do Ojcowa i gór Świętokrzyskich. Większą część kosztów podróży wziął na siebie, zaopatrzył towarzyszów w laski i lorynety, wynajdywał im najlepsze noclegi, zabrał dwie furmanki z żywnością, tudzież kucharza i lokaja, słowem — był nieocenionym gospodarzem. Ale, gdy nie słuchając żadnych przedstawień, zaczął wybierać najgorsze drogi, wymyślać marsze w nocy lub podczas deszczu i burzy, towarzysze pewnego poranku znikli bez pożegnania, zostawiając mu lorynety i laski na wozie.

Dla ambicyi Stefka był to cios tak bolesny, że chłopak już nie wrócił do siódmej klasy, lecz wyjechał zagranicę, z duszą pełną żalu i gniewu.

Dębicki rozbudził w nim ciekawość wiedzy, ale młodzieniec, pozbawiony kierunku w życiu, zapragnął poznać wszystko. Uczył się więc już to filozofii i nauk społecznych, już to fizyki i chemii; zawadził o szkołę politechniczną i o akademię rolniczą, nie troszcząc się: co mu przyjdzie z wysłuchania tylu kursów i zwiedzenia tylu uniwersytetów, które objeżdżał przez dziesięć lat, gorączkowo szukając jakiejś nieznanej wiedzy.

Pod względem umysłowym dojrzewał prędko i szeroko, ale sercem odsuwał się od ludzi. Gardził arystokracyą przez pamięć o swoich młodych latach, a może i dla tego, że nie znosił obok siebie równych. Czuł pociąg do klas niższych i ubogich, bo tym mo-

żna było rozkazywać; ale ci znowu nie chcieli uznać jego władzy nad sobą, a nawet niezawsze przyjmowali ofiary, których nie umiał dawać. Czas, rapiry burszów, kufle i pięści filistrów, pohamowały nieco jego gwałtowny charakter, potęgując zarazem gorycz.

On przecież tak chciał robić dobrze! On przecież gotów był oddać nawet majątek potrzebującym! A jeżeli narzucał swoją wolę, to z pewnością umiałby poświęcić życie za tych, którzyby go słuchali. Tymczasem nikt nie domyślał się jego uczuć. Owszem, niejednokrotnie przenoszono nad niego takich, którzy ofiarowali swoje usługi z ukłonem i uśmiechem, ażeby potem wyzyskiwać łatwowierność.

Solski kłaniać się, uśmiechać, ani wpraszać nie umiał; to też między jego szorstką i posępną figurą a ludźmi wznosił się coraz wyższy mur nieufności. Nie odczuwano w nim gorącego serca, tylko ambicyę; a gdy nawet ofiarował komu skuteczną pomoc, czyn taki nazywano kaprysem.

Kiedy raz, w obec pruskich oficerów, ujął się za podchmielonym burszem i z tego powodu miał ostry pojedynek, koledzy, chcąc go uczcić, wybrali go prezesem komitetu, który miał urządzić jubileusz jednemu z profesorów. Solski przedewszystkiem sypnął pieniędzmi na dar dla jubilata i ucztę dla kolegów, co jeszcze bardziej wzmocniło jego świeżą popularność.

Przez parę dni noszono go na rękach; ale gdy przyszło do narad w komitecie, okazało się, że z Solskim nie można radzić, tylko trzeba go słuchać. W tak szorstki sposób narzucał swoje poglądy, że już na trzeciej sesyi młody baron Stolberg cisnął na

ziemię fajkę i uderzając pięścią w stół, aż podskoczyły kufle, zawołał:

— Ty, Solski, możesz być albo dyktatorem, albo pastuchem!... Ale na zwyczajnego prezesa nie posiadasz kwalifikacyi...

Komitet jubileuszowy rozwiązał się, Solski znowu miał pojedynek i od tej pory stanowczo zerwał stosunki koleżeńskie. Kiełkująca w nim gorycz tem silniej rozwinęła się, że czuł swoją winę, a nie chciał jej uznać nawet przed samym sobą.

Nadeszła zresztą epoka, która niezwykłe siły Solskiego zwróciła w innym kierunku: zaczął interesować się kobietami.

Ale i w stosunku do kobiet zachowywał się szorstko i despotycznie. Traktował je z wyraźną niechęcią, ponieważ od dziecka mówiono mu, że jest brzydki. Za wzajemność ofiarowywał pieniądze, albo kosztowne prezenta; a gdy poskutkowały pieniądze, pragnął miłości bezinteresownej. Porzucał swoje kochanki bez skrupułu, ale gdy sam został zdradzony, wpadał we wściekły gniew na cały rodzaj żeński i robił impertynencye najniewinniejszym kobietom.

Pewną młodą magazynierkę, która okazywała mu dużo przywiązania, posądzał o interesowność i zniechęcił ją do siebie szyderstwem. Pewnej pannie z towarzystwa, która nim się zajęła, powiedział, że cnotliwe panny dzielą się na dwie kategorye: jedne chcą wyjść dobrze za mąż, a drugie chcą jakkolwiek wyjść za mąż. Pewna bogata wdowa kochała go całkiem bezinteresownie, ale wobec niej oświadczył, że najstalszemi są starzejące się damy. Nareszcie gdy jakaś drugorzędna śpiewaczka opuści-

ła go dla ubogiego, ale pięknego malarza, zdecydował, że wszystkie kobiety są podłe.

Wtedy rzucił się namiętnie w awanturnicze podróże. Był na Mont Blanc, w Egipcie, w Algieryi i na Sacharze, szukając niezwykłych przygód. Chciał nawet popłynąć do Ameryki i Australii, ale powstrzymał go wzgląd na siostrę Adę, która skończywszy pensyę, potrzebowała jego opieki. Widział burzę morską, słyszał ryk lwa w pustyni, puszczał się w krater Wezuwjusza i w rezultacie zaczął się nudzić, a nawet myśleć o samobójstwie, od którego znowu powstrzymała go pamięć o ukochanej siostrze.

Postanowił oddać się nauce. W tym celu pojechał do Anglii i złożył wizytę jednemu z najznakomitszych filozofów, celem zapytania go o wskazówki.

Mędrzec przyjął go bardzo uprzejmie, czem zachęcony Solski począł zasypywać go pytaniami: czem jest szczęście? jakie jest przeznaczenie człowieka i świata? wynurzając przytem mnóstwo wątpliwości i pesymistycznych poglądów.

Anglik słuchał go, gładząc faworyty. Nagle zapytał:

— Mój panie, co pan właściwie robisz?... Jesteś uczonym, czy artystą?...

— Chcę poświęcić się filozofii — odparł Solski.

— No, to dopiero kiedyś. Ale co pan dziś robisz? Pracujesz w przemyśle, czy w handlu, czy w rolnictwie...

— Mam majątek...

— Dobrze — majątek, on pozwala panu żyć wygodnie. Ale co pan robisz, aby mieć własny byt

po za obrębem majątku. Może pan jesteś urzędnikiem, albo posłem?...

Ponieważ Solski milczał zdziwiony, więc anglik podniósł się z fotelu i rzekł dosyć chłodno:

— W takim razie wybacz pan, ale... ja nie mogę mu więcej czasu poświęcać, ponieważ mam zajęcie.

Gdyby sufit upadł na biurko, nie zmieszałby więcej Solskiego, aniżeli opryskliwa odpowiedź filozofa. Pan Stefan wyszedł głęboko upokorzony i pierwszy raz w życiu zawstydził się, że niczem nie jest i nic nie robi.

Od tej pory na co spojrzał, wszystko przypominało mu jego upokarzającą rolę na świecie, na którym każdy coś robił. Woźnice przewozili podróżnych, tragarze dźwigali ciężary, policmeni strzegli porządku, kwiaciarki dostarczały ludziom kwiatów, kupcy towarów, restauratorzy jadła. Tylko on, Solski nie robił nic i dla tego czuł się niezadowolonym.

W pierwszej chwili uniesienia i skruchy, chciał zostać tragarzem przy dokach londyńskich; ale gdy stanął na miejscu, opuścił go projekt zmniejszenia zarobku ludziom ubogim, którzy w dodatku spoglądali na niego niezbyt życzliwie. Potem umyślił wejść do współki z jakim kupcem lub fabrykantem; lecz każdy z zaczepionych, wymiarkowawszy o co chodzi? już po pierwszych słowach nie chciał z nim gadać, tłomacząc się brakiem czasu.

Nareszcie po kilku dniach snucia fantastycznych projektów, przyszła mu szczęśliwa idea, że trzeba

wrócić do kraju i szukać zajęcia przedewszystkiem we własnych dobrach.

I wrócił. Ale zaraz na wstępie ciotka Gabryela przypomniała mu, że Ada oddawna skończyła pensyę, że mieszka w domu kobiety obcej, pani Latter i że on, Stefan, już powinien zaopiekować się siostrą, a najpierwej wywieźć ją za granicę, ażeby biedne dziecko zobaczyło trochę świata.

Projekt podobał się Solskiemu: przecież opieka nad siostrą była już jakiemś zajęciem. Uprosił więc ciotkę, ażeby mu towarzyszyła w podróży, zapowiedział siostrze, że w ciągu tygodnia wywiezie ją za granicę i pozwolił jej wziąć ze sobą pannę Helenę Norską, którą Ada ubóstwiała w owej epoce.

Z początku Solski mało robił sobie z pięknej panny, z góry posądzając ją, że chce się bogato wydać za mąż. Ale gdy w Wenecyi otoczył pannę Helenę rój wielbicieli: włochów, francuzów, anglików i niemców, a wszystko ludzi dobrze urodzonych i majętnych, Solski zwrócił na nią uwagę. Wtedy spostrzegł, o czem zresztą inni głośno mówili, że panna Helena ma pyszne blond włosy, śliczną postawę, niezrównanej piękności rysy i elektryzujące spojrzenie. Imponowała mu jej duma w traktowaniu wielbicieli i pochlebiało, że niekiedy patrzy łaskawie na niego.

Wnet jednak z tłumu wielbicieli zaczął wyróżniać się staraniami jakiś wicehrabia francuz i hrabia włoch, którym też panna Helena okazywała więcej życzliwości, aniżeli innym. Wtedy Solski nie chcąc zdradzić się, że szarpie go zazdrość, wyjechał z Wenecyi.

Wiadomość o samobójstwie pani Latter silnie wstrząsnęła jej córką. Panna Helena przestała się ukazywać w towarzystwach, a gdy pierzchli jej najgorętsi wielbiciele, osiadła na parę miesięcy w klasztorze.

Tu zobaczył ją Solski w czarnej sukni, białą jak marmur, z wyrazem niezgłębionego smutku w oczach i na spółkę z Adą namówił ją do nowej przejażdżki po Włoszech i po Szwajcaryi.

W tej epoce panna Helena unikała świeżych znajomości, całe dni spędzając z Solskimi. Wówczas też pan Stefan odkrył w niej nieznane dawniej zalety: miała umysł bystry i logiczny, dużo oczytania i nadzwyczajną odwagę. Kiedy we troje wybrali się na Wezuwjusz, Ada widząc prawie u stóp swoich szafirowe morze, cofnęła się od połowy drogi; ale panna Helena weszła na szczyt piekielnej góry. A gdy, brnąc po kolana w popiołach, wdrapali się na brzeg krateru, gdy ziemia drżała pod ich nogami, dusił zapach siarki i cały świat zniknął za tumanami pary, wówczas panna Helena po raz pierwszy od kilku miesięcy uśmiechnęła się, a Solski uznał, że nie jest to zwyczajna kobieta.

Odtąd zawiązała się między nimi bliższa zażyłość. Solski już nie ukrywał się ze swojemi uczuciami, a panna Helena mówiła, że on musi mieć w sobie dyabła. Całe dni spędzali razem. Gdy zaś pewnego wieczoru, podczas morskiej przejażdżki zaskoczył ich wicher, który o mało nie zatopił czółna, a panna Helena zaczęła śpiewać, Solski—oświadczył się jej.

Dowiedziawszy się o tem Ada posmutniała,

a ciotka Gabryela w pierwszej chwili chciała porzucić ich i wracać do kraju. Ulegając jednak prośbom siostrzeńców, została, pod tym wszakże warunkiem, że znowu zaczną prowadzić dom otwarty.

Starowina była widać dyplomatką. Wnet bowiem dokoła panny Heleny znalazł się tłum wielbicieli, wypłynął i wicehrabia francuz, a niedługo Solski zaczął swojej narzeczonej robić takie sceny zazdrości, że panna Helena zaproponowała mu zerwanie umowy.

— Za mało znamy się — powiedziała. — Pan, jak widzę, nie znosi męskiego towarzystwa, a ja wolałabym śmierć, aniżeli zazdrosnego męża.

— Nie jestem zazdrosny! — oburzył się Solski.

— W takim razie nie ufa mi pan.

— Więc zrywa pani stanowczo?...

Ostatni wyraz zastanowił pannę Helenę.

— No, stanowczo!...—odparła, drażniąc go spojrzeniem. — Pierwej przypatrzmy się sobie, jako ludzie wolni, jak przyjaciele, a później... zobaczymy. Kobiety trzeba zdobywać nie tylko siłą, a pan jeszcze nie nauczył się tej sztuki.

— A czy zechce pani być moją nauczycielką?— zapytał, całując ją w rękę.

— Owszem!... — odpowiedziała po namyśle. — Powinien pan dostać żonę elegancką... więc z chęcią pomogę panu w tej pracy. Ale będę surową nauczycielką...

— Szykowniejszej od pani nie znajdę...

— Zobaczymy, zobaczymy!...

Panna Helena okazała dużo rozumu i taktu, zrywając z Solskim i jeszcze w taki sposób. W owej

bowiem epoce pan Stefan już zaczął dostrzegać plamy na swojem słońcu. Jeszcze kochał ją, gdyż była piękna, uwielbiana, dumna, odważna i pełna niespodzianek; ale już zaczął go razić egoizm i kokieterya. „Czy ona myśli — rzekł raz do siebie — że wychodzi za mój majątek, osłoniony parawanem nazwiska?... I że mój dom stanie się zbiegowiskiem dla jej adoratorów?...“

Dopóki patrzył na swoją narzeczoną i miał sposobność dotknąć ustami jej ręki, namiętność odurzała go. Ale gdy znalazł się bez niej, budził się krytycyzm, a nawet podejrzliwość.

„Czy ja nie jestem dla niej narzeczonym od biedy?... — myślał. — Paradna historya! uciekać przed nimfami z towarzystwa, które polują na mężów i, o kilka piętr niżej, trafić na samą Dyanę!...“

Ale panna Helena uwolniła go bez dramatycznych scen, owszem w żartobliwy sposób, nie cofając zresztą nadziei, pod warunkiem, ażeby ją drugi raz zdobył. Była więc bezinteresowaną, miała szlachetną dumę i, jeżeli okazywała mu kiedyś uczucie, to szczerze, bez nędznych wyrachowań.

„A w takim razie, kto wie, czy nie należy zdobyć ją po raz drugi?... — myślał pan Stefan. — Dała mi gorzką lekcyę w niewinnej formie i ja potrafię skorzystać... W tej kobiecie kryje się dużo skarbów które dopiero odsłania konieczność; więc kto wie, co tam jest jeszcze?...“

I od tej pory wzrósł szacunek Solskiego dla, Heleny. Wielki pan zrobił się przy niej prawie pokornym, gwałtownik zaczął panować nad sobą i uczył się delikatności.

Ciocia Gabryela i Ada były bardzo wdzięczne pannie Helenie, że tak zręcznie rozplątała węzeł, który im dużo robił zmartwienia. Ada nawet zaczęła żałować, że tak się stało, ale ciotka była sceptyczką.

— Zobaczysz — mówiła do siostrzenicy — że to jest zręczna kokietka, która na Stefana zagięła parol!...

— Więc cóżby było złego ciociu, gdyby Stefek naprawdę z nią się ożenił?

— Ach, dajże sobie pokój, moja kochana!... — przerwała ciotka. — Dziewczyna uboga, żadne nazwisko i jeszcze córka guwernantki... Cóżby robiły panny dobrych rodów, gdyby ludzie z towarzystwa żenili się z takiemi?...

Tymczasem panna Helena nie rozpaczała. Zanadto ufała w swoją piękność, aby nie wyobrażać sobie, że Solski wróci do niej, kiedy ona zechce. W tej chwili zaś wcale nie chciała — z kilku powodów. Naprzód miał do niej przyjechać i wziąć ją w nową podróż po Europie jej ojczym pan Arnold, o którym, jako o amerykaninie, chodziły wieści, że jest bardzo bogaty. Powtóre, panna Helena sądziła, że ma prawo do najświetniejszej partyi; a ponieważ, obok wicehrabiego francuza, znowu znalazł się hrabia włoch i jakiś baron niemiecki i jeszcze jakiś dystyngowany anglik, więc miała w czem wybierać.

W Zurychu zdecydowały się losy wszystkich. Ciotka Gabryela wybierała się do Warszawy, Ada zaczęła chodzić na uniwersytet, pan Arnold przyjechał, ażeby zabrać Helenę, a pierwsze jego słowa były, że jej brat, Kazimierz, robi wrażenie lekkoducha i utracyusza.

Kilka dni posiedzieli razem w Zurychu i przez ten czas zawiązały się bliższe stosunki między Solskim i Arnoldem, który nasunął panu Stefanowi myśl wybudowania cukrowni w majątku. Potem Solski wyjechał do Paryża, Arnold z Heleną do Wiednia, a wicehrabiowie, hrabiowie, baronowie i kandydaci na lordów, przekonawszy się własnemi oczyma, że panna Helena ma rodzinę, znikli jak mgły w górach. Widocznie żaden z wielbicieli nie myślał o sakramencie, co pannę Helenę trochę rozczarowało do mężczyzn, ale nie zmieniło jej opinii o sobie.

Od tej chwili, aż do powrotu do Warszawy, Solski korespondował z panną Heleną i odwiedził ją, gdy była w Peszcie, znowu otoczona wielbicielami. Ale we wzajemnym ich stosunku nic się nie zmieniło. Pan Stefan z przyjemnością odczytywał jej listy, gdy byli razem tracił głowę, ale stygnął, gdy się rozdzielili. Już wówczas nie był przywiązany do panny Norskiej, tylko — imponowała mu jej wiara w swoją wartość.

— Mąż mój — mówiła — musi mi się oddać cały, jak ja jemu. Wyszłabym za wyrobnika, któryby mnie tak kochał; ale wolałabym umrzeć, aniżeli zostać zabawką choćby najpotężniejszego człowieka.

A Solski, słuchając, myślał:

„Taką kobietę zdobyć!... To trudniejsze, aniżeli podróż na Mont-Blanc...“

I dopóki patrzył na nią, myślał, ażeby ją zdobyć.

Tak stały rzeczy, kiedy Solski w mieszkaniu siostry spotkał Madzię i — zdumiał się. Madzia była bardzo ładna, ale doświadczone oko, po za wdzięka-

mi, dostrzegło, w jej zresztą niezbyt regularnych rysach, jakiś niezwykły wyraz.

Była to dobroć, niewinność, radość, czy miłosierdzie?... nie umiał określić. W każdym razie było coś nadludzkiego, czego nie widział w żadnej kobiecie, chyba w obrazach, albo posągach mistrzów.

Ponieważ Ada bardzo kochała i chwaliła Madzię, więc w Solskim zagrał duch opozycyi.

„Taka, jak inne... — myślał. — Pewnie zechce zrobić dobry interes na życzliwości mojej siostry...“

Wnet jednak zdarzył się cały szereg drobnych faktów, które coraz więcej zdumiewały Solskiego.

Madzia nigdy o nic nie prosiła Ady; owszem, nie chciała przyjmować żadnych usług. Madzia, z powodu znajomości z Adą, była prześladowana w domu Korkowiczów, lecz nawet nie wspomniała o tem. Nie chciała porzucić swoich prześladowców, płakała za uczennicami i wcale nie zrywała z nimi stosunków.

Mogąc nie pracować, wystarała się jednak o lekcye u panny Malinowskiej i nie ulegało żadnej wątpliwości, że, przyjmując mieszkanie w pałacu Solskich, robi to przez miłość dla Ady...

Pobyt jej stał się prawdziwem błogosławieństwem. Madzia nietylko leczyła migrenę ciotki Gabryeli i obmyślała rozrywki, czy zajęcia dla Ady, ale zajmowała się z równym zapałem służbą i jej dziećmi: odwiedzała ich w razie choroby, wyjednywała dla pokrzywdzonych lepszą pensyę.

Nawet podwórzowe psy, wałęsające się koty i głodne podczas zimy wróble znalazły w niej opiekunkę. Nawet zaniedbane kwiaty budziły w niej współczucie.

Za to sama Madzia zdawała się nie mieć żadnych potrzeb, a raczej jedną, ale nienasyconą: dbać o innych, służyć innym. Przytem ani cienia kokieteryi, a raczej głęboką niewiadomość o tem, że jest ładna i że się może podobać.

— Nieprawdopodobne!... — myślał i powtarzał Solski.

Madzię odrazu oceniał każdy, kto się z nią zetknął: była to bowiem natura kryształowej przejrzystości. Ale dokładnie sformułował ją dopiero Solski, sam bardzo bystry i znający się na charakterach. W jego wyobraźni ludzkość przedstawiała się, jako zbiór szarych, bezwładnych kamieni, między któremi raz na tysiąc, jeżeli nie rzadziej, trafiał się barwny i połyskliwy klejnot. Dopiero po nad temi chłodnemi i bezświetlnemi bytami ukazywały się istoty odmienne, nadzwyczajne, podobne do zapalonych lamp, które szarym kamieniom nadają fizyognomię, a klejnotom blask, barwę i przezroczystość.

Te nadzwyczajne istoty były to geniusze: rozumu, woli lub serca i Madzia, w oczach Solskiego, albo była świadomą, czy nieświadomą, lecz niesłychanie zręczną obłudnicą, albo — geniuszem uczuć.

Solskiego dziwiło przedewszystkiem, że Madzia wcale, ale to wcale nie spostrzegła, że on się nią zajął. Służba domowa wiedziała o tem, ciotka Gabryela już robiła wymówki i zastrzeżenia, panna Helena okazywała jakby zazdrość, pan Zgierski rozpływał się w pochwałach dla Madzi, ludzie obcy szukali u niej protekcyi, a tymczasem ona sama,

z wyrafinowaną obłudą, czy niepojętą naiwnością, jego — Solskiego — swatała z panną Heleną!...

„A może ona kocha się w tym blagierze Norskim?“ — myślał pan Stefan, po spirytystycznem posiedzeniu, na którem asystował pannie Helenie, ażeby rozbudzić zazdrość w Madzi.

Lecz zaprzeczył mu zdrowy rozsądek. Madzia była wówczas rozdrażniona, nawet rozpłakała się, ale ani z miłości do pana Kazimierza, ani z zazdrości o Solskiego. Ją wcale nie zajmowali rzeczywiści, czy domniemani wielbiciele; ją wzruszyły owe piszące i rysujące duchy, a nadewszystko traktat o nieistnieniu duszy, tak w porę i tak stosownie wypowiedziany przez pana Norskiego.

Tak było naprawdę. Madzia przez cały tydzień nie mogła się uspokoić: rozmawiała o tem z Adą, nie sypiała po nocach, zmizerniała, a nareszcie wydobyła z Dębickiego słowo honoru, że — on wierzy w Boga i nieśmiertelność duszy.

Uroczyste zapewnienie Dębickiego trochę uspokoiło Madzię. Nie mniej Solski widział, że posiew ateizmu już był rzucony w niewinną duszę i tembardziej zainteresował się Madzią, a znienawidził pana Kazimierza, który zresztą nigdy nie cieszył się jego względami.

„Jakiemże to trzeba być bydlęciem — myślał — ażeby okradać z wiary, a choćby tylko ze złudzeń, biedne dziecko, które nic innego nie pragnie!... I czem on jej to wynagrodzi? on, a nawet cały świat, któremu to biedactwo poświęca wszystko, żądając dla siebie tylko Boga i nadziei?...“

Sam Solski miewał rozmaite wątpliwości i dużą skłonność do pesymizmu. Ale ateuszem nie był, dzięki wpływowi Dębickiego, który od czasu do czasu ukazywał mu nowe, a olśniewające horyzonty.

Spokojny, wiecznie roztargniony matematyk, stworzył sobie jakiś system filozoficzny. Ale dotychczas rozmawiał o nim tylko z Solskim i to bardzo oględnie.

II.

Małe fundamenta dużych celów.

W tej epoce Solski miał prawo nazywać się szczęśliwym.

Gdyby ów angielski filozof, któremu w Londynie złożył niefortunną wizytę, zapytał go dzisiaj: co pan robisz? Solski już nie dziwiłby się, ani wahał, ale odpowiedziałby z dumą: buduję własną cukrownię, którą będę prowadził sam.

Solski, z lekceważącym uśmiechem, przypominał sobie czasy, kiedy ziewając, odbywał awanturnicze podróże bez celu, albo kiedy pod wpływem nagłego wstydu, że nic nie robi, chciał zostać tragarzem w londyńskich dokach, lub kiedy gotów był prosić pierwszego lepszego fabrykanta, o przyjęcie go do spółki.

On sam jest dziś fabrykantem i jeszcze jakim!... U niego pracuje kilkuset tragarzy, do niego jedni

modlą się o posady, inni żebrzą go o tytuł wspólników. I on rozdaje posady, ale wspólników nie przyjmuje.

Bo na co mu wspólnicy?... Ażeby go krępowali, czy ażeby część gotówki jego leżała w banku. Solski pomocy nie potrzebuje; co posiada sam, wystarczy aż nadto; w razie zaś nieprzewidzianego wypadku ma do dyspozycyi nietknięty majątek siostry, większy niż jego i — kapitały bliższych krewnych, którzy bez wahania pożyczą mu, ile zechce. Sama ciotka Gabryela w każdej chwili da sto tysięcy rubli, nie pytając: co z niemi zrobi? byle miała dożywotni procent.

Cukrownia w dobrach Solskiego była poważnym interesem. Naprzód cukrownie przynosiły akcyonaryuszom po kilkadziesiąt procentów rocznie; powtóre Solski miał doskonałą ziemię, z której setki morgów mógł obrócić na plantacye buraków. Odpadkami cukrowni można było karmić wielką ilość bydła, co także wzięto w rachubę. Nareszcie — ażeby już nic nie brakowało temu dziecku szczęścia, Solski miał w majątku ogromny spadek wody, czyli — motor darmo; podczas gdy inne cukrownie wydawały sporą sumę na opalanie parowych machin.

W rezultacie dla ludzi, jako tako obeznanych z interesami, było widoczne, że gdyby Solski, po kilku kampanjach, nawet spalił swoją cukrownię, nie ubezpieczając jej, to jeszcze wyszedłby z majątkiem. Ale Solski palić jej nie myślał, owszem, zapowiadał, że pod każdym względem będzie wzorową.

Po za tem budująca się fabryka stworzyła mu

mnóstwo zajęć, musiał bowiem, choć w najogólniejszych zarysach poznać kilka gałęzi pracy: uprawę buraków, hodowlę inwentarza, procesy cukrowarskie i handel cukrem. Zajmowały go także rozmaite urządzenia dla robotników, które miał zamiar wprowadzić przy fabryce.

Nareszcie — i tu był szczyt jego marzeń: Solski rozkazywał... Rozkazywał takim, którzy go słuchali, a jego rozkazy przyoblekały się w żelazne i kamienne ciało. On decydował o rozmiarach i położeniu cukrowni; on na sesyi rolniczej, wskazał pola, które na przyszły rok miały pójść pod buraki; on wyznaczył liczbę sztuk opasowego bydła; on, wysłuchawszy objaśnień Arnolda, wybrał angielską fabrykę, która miała dostarczyć kotłów i mechanizmów wykonawczych.

Był tak upojony władzą, że, szczególniej w początkach, popełniał nieledwie dzieciństwa, wybierając naprzykład projekta kosztowniejsze tylko dla tego, ażeby mieć przyjemność przeciwważenia głosów fachowych, jednym i niefachowym, ale swoim. A w nieopisany sposób podniecało to jego dumę, gdy który z techników powiedział:

— Wprawdzie to samo zrobiłoby się za dwa tysiące rubli mniej; ale pan możesz sobie pozwalać...

Później Solski w naradach stosował się do głosów większości; wypróbował już swojej potęgi, więc z kolei mógł zostać praktycznym.

Zapalały go też zewnętrzne oznaki czynności i władzy.. Jego gabinet był zawieszony, założony i zastawiony: planami budynków i maszyn, podręcznikami, próbami cukru, a jedno z głównych miejsc

zajmowały słoiki z nasionami buraków i sacharymetr, który ciotka Gabryela w pierwszej chwili uważała za nową broń, a następnie za rodzaj lorynety.

Prócz tego w przedpokoju zawsze siedział na służbie lokaj, zmieniający się co dwie godziny, w bramie zaś stało kilku posłańców, którzy odnosili listy i depesze. Nareszcie Solski, przez pewien czas, codzień odbywał sesye z adwokatami, rolnikami, technikami i agentami handlowymi, wyznaczał im pewne godziny, wzywał ich nagle do siebie, albo sam do nich jeździł.

Później i to mu się sprzykrzyło i zwoływał sesye tylko w razie rzeczywistej potrzeby. A jeszcze później brzydło mu niekiedy wszystko; nie mógł patrzeć na plany i próbki, odwracał się od sacharymetra. Wówczas po całych dniach czytywał francuskie romanse, pobudzał do szczekania Cezara, albo tarzał się z nim na szerokiej sofie.

Myśl o cukrowni już nie zapełniała mu życia. Owszem, niekiedy wydawała mu się nowożytną donkiszoteryą, a on sam błędnym rycerzem, który, mając byt aż nadto zabezpieczony, rwie się do pracy.

„Po co to?... Chyba ażeby innym wydzierać chleb albo majątek...“ — myślał.

Lecz do wydobycia go z podobnej apatyi wystarczała niewielka pobudka. Niech tylko kto powiedział: to nie dla Solskiego interes! albo: zobaczycie, że on wszystko straci!.. Niech który z dumniejszych kuzynów zrobił uwagę, że to nie właściwe zajęcie, albo — rozeszła się pogłoska, że powstaje towarzystwo akcyjne, które chce budować cukrownię

w tej samej okolicy — natychmiast Solski budził się. Znowu czytał fachowe książki, badał plany, zwoływał sesye, lub wyjeżdżał na wieś, przypatrywać się robotom.

Dzięki temu w majątku Solskiego już w połowie maja urządzono wielki zbiornik wody, a jak na drożdżach rosły mury kilkunastu budynków. Cofać się było zapóźno, tembardziej, że robota toczyła się sama, jak mocno pchnięty kamień z góry. Nawet antagoniści Solskiego już nie mówili o budowaniu drugiej cukrowni, lecz naradzali się pocichu, czy nie możnaby odkupić tyle obiecującej fabryki?

Dowiedziawszy się poufnie o tem pan Zgierski, (który teraz ciągle kręcił się przy Solskim), słodko przymrużył oczki i odpowiedział:

— Nikt nie zmusi Solskiego do sprzedaży, nikt pod słońcem, choćby mu dał tyle złota, ile pomieści się w kotłach cukrowni. Inna kwestya — dodał również poufnie — gdyby on sam znudził się tym interesem... Taką chwilę wypatrzeć, uderzyć w słabą stronę i natychmiast położyć na stół gotówkę, to co innego...

— Sądzisz pan, że to jest możliwe?... — spytał ktoś, kogo to żywo zajmowało.

— Mój Boże — odparł skromnie Zgierski — na świecie wszystko jest możliwe... Ale z Solskim trudna sprawa, bardzo trudna.

— Gdyby pan jednak chciał nam pomódz, bodajby... w upatrzeniu podobnej chwili... — wtrącił interesowany w tej sprawie.

— Co też pan mówi! — oburzył się z przyjemnym uśmiechem pan Zgierski. — Jestem oddany

Solskiemu do śmierci... A że widzę, iż zajęcie się cukrownią robi mu dużo satysfakcyi, więc nigdy nie doradzałbym sprzedania jej...

Interlokutor sposępniał, zaś pan Zgierski wyczekawszy chwilkę, dodał z surową miną:

— Inna rzecz, gdyby Solskiego zaczęło męczyć zajmowanie się cukrownią, psuć mu humor, podkopywać zdrowie... Ha, wówczas — bodaj położyłbym się na progu mieszkania i powiedziałbym: zabij mnie, ale porzuć tę nieszczęsną fabrykę, która skraca ci życie. Tobym zrobił, jak honor kocham!... Bo ja, panie, dla tych, którzy mi nieograniczenie ufają...

Interlokutorowi rozjaśniło się oblicze.

— Więc jednak przypuszcza pan taką ewentualność? — rzekł. — My ciągle ją widzimy, jak na dłoni. Solski zamęczy się tą cukrownią... To nie dla niego praca... Prawda kochany panie Zgierski?...

— A zaraz: czy prawda? — wybuchnął Zgierski. — Co to jest, panie, prawda?... — mówił, podnosząc w górę palec. — Jeżeli sam Jezus Chrystus umilkł w obec podobnego pytania, więc jak można zadawać go nam, prostym śmiertelnikom? Spytaj mnie pan: czy to jest możliwe, lub nie możliwe?... Aaa... wtedy odpowiem: wszystko jest na świecie możliwem...

Rozeszli się obaj pełni otuchy. Jeden z kandydatów do kupna, jeszcze niedokończonej cukrowni, miał przekonanie, że w Zgierskim znalazł życzliwego orędownika swej sprawy; Zgierski zaś miał pewność, że jest najwierniejszym przyjacielem Solskiego, jak niegdyś był nim dla pani Latter.

Uśmiechał się. W tej chwili w swojej ruchli-

wej wyobraźni, widział siebie, jako dyrektora dziwnej opery, w której Solski był tenorem, jego cukrowniani antagoniści orkiestrą, wszyscy zaś grali i śpiewali aryę jego własnej kompozycyi.

Tymczasem, o czem nie wiedział, czego nawet nie przeczuwał pan Zgierski, w duszy Solskiego, obok ambicyi i — znudzenia, znudzenia i — ambicyi, które jak dzień i noc kolejno następowały po sobie, zaczęła kiełkować całkiem nowa pobudka.

Solski, z natury hojny i szlachetny, miał jednak wstręt do filantropii, której dotychczas albo nie przyjmowano, albo z początku przyjąwszy, w dalszym ciągu odrzucano, albo — za którą płacono mu niewdzięcznością. Stąd na samą myśl o wyszukiwaniu nieszczęśliwych, pomaganiu potrzebującym, ocieraniu łez cierpiącym, na sam dźwięk podobnego frazesu, Solski doznawał obrzydzenia. On, który ograniczał własne potrzeby, miałby jak miłosierna baba czuwać nad potrzebami innych?... On, który szukał cierpień, ażeby je pokonywać, miałby rozczulać się nad cierpieniami innych?... On, który chciał być człowiekiem ze stali i granitu, miałby przykładać się do ucierania nosów dzieciom, albo łatania watówek ich matkom?... Cóż to za otchłań śmieszności!...

Solski mógł rzucić dziesięć... sto tysięcy rubli, a choćby i siebie samego na jakiś cel, zgodny z jego wyobrażeniami, przy którym bodaj trzeszczałyby kości; ale nigdy nie potrafiłby suszyć chustek do nosa albo pieluszek. Do spełniania takich czynów są litościwe dusze, pięknie chowane panienki, goniący za popularnością aferzyści, nigdy on...

W dniu jednak, w którym do ich domu spro-

wadziła się Madzia, Solski, sam nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął troszczyć się o innych.

Jego siostra, ot tak sobie, obiecała Madzi posadę nauczycielki w szkole, którą miano urządzić przy fabryce. Madzia przyjęła propozycyę, a Solski ją zatwierdził.

W parę dni później spadł na pana Stefana zwykły paroksyzm zniechęcenia. Solski nie mógł patrzeć na plany, nie chciał rozmawiać z technikami, lecz, chodząc po gabinecie, albo patrząc na kartki zaczętego romansu, myślał:

„Na co mnie u licha ta cukrownia?... Niech budują cukrownie ci, którym gwałtownie potrzeba trzydziestu procentów na rok, ale ja?... Oczywiście, jest to donkiszoterya!...“

Nagle przypomniał sobie, że obiecał Madzi posadę nauczycielki i — to inny kierunek nadało jego myślom.

„Jeżeli nie będzie fabryki, nie będzie szkoły i ta poczciwa dziewczyna zawiedzie się... A jaka ona ładna!... — dodał, odgrzebując w pamięci rysy Madzi. — A jakie ma szlachetne instynkta...“

Rzecz nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa, że jeżeli Solski otrząsnął się w tej chwili z apatyi, zrobił to pod wpływem obawy, ażeby Madzi nie narazić na zawód. Z jakiem zdziwieniem ona spojrzałaby na niego, dowiedziawszy się, że już nie dba o fabrykę i — coby odpowiedział, gdyby go zapytała: więc pan już nie chce mieć cukrowni, dlaczego?...

W jakiś czas później Madzia, ulegając prośbom swojej koleżanki, Żanety, uprosiła pana Stefana, ażeby aptekę przy fabryce oddał Fajkowskiemu.

Solski nawet nie myślał o aptece, lecz uznał jej potrzebę i obiecał posadę Fajkowskiemu.

I otóż znowu przybył człowiek, z którym Solski rachował się w chwilach zniechęcenia. Sprzedać ledwie budującą się fabrykę — nic łatwiejszego. Ale co on odpowie Fajkowskiemu, gdyby ten go zapytał:

„Dlaczego pan wyrzekłeś się cukrowni?... Przecież od niej zależy mój byt i małżeństwo z panną Żanetą, z którą, sam powiedziałeś, ażebym się ożenił?...“

Setki ludzi, już pracujących przy budowie, już zamówionych do przyszłej cukrowni, lub starających się o posady w niej, nic nie obchodziły Solskiego. Widział ich w wyobraźni, jak niekształtną mgłę, i zarówno nie dbał o ich opinję, jak o ich zawód. Ale nauczycielka Madzia i aptekarz Fajkowski wydawali mu się czemś realnem, osobami żywemi, które go też żywo obchodziły. Wprawdzie można było znaleźć dla nich jakieś odszkodowanie; ale — jak im wytłómaczyć: dlaczego on rzucił fabrykę?...

Potem Solski przestał wyobrażać sobie Madzię, jako nauczycielkę dzieci jego oficyalistów i, nie zdając sobie sprawy, wstrząsał się na myśl, ażeby mogła zajmować podobne stanowisko. Lecz natomiast oczekiwał, że Madzia poprosi go o jakąś techniczną posadę dla swego brata i o miejsce lekarza dla ojca. Naturalnie, że dałby im doskonałe warunki!

Ale Madzia w delikatny sposób napomknęła mu, że ani myśli prosić za swoją rodziną, a Solski uczuł do niej za to pretensyę. Zdawało mu się, że mu usunięto dwa mocne filary, na których miała oprzeć się,

jeżeli nie cukrownia, to przynajmniej zapał Solskiego dla niej.

Później uspokoił się. Znowu bowiem, niewiadomo dlaczego, przyszło mu na myśl, że — ojcu Madzi nie odpowiadałoby tak skromne stanowisko i że jej brat powinienby co najmniej zostać dyrektorem cukrowni, obeznawszy się z fabrykacyą. A swoją drogą niecierpliwie czekał, ażeby Madzia znowu kogoś zaleciła mu na posadę. Miał bowiem instynktowny przesąd, że: każdy człowiek, którego ona zarekomenduje, stanie się dla niego węzłem, przymocowującym go do realnej działalności.

Solski zaczął teraz odgadywać w sobie brak jakiejś zdolności, któraby zbliżała go do ludzi. Zaczął rozumieć, że on sam jest istotą niekompletną i że Madzia w wysokim stopniu posiada te cechy, których właśnie jemu nie dostaje. Wiedział, że tu chodzi o sferę uczucia, ale jeszcze nie zdawał sobie jasno sprawy: co to jest?

III.

Cukrownia widziana z góry.

Pewnego wieczora Solski z Dębickim przyszedł do siostry na herbatę. Czas był pogodny, więc wszyscy usiedli pod werendą, na dużym balkonie, wychodzącym na ogród. Ada z zapałem mówiła o jasnowidzeniach pani Arnoldowej i o swoich własnych postępach w spirytyzmie: już bowiem duchy zaczęły ro-

zmawiać z nią za pomocą abecadła i ekierki przytrzymywanej ręką. Madzia z niemniejszym ogniem opowiadała o ostatniej sesyi kobiecego towarzystwa, na której panna Howard podała projekt, ażeby zbudować wielki dom, na mieszkania dla samotnych kobiet.

— Ciekawam, skąd wezmą na to pieniędzy? — odpowiedziała Ada. — Bo mnie już zaczynają nudzić ich ciągłe projekta, na wykonanie których trzeba miljonów, podczas gdy one mają deficyt.

— Rodzona moja siostra!... — zawołał, śmiejąc się, Solski. — Przypominam ci jednak, że nie wypada, dla wątpliwych stosunków z duchami, zaniedbywać stowarzyszenia, które ma cele uczciwe, a niekiedy praktyczne.

— Naprzód — odparła zarumieniona Ada — proszę nie żartować z duchów. A powtóre... dlaczego mam chodzić na wszystkie sesyje tych pań? Ślubu z niemi nie wzięłam.

— Ciekawym, cobyś jednak powiedziała, gdybym ja również dla jakiegoś ...izmu rzucił naprzykład cukrownię?

— Anibym się odezwała — rzekła Ada.

— Pan rzuciłby cukrownię?... — zawołała Madzia, patrząc na niego ze zdziwieniem.

— Czy tylko damom wolno mieć upodobania?... Jeżeli moją siostrę już po paru tygodniach znudziły sesye, dlaczego mnie po tylu miesiącach nie miałaby znudzić cukrownia? Upewniam—dodał, śmiejąc się— że na waszych sesyach macie panie więcej rozmaitości.

— Nigdy w to nie uwierzę!... — rzekła Madzia z przekonaniem.

— Że moje zajęcia nie są zabawne?...

— Nie, ale, ażeby pan opuścił sposobność uszczęśliwienia kilkuset ludzi...

— Ależ ci ludzie nic mnie nie obchodzą, nie znam ich. Zresztą, kto kiedy uszczęśliwił człowieka?

— Ach, mówi pan tak, bo pan nie widział biedy i biednych — odparła Madzia z zapałem. — Gdyby pan kiedy zobaczył rodzinę nauczyciela w Iksinowie, którego żona jest w domu kucharką i praczką, a dzieci chodzą w starych niedopasowanych sukienkach... Gdyby pan poznał stolarza, który żyje z robienia trumien, ma zapadnięte piersi i chyba dla tego nie umiera, że jemu już nikt trumny nie zrobi... A gdyby pan kiedy usłyszał, w brudnej izbie domu zajezdnego płacz, płacz młodej kobiety, która przyjechała z koncertem, lęka się niepowodzenia i, w dodatku, jest głodna...

Zatchnęła się ze wzruszenia, lecz po chwili mówiła dalej:

— Tak, łatwo panu wyrzec się cukrowni, bo pan nie widywał podobnych ludzi. Gdyby pan ich kiedy spotkał, jestem pewna... przysięgam!... że nie zaznałby pan spokojności, dopóki nie wydobyłby ich pan z nędzy... Cudza nędza boli nas, chodzi za nami, nie pozwala usnąć... Jest jak rana, która dopóty nie zagoi się, aż pomożemy biedakowi, przynajmniej wedle naszych sił...

— Chyba nie przypuszcza pani, że będę po świecie zbierał niedołęgów i zapełniał nimi fabrykę — od-

parł rozdrażniony Solski. — Tam potrzeba pracowników...

— I im należy się życzliwa opieka...

— No, przepraszam panią, ale w żadnej fabryce robotnik nie umiera z głodu!... — przerwał Solski.

— Mój Boże, wiem coś o tem (prawda Adziuś?); bo do naszego stowarzyszenia zgłaszają się rozmaite kobiety, z prośbą o przyjęcie ich córek do roboty kaftaników. Zwiedzałam, nie dalej, jak w zeszłym tygodniu, mieszkanie tych ludzi: na strychach lub w suterynach, gdzie w jednym dusznym pokoju siedzą trzy małżeństwa i ze sześcioro dzieci... Kosztowałam krupnik, który parę razy tygodniowo gotują na obiad, przez resztę dni żywiąc się nieocukrzoną kawą i chlebem... Nawet widziałam w jednem łóżku dwoje dzieci, które, nie mając odzienia, muszą leżeć, zamiast biegać po ulicy...

— Pozwoli pani objaśnić sobie — rzekł cierpko Solski — że przy naszej fabryce już budują domy dla robotników, którzy, mam nadzieję, nie będą żywili się kawą, ani pakowali do łóżek nagich dzieci...

— Bo pan będzie właścicielem cukrowni — odparła Madzia tonem głębokiego przekonania. — I dlatego nie przypuszczam, ażeby pan rzucił fabrykę, mogąc w niej robić tyle dobrego...

— Jak ona zapala się!... — wtrąciła Ada, życzliwie patrząc na przyjaciółkę. — Bądź spokojna, Stefek nie łatwo wyrzeknie się swego dziecka...

— Cukrownia nie jest mojem dzieckiem — z niechęcią odpowiedział Solski. — To pomysł Arnolda, świetny, ani słowa, ale nie mój... Nie urodził się w moim mózgu, a dziś, gdy już stał się faktem,

czuję, że nie jestem do niego dopasowany... Naturalnie będę robił wszystko, co potrzeba, ale bez zapału... Nic mnie tam nie ciągnie — dodał ciszej — chyba te szarytkowskie obrazy, które tak wymownie przedstawiła panna Magdalena...

Zaczął pogwizdywać i patrzył w niebo, usiane gwiazdami. Madzia posmutniała, Ada rzekła:

— Zwyczajny to paroksyzm u Stefka. Jak inni muszą przespać się po pracy, tak Stefek musi ponudzić się trochę i pomelancholizować dla nabrania sił. Ale jutro... pojutrze... przejdzie!...

— Więc nie wierzysz, że mnie nie zajmuje cukrownia, a upokarza rola kandydata do kilkudziesięciu procentów rocznie?... — spytał rozdrażniony Solski. — Praca społeczna... ja ją rozumiem!... W pracy społecznej potrzeba być artystą i jak rzeźbiarz lepić, albo wyciosywać z ludzkiah gromad — posągi... Waszyngton, Napoleon I, Cavour, Bismark, to artyści społeczni, to praca... Ale budowanie cukrowni i wyciskanie buraczanego soku... brr!...

— Dziwna rzecz — odezwał się, milczący do tej pory Dębicki. — Bismark artysta, ponieważ należał do tych, co zbudowali państwo niemieckie; ale organizator fabryki nie artysta, ponieważ tworzy tylko fabrykę. Wypadłoby stąd, że większy honor złapać wieloryba, aniżeli stworzyć wróbla. Mnie się zaś zdaje, że drugie jest trudniejsze i że ten, kto zbudowałby porządnego wróbla, byłby artystą godniejszym podziwu, aniżeli łowca wielorybów...

Solski oparłszy się plecami o poręcz krzesła, wyciągnął nogi i patrzył w niebo. Był obrażony, ale Dębicki nie zważając na to, mówił dalej:

— Tymczasem u nas nikt nie chce rozwijać swojej siły twórczej za pomocą budowania małych wróbelków, które przecież są organizmami żywemi; lecz koniecznie życzy sobie na własną rękę konstruować wieloryby, dla których nie ma ani miejsca, ani czasu, ani nawet materyału. Ludziom zdaje się, że świat potrzebuje tylko dzieł nadzwyczajnych, a bodajby — rojeń o nich; świat zaś przedewszystkiem potrzebuje twórców, choćby w najszczuplejszym zakresie pracy. Wynalazca nowego sztyfta do butów jest wart więcej, niż stu marzycieli o *perpetuum mobile;* organizator rzeczywistej cukrowni wywołuje większy ruch między ludźmi, aniżeli stu chronicznych kandydatów na Bismarka.

Spróbujcie-no stworzyć wzorową rodzinę, sklep, spółkę, warsztat, fabrykę, a przekonacie się, że i to jest posąg, nie odlany, lecz pracowicie ułożony z ludzkich jednostek... Co to posąg!... raczej pełen życia organizm wyższego rzędu... Kto takie figury buduje, nie rutynicznie, tylko z planem i świadomością, ten wznosi się po nad Fidjaszów i Michałów Aniołów i nie ma czego zazdrościć Bismarkowi, który w sprawie zjednoczenia Niemiec był zaledwie jedną z iskier podpalających już gotową furę słomy.

— A sens moralny tej prelekcyi?—spytał Solski.

— Ten, że jeżeli naprawdę masz w sobie instynkt organizatorski, to stworzenie tak skomplikowanej fabryki jak cukrownia powinno cię zadowolić — odparł Dębicki.

— Jak to zaraz znać, że profesor nie dotknąłeś się tej rzeczy praktycznie!... — zawołał Solski. — Gdyby ci przyszło słuchać nieskończonych narad

o cenie i dobroci wapna i cegły, o głębokości fundamentów, wyborze machin, wynagrodzeniu mularzy i gatunkach buraków, zapomniałbyś pan o swoich ideałach. A gdyby ci jeszcze dzień po dniu kładziono w głowę, że praktyczniej jest zachęcić sąsiadów do plantacyi buraków, aniżeli uprawiać je samemu, bo się na tem więcej zarabia; gdyby ci skakano do oczu, że chcesz psuć robotników, czyli płacić im lepiej; gdyby w kontraktach z przedsiębiorcą mularskim, ciesielskim i tak dalej, podsuwano kruczki, przez które ludzie ci musieliby pójść z torbami, dopiero poznałbyś: co to jest interes przemysłowy. To nie żyjący posąg, ale ordynarna machina do wyciskania dywidendy z buraków, robotników i rolników... To nie organizm, ale potworny młyn, w którym mielą się ludzkie istnienia...

Dębicki spokojnie wysłuchał mowy, z takim wypowiedzianej ogniem, że zdawało się, iż poruszyła gałęzie starych drzew, zaglądających z ogrodu na balkon. A gdy Solski umilkł, on zaczął:

— Rutyna pomocników i tysiączne szczegóły fabryki zasłaniają ci jej całość. Nie dziwię się twoim upadkom na duchu: jesteś jak człowiek zbłąkany w lesie, który widzi tylko drzewa i drzewa, stracił kierunek, a już wcale nie myśli o tem: ile zajmuje miejsca ów las i jaką ma formę?

Otóż jest to najwłaściwsza chwila, ażebyś, zamiast zniechęcać się, spojrzał wyżej. Przez jakiś czas nie myśl o burakach, cegle i dywidendzie, ale raczej o tem, że: z całą świadomością i rozwagą, wbrew wszelkim przeszkodom i rutynie, masz obowiązek stworzyć żywy organizm, czujący i myślący

organizm, z cegły, żelaza, buraków i ludzi. Masz stworzyć istotę zdrową lub chorą, która będzie rosła i rozwijała się, albo umrze, i która będzie miała zupełną samowiedzę swojej pomyślności lub cierpień, swego rozwoju albo konania. I to nie jedną samowiedzę, ale kilkaset, kilka tysięcy, słowem tyle samowiedz, ilu jest ludzi zainteresowanych w istnieniu twojej cukrowni...

— No... no... no!... — przerwał Solski. — Siadasz profesor na wysokiego konia.

— Przypominam, że są tu jeszcze dwie pokorne słuchaczki, które także chciałyby coś zrozumieć — wtrąciła Ada.

Dębicki machnął ręką w sposób wyrażający małe uszanowanie dla słuchaczek i mówił do Solskiego:

— Przedewszystkiem czy wierzysz, że twoja cukrownia będzie istotą żyjącą, ultra-organizmem?...

— Zwietrzałe porównanie — rzekł Solski.

— Ale my o niem nic nie wiemy... — zawołała Ada.

— Przepraszam cię — odparł Dębicki — ale to nie jest alegorya, ani prozopopeja, lecz ten rodzaj podobieństw, które prowadzą do naukowych odkryć!...

— No, no!...

— Zacznijmy od dołu. Cukrownia będzie przekształcała materyały, nie o wiele gorzej, aniżeli roślina albo zwierzę. Przez jedną bramę będziecie do niej wozić: buraki, węgiel, wapno i tak dalej. Te buraki opłóczecie wodą, jak śliną; rozetrzecie je na miazgę żelaznemi zębami, wyciśniecie z nich sok... W innym aparacie, który mówiąc nawiasowo, jak na-

sze płuca, będzie pochłaniał mnóstwo tlenu, poddacie sok buraczany podniesionej temperaturze... Potem będziecie go łączyli z wapnem, węglem, będziecie przeciskali przez walce centryfugalne, a nareszcie odparujecie i odlejecie w formy cukier, który — wyjedzie na świat drugą bramą.

Powiedz, czy cały szereg tych procesów nie jest podobny do odżywiania się zwierząt i roślin? I czy twoja cukrownia nie przypomni ci — naprzykład wiśniowego drzewa, które wchłania kwas węglany, tlen, wodę, amoniak, sole wapienne; przerabia je, rozprowadza po rozmaitych zakątkach swego organizmu i w rezultacie wyrzuca na powierzchnię kory klej wiśniowy, bardzo poszukiwany przez dzieci.

— Jadłam to — szepnęła Madzia.

— I ja... dodała Ada.

— Kup odemnie parę akcyi Ada — rzekł Solski — a pozwolę ci nad moim — żywym posągiem — robić studya botaniczne.

— To jest prawda, co mówi profesor — odparła siostra.

— Nie przeczę... Ale ja nie jestem ogrodnikiem, który ma zamiłowanie do sztucznych roślin, wytwarzających cukier...

— Dodam tu jeszcze — ciągnął Dębicki — że gdy w twojej cukrowni znajdzie się za mało lub za dużo buraków, gdy w składach okaże się ciągły nadmiar cukru, albo gdy w którym z budynków fabrycznych będą niedokładnie odbywały się właściwe procesy, cukrownia zacznie chorować. Robotnicy zmizernieją, liczba ich zmniejszy się, tętno ruchu osłabnie; potem mogą nawet opustoszeć budynki, pę-

kać ich ściany i w końcu walić się, jak konary spróchniałego drzewa. Możliwość śmierci jest także dowodem życia.

— Ależ, kochany profesorze, mnie nic nie obchodzi takie życie, które polega na trawieniu i wydzielinach, wrazie zaś najefektowniejszym — na śmierci... Ja, jeżeli mam być działaczem społecznym, chcę mieć do czynienia z duszą i to duszą zbiorową. Słyszysz?... — nalegał Solski.

— Z duszą? — powtórzył Dębicki. — Właśnie o niej będę mówił i przekonam cię, że nawet w dzisiejszych fabrykach istnieją dwie kapitalne władze duszy: wola i myśl.

Wola na najniższym szczeblu objawia się odruchami odsiebnemi i dosiebnemi, które już spotykamy u wymoczków. Czy zaś nie zgodziłbyś się na to, że — owi furmani i ich wozy, które będą zwozić buraki, a wywozić cukier, że oni przy twojej fabryce będą spełniali rolę tych niestałych rzęs i macków, które na chwilę wyrastają z ciała pierwotniaków i, schwyciwszy zdobycz, znikają?...

Wyższym szczeblem woli są nałogi. No, ale te muszą istnieć w każdej fabryce, gdzie mnóstwo ludzi spełnia swoje czynności nałogowo i gdzie jednostajne działanie machin również przypomina nałogi.

Następnem piętrem woli jest: praca twórcza, w której odruchy i nałogi porządkują się według pewnego celu. W fabryce przedstawicielami takich celów są specyalni majstrowie, pod których kierunkiem oddziały robotników płuczą buraki, rozcierają, wyciskają...

Szczytem nareszcie woli jest: cel panujący fa-

bryki, który streszcza się w jej dyrektorze technicznym.

Przechodzę do myśli. Jej fundamentem są wrażenia świata zewnętrznego, a organami tych wrażeń dla was są: agenci, dowiadujący się o cenach cukru, buraków, węgla, drzewa, robocizny... Wyżej wznosi się: pamięć, jej zaś organem będą w cukrowni spisy inwentarza, płacy roboczej, wydatków na materyały, wpływów za towar... Pracę twórczą myśli chyba pomieścisz w laboratoryum waszych chemików, w biurze technicznem i administracyjno-handlowem. A nareszcie ideę panującą, która ogarnia całe życie fabryki, jej rozwój i wahania — może reprezentowałbyś ty sam, gdybyś w swojej cukrowni widział nie prasę do wyciskania dywidend, ale organizm, który ma spełniać jakieś cele na świecie.

Dodaj teraz, że każda z istniejących fabryk ma swoją indywidualność. Są tego rodzaju instytucye: logiczne i głupie, rzetelne i szachrajskie, wolne i spętane przez wierzycieli, moralne i niemoralne. Pomyśl o tem wszystkiem i powiedz: czy po za burakami, wytłoczynami, melasą i dywidendą nie dostrzegasz wielkich konturów ducha, który tem tylko różni się od ludzkiego, że, zamiast jednej świadomości, ma ich kilkaset?... Niezawsze zresztą zgodnych między sobą.

— Stefku, profesor ma słuszność — rzekła Ada.— W fabryce istnieje duch zbiorowy...

— Ale niema w niej miejsca na współczucie i litość panny Magdaleny — odparł Solski.

— Mylisz się — wtrącił Dębicki. — Dzisiejsze fabryki są jeszcze bardzo niskiemi organizacyami:

niema w nich nietylko rozwiniętych uczuć, ale nawet świadomej myśli i woli, które zastępuje ślepa rutyna, jak w ulach, albo mrowiskach. Czy nie sądzisz jednak, że dzisiejsze zamęty w świecie pracy może nie istniałyby, gdyby w fabrykach tętniło żywe uczucie? Gdyby smutek, spotykający jednego pracownika, udzielał się innym; gdyby kierownicy troszczyli się o usuwanie przykrości, a nasuwanie przyjemności wykonawcom? Żyjemy zresztą w epoce, kiedy w fabrykach zaczyna kiełkować ów uczuciowy element. Bo czemże innem wytłómaczysz: szpitale, szkółki i ochrony dla dzieci, doroczne i tygodniowe zabawy, kasy zapomóg, a nawet orkiestry?... Żadne z tych urządzeń ani pomnoży ilości wydobytego cukru, ani powiększy dywidendy; do czegóż więc je odnieść, jeżeli nie do budzącego się uczucia, w tym duchu, który unosi się nad kotłami i machinami?

Solski nagle uderzył się w czoło.

— Masz racyę!... — zawołał podniecony. — Dziś dopiero zrozumiałem pannę Magdalenę i... siebie...

Madzia drgnęła na krześle, Ada i Dębicki spojrzeli. Solski szybko opanował się i wziąwszy Madzię za rękę, rzekł z uśmiechem:

— Przepraszam za zestawienie pani i siebie... Ale w tej chwili przyszły mi na myśl szlachetne poglądy pani i moje odpowiedzi... Tak, pani ma słuszność; ja jej nie miałem...

Pożegnał obecnych i wyszedł do siebie. Z progu jeszcze odezwał się:

— Tylko, profesorze, nie zbałamuć mi siostry i... panny Magdaleny...

— Złoty, kochany profesorze! — zawołała Ada, ściskając obie ręce Dębickiemu. — Znowu ożywiłeś Stefka... Jestem pewna, że nie prędko usłyszymy jego pesymistyczne teorye... Wnoszę to ze wzruszenia, jakie go opanowało.

IV.

Spiritus flat, ubi vult.

Każdemu człowiekowi zdarza się podczas zimowego dnia, patrzeć na zapotniałe szyby. W widoku tym niema nic, na czem wartoby zatrzymać uwagę: przezroczysta tafla, zawoalowana parą, która wygląda jak muślin, a czasem jak warstwa rosy, pobrużdżona spływającemi tu i owdzie kroplami. Niema nic do oglądania, nic do zapamiętania, nic, coby poruszało ciekawość.

Wtem na dworze wionął wiatr chłodniejszy, temperatura spada o kilka stopni i—spotniała szyba zmienia się w jednej chwili. Muślin wilgoci zaczyna pokrywać się bogatym haftem, przedstawiającym liście dziwnych roślin, albo pióra nieznanych ptaków; z mgły powstaje wyrazistość, z jednostajności rozmaitość i określone formy.

Podobne zjawisko zaszło w duszy Solskiego. Od dzieciństwa patrzył na swój pałac, wypełniony służbą, na folwarki, rojące się ludźmi i bydłem, a od kilku miesięcy na budującą się cukrownię. Miał ogólne wyobrażenie: co każdy z tych ludzi robi w po-

kojach, w polu, na mularskiem rusztowaniu, ile go kosztuje, a ile mu przynosi zysku? Wszystko to jednak wydawało mu się, jak pełzająca po ziemi szara mgła, która nużyła go bezduszną jednostajnością i gdzie niepodobna było dopatrzeć formy, ani fizyognomii. Dopiero dzisiejszego wieczora nagle zmieniło się to wszystko: skrystalizowało się, jak rosa na szybach.

Z początku, na herbacie u Ady, Solski był trochę rozdrażniony na Madzię: jej litość nad stolarzami, bakałarzami, wędrownemi aktorkami, wydawała mu się ślamazarnym sentymentalizmem, którego nie cierpiał. Działało to na niego, jak wygrywanie na fleciku wiecznie tych samych, a zawsze czułych melodyi.

„Gdybym ja raz nareszcie mógł nie słyszeć o rozmaitych bladościach, łzach i niedolach!...“ — pomyślał zniecierpliwiony.

Potem zabrał głos Dębicki i jednostajnym, profesorskim tonem, zaczął wykładać rzeczy, które Solski już znał, setki razy czytał o nich, rozmawiał i rozmyślał, lecz które w rezultacie nic go nie nauczyły. Rodzina, warsztat, praca w małem kółku, organizm społeczny, ach!... jakież to oklepane frazesy, których dziś już nie powtarza nawet młody wikary, występujący z kazaniem w prowincyonalnym kościołku.

Było jednak w tej prelekcyi coś niezwykłego: pewność, z jaką przemawiał Dębicki. Zdawało się, że ten człowiek, wpatrzony w próżnię, naprawdę widzi duchy, unoszące się nad stosami cegieł i ślepo

pracującemi machinami, nad każdem ludzkiem zbiorowiskiem, które skupia się w jakimś celu.

„Gdzie dwu, albo trzech zejdzie się w imię Moje — Ja tam będę...“ — przemknęło Solskiemu przez myśl.

I nagle w jego duszy zbiegły się w jeden punkt: jego folwarki i cukrownia, wykład Dębickiego, opowiadania Madzi, wreszcie — mnóstwo dawniejszych wątpliwości i rozumowań. Błyskawica rozświetliła całe jego wnętrze i zobaczył rzeczy, których dawniej nie widywał nigdy.

Zdawało mu się, że jego pałacowa służba, kilkadziesiąt osób, stopiła się w jakimś cudownym kotle, skąd niebawem wyszedł jeden tylko, ale olbrzym. Każda jego ręka była odlana z kilkudziesięciu rąk, pierś — z kilkudziesięciu piersi, głowa — z kilkudziesięciu głów. Olbrzym ten, wysoki na dziesięć piętr, nieźle odziany i syty, siedział przed główną bramą pałacu, od czasu do czasu jednym palcem przesuwał sprzęty, albo oddechem zdmuchiwał pyły z pokojów. Niekiedy spoglądał na Solskiego i spełniał rozkazy bez wahania, ale też i bez zapału, a nawet z taką miną, jakby oganiał się przed muchami.

Na wsi zdarzyło się to samo. Parobcy ze wszystkich folwarków spłynęli się w jednego parobka, którego żołądek wart był kilkaset zwyczajnych żołądków, ręka — kilkaset rąk, wzrost — kilkaset wzrostów. Tylko głowa wydawała się nieproporcyonalnie drobną, na postaci ogromnej, jak skała.

Olbrzym ten, trochę bosy i trochę obdarty, powoli odrabiał swoje zajęcia, miał ociężałe ruchy, apatyczną twarz i nieufne spojrzenie.

Szybko chodząc po swoim gabinecie, Solski, podniecony, wpatrywał się w te wizerunki własnej wyobraźni. Znowu poczuł dumę. Niedość, że zrozumiał teoryę Dębickiego, ale nawet przyoblekł ją w ciało! Od tej pory już nietylko będzie wiedział, że dom, folwark i fabryka są organizmami, ale—będzie widział te organizmy w ich prawdziwym kształcie i wielkości. Tylu jest właścicieli domów, folwarków i fabryk, ale żaden z nich nie widzi swojej czeladzi i służby w takiej plastycznej formie, żaden nie czuje, że ma przed sobą olbrzymów, którzy odbierają rozkazy od niego, uważni na każde skinienie pana!...

Teraz dopiero Solski widzi, że jest władcą, potężnym czarodziejem, który przywiązał do siebie wielkoludy za pomocą talizmanu... klucza od kasy. Tym kluczem porusza z miejsca, budzi ze snu, zachęca do pracy, wywołuje radość, albo smutek w swoich ogromnych niewolnikach. Wprawdzie inni panowie robią to samo; ale nawet nie domyślają się tego, co robią, nie widzą olbrzymów, lecz drobne ich okruchy, nie warte spojrzenia.

Solski wciąż chodzi po swoim gabinecie, spoglądając od czasu do czasu za okno, gdzie już widać księżyc w ostatniej kwadrze, powoli wznoszący się nad dachami.

Nareszcie!... Nareszcie znalazł to, czego zawsze pragnął: władzę nad czemś wielkiem. Jeden wielkolud czuwa nad jego wygodami, drugi uprawia pola, trzeci będzie pracował w fabryce. Każdy z nich może jeszcze urosnąć, nabrać lepszej cery i humoru, jeżeli tak podoba się jemu — Solskiemu; albo też

zniknąć z powierzchni ziemi, gdy tak zechce on, Solski.

Lecz któżby w podobny sposób marnował takie istoty; chyba waryat albo człowiek, który ich wcale nie widzi i nie cieszy się władzą nad niemi? Owszem, niech rosną i nabierają sił, niech zawsze będą dobrze odziani, syci i zadowoleni, niechaj leniwe ich ruchy nabiorą zręczności, apatyczne twarze — wyrazu. A nadewszystko niechaj porosną im zbyt drobne głowy, oni zaś sami niechaj — kochają Solskiego.

Oto są żyjące posągi, które on ma kształtować! Oto praca jakiej od tylu lat pożądał! Teraz dopiero zrozumiał, że folwark i fabryki warte są jego zdolności i zajęcia.

Ponieważ szczęście nie chodzi samotnie, więc, w tym dniu dziwnym, Solskiemu trafił się jeszcze jeden pomyślny wypadek, może najpomyślniejszy. Te, od dzisiaj ukochane, jego olbrzymy mają jakieś potrzeby, które on nie zawsze odczuwa; nadto zaś, jeżeli pojmują ludzki język, to chyba język serca, którego Solski nie posiada. Ma energię, ma twórczą myśl, ale... sentymentalnym być nie potrafi, to darmo!...

I otóż w takiej chwili znajduje się pod jego dachem Madzia, istota niesłychanie wrażliwa, jakby utkana ze współczucia i miłości. Ona chwyta w lot każdą cudzą potrzebę, odczuwa ją i znajduje natychmiastową odpowiedź. Ona jedna potrafi rozmówić się nawet z tym wielkoludem, który obok żołądka złożonego z kilkuset żołądków, posiada głowę wartą ledwie kilkanaście główek.

Jest tedy trzy rzeczy: materyał na żywe, ogromne posągi, rzeźbiarz, który tylko takie chce ciosać i—pomost między materyałem a rzeźbiarzem—Madzia...

Solski rzucił się na kanapę, ściskając rozpalone czoło.

„Uboga — myślał — ale na co mi pieniądze?... Żadne nazwisko, ale będzie miała moje... Żadne stosunki... Nie, to nie są żadne stosunki... to są te, o które najwięcej chodziło mi w życiu... A gdzie ja znajdę podobną wrażliwość i taki bezmiar uczucia?... Przecież to posag, jakiego nie dostałbym za miliony!...“

Odgrzebywał w pamięci wszystkie kobiety, które kochał albo podziwiał. Były to osoby rozumne, dowcipne, piękne, eleganckie, oryginalne, ale — żadna taka!... Były to brylanty, szmaragdy, szafiry, które warto posiadać, ale żadna nie była tem, czem Madzia: promieniem światła, bez którego nie można się obejść...

„Czy, ożeniwszy się z nią — myślał Solski — nigdybym jej nie zdradził?... Ale!... sto razy zdradziłbym ją, dla każdej któraby mi się podobała... A czy mógłbym ją porzucić?... Nigdy!... jak nie mógłbym rzucić własnego serca...“

„A może ona kocha Norskiego?... — przeleciało mu przez głowę. — Jej płacz u Arnoldów... rumieńce... unikanie jego spojrzeń...“

Solski zerwał się z kanapy, jak szalony.

— Boże!... czyby to być mogło?... — szepnął. — Ależ to całe moje życie zrujnowane...

Wyszedł do przedpokoju, włożył palto i wybiegł na pustą ulicę. Wrócił do domu, kiedy księżyc zaczął pochylać się ku zachodowi, a na wschodzie świtało.

„Muszę to wyjaśnić i zakończyć — mówił rozbierając się. — Ada zgodzi się natychmiast, ciotka

Gabryela podąsa się, ale także ustąpi. No — a w naszej rodzinie nie wszyscy przecie są tak naiwni, ażeby nie potrafili ocenić wartości Magdaleny.“

O tej samej godzinie, kiedy w duszy Solskiego rozegrywała się jej przyszłość, Madzia także nie mogła zasnąć.

Nagłe przerzucenie się Ady z towarzystwa kobiet pracujących do spirytyzmu, przestraszyło Madzię. Cierpki zaś ton, jakim parę razy ode zwał się do niej Solski, zranił jej dumę.

„Wielcy panowie — myślała — łatwo zmieniają upodobania i... lekceważą ludzi!... Wolę ja usunąć się stąd pierwej, zanim mnie wypędzą...“

Potem zrobiło jej się żal Ady, która mogłaby sądzić, że Madzia porzuca ją przez kaprys, a nareszcie postanowiła — zaczekać: parę tygodni, może parę dni...

Prawda, że pan Stefan, odchodząc, uznał swój błąd, a jej słuszność. Ale jakim tonem mówił on, że: nie będzie zbierał niedołęgów, ażeby zapełnić nimi fabrykę!... A w jaki sposób parę razy odpowiedział Dębickiemu?...

„To nie mój świat... nie mój... nie mój!... Trzeba stąd co rychlej uciekać...“ — myślała Madzia, patrząc, że już świta na dworze.

V.

Znowu echo przeszłości.

Od kilku dni Ada Solska spostrzegła w bracie niepokój.

Czytał i załatwiał majątkowe interesa, ale—nie miał apetytu, długo przesiadywał w nocy, unikał Madzi, albo rozmawiał z nią krótko i oschle. Niekiedy wpadał do pokoju siostry i chodził milcząc, jak człowiek, który chce zwierzyć się z czemś, ale nie ma odwagi.

Pewnego południa, kiedy Solski o zwykłej porze, nie przyszedł do siostry, ani pokazał się na śniadaniu, Ada, wziąwszy kłębek włóczki i szydełko, udała się do gabinetu brata. Pan Stefan chodził, bardziej rozgorączkowany niż zwykle. Ada siadła na skórzanej sofie i, rozwinąwszy włóczkę, zaczęła robić szalik dla ciotki, w czem zresztą nie okazywała nazbyt wielkiej biegłości. Cezar powitał ją skokami i machaniem ogona; widząc jednak, że pani nie zajmuje się nim, legł na tygrysiej skórze i, oparłszy głowę o jej stopy, zasnął.

Przez otwarte okna wpadały potoki słoneczne, dzieląc gabinet na ciemne i jaskrawe pasy. Ile razy Solski chodząc, ukazał się w oświetleniu, Ada widziała, że ma mizerną twarz i podsiniałe z bezsenności oczy; gdy wszedł w cień, wydawał się prawie szary.

— Dobrze, żeś przyszła — odezwał się pan Stefan.

— Uważam to — odparła Ada, nie odwracając oczu od roboty.

Znowu nastało milczenie, które przerwał pan Stefan.

— Domyślasz się, o czem chcę z tobą mówić? — spytał.

— Aaa!... Nawet nie potrzebuję domyślać się. Widziałam przecie to samo w roku zeszłym, we Włoszech...

— Zupełnie co innego...

— I o Helenie mówiłeś, że jest inna, aniżeli wszystkie kobiety.

Solski zatrzymał się przed siostrą.

— Czy to ma znaczyć, że stałaś się stronniczką panny Heleny?... — spytał. — Wybrałaś dobrą porę!..

Ada złożyła ręce na kolanach i podniosła oczy.

— Nie gniewaj się, mój kochany — rzekła — ale już nigdy... nigdy w obec ciebie nie chciałabym odgrywać roli swatki... Idzie mi o co innego. Wiele osób z naszej rodziny są pewne, że ożenisz się z Heleną, choć po mieście krążą w tej chwili inne znowu pogłoski...

— Daj mi spokój z Heleną! — wybuchnął pan Stefan. — Przecież ona sama zerwała i wszyscy o tem wiedzą...

— Nie wszyscy, nie wyłączając jej samej i jej rodziny. W tych dniach Helena odrzuciła jakiegoś inżyniera, który oświadczył się... Pani Arnold, mimo że duchy powiedziały, iż Helena nie wyjdzie za ciebie, czasami wspomina mi o waszem małżeństwie. Zaś brat Heli...

Tu głos panny Solskiej załamał się.

— Zaś pan Kazimierz Norski — mówiła, siląc się na spokój — nie przyjął ofiarowanej mu posady na kolei, widocznie licząc na to, że... Że zostanie twoim szwagrem... — zakończyła prawie cicho Ada.

Solski uważnie patrzył na siostrę i nie stracił ani jednej zmiany na jej twarzy, ani jednego odcienia głosu. Oczy zatliły mu się, lecz po chwili zgasły i tylko niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Z panną Heleną — rzekł — moje rachunki skończyły się. Gdyby na świecie były tylko dwie kobiety do wyboru: ona i jakaś inna, wybrałbym tę inną...

— Godna podziwu stałość... — szepnęła Ada.

— Może ty potrafisz być stalsza!.. — syknął brat i znowu zaiskrzyły mu się oczy.

Twarz panny Solskiej pociemniała.

— Więc dla czego umizgasz się do niej? — zapytała łagodniej.

— Dla tego, że ona mnie kokietuje — odparł, śmiejąc się. — Należysz do emancypantek, więc chyba uznajesz równe prawa...

Ada przyciągnęła brata i pocałowała w rękę; potem objąwszy go za szyję, pocałowała w czoło.

— Rób co chcesz, żeń się z kim chcesz... ja cię kochać nie przestanę — szeptała.

— Ani ja ciebie... — odparł, ściskając ją. — I dla tego nie powiem ci: rób co chcesz... Zrobisz zawsze tylko to, co powinna zrobić kobieta twego dostojeństwa.

— Zostanę starą panną, prawda? — spytała Ada z uśmiechem.

— Zostaniesz starą panną — Solską. Solską, słyszysz?...

— Wiem, wiem... — powtórzyła. — Mówmy o tobie: postanowiłeś ożenić się z Madzią... Przynajmniej tak myślisz dzisiaj...

— Tak — i ty musisz mi pomódz — rzekł Solski.

— Nigdy!... — zawołała z mocą Ada. — Zanadto kocham Madzię, ażeby odegrać przy niej taką rolę, jak przy Helenie... Wreszcie — na co tobie moja pomoc? Oświadcz się sam.

— A jeżeli ona mnie nie kocha?

— Na to ja nie poradzę. Jak również i na to, ażebyś ty jej nie rzucił, gdy ci się sprzykrzy.

Solski usiadł obok siostry i wziął ją za rękę.

— Słuchaj — zaczął.

— Wiem, co powiesz — przerwała siostra. — Ona jest różna od innych kobiet... słyszałam to nieraz!...

— Nie — rzekł — ale ja ją kocham zupełnie inaczej. Dawniej, kiedy podobała mi się kobieta, budziło się we mnie drapieżne zwierzę: szarpałbym, żarłbym ją... Prawie czułem zapach krwi i roskosz kąsania... Ale z tą jest inaczej...

— Prawda!... Ileż to razy, kiedy rozmawiałeś z Madzią, a choćby tylko patrzyłeś na nią, ja... wstydziłam się za ciebie... Powiem ci, że chwilami miałam do ciebie odrazę... Ach, jacyż wy jesteście wstrętni z waszą miłością... Zwierzęta!...

— Bądź cierpliwa — mówił pan Stefan błagalnym tonem. — Czy wiesz, gdybyś mi kazała opisać jej rysy, przysięgam, nie potrafiłbym. Tak dalece w moich uczuciach dla niej nie ma nic zmysłowego. Wiem, że ma prześliczne ręce... nóżkę... szyję jak

utoczoną z kości słoniowej... biust bogiń... Otacza ją szczególna woń... Ale rysów jej prawie nie pamiętam. Moje nerwy nie grają tu żadnej roli... Ale jak ja znam jej duszę!... A tego nie mógłbym powiedzieć o żadnej z kobiet, które mi się podobały.

Ada wzruszyła ramionami.

— Nie wierzysz, że to nie jest miłość zmysłowa, ale jakieś braterskie, nadziemskie przywiązanie?... Słuchaj... Wiem, że to jest dziecko naiwne, nie zna życia; ale przy tem ma wielki rozsądek, a umysł jej rozwija się z dnia na dzień. Dziś jest dojrzalsza, niż wówczas, kiedy sprowadziła się do nas.

— Prawda.

— Widzisz. Jest także bardzo energiczna, jest uosobieniu działalności i siły...

— Prawda — wtrąciła Ada.

— Ale to nie jest siła stali czy granitu, który albo łamie wszystko, albo druzgocze się sam. To raczej potężna i giętka siła płomienia, który faluje, ogarnia ze wszystkich stron, znika i ukazuje się w innem miejscu... A zawsze pełen wdzięku!...

— Bardzo trafne porównanie.

— Z tego powodu — mówił półgłosem Solski — przedstawia mi się ona jak duch w formie kobiety: działa, ale nie można jej schwycić. Więcej nawet, gdyż skutkiem najzupełniejszego braku egoizmu, to dziecko wydaje się być pozbawione wszelkich cech ziemskich. Czy ona prosiła cię kiedy o co?... Dla innych tak, ale nigdy dla siebie. Jej nie potrzeba ani stanowiska, ani pieniędzy, słowem — niczego, za czem ubiegają się śmiertelni. A nawet, Ada, czyś ty uważała: w jaki sposób ona je?...

— Bardzo ładnie...

— Bo robi to w taki sposób, jakby nigdy nie czuła głodu, a nawet nie wiedziała, że potrawy mają smak. Ona jada tylko dla tego, ażeby ukryć swoje niebiańskie pochodzenie; ona udaje, że jada, jak udaje, że ma kształt ludzki, bez którego nie moglibyśmy wiedzieć o jej istnieniu.

— Znowu poezya! — wtrąciła Ada.

— Nazwijmy to poezyą. Ale... przypomnij sobie jej humor. Czy to nie jest obraz pogodnego nieba?... Czy, kiedy ona wejdzie do nas, nie robi się jaśniej i cieplej?... Czasami bywa smutna; ale i wtedy jest znowu tem samem bożem słońcem, chwilowo zasnutem chmurami... A jej łzy... bo widziałem i łzy u niej... Czy one nie są podobne do majowego deszczu, który spada na ziemię, nie po to, aby się żalić, lecz ażeby ubogie rośliny zasypać brylantami, w których przegląda się całe niebo....

Siostra patrzyła na niego, zdziwiona.

— Mój drogi — rzekła — więc powtórz jej to, coś mnie mówił i proś o rękę...

Solski zerwał się z sofy i zaczął chodzić po gabinecie.

— Cóż to znaczy?... — spytała Ada.

— Nie wiem... — odparł. — Zresztą... nie znam jej przeszłości, ani rodziny!... — dodał gwałtownie.

— Przeszłość Madzi?... — zawołała panna Solska, śledząc oczyma brata. — Mój Stefku — przeżegnaj się!... Madzia nie ma żadnej przeszłości, którą możnaby się nietylko niepokoić, ale nawet interesować. A co do jej rodziny... Pochodzi że Strusiów, o tem wiesz... Jej rodzice pracują, ale nie potrze-

bują niczyjej łaski; mają zaś tak skromne wymagania, że kilkadziesiąt tysięcy rubli zabezpieczyłoby ich do końca życia. Matka, zdaje się, trochę despotyczna, zrzędzi w listach na Madzię; ale za to ojciec przypomina mi Dębickiego... Przynajmniej, pisząc do Madzi, uroni od czasu do czasu taki frazes, jak gdyby podsłuchiwał profesora. No, a Dębickiego chyba przyjąłbyś na teścia?... Ostrzegam cię nawiasowo, że z tym ojcem musisz się rachować: bo choć to tylko prowincyonalny lekarz, ale człowiek nie tuzinowy... On może postawić ci warunki, co do szczęścia swego dziecka.

Solski milczał. Nagle zatrzymał się przed Adą i rzekł:

— A jeżeli ona mnie nie kocha?...

— Staraj się pozyskać jej serce. To chyba potrafisz — odpowiedziała siostra z dumą.

— A jeżeli... a jeżeli ona — kocha — innego... In-ne-go... — powtórzył pan Stefan.

— Kogo?... — szeptem zapytała Ada.

Solski pochylił się nad nią i również szepnął do ucha:

— Pana Ka-zi-mie-rza... słyszałaś?...

Panna Solska spuściła oczy. Ręce jej opadły, twarz pociemniała, a potem pożółkła.

Brat patrzył na nią... patrzył... nagle wyrzucił nad głową zaciśnięte pięści i zawołał chrapliwym głosem:

— Podlec!... zdepczę jak robaka...

Panna Solska podniosła się z kanapy i spokojnie patrząc na rozjuszonego, rzekła:

— Stefek... ty mu nic nie zrobisz.

— Dla czego?... — warknął.

— Bo ja cię o to proszę.

Wyszła z pokoju zostawiając brata, który drżał i pienił się, ale czuł, że już nic nie zrobi panu Norskiemu, bo tak chce jego siostra.

Madzia wróciła z lekcyi około czwartej. Na jej oczach znać było ślady łez, a w twarzy taki smutek, że panna Solska zdziwiła się.

„Czy znowu mieli jaką rozmowę z Kazimierzem?... — pomyślała i gniew zakipiał w niej. Chciała udać, że ma ból głowy, byle nie rozmawiać z Madzią; lecz po chwili szlachetne serce wzięło górę nad podejrzeniami i Ada, tuląc do siebie przyjaciółkę, spytała:

— Co tobie jest?... Czy znów wysłuchałaś traktatu o duszy?...

Madzia spojrzała na nią i wzruszyła ramionami. Ten nieznaczący ruch rozproszył niepokoje Ady. Jeszcze serdeczniej ucałowała Madzię i rzekła z naleganiem:

— Tobie stało się coś przykrego?... Powiedz, co ci jest?

— Nie mnie!... — odparła Madzia, gładząc sobie włosy i siadając na kanapie. — Znasz Manię Lewińską, w której jeszcze na pensyi kochał się ten student Kotowski?

— Porzucił ją?

— Przeciwnie, więcej niż od roku są narzeczonymi... Ale nie!... Opowiem ci lepiej od początku. Nie masz pojęcia jaka to smutna historya.

— Zaczekaj — przerwała Ada. Dotknęła dzwonka, a gdy ukazał się lokaj, rzekła:

— Poproś do nas pana.

— Ada, co robisz?... — zawołała Madzia, ukrywając twarz w rękach. — Chociaż... czy ja wiem... Może będzie lepiej, jeżeli dowie się o tem pan Stefan.

Solski przyszedł natychmiast. Wyglądał tak mizernie, że Madzia spojrzawszy na niego, mimowoli krzyknęła:

— Pan chory?...

Ale w tej chwili zmieszała się i spuściła oczy.

— Nic mi nie jest — odparł Solski, szybko odzyskując dobry humor. — Z bezsenności bolała mnie głowa, ale to przechodzi.

A ponieważ Madzia milczała zakłopotana, więc dodał:

— Porozmawiam z paniami i będę zupełnie zdrów.

— Właśnie Madzia chce nam coś opowiedzieć — wtrąciła Ada.

— Ja tobie tylko chciałam opowiedzieć...

— Zobaczysz, że będzie lepiej, gdy usłyszy Stefek — rzekła Ada. — My oboje bardzo jesteśmy ciekawi wszystkiego, co cię wzrusza, szczególniej jeżeli wracasz do domu zapłakana.

— Niedobra!... — szepnęła Madzia.

Solski usiadł, patrząc na siostrę, a Madzia zaczęła.

— Pamiętasz Adziuś, kiedy to, przed waszym wyjazdem za granicę, pogniewałyście się z Helą?...

— Ona ze mną — przerwała Ada — o to, że Romanowicz przestał nam wykładać algebrę...

— Otóż to — mówiła Madzia. — Wówczas, chcąc was pogodzić, poszłam od ciebie do Heli, a ona

uchwyciła mnie za rękę i pociągnęła aż do drzwi gabinetu pani Latter. I wyobraź sobie, co mimowoli zobaczyłam i usłyszałam... Wuj Mani Lewińskiej, człowiek otyły i już siwy, wiesz co robił?... oświadczał się pani Latter!...

Był on wówczas zamożny, i właśnie opowiadał, że ma wieś bez długów, a nawet trochę gotówki. Naturalnie, pani Latter śmiała się z tych oświadczyn (żył przecie jej mąż!), ale, zdaje mi się, że nie była obojętną dla poczciwego staruszka. Myślę, że nawet z tego powodu nie wydaliła Mani Lewińskiej, za zajście z Kotowskim.

— Kotowski, będąc studentem — objaśniła Ada Solskiego — kochał się w Mani, a dziś jest jej narzeczonym...

— I lekarzem — wtrąciła Madzia.

— Otóż, mówię ci, — prawiła dalej — pani Latter, wyjechawszy wtedy tak nagle z Warszawy, udała się na wieś do Mielnickiego i... w jego rzece, pod jego dworem utopiła się... A on, wyobraź sobie, tego samego dnia był u niej w Warszawie... Jakby przeczuciem tknięty, powiedział: ona pojechała do mnie!... minęliśmy się w drodze!... (słyszałam to na własne uszy) i natychmiast wrócił na wieś.

Co powiesz: Gdy stanął u przewozu, wypytując, czy nie była tu taka a taka pani, jeden z przewoźników podniósł płachtę i pokazał mu na ziemi zwłoki pani Latter. Biedny Mielnicki krzyknął i padł tknięty apopleksyą...

— Ależ on żyje — wtrącił Solski.

— Żyje sparaliżowany — ciągnęła Madzia. — W roku zeszłym majątek wypuścił w dzierżawę

i przeniósł się do Warszawy z Manią Lewińską, która go pielęgnuje jak córka. Ale jest tam wielka bieda, bo dzierżawca nie płaci, a pieniędzy, jakie miał pan Mielnicki na hypotekach, nie można odebrać...

Dziś Mania Lewińska pisała do mnie, ażeby ją odwiedzić. Poszłam i zobaczyłam okropny widok. Mają trzy pokoiki i kuchnię... W jednym Mania odrabia lekcye z przychodniemi, które płacą jej po sześć i pięć rubli miesięcznie, a w drugim, na fotelu, siedzi pan Mielnicki...

Boże, jak on wyglądał!... Chudy, na twarzy zwiesza się skóra ziemistego koloru... On sam nie może się ruszyć i źle mówi... bełkoce... Musi być nawet nieprzytomny, bo kiedym weszła, nieznajoma mu, on zaczął skarżyć się, że go okradli, że służąca szczypie go i bije... Przytem strach, jak narzekał na Manię: że nie dba o niego, że po całych dniach zostawia go bez opieki!... A tymczasem ona, biedactwo, uczy panienki w domu, albo biega za lekcyami, bo inaczej nie mieliby co jeść...

Mówiąc tak, Madzia z trudnością powstrzymywała łzy. Zmieniony głos jej drżał i łamał się.

— Biedny pan Kotowski pomaga im jak może. Ale choć to skończony lekarz i był rok zagranicą, nie ma praktyki... Ach, Ada, gdybyś ty słyszała płacz Mani i nieludzkie krzyki jej wuja... serce pękłoby ci z żalu...

Panie Stefanie... — zawołała nagle Madzia składając ręce. — Panie Stefanie... pan jeden może ich uratować... Gdyby Kotowski został lekarzem przy

cukrowni... Ach, niech pan gniewa się na mnie... niech pan mnie wypędzi, ale im...

Płacz zdusił resztę wyrazów.

— Święta... święta!... — szepnął Solski. Schwycił Madzię za rękę i zaczął ją namiętnie całować.— Błogosławiony nasz dom, do którego Bóg cię zesłał...

— Stefan, zastanów się!... — reflektowała siostra, wydzierając mu rękę Madzi.

Solski podniósł się z krzesła jak pijany. Ale wnet ochłonął, spostrzegłszy, że Madzia patrzy na niego ze zdziwieniem, a nawet obawą.

— Jak się ten młody lekarz nazywa i gdzie mieszka? — zapytał pan Stefan.

Madzia powiedziała nazwisko i adres.

Solski ukłonił się i rzekł, wychodząc:

— Za parę godzin uwiadomię panią o rezultacie.

Ledwie zamknął drzwi, Madzia zaniepokojona zwróciła się do Ady.

— Boże, czy pan Stefan nie obraził się?...

Panna Solska spojrzała na nią zdumiona.

— Moja Madziu — rzekła — czy ty udajesz, czy... naprawdę nie widzisz?...

— Czego?... — spytała Madzia.

— No... tego... tego, że Stefan, zawsze chętnie wypełnia twoje zalecenia, ponieważ... są szlachetne — odpowiedziała Ada po chwilowem wahaniu.

W godzinę później, przy obiedzie, na którym nie pokazał się Solski, ciotka Gabryela była bardzo sztywna: z góry patrzyła na Madzię, nie pytała jej o nic, a zaczepiona przez nią, odpowiadała niechętnie.

„Pani Gabryela — myślała przestraszona Madzia — zapewne ma już kogoś na posadę lekarza cu-

krowni i obraziła się na mnie... Ale niech tam, byle im biedakom co z tego przyszło!... W każdym razie za długo tu mieszkam... Wkrótce cały świat zechce, ażebym prosiła Solskiego o posady i w końcu zbrzydnę mu tak, jak już dziś jego ciotce... Trzeba stąd uciekać... uciekać czem prędzej...“

VI.

Student, który już został lekarzem.

Tymczasem Solski, wysławszy naglące wezwanie do Kotowskiego, z gorączkową niecierpliwością oczekiwał młodego lekarza.

Około siódmej zameldowano go.

Wiele rzeczy zmieniło się od czasu, kiedy pan Władysław, jeszcze jako student, pośredniczył w drukowaniu gruntownych artykułów panny Howard: o specyalnej opiece nad nieprawemi dziećmi. Przedewszystkiem sama panna Howard zasadniczo zmieniła pogląd na kwestyę nieprawych dzieci, od chwili, gdy jej antagonistka, członek Kanarkiewiczowa, zajęła się protegowaniem uwiedzionych dziewcząt.

Ale pan Władysław Kotowski zmienił się niewiele. Był to ten sam, co i przed półtora rokiem, młody człowiek, z zapadłemi policzkami, głową nastroszoną, jak jeżozwierz, zamknięty w sobie, niemowny, pochmurny. Tylko, że zamiast wytartego mundura miał czarny tużurek, wytarty na szwach; ale

— Uważam to — odparła Ada, nie odwracając oczu od roboty.

Znowu nastało milczenie, które przerwał pan Stefan.

— Domyślasz się, o czem chcę z tobą mówić? — spytał.

— Aaa!... Nawet nie potrzebuję domyślać się. Widziałam przecie to samo w roku zeszłym, we Włoszech...

— Zupełnie co innego...

— I o Helenie mówiłeś, że jest inna, aniżeli wszystkie kobiety.

Solski zatrzymał się przed siostrą.

— Czy to ma znaczyć, że stałaś się stronniczką panny Heleny?... — spytał. — Wybrałaś dobrą porę!..

Ada złożyła ręce na kolanach i podniosła oczy.

— Nie gniewaj się, mój kochany — rzekła — ale już nigdy... nigdy w obec ciebie nie chciałabym odgrywać roli swatki... Idzie mi o co innego. Wiele osób z naszej rodziny są pewne, że ożenisz się z Heleną, choć po mieście krążą w tej chwili inne znowu pogłoski...

— Daj mi spokój z Heleną! — wybuchnął pan Stefan. — Przecież ona sama zerwała i wszyscy o tem wiedzą...

— Nie wszyscy, nie wyłączając jej samej i jej rodziny. W tych dniach Helena odrzuciła jakiegoś inżyniera, który oświadczył się... Pani Arnold, mimo że duchy powiedziały, iż Helena nie wyjdzie za ciebie, czasami wspomina mi o waszem małżeństwie. Zaś brat Heli...

Tu głos panny Solskiej załamał się.

— Zaś pan Kazimierz Norski — mówiła, siląc się na spokój — nie przyjął ofiarowanej mu posady na kolei, widocznie licząc na to, że... Że zostanie twoim szwagrem... — zakończyła prawie cicho Ada.

Solski uważnie patrzył na siostrę i nie stracił ani jednej zmiany na jej twarzy, ani jednego odcienia głosu. Oczy zatliły mu się, lecz po chwili zgasły i tylko niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Z panną Heleną — rzekł — moje rachunki skończyły się. Gdyby na świecie były tylko dwie kobiety do wyboru: ona i jakaś inna, wybrałbym tę inną...

— Godna podziwu stałość... — szepnęła Ada.

— Może ty potrafisz być stalsza!.. — syknął brat i znowu zaiskrzyły mu się oczy.

Twarz panny Solskiej pociemniała.

— Więc dla czego umizgasz się do niej? — zapytała łagodniej.

— Dla tego, że ona mnie kokietuje — odparł, śmiejąc się. — Należysz do emancypantek, więc chyba uznajesz równe prawa...

Ada przyciągnęła brata i pocałowała w rękę; potem objąwszy go za szyję, pocałowała w czoło.

— Rób co chcesz, żeń się z kim chcesz... ja cię kochać nie przestanę — szeptała.

— Ani ja ciebie... — odparł, ściskając ją. — I dla tego nie powiem ci: rób co chcesz... Zrobisz zawsze tylko to, co powinna zrobić kobieta twego dostojeństwa.

— Zostanę starą panną, prawda? — spytała Ada z uśmiechem.

— Bo to jest, proszę pana, szubrawiec — odparł zakłopotany Kotowski i mocno zwichrzył sobie włosy. Nie był fizyognomistą, więc zdawało mu się, że wypowiadając tak ostry sąd o panu Kazimierzu, ryzykuje posadę.

— Użył pan silnego określenia, a teraz proszę o fakta...

— Uważa pan, jest taka awantura arabska — mówił Kotowski, nie mogąc jeszcze zapomnieć knajpowego słownika. — Niejaki szlachcic Mielnicki, wuj mojej narzeczonej, kiedy utopiła się pani Latter, zapisał dla jej syna, Kazimierza, cztery tysiące rubli na hypotece w Warszawie. Była to najpewniejsza suma, jaką posiadał stary... Płacono od niej regularnie procenta, których bardzo potrzebuje w tych czasach...

Kotowski kręcił się na krześle, stękał, targał włosy, lecz mówił dalej:

— I cóż się dzieje. Oto pan Norski, na Nowy Rok, wymówił dłużnikowi ofiarowaną mu sumę, a w kwietniu odebrał ją. Daremnie prosiliśmy go, ażeby wziął cztery tysiące rubli, umieszczone na innej hypotece, skąd dopiero w jesieni będziemy mogli podnieść należność... Daremnie przedstawialiśmy, że stary Mielnicki, sparaliżowany, idyota, nie będzie miał co jeść... Nie chcieliśmy przecie cofać tej darowizny, tylko przenieść ją... Ale pan Norski uparł się, twierdząc, że ma długi honorowe... No, i zabrał pieniądze, a stary biedę klepie...

Gdyby kto dał sto tysięcy rubli Solskiemu, nie zrobiłby mu tyle przyjemności, co Kotowski opowiedzeniem tej historyi. Ale już panował nad sobą, więc rzekł spokojnie:

— Czy, oprócz państwa, wie jeszcze kto o tym wypadku?

— Regent... zresztą, nasz dłużnik... Mielnicki nie ma dziś przyjaciół, którzyby interesowali się nim. Wreszcie... nietylko akt darowizny był w porządku, ale nadto stary, ile razy odzyska przytomność, pyta się o zdrowie pana Norskiego i o to, czy już odebrał sumę? Mielnicki nie ma pojęcia o swojem położeniu; ciągle myśli, że jest majętny i że wyzyskuje go moja narzeczona.

— Czy pan upoważnia mnie — spytał Solski — ażebym zrobił kiedy użytek z tej wiadomości? Może nigdy nie zrobię, ale... może trafić się taki wypadek.

— Owszem. Mnie w rezultacie wszystko jedno. Wreszcie ten pan miał za sobą prawo...

— Mniejsza o to — rzekł Solski. — Ale oświadczam, że pan Norski nie jest i nigdy nie będzie w żadnej instytucyi, z którą ja jestem związany. A teraz — czy przyjmuje pan posadę lekarza przy cukrowni?

— Oj... oj!...

— Do czasu puszczenia w ruch fabryki, będzie pan naszym lekarzem tu, w Warszawie. Ktokolwiek z naszego domu zwróci się o poradę, jest pan obowiązany udzielić jej. Pensyę ma pan tę samą i — pięćset rubli na mieszkanie, wszystko płatne co miesiąc, z góry. Obowiązki obejmuje pan od pierwszego maja...

— To już koniec maja — szepnął Kotowski.

— Potrzebny mi jest ten termin do ujednostajnienia rachunków. Ale... ale!... — dodał Solski. — Naturalnie, ma pan długi: ile one mogą wynosić?...

— Z pię... z pięćset rubli — odpowiedział już przestraszony Kotowski.

— Administracya cukrowni przyjmie pańskie długi i będzie strącać z pensyi... No, i z gratyfikacyi... Jutro około południa, zechce pan zgłosić się do kancelaryi zarządu i kasa natychmiast załatwi z panem wszelkie rachunki. A teraz bardzo dziękuję i do miłego widzenia...

Kotowski wstał, uścisnął podaną sobie rękę, znowu usiadł... Mruknął: „aha!“ i znowu podniósłszy się, zamiast do drzwi właściwych, poszedł w stronę sypialni... Wyglądał jak obłąkany; Solski musiał go odprowadzić do przedpokoju.

Tu młody człowiek nieco ochłonął i przypomniał sobie, że może wypadałoby trochę serdeczniej podziękować osobliwemu opiekunowi. Widząc jednak, że drzwi gabinetu już zamknięto, zwolna zeszedł na dół, chwiejąc się.

Dopiero na dziedzińcu, gdy owionęło go chłodne, wieczorne powietrze, uczuł ściśnięcie w piersiach i rozpłakał się na cały głos.

Miał w tej chwili czterdzieści groszy majątku, a jego narzeczona pół rubla.

„Czy mi się śni... czym ja oszalał?... — myślał obcierając oczy podartą chustką. — Ale, jeżeli to sen, o Boże, nie budź mnie z niego, bo już nie dam sobie rady z rzeczywistością...“

Ukryty za filarem podjazdu szwajcar, zauważył nadzwyczajne zachowanie się młodego człowieka, a usłyszawszy jego płacz, nie wierzył własnym uszom. Sceptycyzm nie przeszkodził mu jednak zawiadomić o tym wypadku kamerdynera, który natychmiast zameldował panu.

Solski zrozumiał, co musiało zajść w duszy młodego lekarza. Zrozumiał jego ciężką biedę, nagłe przejście do lepszego bytu, łzy... I pierwszy raz doznał tak wielkiego, tak niezgłębionego szczęścia, że ono jedno mogłoby mu wypełnić całe życie.

Majątek, pojedynki, pływanie po morzu, wdrapywanie się na góry, czemże to jest, co to warte, w obec jednego człowieka, który zapłakał z radości...

„Wszystko to jej zawdzięczam. A ile jeszcze mogę mieć podobnych dni?... — myślał Solski. — Ona i tylko ona... zawsze ona; przy każdem szlachetniejszem uczuciu!...“

Tu nasunęła się uwaga: jeżeli Madzia poleciła mu Kotowskiego, musi też wiedzieć coś o Norskim. A jeżeli wie, trudno ażeby nim nie pogardzała... Więc nie kocha go i on, Solski, bez potrzeby niepokoi się takim rywalem!...

Chodził po gabinecie, chodził, wreszcie rzekł do siebie:

„Czego ja się waham?... Trzeba raz skończyć i to natychmiast...“

Zadzwonił na służącego.

— Czy panna Brzeska jeszcze nie śpi?

— Nie śpi, proszę jaśnie pana, czyta w swoim pokoju.

— Idź do panny Ady i zapytaj, czy mogę ją odwiedzić?

— Jaśnie pani położyła się... Głowa boli jaśnie panią...

— Aaa!... — syknął Solski i dodał w duchu: — Znowu spóźnię się o kilkanaście godzin...

Po namyśle jednak uznał, że takie obcesowe

oświadczyny nie miałyby sensu. Trzeba przygotować Madzię, a z drugiej strony — własną rodzinę, z którą, czuł, że stoczy ciężką walkę.

„Stanowczo — ale powoli... powoli!...“ — rzekł do siebie.

Tymczasem Madzia, przy świetle lampy, siedząc nad książką, od czasu do czasu przerywała czytanie i myślała:

„Czy też pan Stefan da posadę Kotowskiemu?... Może mu się biedak nie podoba?... Bo u wielkich panów wszystko zależy od chwili i gustu...“

Potem przypomniała sobie zapał, z jakim Solski słuchał jej opowiadania i — jego dziwne wyrazy...

„Za co on tak całował mnie w rękę?... Ot, tak sobie... Także kaprys...“

Nagle zbudził się w niej gniew na samą siebie i wyrzucała sobie, że jest niewdzięczną względem Solskich. Ale... uczucie to prędko zgasło, ustępując miejsca podejrzeniom.

Od pewnego czasu, właściwie od pamiętnej rozmowy z panem Kazimierzem, w duszy jej coraz częściej zrywały się lodowate podmuchy niewiary. Wszystko wydawało jej się niepewnem i podejrzanem, nawet to, co sama robiła, nawet jej własne życie.

Cały świat stracił w jej oczach dotychczasowe znaczenie; wszystko w nim było tylko tłuszczem, fosforem i żelazem; wszędzie poczęła dopatrywać oznak trupiej zgnilizny.

VII.

Niebezpieczne strony wdzięczności.

Nazajutrz na pensyi, około pierwszej, przełożona wezwała Madzię do kancelaryi. Tam, obok uśmiechniętej panny Malinowskiej, stała płacząca Mania Lewińska, która na widok Madzi, złożyła ręce i — upadła jej do nóg, łkając:

— Ach Madziu... ach pani... tyle łaski!... Władek ma ogród... dom murowany... tysiąc pięćset rubli i pięćset na mieszkanie... Niech panią Bóg błogosławi...

Madzia w osłupieniu spojrzała na uśmiechającą się wciąż pannę Malinowską. Dopiero, gdy Mania Lewińska zaczęła całować jej ręce, Madzia, oprzytomniawszy, podniosła ją.

— Co tobie jest Maniu?... — spytała. — Więc pan Kotowski dostał posadę, chwała Bogu... Ale... ale za co dziękujesz mi i jeszcze w tak dziwny sposób?...

— Bo wszystko zawdzięczamy pani...

— Pani?... — powtórzyła Madzia. — Dla czego tak mówisz do mnie?...

Lewińska zmieszana umilkła. Wyręczyła ją panna Malinowska:

— No, panno Maryo, choć będziesz tylko żoną lekarza, jestem pewna, że pani Solska nie zapomni o związkach koleżeńskich...

Madzi źrenice rozszerzyły się; schwyciła się za czoło i kolejno spoglądała to na pannę Malinowską, to na Manię Lewińską, widząc je jak przez mgłę.

— Co wy... co wy mówicie?... — szepnęła.

— Droga pani — rzekła panna Malinowska — przecież w obec nas nie potrzebujesz wypierać się stosunku, jaki cię łączy...

— Pani?... panią?... stosunku, jaki mnie łączy?... z kim?... — pytała Madzia.

— Jesteś pani narzeczoną pana Solskiego...

— Boże miłosierny... — zawołała Madzia, łamiąc ręce. — I pani to mówi?... — zwróciła się do przełożonej. — Ależ to kłamstwo... potwarz!... Oni oboje, Ada i pan Stefan obiecali mi dać szkołę przy swojej cukrowni... Moje stanowisko jest tam nieskończenie mniejsze, aniżeli Mani Lewińskiej... Boże mój, co wy ze mną robicie!... Boże mój...

Przerażenie Madzi zastanowiło pannę Malinowską.

— Jakto... — spytała — więc nie jesteście jeszcze zaręczeni z Solskim?...

— Ja?... ależ co pani mówi?... Ja mam być nauczycielką ich szkoły przy cukrowni... Któż ogłasza tak niegodziwe plotki?...

— Słyszałam to od pana Zgierskiego — odparła nieco obrażona panna Malinowska... — On przecież jest prawą ręką Solskiego...

— Aaa... pan Zgierski? — powtórzyła Madzia. — Ależ to kłamstwo, które mnie kompromituje i naraża w obec państwa Solskich i ich rodziny... Mieszkam u Ady... rzadko widuję pana Stefana... mam być nauczycielką w ich szkole... O Boże, co wy mi robicie!... Nigdy o niczem podobnem mowy między nami nie było i nie będzie...

— Moja droga, nie mów: nie będzie! — rzekła panna Malinowska, obejmując Madzię.

— Nie będzie!... — z mocą powtórzyła Madzia. — Pan Stefan miał żenić się i powinien ożenić się z Heleną Norską... To było najgorętsze i ostatnie życzenie jej matki, a ja namawiam Helę do tego... Pomyślcie więc panie, jak musiałabym być podłą, gdybym choćby tylko przyjmowała jakieś objawy... ze strony pana Solskiego.

Mania Lewińska patrzyła na nią z przestrachem, panna Malinowska ze zdziwieniem. Wreszcie rzekła zakłopotana:

— Kochana panno Magdaleno... wróć do klasy... Zaszło tu coś niejasnego, lepiej więc nie mówmy...

Madzia chłodno pożegnała obie panie i wróciła do klasy; ale w niecały kwadrans wyszła, czując, że nie panuje nad sobą. Każdy szept, każdy ruch, nawet widok siedzących w ławkach dziewczynek tak ją drażnił, iż zaczęła lękać się ataku szaleństwa. Widziała przed sobą klęczącą Manię, która mówiła jej „pani“ i — uśmiechniętą pannę Malinowską, która nazwała ją „panią Solską...“

— Otóż spełniły się złe przeczucia!... — szepnęła Madzia, prędko zbiegając ze schodów. — Co ja teraz pocznę nieszczęśliwa?...

Na ulicy zaczęła odzyskiwać równowagę umysłową; więc postanowiła przejść się, czując, że ją to uspokaja.

Już nie było można łudzić się: publiczne plotkarstwo robi z niej albo kochankę, albo narzeczonę Solskiego!...

Mniejsza o tytuł kochanki; Madzia była pewną,

że każdy, kto ją zna, komu ona spojrzy w oczy, nie będzie wierzył temu. Nikt zresztą nie przypuści, że panna Solska przyjaźni się i dzieli mieszkanie z kochanką brata, choćby nawet ów brat zasługiwał, ażeby jakaś kobieta poświęciła mu swoją osobę i reputacyę.

Ale co robić, jeżeli ją, Madzię, posądzają, że jest narzeczoną Solskiego i to posądzają od bardzo dawna, nietylko panna Helena, lecz mnóstwo innych osób? Bo czem wytłómaczyć te względy, jakimi otoczono ją na pensyi, albo tę nadzwyczajną uprzejmość Zgierskiego dla niej, albo rozmowy z panem Arnoldem, który polecał — jej — maszyny z fabryk amerykańskich i angielskich!... Dzisiejsza wreszcie scena z Manią Lewińską i słowa panny Malinowskiej, czy nie dowodzą, że nawet najbliżsi widzą w niej przyszłą panią Solską?

Pomimo kojącego wpływu przechadzki, Madzia znowu uczuła zawrót w głowie. Co o niej pomyśli pan Stefan, który na jej prośbę, tyle dobrodziejstw wyświadczył obcym sobie ludziom?... Czy dla niej, która przecież zalecała mu małżeństwo z Helą Norską, nie uczuje pogardy?... Bo, naturalnie, będzie miał prawo przypuszczać, że to ona jakiemś nietaktownem odezwaniem się, wywołała plotki. Tembardziej, że uwierzyli im najpierwej ci ludzie, za którymi wstawiała się do Solskiego.

„Co robić?... co robić?...“ — z rozpaczą myślała Madzia.

Do Iksinowa nie ma po co wracać; już bowiem od kilku miesięcy napisała rodzicom, że pensyi tam nie otworzy, ponieważ dostanie szkołę przy cukrowni.

Musi więc znaleźć jakieś miejsce w Warszawie, o co, przy nadchodzących wakacyach nie będzie łatwo. Mniejsza jednak o miejsce; ma jeszcze kilkaset rubli gotówki; ale jak tu powiedzieć Adzie: wyprowadzam się od was!... Dlaczego?... Dlatego, że ludzie zrobili mnie narzeczoną pana- Stefana...

Jedno z dwojga: albo Ada roześmieje się z plotek, albo obrazi się. Czy zresztą Madzi wypada z kimkolwiek mówić o tej kwestyi, nie narażając się na podejrzenia; czy nawet wypada jej choćby tylko myśleć o takiej pogłosce? Przecież dla Solskich, a nawet dla niej samej jestto tak potworna niedorzeczność, że nie można zwracać na nią uwagi. Przecież to samo plotkarstwo, które ją dziś wydaje za pana Stefana, jutro może ogłosić, że zabrała komuś pieniądze.

Dawneż to czasy, kiedy w Iksinowie mówiono, że Cynadrowski zabił się dla niej?... Zaś pani podsędkowa może do dziś dnia twierdzi, że Madzia popychała pannę Eufemię do Cynadrowskiego, a przynajmniej ułatwiała im schadzki.

Trochę mimowoli, trochę świadomie skierowała się w stronę mieszkania państwa Arnołdów, a znalazłszy się przed bramą, weszła na górę. Coś ciągnęło ją, ażeby w tej właśnie chwili zobaczyć pannę Helenę.

Zastała ją w salonie, wesoło rozmawiającą z panią Arnoldową i panem Bronisławem Korkowiczem. Madzię zmieszał ten widok; ale panna Helena nie okazała ani śladu zakłopotania i przywitawszy się, rzekła do Madzi:

— Ach, moja droga, dobrze, że jesteś, bo mam do ciebie interes.

Przeprosiła pana Bronisława i wyszła z Madzią do gabinetu.

— Zapewne wiesz — rzekła bez wstępu — że Kazio nie ma tej posady na kolei, o której mówił z tobą...

— Ale cóż się stało?

— Zwykła rzecz: pożyczyłam mu pieniędzy, a on stracił ochotę do pracy. Zatruje mi życie ten chłopak!... — zawołała panna Helena i dodała:

Moja Madziu, ty częściej widujesz Stefana, więc napomknij mu: czyby dla Kazia nie znalazł jakiego zajęcia? Jestto lekkoduch, ale chłopak ambitny i szanuje Solskiego. Założyłabym się, że gdy Solski umieści go przy sobie, Kazio weźmie się do roboty.

„I ona to samo!“ — pomyślała już z gniewem Madzia, a głośno rzekła:

— Moja kochana, zdaje mi się, że właściwiej byłoby tobie wstawiać się za bratem...

— Ja też pomówię z Solskim — przerwała panna Helena — ale że on nie lubi Kazia, więc chciałabym utorować sobie drogę... Moja Madziu, zróbże mi to... Ty częściej widujesz się ze Stefkiem, zresztą tak lubisz Kazia...

— Ja? — spytała zarumieniona Madzia.

— No, nie zapieraj się... coś o tem wiemy!... — rzekła panna Helena, całując ją. — Tylko załatw się prędko, bo chcę pomówić ze Stefkiem w tych dniach.

„Więc przynajmniej ona nie przypuszcza, że jestem narzeczoną Solskiego!...“ — pomyślała Madzia i odetchnęła.

Już wracającą do salonu pannę Helenę Madzia zatrzymała.

— Słuchaj Helu... przepraszam, że mówię ci o tem...

— O czem?...

— Czy sądzisz — ciągnęła Madzia — że pan Solski chętniej spełni twoją prośbę, widując tu pana Bronisława?

— Eh, moja droga!... — roześmiała się Helena. — Jesteś jeszcze bardzo naiwna...

Popchnęła ją ku drzwiom i obie weszły do sali.

Madzia posiedziała w towarzystwie akurat tak długo, ażeby dowiedzieć się od pani Arnold, że Ada robi wielkie postępy w spirytyzmie i — ażeby przekonać się na własne oczy: jak zakochany jest w Helenie pan Korkowicz i w jaki sposób ona podnieca go. Wyszła stamtąd oburzona na Helenę, ale spokojniejsza o siebie.

„Widocznie — myślała — plotki o panu Stefanie i o mnie nie muszą być tak głośne... Inaczej doszłyby do Helenki, która dałaby mi to uczuć... A może... i ona po raz drugi słyszała coś, ale uważa to za niedorzeczność, którą niewarto się zajmować..."

Wstyd ogarnął Madzię.

„Jakaż ja jestem zarozumiała... nie mam rozumu!... — mówiła do siebie. — Jeżeli to — nawet Helence wydaje się dziś nieprawdopodobnem, czy więc ja mogłam przypuszczać, ażeby Ada, albo pan Stefan, przywiązywali znaczenie do takich głupstw? Może i słyszeli o tem, ale z pogardą wzruszyli ramionami; podczas gdy ja robię dramat... chcę uciekać od nich!..."

Wśród tych uwag serce Madzi ściskało się boleśnie; ale już spokojniejsza wróciła do domu. Pomyślała na zakończenie, że Solski tyle robi sobie z pogłosek, ile robiłaby ona, gdyby kto mówił, że wychodzi — naprzykład — za żonatego nauczyciela w Iksinowie, albo za zgrzybiałego majora...

Jeszcze bardziej uspokoiła się przy obiedzie.

Sztywnej ciotki Gabryeli nie było, a pan Stefan, od pewnego czasu rozdrażniony i pochmurny, znajdował się dziś w wyjątkowo dobrym humorze. Opowiadał Madzi o Kotowskim, który jak najprzyjemniejsze zrobił na nim wrażenie; a pod koniec obiadu kazał podać butelkę starego wina i zmusił panie do wypicia za zdrowie Mani Lewińskiej i jej narzeczonego.

Gdy spełniły duszkiem, rzekł:

— A teraz, Ada, za zdrowie szlachetnej protektorki zakochanych, panny Magdaleny... Pani zaś musi wypić na podziękowanie...

Gdyby w sercu Madzi była jeszcze jakaś troska, ten drugi kieliszek stanowczo odpędziłby ją. W tej chwili rozmowa z Manią Lewińską i przełożoną wydawała jej się komicznem nieporozumieniem, a własna irytacya dziecińwhat stwem.

„Czy można było niepokoić się taką bagatelą?... Myśleć o opuszczeniu Solskich... o wyrzeczeniu się szkoły przy cukrowni?... Ach, ja już nigdy nie będę miała rozumu!...“ — mówiła do siebie Madzia, śmiejąc się, jak za najlepszych pensyonarskich czasów.

Kiedy Solski, ucałowawszy Madzi ręce (na podziękowanie za znajomość z Kotowskim), poszedł do siebie, a obie panny znalazły się w gabinecie Ady,

Madzia pod wpływem wesołego nastroju, rzekła do przyjaciółki:

— Wiesz, byłam dziś u Heleny... Powiedziała mi, że pan Kazimierz już nie ma posady na kolei i prosiła... Ani domyślisz się!... Prosiła, ażeby twój brat dał panu Kazimierzowi u siebie jakie zajęcie.

Panna Solska spojrzała na Madzię chłodno.

— Któż ma mówić o tem Stefanowi? — spytała.

— Naturalnie, że sama Helenka. Ale ona chce, ażeby utorować jej drogę...

— A tego kto się podejmie?...

— Może ty Adziuś zechcesz...

— Ja... nie!...

— W takim razie muszę chyba ja... — zawołała ze śmiechem Madzia.

Ale w tej chwili zmroziło ją spojrzenie panny Solskiej. Ada pobladła, zarumieniła się i utkwiwszy skośne oczy w wylęknionej Madzi, rzekła prawie groźnie:

— Ty?... A cóż ciebie obchodzi pan Kązimierz?...

„Co to znaczy?... — przemknęło przez myśl Madzi. — Ona jeszcze nigdy taką nie była...“

Ale panna Solska opamiętała się. Schwyciła Madzię w objęcia, zaczęła całować jej usta, oczy i ręce i szeptać:

— Nie gniewaj się, Madziuś... wino mnie tak rozstraja... Ale proszę cię, nie mów nigdy ze Stefkiem o panu Kazimierzu... nigdy, słyszysz... A tembardziej nie wstawiaj się za nim... Stefan nie lubi go...

„Już za nikim nie przemówię ani słówka“ — pomyślała Madzia. Palił ją wstyd. Spojrzenie Ady i ton, jakim przemówiła do niej, odczuła, jak obelgę.

I znowu, (jak wówczas, kiedy obie wracały z posiedzenia kobiet, między sobą i panną Solską Madzia zobaczyła przepaść, ale tak szeroką, z tak ciernistemi brzegami, że nawet myśleć nie chciała o przekroczeniu jej.

Ten bardzo drobny wypadek, na tle poprzednich, stał się punktem zwrotnym w życiu Madzi. W usposobieniu jej zaczęła się jakaś zmiana, z początku niedostrzegalna, która jednak szybko rosła.

Madzia w ciągu kilku dni straciła humor, zawsze tak pełen radości. Uśmiechała się coraz rzadziej i coraz smutniej; w stosunkach z Adą i Solskim zaczęła ją ogarniać lękliwość. Rzadko kiedy wchodziła do pokojów Ady, w swojem zaś mieszkaniu przesiadywała tylko w gabinecie, nawet nie zaglądając do saloniku. Obiady u wspólnego stołu męczyły ją tak, że zaczęła tracić apetyt.

Sypiała gorzej; a gdy zaniepokojona Ada weszła raz do niej w nocy, znalazła Madzię ubraną i siedzącą przy biurku, ale bez światła.

Napróżno Ada, może poczuwając się do drobnej winy, spotęgowała czułość dla Madzi. Całowała ją po rękach, wieczorami czytywała książki przy jej łóżku, obmyślała rozrywki. Madzia okazywała jej najserdeczniejszą wdzięczność, robiła sobie wyrzuty, ale — już nie mogła odzyskać dawnego humoru: była zakłopotaną i nieśmiałą.

„Kocha się w Stefku... — pomyślała Ada, wyczerpawszy cały zasób środków, które mogły rozweselić Madzię — Ach, żeby się to już skończyło!...“

Z bratem jednak nie rozmawiała, odgadując, że i on spostrzegł zmianę w Madzi i że robi jakieś

kroki między familią. Czuła, że gotuje się w ich domu coś ważnego. Świadczyło o tem rozdrażnienie Solskiego, gniew ciotki Gabryeli i częste wizyty Stefana u rozmaitych krewnych, którzy nawzajem rewizytowali go, spędzając długie godziny na rozmowach.

Ada domyślała się wszystkiego, lecz ani słówkiem nie zdradziła się przed bratem, ze swych przypuszczeń. Bała się odzywać w tej chwili.

A tymczasem w Madzi, już nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę, rozrastało się szczególne uczucie zgnębienia: traciła wiarę. Wiarę w to, że Solscy ją kochają i szanują, wiarę w to, że ona może być komukolwiek potrzebna i użyteczna, a nareszcie — wiarę w ład i sprawiedliwość na świecie.

W duszy jej snuły się ciągle najczarniejsze wspomnienia i wnioski. Zginęła pani Latter, kobieta pełna rozumu i energii; zginął Cynadrowski, człowiek szlachetny, a biedna panna Cecylia, uosobienie miłości i dobroci, porzucała świat, aby ukryć się za kratami dobrowolnego więzienia, klasztoru!...

Jeżeli tacy ludzie upadli w walkach z życiem, cóż ją może spotkać; ją dziewczynę słabą, głupią i złą?... Przecież znała swoją wartość, a raczej niewartość!... I przecież ona także, zbliża się, krok za krokiem, do jakiejś sytuacyi bez wyjścia.

Kiedyś zdawało się jej, że ma potężnych przyjaciół — Solskich. Przez pewien czas dom ich wydawał się nieprzebitą tarczą, a ich życzliwość opoką, na której z ufnością mogła oprzeć swoje drobne istnienie. Dziś zaś na ten dom (z jej przy-

czyny!...) padają zatrute strzały plotek, a życzliwość... Co za życzliwość mogą mieć Solscy, magnaci, dla tak nędznej istoty, jak ona?... Chyba litość, którą jej okazywali przez półroku i... pogardę, z którą mimowoli zdradziła się panna Solska.

Zgnębienie i smutek nie przeszkadzały jednak Madzi pełnić obowiązków. Co wieczór poprawiała kajety uczennic, codzień odrabiała lekcye na pensyi. Lecz ciągłe stosunki z ludźmi, zamiast łagodzić, potęgowały jej rozdrażnienie.

Gdy uczennice w klasie były spokojne, gdy przełożona serdeczniej powitała Madzię, gdy który z profesorów powiedział jej komplement, myślała:

„Pewnie znowu rozchodzą się plotki, że jestem narzeczoną...“

Lecz gdy jakaś pensyonarka roześmiała się głośniej, albo który profesor odezwał się z żartem do Madzi, albo, wiecznie zajęta panna Malinowska, w przelocie kiwnęła jej głową, zamiast uścisnąć rękę, Madzi zdawało się, że już wszyscy wiedzą o jej ciężkiem położeniu w domu Solskich. Wówczas przypominała sobie dumne spojrzenie panny Solskiej, i ton, jakim przemówiono do niej.

„Ty?... A cóż ciebie obchodzi pan Kazimierz?...“

„Zapewne że mnie obchodzi pan Kazimierz — odpowiadała Madzia w duchu — ponieważ, tak samo jak i ja, jest przez was lekceważony...“

Była już w takim nastroju, czy rozstroju, że zatruwały jej spokój nie tylko stosunki z żywemi ludźmi, ale nawet filozoficzne rozumowania Dębickiego, jedynego człowieka, któremu dziś ufała i którego wzniosłe poglądy dotychczas rozświetlały jej duszę.

VIII.

Letni wieczór.

W początkach czerwca, Ada, zaprosiła na wieczór Dębickiego, ażeby porozmawiać z nim o świecie duchów. Przyszedł i pan Stefan spokojniejszy, aniżeli w ciągu ostatnich dni i we troje usiedli na balkonie. Madzi spodziewano się, miała bowiem wrócić z sesyi towarzystwa kobiet.

Kiedy Ada ze srebnego samowaru nalewała herbatę nagle brat zapytał:

— Cóż, nie znudziły cię jeszcze posiedzenia spirytystyczne?

Panna Solska o mało nie oblała ręki gorącą wodą.

— Jak możesz przypuszczać coś podobnego! — zawołała. — Zresztą... nie dziwię się twoim żartom... Ale jestem pewna, że gdybyś, przynajmniej w tym stopniu, co ja, poznał spirytyzm, rozpocząłbyś nową epokę w życiu. I ty i profesor i cały świat...

— Uważacie profesorze — wtrącił Solski — mówi to uczenica Haeckla... Ach te kobietki!...

Dębicki potarł ręką szyję i patrzył w ogród.

Ada zarumieniła się. Podała obu panom filiżanki, nalała herbaty sobie i rzekła, siląc się na filozoficzny spokój.

— Moi panowie, czy nie uważacie tego rozdźwięku, jaki co najmniej od stu lat, panuje między religią i wiedzą?

— Uważamy — rzekł brat.

— Pochodzi on ztąd — mówiła Ada — że nauka nie może objaśnić pytań, dotyczących ducha, a tradycye religijne w najważniejszych punktach nie godzą się z odkryciami naukowemi. Tymczasem spirytyzm, dzięki swoim komunikacyom, zniósł przyczyny nieporozumień. Z jednej strony dowodzi faktami, że dusze istnieją po rozłączeniu się z ciałem, a z drugiej, również dzięki komunikacyom z istotami nadzmysłowemi, prostuje mnóstwo błędnych czy źle rozumianych tradycyi religijnych.

— Oho!... — wtrącił Solski.

— Ależ tak mój kochany — prawiła, coraz mocniej zapalając się Ada. — Czytaj naprzykład książkę Allana Kardeca: o Genezie, Cudach i przepowiedniach... To już nie Biblia!... to zupełny wykład astronomii, geologii, biologii i psychologii. Z jaką bystrością tłómaczy on cuda Nowego Testamentu... A jak bezstronnym, nawet pobłażliwym jest dla legend Starego Testamentu, które w dzisiejszym człowieku, choćby średnio wykształconym, budzą uśmiech politowania...

Ponieważ Dębicki zrobił ruch ręką, jakby chciał ukryć ziewanie, więc podrażniona Ada zwróciła się do niego.

— Pan profesor nie zgadza się?... Więc dam panu Kardeca...

— Proszę pani — odparł Dębicki — cały Kardec leży w naszej bibliotece, z której, mówiąc nawiasem, najrzadziej korzystają jej właściciele. Książkę, którą pani wymieniła, znam. Autor jest człowiekiem zdolnym i oczytanym. W rozdziałach, poświęconych duchowi, widać mieszaninę: metampsychozy, wierzeń

chrześciańskich i — ździebełko poglądów, jakie można wyprowadzić z nauk ścisłych. Cała część, dotycząca Genesis, jest popularnym wykładem dzisiejszej astronomii i geologii. Krytyka sześciu dni stworzenia jest... ot, taka sobie... Kardec niby to wskazuje podobieństwa między legendą biblijną i nowożytnemi badaniami; ale nie dostrzega w legendzie punktów ważnych, co zresztą trafiało się i jego poprzednikom.

— Chyba ważnych niedorzeczności!... — zawołała Ada.

— Kobietki zawsze muszą być krańcowe!... — wtrącił Solski.

Dębicki skrzywił się, znowu potarł kark i spytał:

— Cóż pani nazywa niedorzecznościami w Genesis?...

— Choćby to, że w drugim dniu było stworzone sklepienie niebieskie... Słyszysz Stefek?... Rodzaj sufitu!... Choćby to, że słońce i księżyc urodziły się dopiero w dniu czwartym, podczas gdy światło mieliśmy już w dniu pierwszym... — mówiła Ada ze wzrastającym zapałem. — Wreszcie to nie moje zdanie, ale wszystkich uczonych...

Dębicki kiwał się na krześle i patrzył na czarne drzewa ogrodu, które, światło lampy z balkonu malowało gdzieniegdzie zielonemi plamami. Wreszcie rzekł:

— Rzecz szczególna, że to, co wszyscy uczeni, z obozu panny Ady, uważają za niedorzeczność w Genesis, mnie naprzykład najbardziej zadziwia.

— Jako niedorzeczność?... — spytała Ada.

— Nie, pani. Jako ciekawy, a nadewszystko:

niespodziewany komentarz do teoryi Laplace'a, o utworzeniu się naszej planety.

— No, profesorze?... Chyba i ja zacznę się dziwić... — wtrącił Solski.

— Według Laplace'a — mówił Dębicki — cały system planetarny formował kiedyś olbrzymią mgławicę, rodzaj bardzo subtelnego obłoku, który miał formę okrągłej bułki chleba o średnicy przechodzącej 1,200 milionów mil. Mgławica obracała się dokoła swego środka, w ciągu mniej więcej dwustu lat. Stopniowo kurczyła się: do 800 milionów, do 400 milionów, do 200 milionów mil w średnicy. Zaś od czasu do czasu odrywały się od niej mniejsze obłoczki, z których, znowu skutkiem zgęszczenia się, powstawały planety: Neptun, Uranus, Saturn i tak dalej...

Według teoryi Laplace'a ziemia przy swoich narodzinach była również takim obłokiem, mniej więcej w formie kuli, mającej przeszło sto tysięcy mil średnicy. Cóż zaś Biblia mówi o jej ówczesnej postaci?... Że ziemia była pusta i próżna, a ciemność unosiła się nad przepaścią... Nic więcej.

Wyobraź sobie, Stefku, że stoisz na powierzchni owej kuli gazowej i patrzysz ku jej środkowi, odległemu od ciebie na 50 tysięcy mil... Zdaje się, że widziałbyś straszną przepaść pod nogami, większą, niż obok górskich szczytów...

— Spodziewam się!... — mruknął Solski.

— W tamtym więc punkcie niema niedorzeczności, ale teraz zaczynają się rzeczy ciekawe — mówił Dębicki. — Biblia nazywa ziemię w jej początkach „ciemną," zkąd możnaby wnosić, że nasza planeta

nie była rozpaloną aż do świecenia, jak sądził Laplace i geologowie. Według nich, był czas, że ziemia miała przeszło 2,000 stopni temperatury, tymczasem, według Biblii, temperatura była niższą od 500 stopni... Można się z tem spierać, ale — trzeba dowieść, że było inaczej. W tym więc punkcie Genesis wskazuje geologom nowe pole do badań...

Dalej mówi Biblia, że już wówczas zaczęły się dla ziemi dni i noce, czyli — według Laplace'a — mgławica ziemska zaczęła obracać się naokoło swej osi...

— A światło?... — spytała Ada.

— I to jest ciekawe — rzekł Dębicki — że według Biblii, dopiero po utworzeniu się ziemi mgławica słoneczna zaczęła świecić. To, co dziś nazywamy słońcem, czyli: kula rozpalona do białości, jeszcze wówczas nie istniało. Była tylko świecąca mgławica, w formie płaskiej bułki chleba, szeroka na kilkadziesiąt milionów mil. Widziana z ziemi, musiała wyglądać, jak olbrzymie wrzeciono, zajmujące pół nieba. Gdy prawy koniec tego wrzeciona dosięgnął południka, lewy dopiero wschodził; gdy prawy zaczynał zachodzić, lewy ledwie zbliżał się do południka. Było więc światło w przestrzeni międzyplanetarnej, ale nie było słońca.

— A sklepienie niebieskie, a ów sufit starożytny, który jest tylko dowodem ograniczoności naszego wzroku?... — nalegała Ada.

— Będzie i sufit. Według Laplace'a, planety i satelity, odrywając się od mgławicy centralnej, miały z początku formę pierścieni. Pierścień tego rodzaju do dziś dnia otacza Saturna, a i nasz księ-

życ, gdy oderwał się od ziemi, miał formę pierścieniowatego obłoku. Czy sądzi pani, że, gdyby ten kształt utrzymał się do naszych czasów, nie mielibyśmy prawa (mieszkając naprzykład pod równikiem) mówić: o sklepieniu zawieszonem nad głowami?... I czy to sklepienie, w owych czasach, nie rozciągało się od równika w stronę obu biegunów?...

— No, mówisz profesor jak adwokat teologów!— rzekł Solski.

— Wcale nim nie jestem. Tylko bez uprzedzeń zestawiam teoryę Laplace'a z Biblią, w której są jeszcze dwa orzeczenia bardzo ciekawe.

Biblia twierdzi, że słońce — w dzisiejszym sensie: jako rozżarzona kula — i księżyc — jako ciało świecące, powstały w jednej epoce, przy czem słońce było większe, niż księżyc. Dziś pozorne średnice obu tych ciał są prawie równe, ale że niegdyś średnica słońca była większą, to wynika z teoryi Laplace'a. Co jednak bardziej zastanawia, że, według Biblii lądy, morza i świat roślinny, powstały wprzód, nim utworzył się księżyc i słońce!...

— Jednem słowem — rzekła Ada — profesor utrzymuje, że między Biblią i nauką niema zbyt rażących odskoków?

— Owszem — odparł Dębicki — nawet sądzę, że Biblia dzisiejszej astronomii i geologii stawia kilka ważnych pytań do rozwiązania. Czy prawda że słońce i księżyc w tem znaczeniu, jak powiedziałem wyżej, powstały w jednej epoce? Czy prawda, że na ziemi już wcześniej istniała roślinność i czy prawda, że ziemia nie była nigdy ciałem rozgrzanem aż do punktu świecenia?...

— No — wtrącił Solski — przejście gazu w stan stały wywołuje podniesienie temperatury...

— Tak, ale wysoka temperatura może zniżać się skutkiem promieniowania. Jest to kwestya ciekawa — mówił Dębicki — od niej zależy pojęcie o wieku ziemi. Gdyby ziemia w chwili utworzenia się miała temperaturę 2,000 stopni, to według Bischoffa, zanim ochłodła do 200 stopni, musiało upłynąć 350 milionów lat, którym należałoby dodać ze 35 milionów lat, na ostygnięcie ziemi do zera. Gdyby zaś w początkach ciepło ziemi wynosiło tylko 500 stopni, na ochłodzenie jej obecne wystarczyłoby 100 milionów lat. W tym zapewne stosunku możnaby zmniejszyć i długość okresów geologicznych i w rezultacie — przypuszczalny wiek ziemi i całego systemu planetarnego zniżyć o kilkaset milionów lat.

— Nie myślałam, że profesor jest aż tak prawowierny! — rzekła półgłosem Ada.

— Tylko ostrożny... — odparł Dębicki. — Nie lubię przenosić się ze starego i wypróbowanego domu do świetnych pałaców, z których dopiero istnieją plany i to — bardzo niedokładne. Biblia jest starym domem, w którym wyhodowało się kilkadziesiąt pokoleń europejskich, no — i źle na tem nie wyszły... Ten odwieczny budynek ma swoje szczeliny, ale jest pewniejszym naprzykład od legend indyjskich, według których płaska ziemia leży na słoniu, słoń stoi na żółwiu, a żółw pływa po mlecznym morzu. Choć i w tej dziwnej opowieści może być sens głęboki. Jest również Biblia wyższą od mitologii greckiej, według której olbrzym Atlas podpierał niebo, a ród

ludzki narodził się z kamieni, rzucanych za plecy przez Deukaliona i Pyrrę.

Dziś mamy nową mitologię — spirytyzm, który wchłonął w siebie astronomię i geologię, ale nie posuwa ich naprzód. Tymczasem prastara Biblia, choć także nie posuwa nauki, lecz stawia jej zagadnienia wcale dorzeczne.

Z wypiekami na twarzy słuchała panna Solska tych, jej zdaniem, bluźnierstw przeciw spirytyzmowi i nauce. Nagle rzekła:

— Więc może pan profesor umiałby wytłómaczyć naukowo i legendę o potopie...

— Dziwna rzecz! — odparł z uśmiechem Dębicki. — Ojcowie i doktorowie spirytyzmu przyjmują i nawet wyjaśniają wszystkie podania dawnych religii, a przedewszystkiem biblijne; gdy ich najmłodsi uczniowie już przeciwstawiają owym tradycyom nowożytne niedowiarstwo... Tymczasem Allan Kardec wierzył w kilka potopów, nawet w jeden powszechny, który zniszczył mamuta i mastodonta, a zostawił po sobie głazy narzutowe...

— No — wtrąciła Ada, niedbale machając ręką — właściwie to nie był potop, ale epoka lodowcowa... Skorupa ziemska formowała się nie za pomocą gwałtownych kataklizmów, ale — stopniowego rozwoju, który dokonywał się w ciągu setek tysięcy i milionów lat.

— Zatem nie wierzy pani nietylko Biblii, ale nawet Kardecowi?...

— Nie wierzę w kataklizmy! — odpowiedziała rozdrażniona Ada. — Nauka nie zna przyczyn, które w jednej chwili, na całej powierzchni ziemi mogłyby

tak wzburzyć wodę, ażeby wdarła się na najwyższe szczyty gór...

— Nauka, proszę pani, pojmuje przyczyny, zdolne do podniesienia wody bardzo wysoko...

— Zastanów że się, Ada — dorzucił Solski — zdarzają się przecież i dziś olbrzymie wylewy, albo zapadanie całych terytoryów skutkiem wybuchów wulkanicznych.

— To są drobne zjawiska — rzekł Dębicki. — W naturze istnieją czynniki, mogące wywołać kataklizm ogólny na ziemi, potop, mniej więcej taki, jak go opisuje Biblia...

W tej chwili w saloniku rozległ się szelest i na balkon weszła Madzia. I teraz jej łagodna twarz miała wyraz nieśmiałości czy nieufności, który od kilku dni niepokoił Solskich.

— Wracasz z sesyi? — spytała Ada.

— Tak.

— Gniewają się na mnie, że nie przychodzę?

— Przeciwnie, wspominają cię z wdzięcznością.

— Cóż to jest Madziuś... W jaki ty sposób odpowiadasz?... dla czego nie siadasz?... — zawołała panna Solska. Zaczęła całować przyjaciółkę, posadziła ją na krześle obok brata i zajęła się przygotowaniem dla niej herbaty.

Madzia zdawała się być zakłopotana bliskiem sąsiedztwem Solskiego i co chwilę przysłaniała długiemi rzęsami oczy, jakby ją raził blask. Solski był także wzruszony, więc ażeby nie zdradzić się, zaczął mówić:

— Czy wie pani, czem się bawimy? Ada z pro-

fesorem kłócą się o to, co jest wyższe: podania biblijne, czy objawienia spirytystyczne?...

— Ach ten spirytyzm!... — rzekła Madzia.

— Co?... — zawołał Solski — pani nie wierzy w spirytyzm?...

Madzia delikatnie uniosła ramiona.

— W co dziś można wierzyć?... — szepnęła. I w tej chwili strach ją ogarnął, ażeby Solscy nie wzięli tego za przymówkę do siebie.

„Boże mój — pomyślała — jak mi tu źle... Jak ja tu nie chcę mieszkać...“

Wrażliwe jej ucho pochwyciło nienaturalny ton w głosie Solskiego, który wysilał się na to, ażeby być sobą, a czuł się zmieszanym w obec Madzi.

Dębicki spostrzegł, że między trojgiem tych ludzi, bardzo sobie życzliwych, rodzi się niezrozumiały zatarg. Więc skorzystawszy z chwilowego milczenia, które choć krótkie, było jednak dostatecznie przykre, odezwał się:

— Panna Ada nie wierzy w możliwość biblijnego potopu, ja zaś twierdzę, że istnieją potęgi, mogące go wywołać...

Madzia otrząsnęła się.

— Tobie zimno?... Może podać ci szal, a może przeniesiemy się do pokoju?... — troskliwie zapytała Ada.

— Nie, kochanko. Wieczór jest ciepły... Tylko śmierć zajrzała mi w oczy...

— A może nie miło pani słuchać o potopie?...— spytał Dębicki.

— Ależ owszem... taki ciekawy temat — rzekła Madzia.

— Zresztą wypadek, o którym opowiem, może zdarzyć się raz na 330 miliardów lat!... Ziemia nasza z pewnością go nie doczeka, tembardziej, że jakoby raz już trafił się jej za czasów Noego. W naturze nie powtarzają się te same niespodzianki.

— Ale niechże pan zaprezentuje nam nareszcie, tę potęgę, która przenosi morza na szczyty gór!... — zawołała Ada, śmiejąc się i tupiąc.

Dębicki podniósł rękę i wskazał granatowy płat nieba, zawieszony nad sylwetkami drzew.

— Ztamtąd mogłaby przyjść — rzekł.

Obie panny doznały uczucia chłodu. Solski podniósł głowę i wpatrywał się w Koronę Północną, stojącą naprzeciw balkonu, Dębicki mówił:

— Wyobraźmy sobie, że jutrzejsze pisma przyniosą następujący telegram: w tych dniach astronom taki a taki, dojrzał w konstelacyi Byka, tuż obok słońca, nowe ciało niebieskie, które zrobiło na nim wrażenie planety. Obserwacye w tej chwili są przerwane z powodu ukrycia się gwiazdy po za tarczą słoneczną.

W parę tygodni, kiedy publiczność już zapomniała o zjawisku, telegram ogłosił nieco zupełniejsze wiadomości. Nowe ciało niebieskie jest kometą, a raczej olbrzymim uranolitem, równym ziemi lub większym od niej; znajduje się po za orbitą Jowisza, ale szybko zbliża się ku słońcu w linii prostej. Co zaś najważniejsze: droga jego zdaje się leżeć na płaszczyźnie ekliptyki. Można go już widzieć gołem okiem, na godzinę przed wschodem słońca.

Wiadomość ta, obojętna dla ogółu czytelników, już od tygodnia zajmowała astronomów, a obecnie

zajęła, nawet zaniepokoiła ludzi obeznanych z astronomią. Mówili oni: jeżeli ów uranolit stoczy się ku słońcu po płaszczyznie ekliptyki, więc koniecznie musi przeciąć drogę ziemi. Otóż kiedy on ją przetnie?

Tłómacząc to na język popularny, pomyślcie panie, że ktoś codzień między 11-tą i 12-tą musi przechodzić przez Saski plac od pałacu Kronenbergów do ulicy Wierzbowej i że temu komuś mówią: „słuchaj kochanku: w tych dniach po płaszczyznie Saskiego placu, od ogrodu do Krakowskiego Przedmieścia, potoczy się bomba...“

Rozumie się, że ów człowiek z wielką ciekawością będzie pytał: o której to godzinie nastąpi? Jeżeli przed 11-tą, albo po 12-ej, to go nie obchodzi, on bowiem wówczas nie będzie na placu. Lecz jeżeli bomba potoczy się przez plac między 11-tą a 12-tą, to już go żywo interesuje... Tem żywiej, jeżeli we wskazanym czasie musi on być koniecznie na placu, a więc może zetknąć się z przelatującym pociskiem.

Podobne uwagi nastręczały się ludziom obeznanym z astronomią. Jeżeli kometa, właściwie: uranolit, przetnie drogę ziemską przed grudniem, albo po grudniu, możemy bezpiecznie przypatrywać się niezwyczajnemu widokowi. Ale jeżeli przecięcie nastąpi w grudniu, sprawa stanie się niebezpieczną, a nawet straszną. Może bowiem trafić się uderzenie dwu ogromnych mas, z których jedna leci z prędkością 30-tu wiorst na sekundę, a druga — jeżeli nie prędzej, z pewnością nie powolniej. Łatwo zrozumieć, że obie masy przemieniłyby się w kłąb ognia.

Nie trzeba wspominać, że w ciągu następnych tygodni posypałoby się mnóstwo artykułów i broszur,

roztrząsających kwestyę: w którym dniu uranolit przetnie drogę ziemską. Naturalnie wszyscy autorzy twierdzili, że o zetknięciu się ziemi z niespodziewanym wędrowcem niema mowy, choć wszystkim było wiadomo, na mocy astronomicznych spostrzeżeń, że przecięcie orbity ziemskiej nastąpi w grudniu. Przyczem optymiści twierdzili, że wówczas ziemia od przybłędy będzie oddalona na 10 milionów mil, a najskrajniejsi pesymiści przypuszczali, że będzie odległa tylko na milion mil.

„Ale i w tym wypadku — pisali pesymiści — tylko zobaczymy gwiazdę kilka razy większą od Jowisza, która szybko przesunie się po niebie od zachodu na wschód.“

„To jeszcze można wytrzymać!“ — powiedziała sobie publiczność, przechodząc do codziennych kłopotów.

Roztropniejszych jednak uderzył fakt, że astronomowie nie zabierają głosu w tej kwestyi, ale że natomiast trafiają się dziwne rzeczy w obserwatoryach. Rachmistrze ciągle mylili się w rachunkach: panowała bowiem niepewność, co do prędkości biegu owego ciała niebieskiego, którą należało oznaczyć nie w milach geograficznych, ale w metrach. W końcu, co już ukrywano przed publicznością, jeden z astronomów powiesił się, drugi się otruł, a trzeci palnął sobie w łeb. Gdy zaś przejrzano ich rachunki, okazało się, że wszystkim wypadło jednozgodnie, iż: jeżeli uranolit pędzi z szybkością 30-tu kilometrów i 250-ciu metrów na sekundę, musi bezwarunkowo zetknąć się z ziemią.

Nareszcie wszystkie rządy ucywilizowane za-

broniły pisać o nadchodzącym zjawisku, ponieważ wielu ludzi ze strachu wpadało w obłąkanie. Ukazała się tylko nota kilku obserwatoryów, objaśniająca publiczność, że: w połowie grudnia, ukaże się podczas nocy ciało niebieskie, z początku podobne do księżyca w pełni, który w kilka godzin przybierze nieco większe rozmiary, lecz przed wschodem słońca zniknie.

Była to prawda. Astronomowie jednak, którzy pisali ową notę, nie znając dokładnie szybkości uranolitu, nie byli w stanie obrachować, jak wielkich rozmiarów dosięgnie ów chwilowy księżyc, czyli w jakiej odległości przesunie się obok ziemi? Bezpośrednie zetknięcie uranolitu z naszym padołem tymczasem było wykluczone.

Od czerwca do września nowa gwiazda powoli przesunęła się do konstelacyi Bliźniąt, wschodziła po północy i była tak dużą, jak Mars. W październiku wygląda jak Saturn, a jeszcze w listopadzie była mniej świetną, aniżeli Jowisz. Wschodziła coraz wcześniej przed północą, rosła nie prędko, ale ciągle i zbliżała się do konstelacyi Raka.

W tej epoce niebieski przybysz już zaczął oddziaływać na ziemię; wprawdzie nie na jej wody lub atmosferę, lecz na jej najbardziej wzniesione punkta, jakiemi są — szczyty cywilizacyi.

Europejski chłop, wyrobnik, drobny mieszczanin, słyszał coś o nowem zjawisku, lecz nie miał czasu zajmować się niem, pochłonięty troską o chleb, odzież i opał, czego mu ciągle brakowało. Czerwonoskórzy amerykanie, indusi i chińczycy, wreszcie różne odmiany murzynów, nawet nie zwracali uwagi na drobne

światełko, sądząc, że jestto jedna z planet, które przez pewien czas błyszczą na niebie, potem znikają i znowu ukazują się w innych gwiazdozbiorach.

Ale inaczej było z ucywilizowanemi a zdenerwowanemi klasami Europy. Miały one rozum, ażeby pojąć nadciągające niebezpieczeństwo; lecz nie było zdolne zapanować nad strachem, bo zabrakło im wiary. Wszyscy niby-to drwili ze zbliżającego się końca świata, rozchwytywali odnośne karykatury, tłumnie biegali na farsy i operetki, już skomponowane na ten temat; ale myśleli i mówili tylko o tem, a każdy dzień powiększał ich trwogę i beznadziejność. Przy migotaniu złowrogiej gwiazdy widzieli coraz jaśniej pustkę życia i nicość swoich wierzeń.

Opadły ręce genialnym przedsiębiorcom, którzy łączyli oceany i przekopywali góry: cała ich mądrość, wszystkie machiny nie mogły ani przyśpieszyć biegu ziemi, ani pohamować nadlatującej z boku komety. Struchleli mocarze giełdowi, gdy wytłomaczono im, że w obec możliwej katastrofy, miliard nie jest lepszem zabezpieczeniem, aniżeli łachmany nędzarza. Rozpacz ogarnęła filozofów wykładających, że jedynym Bogiem jest ludzkość; widzieli bowiem własnemi oczyma, jak łatwo ludzkość traci głowę i jak łatwo zetrzeć ją może lada pyłek nieskończoności, rzucony przez niewidzialną rękę.

Mędrcy szaleli, głupcy odurzali się ze strachu; alkohol, morfina i chloral były pochłaniane w nieprawdopodobnych ilościach.

Skutkiem naturalnej reakcyi, ludzie, którzy rok temu najgłośniej reklamowali potęgę nauki, dziś od-

trącili ją z pogardą, przeklinając oświatę i zazdroszcząc prostakom. Największą popularnością cieszyła się broszura, w której jakiś obłąkaniec dowodził, że astronomia jest oszustwem, a ciała niebieskie iskrami, które ziemi zaszkodzić nie mogą, choćby wszystkie na nią spadły.

Zaczęto odgrzebywać legendy o końcu świata, a najuczeńsi mężowie dowodzili, że nic w roku bieżącym nie grozi nam, ponieważ według Talmudu, jeszcze nie upłynęło sześć tysięcy lat od czasu stworzenia. Wyrodził się szczególny obłęd — podróżowania. Miliony ludzi zamożnych jeździło z pośpiechem, bez kierunku i celu, szukając bezpiecznego miejsca. Lecz gdziekolwiek zatrzymali się, nad morzem czy między górami, wszędzie przyświecała im straszna gwiazda, jaśniejsza aniżeli Jowisz.

W początkach grudnia trwoga, panująca między klasami oświeconemi, udzieliła się ludowi. Ale chłop, bez względu, czy się lękał, czy nie lękał, musiał młócić zboże, rąbać drwa, gotować jadło i karmić inwentarz. O ile mu zaś zbywało czasu, szedł gromadą pod kościół lub figurę i modlił się. On od dzieciństwa wiedział i wierzył, iż kiedyś musi nastąpić koniec świata; więc, gdy nadszedł termin, prostacy bali się — nie powszechnego zniszczenia, ale sądu. To też między ludem panował smutek, wzrosła pobożność, dochodząca do fanatyzmu, a prawie znikły występki. Człowiek, dbały o zbawienie duszy, nie pił i nie awanturował się; nie potrzebował też kraść, bo zamożniejsi sąsiedzi oddawali mu swój nadmiar.

Wśród powszechnego rozkołysania umysłów, tyl-

ko dwie istoty pozostały spokojne: żołnierz pod bronią i szarytka. Tamten wiedział, że każdą śmierć powinien spotykać odważnie; ta, poleciwszy ducha Bogu, nie miała czasu myśleć o sobie, zajęta łagodzeniem cudzych cierpień, których liczba zwiększała się codzień.

Dębicki odpoczął, popił herbatą, którą, milcząc, podsunęła mu Ada i mówił dalej.

— Wyobraźmy sobie teraz na półkuli północnej kraj górzysty, wzniesiony o jakiś kilometr nad poziom, a nadewszystko odległy o kilkaset mil od morza. Przypuśćmy, że w tem szczęśliwem miejscu chwila przejścia uranolitu czy komety przez drogę ziemi, przypadłaby w nocy i pomyślmy: co widzieliby mieszkańcy?

Około ósmej wieczór, w połowie grudnia, razem z konstelacyą Raka, ukazałby się na wschodzie jasny krąg podobny do księżyca w pełni, tylko — większy. Oryginalny ten księżyc miałby dziwne własności.

Przedewszystkiem robiły wrażenie, że nie rusza się razem ze sklepem niebieskiem, lecz ciągle stoi, niezbyt wysoko nad wschodnim widnokręgiem, gdy po za nim przesuwają się konstelacye: Raka, potem Lwa, wreszcie Panny. Nieruchomy ten jednakże krąg wzrastałby bardzo szybko. O dziewiątej średnica jego byłaby dwa razy większą, o dziesiątej cztery razy, a o północy — ośm razy większa niż średnica księżyca w pełni. W tej ostatniej porze byłby tak ogromny, że równałby się pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu księżycom w pełni, gdyby jednocześnie nie zachodziły w nim bardzo szybkie zmiany lunacyi. Nowy ten księżyc, który o ósmej był w pełni, już

o dziewiątej wyszedłby z pełni, a o dwunastej byłby w kwadrze. W tej postaci jego połowa równałaby się dwudziestu lub trzydziestu księżycom. Wnet jednak kwadra zaczęłaby się zmniejszać tak szybko, że już o pierwszej widaćby było na niebie ogromny sierp, który w kilkanaście minut później zgasłby.

Zjawiska te oznaczałyby, że uranolit, przeciął o północy drogę ziemską i poleciał dalej, ku słońcu.

Gdyby między mieszkańcami tego błogosławionego kraju znajdował się astronom, mógłby, ochłonąwszy ze strachu, zrobić rachunek, na mocy poprzednich obserwacyj i obecnej. I wypadłoby mu, że: ów uranolit wielki i ciężki, jak ziemia, przeleciał obok niej w odległości — dwa razy mniejszej, aniżeli księżyc.

Mieszkańcy szczęśliwego kraju, a sąsiedzi astronoma, zobaczywszy, że potwór niebieski znikł i nie zrobił im szkody, zapewne oddaliby się radości. Ale astronom nie cieszyłby się, lecz z niepokojem odczytywałby depesze, nadchodzące co kilka minut z innych obserwatoryów, położonych bliżej morza. Jego bowiem rachunki powiedziały mu, że to nie koniec, ale dopiero początek zjawiska i że kometa, której zniknięcie tak uradowało jego współobywateli, przeszedłszy obok ziemi, wywarła na jej powierzchnię wpływ siedmset razy większy, aniżeli księżyc. Księżyc zaś, jak wiadomo, jest motorem przypływów i odpływów morskich.

Otóż między depeszami, przychodzącemi z punktów nadbrzeżnych, najliczniejsze donosiłyby, że od szóstej wieczór spostrzeżono nagły i silny odpływ morza. Astronom wiedziałby, co to znaczy. Znaczy,

że na oceanach zaczynają tworzyć się dwie góry wodne, które o północy wzniosą się do 350 metrów wysokości, na podstawach, mających przeszło po 10,000 mil kwadratowych powierzchni.

W kilka godzin po północy zaczęłyby nadchodzić depesze, zawiadamiające o równie szybkim i niezwykłym przepływie mórz, zaś nad ranem... już wcale nie przychodziłyby depesze!...

Przyczynę tego łatwo pani zrozumie — mówił Dębicki, zwracając się do Ady — jeżeli dodam objaśnienie, że w niektórych portach europejskich zwykły przepływ dosięga dziesięciu metrów wysokości. A ponieważ wpływ uranolitu na morze byłby siedmset razy większy, niż księżyca, wnosićby można, że w portach tych woda miałaby siłę do utworzenia wału, równego mniej więcej górze Mont-Blanc!...

Niech pani pomyśli, że wybrzeża morskie w najlepszym razie dosięgają paruset metrów. Niech pani doda, że to niesłychane rozkołysanie wód trwałoby nie kilka godzin, ale kilka tygodni, — że towarzyszyłoby mu parowanie wody, o którego sile nie mamy nawet pojęcia i — niech pani odpowie: czy te niezmierne deszcze i zalewy nie byłyby potopem, o którym mówi Biblia?

Co wówczas stałoby się z Ameryką środkową, z Afryką od Gwinei Wyższej do Niższej, z północną Australią, z wyspami oceanu Indyjskiego?... Po co wreszcie daleko szukać: czy sądzi pani, że resztki góry wodnej która powstałaby na oceanie Atlantyckim, nie zmyłyby z powierzchni ziemi Hiszpanii, Francyi, Belgii z Hollandyą, a nadewszystko Wielkiej Brytanii?...

Gdyby kto, w rok po uspokojeniu się rozpętanych żywiołow, zwiedził zachodnią Europę, zdumiałby się, znalazłszy tylko szczątki pełnych życia lądów, okryte cuchnącemi jeziorami słonej wody. Ale ani miast, ani dróg, ani pól i lasów, ani ludzi...

I czy po tem fantastycznem zresztą opowiadaniu, zechce pani jeszcze twierdzić, że w naturze niema siły, która mogłaby stworzyć powszechny potop i rzucić wodę na szczyty gór?...

— Awantura arabska!... — mruknął Solski, przypominając sobie wykrzyknik Kotowskiego.

— Z tego widzę — odezwała się Ada — że profesor albo już jest spirytystą, albo nim zostanie. Bo właśnie spirytyzm zaleca nie negować dawnych tradycyj, ale tłómaczyć je za pomocą argumentów naukowych.

Dębicki milcząc potarł sobie ucho, a jednocześnie Solski zapytał Madzię:

— Może i pani jest już spirytystką?

— Albo ja wiem, czem jestem!—odparła Madzia.

W głowie jej panował zamęt. Nie pomyślała: w jakim celu Dębicki miał swój wykład o możliwości potopu, nie zwróciła uwagi na to, że według poglądu filozofa, wiara robi ludzi odporniejszymi w obec niebezpieczeństw. Ją uderzyły inne strony opowiadania: niepewność życia i nietrwałość świata.

Kiedy pożegnawszy się z towarzystwem, przeszła do swojej sypialni, czuła pod stopami chwianie podłogi i przeraził ją blask latarni ulicznej, wpadający przez okno do pokoju. Zdawało się jej, że już zagląda złowrogie widziadło niebieskie, które ma wydrzeć oceany ze starych łożysk i zalać ziemię.

„Pocóż było wszystko to wydobywać z nicości!...“ — pomyślała.

IX.

Czego potrzeba do zerwania stosunków?

Jak młode drzewo co rok wypuszcza gałązkę, która z biegiem lat staje się konarem, rodzi nowe gałązki i liście; tak z młodej duszy, co pewien czas, wytryska nowa siła i staje się źródłem mnóstwa uczuć, uzdolnień i czynów. A jak na podciętym konarze, dopóki się nie zasklepi, usychają kwiaty i liście, tak w chorej duszy, dopóki czas nie zabliźni jej rany, gorzknieją uczucia, słabnie energia, nawet myśl rozwija się chaotycznie.

Madzia doskonale pamiętała swój rozkwit duchowy; wywołał go pospolity wypadek: pieniężne kłopoty pani Latter.

Do owej chwili świat przedstawiał się jej w sposób bardzo prosty. Niebo, jak tło Madonny Rafaela, było utkane ze skrzydeł i głów anielskich; na ziemi ludzie, jak na odpuście, tworzyli jeden tłum, pogrążony w pracy i modlitwie. Że tam ktoś był lepiej czy gorzej odziany, że ktoś kogo mimowoli potrącił, że inny zapłakał, to drobiazg... Według ówczesnych przekonań Madzi były to tylko wypadki i pozory. W rzeczywistości — serca ludzkie przepełniała modlitwa i dobroć, a nad całym tłumem rozlewał się blask boży, czyniący podobnemi do siebie wszystkie pochylone głowy i zamyślone twarze.

Wśród tej jednostajnej jasności, osoba pani Latter stała się jakby nowem ogniskiem, z którego, na duchowy widnokrąg Madzi, padły dwa nieznane dotychczas promienie: purpurowy i czarny. Od tej pory w oczach Madzi ludzie zaczęli różnić się między sobą. Zrozpaczona pani Latter, wygnany przez uczennice Dębicki, stolarz, ubogi nauczyciel i jego rodzina, samobójca Cynadrowski, wszyscy cierpiący, stroskani i opuszczeni — przedstawiali się jej niby odziani w purpurę. Zaś na Joasię i pannę Howard, które martwiły panią Latter, na pannę Eufemię, która unieszczęśliwiła Cynadrowskiego, na aptekarza i regenta, którzy obgadywali Stellę — w oczach Madzi padał cień, więcej albo mniej czarny.

Niebo jednak, pełne głów i skrzydeł anielskich, a na ziemi tłum modlący się o zbawienie, zostały na swoich miejscach. Tylko na tle złotej jasności, która oblewała ziemię, widać było tu i owdzie czerwoną plamkę cierpienia, albo czarną krzywdy.

W owym okresie czasu, mądrość Madzi i jej dążenia streszczały się w słowach: pomagać potrzebującym, nieść pociechę strapionym. Hasło to, raz posiane w sercu, rozrastało się stopniowo, ogarniając ludzkość, cały świat żyjący i martwy. Jedynem zaś jej udręczeniem był zatajony na spowiedzi grzech i płynące z niego obawy.

Stosunki z Solskimi, mianowicie w początkach, wzmocniły ekstazę Madzi. Ada była dla niej tęskniącym aniołem, a pan Stefan potężnym geniuszem dobrego, który dla tego tylko jeszcze nie uszczęśliwił wszystkich cierpiących i nie pożenił wszystkich zakochanych, że cukrownia nie była wykończona. Z chwilą

jednak odlania pierwszej głowy cukru w jego fabryce, na ziemi powinna obeschnąć ostatnia łza.

Z biegiem czasu wiara Madzi w potęgę i poświęcenie Solskich dla ludzkości, poczęła słabnąć. Ale obraz świata, odbity w jej duszy, w ogólnych zarysach pozostał ten sam: w górze nieprzeliczone chóry aniołów, na dole rozmodlony tłum; tu i owdzie cierpiący, albo mniej dobry człowiek, po to zesłani, ażeby ludzie mieli kogo pocieszać i komu przebaczać.

Czasami obraz ten znikał za mgłą niekreślonych wątpliwości: ale były to chwilowe zaćmienia, według opinii Madzi, z jej winy pochodzące. Gdyby ona sama była mądrzejsza i lepsza, nie troiłoby się jej w oczach.

Ten rozwój duszy, pełnej litości i marzeń, przerwano w sposób tak brutalny, że porównać go można z morderstwem. Z Madzią stało się, jak z podróżnym, który, pogrążony w myślach, czuje nagle cios topora, a po nim drugi. Gdy zaś potknął się, zbroczony krwią, na biedną, rozbitą głowę spadają nowe ciosy.

Pewnego wieczora, na raucie u Arnoldów, przyszła panu Kazimierzowi fantazya wyłożyć Madzi jego własny system filozoficzny, który nie był ani własnym, ani systemem. Wykład był tak zwięzły i jasny, wiara Madzi w geniusz pana Kazimierza tak wielka, że pod tym rozmachem jej idealny obraz świata popękał we wszystkich kierunkach, jak lód w chwili puszczenia rzeki. Nim zaś Madzia miała czas oprzytomnieć, spadł na nią drugi cios: mistyfikacya pani Arnoldowej z rysunkiem, wykonanym przez duchy, o której nie mogła wątpić.

I otóż w ciągu jednej godziny, w tym samym

salonie, zaszły dwa wypadki wprost przeciwne. Ada Solska sceptyczna uczenica Haeckla, uwierzyła w duchy rysujące, a pełna naiwnej wiary Madzia przestała wierzyć nawet we własną duszę.

Jej niebo, zapełnione główkami i skrzydełkami aniołów, w jednej chwili znikło, jak teatralna dekoracya, odsłaniając czarną pustynię, okropniejszą, aniżeli sam grób. Jasność, padająca z góry na ziemię, zgasła i świat okrył się kirem, na tle którego tem jaskrawiej płonęły krwawe ognie ludzkich cierpień.

Od tej chwili dusza Madzi była, jak zmiażdżone zwierciadło; wszystko odbijało się w kształtach potwornych, mnożąc się i potęgując za każdem nowem wstrząśnięciem. Już w oczach Madzi Ada, z anioła smutku, stała się wielką damą znudzoną, która dziś bawi się duchami, jak wczoraj stowarzyszeniem kobiet, a onegdaj nią samą... Już pan Stefan z dobrego geniusza, który za pomocą cukrowni miał uszczęśliwić ludzkość, przerodził się w kapryśnego magnata, który nie myśli nietylko zapełniać swojej fabryki niedołęgami, ale nawet — tolerować poglądów, niezgodnych z jego chwilowowem usposobieniem...

Cały świat ducha zgasł dla Madzi; gorzej, bo rozpłynął się w nicość. Została kirem okryta ziemia, a na niej tłum ludzi, cieszących się niewiadomo z czego, lub cierpiących nie wiadomo za co.

A ponieważ człowiek musi mieć jakiś cel, musi na czemś zahaczyć swoją uwagę, więc Madzia, z energią rozpaczy, poczęła zastanawiać się nad modnem hasłem: pracy dla przyszłych pokoleń, nad podniesieniem ludzkości.

„Nam jest źle, więc niech przynajmniej im będzie dobrze—myślała.—My albo nie mamy środków do nasycenia się życiem, albo trujemy się widziadłami przesądów; niech więc oni znajdą środki, których nam brakuje i niech nie spotykają się z przesądami.“

Ale dziwnym zbiegiem wydarzeń, zanim idea ta mogła dojrzeć w duszy Madzi, już obalił ją mimowoli Dębicki fantastyczną opowieścią o potopie. I znowu stanęło przed nią pytanie: co warta ludzkość razem ze swą kruchą podstawą? Nie jest że ona leśnem mrowiskiem, które może rozbić przebiegające zwierzę, albo spróchniała gałąź?

W tej chwili, z dawnych ideałów, Madzia już nie posiadała żadnego: ani nieba, ani ziemi, ani wiary w bohaterów, ani modlitwy. Duszę jej rozbito, poszarpano, zdeptano i trzeba było długiego czasu, nim się to wszystko zabliźni, nim gruzy upadłej świątyni pokryją się nowem życiem. Tymczasem w Madzi potęgowało się głuche rozdrażnienie i zaczął kiełkować bezwzględny egoizm cierpiących, których nic nie obchodzi oprócz własnego cierpienia.

Patrząc na nią w takim nastroju, Ada Solska była pewna, że Madzia kocha się w Stefanie i—gniew ją chwytał na brata; choć domyślała się, że Solski w tej właśnie sprawie prowadzi umowy z rodziną, aby wyrównać drogę swojej przyszłej małżonce. Patrząc na Madzię, panna Helena Norska posądzała ją o beznadziejną miłość dla pana Kazimierza, uśmiechała się i mówiła w duchu:

„Cóż to za głupiutkie stworzenie!...“

Żadnej z tych pań nie przyszło na myśl, że nieszczęśliwa miłość nie posiada wyłącznego przywileju do szarpania serc ludzkich i że w człowieku może wybuchnąć niszcząca burza z powodów nie erotycznych, ale raczej metafizycznych...

Madzi potrzebny był odpoczynek, odpoczynek za wszelką cenę, odpoczynek w jakimś odludnym kącie, gdzie nie widywałaby panny Malinowskiej i profesorów, których spojrzenia raniły ją jak sztylety. Odpoczynek w takiej pustyni, gdzie nie mogłaby spotkać Mani Lewińskiej, która, dziękując, upadła jej do nóg; gdzie nie potrzebowałaby po kilka razy na dzień widywać sztywnej i zimnej pani Gabryeli, niespokojnych spojrzeń Ady, nadewszystko zaś — pana Stefana. Madzia czuła, że człowiek ten jest rozdrażniony, lecz w obec niej usiłuje nad sobą panować i z największą trwogą domyślała się, że ona jest przyczyną tego stanu. Ona, ale dlaczego?... Więc plotki i tutaj sięgały!...

„Ach, gdyby już nadeszły wakacye!...“ — mówiła Madzia.

Widok Solskiego stawał się dla niej nieznośnym. Zaczęła bać się go, jak chory człowiek śmierci. Chwilami zdawało się jej, że gdyby zostawiono ją z nim w pokoju sam na sam, wyskoczyłaby oknem.

Parę tygodni ciszy i samotności przywróciłoby równowagę w jej duszy, do dna wzburzonej. Ale ciszy nie było i być nie mogło. Nikt bowiem nie domyślał się nastroju Madzi, ona nie miała się przed kim zwierzyć, a fala życia toczyła się naprzód, wciąż naprzód, ze wszystkiemi drobnemi niespodziankami i powikłaniami nieskończenie małemi.

Człowiek zdrowy i zadowolony nawet nie spostrzega tych codziennych wirów, w obec których tracą głowę rozstrojeni, a toną nieszczęśliwi.

Pewnej niedzieli, w połowie czerwca, do pokoju Madzi przyszła Ada, a wkrótce po niej Solski. Witając się z nim, Madzia spuściła oczy i zbladła; pan Stefan uważnie przypatrzył się jej i rzekł serdecznym tonem:

— Niedobrze pani wygląda, panno Magdaleno...

— Jestem trochę zmęczona.

— Więc niech pani rzuci pensyę!... — wybuchnął Solski.

Ale opanowawszy się, dodał:

— Wreszcie... może być, że pani jest zmęczona; ale czasem wydaje mi się, że, obok zmęczenia, dostrzegam w pani coś innego... Aż boję się pomyśleć, że pani jest źle z nami...

W głosie jego był tak wielki żal, że w Madzi drgnęło serce.

— Gdzież mogłoby mi być lepiej?... — szepnęła, rumieniąc się.

— Więc może pani czuje się niezdrową? — nalegał Solski. — Nie godzi się tak kryć przed nami, panno Magdaleno... Coby powiedzieli rodzice pani, dowiedziawszy się, że nie umieliśmy ustrzedz cię... Co wreszcie ja sam byłbym wart — znowu wybuchnął — gdyby w naszym domu taki gość... ukochany gość... cierpiał bez pomocy... Jeżeli pani pozwoli, Ada dziś jeszcze poprosi Chałubińskiego...

Madzia podniosła na niego zdziwione oczy. Szorstki, ale namiętny ton Solskiego, zrobił na niej

wrażenie. Zdawało się, że zaczyna opuszczać ją dręcząca nieufność...

Nagle w przedpokoju zadzwoniono. Solski puścił rękę Madzi. Po chwili wszedł lokaj i podał Madzi bilet, mówiąc:

— Ten pan prosi... czy może się widzieć...

Madzia, spojrzawszy na bilet, zmieszała się tak, że oboje Solscy zdziwili się. Następnie podała pannie Solskiej kartę, na której olbrzymiemi literami było napisane: Miętlewicz.

— Któż to? — spytała Ada.

— Mój... to jest, znajomy moich rodziców z Iksinowa...

— Wypada go przyjąć — rzekła Ada.

— Gdybyśmy przeszkadzali... — wtrącił Solski, gotując się do wyjścia i z ciekawą niespokojnością patrząc na Madzię.

W jego zgorzkniałem sercu zbudziło się jakieś podejrzenie.

— W czemże mi państwo możecie przeszkadzać? — odpowiedziała Madzia. — Ale z góry przepraszam, jeżeli mój znajomy nie zrobi zbyt przyjemnego wrażenia. Jestto człowiek dobry, tylko... trochę znać na nim prowincyę...

Na znak Ady, lokaj wyszedł, a po chwili ukazał się pan Miętlewicz. Był tak samo, jak niegdyś, krótko ostrzyżony, miał sterczące wąsiki, piękny garnitur wizytowy prosto z igły i zamaszyste ruchy.

— Całuję rączki pani dobrodziejce!... — zawołał od progu, szastając się. — Uściśnienia od rodziców, ukłony od całego Iksinowa... Pani doktorowa dobrodziejka miała zamiar przysłać kopę szparagów...

— Pan Miętlewicz — rzekła Madzia, prezentując nowoprzybyłego.

— Solski — rzekł pan Stefan i podał mu rękę. Zrozumiał przyczynę zmieszania Madzi, tembardziej, że gość, usłyszawszy jego nazwisko, prawie zesztywniał i stracił zdolność mówienia.

— Jakże się pan miewa? — spytała Madzia, serdecznie ściskając Miętlewicza za rękę. — Cóż nowego w Iksinowie?...

Miętlewicz rzucił się na wskazane krzesło i kilka razy głęboko odetchnął. Potem, ze spotęgowaną energią, zaczął mówić jednym tchem:

— Ha cóż?... Czcigodni państwo doktorstwo oboje zdrowi, proboszcz i major także... Pan Zdzisław przysłał szanownym rodzicom dwa tysiące rubli...

— Doprawdy?... — spytała uradowana Madzia.

— Słowo honoru! — prawił Miętlewicz. — Pan Zdzisław ma doskonałą posadę pod Moskwą: dziesięć tysięcy rubli rocznie... Był trochę niezdrów, ale to już minęło...

— Wiem, pisał do mnie. A jakże panu idą interesa?

— Wcale nieźle. Jestem narzeczonym panny Eufemii...

— Eufemii?... — powtórzyła Madzia.

— Tak. Nawet przyjechaliśmy tu wczoraj we troje: pani sędzina dobrodziejka, moja narzeczona i ja...

— Czy tak?...

— Robimy wyprawę. Moje panie miały zamiar złożyć dziś wizytę szanownej pani, ale że właśnie

musimy być wszyscy na obiedzie u państwa Korkowiczów?...

— Korkowiczów?...

— Tak — prawił Miętlewicz — bo to ja właśnie zorganizowałem panu Korkowiczowi sprzedaż jego piwa na całej naszej kolei, zatem...

— Ach, tak... A cóż więcej w Iksinowie?

— Wszystko stare proszę pani dobrodziejki. Panna Cecylia w lipcu ma przejeżdżać do Jazłowca...

— Niech pan będzie łaskaw przypomni jej, że obiecała zatrzymać się u nas — wtrąciła Ada.

— Z całą przyjemnością — odparł Miętlewicz, kłaniając się. — Cóżby tu więcej powiedzieć państwu?... Aha!... stary Cynadrowski umarł...

— Umarł?... — powtórzyła Madzia, tak szczególnym tonem, że Solski znowu zaczął zwracać na nią uwagę.

— Umarł podobno i ten aktor Sataniello — ciągnął Miętlewicz. — Zaś pan Krukowski — dodał, patrząc na Madzię z figlarnym uśmiechem — mieszka z siostrą w Wiedniu i podobno pisuje do tutejszych gazet, na pociechę...

— Mówi pan o panu Ludwiku Krukowskim? — rzekł nagle Solski.

— Tak jest — odparł, zrywając się z krzesła Miętlewicz. — Miałem zaszczyt być znajomym szanownego pana Ludwika i pochlebiam sobie...

— A rodzice spodziewają się mnie na wakacye?... — spytała Madzia, z rosnącem zakłopotaniem.

— Wcale nie!... — odpowiedział pan Miętlewicz, z jeszcze milszym uśmiechem i miną, która wprost przeraziła Madzię, tembardziej, że Solski wciąż przypatrywał się jej z uwagą.

Miętlewicz, któremu Madzia już nie zadawała pytań, ośmielony zachowaniem się Solskich, zaczął opowiadać o swem szczęściu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zakochał się, na śmierć i życie, w pannie Eufemii i przekonał się, że ona oddawna go kochała. W końcu zrobił wzmiankę, że interes z Korkowiczem przyniesie mu kilkaset rubli rocznie, że pani Korkowiczowa jest damą prawie tak dystyngowaną jak jego przyszła teściowa, pani sędzina, a nareszcie pożegnał naprzód Solskiego, potem Madzię, a potem Adę, obiecując, że jego panie nieomieszkają złożyć jutro swego uszanowania.

Gdy gość wyszedł, wśród zamaszystych i niskich ukłonów, Solski nagle zapytał Madzię:

— Pani znała Ludwika Krukowskiego?... Jest to trochę nasz kuzyn. Niewidziałem go od kilku lat, tylko... słyszałem o jakiejś jego miłosnej tragedyi, gdzieś na prowincyi... może nawet w Iksinowie?...

Madzia patrzyła na niego jak zahypnotyzowana. W jej umyśle mieszały się wspomnienia panny Eufemii, śmierci Cynadrowskiego, oświadczyn pana Ludwika, z dzisiejszą wizytą Miętlewicza i jej obecnem rozdrażnieniem...

— Pani znała Krukowskiego?... — nalegał Solski.

— Znałam go bardzo krótko — odparła Madzia.

— Cóż to za dramat zdarzył mu się... zapewne w Iksinowie? — pytał Solski nie spuszczając oka z Madzi.

— Jakieś... nieporozumienia... — cicho odparła Madzia, wstydząc się za pannę Eufemię.

— Jakież on na pani zrobił wrażenie?

— Mnie się zdaje, że jestto bardzo dobry człowiek... bardzo szlachetny... Wiesz Adziuś — zwróciła się do panny Solskiej — to właśnie od siostry pana Ludwika mam tę bransoletę z szafirem... Dała mi ją w dzień wyjazdu; ale gdzie ja się w nią ubiorę!...

Dotychczas rozdrażniony Solski nagle ochłonął. Jeżeli jego kuzyn miał jakiś miłosny dramat w Iksinowie, to nie z Madzią. Inaczej siostra pana Krukowskiego, (którą znał jako osobę surową i nawet gwałtowną!...) nie ofiarowałaby Madzi prezentu.

Odzyskał dobry humor i zaczął żartować, że Madzia skazana jest na spędzenie z nimi całego lata, ponieważ rodzice wyrzekli się jej na wakacye. Żegnając się zaś z paniami, dodał (za co siostra zgromiła go wzrokiem), że pojedzie do Iksinowa i taką zrobi intrygę, iż rodzice wyrzekną się Madzi na zawsze.

— O, to się panu nie uda — odparła Madzia, również nieco weselsza.

— Zobaczymy!...—rzekł Solski, całując ją w rękę.

— Mój Stefku — przerwała żywo Ada — idź już do siebie i... myśl o załatwieniu spraw bieżących — dodała z naciskiem.

Solski, wróciwszy do siebie, schwycił się oburącz za włosy.

„Ależ ja szaleję!... — myślał. — Jeżeli kogo, to chyba jej nie powinienbym podejrzewać... Nie, to się musi skończyć!... Nasi krewni albo będą mieli mnie z nią, albo wcale nie będą mnie mieli...“

Podobne myśli nasunęły się i pannie Solskiej, po wyjściu bowiem brata rzekła:

— Albo mnie psuje się coś w głowie, albo nasz dom składa się z samych bzików...

Potem, schwyciwszy Madzię za szyję, zaczęła ją całować i szeptać z niezwykłą czułością:

— Madziuś, ja widzę, że ciebie coś trapi... Otóż, jako doświadczeńsza, mówię ci, że... nie trzeba nigdy upadać na duchu... Nieraz człowiek sądzi, że jest w położeniu bez wyjścia, a tymczasem po kilku dniach rzecz wyjaśnia się i przybiera jak najlepszy obrót...

Madzia patrzyła na nią zdziwiona. Ale panna Solska, zamiast wytłómaczyć zagadkowe słowa, prędko wyszła, unikając jej spojrzeń.

„Czego oni chcą?... co oni ze mną wyrabiają?...“ — pomyślała Madzia. Znowu ogarnął ją niepokój i nieprzeparta chęć opuszczenia domu Solskich.

Przy obiedzie nie było ani pana Stefana, ani ciotki Gabryeli, tylko Madzia z Adą. Obie panny rozmawiały monosylabami, a służba odnosiła ze stołu prawie nietknięte półmiski.

Po kawie, Ada znowu uściskała Madzię z jakąś gorączkową tkliwością i poszła na górę, do ciotki Gabryeli. Spędziła z nią sam na sam godzinę, w ciągu której, do uszu zawsze czujnej Edyty dochodził niekiedy podniesiony głos jednej lub drugiej damy. Potem ciotka i siostrzenica rozpłakały się. Potem pani Gabryela, kazawszy zapuścić rolety, położyła się na szezlongu i opryskliwym tonem powiedziała Edycie, że chce być samą; Ada zaś z zaczerwienionemi oczyma, ale uśmiechnięta, wyjechała do miasta.

Był to sądny dzień w pałacu. Służba szeptała, kryjąc się po kątach. Rozdrażniona Madzia, dla

uspokojenia się, zaczęła przeglądać stare kajety uczennic i poprawiać już poprawione ćwiczenia.

Około siódmej w przedpokoju odezwał się niecierpliwie dzwonek elektryczny, potem szelest, rozmowa i — wbiegła panna Eufemia, w jedwabnej sukni z bardzo długim ogonem. Była obwieszona mnóstwem bransolet i łańcuszków, z których przynajmniej połowa robiła wrażenie talmigoldu.

Zdawało się Madzi, że panna Eufemia wypiękniała, a przynajmiej utyła i urosła; tylko w kątach oczu ukazały się zmarszczki, ale bardzo delikatne, prawie że niewidzialne.

— Jak się masz, najdroższa Madziu!... — zawołała panna podsędkówna tonem, który nieco przypominał jej matkę.

Kilka razy ucałowała Madzię z wielką czułością i, upadłszy na kanapkę, zaczęła mówić:

— Cóż to, nie ma pana Solskiego?... (tu obejrzała się po pokoju i rzuciła okiem na drzwi sąsiednie). Podobno ma być fatalnie brzydki, ale to nic nie szkodzi... Wyobraź sobie, zostawiłam mamę u pani Korkowiczowej (bardzo się te panie pokochały), a sama przyfrunęłam do ciebie na skrzydłach niecierpliwości... Wiesz, wychodzę za Miętlewicza... Nieszczególna partya, ale dobry chłopak i tak mnie kocha, że bezemnie żyć nie może. Ach, ci mężczyzni! formalnie tracą głowy w obec nas... Wyobraź sobie, że i u państwa Korkowiczów trafiliśmy się na sercową epidemię... Ten młody pan Korkowicz, jakże mu tam?...

— Bronisław — wtrąciła Madzia.

— Tak, Bronisław, powiedział, że się zastrzeli, jeżeli ojciec nie oświadczy się w jego imieniu o rękę jakiejś panny...

— Czy nie Heleny — spytała Madzia.

— Tak, tak, właśnie. Pani Korkowiczowa jest zrozpaczona i nawet z tego powodu ma do ciebie pretensyę...

— O co?

— Czy ja wiem?...—odparła panna Eufemia.— Tłómaczyła to obszernie mamie, ale Miętlewicz trzyma mnie w takiem oblężeniu, że nie mogę nawet brać udziału w towarzystwie. Ale... ale, moja Madziu, mam do ciebie prośbę...

— Słucham cię.

— Moja złota, może wyrobiłabyś Miętlewiczowi jaką dobrą posadę w cukrowni. Bo on wprawdzie ma dochody, ale ani wielkie, ani zbyt pewne... A nadewszystko musielibyśmy mieszkać tak daleko od Warszawy, no... i od was...

— Jakimże ja sposobem mogę wyrobić posadę panu Miętlewiczowi?...—spytała trochę niecierpliwie Madzia.

Panna Eufemia spojrzała na nią obrażona.

— Przecież wyjednałaś miejsce Fajkowskiemu... Cecylii i jeszcze tam komuś...

— Przypadkiem — rzekła Madzia.

— Aaa... wiesz — odparła z godnością panna Eufemia — nigdy nie spodziewałam się, że mi odmówisz tej drobnostki... Byłybyśmy razem... No, ale widocznie nie życzysz sobie utrzymywać z nami stosunków dawnej przyjaźni... Szczęście ludzi zmienia...

Zresztą, nie mówmy o tem... Ja mam dumę i wolałabym umrzeć, aniżeli narzucać się...

Madzia przygryzła usta; gadanina panny Eufemii sprawiała jej nieledwie ból fizyczny. Panna Eufemia także spostrzegła, że nie robi przyjemności swoją osobą, więc, posiedziawszy kilka minut, ze źle ukrywanym gniewem pożegnała Madzię.

— Boże, wyrwij mnie ztąd!... — szepnęła Madzia po jej odejściu.

Zdawało jej się, że, z odmętu wielkich zwątpień, zaczyna spadać w błotnisty wir intryg i mizernych nienawiści.

„Już i do Iksinowa doszły plotki, że jestem narzeczoną pana Solskiego — myślała z rozpaczą Madzia. — Trzeba ztąd uciekać... uciekać jak najprędzej!..."

Gdy jednak przypomniała sobie, że o tem postanowieniu musi rozmówić się z Adą i objaśnić przyczyny, dla których opuszcza ich dom — znowu straciła odwagę. Siły jej już wyczerpały się i była jak listek na wodzie, który płynie tam, gdzie niosą go fale i podmuchy.

Na drugi dzień Madzia od rana nie widziała Ady; gdy zaś około pierwszej wróciła z pensyi, pokojówka przyniosła jej od pani Gabryeli list, zapraszający na chwilkę rozmowy.

Madzię oblały ognie, a potem chłód. Koniecznie zdawało jej się, że ta rozmowa dotyczyć będzie plotek, jakie krążą o niej i o panu Solskim i że dziś— skończy się wszystko. Poszła na górę ze ściśniętem sercem, ale zdecydowana.

Zastała ciotkę Gabryelę w towarzystwie tej

samej wiekowej pani, która w czasie świąt wielkanocnych zrobiła jej słodko-kwaśną wymówkę o to, że Ada nie chciała należeć do kwesty. Staruszka była w czarnej, wełnianej sukni; przywitała Madzię z wielką powagą. Za to ciotka Gabryela, niewiadomo z jakiej racyi, pocałowała Madzię w czoło, ustami zimnemi jak marmur.

Kiedy Madzia usiadła naprzeciw obu pań, jak oskarżony naprzeciw sędziów, ciotka Gabryela zaczęła:

— Chciałyśmy...

— To jest, ja prosiłam...—przerwała staruszka.

— Tak — poprawiła się pani Gabryela — hrabina chciała pomówić z panią o pewnej drażliwej kwestyi...

Madzi zaćmiło się w oczach, ale wnet odzyskała przytomność. Staruszka utkwiła w niej okrągłe oczy, jak sowa i machinalnie skubiąc czarną suknię, mówiła powoli:

— Pani zna pannę Helenę... Helenę...

— Norską... — podpowiedziała ciotka Gabryela.

— Tak, Norską — ciągnęła staruszka. — Zna pani jej stosunek do naszego Stefana?...

— Tak... — szepnęła Madzia.

— I zapewne słyszała pani, że rodzina Stefana, a właściwe — ja, nie życzymy sobie, ażeby Solski żenił się z tą... z panną Norską...

Madzia milczała.

— Otóż, droga pani — mówiła staruszka nieco łagodniejszym tonem — czuję potrzebę usprawiedliwić się przed panią, dlaczego byłam przeciwna wprowadzeniu do naszej rodziny panny Norskiej...

— Czy pani życzy sobie, ażebym jej to powtórzyła?... — spytała zaniepokojona Madzia, nie rozumiejąc powodu osobliwych zwierzeń.

— Nic mi nie zależy... Znam tę panienkę tylko z fotografii, no... i z reputacyi — odparła staruszka..—Chcę się tylko przed panią usprawiedliwić...

— Ażebyś, drogie dziecko, nie miała fałszywego wyobrażenia o naszych stosunkach rodzinnych — wtrąciła ciotka Gabryela.

Jakaś błyskawica rozświetliła umysł Madzi i przez chwilę zdawało się jej, że te kobiety nie mają względem niej nieprzyjaznych zamiarów. Objawienie to jednak minęło szybko, pogrążając Madzię w pomroce jeszcze głębszej. Nic nie rozumiała... nic — czego od niej chcą obie damy. Owszem, zaczęła lękać się, że, z powodu owych plotek, wyrządzą jej jakąś obelgę.

— Pozwoli pani — mówiła staruszka, a sinawe usta niekiedy drgały jej i palce coraz szybciej skubały wełnianą suknię. — Pozwoli pani, że będę zupełnie szczerą... Szczerość, mojem zdaniem, winna być podstawą ludzkich stosunków...

— Proszę panią hrabinę — odparła Madzia, śmiało patrząc w okrągłe oczy, które mroziły jej serce.

— Stefan — ciągnęła dama — jest dobrą partyą. Nawet gdyby nie miał tego nazwiska i majątku, jakie posiada, jeszcze byłby mile widziany w naszem towarzystwie i mógłby tu znaleźć żonę. Bo i my także znamy się na zaletach rozumu i serca, których nieszczęściem jest zbyt mało...

Otóż, panno Magdaleno, jeżeli Stefan zasługiwałby na nasz szacunek, nawet będąc biednym i nie-

znanym, jeżeli nawet w tym wypadku miałby prawo znaleźć żonę w sferze właściwej, to chyba nie zdziwisz się, panno Magdaleno, że dla takiego, jakim jest dziś, chcielibyśmy znaleźć żonę niepowszednią...

— Majątek nic nie znaczy — szybko wtrąciła pani Gabryela.

— Nie mów tak, Gabryelo; nie trzeba nikogo w błąd wprowadzać nawet przez grzeczność — odparła staruszka. — I majątek i nazwisko i stosunki znaczą bardzo wiele. Jeżeli więc wybrana przez Solskiego kobieta nie posiada tych warunków bytu, musi je wynagrodzić zaletami osobistemi: rozumem, sercem, a nadewszystko — miłością i poświęceniem...

— To też, która je posiada... — odezwała się pani Gabryela.

— Ale panna Norska nie posiadała ich. O ile wiem, jestto egoistka, która chce zrobić karyerę za pomocą piękności i kokieteryi... Sama przecież mówiłaś mi, że nawet już zaręczywszy się ze Stefanem, przyjmowała hołdy innych mężczyzn; co w ogóle jest nieprzyzwoite, a w tym wypadku było niegodziwe.

— Och!... — westchnęła pani Gabryela.

— Więc kończę — mówiła staruszka, wciąż patrząc na Magdalenę, a sine usta drgały jej coraz częściej. — Byłam przeciwną tej... pannie Helenie, nie tylko dlatego, że nie miała majątku, ani nazwiska, ale dlatego, że nie kochała Stefana, lecz siebie. Żona Stefana, pojęta przez niego w tych warunkach, zawdzięczałaby mu wszystko, więc i wszystko powinna mu poświęcić... Wszystko — nie wyłączając własnej rodziny... Tylko taką kobietę moglibyśmy przyjąć...

— No, to byłoby zbyt surowe żądanie — zaprotestowała pani Gabryela. — Stefan nie stawiałby takiego...

— Ale my możemy — odparła energicznie staruszka. — Mielibyśmy przecież prawo przyjmować u siebie panią Helenę, czy... jak tam... Solską, a nie przyjmować jej brata, ojczyma i matki, gdyby żyła...

Madzia nie zdawałą sobie sprawy: w jakim celu mówią to do niej? Przeczuwała, czy podejrzewała osobistą zniewagę i w jej gołębiem sercu zakipiał gniew.

— Czy więc uznaje pani moje powody, dla których... — spytała staruszka.

— Uznaję, pani!... — przerwała Madzia. — Był czas, że radziłam Helence, ażeby wyszła za pana Solskiego... Zdawało mi się, że oboje znajdą w tem szczęście... Ale gdybym dziś miała prawo mówić z nią o tej kwestyi, powiedziałabym: słuchaj, Heleno, dla ubogiej panny lepszą jest śmierć, aniżeli świetne małżeństwo... Bo najgorszego człowieka, kiedy już leży w trumnie, otacza szacunek... a tu... spotka cię tylko pogarda...

Madzia wstała z krzesła i ukłoniła się obu paniom. Staruszka spojrzała na nią z niepokojem, a ciotka Gabryela zawołała:

— Nie zrozumiała nas pani, panno Magdaleno... Moja kuzynka nie...

— Owszem, zrozumiałam aż nadto dobrze! — odparła Madzia i wyszła z pokoju.

Kiedy wzburzona znalazła się w swoim gabinecie, wybiegła do niej Ada, mówiąc z uśmiechem:

— Cóż, poznałaś bliżej naszą cioteczną babcię?...

Prawda, jaki to oryginalny zabytek!... Ale, co tobie Madziuś?...

Madzia schwyciła ją za ręce i, ściskając konwulsyjnie, rzekła:

— Daj mi słowo, że nie rozgniewasz się... Daj słowo, to cię o coś poproszę...

— Ależ daję ci słowo, że wszystko zrobię, co zechcesz — odparła zdziwiona panna Solska.

— Adziuś... ja wyprowadzę się ztąd... — szepnęła Madzia...

Słowa te w pierwszej chwili nie zrobiły wrażenia na Adzie. Wzruszyła lekko ramionami i pociągnąwszy Magdalenę do kanapki, na której usiadły, zapytała spokojnie:

— Co to znaczy?... Bo nie przypuszczam, ażeby kto obraził cię w naszym domu...

— Nikt mnie nie obraził — mówiła gorączkowo Madzia — ale ja muszę... muszę ztąd wyjść... Już dawno chciałam ci to powiedzieć, lecz brakło mi odwagi... Dziś jednak czuję, że dłużej...

— Ależ co to jest?... Ja ciebie nie rozumiem i... prawie nie poznaję... — odparła Ada, z niepokojem przypatrując się Madzi.

— Czy myślisz, że ja sama siebie poznaję?... Coś się ze mną stało... Wszystko połamane, poprzestawiane, zniszczone... Doprawdy, że nieraz budzę się w nocy i pytam: czy to ja jestem?...

— Więc jesteś rozdrażniona, albo chora... Ale cóżeśmy temu winni?

— Wy — nic... Byliście dla mnie dobrzy, jak nikt na świecie — mówiła Madzia, klękając i opierając się na kolanach Ady. — Ale ty nie wiesz, ile

ja tu przeżyłam, ile tu strasznych wspomnień zostało... Kiedy jestem w mieście, jestem spokojna... Ale kiedy wrócę tu, zdaje mi się, że w każdym pokoju, w każdym zakątku widzę moje myśli, które mnie ranią jak sztylety...

Więc pozwól mi ztąd odejść, Adziuś... — szeptała ze łzami. — Pomyśl, że błaga cię człowiek, rozciągnięty na łożu ognistem...

Panna Solska wstrząsnęła się.

— Pozwól przynajmniej, ażebym cię odwiozła do rodziców — rzekła.

— Po co? Mam tu robotę, której nie mogę porzucać... Zresztą, czy wzięłaś mnie od rodziców?... Przyszłam do was z miasta i do miasta powrócę.

Ada zamyśliła się.

— Nie rozumiem... nic nie rozumiem!... — mówiła. — Wskażże mi jakiś rozsądny powód twojej ucieczki...

— Czy ja wiem? — odparła Madzia. — Zapytaj leśnego zwierzęcia, dlaczego ucieka z parku, albo sosnę, dlaczego usycha w oranżeryi? Nie jestem w swojem otoczeniu, więc boli mnie każdy drobiazg... każda plotka...

— Ach, plotka!... — przerwała Ada. — Moja droga, nie mamy prawa więzić cię, ale... musisz chyba pogadać jeszcze ze Stefanem...

Madzia zakryła twarz rękoma.

— Nie masz pojęcia, jakbym chciała uniknąć tej rozmowy... Ale wiem, że tak być musi...

Panna Solska, patrząc na Madzię, pokiwała głową.

— Zaraz ci go tutaj przyślę—rzekła, wychodząc.

Była jednak spokojniejsza.

W kilka minut ukazał się pan Stefan. Usiadł obok Madzi, która płakała i zapytał łagodnym tonem:

— Gdzież pani chce zamieszkać?...

— U panny Malinowskiej, albo u której z pań, należących do naszego stowarzyszenia — odparła Madzia, obcierając oczy.

— W tym tygodniu — mówił zniżonym głosem Solski — pojadę do rodziców pani, prosić o jej rękę.

Madzi oczy obeschły. Przytuliła się do kanapki i zawołała drżąc:

— O... niech pan tego nie robi!... na miłość boską...

Solski zaczął wpatrywać się w nią.

— Chcę prosić o rękę pani — powtórzył.

— To być nie może!... — odparła z przestrachem.

— Nie chce pani zostać moją żoną?... Wiem, że jestem brzydki, mam wiele wad...

— Jest pan najszlachetniejszy człowiek, jakiego znam — przerwała Madzia. — Tyle mi pan zrobił dobrego... tylem panu winna...

— Ale żoną moją...

— Nigdy!...—zawołała Madzia z wybuchem rozpaczliwej energii.

— Więc chyba kocha pani innego? — spytał Solski, ani na chwilę nie podnosząc głosu.

Madzia oddychała prędko, szarpała chustkę w rękach, wreszcie, rzuciwszy ją na kanapkę, odparła:

— Tak.

Solski podniósł się.

— W takim razie — rzekł, zawsze tym samym

tonem — przepraszam... Nigdy nie śmiałbym wdzierać się w cudze prawa...

Ukłonił się i wyszedł spokojnie, równym krokiem, tylko pociemniały mu oczy i pobladły usta.

Gdy stanął w swoim gabinecie, wybiegł naprzeciw niego Cezar; podskoczył i oparł mu potężne łapy na piersiach. Solski usunął się i kopnął psa.

— Won!...

Cezarowi zaiskrzyły się oczy, błysnęły białe zęby i groźnie warknął na pana. Solski stracił władzę nad sobą: porwał z biurka stalowy metr i z całej siły uderzył psa w głowę.

Cezar upadł na dywan. Dreszcze wstrząsnęły ogromnem jego ciałem, z nozdrzy popłynęło nieco krwi. Skurczył łapy, wyprostował się i skonał.

Solski zadzwonił. We drzwiach ukazał się dyżurny lokaj i na widok leżącego psa osłupiał.

— Co się stało, jaśnie panie?... — wyjąknął.

— Wynieś go ztąd!...

Blady ze strachu służący ujął za przednie nogi jeszcze ciepłego trupa i wyciągnął na schody, a potem na dół.

W parę minut weszła do brata Ada.

— Już rozumiem wszystko!... — rzekła zirytowana. — Wracam od ciotki Gabryeli, gdzie dowiedziałam się, że hrabina wyłożyła Madzi traktat o obowiązkach młodej panienki, która wychodzi za Solskiego... No, i mówi ciotka, że było to trochę za jaskrawe... Cóż, widziałeś się z Madzią?...

Solski, trzymają ręce w kieszeniach, patrzył w okno. Na pytanie zaś siostry odparł po chwili.

— Już widziałem się i... dostałem kosza...

— Ty?...

— Ja. Od panny Brzeskiej — dodał ciszej.

— To jakieś nieporozumienie...

— Wszystko jest jasne — odparł. — Ona kocha innego...

— Kogo?...

— Nie namyślaj się, a łatwiej zgadniesz.

Panna Solska zatchnęła się i spuściła oczy...

— Cóż to jest?... — spytała zmienionym głosem, spostrzegłszy krew na dywanie.

— Zabiłem Cezara.

— Ty zabiłeś?... — krzyknęła Ada.

— Szczeknął na mnie.

— Zabiłeś... za to, że szczeknął?... — powtórzyła Ada, zwolna zbliżając się do brata.

Na chwilę skrzyżowały się ich spojrzenia. W oczach Solskiego tliła się jeszcze nieukojona wściekłość; w oczach Ady zapalało się coś, jakby wyrzut i bunt.

Pan Stefan odwrócił głowę i znowu patrzył w okno.

— Wyjeżdżam dziś na wieś — rzekł. — Może i ty chcesz?...

— Nie! — odparła krótko i opuściła gabinet.

Kiedy panna Solska wróciła do Madzi, zastała ją skuloną na kanapie, w tem samem miejscu, gdzie pożegnał ją pan Stefan. Była bardzo blada, a z oczu szeroko otwartych wyglądał żal i trwoga.

— Puścisz mnie, Adziuś?... — szepnęła Madzia, błagalnie patrząc na przybyłą.

— Nie mam prawa sprzeciwiać się — odparła Ada. — Ale przynajmniej zostań u nas, dopóki nie znajdziesz mieszkania...

— Dziś znajdę... jest dopiero trzecia...

— Rób jak chcesz — rzekła panna Solska, nie podnosząc oczu.

Madzia rzuciła się przed nią na kolana i, całując jej ręce, szeptała:

— Gniewasz się?... pogardzasz mną?... O, gdybyś wiedziała, jak jestem nieszczęśliwa!...

Panna Solska pocałowała ją w czoło i podniosła z klęczek.

— Jestem tak odurzona — mówiła do Madzi — że nie mogę zebrać myśli. Nie śmiem w tej chwili robić ci żadnych propozycyi... Gdybyś jednak kiedy potrzebowała moich usług... pamiętaj...

Rozpłakały się obie. Potem Madzia przemyła oczy i ubrała się, z zamiarem wyjścia do miasta.

Kiedy, jeszcze raz pożegnawszy Adę, stanęła u drzwi, panna Solska, jak przebudzona, zapytała:

— Powiedz mi... U Korkowiczów było ci bardzo źle, a jednak żałowałaś ich...

— Tak... U Korkowiczów było mi źle, ale — tamto mogłam znieść... U ciebie było mi lepiej niż w domu, ale... nie wiem... już mi sił brakuje...

Skłoniły się sobie i Madzia znikła w przedpokoju.

Około szóstej wieczór, kiedy kareta Solskiego wyjechała na ulicę, Madzia wróciła na swoje dawne mieszkanie. Spakowała rzeczy i opuściła dom Solskich z tą samą starą walizą, którą przywiozła z Iksinowa.

Nikt jej nie pożegnał, służba ukryła się. Tylko stróż zawołał dorożkę, a szwajcar zniósł jej walizę, z taką miną, jakby nigdy nie widywał Madzi.

O ósmej wieczór, do gabinetu Ady przyszła ciotka Gabryela ze staruszką hrabiną.

— Cóż to — rzekła staruszka, usiadłszy na fotelu — słyszę, że macie do mnie pretensyę, z powodu panny Brzeskiej?

— Pretensyi nie!... Ale nie stało się tak, jak być mogło, a mogło być dobrze — odparła Ada.

— Moja Adziu — mówiła staruszka, z miną spokojną, a nawet zadowoloną. — Ty jesteś emancypantka, Stefan poeta, a Gabryela kocha was aż do słabości, więc we troje ułożyliście projekt, może bardzo ładny dla teatru, ale nie praktyczny w życiu. Pomyśl sama: czy miałoby sens małżeństwo—Solskiego z guwernantką?... Przez miodowy miesiąc byłoby im doskonale, potem — on znudziłby się nią, ona byłaby nieszczęśliwą, a na wasz dom spadłaby nowa rodzina, o której nie macie pojęcia...

— Są to, o ile wiem, bardzo uczciwi ludzie — wtrąciła Ada.

— Ależ co to za odpowiedź!... — mówiła staruszka. — Co innego uczciwi ludzie, a co innego sfera towarzyska, która, na ich szczęście, nigdyby ich nie przyjęła do siebie. Tak jak się stało, jest najlepiej i bardzo winszuję sobie, że byłam szczerą, a tej panience, że okazała tyle rozumu, czy ambicyi... Jeżeli naturalnie, po za tem wszystkiem, nie ukrywa się coś trzeciego.

— Krzywdzi babcia podejrzeniami niewinną dziewczynę — zaprotestowała Ada.

— Wcale nie, moje dziecko. Ale jestem już tak stara, że nie ufam ludziom, których nie znam

od ich dzieciństwa. Wy zaś na przyszłość będziecie mieli naukę, że nie należy szukać nawet znajomości nie we właściwej sferze.

I tak dalej prawiła staruszka, ale Ada już nie słuchała. Z goryczą myślała, że jej brat zabił Cezara, a później... o tym człowieku, dla miłości którego Madzia wyrzekła się małżeństwa z Solskim!...

„Jak ona go musi kochać...“ powtarzała w duchu.

X.

Co robi mędrzec, a co plotkarz.

W ciągu tygodnia Solski powrócił ze wsi. Służba zebrała się, na powitanie, w przedsionku, kamerdyner wprowadził pana do pokojów.

Przebierając się, Solski pytał:

— Panna Ada w domu?

— Jest, jaśnie panie, w laboratoryum.

— A ciotka?

— Panią hrabinę głowa boli.

— Migrena?...

— Tak, jaśnie panie.

Solski pomyślał, że jednak ciotka musi żałować tej cudownej lekarki, która dotknięciem rąk usuwała jej migrenę.

Ubrawszy się, posiedział z kwadrans w gabinecie, czekając na Adę. Ale ponieważ siostra nie pokazywała się, więc poszedł do niej.

Schylona nad mikroskopem, panna Solska pilnie przerysowywała jakiś egzemplarz porostu. Zobaczywszy brata, podniosła się i przywitała go, ale bez zwykłych uniesień.

— Jakże się miewasz? — spytała, robiąc w duchu uwagę, że brat opalił się i nabrał zdrowszej cery.

— Doskonale — odparł. — Dziesięć godzin na dobę spałem, a przez czternaście nie zsiadałem z konia. Zrobiło mi to bardzo dobrze.

— Dzięki Bogu.

— Ale ty wyglądasz mizernie — mówił pan Stefan. — Wróciłaś, widzę, do dawnych robót... Zdaje mi się jednak, że twoje laboratoryum jest jakby obdarte?... Aha, usunięto kwiaty... A gdzież kanarki?... — dodał z uśmiechem.

Siostra spojrzała na niego surowo i wróciła do mikroskopu.

— Słuchaj Ada — rzekł Solski — nie rób takich min!... Wiem, o co ci idzie: o Cezara... Zrobiłem podłe głupstwo i dużobym dał, ażeby wskrzesić hardego psa, ale... już zapóźno...

Twarz Ady złagodniała.

— Widzisz — rzekła siostra — jak to nie dobrze unosić się!... Przecież ty byłbyś zdolny zabić w gniewie człowieka...

— Oh... no... tak!... Istotnie, przez chwilkę zdawało mi się, żem zwaryował... Ale też trzeba mieć moje szczęście... Odtrącony... odtrącony przez takiego gołąbka, jak panna Magdalena!... I jeszcze dla kogo?... Dla takiego hultaja, jak pan Kazimierz. Kobiety stanowczo mają nienormalne mózgi...

Pannie Solskiej upadł na ziemię ołówek. Podniosła go i rzekła:

— Czy wiesz nowinę?... Hela Norska wychodzi za młodego Korkowicza.

— Przecież za starego wyjść nie może, bo jeszcze żonaty — spokojnie odparł Solski — Młody Korkowicz?... wcale trafny wybór. Blondyn, tęgi chłop i ma głupią minę; powinien być dobrym mężem.

— Cieszę się bardzo, że cię to nie wzruszyło.

— Ani odrobiny. Powiadam ci, że koń i świeże powietrze wywołują cudowne skutki. Wyjeżdżając ztąd byłem zdenerwowany jak histeryczka, a dziś tak jestem spokojny, że wszystko mnie bawi. Najgłośniej zaś śmiałbym się usłyszawszy, że — naprzykład panna Magdalena wychodzi za Norskiego, który, po odbyciu świętej spowiedzi, nawrócił się i obiecał już nie grywać w karty...

Ada tak pilnie zajęła się swoim rysunkiem, że ani odpowiadała bratu, ani nawet nie zwracała na niego uwagi. Pan Stefam okrążył dokoła stół, spojrzał siostrze przez ramię i, chmurny, wysunął się na palcach z pracowni.

Obszedł pokoje Ady, jakby szukając czegoś; na chwilę zatrzymał się przede drzwiami, za któremi tydzień temu mieszkała Madzia. Nawet dotknął klamki, ale wnet cofnął się, a potem zbiegł na dół do biblioteki.

Obok okna siedział w fotelu Dębicki, zamyślony nad notatkami.

— Dzień dobry, profesorze!... Cóż nowego?...

Matematyk podniósł niebieskie oczy, potarł czoło i po namyśle odparł:

— Mamy nowy transport książek...

— Ach!... — przerwał Solski, niecierpliwie machając ręką. — Jeżeli profesor zawsze takie będziesz miał nowości, to niedługo na tym fotelu zasnuje cię pajęczyna i oblezą porosty, pielęgnowane przez moją siostrę!

Cóż to za szczególny kryminał, ten nasz dom!...— mówił pan Stefan, chodząc. — Jedno stęka na migrenę, drugie rozmyśla nad nowym transportem książek, a trzecia, najlepsza, bo dwudziestoletnia dziewczyna, zdobywa zeza przy mikroskopie, w oranżeryi, która w tej chwili przypomina piec ognisty...

Ach, te baby... te baby!... Czy i za czasów profesora grasowała między niemi jaka epidemia, podobna do emancypacyi?...

— Nie przypominam sobie — powoli odpowiedział Dębicki. — Za moich czasów łatwiej było o mężów i o chleb; kobiety nie potrzewały uganiać się za pracą zewnątrz domu; mniejsza ich liczba prowadziła życie nienormalne, więc rzadziej dopuszczały się ekscentryczności.

— Zawsze były głupie i złe!... — mruknął Solski.

— Trafiały się, trafiały!... — potakiwał Dębicki.

— Ale nie trafiały się, tylko wiecznie i wszystkie były głupiemi i złemi! — wybuchnął Solski. — Cóż to za podła rola na świecie! — mówił z rosnącą goryczą. — Handlarz, który chwyta cię za poły, obiecuje złote góry, byleś wszedł do jego kramiku, a gdy chcesz wejść — słyszane rzeczy? — zaczyna się drożyć!... Robi takie miny, jakby wyświadczał ci największą łaskę, każe na kolanach błagać się o swój towar, nakłada bajeczne ceny... A ledwie cię złapał

na dobre, już zaczyna oglądać się za drugim nabywcą... To jest kobieta; nigdy nie zapełniona beczka Danaid, w której topią się najszlachetniejsze uczucia, wielkie rozumy, no — i grube pieniądze!...

Dębicki machnął ręką.

— Wy także licha warci! — rzekł. — Jednego dnia jesteście najszczęśliwsi, gdy kobieta pozwoli wam całować nogi, a drugiego narzekacie, że pochłania wam rozum, ba! nawet pieniądze. Biegacie, jak psy za mięsem i każdy chce ją posiadać; a gdy nareszcie odda się jednemu, warczycie na nią wszyscy.

— Kochany profesorze — przerwał Solski — prawda, że znasz się na formułach, jak nikt inny, ale pozwól, że ja lepiej znam się na kobietach. Widziałem dumne, które lekceważyły książąt, a sprzedały się piwowarczykom... Patrzyłem na dobre i bogate, które, zamiast, oddać serce i majątek opłakiwanej przez siebie, cierpiącej ludzkości, marnują pieniądze i życie na doświadczenia naukowe, któremi żaden uczony nie połata słomianki do wycierania butów... Znałem także anioły niewinności i geniusze rozsądku; które, zamiast podać rękę człowiekowi uczciwemu i, bądź co bądź, silnemu — wolały pójść za niedołężnym błaznem, który nie zdobędzie się nawet na tytuł kryminalisty... Natura stawia pełno zasadzek na człowieka, a jedną z nich jest kobieta; w chwili kiedy zdaje ci się, żeś znalazł lepszą połowę własnej duszy, spada ci zasłona i widzisz — co?... Bezmózgą istotę, manekin, któremu tylko błyszczą oczy i śmieją się wilgotne usta... To już nie pańskie formuły, profesorze, którym można ufać, jak słowu Bożemu... To wiecznie żywy fałsz, spowity w blaski i kolory

mydlanych baniek. Zamiast klękać, tamując oddech, przed cudownem widzeniem, pluń, a poznasz, jaka zrobi się z tego rzeczywistość.

— Nie rzucałbyś się tak — odparł Dębicki — gdybyś, zamiast na niefortunnych doświadczeniach, oparł się na formułach, czyli na faktach ogólnych. Waryatki i waryaci, kokietki i donżuanowie, handlarki wdzięków i handlarze honoru — wszystko to są przygodne zboczenia, nie zaś — prawo...

— Ciekawym?...

— Kobieta — mówił Dębicki—przedewszystkiem jest i musi być matką. Jeżeli kiedykolwiek chce być czemś innem: mędrcem, za którym szeleści jedwabny ogon, reformatorem z wymalowanemi brwiami i obnażonemi ramionami, aniołem, który uszczęśliwia całą ludzkość, pięknym klejnotem, domagającym się złotej oprawy, wówczas wychodzi ze swej roli i kończy na potworności, albo na błazeństwie. Dopiero, gdy występuje w roli matki, a nawet już wówczas, gdy dąży do tego celu, kobieta staje się imponującą siłą, równą nam, albo wyższą od nas. Jeżeli cywilizacya jest godnym podziwu gmachem, kobieta jest tem wapnem, które spaja pojedyncze cegły i robi z nich masę jednolitą. Jeżeli ludzkość jest siecią, która wyławia ducha z natury, kobiety są w tej sieci węzłami. Jeżeli życie jest cudem, kobieta jest ołtarzem, na którym spełnia się ten cud.

— Za naszą pomocą — wtrącił Solski.

— Niema się czem chwalić!... Gdzie, jak gdzie, ale w tej sprawie jesteście lichemi, a co gorsza, aroganckiemi dodatkami, które nawet nie rozumieją swojej nędznej roli. Kiedy trzeba wkopywać się

o tysiąc metrów pod ziemię, żeglować o tysiące mil od lądu, kuć żelazne belki, pod deszczem kul wydzierać z gardła zwycięztwo, błąkać się jak sęp po nad zawrotnemi przepaściami natury i ducha, dla schwytania jakiejś prawdy — mężczyzna jest w swoim żywiole. Ale tam, gdzie chodzi o rodzenie, karmienie i wychowanie: górników, żeglarzy, wojowników i myślicieli, tam jednej delikatnej kobiety nie zastąpi cały legion pracowników, bohaterów i mędrców. Jej łono mędrsze od was wszystkich, potężniejsze od całego świata.

Tu zaczyna się nieporozumienie, które byłoby komicznem, gdyby z jego powodu nie wylano tylu łez, krwi, nie popełnione tylu krzywd. Od kilkuset lat niema sztubaka, którym wierzył, że — ziemia jest środkiem świata; ale dziś jeszcze najukształceńsi mężczyzni wyobrażają sobie, że ich rozmaite apetyty są — środkiem ciężkości społeczeństwa i jego rozwoju.

Mężczyzna, — prawił Dębicki jednostajnym głosem — który zaprzągł ogień do swoich wozów, ujarzmił wołu, a z dzika zrobił domową świnię, idąc za rozpędem tryumfów, wierzy w to, że i kobieta powinna być jego własnością. Że jej myśl, to nie czyjaś myśl, ale moja myśl; że serce kobiety, to nie jakieś inne serce, ale moje serce, które wolno mi nawet ranić i deptać, ponieważ mam drugie na zapas — we własnej piersi.

Odwieczne i głupie złudzenie!... Kobieta nigdy nie należała, nie należy i należeć nie będzie do mężczyzny; nigdy nie będzie oddaną mu całkowicie, czego od niej wciąż wymagamy; nigdy nie będzie jego

własnością. Kobieta i mężczyzna, to dwa światy, jak Wenus i Mars, które widzą się nawzajem, ciążą ku sobie, ale nigdy się nie przenikną. Wenus dla Marsa nie opuści swej drogi, ani kobieta dla mężczyzny nie wyrzeknie się swoich przeznaczeń. I jeżeli kobiety należą do kogoś, są czyjąś własnością, to nie do nas i nie naszą: one należą do swoich rzeczywistych, czy tylko możliwych potomków.

Gdyby świat męzki zrozumiał tę prawdę, że kobieta nie jest dopełnieniem mężczyzny, ale odrębną i samodzielną potęgą, która niekiedy łączy się z nim, a nawet napozór poddaje mu się dla spełnienia odległych przeznaczeń, nie słyszelibyśmy dzisiejszych wybuchów męzkiej pretensyi. Kobieta, mówiłeś, jest to kupiec, który ciągnie nas za poły do swego kramiku, a potem drogo każe sobie płacić... Mylisz się. Kobieta jest to siła, która posługuje się tobą do wyższych celów, no... i ma prawo żądać, ażebyś na spółkę z nią ponosił koszta skutków...

Obłęd wasz — mówił po namyśle Dębicki — jest tak wielki, że nietylko uważacie kobietę za rodzaj domowego zwierzęcia, przeznaczonego do specyalnych uciech waszych; obłęd ten sięga dalej. Jest w kobietach siła, która pozbawia was rozumu, woli, godności osobistej... Siłą tą jest ich wdzięk, wytryskający z natury kobiecej, jak kwiat z drzewa, jak światło z płomienia. Wdzięk kobiecy jest jednem z najbardziej skomplikowanych zjawisk natury i obok mnóstwa warunków zewnętrznych, wymaga przedewszystkiem — pełnego i swobodnego rozwoju natury kobiecej.

Wam się ten cud podoba; więc pomimo, że żaden z was nie potrafi stworzyć na zawołanie tęczy,

ani kwiatu, macie jednak bezczelność wymagać, ażeby kobieta była dla was pełną wdzięku w każdej chwili. Czy jest biedną aż do zimna i głodu, czy jest smutną aż do łez, czy jest chora, skrępowana, wylękniona — was to nie obchodzi, bo ona dla was zawsze powinna być pełną wdzięku!...

A ponieważ łatwiej oszukać męzką głupotę, aniżeli zmusić naturę, więc stworzyliście sobie całe kategorye, całe dziedziny sztucznych wdzięków i wyrafinowanych mistyfikacyj. Gdy zaś kiedy, najczęściej przez niezręczność kobiet, na chwilę odzyskujecie rozsądek, zaczynacie wrzeszczyć w niebogłosy: to manekin!... to mydlana bańka, na którą trzeba plunąć!...

A ja, Stefku — kończył Dębicki, grożąc palcem — radzę ci: nie pluj!... Bo widzisz, między mydlanemi bańkami może naprawdę zdarzyć się promień tęczy, którego ślina nie dosięgnie, lecz tobie spadnie na twarz.

Solski chodził po bibliotece rozgorączkowany. Nagle zatrzymał się przed Dębickim i zapytał:

— Profesor widziałeś się z panną Brzeską?...

— Widziałem.

— I cóż?

— Nic. Mieszka tymczasem na trzeciem piętrze, gdzie ledwom się wdrapał i nawet dostałem bicia serca. Ale wygląda przytomniej, aniżeli u was na pierwszem...

— Dlaczego ona wyprowadziła się od nas? — spytał Solski.

— Mój kochany, ja dziwię się, że ona tu tak długo siedziała — odparł profesor. — Przecież ta kobieta opuściła rodziców, ażeby darmo nie mieszkać

u nich i nie jadać... Z jakiejże więc racyi od was miałaby przyjmować dobrodziejstwa? Zresztą — nie znam powodu, tylko tak się domyślam... Mogę się mylić...

— Przypuszczasz pan — mówił, coraz więcej podniecony Solski — że dla tego była tak zirytowana w ostatnich czasach?...

— I tego nie wiem, ale jest to bardzo prawdopodobne. Zdaje się też, że pewien wpływ na jej usposobienie wywarł ten... ten Norski swoim wykładem ateizmu...

— Aaa... podlec!...

— Niema się o co gniewać... Tacy apostołowie niekiedy bywają użyteczni, jak proszek na wymioty.

Solski kręcił się, strzelał z palców, pogwizdywał... Wtem, znowu stanął przed Dębickim i rzekł:

— A profesor wiesz, że oświadczyłem się pannie Brzeskiej?

— Tak... coś słyszałem od twojej siostry.

— Odrzuciła mnie, wiesz pan o tem?

— Bo też w podobnych wypadkach pannie służy prawo: albo przyjąć oświadczyny, albo odwlec z odpowiedzią, albo odrzucić. Czwartej kombinacyi nie widzę — odparł Dębicki.

— Owszem, jest czwarta!... — wybuchnął Solski. — Mogła jeszcze kazać memu lokajowi, ażeby wyrzucił mnie za drzwi...

— To byłaby forma nieprzyjęcia.

— Paradny jesteś profesor ze swemi kategoryami!... Ja mówię, że rozbito mi łeb pałką, że mnie

sponiewierano dla jakiegoś szuelra i błazna, a on — wylicza: która to może być kombinacya?...

— Co to za błazen? — spytał profesor.

— Naturalnie; że Norski... Panna kocha się w nim do szaleństwa...

Dębicki wzruszył ramionami.

— Czy i o tem wątpisz profesor?

— Ja nie wątpię, ja wcale się tem nie zajmuje. Tylko — znam pannę Brzeską blizko dwa lata i dotychczas w niej nie spostrzegłem warunków do zakochania się. Przypuszczam, sam mi to wreszcie mówisz, że inni kochają się w niej. Ale ona!...

Solski tarł czoło w zamyśleniu.

— Ona nie kocha się w nikim?... — rzekł. — Istotnie byłoby to ciekawe! Ale, na czem profesor opierasz swoje przypuszczenie?

— Na bardzo prostych faktach. Będąc pensyonarką, *notabene* wzorową uczennicą, panna Brzeska musiała pracować ośm do dziesięciu godzin na dobę. Ledwie skończyła pensyę, została damą klasową, co odpowiada dziesięciu godzinom pracy umysłowej na dobę, nie licząc zajęć obowiązkowych. Obecnie, mieszkając w waszym domu, pracowała na pensyi, albo dla pensyi znowu z dziesięć godzin; prócz tego, mocno interesowały ją sprawy towarzystwa kobiet, mnóstwo cudzych interesów, wreszcie... kwestya nieśmiertelności duszy. Młoda panna, która tak dużo pracuje, nie może dość szybko rozwijać się pod względem erotycznym. A tem bardziej musi być zacofaną, jeżeli zajmuje się, a nawet martwi kwestyami religijno-filozoficznemi.

— Cóż to przeszkadza?...

— Bardzo przeszkadza. Siły ludzkie, fizyczne i duchowe podobne są do kapitału, który możemy stale wydawać na rozmaite potrzeby. Jeżeli ktoś ma trzydzieści rubli miesięcznie i wydaje takowe na żywność, mieszkanie, odzież, książki i wspieranie innych, to już nie ma na muzykę i teatr. Jeżeli więc młoda kobieta, cały zasób rozporządzanej energii zużywa na wyczerpującą pracę umysłową, troszczenie się o bliźnich, a nawet o systemy filozoficzne, zkąd może mieć siły na kochanie się do szaleństwa?... Choćby ten ktoś był nie panem Norskim, ale aniołem.

— Nie przyszło mi to na myśl!... — rzekł jakby do siebie Solski, tonem głębokiego żalu.

— Muszę dodać — wtrącił Dębicki — że mój sąd odpowiada tym faktom z życia panny Brzeskiej, które znam i o ile je znam. Kto inny, znający ją mniej dokładnie, albo dokładniej aniżeli ja, mógłby wyrobić sobie inną opinię. W zjawiskach bardzo złożonych, jakiemi są: biologiczne, psychiczne i społeczne, dziesięć punktów czyli faktów, wyznacza zupełnie innego typu krzywą, aniżeli pięć faktów. Z tego powodu, w naukach wyżej wymienionych trzeba ciągle odwoływać się do obserwacyi, gdyż czysta dedukcya prowadzi do fałszywych rezultatów...

— Ach, cóż to za pedanterya!... — oburzył się Solski. — Kiedy we mnie serce zamiera z trwogi, że mogłem popełnić niesprawiedliwość, że potępiłem niewinną, on wykłada mi logikę!... Bywaj zdrów, profesorze... Twoja mądrość chwilami robi wrażenie piły, którą piłuję się żywego człowieka.

Gwałtownie uścisnął Dębickiemu obie ręce i wrócił do siebie rozdrażniony w wysokim stopniu. Pro-

fesor zaś, poprawiwszy się na fotelu, znowu zaczął przeglądać notatki.

Od tej pory Solski nie zajmował się cukrownią: nie zwoływał sesyi, nie odbierał i nie wysyłał listów i depesz, nawet nie rozmawiał z technikami. Rzadko też widywał się z siostrą, która również unikała ludzi, ale z jakąś fanatyczną zaciętością znowu wzięła się do badań nad mchami i porostami. W przedpokoju pana Stefana drzemali dyżurni lokaje, napróżno oczekując rozkazów; a tymczasem ich władca chodził tam i napowrót po wszystkich pokojach domu i — tęsknił.

Dawniej, kilka razy widział Madzię, powracającą z pensyi; więc teraz, między pierwszą i trzecią w południe, nie mógł oprzeć się manii spoglądania przez okna na podwórze. Codzień o tej porze ogarniał go niepokój i zdawało mu się, że lada chwila zobaczy Madzię, która, może choć przez pomyłkę, wbiegnie do dawnego mieszkania.

Niekiedy zakradał się do pokojów, które zajmowała; siadał na fotelu przed jej biurkiem, patrzył na drzwi wchodowe i słuchał: czy nie odezwie się dzwonek? Ale dzwonek milczał i Madzia nie ukazywała się na pałacowym dziedzińcu.

„Dlaczego ona nie przychodzi do nas?“ myślał i natychmiast sam sobie dawał odpowiedź. Nie przychodzi — ponieważ w tym domu ciężko ją obrażono. Jego krewna, najpoważniejsza osoba w rodzinie, zamiast przygarnąć Madzię, o co ją prosił, zapowiedziała pannie, że dla związku z Solskim, musi wyrzec się własnej rodziny... Cóż to za skandal!...

A on sam czy lepiej postąpił? Żyd z chłopem

o konia targują się godzinę, a tymczasem on chciał wytargować żonę dla siebie, duszę ludzką—w ciągu paru minut. Bo dłużej nie trwała rozmowa z Madzią; a jakimże on tonem przemawiał?... I co za zły duch kazał mu dwa razy powtórzyć frazes: proszę o rękę pani. Przecie to samo już było obelgą, którą musiała odczuć osoba wrażliwa i tak szlachetna...

— Co ja zrobiłem?... co ja zrobiłem!... — powtarzał Solski, chwytając się za głowę.

Człowiek, z jego wychowaniem, do pokojówki nie umizgałby się w taki sposób.

Raz, około drugiej po południu, zerwał się i pobiegł w stronę domu, w którym mieściła się pensya panny Malinowskiej. Chodził z kwadrans po ulicy, minął gromadę pensyonarek powracających z lekcyi, ale Madzi nie zobaczył.

„Oszalałem? — myślał. — Przecież chyba żaden paź nie krążył tak nieśmiało około córki królewskiej, jak ja około guwernantki!...“

Zakipiała w nim duma i przez jeden dzień zajmował się znowu cukrownią. Zwołał nazajutrz sesyę, wysłał kilka listów, ale wieczorem — wymknął się pod dom, gdzie mieszkała Madzia.

Pokój jej na trzeciem piętrze był oświetlony, okno otwarte. W chwili gdy Solski patrzył tam z drugiej strony ulicy, muślinowa firanka wydęła się jak żagiel, w który wiatr uderzył.

— Ktoś do niej wszedł — rzekł do siebie. — Ale kto?...

I znowu zazdrość szarpnęła go za serce.

Nazajutrz cały ranek rozmyślał nad tem: dla-

czego Ada ani razu nie była u Madzi? Posprzeczały się? chyba nie. Więc co?... Były przecie najserdeczniejszemi przyjaciółkami...

Nagle stanął na środku pokoju, zaciskając pięści.

„Chyba Ada naprawdę kocha się w tym... tym Norskim?...

Kilka miesięcy mieszkali razem w Zurichu... Norski odwiedzał Adę prawie codzień... Razem odbywali wycieczki... Potem coś zaszło między nimi...“

— Aaa!... — jęknął Solski.

Na myśl o tem, że jego siostra kocha się w panu Kazimierzu i może być rywalką Madzi, Solski uczuł, że chce bić głową o ścianę, wybiedz na ulicę, krzyczeć... Taka wściekłość uderzała mu do mózgu, że stracił wszelką władzę nad sobą.

Ten Norski... ten blagier... ten karciarz zabierał mu i siostrę i Madzię!...

Po gwałtownym wybuchu równie nagle ogarnął pana Stefana kamienny spokój.

— Zdaje mi się, że temu kawalerowi strzelę kiedyś w łeb — rzekł do siebie.

Nad wieczorem zebrała się sesya techników i plenipotentów po to tylko, ażeby zaznaczyć, że budowa cukrowni idzie dobrze. Na murach lada dzień trzeba stawiać dachy; kotły i machiny już odpłynęły z Gdańska do Warszawy; koła wodne są gotowe, i nie było żadnych nieprzewidzianych wydatków.

Solski roztargniony słuchał sprawozdań; a gdy członkowie sesyi zaczęli rozchodzić się, dał znak Zgierskiemu, ażeby został.

Pulchny człowieczek uśmiechnął się sam do siebie, zgadując, że będzie miał poufną konferencyę, której mu tak zazdrościli inni. A jako biegły dyplomata począł zastanawiać się o co może być zapytany. Może o pannę Helenę Norską?... Może o Madzię?... Może o sprzedaż cukrowni?... Może o to: co w mieście mówią o Solskim?... Może o to: co mówią o przyczynach wyprowadzenia się Madzi z ich domu?... A może też o to: co publiczność sądzi o pannie Adzie Solskiej, która niedawno była emancypantką, potem została spirytystką, a dzisiaj jest mizantropką i nie pokazuje się nikomu?...

Solski usiadł na fotelu i podsunął gościowi pudełko z wybornemi cygarami. Pan Zgierski wziął jedno, ugniótł w palcach, obciął, a z pod oka wciąż patrzył na drzwi. Drżało w nim serce na myśl, że mogą przynieść cudowne wino Solskich, które pan Zgierski nadzwyczajnie lubił i — bał się go. Lubił, gdyż było dobre, a bał się, gdyż bardzo rozwiązywało mu język, nawet za bardzo.

Gdy tak wahał się między nadzieją i trwogą, Solski zapytał:

— Cóż nowego?...

Zgierskiemu czarne oczki zmniejszyły się do rozmiaru dwu iskierek. Z miodowym uśmieszkiem pochylił głowę do ziemi i rzekł:

— Panna Norska wychodzi za Bronisława Korkowicza... Ślub ma odbyć się w Częstochowie za parę tygodni... Skutkiem tego pan Kazimierz zerwał z siostrą...

— Ciekawym, czy panna Helena zaprosi mnie na wesele? Jest to jedyny wypadek, z powodu któ-

rego mógłbym kapitalnie zabawić się parę godzin w salonach państwa Korkowiczów.

— Czy mogę jej o tem powiedzieć? — spytał z rozkoszną minką Zgierski. — Chociaż nie! — dodał. — Zanadto zmartwiłaby się panna Helena, usłyszawszy, że jej mściwy cios tak mały zrobił efekt...

— A za cóż ona się mści? — rzekł Solski, ziewając.

— Nieszczęsna pomyłka! — westchnął Zgierski. — Mówiono, a panna Helena wierzyła, do chwili wyprowadzenia się ztąd panny Brzeskiej, że...

— Że co?

— Że pan odwrócił swoje względy od niej, to jest od panny Heleny, a zaszczycił... pannę Magdalenę...

— Aaa!... — mruknął Solski, obojętnie wytrzymując migotliwe spojrzenia Zgierskiego. Po chwili zaś dodał:

— Ambitne dziecko z panny Brzeskiej. Nie sypiała po nocach i chudła, wyobrażając sobie, że moja siostra wyświadcza jej jakąś łaskę.

Umilkł i znowu odezwał się:

— Ambitne, ale dobre dziecko... Rozweselało nasz dom, nawiasowo mówiąc, bardzo nudny... Leczyło migrenę mojej ciotki... Miła dziewczyna... Szczerze byłbym zadowolony, gdyby moja siostra potrafiła, naturalnie w sposób możliwy do przyjęcia, ubezpieczyć jej przyszłość... Bo i cóż to za los biednych nauczycielek!...

Zgierski stropił się.

— Panna Magdalena — rzekł szybko — nie potrzebuje lękać się o przyszłość. Jej brat, dyrygujący

kilkoma dużemi farbiarniami pod Moskwą, ma znaczne dochody i robi majątek. Ona zaś sama otrzymała zapis w Iksinowie, wynoszący kilka tysięcy rubli...

— Od kogo?...

— Od jakiegoś majora...

— Od majora?...—powtórzył Solski.—Za co?...

Pan Zgierski podniósł brwi, spuścił oczy i wzruszył ramionami.

Solski w tej chwili doznał uczucia, jakby mu ktoś gwałtownie odwrócił głowę i wskazał nowy widnokrąg. Prawie, że go zabolało w szyi.

— Zkąd pan o tem wie? — zapytał Solski.

— Bawiła tu kilka dni jakaś pani sędzina z Iksinowa z córką i przyszłym zięciem...

— Ach!... — szepnął Solski.

— Poznałem te damy u państwa Korkowiczów i, rozumie się, nie pytając, dowiedziałem się kilka szczegółów...

— Ciekawe! — rzekł Solski, hamując się jak nigdy. — Cóżby jej mogły zarzucić?...

— Dziecińśtwa!... Obie panie, no i pani Korkowiczowa, nie mogą darować pannie Brzeskiej jej niewinnej kokieteryi...

— Kokieteryi?...

— Och, któraż kobieta jej nie posiada!... — uśmiechnął się Zgierski. — W każdym razie, z tego powodu panna Brzeska musiała opuścić dom państwa Korkowiczów...

— Myśmy ją ztamtąd siłą zabrali — wtrącił Solski.

— Tak... tak... ale... Z tego też jakoby powodu panna Brzeska wyjechała z Iksinowa...

— Aż takie szerzyła tam spustoszenia!... — roześmiał się Solski.

— Naturalnie dzieciństa... parafiańszczyzna...— mówił Zgierski. — Bądź jak bądź, trafiło się, że jakiś urzędnik pocztowy w Iksinowie zastrzelił się... Nazywał się oryginalnie: Cynadrowski...

— Cynadrowski?... Cynadrowski?... — powtórzył Solski, już nie ukrywając wzruszenia. Oparł łokcie na poręczach fotelu, zasłonił rękoma oczy i szepnął: — Cynadrowski?... aha!... aha!...

Przypomniał sobie wielkie pomieszanie Madzi wówczas, kiedy zameldowano Miętlewicza. Przypomniał sobie ich dziwną chwilami rozmowę, w ciągu której gość z Iksinowa wspomniał i o majorze i o śmierci jakiegoś Cynadrowskiego, co jeszcze bardziej zmieszało Madzię...

— Aha!... aha!... — powtórzył Solski, odgrzebując w pamięci ową wizytę Miętlewicza, która już wówczas zrobiła na nim podejrzane wrażenie.

Zgierski spostrzegł, że jego wiadomości może zbyt silnie podziałały na Solskiego. Ukłonił się nizko i na króciutkich nóżkach potoczył się za drzwi.

„Więc panna Magdalena już ma przeszłość?...— myślał Solski. — Bah!... i nawet dramatyczną... Więc już i było strzelanie sobie w łeb?... Fiu! fiu!... To tak w rzeczywistości wygląda niewinne dziewczątko, które, według Dębickiego, nie miało czasu myśleć o sprawach erotycznych?... Fiu! fiu!... a to kochany profesor zna się na kobietkach... Chociaż... dlaczego

on zakończył swój wyczerpujący odczyt frazesem, że: ktoby znał dokładniej pannę Brzeską, mógłby wyrobić sobie o niej inną opinię?... Aha!... Sprytny stary..."

Solski zerwał się z fotelu i zaczął chodzić po gabinecie, prawie wesoły. Niekiedy, na mgnienie oka, błysnęła mu myśl, że to, co Zgierski opowiadał o Madzi, wygląda bardzo niewyraźnie i może być plotką. Była nawet krótka chwila, że chciał to sprawdzić... Wnet jednak nasunął mu się cały szereg uczuć i powodów, zagłuszających te przelotne zachcenia.

Przedewszystkiem, jakim sposobem sprawdzi i po co? Może on, pan Stefan Solski, ma zaprosić do siebie na przyjacielską pogawędkę pana Fajkowskiego, prowizora z Iksinowa i, klepiąc go po ramieniu przy kieliszku wina, ostrożnie wypytywać: jak to tam było z tym zapisem majora dla panny Brzeskiej?... Nie, pan Stefan Solski tego nie zrobi. On tego ani potrafi, ani chce wpadać w wir intryg i plotek, ani rozszerzać koła swoich demokratycznych znajomości, które już mu stanęły kością w gardle.

Dzisiaj wszystko jest jasne. Urocza Madzia, jak wszystkie kobietki, oszukiwała ród męzki, bądź dla wyzyskania go, bądź — ot, tak sobie — mimowoli. Dzięki temu, zakłóciła spokój browarów pana Korkowicza, a w Iksinowie pchnęła kogoś do samobójstwa (zapewne bez zamiaru), no — i zdobyła kilka tysięcy rubli, może już z zamiarem...

Zamieszkawszy u Solskich, wyprotegowała do cukrowni pana Fajkowskiego, który mógł zaszkodzić jej wzmiankami o iksinowskich historyach. Widzą

zaś, że jej filantropia robi dobre wrażenie, zaczęła kokietować jego, Solskiego, litością i współczuciem. Jej praca na pensyi, przywiązanie do Ady, leczenie migren ciotki, zajmowanie się służbą pałacową — wszystko to było kokieteryą!...

Nagle wpadł do Warszawy jakiś pan Miętlewicz, jego narzeczona z matką i — panna Brzeska, poznawszy, że może być zdemaskowana — dramatycznie usuwa się z ich domu!... Czyn roztropny, gdyż w tydzień później, może danoby jej do zrozumienia, że powinna się usunąć.

Solski, chodząc wciąż, przygryzał wargi i uśmiechał się. Świeżo obmyślona teorya o charakterze Madzi, szwankowała na pewnych punktach, ale za to była jasna i odpowiadała jego poglądowi, że kobiety są podłe.

Więc uwierzył w nową teoryę; chwiał się, zamykał oczy na niektóre wątpliwe szczegóły, ale wierzył. Za swoją miłość idealną, za zranioną dumę, za wszystkie dzieciń有stwa, jakich dopuścił się dla panny Brzeskiej, za tęsknotę, która żarła mu serce, musiał przecie mieć jakąś satysfakcyę, więc uwierzył, że Madzia jest przewrotną kokietką.

Nazajutrz poszedł do mieszkania siostry, zmizerowany, ale i zdecydowany.

— Ada — rzekł bez wstępów — pojedziesz ze mną zagranicę?

— Po co? — spytała siostra.

— Rozerwać się... odetchnąć świeżem powietrzem... Już denerwują mnie warszawskie upały, no — i ludzie...

— Gdzie chcesz jechać?

— Wstąpię na kilka tygodni do Winternitza, potem w góry... potem do morza... Jedź ze mną Ada i tobie dobrze zrobi hydropatya...

— Ja na lato wyjadę na wieś — chłodno odpowiedziała siostra.

W parę dni później, a we dwa tygodnie po wyprowadzeniu się Madzi, pałac Solskich opustoszał. Ada z ciotką Gabryelą, tudzież z całą kolekcyą mchów i porostów, przeniosła się na wieś, a pan Stefan wyjechał zagranicę.

Służba odetchnęła. W ostatnich dniach życie w pałacu było nieznośne. Państwo prawie nie widywali się ze sobą, a sam pan był tak rozdrażniony, że nawet stary kamerdyner drżał na jego widok, przypominając sobie los Cezara.

XI.

W nowem gnieździe.

W pewnym domu, przy ulicy drugorzędnej, ale ruchliwej, bezdzietna wdowa, pani Burakowska, utrzymywała rodzaj pensyonatu dla kobiet, naturalnie pełnoletnich.

Zajęła połowę trzeciego piętra, gdzie w tym samym korytarzu znajdowało się jedno większe mieszkanie, złożone z kilku pokojów i kuchni, tudzież kilka pokoików z osobnemi wejściami.

Pani Burakowska pokoiki te wraz z usługą wynajmowała sublokatorkom, które stołowały się u niej.

A ponieważ znała się na gospodarstwie i miała dużą kuchnię, więc jeszcze kilka osób z miasta przychodziło do niej na obiady.

Tych lokatorek, stołowniczek i stołowników było razem ze dwadzieścia osób. Pani Burakowska miała ciężką pracę, ale miałaby też i niezły byt przy nich, gdyby nie drobna okoliczność. Oto, opatrzność pobłogosławiła panią Burakowską bratem starszym o rok i siostrą, młodszą o kilkanaście lat.

Siostra, panna Klotylda Pasternakiewiczówna, posiadała sto jeden przemysłów. Umiała szewctwo, introligatorstwo, haft, malowała na porcelanie, grała na fortepianie, wyrabiała ramki z paciorków, wieńce ze skóry i — szyła bieliznę. Wszystkie te jednakże kunszty, pomimo gorliwej pracy, przynosiły jej ledwie dziesięć rubli na miesiąc.

Znacznie starszy brat, pan Wacław, był praktyczniejszy: nie robił nic, ale za to ciągle szukał zajęcia; co zmuszało go do przepędzania czasu w cukierniach i restauracyach.

Mąż pani Burakowskiej, obywatel ziemski, zmarł przed pięcioma laty i pozostawił dobra, z których wdowa otrzymała trzy tysiące rubli gotówką.

Gdyby nie siostra, posiadająca sto jeden kunsztów i nie brat, który znał tylko jeden kunszt: próżnowania, może pani Burakowska, przy swoim pensyonacie, utrzymałaby w całości owe trzy tysiące rubli, a może nawet dołożyłaby coś do nich.

Ale przy obowiązkach, jakie na nią spadły, majątek pani Burakowskiej nie powiększył się. Owszem, starannie prowadzone książki gospodarskie dowodziły, że w ciągu czterech lat samodzielnej pracy, pani

Burakowska utraciła ze swego kapitaliku 1,200 rubli. Pozostałe 1,800 rubli powinna była stracić w ciągu następnych sześciu lat, poczem...

Potem — myślała, że dobry Bóg ześle na nią śmierć, a sam zaopiekuje się młodszą siostrą, arcypracowitą i posiadającą sto jeden kunsztów, tudzież starszym bratem, który poszukiwał zajęcia.

Gdyby kto wszedł do pokoju tej kobiety wówczas, gdy zmęczona robiła wieczorny rachunek, gdyby zajrzał w jej mózg, przepełniony gospodarskiemi kombinacyami i w serce pełne trwogi, może pomyślałby:

„O, jakiż to nędzny los kobiety samodzielnej i w jak bezceremonialny sposób płeć, zwana słabą, jest wyzyskiwaną przez mężczyzn!..“

Ale ponieważ nikt nie robił rachunków z panią Burakowską i nikt nie widział jej zalęknionego serca, więc wyobrażano sobie, że damie tej jest bardzo rozkosznie na świecie. Miała dobry humor, wynajdywała co tydzień inne potrawy na obiad, kręciła się po mieszkaniu, po kuchni i po pokojach z oddzielnemi wchodami od szóstej rano do północy, więc — czegóż jeszcze było jej potrzeba?...

U pani Burakowskiej od dwóch lat mieszkała kasyerka ze składu aptecznego, która miała czterdzieści rubli miesięcznej pensyi i pracę od ósmej rano do ósmej wieczór, z wyjątkiem godziny na obiad. Po dziesięciu latach zajęcia, przy którem nie było czasu myśleć o sobie, panienka ta jednego dnia uczuła, że jest jej jakoś niedobrze i...

I kiedy otrzeźwiono ją (w pokoju za składem aptecznym), zobaczyła nad sobą jegomościa z siwemi

wąsami, który tłómaczył jej, że musi na parę miesięcy wyjechać na świeże powietrze.

Była bardzo zdziwiona tem, że zamiast przy kasie znalazła się w pokoju za składem aptecznym i tem, co opowiadał jegomość z siwemi wąsami i wreszcie tem, że sam właściciel składu aptecznego, w naglący sposób prosił ją, aby jechała na świeże powietrze. A ponieważ dano jej urlop i obietnicę, że posady nikt nie zajmie, więc w początkach czerwca przeniosła się na wieś do swojej ciotecznej siostry, której nie widziała od jedenastu lat.

Tam, przyjęto ją bardzo życzliwie i oświadczono, że przed końcem lata nie wypuszczą jej z powrotem do Warszawy. Kasyerka ze składu aptecznego nie mogła wydziwić się, że przez ten czas, kiedy ona za kantorkiem odbierała kwity i pieniądze, lub wydawała reszty, cioteczna jej siostra nietylko wyszła za mąż, nietylko miała ośmio i dziewięcioletnie dzieci, ale nawet — jakby się postarzała!...

Kasyerce zajętej od ósmej rano do ósmej wieczór, przyjmowaniem pieniędzy i wydawaniem reszty, podobne zmiany w życiu nigdy nie przychodziły na myśl. Nie mogła nawet wykombinować, jakim sposobem tak nagle starzeją się ludzie i wyrastają dzieci? Chociaż od dziesięciu lat była przecie kobietą samodzielną, a nawet urzędnikiem składu aptecznego, gdzie znajduje się takie mnóstwo chemicznych preparatów, że możnaby z nich wybudować cały świat, nietylko dzieci!

Skutkiem wyjazdu kasyerki na wieś, u pani Burakowskiej był w korytarzu jeden wolny pokój z osobnym wchodem. A ponieważ kobiety, należące

do stowarzyszenia panny Howard, popierały się wzajemnie jak żydzi, więc, w kilka godzin po opuszczeniu Solskich, Madzia, za pośrednictwem pani Zetnickiej, osiedliła się pod skrzydłami pani Burakowskiej.

Z bijącem sercem, nie ze zmęczenia, ale ze strachu, Madzia wdrapała się na trzecie piętro nowego mieszkania. W korytarzu uderzył ją zapach kuchennych przypraw; w przedpokoju usłyszała turkot maszyny do szycia, a w salonie, będącym zarazem jadalnią, zobaczyła — szczupłą szatynkę, samą panią Burakowską, której wręczyła kartkę pani Zetnickiej.

— Pani chce u nas zamieszkać? — spytała pani Burakowska, wycierając grubym fartuchem, nieco zatłuszczone ręce.

— Tak, proszę pani.

— Mamy tu jeden pokoik, z osobnym wchodem, a także z usługą i całodziennem utrzymaniem, za 33 ruble na miesiąc...

— Owszem, proszę pani, jeszcze dziś zapłacę.

— Doprawdy?... Co za szkoda!... — westchnęła pani Burakowska. — Bo ten pokoik (z meblami) będzie wolny tylko do sierpnia...

— Trudno, proszę pani — rzekła Madzia.

Maszyna do szycia nie przestawała warczyć.

W tej chwili do salonu (który był zarazem pokojem jadalnym), wszedł przystojny brunet, mogący mieć około 40-tu kilku lat. Spojrzał na Madzię okiem znawcy i rzekł półgłosem do pani Burakowskiej:

— Moja droga, nie masz z pół rubla drobnych?... Bo ja mam tylko sturublówkę, a muszę spotkać się w Saskim ogrodzie...

— Mój brat... Pasternakiewicz, panna Brzeska... zaprezentowała ich pani Burakowska, wydobywając ze starej portmonetki pół rubla małemi dziesiątkami i wielkiemi miedziakami.

Madzia zarumieniła się, pan Pasternakiewicz ukłonił się z miną człowieka, który idzie zmienić sturublówkę. Zaś w drugim pokoju maszyna do szycia wciąż warczała, a po mieszkaniu rozchodził się zapach kuchennych sosów.

Madzia tego samego dnia sprowadziła się do pokoju z osobnem wejściem, a gdy otworzyła okno na ulicę, doleciał ją z sąsiedniego pokoju stłumiony szmer maszyny do szycia.

Położyła się na krótkiem łóżku, ale nie mogła zasnąć do drugiej w nocy. Skoro świt, usłyszała, że pan Pasternakiewicz już wrócił z Saskiego ogrodu do domu, choć z jego stąpania nie można było odgadnąć, czy zmienił sturublówkę.

Wkrótce potem, w sąsiedniem oknie, znowu zerwał się warkot maszyny do szycia, przy której panna Pasternakiewiczówna zarabiała dziesięć rubli miesięcznie, pomimo, że znane jej było szewctwo, introligatorstwo i haft, że malowała na porcelanie, grała na fortepianie, wyrabiała ramki z paciorków, tudzież wieńce ze skóry.

Przez parę następnych dni, Madzia była odurzona, ale w sposób przyjemny. Zdawało jej się, że wróciła z dalekiej podróży i że jej pobyt u Solskich skończył się bardzo, o! bardzo już dawno. Nowy lokal, trochę ciasny, robił na niej wrażenie bezpieczniejszego. W małym pokoiku, za którego drzwiami wciąż biegali ludzie, gdzie z okna wciąż dolatywał

szmer i turkot uliczny, Madzia mniej bała się komety, o której mówił Dębicki i nie miała czasu myśleć o wiekuistem nicestwie.

Pokoik ten leżał jakby w ognisku powszedniego życia. Od rana po korytarzu kręciły się służące, albo przekupnie z koszami mięsa i jarzyn. Słychać było swąd samowaru, czyszczenie garderoby, roznoszenie kawy i herbaty. Potem, lokatorki pani Burakowskiej wybiegały do swoich zajęć na miasto, a służące porządkowały ich mieszkania. Potem pani Burakowska krzyczała na kucharkę, lub urywanemi zdaniami rozmawiała z nią o tem, co będzie na obiad.

Na korytarzu zaczęły rozchodzić się swędy przedobiadowe, a od pierwszej do trzeciej zbierali się stołownicy i stołowniczki i znowu rozbiegali się do swych zajęć. Tymczasem o trzy piętra poniżej okna, na ulicy, słychać było nieustający szmer nóg, turkot dorożek, powozów, wozów piekarskich, rzeźniczych, transportowych... Czasem rozległ się głośniejszy okrzyk, czasami nawet przejechał karawan, ale tak prędko, jak gdyby nieboszczyk nie był zimnym trupem i nicością, lecz interesantem, który śpieszy się na cmentarz.

Jakaż różnica pomiędzy tym gwarnym zakątkiem, a samotnemi, ogromnemi salonami Solskich, gdzie milcząca służba ukazywała się i znikała, jak cienie, gdzie człowiek lękał się szelestu własnych kroków i, ze wszech stron zalany przez pustkę, ciągle odczuwał śmierć i nicość.

Trzeciego dnia, Madzia, będąc na pensyi, spostrzegła, że tym razem uczennice są bardzo zajęte jej osobą, a nauczycielki i profesorowie witają się i ro-

zmawiają z nią w sposób niezwyczajny. Nawet panna Malinowska, w czasie pauzy, zabrała Madzię do swego pokoju i rzekła:

— Cóż to, wyprowadziła się pani od Solskich?

— Tak.

— I odrzuciła pani oświadczyny Solskiego?...

Madzia milczała zakłopotana.

Panna Malinowska wzruszyła ramionami i dodała:

— Jakiż ma pani zamiar na wakacye?

— Zostanę w Warszawie.

— Chce pani kilka dobrych lekcyj?

— Bardzo byłabym wdzięczna...

— Dam je pani... No, no!... nie każda kobieta zdobyłaby się na podobny heroizm... Odrzucić Solskiego!... Doprawdy, wydaje mi się to, jak sen... — mówiła panna Malinowska.

Gdy około drugiej Madzia wracała do domu, na schodach zabiegła jej drogę panna Żaneta. Obejrzała się na wszystkie strony i, schwyciwszy się za poręcz, szepnęła z minką, bardziej niż kiedykolwiek wystraszoną:

— Coś ty, Madziu, zrobiła najlepszego?... Biedny pan Fajkowski teraz już z pewnością nie dostanie miejsca przy cukrowni!...

— Dlaczego?... — spytała Madzia, widząc że pannie Żanecie zbiera się na płacz. — Czy za to, że ja wyprowadziłam się od Ady, ma pokutować twój narzeczony?... Zastanów się... Zresztą pan Solski jest tak szlachetny, że raz danego słowa nigdy nie cofnie.

— Tak myślisz? — odparła cicho panna Żaneta i na jej wylęknionej twarzyczce ukazał się odblask

radości. — Ale swoją drogą zrobiłaś głupstwo... Jak można nie wyjść za Solskiego!...

„Nie mówiłabyś tak — pomyślała Madzia — gdybyś znała jego ciotkę, a nadewszystko babkę. Brr!... umarłabym między temi kobietami...“

Na ulicy jednak ogarnął ją strach. Czy Solski nie zechce mścić się nad osobami, którym ona wyjednała posady?

„Nie zrobi tego“ — rzekła do siebie. I w tej chwili przyszło jej na myśl, że Solski jest naprawdę dobrym człowiekiem. A w takim razie, czy powinna była odrzucić go, jeszcze w taki szorstki sposób?...

Obiad jadała Madzia u pani Burakowskiej z drugą seryą stołowników. Było tam kilka nauczycielek, jedna buchalterka, jakiś stary urzędnik, wreszcie student, który kończył zdawać egzamina. Wszyscy ci ludzie jedli pełnemi łyżkami, a rozmawiali półgębkiem, każdy bowiem spieszył się do roboty. Tylko student, który z powodu braku pieniędzy poprzestawał na półobiedzie, jadł powoli, usiłując wielkiemi ilościami chleba wynagrodzić małe porcye. Jego zapadnięte policzki i głęboko osadzone oczy odbierały Madzi apetyt. Nie mogła opędzić się przed myślą, że los biednego chłopca byłby może innym, gdyby ona nie zerwała stosunków z Solskimi.

Madzia piła właśnie czarną kawę, gdy doniesiono, że w jej mieszkaniu czeka jakaś dama.

„Ada...“ — przebiegło jej przez głowę.

Z biciem serca weszła do swego pokoju i zastała — pannę Howard, która na widok Madzi zerwawszy się z krzesła, szeroko otworzyła ramiona. W tej chwili była podobna do krzyża przy drodze.

— Witam!... — zawołała panna Howard — witam podwójną bohaterkę...

Potem schwyciwszy Madzię w objęcia, mówiła z wybuchem zapału:

— Uwielbiam cię, panno Magdaleno... Jednym zamachem zdeptałaś magnata i mężczyznę... Tak, gdyby wszystkie kobiety, postępowały w podobny sposób, sprowadziłybyśmy mężczyzn do właściwego poziomu... Zarozumiałe zwierzęta!... Twój piękny czyn godnym jest demokratki i kobiety samodzielnej...

Następnie, uspokoiwszy się, panna Howard opowiedziała Madzi, że Solski, po jej odmowie, wpadł w taką wściekłość, iż zabił swego psa.

— Zabił Cezara? — powtórzyła Madzia, blednąc. — Zkąd pani wie o tem?...

— Był u mnie wczoraj plenipotent Solskiego... wie pani... Bardzo przyjemny człowiek, w średnim wieku...

— On ma trochę nogi... — wtrąciła Madzia.

— Tak — przerwała panna Howard — ma nieco ekscentryczne nogi, ale... bardzo miły człowiek... Przyniósł dla naszego towarzystwa miesięczną składkę panny Solskiej, te sto rubli...

— Przyznam ci się, panno Magdaleno—dodała po chwili, widząc jakiś cień na twarzy Madzi — że sturublówki panny Solskiej poprostu upokarzają mnie... Szczególniej dziś, po twoim pięknym czynie... I powiem ci, że nigdy tak nie pogardzam magnatami, jak wówczas, kiedy muszę przyjmować ich ofiary... Ale cóż zrobię?... Wydatki towarzystwa rosną...

Panna Howard zamyśliła się posępnie. Po chwili

jednak czoło jej zaczęło się rozchmurzać i mówiła dalej z uśmiechem:

— Szczególny człowiek ten plenipotent Solskich... Pięknym nie można go nazwać, ale — ma coś w oczach... Jest wdowcem... Kiedy do mnie przyjdzie, przesiaduje po kilka godzin. Zaprowadził mi książki rachunkowe i nieraz udziela bardzo pożytecznych wskazówek. Myślę, że jeżeli nad nami, kobietami, już ciąży klątwa, ażebyśmy wychodziły za mąż, to powinnibyśmy wychodzić tylko za takich...

Ale ci dumni panowie, ci władcy świata — prawiła panna Howard podniesionym głosem — oni nie powinni nigdy zaznać słodyczy małżeńskiego pożycia... Ach, panno Magdaleno, doskonale zrobiłaś odtrącając tego pyszałka Solskiego, którego widok zawsze napełniał mnie obawą i wstrętem... Jakie to musi być zwierzę, namiętne i ponure... Czysty inkwizytor!... Cha! cha! cha!... Chciał zjeść młodą i ładną kobietę, jak ostrygę, a tu — klap!... i dostał po łapkach... Zdawało mu się, że skromna nauczycielka zapomni w obec jego bogactw o godności kobiecej...

Panno Magdaleno — zawołała zrywając się — postąpiłaś jak Joanna d'Arc z tym... z tym nienasyconym tryumfatorem. No, bądź zdrowa!... Jeżeli będziesz kiedy potrzebowała lekcyj, daj mi znać i pamiętaj, że masz we mnie dozgonną przyjaciółkę, która cię kocha i podziwia... Ach, podli mężczyźni!...

Długo jeszcze po odejściu panny Howard Madzia czuła zamęt w głowie. Zdawało jej się, że gorliwa apostołka praw kobiecych składa się z dwu osób. Jedna nienawidzi magnatów, druga przyjmuje od nich

ofiary; jedna pogardza mężczyznami i małżeństwem, druga — bodaj czy nie wyszłaby za mąż.

„Cóż to za okrutnik ten Solski!... rzekła do siebie Madzia. — Zabił Cezara...“

Potem przyszło jej na myśl, że, jeżeli na pannie Howard krzywonogi plenipotent Solskich wywarł tak potężny wpływ, iż gotowa była wyjść za niego, to z jakiej racyi Solski nie miałby zasługiwać na przywiązanie kobiety?

— Nigdy nie powiedział, że mnie kocha!... szepnęła rozdrażniona Madzia.

Lecz wnet przypomniała sobie, że Solski robił więcej, gdyż spełniał każde jej życzenie. A jak on z nią rozmawiał, patrzył na nią, z jakiem uczuciem całował ją w rękę...

Teraz dopiero w sposób niejasny, nieśmiały, zaczęło budzić się w duszy Madzi pytanie: czy dobrze zrobiła odrzucając Solskiego?... Ale stłumiła je prędko, oburzona sama na siebie.

W korytarzu rozlegały się stąpania: trzecia serya stołowników pani Burakowskiej wracała z obiadu. W obocznym pokoju maszyna do szycia zaczęła warczeć, zapach przypalonego tłuszczu wzmocnił się, a jednocześnie Madzia usłyszała głos pani Burakowskiej lamentujący:

— Patrzcie, kot zjadł cielęcy kotlet!... Mój Boże, mój Boże... czy podobna dojść tu do czego?... Gość stłukł talerz, Maryanna złamała warząchiew, kot zjadł mięso... Ach nieszczęście... ach nieszczęście moje z wami!...

Madzi przyszło na myśl, że w tym domu wszystko obraca się naokoło cielęcego kotleta. Za tym

kotletem biegają służące do miasta, na ten kotlet spieszą stołownicy, dla tego kotleta maszyna panny Pasternakiewiczówny warczała przez szesnaście godzin na dobę, na ten kotlet polują głodne zapewne koty, wreszcie z powodu tego kotleta wpada w rozpacz pani Burakowska.

Nic — tylko cielęce kotlety!... One tu panują, one zaprzątają wszystkie rozumy i zapełniają serca.

Nie tak było u Solskich, gdzie wcale nie zajmowano się jedzeniem. Troszczono się o danie pracy ludziom potrzebującym, rozmawiano o duchach, o tem czy fabryka jest istotą żywą, która myśli i czuje, rozprawiano o towarzystwie kobiet, albo o możliwości powszechnego potopu...

I stała się rzecz dziwna. Dom Solskich, z którego Madzia wydarła się, jak z łoża tortur, już po kilku dniach zaczął budzić w niej tęsknotę.

Cicho tam było; przez okna zaglądały drzewa ogrodowe... A nadewszystko, po za obrębem zajęć na pensyi, Madzia miała kogo otaczać swoją opieką. Przecież Ada, ta wielka pani, tuliła się do niej, szukała jej towarzystwa i pieszczot, jak dziecko, które potrzebuje kochać i być kochanem...

— Co ja zrobiłam?... — szepnęła Madzia, załamując ręce.

A ten Solski, szorstki, dziwak, ale kipiący nadmiarem sił... Burza w ludzkiej postaci, która jednak łagodniała w obec niej... Prawda, że rozniecał w niej trwogę, zupełnie jak burza, kiedy człowiek dostanie się między jej wichry i pomroki... Jakież to jednak wydaje się piękne dziś, kiedy już przeszło na zawsze!...

W tej chwili Madzia zupełnie jasno rozumiała: czem dla niej był dom Solskich. Był to świat, w którym nie istniały materyalne interesa. Tam po raz pierwszy spotkała ludzi, poważnie zajmujących się kwestyami społecznemi, zagadnieniami ducha i natury. Tam znalazła serdeczną przyjaciółkę w kobiecie i mężczyznę, który lubił ją naprawdę bezinteresownie. Tam nareszcie miała wyraźny cel na przyszłość: szkołę przy fabryce.

I pomyśleć, że ona sama, własnemi rękoma, rozwaliła taki gmach szczęścia, odtrąciła los, trafiający się jednemu człowiekowi na miliony.

Po wylewie tęskntoy za tem, co minęło, w Madzi zbudziła się refleksya. Czy Solski, gdyby do niej wrócił, nie przejmowałby jej trwogą, której nie mogła opanować? Czy potrafiłby lepiej i wyraźniej przemówić do jej uczuć i przykuć ją do siebie, nietylko podziwem i wdzięcznością? Czy Ada już nigdy nie obrzuciłaby jej wzgardliwem spojrzeniem wielkiej damy, nigdy nie powtórzyłaby słów, których sam ton głęboko zranił serce Madzi? A ciotka Gabryela i staruszka hrabina i ci wszyscy krewni Solskich, których poznała w czasie Wielkiejnocy, czy inaczej traktowaliby ją, niż dotychczas?

Nie. A więc nie mogła żyć w tym zaczarowanym świecie, który nakarmił ją wstydem i goryczą, a zostawił żal po sobie.

Powoli zapadł wieczór; swędy, bieganie po korytarzu, turkot na ulicy osłabły. Madzia przymknęła okno, zapaliła lampę i zaczęła pisać list do ojca. Opowiedziała mu wszystko, co trafiło się jej, pytając o zdanie i radę. Skończywszy, doznała ulgi.

Przygoda panny Brzeskiej w domu Sϼlskich głośną widać stała się w Warszawie, gdyż przez kilka następnych dni Madzia odebrała mnóstwo wizyt. Odwiedzały ją, pojedyńczo i parami, ubogie panie z towarzystwa kobiet, dopytując się nieśmiało: czy nie ma jakich potrzeb?... czy nie brak jej pieniędzy?.. i ofiarując swoje usługi. Odwiedzały ją nieznane, czasem bardzo eleganckie damy, oświadczając, że pragnęłyby mieć w niej nauczycielkę dla swych córek, czy kuzynek. Przyczem, w sposób niezawsze zręczny, kierowały rozmowę na stosunki Madzi z Solskimi, a nie odebrawszy żadnej odpowiedzi, wychodziły obrażone.

Był i Dębicki. Przepraszał Madzię, że nie złożył jej dotychczas wizyty; ale w tych czasach miał znowu atak sercowy i musiał unikać schodów. Następnie z miną bardzo zakłopotaną zapytał: czy Madzia nie chciałaby przez wakacye udzielać lekcyi jego siostrzenicy, Zosi, godzinę na dzień, za 20 rubli miesięcznie.

Madzia przyjęła profesora z wielką radością i nawzajem prosiła go, ażeby pozwolił jej dawać lekcye Zosi, ale darmo. Po wielu rozprawach i błaganiach, Dębicki zgodził się na projekt Madzi; widocznie chciał z nią utrzymać stosunki.

Ale o tem, co się dzieje z Solskimi? nie wspomniał ani wyrazu i wyszedł, powtarzając obietnicę, że, o ile pozwolą mu siły, będzie ją odwiedzał. Po jego odejściu głęboki smutek opanował Madzię; zrozumiała, że jej przyjaźń z Solskimi już nieodwołalnie zerwaną.

Na drugi dzień po Dębickim wsunął się do pokoju Madzi pan Zgierski. Kręcił się, uśmiechał,

strzelał małemi oczkami po mieszkanku, niby od niechcenia wypytując Madzię: kto obok niej mieszka i kto ją odwiedza? Lecz ani jednym ruchem, ani jednem słówkiem nie zdradził się z tem, że zawdzięcza Madzi swoją posadę przy Solskim.

Owszem, pod koniec wizyty zrobił minę protekcyonalną i, czule ściskając rękę Madzi, a wymownie patrząc w oczy, oświadczył gotowość wspierania jej swemi radami i stosunkami.

— Będę tu panią częściej odwiedzał... Myślę, że najlepiej wieczorkiem, nieprawdaż?... Możemy kiedy pójść, albo pojechać na spacerek...

Mówiąc to, w tak dziwny sposób manewrował swoją aksamitną ręką i tkliwemi spojrzeniami że w Madzi zakipiał gniew. Odpowiedziała, że nie chce go fatygować w żadnej porze dnia i — odwróciła się do okna.

W tej chwili Zgierski wydał jej się wstrętnym. Nie mogła mu przebaczyć, ani tych plotek, jakie o niej rozgłaszał, ani dowodów czułości, któremi chciał ją uszczęśliwić.

Pan Zgierski szybko opuścił mieszkanie Madzi. Miał zaś tak wzniosły umysł, że nietylko nie rozgniewał się na nią, ale nawet nie stracił zimnej krwi w ocenianiu jej wartości.

„Ładna dziewczyna — myślał, ostrożnie tocząc się ze schodów. — Obraża się po królewsku, no... i niewiadomo jeszcze, co z niej będzie?“

Wprawdzie w kilka dni później złożył o niej bardzo niekorzystny raport Solskiemu; lecz w istocie opowiedział tylko to, co słyszał w domu państwa Korkowiczów od pani podsędkowej. W ogóle, w sto-

sunkach z Solskim, pan Zgierski odznaczał się nieposzlakowaną prawdomównością: przerażał go gniew Solskiego, a pociągał majątek.

Ze wszystkich jednak objawów współczucia, jakie w owej epoce spotkały Madzię, najważniejszą była propozycya panny Malinowskiej. Przełożona nietylko wyszukała jej wyborne lekcye na czas wakacyi, ale nadto oświadczyła, że, po wakacyach, przyjmie ją do siebie na stale mieszkającą nauczycielkę.

Madzi spadł wielki ciężar z serca: miała już spokojną przyszłość, przynajmniej na kilka lat.

Prawie jednocześnie pani Burakowska wspomniała Madzi, że może lokować się i stołować u niej bodaj do września. Powiedziano jej bowiem w składzie aptecznym, że kasyerka pisała ze wsi, prosząc o dłuższy urlop.

W obec tylu dowodów życzliwości ludzkiej, Madzia zaczęła odzyskiwać swój radosny humor. Postanowiła już nie myśleć ani o Solskich, ani o śmierci i nicości, tylko — żyć z dnia na dzień, pracując i wsłuchując się w to życie codzienne, które dokoła niej biegało, warczało, turkotało i swędziło.

Wprawdzie niekiedy, nawet często, a może i za często, budziły się w niej wspomnienia wielkich komnat, gwiaździstego nieba nad ogrodem, wykładów Dębickiego, pieszczot Ady. Wprawdzie snuł się przed jej oczyma półdziki, ale szlachetny człowiek, który kochał ją w tak oryginalny sposób... Ale Madzia rozumiała, że te widziadła są tylko widziadłami, których już nic nie wskrzesi, a czas może zatrzeć. Byle prędzej!

Moda interesowania się Madzią trwała około

tygodnia. Stopniowo coraz mniej składano jej wizyt, coraz rzadziej ofiarowywano usługi, rzadziej pytano o stosunki z Solskimi... Nareszcie wszystko wróciło do zwykłego stanu, a na korytarzu, jeżeli rozlegały się czyjeś kroki, to chyba pani Burakowskiej, jej służących i stołowników.

Ale pewnego dnia, ktoś energicznie zapukał do drzwi Madzi. Zaszeleściły jedwabie i do ciasnego pokoiku weszła, strojna, wesoła i piękniejsza niż kiedykolwiek, panna Helena Norska.

— No, jak się masz bohaterko! — zawołała, ściskając Madzię z niezwykłą serdecznością. — Spóźniłam się z wizytą, bo nie lubię mieszać się z tłumem. Za to przychodzę dziś, ażeby oświadczyć ci, że popisałaś się doskonale... Powiem ci nawet, że zrobiłaś mi niespodziankę...

— Czem? — spytała Madzia dosyć chłodno.

— Naturalnie, że arbuzem, którego dałaś Solskiemu — mówiła panna Helena, nie zważając na obojętne zachowanie się Madzi. — Ach, jakże on się złapał, ten Adonis w skórze Satyra... Cha! cha! cha!... Chciał mnie upokorzyć i upadł nosem w błoto...

— Wiesz Helenko, że nic nie rozumiem... — przerwała Madzia, rumieniąc się.

— Zaraz zrozumiesz — ciągnęła panna Helena, zawsze zajęta tylko sobą. — Na parę dni przed twojem wyprowadzeniem się od Solskich, przyszedł do mnie pan Stefan...

— Oświadczyć się?... — cicho spytała Madzia.

— Nie dopuściłam do tego! — prędko odparła panna Helena, marszcząc brwi. — Chciałam załatwić interes Kazia i prosiłam Solskiego o jakąś posadę.

Sądziłam, że jeżeli umieścił kilku twoich protegowanych...

I wiesz, co mnie spotkało?... — prawiła już z gniewem. — Pan Solski odmówił mi w tak szorstki sposób, że... byłam gotowa pokazać mu drzwi... Wiem, co wart mój braciszek, och!... Ale nigdy nie pozwoliłabym, ażeby nawet pan Solski wypowiadał o nim swoje opinie, których ja nie chcę słuchać...

Policzki jej pałały, nosek drżał.

— Naturalnie pożegnałam go raz na zawsze. A gdy wieczorem, jak zwykle, oświadczył mi się pan Bronisław, przyjęłam go. Myślałam, że biedny chłopak oszaleje!... Zbladł, skamieniał... potem upadł mi do nóg jak długi i szlochając, wyznał, że gdybym nie wyszła za niego, odebrałby sobie życie... Siedział u nas do drugiej po północy, a choć pani Arnoldowa kilka razy przypominała mu, że już czas powiedzieć nam dobranoc, ani ruszył się z miejsca, do znudzenia patrząc mi w oczy. Nie miał odwagi odejść; lękał się, ażeby jaki czarnoksiężnik nie wykradł mu jego skarbu... Ach, ci mężczyźni!...

— Nie powinnabyś z nich szydzić... — wtrąciła Madzia.

— A któż ma do tego większe prawo odemnie? — spytała ze śmiechem panna Helena. — Dosyć napatrzyłam się na te okazy!... Jeden brutal, czy waryat, który gotów był mnie zabić, albo leżeć u moich nóg — pan Stefan. Drugi od rana do wieczora powtarzał, że bezemnie żyć nie może — mój narzeczony. Nareszcie trzeci najlepszy, bo gniewa się na mnie, że zwichnęłam mu karyerę, odtrącając Solskiego, a przyjmując Korkowicza!... Słyszałaś?... To

mój braciczek ma do mnie taką pretensyę... Poprostu zagroził, że zerwie ze mną stosunki!... Kazałam mu wyjść za drzwi i niepokazywać mi się, aż po naszym powrocie z zagranicy. Ale pyszni są ci panowie świata, nieprawda?...

— Kiedyż twój ślub?

— Za parę tygodni, w Częstochowie. Ale kochany Kazio, nie będzie na nim. Raz musi zrozumieć, że, po śmierci matki, głową rodziny jestem ja, która mu pożyczam pieniędzy, płacę długi i w rezultacie potrafię zmusić go, ażeby pracował.

— Będziecie państwo mieszkali za granicą? spytała Madzia.

Panna Helena spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Wiesz Madziu — odparła — nie przypuszczałam, że tak dalece nie znasz mnie... Będziemy mieszkali na wsi, w Korkowie, gdzie mój przyszły pan mąż musi prowadzić browar i zrobić majątek, jak jego ojciec. Jeżeli interesa będą szły dobrze, wpadniemy na karnawał do Warszawy, a w lecie na parę miesięcy za granicę, rozumie się, żyjąc przy tem jak najoszczędniej. Ja nie chcę, jak moja matka, topić się dla paru tysięcy rubli i zostawić córkę na łasce obcych... Ja muszę mieć byt zapewniony, no... i doprowadzić do porządku mego braciszka... On tu zapewne złoży ci lada dzień wizytę (obecnie siedzi na wsi, u jakiegoś bankiera). Otóż, bądź łaskawa, powtórz mu, co słyszysz odemnie... Mama nieboszczka rozpuściła mu cugle, ale ja je skrócę...

Madzia w tej chwili uczuła żywą sympatyę dla pana Kazimierza. Nie był on w jej przekonaniu,

doskonałością, ale, w obec egoizmu i pogróżek siostry, zasługiwał na współczucie.

Panna Helena podniosła się i rzekła na pożegnanie:

— Rozumiesz teraz plan pana Solskiego?... Pożegnany przezemnie, chciał mnie upokorzyć i—oświadczył się tobie... Tymczasem tyś go się także pozbyła, a ja... No, chyba już dziś pojął, że w moich oczach więcej znaczy Korkowicz, który mnie ubóstwia, niż Solski, który mi chce imponować...

Panna Helena wyszła, a serce Madzi opanował wielki ból.

„Więc on oświadczył mi się, ażeby dokuczyć Helenie?... To tak robią ludzie szlachetni?...“

Przed wieczorem złożył wizytę Madzi pan Pasternakiewicz, brat pani Burakowskiej. Był ubrany ze skromną elegancyą, głaskał swoją czarną, wonną brodę i rozmawiając z Madzią przypatrywał jej się przez monokl, co według jego zdania, wywierało duży wpływ na płeć piękną.

Wypytywał Madzię, czy smakują jej obiady, czy poznała się już z lokatorami i stołownikami siostry? Opowiedział w krótkości swoje życie, które zaczęło się pięknem urodzeniem, płynęło w najlepszych towarzystwach i odznaczało się doskonałemi manierami. W końcu zaś oświadczył gotowość chodzenia z Madzią na spacery lub do teatru.

Na Madzi zrobił wrażenie człowieka, który mógłby być tak dobrym oryginałem jak pan Krukowski w Iksinowie, gdyby chwilami nie przypominał pana Zgierskiego. Słuchała go więc roztargniona, odpowiadała krótko i — w bardzo stanowczy,

może nawet w szorstki sposób, podziękowała za spacery i teatr.

Pan Pasternakiewicz pożegnał ją prawie obrażony.

— Jakaś prowincyonalna gąska!... — mruknął, znalazłszy się w korytarzu.

A Madzia wciąż myślała:

„Więc to wielcy panowie, ażeby zemścić się nad jedną kobietą, oświadczają się drugiej?... I ja, przy panu Solskim, odegrywałabym taką rolę, jak przy Helence Korkowicz?...“

Był to jeden z przykrych wieczorów jej życia.

XII.

Pan Kazimierz.

Znowu upłynęło kilka dni i schyłek czerwca. Na pensyi zaczęły się wakacye; panna Malinowska wyjechała na wieś. Madzia, dostawszy obiecane lekcye u osób prywatnych, biegała z domu do domu, na szczęście niezbyt daleko od swego mieszkania. Przed obiadem miała zajęcie od godziny 9-ej do 2-ej; potem od godziny 4-ej do 5-ej przychodziła do niej siostrzenica Dębickiego. Przez resztę czasu była swobodna i samotna. Prawie nikt jej nie odwiedzał. Tylko raz późnym wieczorem wpadła do niej wystraszona Mania Lewińska, ażeby dowiedzieć się, czy Solski utrzyma pana Kotowskiego na posadzie lekarza, czy może teraz da mu dymisyę?...

Byłby to dla nich straszny cios — mówiła Mania Lewińska. — Bo, gdyby pan Kotowski został na posadzie lekarza fabrycznego, pobraliby się w jesieni, lecz, gdyby stracił to doskonałe miejsce, musieliby zginąć wszyscy. Mielnickiemu bowiem jego dłużnicy wcale nie płacą procentów, ona, z powodu wakacyi, nie ma żadnego dochodu, a cały ich dom przez parę miesięcy żyć musi z pensyi pana Kotowskiego. Gdyby więc ta pensya przepadła... Rozumiesz, Madziu, coby się z nami stało!... — zakończyła z westchnieniem Mania Lewińska.

Madzia pocieszała ją, tłómacząc (jak niedawno pannie Żanecie), że Solski jest zbyt szlachetnym, ażeby miał bez powodu rujnować ich szczęście. Do pewnego stopnia uspokoiła Manię; ale w niej samej odwiedziny te spotęgowały ból i gorycz.

„Ileż osób mogłoby mnie przeklinać — myślała Madzia — gdyby Solski naprawdę był mściwym...“

Lecz on mścić się nie będzie. I ta właśnie wiara w charakter Solskiego stała się dla niej nową zgryzotą. Bo gdyby był mniej szlachetnym, Madzia mniej odczuwałaby zniewagę, jaką wyrządził jej, prosząc o rękę dla tego, że Helena postanowiła wyjść za Korkowicza!

„Jakie to szczęście, że powiedziałam, iż kocham innego...“ — myślała Madzia.

Odmowa jej jednak zapobiegła dalszym upokorzeniom; ale nie zmieniała faktu, że Solski ją lekceważył. Tak lekceważył, iż chcąc pokazać Helenie, że o nią nie dba, ją, Madzię, gotów był wybrać za żonę!

„Patrzcie — mówił tym czynem do całego świata — piękna panna Helena tak mało była mi potrzebna, że jej miejsce może zająć byle kto... choćby jej koleżanka, panna Brzeska...“

Za co on ją skrzywdził, ten człowiek taki dobry, mądry, taki niezwykły?... Czyliż nie oceniała jego przymiotów, czy zrobiła mu kiedy przykrość, czy — poprostu — nie uwielbiała go, choć napełniał ją przerażeniem?...

I otóż stał się cud, jaki czasami dokonywa się w sercu kobiety. Solski mądry, Solski szlachetny, Solski, który spełniał wszystkie życzenia Madzi, który korzył się w obec niej, był dla niej obcym i budził tylko uczucie podziwu, pomieszanego ze strachem. Ale ten Solski, który, w przekonaniu Madzi, dał jej dowód najwyższego lekceważenia, ten zaczął ją interesować.

Zadając ból, posiał uczucie.

W ciągu kilku minionych tygodni we wspomnieniach Madzi stopniowo zacierały się ogromne, milczące pokoje, stary ogród, napełniony zielonością i świergotem ptaków, wykłady Dębickiego, pieszczoty Ady... Wszystko zacierało się, ale na gasnącem tle tem wyraźniej rysował się dziki i brzydki magnat, z gwałtownemi ruchami, z pałającemi oczyma, który jednych uszczęśliwiał, a innych deptał.

Chwilami zdawało się Madzi, że naprawdę leży u jego nóg i czuje haniebne ciosy... A ona, zamiast wybuchnąć gniewem, tylko patrzy mu w oczy i zapytuje z pokorą: za co mnie krzywdzisz?... cóżem winna?...

Przechodząc z lekcyi na lekcye, Madzia z po-

czątku nakładała drogi, ażeby ominąć pałac Solskich. Lecz później, gdy zakiełkowało w niej uczucie krzywdy i zniewagi, naumyślnie chodziła tamtędy. Jakiś straszny i słodki żal budził się w jej sercu, na widok zamkniętych drzwi głównych i zapuszczonych rolet w oknach, jakby w tym domu kto umarł. I łzy cisnęły się jej do oczu, gdy słyszała radosny krzyk dzieci w ogrodzie.

Gdyby on ją przeprosił, gdyby choć powiedział: tak, znieważyłem panią, ażeby dokuczyć innej kobiecie... przebaczyłaby mu. Miałaby dowód, że jednak w oczach tego człowieka coś znaczy. A gdyby się teraz oświadczył?... Ach, o tem Madzia nie mogła spokojnie myśleć. Odmówiłaby mu... odmówiła i umarłaby, usłyszawszy od niego odpowiedź tylko na jedno pytanie: czy teraz naprawdę mnie kochasz?...

„Kochasz... kochasz?...“

Madzia kilka razy powtórzyła ten wyraz i ogarnęło ją zdumienie. Przecież ona kochała rodziców, brata, siostrę, Adę, panią Latter, wszystkich którzy cierpieli... Kochała majora i proboszcza i pana Krukowskiego i nieszczęśliwego Cynadrowskiego.

A ileż razy słyszała to słówko! Kiedy pierwszy rok była damą klasową u pani Latter, przecież pan Komorowski (w czasie świąt Bożego Narodzenia) powiedział, że ją, Madzię kocha. Potem w Iksinowie, Miętlewicz mówił to samo, a później pan Krukowski... Dotychczas jednak wyraz ten wywoływał w niej zdziwienie i kłopot. Wiedziała, że w podobnym wypadku trzeba coś odpowiedzieć i jakoś zachować się... Ale co i jak?... Robiło jej to wielki ambaras.

Lecz dzisiaj, na samą myśl, że Solski mógłby jej powiedzieć: kocham... wyraz ten nabierał uroczystego, niemal strasznego znaczenia. Zdawało jej się, że słowo takie w jego ustach, stałoby się wielkim wypadkiem w naturze, spadłoby na nią potężne jak śmierć. Przy tej błyskawicy — zbladłyby wszystkie jej zamiary, trwogi, ukochania. Ziemia i niebo odleciałyby gdzieś w nieskończoność, popchnięte przez tego człowieka. Nawet nicość nie trwożyłaby jej, bo już sama stałaby się nicością, usłyszawszy, że — on ją kocha.

Ale ona tego nie usłyszy. Solski nigdy jej tego nie powie, jak nie powiedział dotychczas; łatwiej mu było zaproponować małżeństwo dla upokorzenia Heleny!...

Pewnego dnia, wracając z lekcyi na obiad Niecałą ulicą, Madzia zobaczyła, o kilka kroków przed sobą, młodego człowieka ze zwieszoną głową, w cylindrze nasuniętym na oczy. Młody człowiek szedł, kiwając się w sposób, który oznaczał lekceważenie świata i, od czasu do czasu, cieniutką laseczką uderzał się po jasnych spodniach, co mogło wyrażać podniecenie nerwowe.

Zanim Madzia zdążyła sformułować, że melancholijnie rozkołysanym młodzieńcem jest pan Kazimierz Norski, już on, pomimo głębokiego zamyślenia, spostrzegł ją i przywitał. Madzia, podała mu rękę, silnie zarumieniona, co, zdaje się, skłoniło pana Kazimierza, że ofiarował się przeprowadzić ją przez ogród.

Madzia nie lubiła męzkiego towarzystwa na ulicy i umiała pozbywać się niepotrzebnych towa-

rzyszów. Ale propozycyę pana Kazimierza przyjęła. Zawsze był on w jej oczach synem ubóstwianej przełożonej, niepoznanym geniuszem, a nadewszystko człowiekiem, z którym wiązał ją ów grzech ukryty na spowiedzi w iksinowskim kościele i cały świat cierpień, wywołanych jego wykładem filozofii.

To też dla Madzi pan Kazimierz nie był zwykłym mężczyzną, jak Miętlewicz, Krukowski, młody Korkowicz i inni, których znała. Zajmował w jej marzeniach wyodrębnione stanowisko, prawie jak Solski. Tylko, że w Solskim Madzia czuła potężnego władcę, któremu niepodobna oprzeć się, a w Norskim — pięknego demona, który swojem zuchwalstwem zasiał w niej niepokój, a teoryą ateistyczną wzburzył i rozbił duszę.

Gdy Madzia i towarzyszący jej demon w jasnopopielatych spodniach, wszedłszy do Saskiego ogrodu, skręcili w boczną aleję, pan Kazimierz nagle zawołał, wciąż machając laseczką:

— Więc pani odrzuciła Solskiego!...

A ponieważ Madzia milczała zmieszana, mówił dalej:

— Nie śmiem domyślać się pobudek tej szlachetnej stanowczości, ale... muszę jej powinszować... Bo pomijam drobiazgi, które dla każdej kobiety robiłyby pana Stefana nieznośnym mężem, ale... proszę pani: Solski to waryat... Całe życie schodzi mu na awanturach, ponieważ gwałtem chce pozować na wyższość...

— To rozumny i szlachetny człowiek! — przerwała Madzia.

— Zasypywał pani oczy filantropią, ale kiedy od pani dostał odkosza, ze złości zabił ulubionego psa... Wreszcie, w jego rodzinie oddawna panuje obłęd... O śmierci ojca kursują niejasne wspomnienia... Panna Ada, kobieta zkądinąd niepospolita, ma skłonność do melancholii... Jakiś stryj zastrzelił się... Chociaż — dodał po chwili z westchnieniem pan Kazimierz — na to, ażeby palnąć sobie w łeb, nie potrzeba waryata.

Madzia ukradkiem spojrzała na niego i spostrzegła, że zapuścił niewielką, jasno-blond brodę, której niedbałe utrzymywanie znamionowało cichą rozpacz. Chcąc mu zatem dać do zrozumienia, że znane jej są, przynajmniej niektóre źródła jego samobójczych aspiracyi, szepnęła:

— Widziałam się z Helenką...

— Ach, tak?... — zawołał, obrzucając ją spojrzeniem, pełnem goryczy i rezygnacyi. — Tak więc już wie pani wszystko!...

— Podobno poróżnił się pan z nią o to, że wychodzi za Korkowicza?...

— Cha! cha! cha!... — sucho zaśmiał się pan Kazimierz. — Czy dlatego, że Korkowicz jest tylko piwowarczykiem?... Ależ, panno Magdaleno — mówił wzburzony — niechby wyszła za furmana piwowarskiego... niechby nawet została kochanką stróża, byle — z miłości, byłbym dla niej najlepszym bratem... Broniłbym jej honoru w obec całej gromady głupców, których ta forma kobiecej samodzielności podnieca do plotek i impertynencyi...

Madzia spojrzała na niego zdziwiona.

— Upewniam panią — prawił pan Kazimierz —

że nie byłoby to nawet ofiarą z mojej strony. Bo potępiałyby ją osobniki o ciasnych głowach..: Ale każdy szlachetny i inteligentny człowiek uchyliłby przed nią czoła, rozumiejąc, że ta kobieta walczy z zaśniedziałemi przesądami, że... ma serce...

Ale mojej siostry nikt, niestety! nie posądzi o posiadanie serca...

— Więc dlaczegóż wychodziłaby za Korkowicza? — wtrąciła Madzia.

— Bo Solski był niepewny, jak każdy półwaryat, a nadewszystko — bo chciała mnie zmiażdżyć... Jej było wiadomo, że moja przyszłość i bardziej wpływowe stosunki opierają się na jej małżeństwie z Solskim. Dobra siostra, tak obojętna dla miłości, jak ona, nie robiąc zresztą poświęcenia, wybrałaby Solskiego, ażeby poprzeć moje zamiary... Trochę gorsza siostra, przynajmniej nie zrobiłaby skandalu w tych czasach, kiedy miałem dostać świetną posadę... Ale ta... moja siostra, właśnie dlatego dziś przyjęła Korkowicza, ażeby raz na zawsze pogrzebać moje plany.

— Ona z przyczyny pana zerwała z panem Solskim...

Pan Kazimierz nieco zarumienił się.

— Słyszałem tę bajkę — odparł z lekceważeniem — ale nie ja jej uwierzę... Zrobiła niegodziwość, a teraz chce pozować na ofiarę... Paradna!... Alboż nie pamiętam, że ona zazdrościła mi nawet pieszczot matki... Czy to raz dostrzegałem w błysku jej oka... w ruchu... nienawiść dla mnie...

— Ach, panie Kazimierzu...

Pan Kazimierz umilkł, lecz wściekle machał laseczką.

— Proszę pani... — zaczął po chwili. — Parę tygodni temu, pewien bankier, mój znajomy, gotów był dać mi posadę korespondenta z pensyą dwa tysiące rubli rocznie, na początek. W tych dniach zaś, kiedy przyparty do muru przez moją siostrę, zażądałem posady... dał mi ją, ale z pensyą sześciuset rubli. A jakie robił miny!...

Już powinienem być w biurze, ale zabrakło mi odwagi... Ta posada, to grób nietylko moich nadziei, ale nawet godności...

Na chwilę stanął w alei, odrzucił głowę w tył; lecz znowu pochylił ją i, idąc mówił jakby do siebie:

— Czy warto żyć wśród takich warunków na świecie, w którym coś znaczy tylko przypadek, albo szachrajstwo?... Gdzie moje ideały... moje cele?... Biedna matka!... Ach, czuję, że mi coś po niej zostało w spadku: pożądanie, aby już rozsypać się w proch — jak mówi Leopardi. Ostatni nędzarz jeżeli ma siostrę, to — ma ją... Nie pomoże mu, ale przynajmniej rozmawia, pocieszy go, popieści... A ja co?... Mam siostrę, którą muszę pogardzać...

— Najniższe uszanowanie!...—odezwał się w tej chwili głos donośny i słodki.

To pan Zgierski przebiegł około nich, uśmiechnięty, okrągły, z kapeluszem w ręku.

Pan Kazimierz ponuro obejrzał się za nim.

— Jestem pewien—rzekł—że śledzi nas ten jegomość...

— W jakim celu? — odparła Madzia, wzruszając ramionami.

— On lubi wszystko wiedzieć, bo to przynosi procent.

— Ha, niech sobie wie...

Wyszli z ogrodu. Pan Kazimierz jeszcze wylewał z siebie fontannę pessymizmu, wreszcie, stanąwszy przed domem Madzi, pożegnał ją.

— Czy mogę odwiedzić panią czasem?... — zapytał.

— Owszem... proszę... — odpowiedziała Madzia.

— W godzinach?...

— Od szóstej bywam wolna.

Przeciągle uścisnął jej rękę i spojrzał, jakby chcąc powiedzieć: „ty jedna pozostałaś mi na świecie...“

Przynajmniej w taki sposób zrozumiała to Madzia. Nim zaś weszła na trzecie piętro, już w jej głowie sformułowało się to, co uważała za święty obowiązek.

Ona nie dopuści, ażeby pan Kazimierz wpadł w rozpacz. Ona wydźwignie go z otchłani zwątpienia. Ona zachęci go do pracy, wynajdzie słowa pociechy, rozdmucha gasnące iskry wielkich celów...

Obowiązki są trudne, ale ona znajdzie siły. Bo czuje, że w jej piersi ocknął się duch zmarłej pani Latter, która przecież niekiedy nazywała ją drugą córką.

Naturalnie, że Madzia będzie przyjmowała wizyty pana Kazimierza; bo gdzież dowie się o jego troskach, gdzie pocieszy go, podźwignie i zachęci?... A ludzie niech mówią, co chcą. Czyliż nie jest kobietą samodzielną? Czyliż każdy człowiek szlachetny i inteligentny nie schyli przed nią głowy za to, że

została siostrą i prawie matką człowieka genialnego, prześladowanego przez los i ludzi?...

Bóg będzie świadkiem, że jej uczucia są braterskie; tem więc śmielej może je objawiać. Tylko, że, według filozofii pana Kazimierza, Bóg...

Ale co tam! Dwaj ludzie uwierzą jej: Dębicki i ojciec. O nich jej tylko chodziło.

Zgierski widział ich?... Tem lepiej. Narobi plotek, a w takim razie ofiara Madzi będzie zupełniejsza. Tem goręcej błogosławiłaby ją dusza zmarłej matki, dusza pani Latter, gdyby na nieszczęście — już nie rozsypała się na atomy żelaza, fosforu i jeszcze jakieś.

A może plotka dojdzie i do Solskich?... Otóż to będzie najlepsze. Niechże pan Solski myśli, że ona kocha się w Norskim, skoro miał odwagę prosić ją o rękę, jak pierwszej lepszej, naprzekór Helenie, która go odrzuciła...

Madzia przy stole mało jadła, nie rozmawiała z towarzyszami, nawet nie dokończyła obiadu. Gdy wyszła do swego pokoju, stołownicy pani Burakowskiej jednomyślnie odezwali się, że pannę Brzeską musiało znowu spotkać coś ważnego, gdyż wydawała się rozgorączkowaną.

Istotnie była podniecona. W jej duszy zapłonął nowy a piękny cel: zastąpić matkę i siostrę opuszczonemu człowiekowi — zbudzić geniusz do nowych lotów... Madzia nawet przypomniała sobie kilka romansów i kilka poezyi, których treścią było to, że kobieta może albo natchnąć, albo zamordować geniusza.

Jeszcze nigdy stanowisko kobiety nie wydawało

się Madzi tak wysokiem i nigdy tak dumną nie była z siebie, jak w tej chwili. Co tam stowarzyszenie kobiet, pensya w Iksinowie, albo szkoła przy cukrowni!... Geniusza uratować dla ludzkości, to cel!... A jak rzadko podobne zagadnienie nastręcza się kobietom!

Kiedy po południu, skończywszy lekcyę z siostrzeniczką Dębickiego, układała plan: w jaki sposób najpierwej — pocieszyć, powtóre — podźwignąć, a potrzecie — natchnąć pana Kazimierza, przyniesiono jej list z poczty. Na kopercie poznała rękę ojca.

Stary doktór rozpisał się obszernie, co nie było w jego zwyczaju. Donosił Madzi, że o oświadczynach Solskiego i jej odmowie już wiedział od Miętlewicza i podsędków, że jej zerwanie z Solskimi wywołało w Iksinowie najdziwaczniejsze plotki, że wreszcie matka, skutkiem tego, jest bardzo na Madzię rozżalona.

„Ale to nic — pisał ojciec — plotki mnie nie obchodzą, gdyż znam ciebie; a matka, a raczej jej zawiedziona ambicya, uspokoi się za parę miesięcy.“

— Jak mama chce!... — szepnęła Madzia, czując, że nigdy chyba nie dojdzie do tej serdeczności z matką, jaka łączyła ją z ojcem.

„Pytasz — mówił doktór w liście — jak uważam odrzucenie przez ciebie świetnej partyi? Moja droga, najważniejszemi rzeczami, które łączą lub dzielą ludzi, są: wiara, wspólne lub różne sympatye i cele. A ponieważ te różnice moralne towarzyszą zazwyczaj różnicom majątkowym i stanowiskowym, więc — nigdy nie radziłbym kojarzyć się w małżeństwa lu-

dziom, których stanowiska, czy majątki, zanadto oddzielają od siebie...“

— Nie wiedziałam, że papuś tak wierzy w różnice klasowe!... — pomyślała Madzia.

„Ty, widać, nie jesteś stworzona na wielką damę...“

— Na wielką damę — tak, ale na żonę pana Stefana, dlaczegoby nie?... — rzekła do siebie Madzia.

„Czułaś się bardzo nieszczęśliwą w pałacu, więc — nie godzisz się z bogatem otoczeniem; upakarzały cię babka, ciotka i cała rodzina państwa Solskich, więc — muszą istnieć między wami ogromne różnice moralne. Wreszcie bałaś się pana Solskiego, co może być objawem wstrętu...“

— To nie był wstręt!... — szepnęła prawie ze łzami Madzia.

„W rezultacie stało się najlepiej, jak się stało. Człowiek musi mieć troski i pracę, jak chleb i wodę; marnieje zaś wśród ciągłych rozrywek, jak zmarniałby, karmiąc się wyłącznie cukierkami. A że masz zdrową duszę, więc instynkt odepchnął cię od tych pokus i stało się dobrze...“

Madzia odłożyła na chwilę list; uczuła żal do ojca, za to, że pochwalał jej zerwanie z Solskim. Zdawało jej się, że tym razem ma większą słuszność matka, która oburzyła się na nią.

Dalej pisał ojciec o bracie:

„Wyobraź sobie, że Zdzisław przeszło od roku robi majątek i na wielki mój wstyd, przysłał nam 2,000 rubli; 500 rubli odłożyliśmy dla ciebie, którą to sumę możesz wziąć od nas w każdej chwili. Szkoda mi tylko, że biegając po tych swoich fabrykach

(a kieruje aż trzema!), chłopak naraża się. Miał nawet zapalenie płuc, które, dzięki Bogu, przeszło. W każdym razie, radziłem mu wyjechać na parumiesięczny odpoczynek gdzie w góry, bo z następstwami zapalenia płuc żartować nie można.

Pisał mi też Zdzisław, że radby mieć ciebie w swoim domu, któremu na gwałt potrzeba gospodyni; bo i wydatki dziś większe i chłopak marnuje się bez kobiecej opieki. Gdybyś chciała tam pojechać, zrobiłabyś Zdzisławowi i nam wielką łaskę. On za parę lat, zebrawszy mająteczek, chce wrócić do kraju i tu założyć fabrykę farb. Byłabyś wtedy panią u siebie i mogłabyś uczyć dzieci własnych, nie cudzych robotników.“

W końcu donosił doktór, że panna Cecylia otrzymała list od panny Solskiej i że w tych czasach stanowczo wyjeżdża do Jazłowca.

Wiadomość o chorobie brata wstrząsnęła Madzią, a propozycya ojca otworzyła przed nią nowe horyzonty. Więc ona ma kim opiekować się i to kimś bardzo blizkim i bardzo potrzebującym troskliwej ręki... Więc ona może mieć swoją szkołę, naprawdę swoją... Może uczyć dzieci i czuwać nad bytem ich rodziców... Ileż dobrego jeszcze uczyni w życiu!...

Chciała natychmiast pisać do ojca i do Zdzisława, że zgadza się na ich projekt. Zbliżyła się do stolika, zaczęła szukać papieru, lecz — przyszło jej na myśl, że jednakże ten pośpiech jest zbyteczny. Musi przecież do końca wakacyi zostać w Warszawie, ponieważ ma terminowe lekcye; nie może też zrywać umowy z panną Malinowską bez uprzedzenia jej...

„Napiszę do Zdzisława jutro... za parę dni... a jednocześnie do panny Malinowskiej, że już nie będę u niej damą klasową. To taka zacna kobieta, tak poczciwie ze mną postępuje...“ — mówiła sobie Madzia.

Zaś przez ten czas, jaki jeszcze przepędzi w Warszawie, będzie mogła pocieszyć, podźwignąć i natchnąć swego drugiego brata — pana Kazimierza.

„Tak, muszę mu przynajmniej dodać otuchy!...“ — myślała Madzia, czując, że w tej chwili geniusz pana Norskiego nieco blednie w jej oczach. Zdzisław nie jest przecie geniuszem, a mimo to przysyła rodzicom pieniądze i myśli założyć własną fabrykę, jak Solski... Tymczasem pan Kazimierz okropne stacza ze sobą walki, ażeby wstąpić do bankierskiego kantoru!

Blado, bardzo blado wyglądał w jej oczach pan Kazimierz. Madzia aż oburzyła się na siebie, że porównywa geniusza ze zwykłym człowiekiem, jakim jest jej brat. I tem silniej odezwało się w niej poczucie obowiązku dla pana Kazimierza, któremu jeszcze w południe miała zastąpić siostrę i matkę, a już nad wieczorem myśli zostawić go własnym losom.

Przez kilka następnych dni Madzia nie odpisała bratu, ani ojcu i nie widziała pana Kazimierza. Uwaga jej była zaprzątnięta lekcyami, które stopniowo rozrastały się z jednogodzinnych na półtoragodzinne, choć wynagrodzenie pozostało takie same. Ale musiała śpieszyć się. Jej pupilki miały egzamina po wakacyach, a rodzice ich i opiekunowie z najsłodszemi minami przypominali Madzi, że czas ucieka i że panienki najwięcej korzystają z tych

przedmiotów, które Madzia sama odrabia z niemi podczas lekcyi.

Raz, około siódmej wieczorem, kiedy Madzia, wróciwszy do domu zmęczona, siedziała z głową opartą o poręcz kanapy, patrząc w sufit i przysłuchując się warczeniu maszyny do szycia, wszedł pan Kazimierz.

Podał jej z uśmiechem prześliczną różę i, pocałowawszy w rękę, rzekł.

— Na podziękowanie...

— Za co? Niechże pan siada — odparła Madzia, rumieniąc się, że jej pokoik był taki ciasny i żaden sprzęcik nie należał do niej.

— Za co? — powtórzył pan Kazimierz. — Oto już jestem u mego bankiera... dzięki pani.

— Aaa... to bardzo ładnie pan zrobił!

Pan Kazimierz wstrząsnął głową.

— Jest to tak ładny czyn, że, nim spotkaliśmy się z panią około Saskiego ogrodu, namyślałem się: co lepiej?... Zostać korespondentem, czy strzelić sobie w łeb. Miałem nawet przygotowany rewolwer...

Madzi przemknęło wspomnienie pana Komorowskiego, który zapowiedział, że na jej ślubie zastrzeli się z rewolweru. Koniecznie z rewolweru...

— Widzi pan — odezwała się — że do wszystkiego można przywyknąć.

— Nawet do tytułu kantorowicza, ale pod warunkiem...

— Że?...

— Że do ohydnej jaskini, nazywającej się bankierskim biurem, człowiek przyniesie niebo w sobie...

— Pan wierzy w niebo?

— Już uwierzyłem.

Madzia była zadowolona z wizyty pana Kazimierza; ale pod tłem radości nurtował ją niepokój. Czy to była bezświadoma troska o brata, który o setki mil pędził życie samotne? Czy może po jasnych ścianach pokoiku przesunął się cień Solskiego?...

Pan Kazimierz tymczasem mówił:

— W tych dniach przekonałem się, że niebo moglibyśmy mieć na ziemi. Wczoraj pokazano mi naszą kasę główną... Słyszy pani?... już mówię naszą kasę! Widywałem w życiu pieniądze, ale pierwszy raz zobaczyłem milion... Ile tam woreczków złota... o tej wielkości; ile worków srebra... o takich... A jakie stosy banknotów!... Te paczki rublówek, dziesięciorublówek, sturublówek, ułożone jedne na drugich, robią dziwne wrażenie: obojętnieją. Patrząc na to mnóstwo, trzeba prawie powtarzać sobie: to są pieniądze, cel zabiegów, źródło szczęścia, jedyne nici, które spajają ludzi między sobą... Odurzał mnie ten widok...

Madzia w tej chwili myślała o człowieku, który mógł rozporządzać mnóstwem pieniędzy, lecz którego one nie odurzały, lecz jak zwierzęta przywiązane słuchały jego rozkazów.

— Kiedym wyszedł ze skarbca — ciągnął pan Kazimierz — zobaczyłem przez okno, na drugiej stronie ulicy, biedną kobietę z dwojgiem dzieci. Kto wie, myślałem, czy ta uboga nie ma szlachetniejszych uczuć i instynktów, aniżeli mój pan szef? I co to za ład świata, gdzie jeden człowiek nudzi się na szczycie ziemskiej potęgi, a inny, wcale nie gorszy od niego, płacze z bólu nad sobą i dziećmi...

Jakże łatwo możnaby temu zapobiedz!... W jak prosty sposób mój bankier nie chorowałby z nadmiaru, a tamta biedaczka z nędzy... Potrzeba tylko jednej drobnej rzeczy...

— Reformy społecznej?... wtrąciła Madzia.

— Wcale nie... tylko miłości... odpowiedział pan Kazimierz.

— Och!...

— Tak pani. W naturze, każdy byt jest egoistycznym... Człowiek, rozpędzony do swego celu, tak dobrze rozbija bliźnich, jak kula wyrzucona z działa... Ale gdyby kochał tych bliźnich, powstrzymałby się...

Ach, miłość!... Gdyby miłość rządziła światem, ten wicher, który dziś łamie gałęzie, składałby na nich pocałunki... Ten piorun, który dziś druzgocze drzewa, ześlizgiwałby się po nich i ogrzewał zziębnięte swoją ognistą wstęgą. Gdyby miłość... ordynarna cegła nabrałaby blasków dyamentu, kwiaty same tuliłyby się do ludzkiej piersi, a ludzie... ludzie byliby szczęśliwi!... Szpital, więzienie, nawet... podły kantor bankierski staje się rajem, gdy ten słodki gość uwije w nim gniazdo...

Madzia, słuchając pana Kazimierza, myślała:

„Dla czego *on* nigdy tak nie mówił?... A może mówił, ale do Heleny!..."

Nagle ocknęła się i cofnęła rękę, którą pan Kazimierz namiętnie całował.

— Nie wolno?... spytał.

— Nie trzeba.

— A gdyby człowiek, umierający z pragnienia, prosił panią o kroplę wody?...

Madzia milczała zamyślona; pan Kazimierz znowu delikatnie ujął ją za rękę i całował.

— Taka pani rozmarzona... — szeptał. — O czem tak... o czem?...

— Myślałam o mamie pańskiej...

Młody człowiek drgnął, jak oblany zimną wodą.

„Szczególny rodzaj sentymentalizmu!...“ rzekł do siebie i — zupełnie stracił humor.

W tej chwili do pokoju wsunęła głowę pani Burakowska.

— Przepraszam... czy nie przeszkadzam?... Może tu podać samowar?... A może posłać po szynkę?...

— Ach, jeżeli dla mnie — odezwał się pan Kazimierz, zupełnie otrzeźwiony — to bardzo dziękuję... Muszę zaraz widzieć się z kimś...

Wziął kapelusz i pożegnał Madzię. Pani Burakowska znikła za drzwiami.

— Ale na weselu Helenki będzie pan?... zapytała Madzia.

— Upewniam panią, że wolałbym nie doczekać wesela... żadnej z moich sióstr... odpowiedział pan Kazimierz tonem gorzkiej ironii.

Gdy wyszedł, Madzia czuła tylko zmęczenie całodziennemi lekcyami i pewien rodzaj żalu do siebie, że prawie wcale nie podźwignęła dziś pana Kazimierza, a bynajmniej nie rozbudziła jego geniuszu.

„W każdym razie — myślała — już wie, że mu zastąpię siostrę i matkę... Siostrę on sam we mnie odgadł, a matkę przypomniałam mu.“

XIII.

Znowu echa przeszłości.

Kilka dni upłynęło Madzi spokojnie: nikt jej nie odwiedzał, oswoiła się z nowemi uczennicami, hałasy w domu przestały ją razić. Te same osoby, te same swędy, ten sam turkot na ulicy, a w obszernym pokoju warczenie maszyny do szycia, tak już opanowały Madzią, że robiły wrażenie ciszy.

Mogła zebrać myśli, wejrzeć w siebie. I gdy podczas samotnych wieczorów rozpatrywała siebie, spostrzegła, że z chaosu zmian, osób i uczuć, jakie ją napełniły, wynurza się coś, niby na dalekim horyzoncie blade światło.

Nie był to nowy pogląd na świat i duszę ludzką, ani nowy cel w życiu, ale coś zupełnie innego; oczekiwanie i pełna trwogi ciekawość.

Miewała dziwne marzenia. Raz zdawało jej się, że ściga ją tłum mężczyzn, podobych do Zgierskiego i Pasternakiewicza, z których każdy chce z nią iść do teatru, lub na spacer. Propozycye te były oburzające i niedorzeczne; nie mniej Madzia mówiła sobie, że musi być bardzo zabawny taki spacer lub teatr sam na sam z mężczyzną. Gdyby był w Warszawie Zdzisław, z pewnością poszłaby z nim gdzieś daleko, ażeby przekonać się, jakie to robi wrażenie?

Innym razem wyobrażała sobie, że jest panną Howard, z którą rozmawia krzywonogi plenipotent Solskiego. I zapytywała się: o czem oni mówią, przepędzając kilka godzin razem i w jaki sposób on uczy

pannę Howard prowadzenia ksiąg rachunkowych, jeżeli tak zdecydowana nieprzyjaciółka mężczyzn, jego, plenipotenta nazywa miłym człowiekiem?

To znowu majaczyło się jej, że już jest narzeczoną, jak panna Żaneta, albo Mania Lewińska. Nie znała swego narzeczonego, lecz mimo to, zalewało jej serce uczucie, pełne tkliwości. Kto jest wybranym, oto mniejsza, dość że jest nim mężczyzna, do którego ona musi należeć ciałem i duszą na wieki. Dziwił ją, ale i zaciekawiał ten rodzaj niewoli i zdawało jej się, że właśnie w takiej niewoli, w całkowitem zapomnieniu o sobie, leży nieznane szczęście.

Wtedy na tle nieokreślonych pragnień, ukazywała się jej sylwetka Solskiego. Innym razem słyszała namiętne słowa pana Kazimierza i czuła na rękach drażniące pocałunki. Potem zdawało jej się, że każdy mężczyzna, nawet przechodzący ulicą, patrzy na nią w szczególny sposób, jakby chciał narzucić jej swoją wolę i przykuć do siebie na zawsze.

Żaden z nich nic ją dziś nie obchodził. Lecz przeczuwała, że ten, który zostałby kiedyś jej narzeczonym, byłby droższym nad wszystko w świecie.

„Co za dzieciństwa roją mi się po głowie!...“ — myśli Madzia.

Lecz zarazem przypomina sobie, że taki niepokój i — zapewne — chorobliwe marzenia, już kiedyś prześladowały ją. Było to jeszcze za życia pani Latter, w zimie. Madzia pamięta, że wówczas każdy spacer sprawiał jej mękę; widziała bowiem, nawet mając spuszczone oczy, że mężczyźni przypatrują się jej w szczególny sposób, co ją niewymownie zaciekawiało i drażniło.

Ówczesny jednak nastrój jej duszy prędko rozchwiał się pod wpływem kłopotów pani Latter, zamętu na pensyi, wreszcie wyjazdu do rodziców. A gdy przyszła do zdrowia po tyfusie, wszystkie te dziwactwa wygasły tak, że nie pozostało po nich śladu. W Iksinowie Madzia poprostu dziwiła się, gdy pan Miętlewicz, albo Krukowski, mówili jej o miłości, albo gdy panna Eufemia starała się wdziękami usidłać mężczyzn.

„Do czego to podobne?...“ — mówiła sobie wówczas. Jak w tej chwili, rozpatrując się we własnych uczuciach, mówi:

— Czy znowu grozi mi jaka ciężka choroba?... Bo zkąd ten niepokój, co za osobliwe przywidzenia?...

Takich ciekawości doznawać musi pisklę, kiedy rosną mu skrzydła; takie niepokoje czuć musi na wiosnę konwalia, kiedy drobne jej gałązki zaczynają okrywać się pączkami.

Przez cały ten czas nie pokazał się pan Kazimierz.

„Obraził się na mnie?... — myślała Madzia. — A może porzucił swój kantor?...“

Chwilami robiła sobie wyrzuty, że niedość serdecznie rozmawiała z nim, gdy był u niej; lecz czy to jej wina, że nie mogła zdobyć się na większą serdeczność?

„Zawsze byłam zimna... zawsze za mało miałam serca!...“ — mówiła sobie.

Na tle nowego nastroju duszy, przy którym każdy mężczyzna robił na niej silne wrażenie, dwu zarysowało się najwyraźniej: pan Kazimierz i Solski.

Ukazywali się oni kolejno w myślach, tworzyli jedną całość, lecz dzielili się jej uczuciami. Wspomnienie o panu Kazimierzu pobudzało jej nieokreślone oczekiwania i ciekawość, obraz Solskiego łączył się z niepokojami i bezprzyczynowem zawstydzeniem.

Przeczuwała ona, że pan Kazimierz, jeszcze za życia matki, zaczął wprowadzać ją w świat nieznanych uczuć, a i nadal ofiarowywał się na przewodnika. Był to piękny i wymowny przewodnik! Wejść z nim — tak... Ale pozostać w nowym świecie mogłaby tylko z Solskim. Przeczuwała, że otwierająca się przed nią kraina, jest ojczyzną wielkich burz, gdzie potrzeba tak silnego i zdecydowanego opiekuna, jakim był Solski. Nad temi ciemnemi przepaściami, z których ziała trwoga, tylko przy Solskim można było zamknąć oczy i poddać mu się całkowicie.

Takie powikłane marzenia wstrząsały duszą Madzi. Wyraźnie określić ich nie umiała, czuła tylko ich nowość i urok, z którym niepodobna było walczyć.

W połowie lipca, kiedy Madzia wróciła z lekcyi na obiad, powiedziano jej, że jakaś pani od kilku godzin czeka w jej pokoju.

Była to panna Cecylia. Z okrzykiem pochwyciły się w objęcia i witały się tak serdecznie, że zdziwiłoby to nawet je same, gdyby miały czas myśleć o tem.

— Jakaś ty dobra, że nareszcie jesteś!...

— Jakaś ty piękna, Madziu!... Boże, wyjechałaś z Iksinowa prawie dzieckiem, a dziś widzę skończoną kobietę... Jesteś trochę mizerniejsza, ale to nie szkodzi — mówiła panna Cecylia.

— Zestarzałam się o rok...

— I tyleś przeżyła, biedaczko!...

— Cóż tam w Iksinowie?... Jak się mają rodzice?... — spytała Madzia.

Panna Cecylia niewiele zmieniła się. Ta sama twarz alabastrowa, te same ruchy pełne wdzięku. Tylko włosy jej jeszcze bardziej posiwiały, ale za to w oczach i uśmiechu błyskała niekiedy radość.

Zaczęła tedy panna Cecylia opowiadać, że matka trochę gniewa się na Madzię, że ojciec, major, i proboszcz kazali ją po tysiąc razy uściskać, że pan Miętlewicz naprawdę żeni się z panną podsędkówną.

— Gdzież twoje rzeczy, Cesiu? — przerwała Madzia.

— Dawno na kolei. Dziś wieczór wyjeżdżam do Krakowa.

— Zjesz ze mną obiad...

— Już sama się porządziłam — odparła panna Cecylia. — Twoja gospodyni jest nawet tak dobrą, że obiecała nam tu przysłać...

Istotnie, po chwili, nie odznaczająca się czystością pokojówka, nakryła stół i przyniosła dwa obiady.

— Kiedyżeś wyjechała z Iksinowa?

— Wyobraź sobie, że we wtorek. Aż dwa dni przepędziłam na wsi u panny Solskiej—odpowiedziała nieco zakłopotana panna Cecylia. — Do śmierci będę jej dłużniczką za to miejsce w Jazłowcu...

— Jakież wrażenie zrobiła na tobie Ada?

— Wiesz, że... nie mogę go nazwać przyjemnem — mówiła panna Cecylia. — Wydaje się dumną, zamkniętą w sobie, rozdrażnioną...

— Cóż się z nią stało? — szepnęła Madzia. — Mówiła ci co o mnie?...

— Nie opowiadała nic, ale za to wypytywała się o najdrobniejsze szczegóły o tobie. Czy dasz wiarę, że ona zkądsić wie o zapisie majora, o tym koncercie Stelli, o śmierci Cynadrowskiego... Ale wie w taki sposób, jakby nie od ciebie o tem słyszała...

— Domyślam się—odparła Madzia z goryczą.— Pani podsędkowa poznała się tu z niejaką panią Korkowiczową, u której znowu bywa niejaki pan Zgierski... Ach, moja Cesiu, jak mi się teraz inaczej świat przedstawia!... Dziś dopiero zaczynam wierzyć, że jest na nim dużo ludzi złych... Tak, naprawdę złych...

Umilkła i spytała po chwili:

— Ada pewnie ma żal do mnie?...

Panna Cecylia, machinalnie obejrzawszy się, rzekła zniżonym głosem:

— Żalu nie... Owszem, zdaje mi się, że ona cię bardzo kocha... Ale wiesz, jakie myśli niekiedy przychodziły mi do głowy, kiedy rozmawiałyśmy o tobie?... Wiesz, że ona... ona jest... ona jakby była zazdrosna o ciebie...

— O mnie?... Aaa... tak!...—zawołała Madzia.— Pamiętam... Byłyśmy jeszcze u pani Latter, kiedy przyjechał jej brat i zwrócił uwagę na Helenę Norską. Wtedy właśnie Ada powiedziała mi, że jest zazdrosna o Helenę. Bo — mówiła Ada — jeżeli mój brat zakocha się w Helenie, to już mnie przestanie kochać...

— Aha! — powtórzyła panna Cecylia. — Zapewne, że musi być to... Niezawodnie to...

Po obiedzie, panna Cecylia wyszła do miasta, a gdy wróciła, już nie rozstały się z Madzią do wieczora.

O dziewiątej Madzia odwiozła przyjaciółkę na kolej, gdzie pożegnały się płacząc i obiecując jak najczęściej pisywać do siebie.

— Nie mogę pogodzić się z myślą — mówiła Madzia — że dobrowolnie zamykasz się w klasztorze... w więzieniu...

— Bo nie wiesz, jak świat może zmęczyć i nie pojmujesz, jaką ulgę sprawia to uczucie, że się jest bliższym wieczności...

— Gdybyż choć ona była ta wieczność! — szepnęła Madzia.

— Nie wierzysz?... — spytała zdziwiona panna Cecylia. — A jednak ona jest...

Konduktorzy naglili do wsiadania i z trzaskiem zamykali drzwi wagonów.

— Bądź zdrowa, Cesiu!...

Panna Cecylia wychyliła się z wagonu i rzekła:

— Jest, Madziu... jest!...

Dzwonek — świstawka... pociąg ruszył.

— Bądź zdrowa, Cesiu! — zawołała jeszcze raz Madzia.

— Jest!... jest!... — odpowiedział jej słodki głos na tle zgiełku odlatujących wozów.

„Jest... jest... fosfór, tłuszcz, żelazo i — nicość!... myślała Madzia.—Ale co tam... wszystko jedno, byle w tem życiu zakosztować szczęścia...“

Nazajutrz, prawie w chwili, kiedy Madzia my-

ślała, co się też dzieje z panem Kazimierzem? — przyszedł on sam. Punkt o szóstej wieczorem zapukał do drzwi, przywitał się jakby nieśmiało i znowu ofiarował Madzi piękną różę amarantową.

Madzia zarumieniła się, spostrzegłszy dopiero teraz, że na stoliku stoi jeszcze pierwsza róża, bardzo zwiędła, bladej barwy. Gdyby kto inny obdarzał ją tak gwałtownie potęgującemi się barwami, może zerwałaby z nim stosunki. Ale pan Kazimierz, posiadający całkowite jej zaufanie, tylko zaciekawiał ją.

„Co to będzie...“—myślała, śmiejąc się w duchu.

Była pewna, że będzie to coś niewinnego i poetycznego. Czyliż nie zastępowała mu siostry i matki? A ponieważ sama miała plan zastąpienia mu siostry i matki, więc zdawało jej się, że cały świat powinien to zrozumieć, a najpierw pan Kazimierz.

— Myślałam, że pan wyjechał z Warszawy — rzekła Madzia.

Panu Kazimierzowi lekko drgnęły usta; myślano tu o nim!...

— Nie — odparł — ja powiem, co pani przypuszczała: że ja już porzuciłem nasz bank.

Madzia spojrzała na niego zdziwiona.

— Zkąd pan może o tem wiedzieć?...

— W pewnych warunkach budzą się w człowieku zdolności prorocze — odpowiedział, unikając spojrzenia Madzi. — Ale niech pani uspokoi się: już nie rzucę banku. Znalazłem tam nowe pole do obserwacyi.... nowy świat! I chwilami zdaje mi się, że los, napozór zrobił mnie kantorowiczem, jak Fourriera agentem handlowym. Naprawdę zaś postawił mnie w samym środku tej drogi, która była mojem powołaniem.

Madzia słuchała go z rosnącem zajęciem. To już nie był mężczyzna, który ją zaciekawiał; to był rozbudzony geniusz, nie przez nią niestety!

Z piersi jej wydobyło się stłumione westchnienie; pan Kazimierz mówił, przysunąwszy się do Madzi tak, że dotykał jej sukienki.

— Wstąpiwszy do naszego biura, znalazłem się, jakby powiedzieli poeci, w ognisku mroków świata, w laboratoryum dzisiejszych chorób społecznych.

Niech pani wyobrazi sobie, że mój pryncypał, dzięki stosunkom z zagranicą, no i telegramom, na kilkanaście albo i na kilkadziesiąt godzin wcześniej, niźli reszta śmiertelników, wie o spadaniu lub wznoszeniu się rozmaitych wartości pieniężnych. To pozwala mu kupować z zyskiem jedne papiery i sprzedawać z zyskiem, a przynajmniej bez straty, inne, rozmaitym biedakom, czy naiwnym, którzy nie otrzymują depesz z zagranicy.

Niech pani doda, że w specyalnej kancelaryi mego pryncypała roją się, jak muchy w jatce: lichwiarze, kupcy zbożowi, leśni, okowiciani, cukrowi i mnóstwo niewyraźnych figur, między któremi nie brak nawet pana Zgierskiego. Wszyscy ci ludzie, działający nibyto samoistnie i na własny rachunek, są tylko agentami naszego banku. Tam dostają instrukcye, według których kupują i sprzedają zboże, wełnę, domy, place, sumy spadkowe — wszystko, co pani chce. Nie zdziwiłbym się, gdyby w naszem biurze sprzedawano nawet kobiety do tureckich haremów i niewolników południowo-amerykańskim plantatorom.

U nas wszystko: kupione, sprzedane, wynajęte,

czy pożyczone, musi przynosić zysk i to nie byle jaki...

W tem miejscu opowiadania pan Kazimierz delikatnie ujął rękę Madzi, zasłuchanej, zapatrzonej i zdumionej.

— Ten pan bankier musi być bardzo zdolnym człowiekiem...—wtrąciła Madzia.—Więc ciągnie zysk ze swoich nadzwyczajnych zdolności...

— Nie pani, on wcale nie potrzebuje być zdolnym. On zarabia za to, że jego biuro jest zbiegowiskiem mnóstwa głupców, których kieszenie oporządzają łotry. To biuro jest podobne do lasu, do którego za pomocą przynęty zwabia się zwierzynę, ześwistuje się gończe psy i zawiadamia myśliwych. Myśliwi strzelają zające i dudki, psy dostają ochłapy, a mój pryncypał pobiera myto od zwierzyny za las, od myśliwych za polowanie, no i coś jeszcze oszczędza na ochłapach, wydawanych gończym.

To, proszę pani, nazywa się prowadzeniem interesów na wielką skalę. I to jest punkt — dodał z wybuchem — od którego zacznę, jako reformator społeczny...

Madzia patrzyła na niego z uwielbieniem, nie śmiejąc usunąć ręki, którą pan Kazimierz ściskał coraz czulej.

— Spostrzegłem — mówił dalej — jeszcze drugą kwestyę społeczną w naszem biurze. Pracuje tam w pokoikach, jak najdalej odsuniętych od frontu, kilka kobiet. Coś kleją, piszą, ekspedyują, rachują... Czy ja wiem zresztą, co one robią?...

Otóż jest rzecz ciekawa. Nasze koleżanki, jak to wiem od starszych urzędników, najwcześniej przy-

chodzą, najpóźniej wychodzą z biura, pracują jak mrówki, są punktualne, potulne i — w ogóle są wzorowymi oficyalistami. Za to, owe panie, mają... daleko mniejsze pensye, aniżeli ich poprzednicy, mężczyzni i biorą naprzykład 15 rubli, zamiast 30-tu, albo 25, zamiast 40-tu...

— Cóż to za niesprawiedliwość! — zawołała Madzia.

— Właśnie i tę sprawę podniosę kiedyś i wytłómaczę społeczeństwom: w jaki sposób wyzyskiwane, krzywdzone i okradane są kobiety...

— I do tej pory nikt nie zwrócił na to uwagi?... — pytała rozpłomieniona Madzia.

Pan Kazimierz zawahał się i skromnie spuścił oczy.

— No... tak źle nie jest... W Europie mówi się coś o operacyach bankierskich, zresztą... i o wyzysku kobiet...

— Tak... Mill o niewoli kobiet — wtrąciła Madzia.

— Ale u nas nikt o tem nawet i nie marzy...

— Aaa... owszem!... Panna Howard często wspomina o tem... Trzeba koniecznie, ażeby pan zbliżył się do niej... Ona właśnie gorąco zajmuje się takiemi niesprawiedliwościami...

Pan Kazimierz, zamiast odpowiedzieć, delikatnie dotknął kolanem sukni Madzi; ale suknia szybko cofnęła się, a jednocześnie z nią i ręka.

Pan Kazimierz nie zraził się tem; wiedział, że w podobnych wypadkach brutalna gwałtowność wszystko psuje, delikatna wytrwałość wszystko zdobywa. Kobieta jest jak wybrzeże, które woda pod-

mywa cal po calu, subtelnemi dotknięciami i cofaniem się po to, ażeby znów powrócić.

— Cieszę się bardzo — rzekła lodowatym głosem Madzia — że pana tak zajmuje praca biurowa. Wyobrażam sobie, jak szczęśliwą byłaby mama pana, słuchając tych pięknych spostrzeżeń...

„Obojętność!... Już nawet i mama wjeżdża na na scenę!... — myślał pan Kazimierz. — Szkoda, że biedactwo nie może jeszcze powołać się na honor męża, którego, niestety! nie ma i na swoją wierność dla niego...“

— Bardzo... bardzo cieszę się!... — powtarzała Madzia, którą uparte milczenie pana Kazimierza wprowadzało w wielki kłopot.

Nerwowym ruchem podniosła się z kanapki i wyjrzała oknem.

— Już słońce zachodzi — rzekła. — Jak też ten czas leci...

Było to pokazanie drzwi, nawet niezbyt delikatne. Ale pan Kazimierz, zamiast martwić się słowami Madzi, patrzył na jej błyszczące oczy i rozognioną twarzyczkę i — powstawszy, życzył jej dobrej nocy.

Chciał ją pocałować w rękę, ale nie pozwoliła.

„Oho!... — myślał, zbiegając ze schodów. — Wyrzuca za drzwi... nie pozwala całować się w rączkę... Prędko idziemy naprzód...“

Na drugiem piętrze pan Kazimierz minął idącego na górę pana Pasternakiewicza, który, zatrzymawszy się na schodach, wyjrzał za nim przez poręcz i mruknął:

— Fiu!... już pan Norski tu krąży?... Czy jest do odebrania jaka sukcesya?...

Kiedy pan Kazimierz wyszedł, Madzia odwróciła się do drzwi. Tętna mocno biły jej w skroniach, bolały ją oczy; paliła twarz, ale — serce było spokojne.

Madzia zrozumiała, że pan Kazimierz chce ją wprowadzić do tego nieznanego kraju, który, od kilku dni, ukazywał się jej w chaotycznych marzeniach, ałe — była tem raczej zdziwiona, aniżeli wzruszona. Gdyby Solski, otwierając przed nią tajniki swej duszy, tak mimowoli ściskał ją za rękę, tak machinalnie dotykał jej sukni, chyba — zemdlałaby...

Ale Solski, nigdy nie zwierzał się, ani wykradał uścisków i dotknięć. I w tej chwili zdawało się Madzi, że ten Solski odleciał od niej gdzieś bardzo wysoko nad poziom, na którym ona została z panem Kazimierzem, delikatnie tulącym się do jej sukni.

„Ale to genialny człowiek!... — pomyślała Madzia o panu Kazimierzu. — Jaki genialny!... Jakie nadzwyczajne odkrycia porobił w tym kantorze...“

Całą noc śnił się jej Solski i pan Kazimierz. Pan Kazimierz ściskał ją za rękę, trącał kolanem i opowiadał o jeszcze nadzwyczajniejszych swoich odkryciach; Solski zaś stał na boku i, trzymając ręce w kieszeniach (jakie złe wychowanie!), patrzył z litością na pana Kazimierza.

Madzia obudziła się, prawie rozgniewana na Solskiego. Bo, że ktoś ma pieniądze, to jeszcze nie powód, ażeby drwił z ludzi ubogich, lecz genialnych, którzy myślą o zdemaskowaniu operacyj bankierskich i wynagrodzeniu krzywd pracującym kobietom. Lecz, gdy wyszła na lekcye, zapomniała i o złośliwości Solskiego i o przyszłych reformach pana Kazimierza.

Po obiedzie, na którym był pan Pasternakiewicz i od czasu do czasu obrzucał Madzię spojrzeniami nieokreślonego znaczenia, pani Burakowska wybiegła na korytarz za swoją stołowniczką i wciskając jej do ręki jakiś bilet, rzekła:

— Szukała tu dziś pani ta kobieta i zostawiła swój adres.

— Cóż to za jedna? — spytała Madzia, przeczytawszy adres: Nikodema Turkawiec, ulica... numer...

— Jakaś ordynarna kobieta — mówiła pani Burakowska. — Szafirowa suknia jedwabna, indyjski szal żółty w pąsowe i zielone kwiaty, kapelusz z piórem, a przy tem wszystkiem parasolka płócienna!... Możnaby przypuszczać, że, dla zdobycia takiej dziwnej garderoby obdarła kilka majętnych pań... Tłusta, grube rysy...

— Ale kto ona jest i czego chce? — spytała Madzia. — Ja nigdy nie słyszałam podobnego nazwiska...

— Mówi — ciągnęła pani Burakowska — że u niej od maja mieszka jakaś... panna, bardzo biedna...

— Może Stella?... — wykrzyknęła Madzia, uderzając się w czoło.

— Właśnie mieszka u niej panna Stella — mówiła pani Burakowska szczególnym tonem. — Mieszka, ale już od dwóch tygodni nie płaci i jest prawie konającą. Ta pani Turkawiec chciała ją oddać do szpitala... Wówczas jej lokatorka i pacyentka, bojąc się szpitala, wysłała ją do pani do pałacu Solskich...

— Muszę natychmiast pójść... — rzekła Madzia.

— Sama?... — spytała gospodyni. — Pani Turkawiec jest... akuszerką — dodała cicho.

— Ach, wszystko mi jedno! — odparła rozgorączkowana Madzia.—Więc ona taka chora... więc tam taka bieda!... Ileż winna tej pani!...

— Winna jest ośm rubli, a bieda taka, że już niema za co kupić półkwarty mleka, ani usmarzyć kawałka polędwicy. Felczer, który z litości leczy chorą, kazał jej pić wino...

— Idę natychmiast — przerwała Madzia.—Może mi pani zmieni dwadzieścia pięć rubli na drobne... Mój Boże! zkąd ja dostanę wina dla tej biedaczki?...

W tej chwili otworzyły się uchylone drzwi i na korytarz wyszedł pan Pasternakiewicz.

— Czystego wina — rzekł — dostanie pani u Fukiera, u Krzymińskiego, u Lesisza... Jeżeli jednak pani pozwoli, ja mogę tymczasem służyć butelką i... odprowadzę panią tam...

— Owszem — prędko odparła Madzia. — O wino, jeżeli pan łaskaw, proszę, ale tam pójdę sama... Jestto blizko od nas i chora może krępowałaby się...

Wnet pani Burakowska zmieniła 25 rubli, a pan Pasternakiewicz, z eleganckim ukłonem, wręczył Madzi butelkę istotnie dobrego wina, które ocenił na dwa ruble i, jako człowiek pięknie wychowany, przyjął zapłatę. Pani Burakowska ze ściśniętem sercem pomyślała, że wino warte jest ze cztery ruble.

W kwadrans później Madzia znalazła się w ulicy, wskazanej na bilecie pani Turkawiec.

Był to pusty zakątek, w którym najwięcej ruchu sprawiały goniące się psy. Przeważały tu parkany, gdzie niegdzie opatrzone napisem: plac do sprze-

dania. Wznosiło się jednak i parę kamienic, tudzież, otoczony zębatym murem, pałacyk w stylu warszawskiego renesansu.

Pani Turkawiec mieściła się na facyatce drewnianego domku, który miał ściany czekoladowe, ramy okien białe, brudno-żółtą bramę i zielone okienice. Na dole był sklepik, mieszkał szewc i dorożkarz: przy bramie jaśniała tablica z napisem: „akuszerka na pierwszem piętrze.“

Z wielkim strachem, po schodach, przypominających zepsutą drabinę, Madzia wdrapała się na facyatkę i, oko w oko, spotkała się z damą ubraną w krótką spódniczkę, tudzież lekki kaftanik barwy rozpaczliwej.

— Czy zastałam panią Turkawiec?

— Ja jestem... A do kogo panienka?... Bo u nas przedewszystkiem sekret...

— Pani szukała mnie dzisiaj... Zdaje się, że tu mieszka panna Stella?...

— Tu... tu!... Mieszka, ale nie płaci... do szpitala iść nie chce, a lada dzień zamrze mi... mówiła pani Turkawiec. — Takie są moje zarobki!... Piętnaście rubli miesięcznie, wszelkie wygody, sekret jak na świętej spowiedzi i jeszcze nie płacą...

— Ileż ona winna pani?... — spytała Madzia.

— Proszę pani ośm rubli... A za umieszczenie dziecka, a felczerowi, który wart jest dziesięciu doktorów, a moja fatyga, co latam za panienką już dwa dni...

Lamentująca w ten sposób, pani Turkawiec nie wyglądała na złą kobietę. Madzia wręczyła jej dziesięć rubli, za co czcigodna specyalistka pocałowała

ją w rękę i oświadczyła gotowość spełnienia wszelkich rozkazów.

— Gdzież jest chora, panna Stella?... — spytała Madzia.

— Tu... zaraz... dałam jej osobny pokoik... Bo ja, panunciu, jak widzę osobę z edukacyą, tobym jej nieba przychyliła... Kaśka, albo Maryśka, proszę panunci, to może gdziekolwiek... i na drugi dzień pójdzie do roboty. Ale dama z edukacyą... ach, panunciu!... U mnie, panunciu, to czasami i hrabiny mieszkają... Co dziwnego? Książę, nawet biskup, może nogę złamać. Tak i z tem... O tu, paniusiu... Ale że też Pan Bóg zlitował się nad biedaczką, choć w ostatniej chwili!...

— Ona taka chora?

— Proszę panunci, co tu dużo gadać?... Dziś albo jutro stanie do miary! Gdyby tak ciężko chorował bogaty człowiek, już byliby tu panowie z trzech kantorów i mówiliby: moja pani Turkawiec, jak tam tego... ten... niech pani da zaraz znać, a nie będzie pani żałowała. Ale że kona biedactwo, to nawet karawaniarz wolałby stanąć do wożenia śmieci, niż tu... Ach, panunciu — prawiła jejmość, znowu całując Madzię w rękę — biednego nawet święta ziemia płycej bierze, i w kilka lat oddaje kości na cukier. Ja też, mówię panunci, od kiedy dowiedziałam się o tem, pijam herbatę bez cukru...

Pani Turkawiec wypowiadała swoje nieskończenie długie traktaty, przy spadzistych schodach, nie spiesząc się z otwieraniem drzwi do apartamentów. Wreszcie otworzyła.

Mrok, brud, ciasnota i zaduch, były pierwszemi

wrażeniami Madzi przy wejściu do tego szczególnego zakładu. Jednym rzutem oka spostrzegła, że znajduje się na poddaszu, zapełnionem przez dwa szeregi kletek, przypominających żydowskie kuczki.

W tej chwili pani Turkawiec, schwyciwszy za jakiś kołek, szarpnęła go i otworzyła drzwiczki, które odsuwały się, jak w korytarzowych wagonach.

Madzia ujrzała kletkę o tyle długą, że mieściło się w niej łóżko, a o tyle wązką, że ledwie można było przejść między łóżkiem i przeciwległą ścianą. Znajdowało się tu tylko pół okna (druga połowa należała do sąsiedniej kletki), stolik zastawiony flaszkami po lekarstwach (które miały zapach spirytusu) i proste krzesełko. Ze ściany nad łóżkiem zwieszały się strzępy papierowego obicia; zaś przepierzenie było oklejone gazetami i rysunkami, wyciętemi z pism ilustrowanych. Na łóżku leżała chora, zwrócona głową do okna.

— To pani?... — spytała chora. — Ach, jaka pani dobra!...

Gorąco i pomimo otwartego okna, mdły zapach pieluszek, odurzyły Madzię. Widziała ona nędzę, ale w formach nie tak wstrętnych. Zaduch, stękanie dolatujące niewiadomo zkąd, ciche mlaskanie obok, śmiechy i jedzenie naprzeciw... A wśród tego wszystkiego kobieta przezroczysta jak bielony wosk, w brudnym czepku i koszuli, pod podartą kołdrą, z której wyłaziła wata, nabita kurzem...

Opanowawszy pierwsze wrażenie Madzia przypatrywała się chorej. Rzeczywiście była to Stella.

— Co się z panią dzieje?... — rzekła nareszcie Madzia.

— Chora jestem... Ach, jaka pani dobra!... Ach, jaką ja mam prośbę do pani... Co to za flaszka?... Wino?... Czy to dla mnie?...

Stella opadła na poduszkę, wyciągając przed siebie alabastrowe ręce.

Madzia szybko odkorkowała butelkę i podała chorej trochę wina w kubku, oddawna niemytym.

— Jeszcze odrobinkę!...

Madzia dolała.

— Jeszcze... jeszcze... niech pani naleje z pół kubeczka... Taki malutki!... Aaa... cóż to za wino... Życie mi wraca...

Mówiąc to, Stella podniosła się i usiadła na łóżku, które skrzypiało za każdym ruchem. Biała twarz chorej pokryła się delikatną barwą róży, oczy nabrały połysku, a spieczone usta koralowego koloru. Była prawie piękna wśród zaduchu i brudów.

W dalszej kletce rozlegały się rozdzierające jęki.

— Zaraz... zaraz... — zawołała pani Turkawiec, i pobiegła w tamtą stronę ode drzwi Stelli.

— To nic!... — rzekła z uśmiechem Stella, patrząc na przerażoną Madzię. Potem, schwyciwszy ją za rękę, zaczęła szeptać do ucha:

— Ja nie jestem taka chora... Ja tylko udaję, ażeby stara nie odesłała mnie do szpitala...

— W szpitalu byłoby pani lepiej — rzekła Madzia.

— Gdybym mogła płacić!...

— Zapłaci pani... Dadzą pani osobny pokój... Ja wreszcie mam znajome zakonnice...

— A, jeżeli tak... — odparła Stella, wciąż uśmie-

chając się. — Ale w takim razie niech mnie odeszlą do Dzieciątka Jezus... Tam jest moja córeczka...

Madzia wstrząsnęła się, oburzona naiwnym bezwstydem chorej, która mówiła prawie wesoło:

— Właśnie o nią chciałam prosić, o moją córeczkę... Czyby państwo Solscy, tacy bogaci, nie przeznaczyli coś na jej wychowanie?... W takim razie możnaby je odebrać od Dzieciątka Jezus... Ach, pani, nie dla siebie proszę... dla niej.... Przecież ona niewinna temu, że nieszczęśliwa matka nie może jej dać opieki... Niech pani to zrobi... Pani podobno ma taki wpływ na Solskich...

— Ale jakże ja ją poznam? — odparła Madzia, której nagle przyszła do głowy nowa myśl.

— Poznać łatwo... — szeptała Stella. — Oddano ją tam przed miesiącem... Ach, przez dwa dni myślałam, że oszaleję, nie mając o niej żadnej wiadomości!... Niech pani zapyta się o dziewczynkę, którą miesiąc temu znalazł stójkowy obok poczty... Miała na szyi krzyżyk ze złotego druciku... przy sobie flaszeczkę mleka ze smoczkiem, a do koszulki przypiętą kartkę: „Ochrzczona z wody, nazywa się Magdalena...“ Na pamiątkę pani tak ją nazwałam... Kiedy ją ztąd wynieśli zaczęłam gryźć palce, bić głową o ścianę i krzyczeć, jak tamta...

Jęk w dalszym kącie wzmagał się i modulował; we wszystkich kletkach słychać było zaniepokojenie. Madzi zimny pot wystąpił na twarz.

— Proszę jeszcze wina... można?... O, gdybym ja ztąd wyszła!... — mówiła Stella. — Ale cóż, jestem winna ośm rubli...

— Już zapłacone — przerwała Madzia — a oto... tymczasem...

I wsunęła chorej pod poduszkę trzynaście rubli.

— Droga!... święta!... — zawołała chora z płaczem i zaczęła całować ręce Madzi. — Ale ja to tylko pożyczam... zwrócę... przysięgam, że zwrócę... i to... i tamto, co pani wyda na malutką...

Znowu upadła na poduszkę i zaczęła dyszeć, chwytając się za piersi i z najwyższą trwogą patrząc w oczy Madzi. Po chwili atak przeszedł, chora uspokoiła się i mówiła dalej.

— W szpitalu nie chcę być długo... O, gdybym ja mogła na wieś!... Jestem pewna, że w tydzień odzyskałabym siły i zrobiłabym furorę w świecie... Dobijałyby się o mnie wszystkie sceny... bo nie ma pani pojęcia, co się stało z moim głosem... Kiedy tu raz zaśpiewałam parę taktów: „Gdyby rannem słonkiem...“ stara i jej pacyentki zrobiły mi owacyę... Cóż to za głos cudowny!.. rozpłakałam się jak dziecko...

— Ale niech pani nie męczy się... — nieśmiało wtrąciła Madzia.

— Mnie to wcale nie męczy... nic, ale to nic!..— prawiła rozgorączkowana Stella, na której twarz wystąpiły ceglaste wypieki, a usta przybrały barwę karminu. — Tydzień na wsi i... zobaczycie... Za każdego rubla, który winnam komu, oddam sto... Europę... Europę oblecę... i znowu będę szczęśliwa, jak niegdyś...

— Była pani szczęśliwa?... — spytała zdziwiona Madzia.

— O, i jak!... Czyliż mogłabym tu wyżyć, gdyby wspomnienia nie ozłacały mi tej okropnej nory...

Ale ja tu nie widzę obrzydliwych ścian, ani drzwi, jak w pułapce... Widzę pełne sale słuchaczy... przelatujące bukiety... zachwycone twarze mężczyzn... grymasy kobiet, które mi zazdroszczą... A te oklaski... bis!... bis!... Stella bravo!... A ten mój tyran, który zawsze zazdrościł mi powodzenia... Ach, pani, ty nie wiesz, co to znaczy być artystką!... To jest taki piękny świat, takie niebo... że gdy człowiek raz je zobaczy, może później dźwigać całe lata niedoli... Ach, jeden rok powodzenia na wielkich scenach i potem... niech już umrę... w ostatnim akcie... pod bukietami...

Rzuciła się na łóżku i nagle rzekła:

— Pani... niech pani słucha... usłyszysz coś, za co obsypanoby mnie złotem...

I zaczęła nucić, bardzo słabym, ale i dziwnie miłym głosem:

„Raz od swej lubej... pewien król... Za to... że jej wiernym... został... szczerozłoty puhar...“

Zamknęła oczy i ucichła. Jednocześnie ciężko odsunęły się drzwi i weszła pani Turkawiec, mówiąc:

— Niech-no pani nie wyrabia krzyków...

— Ależ ona zemdlała!...—rzekła przestraszona Madzia.

Pani Turkawiec pochyliła się nad chorą i odparła:

— I i i... nie... Zasnęła. Ona mi tu lada dzień zaśnie na fajn...

— Trzeba ją odwieźć do szpitala — szepnęła Madzia. — Niech pani zajmie się tem... ja koszta zwrócę...

Pani Turkawiec, patrząc na Madzię, kiwała głową.

— Najpierwej — mówiła wcale nie zniżonym głosem — żaden szpital jej nie weźmie. Po drugie... nie dojedzie, a po trzecie, ona i tu umrze lada godzina...

Madzia, już nie mogąc opanować siebie, wysunęła się z kletki na schody, a za nią pani Turkawiec.

— Ona czuje się nieźle — rzekła Madzia, odpocząwszy chwilę.

— Co to warta taka niezłość, proszę panunci— odparła gospodyni zakładu. — Przecie ona nie ma już ani kawałątka płuc!... Człowiek podtrzymuje ją swoją sztuką, ale już mi i żal jej męczeństwa... Ona tygodnia nie wytrzyma...

Ponieważ Madzia uczuła lekki dreszcz, więc pożegnała uprzejmą gospodynię, obiecując powrócić nazajutrz. Na znak głębokiego szacunku, pani Turkawiec, wziąwszy ją pod rękę, ostrożnie zaczęła sprowadzać ze schodów.

— To na nic interes, panuńciu!... — mówiła gospodyni. — Kiedy ona śpiewa, to już jest całkiem nieprzytomna, a kiedy jest przytomna, to także nie ma spełna rozumu... Tydzień, dziesięć dni i po wszystkiem... Polecam się łaskawej pamięci... Od świętego Michała przeniosę się do tej oto kamienicy... Całuję litościwe rączki!...

Madzia czuła tak straszne zgnębienie, że znalazłszy się na ulicy, postanowiła wcale nie myśleć ani o Stelli, ani o zakładzie pani Turkawiec.

Nie myśleć... nic zgoła nie myśleć o okropnych rzeczach, tylko — działać.

Podczas rozmowy ze Stellą, przyszła Madzi na pamięć staruszka szarytka, którą poznała w domu państwa Korkowiczów — matka Apolonia. Nie odwiedziła jej wtedy, pomimo serdecznych zaprosin; więc odwiedzi ją dziś i zaklnie na pamięć swojej babki Wiktoryi, ażeby zakonnice zaopiekowały się Stellą i jej córeczką.

Pieniędzy dostarczy ona sama, Madzia... Sto, choćby dwieście rubli... choćby nawet całą sumę, jaką dla niej przeznaczył ojciec. Ale ani wydobyć chorej z tej jaskini, ani opiekować się nią i jej dzieckiem — nie potrafi.

Madzia pierwszy raz w życiu spotkała się z zagadnieniem, stanowczo przechodzącem jej siły, rozum i odwagę. Serce zawsze ciągnęło ją do biednych i opuszczonych; ale ten rodzaj niedoli, jaki spotkała u pani Turkawiec, obudził w niej nieopisaną trwogę i odrazę.

Jeżeli gdzie, to tam, wśród zaduchu, jęków nieznanej kobiety i bredzenia dogorywającej śpiewaczki, zrozumiała w całej pełni filozofię pana Kazimierza, że człowiek jest zbiegowiskiem cząstek tłuszczu, fosforu i żelaza, które rozsypią się w nicość: Muszą rozsypać się w nicość! Kto chce to zrozumieć, niech nie szuka ludzkości zdrowej, pracującej i uśmiechniętej, ale niech patrzy na tę ludzkość, która daje początek nowemu życiu wśród jęków, albo kona, śpiewając w gorączce i marząc o tryumfach.

Z rozmyślań obudził Madzię znajomy głos:

— Moje uszanowanie!... Dzień dobry! Jakże się

miewa droga pani?... Cóż sprowadziło panią na to odludzie, do ubogich i pochylonych domków?... Domyślam się, domyślam... O, święte uczucie miłosierdzia!...

Madzia otrzeźwiała. Przed nią, z odkrytą głową, stał Zgierski i czule ściskał jej rękę.

— Byłam tu u jednej ciężko chorej, a teraz jadę do świętego Kazimierza — odparła Madzia. — Jakby się tam dostać najkrótszą drogą?...

— Odprowadzę panią... — mówił Zgierski. — Któż jest ta chora?... Może moje stosunki...

Na rogu ulicy stała dorożka. Madzia spostrzegłszy ją, podziękowała Zgierskiemu za chęć odprowadzenia jej i — kazała wieźć się na Tamkę.

Pan Zgierski chwilę postał, popatrzył za odjeżdżającą; potem jeszcze raz wyjrzał za dorożką i — zawrócił w stronę domku, z którego wyszła Madzia. Lubił być dokładnie informowanym nawet w drobiazgach.

XIV.

Spacer.

Po kilkunastominutowej podróży, która wydawała się Madzi nieskończoną, dorożka zaczęła zjeżdżać na dół Tamki. Minęli gmach konserwatoryum i zatrzymali się naprzeciw krótkiej uliczki, zakończonej bramą, na szczycie której wznosił się żelazny krzyżyk.

— Tu — rzekł dorożkarz.

Madzia wysiadła, a minąwszy nieforemny dziedziniec, weszła do gmachu o powierzchowności więzienno-szpitalnej.

„Straszne tu musi być życie!...“ — pomyślała.

W sieni wyszła naprzeciw niej młoda szarytka, pytając: czego sobie życzy?

— Chciałabym zobaczyć się z matką Apolonią.

— Czy ma pani... jaką prośbę?

— Nazywam się Brzeska, jestem znajomą matki Apolonii — odpowiedziała Madzia rozdrażnionym tonem, spostrzegłszy, iż gotowi posądzić ją, że przyszła po wsparcie.

— W poczekalni jest w tej chwili kilka osób — odparła szarytka. — Ale, jeżeli pani znajoma matki Apolonii, to możemy pójść do niej.

Poszła prędko naprzód, Madzia za nią, przez korytarze, na schody i ze schodów. Wstępowały do kilku sal, lecz matki Apolonii nie było. Przez ten czas Madzia oglądała się w nowem otoczeniu. Uderzyła ją zadziwiająca czystość, obrazy na ścianach, małe ołtarzyki w salach i napisy nad niektóremi drzwiami:

„Bóg na nas patrzy!“

— Musimy zajrzeć do ogródka — rzekła zakonnica.

A gdy znalazły się tam, przeprosiła Madzię, że ją na chwilę opuści.

Ogródek wydawał się niezbyt wielkim, ani zasobnym, ale jakiż kontrast tworzył z lokalem pani Turkawcowej! Tam gorąco i zaduch, tu — chłodne powiewy, nasycone wonią roślin; tam ciasnota, tu zieloność, na tle której nie raziły nawet budynki

w stylu szpitalnym. Tam śpiew Stelli, albo jęki nieznanej chorej, tu cisza... Nie, słychać świergotanie ptaków i wesoły śmiech dzieci, płynący niewiadomo zkąd.

Przy łóżku śpiewaczki, Madzia ciągle widziała, na lewo od siebie, między pożółkłemi gazetami, które przysłaniały ścianę, brudny drzeworyt, przedstawiający nimfy w kąpieli. Lecz gdy tu machinalnie spojrzała w lewo, spostrzegła krzyż, który wyrastał z pagórka, zasianego kwiatami i prawie na obłokach opierał ciemne ramiona.

Spokojny ten obraz, jak błyskawica rozświetlił wspomnienia Madzi. Zdawało jej się, że widzi swoje dzieciństwo i że ona, ta, która jest tu, nie jest dalszym ciągiem dziecka, które żegnało się na widok klasztornych murów i klękało pod krzyżami, lecz jakąś inną osobą. Przyszło jej na myśl, że tamto, pobożne dziecko, już umarło—i uczuła ciężar, który powoli zsunął jej się na serce.

W tej chwili ukazała się młoda zakonnica.

— Niech pani będzie łaskawa ze mną do poczekalni — rzekła, wciąż nie podnosząc oczu. — Matka Apolonia zaraz przyjdzie.

Znowu wróciły na korytarz, poczem zakonnica wprowadziła Madzię do niewielkiej sali.

Zostawszy sama, Madzia uczuła nieokreśloną trwogę. Przerażał ją sklepiony sufit, grube mury, białe ściany sali, a nadewszystko Chrystus, który z małego krzyża jakby patrzył na nią i rozmyślał. Rozdrażnionej Madzi zdawało się, że zaraz usłyszy łoskot ciężkiej furty klasztornej, która na zawsze odetnie ją od świata. Zbliżyła się do okna, a w tej

chwili cicho otworzyły się drzwi i odezwał się za nią głos łagodny:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Przypomniałaś sobie nareszcie, ażeby mnie odwiedzić, niedobra? A ja od pół roku spodziewam się twojej wizyty.

Madzia ucałowała ręce czerstwej i uśmiechniętej staruszki i dość niezręcznie tłómaczyła się z zapomnienia.

— No, no, nie gniewam się — uspokoiła ją matka Apolonia. — Siadajże. Wy, kobiety światowe, zbyt wiele macie interesów, ażebyście mogły pamiętać o przyjaciółkach waszych babek. Cóż cię do nas sprowadza?...

Madzia opowiedziała o Stelli, o jej chorobie, o dziecku i obecnem miejscu zamieszkania i prosiła dla niej o pomoc.

Szarytka zacierała ręce, potrząsając niekiedy wielkim kapeluszem.

— Oj ty... ty!...—rzekła, grożąc palcem Madzi.— Nie darmo już doszły nawet do nas pogłoski, że jesteś zagorzałą emancypantką. Co za szczególne masz znajomości. Naturalnie, że musimy zaopiekować się tą nieszczęśliwą i owocem jej grzechu, ale cóż to za kobieta!... Pewnie, Bóg wie od kiedy, nie spowiadała się. A ty, zamiast pomyśleć o jej duszy, zaniosłaś wino, nie pytając nawet lekarza o zdanie.

— Przypuszczałam... — wtrąciła Madzia.

— Że umierającemu bardziej przyda się wino, niż pojednanie z Bogiem — przerwała szarytka, a cień padł na jej twarz łagodną. — Te panie z waszego obozu, czy sekty — znowu ciągnęła — wiele mówią

o prawach kobiet, ale całkiem zapomniały o prawach boskich. Potem dzieci oddają do szpitala, a same umierają w domach kobiet wątpliwej wartości.

— Pani gniewa się na mnie...

— Gdzieżby znowu! — odparła szarytka, śmiejąc się i ściskając Madzię. — Masz rysy twojej babki, Felicissymy, a to mi wystarcza. Choćbyś nawet i poszła kilka kroków za nowym prądem, powrócisz.

— Pani sądzi, że takie powroty są możliwe?...

Szarytka podniosła głowę i z uwagą spojrzała na Madzię. — Zamyśliła się i odparła prawie uroczystym głosem:

— Nie mów tak. Bo gdy człowiek nie umie sam powrócić, Bóg zastępuje mu drogę...

Madzię przebiegł zimny dreszcz i pobladła.

— No, ale co tam — rzekła szarytka znowu łagodniej, spostrzegłszy zmianę w twarzy Madzi. — Do tej nieszczęśliwej zgłosi się kto jeszcze dzisiaj i przekona się, co można zrobić. Zostaw mi jej adres. Jeżeli zaś chcesz zobaczyć te biedne dzieciątko, dam ci bilet.

Madzia powiedziała adres Stelli; szarytka wyszła i niebawem wróciła z kartką.

— Oddaj to siostrze Maryi, u Dzieciątka Jezus, a ona cię poinformuje.

Madzia ucałowała ręce staruszki.

— Przychódźże tu czasem—mówiła szarytka.— Już nie będę cię strofować za poglądy, czy tylko nieostrożne słowa. Ale widzisz, jestem stara kobieta i, choć mniszka, jednak dużo widziałam na świecie. Mój kornet nie zasłaniał mi oczu. Nie jedna uwaga może ci się przydać; tembardziej, że, bie-

daczko, pracujesz sama na siebie, zdala od matki... Do widzenia.

Ucałowała Madzię, przeżegnała i wyprowadziła do sieni.

— Przyjdź tu czasem...

„Dziwny... cóż to za dziwny świat!“ myślała Madzia, prędko biegnąc do furtki. Była tak odurzona, rozdrażniona, że lękała się, ażeby, wedle słów szarytki, krzyż, stojący za murem ogrodu, nie zeszedł z kwiecistego pagórka i nie zastąpił jej drogi.

Kiedy zmęczona wróciła do swego mieszkania, nie mogła nadziwić się, że jest u siebie i że wybiła piąta. Więc dopiero dwie godziny, jak ona wyszła z domu, do Stelli?... Nie, to chyba miesiąc już upłynął, a może i rok!... Bo czy podobna w ciągu dwu godzin, napotkać tyle kontrastów, odczuć tyle i tyle przeżyć co ona?...

Właściwie nawet nie widziała ani zbyt wielu, ani nadzwyczajnych rzeczy. Chorą i — szarytkę, zakład pani Turkawiec i — ogródek klasztorny; Nimfy między wyblakłemi gazetami i — krzyż wśród zieloności. Jakim sposobem kilka tych przedmiotów zbudziło w niej tyle wrażeń, jakby każdy był całym światem?... I czy podobna, ażeby parę godzin podzieliło się na mnóstwo odrębnych kawałków czasu, z których każdy rozrósł się prawie w stulecia? Rozmowa z panią Turkawcową na schodach — jedno stulecie... Pobyt u Stelli — tysiące lat... Podróż dorożką — znowu stulecie... Dziedziniec, poczekalnia w klasztorze, rozmowa z matką Apolonią chyba wieczność!...

Siedząc na twardej kanapce, Madzia marzyła. Przed oczyma jej duszy przesuwały się kolejno dwa

obrazy: alabastrowa twarz chorej na tle brudnego posłania i dobroduszne oblicze zakonnicy w sklepionym pokoju; jęki nieznajomej kobiety za szeregiem przepierzeń i śmiech dzieci, ukrytych w ogrodzie. W obrazach tych zdarzały się jakieś przemiany: raz widać było na dziedzińcu klasztornym Stellę, to znowu w lokalu pani Turkawcowej szarytkę. Stella w nowem otoczeniu była smutniejsza, lecz wyglądała zdrowiej i szlachetniej; ale zakład pani Turkawcowej, w obecności szarytki, rozpływał się jak mgła. Cichnął jęk, nie było słychać mlaskania, znikały obrzydliwe ściany, a na miejscu kąpiących się Nimf ukazywał się krzyż, oparty stopami na kwiatach, ramionami w obłokach.

Potem, niewiadomo zkąd, pojawił się tam cień Solskiego. On także był litościwy, ale i surowy, jak zakonnica; w jego mieszkaniu także panowała klasztorna cisza, a z okien widać było ciemne pnie drzew, uwieńczonych zielonością.

A ona, a Madzia, czemże jest? Czy jej ciasny pokoik nie przypomina komórki, w której leży Stella?... Upał taki sam, kuchenne swędy warte tamtejszego zaduchu, a ciągłe warczenie niewidzialnej machiny do szycia, czy mniej ją drażni, aniżeli jęki chorej?...

„Co ja zrobiłam... co ja zrobiłam?... — myśli Madzia i dodaje z rozpaczą: — Po co ja wyjechałam z Iksinowa?...“

Ach, gdyby z dusznej Warszawy można było uciec na wieś... Gdyby można zasnąć i nie obudzić się, a przynajmniej — zapomnieć o tych męczących widziadłach!

Po szóstej zapukano do drzwi i ukazał się pan Kazimierz. Na jego widok Madzia krzyknęła z radości. Znalazł się nareszcie człowiek rzeczywisty, nie widmo. Był tak nieoczekiwany, tak nowy na tle jej marzeń, a nadewszystko niczem nie przypominał ani Stelli, ani szarytki...

— Byłbym szczęśliwy z powitania — rzekł pan Kazimierz — gdyby nie ten szczególny wyraz, jaki dostrzegam w oczach pani... Co to znaczy?... Miała pani zmartwienie?...

— Czy ja wiem, jak to nazwać! — odparła Madzia. — Chyba jestem zdenerwowana...

— Najmilszemi są kobiety zdenerwowane.

— Tak?... Ale niech pan zgadnie, gdzie byłam!..

— Na lekcyi?... Ba, może u panny Ady...

— U szarytek — odparła Madzia. — Do tej pory nie mogę się uspokoić...

— Cóż panią tak wzruszyło? Nie przypuszczam, ażeby chciano panią gwałtem zamknąć w klasztorze.

— Wzruszył mnie sam klasztor, jego krzyże, cisza... Panie Kazimierzu — mówiła Madzia z zapałem — w tem coś jest... jest jakaś nieokreślona siła, którą nazwałabym świętością... Bo czemże innem wytłómaczy pan dziwny wpływ, jaki na nas wywiera klasztor?

— Jak na kogo — odparł pan Kazimierz. — Widziałem we Włoszech kilka klasztorów, mówiąc nawiasem, prześlicznych jako budowle. I wyznaję, że mnie rozmarzyły...

— A widzi pan!... Jest w nich coś nadziemskiego...

— Nie, pani, nic nadziemskiego, ale jest coś — nie

współczesnego. Klasztor, z potężnemi murami, gęstem okratowaniem okien, celami, w których surowe mnichy śpią na deskach, uprzytomnia mi epokę stalowych pancerzy, zamków otoczonych zębatemi ścianami, zakapturzonych biczowników i narzędzi średniowiecznych tortur. Na widok tego rodzaju zabytków, w umyśle widza powstaje wątpliwość: gdzie ja jestem i czem jestem?... Powstaje wrażenie dwoistości; człowiek czuje się na granicy dwu światów, z których jeden jest rzeczywistym, drugi fantazyą, legendą, obleczoną w dotykalne formy. Ta uzmysłowiona legenda rozmarza nas, a obraz rzeczy dawno zmarłych, mających pozory życia, napawa melancholią. Ale po za melancholijnemi marzeniami, które nawet mogą zdenerwować osobę wrażliwą, nie ma tam nic: żadnej nadziemskości, żadnej świętości.

Madzia, słuchając, obu rękoma ściskała sobie czoło.

— Ależ pani naprawdę jest cierpiąca!... — zawołał pan Kazimierz.

— Bo mi tu gorąco... duszno... Zupełnie, jak...

— Jak w klasztorze?

— O, nie!... Tam odetchnęłam... tam jest trochę zieloności.

— Wie pani co? — rzekł pan Kazimierz stanowczo. — Musimy ztąd wyjść i to zaraz. Zabiorę panią do botanicznego ogrodu, choćby gwałtem...

— Już późno.

— Jeszcze nie ma siódmej. A godzinka spaceru na świeżem powietrzu orzeźwi panią...

— Ha, niech i tak będzie!... — odparła półgłosem Madzia. — Może spacer naprawdę mnie uspokoi.

Ubrała się i wyszli na ulicę. Pan Kazimierz skinął na dorożkę, ale Madzia nie zgodziła się. Więc doszli do Nowego-Światu i wsiedli w jeden z omnibusów, które wówczas kursowały między placem Zygmunta i Belwederem.

Podróż ciągnęła się powoli; słońce zachodziło; na południowej stronie nieba ukazały się ciemne obłoki z czerwonym odblaskiem. Nareszcie dotarli do ogrodu botanicznego i weszli.

Pomimo pięknego wieczoru, ogród wyludnił się; groził deszcz. Pan Kazimierz jednak spotkał kilka znajomych pań i mężczyzn, którym musiał kłaniać się, a którzy widząc z nim piękną kobietę, obrzucali go ciekawemi spojrzeniami.

Pan Kazimierz był zakłopotany i od czasu do czasu ukradkiem spoglądał na Madzię. Ale ona, jakby nie widziała ani ludzi, ani ich spojrzeń. Szła zapatrzona w swoje obrazy, zasłuchana w niedosłyszalne głosy.

Ażeby uniknąć tłumu, pan Kazimierz wybierał najmniej uczęszczane aleje. Istotnie spotykali coraz mniej przechodniów.

— Jak tu dobrze! — zawołała nagle Madzia, zatrzymujac się w alei.

— Widzi pani, że miałem racyę...

— Tak. Czułam, że czegoś mi potrzeba, a było mi potrzeba widoku trawy i gęstych drzew. W tym półmroku zdaje mi się że widzę las... duży las... Czy także powie pan — dodała z naciskiem — że w lesie, jak i w klasztorze, nie ma nic... nic!... Żadnej nadziemskiej siły, która bez pomocy zmysłów przemawia do naszej duszy?...

— Zkąd w pani dziś obudził się taki pociąg do kwestyj metafizycznych, jeżeli nie mistycznych — odparł pan Kazimierz. — Co się to stało?... Pani, taka trzeźwa!...

— Bo chcę raz dowiedzieć się prawdy: czy człowiek umierający ginie... czy te, które zamykają się w klasztorach, oszukują się dobrowolnie?... Jeżeli na świecie są tylko pierwiastki chemiczne, których potęgę najzupełniej uznaję, siedząc w moim pokoju, to dlaczego ten pozór lasu robi na mnie zupełnie inne, jakby duchowe wrażenie?... O, niech pan tam spojrzy!... — mówiła, rzucając się na ławkę. — Co to jest? kilkanaście drzew, okrytych chmurą liści... A przecież ja tam coś dostrzegam, coś ztamtąd na mnie woła... Ach, tak woła, że płakałabym... że... serce mi pęka, wyrywając się do czegoś... Więc cóż to jest?...

— Bezświadome, a odziedziczone wspomnienia — odpowiedział pan Kazimierz. — Nasi przedhistoryczni przodkowie żyli kiedyś w lasach. Tam znajdowali pokarm, ochronę przed klimatem i wrogiem; tam odnosili zwycięstwa nad olbrzymiemi zwierzętami, co wszystko razem głęboko wstrząsało ich systemem nerwowym.

Po owych odległych przodkach — ciągnął pan Kazimierz, przysuwając się do Madzi, — pozostała w naszym mózgu jakaś grupa już zanikających komórek. Szczątki te, wśród ucywilizowanego życia, milczą; lecz w obec lasów, gór, jaskiń, zaczynają dźwięczeć dawno zgasłemi pieśniami: bólu, obawy, nadziei, radości, tryumfu... Te prastare echa są owym głosem,

który woła na panią, owem czemś tajemniczem i nadziemskiem. Po za niemi — nie ma nic...

Mrok zapadał i gromadziły się chmury. W ogrodzie było już pusto. Ale kwiaty pachniały coraz mocniej, drzewa szemrały głośniej, w powietrzu unosiły się tchnienia namiętne.

Pan Kazimierz uczuł lekki dreszcz i zaczęły plątać mu się myśli.

„Jednak dziwny jest ten wieczór!“ — rzekł do siebie.

— Okropne są pańskie objaśnienia! — odezwała się po chwili Madzia. — Gdyby wszyscy tak wierzyli, szczęście uciekłoby ze świata — dodała ciszej.

Panu Kazimierzowi biły tętna w skroniach, dławił oddech, paliło go własne ciało. Zaczęło braknąć mu wyrazów, lecz jeszcze raz wysilił uwagę i mówił stłumionym głosem:

— Szczęście ucieka, nie ze świata, ale z nas samych, jak wino z pękniętych butelek. Świat!... co on winien temu, że ludzie pobudowali sobie żelazne klatki i tortury?...

Znowu myśli mu się splątały. Chciał Madzię wziąć za rękę, ale... przetarł sobie czoło.

— Jechała pani w nocy koleją? — spytał nagle. — Widziała pani smugę iskier, wylatujących z lokomotywy? Każda płonie, błyszczy, unosi się w powietrzu, potem spada między polne zioła i po chwili gaśnie. Ta jaskrawa smuga to ludzkość, pojedyńcze iskry to nasze życie... Lecz coby pani powiedziała gdyby owe iskry, zamiast latać, płonąć i błyszczeć przez ciąg sekundowego istnienia, raczej zakopywały się w ziemię, albo dobrowolnie przygaszały własne

światło... własną radość... Coby pani powiedziała?... Śmierć, która pogrąża nas w zapomnieniu, nie jest nieszczęściem, ani męką. Ale odtrącanie prostych i potężnych rozkoszy, odsuwanie spragnionych ust od kubka czystej wody, to jest udręczenie i samobójstwo.

Oparł rękę na ławce, tak, że dotknął palców Madzi i uczuł, że były równie gorące, jak jego. Na mgnienie oka zapomniał, gdzie się znajduje i czy dokoła nich jest widno, czy ciemno. W rękach i nogach czuł mrowienie; głos przytłumiał mu się coraz coraz bardziej. Przysunął się do Madzi. Jej ramię dotykało jego ramienia. Zaczął szeptać:

— Niekiedy dwie iskry padają tuż obok siebie... Wówczas ich blask... ogień, który je trawi, potęguje się... Dwa istnienia wyrastają na tysiąc istnień... dwie iskry błyszczą, jak najjaśniejsza gwiazda... Czy nie byłoby nikczemnością rozdzielać te dwa byty?... A czy nie byłoby szaleństwem, gdyby jedna z nich zdusiła swoje własne światło i... swej sąsiadki?...

Robiło się coraz ciemniej i wzmagał się szum. Nad ogrodem kolejno przelatywały dwa powiewy: ciepły od miasta, chłodniejszy od strony Łazienek. Po alejach nikt już nie chodził, tylko rozkołysane drzewa gięły się ku ziemi, albo odsuwały od siebie wierzchołki, odsłaniając granatowe chmury. Czasem w górze zatrzeszczała gałąź, albo oderwała się gałązka i w fantastycznych podskokach spadała na trawnik.

— Straszne to, ale piękne! — rzekła Madzia, opierając głowę na poręczy ławki.

— Jak moja miłość dla ciebie... — szepnął pan Kazimierz.

Schwycił Madzię wpół i przycisnąwszy usta do jej ust, zaczął całować bez pamięci.

Przez chwilę Madzia siedziała martwa. Nagle wydarła się z objęć pana Kazimierza, a gdy wyciągnął rękę, odtrąciła go, jakby ją chciał uderzyć.

— Ach!... — zawołała z gniewem. — Gdyby pan wiedział, o czem myślałam, nie zrobiłby pan tego...

Stanęła na środku alei i zaczęła poprawiać włosy. W tej chwili spadła pierwsza kropla deszczu.

Pan Kazimierz podniósł się z ławki, jak pijany, ale prędko otrzeźwiał. W głosie Madzi usłyszał taką niechęć, taką odrazę do siebie, że w jednej chwili pożałował nietylko pocałunków, ale nawet namiętnej wymowy i samego spaceru.

„Głupio to wygląda...“ — pomyślał, czując, że ta kobieta, zamiast być pobratymczą mu iskierką, jest dla niego zupełnie obca.

Z góry zaczęły sypać się z początku rzadkie, stopniowo coraz gęstsze krople.

— Nie wiem, gdzie mam iść — nagle odezwała się Madzia, głosem, w którym drgało oburzenie. — Niechże mnie pan ztąd wyprowadzi...

— Służę pani...

Poszli w stronę obserwatoryum, ale tam żelazna furtka już była zamknięta. Wtedy pan Kazimierz zaproponował powrót w głąb ogrodu, aż do furtki powyżej obserwatoryum.

Deszcz padał coraz gęstszy, zdaleka odezwał się grzmot. Madzia skrzyżowała ręce na piersiach i szybko biegła nieznanemi ścieżkami. Pan Kazi-

mierz, podniósłszy kołnierz żakietu, szedł za nią i myślał:

„Bodaj to dyabli wzięli... co za głupia pozycya!...“ Zdawało się, że jego namiętność, rozbita zachowaniem Madzi, roztapia się obecnie w strugach deszczu, które spływały mu z kapelusza, ramion i łopatek.

W końcu wydostali się w aleję; ale ponieważ nie było dorożki, więc biegli, pod rzęsistym deszczem, bez parasolów, prawie do placu Aleksandra. Madzia, wciąż wysunięta naprzód, milczała, pan Kazimierz podążał za nią, mówiąc do siebie:

„Komiczna sytuacya i obrzydliwa!... Ciekawym, co ona sobie myśli?...“

Madzia tymczasem myślała z gniewem, że moknie i że późno wróci do domu. Chwilami przypominała sobie scenę na ławce i zdawało jej się, że był to sen, czy może... taki dziwny początek deszczu?...

„Więc tak wygląda miłość?... no, no!... Więc dla tego kobiety umierają u pani Turkawcowej?... Ach, tego już nie mogłaby żądać odemnie pani Latter... nawet nie miałaby prawa!...“

Jeszcze przed kilkoma godzinami pan Kazimierz wydawał się Madzi genialnym, interesującym, sympatycznym. Obecnie wszystkie czary znikły i został tylko człowiek, który, bez żadnej racyi, schwycił ją wpół i całował w usta, jak waryat.

„Ciekawam — myślała — czy on będzie miał odwagę spojrzeć mi w oczy?“

Ona sama czuła, że śmiało może mu patrzeć w oczy, a raczej mogłaby patrzeć, gdyby jej nie

obrzydł. Namiętne pocałunki pana Kazimierza robiły na niej takie wrażenie, jakby naprzykład podczas spaceru wytargał ją za ucho!...

Nareszcie spotkali dorożkę, w którą Madzia rzuciła się, nie patrząc na pana Kazimierza.

— Czy mogę panią odwieźć? — zapytał.

— Jak pan chce.

Wsunął się pod budę zmoknięty, nieszczęśliwy i zajął miejsce na brzegu siedzenia. Madzia nawet nie odsunęła się od niego, tylko wyglądała jedną stroną dorożki, a pan Kazimierz drugą.

Nareszcie zajechali. Madzia dała dorożkarzowi dwa złote i nie odpowiedziawszy na ukłon swego towarzysza, wbiegła w bramę; pan Kazimierz pojechał do domu, mrucząc:

— Bodaj to najjaśniejsze!...

Pan Kazimierz znał swoją sztukę i wiedział, że najprzyzwoiciej jest całować kobiety wówczas, gdy one same tego chcą, niby broniąc się. Wiedział, że można pocałować kobietę niespodzianie, gdy da się to obrócić w żart, po którym niekiedy zawiązują się życzliwsze stosunki, lecz w żadnym razie nie ulegają zerwaniu.

Dziś jednak, wrodzone poczucie estetyczne ostrzegło go, że sprawa wygląda niesmacznie, jak gdyby, zamiast pocałować Madzię w usta, wyciągnął jej portmonetkę z kieszeni.

„Nie lubię tego!“ — myślał, nie wskutek wyrzutów sumienia albo wstydu, bo wstydzić się nie miał czego, ale że to było takie... ni przypiął, ni przyłatał. Bądź co bądź, postąpił jak z kucharką, z osobą, o której rękę prosił Solski!

Gdy przemoczona Madzia weszła na swój korytarz, otworzyło się po kolei troje drzwi. Z jednych wyjrzał pan Pasternakiewicz, z drugich jakaś współlokatorka, z trzecich wybiegła sama pani Burakowska, mówiąc:

— Cóż się z panią dzieje?... Dopiero musiała pani zmoknąć!... Gdzież panią ten straszny deszcz zaskoczył?...

— Byłam w ogrodzie Botanicznym... ze znajomymi — odparła Madzia i weszła do swego pokoju, przebrać się.

Twarz jej pałała ze wstydu. Więc już doszło do tego, że ona, Madzia, musi kłamać?...

Wypiła herbatę, położyła się do łóżka i, słuchając szumiącego deszczu, rozpamiętywała przygodę panny Joanny. Tak to już dawno było, a przecież takie świeże wspomnienie!... Wówczas także lał deszcz, na Joannę tak samo oczekiwała pani Latter, jak dziś na nią pani Burakowska... Joanna tak samo, jak ona dziś, przepędziła czas z panem Kazimierzem, który zapewne i tamtą, jak ją dzisiaj, całował w usta...

Ona i... Joanna!... Oto do czego doszła w ciągu dwu lat.

Zgasiła lampę, przymknęła oczy. Znowu ukazał się jej kwiecisty ogród szarytek z krzyżem, a jakby w dalszym ciągu—kletka umierającej Stelli. Zdawało się Madzi, że ową nieznaną kobietą, której jęki dolatywały ją, jest Joanna i że za rok... dwa... „Polecam się pamięci pani — usłyszała wyraźnie głos pani Turkawcowej. — Od świętego Michała będę już mieszkać nie tu, ale tam, o!...“

Ojciec... brat... Ada... Solski... wszystkie te wizerunki mieszały się w głowie Madzi.

„Co ja zrobiłam?... co ja zrobiłam...“

Wtłoczyła sobie chustkę w usta, ażeby nie krzyknąć i, przycisnąwszy twarz do poduszki szlochała... szlochała, zupełnie tak, jak na pensyi w lazarecie panna Joanna...

Przez następny dzień Madzia nie jadła i nie wychodziła z domu. Po południu odrobiła lekcye z siostrzenicą Dębickiego i, za poradą gospodyni, wypiła parę szklanek herbaty z cytryną.

— Zaziębiła się panna Magdalena na tym spacerze — rzekła pani Burakowska do brata, kiedy wrócił do domu wieczorem.

— Żeby się tylko zaziębiła — odparł pan Pasternakiewicz. — Ty wiesz, kto ją w nocy odwiózł? Norski!...

— Któż ci o tem powiedział?

— Stróż. Poznał go, kiedy wychylił się z dorożki.

— No, cóż to szkodzi — uspakajała brata pani Burakowska.—Przecież u Magdaleny była z wizytą panna Norska... Wreszcie, któż kobietę odwiezie w deszcz, jeżeli nie mężczyzna? Ty sam odwoziłeś nie jedną damę.

— Co innego ja, co innego Norski. Bałamut i obibok, który bierze spadki po żyjących... Jeżeli mógł buchnąć kilka tysięcy rubli sparaliżowanemu Mielnickiemu, nie będzie robił ceremonii z niewinnością panny Brzeskiej.

Tak mówił pan Pasternakiewicz, a siostra słuchała z uwagą.

Odpocząwszy, na drugi dzień Madzia wyszła do miasta. Godzinę dłużej odsiedziała u swoich uczennic i, około trzeciej po południu, poszła do szpitala Dzieciątka Jezus, boczną bramą od ulicy Szpitalnej.

W dziedzińcu, Madzia spostrzegła dwu ludzi w drelichowych szlafrokach i perkalowych czapkach na głowie, jak kucharze. Jeden miał obandażowaną twarz i ten wskazał Madzię drugiemu, który nosił rękę na temlaku i, zobaczywszy ładną pannę, zaczął się śmiać. Przerażona Madzia, myśląc, że to są waryaci, rzuciła się w pierwszą sień i na szczęście spotkała szarytkę.

— Sieroty są w tamtem skrzydle — rzekła szarytka, wysłuchawszy objaśnienia Madzi. — Zaprowadzę panią do siostry Maryi.

Prędko weszła na pierwsze piętro i na korytarz, który zadziwił Madzię długością. Mijały jedne za drugiemi drzwi ponumerowane i zamknięte, za któremi Madzia domyślała się chorych. Powietrze było przesycone zapachem karbolu i ciszą. Raz spotkały posługacza śpieszącego z kubłem, drugi raz pacyenta w drelichowym szlafroku i kucharskiej czapce, potem lekarza, który, w grubym fartuchu, wyglądał jak rzeźnik.

Madzię ogarniał coraz silniejszy niepokój i coraz więcej intrygowały drzwi ponumerowane i zamknięte.

„Gdzież tu są chorzy?...“ — myślała.

W tem na lewo zobaczyła wielkie okno, a za oknem gdzieś w dole, olbrzymią salę, wypełnioną dwoma szeregami łóżek, z których każde było za-

jęte. Między łóżkami snuło się parę posługaczek i zakonnica.

— Co to jest, proszę pani?... — zapytała Madzia swej przewodniczki.

— Sala gorączkowych—odparła szarytka, wciąż biegnąc naprzód.

— Wieluż tam chorych?...

— Sześćdziesiąt łóżek.

„Sześćdziesiąt!... — pomyślała Madzia. — Czy podobna, ażeby tylu chorych było w Warszawie?... A jeszcze na innych salach...“

Skręciły na lewo; zapach karbolu ciągle im towarzyszył. Po chwili Madzia usłyszała szczególny krzyk, jaki wydają zabawki mechaniczne... Znowu drugi i trzeci podobny... Jednocześnie wyszła z pokoju inna zakonnica, której przewodniczka Madzi wręczyła kartkę.

— Ach, to pani — rzekła zakonnica i przedstawiła się jako siostra Marya. — Już wczoraj zapytywała mnie matka Apolonia o dziewczynkę Magdalenę, która ma krzyżyk ze złotego drutu, a nastała do nas przed miesiącem. Jest taka dziewczynka.

— Mogę ją zobaczyć? — szepnęła Madzia.

— Proszę panią — rzekła siostra Marya, otwierając inne drzwi.

Madzia na progu zawahała się, lecz weszła. Zobaczyła obszerny pokój z otwartemi oknami, które wychodziły na ogród. Było tu widno, nawet słonecznie, lecz ciasno z powodu nagromadzenia łóżek i łóżeczek. Siedziało tu lub spacerowało siedm, czy ośm kobiet o zwiędłej cerze, które karmiły dzieci, poprawiały je w łóżeczkach, albo rozmawiały ze

sobą. Jedna mamka trzymała na rękach dwoje niemowląt.

— Dwoje karmi?...—spytała zdziwiona Madzia.

— Czasem troje — odparła szarytka.

Kilkoro dzieci płakało głosami lalek; jedno, siedzące na rękach u mamki, zastanowiło Madzię niezwykle mądrem spojrzeniem. Nie miało jeszcze roku, a można było sądzić, że przemówi i o coś zapyta. Wszystkie były mizerne.

— Oto ta dziewczynka — rzekła zakonnica, wskazując na łóżeczko, w którem leżał dziwny twór o pomarszczonej skórze, sinawego koloru, z nóżkami cienkiemi jak palec dorosłego człowieka.

— Boże! jakież ono chude... — zawołała Madzia. — Czy chore?...

— Coraz słabsze... Kwestya kilku dni — odparła szarytka.

— Ależ trzeba je leczyć... Ja mam dla tej dziewczynki pieniądze... — mówiła Madzia drżącym głosem.

Szarytka wzruszyła ramionami.

— Robi się co można. Maleństwo to ma nawet osobną mamkę, ale...

— Może mu czego brak?... — nalegała Madzia.

— Wszystko ma, czem rozporządzamy. Brak mu matki i — sił, które tylko Bóg może przywrócić.

— Więc nic?... więc nic!... — powtarzała rozżalona Madzia, nie śmiejąc dotknąć się nieszczęśliwego dziecka.

Szarytka milczała.

Madzia, pożegnawszy siostrę Maryę, prawie uciekła ze szpitala. Dusił ją zapach karbolu, a rozdzie-

rał serce widok sierot i ich głosy, nie mające w sobie nic ludzkiego.

Na placu Wareckim wzięła dorożkę i pojechała do pani Turkawcowej. Właścicielka domu zdrowia dla kobiet, jak za pierwszą wizytą Madzi, tak i teraz, stała w przedsionku swojej instytucyi i rozmawiała ze sługą, piorącą bieliznę pacyentek i ich dzieci. Zobaczywszy Madzię, pani Turkawiec przerwała konferencyę pralnianą i zawołała:

— Oho, już!... Nie ma się panuncia po co fatygować...

— Jakto?... co?... — spytała Madzia, zatrzymując się w połowie schodów.

— Już wynieśli znajomą pani...

— Do szpitala?

— Nie, na cmentarz. Umarła wczoraj w południe, ale wypiła wszystko wino...

— Dlaczegóż pani nie zawiadomiła mnie o tem?

— Bo były tu onegdaj i wczoraj dwie zakonnice, obejrzały ją, przysłały doktora... A kiedy zrobił się ten interes, zabroniły donosić panunci.

Madzia pożegnała sumienną gospodynię i cofnęła się na ulicę.

„Śmierć... wszędzie śmierć!... — myślała. — Ktokolwiek zbliży się do mnie, umiera...“

Nie żałowała Stelli; owszem, zdawało się jej, że nieszczęśliwa śpiewaczka nic lepszego nie mogła zrobić na tym świecie.

Wróciwszy do domu, Madzia zjadła obiad z apetytem; później odbyła lekcyę z Zosią. Ogarnął ją wielki spokój, jakby jej osobiste cierpienia rozpłynęły się w szpitalnych zapachach, w klasztornej

ciszy, w bezdusznym krzyku opuszczonych dzieci i w całym tym bezmiarze nędzy i poświęceń ludzkich, na które patrzyła od kilku dni.

„Śmierć... wszędzie śmierć... dokoła mnie śmierć...“ — powtarzała.

Niewiadomo zkąd przyszedł jej na pamięć Solski i — uczuła przeciągłe ściśnienie serca.

„No, teraz, wszystko skończone — mówiła sobie. — Mój Boże, jeden... jedyny spacer!... Nawet nie przypuszczałabym, że w tak prosty sposób można zabezpieczyć się od pana Stefana...“

Widać, jeszcze kilka dni temu, w sercu Madzi tliła jakaś nadzieja, że Solski może do niej wrócić i obawa, że ona ulegnie jego ponownym prośbom. Było to ostatnie echo niedawnej przeszłości, cień, który oddalający się Solski jeszcze rzucał na jej wspomnienia. Ale dziś wszystko skończyło się: pan Kazimierz zdusił echa i odpędził cień. Już niema nic!...

Wieczorem napisała obszerny list do brata i do ojca. Bratu ofiarowała się, że do niego pojedzie na kilka lat, choćby do końca życia. Ojcu zaś doniosła o propozycyi, zrobionej Żdzisławowi.

„Przed samym wyjazdem — myślała — pójdę do Ady podziękować za wszystko, co zrobiła dla mnie i dla Cecylii. Jestem pewna, że pożegna mnie życzliwie. Już przecie nie pozbawię jej miłości brata...“

Upłynął tydzień, nadszedł początek sierpnia.

Pani Burakowska, jej lokatorki i stołowniczki, coraz chłodniej traktowały Madzię, ledwie odpowiadając: „dzień dobry“ i „dobry wieczór.“ Ale ona nie zważała na te objawy obojętności; myślała o swoim

bracie: w jaki sposób urządzić mu gospodarstwo? i niecierpliwie oczekiwała wezwania od niego.

Pewnego dnia, zaraz po lekcyi z Zosią, złożył Madzi wizytę nieoczekiwany pan Miętlewicz. Szastał się, kłaniał, opowiadał, że jego ślub z panną Eufemią odbędzie się w połowie sierpnia, że rodzice i major zasyłają Madzi ukłony, że w Iksinowie odnawiają bruk na rynku... Ale miał spuszczone oczy i taką minę, że Madzia zaniepokoiła się.

— Pan ma dla mnie jakąś przykrą wiadomość — przerwała nagle, chwytając go za rękę.

— Wiadomość... wiadomość?... — powtórzył. — Ech, nie!... Chciałem się tylko zapytać pani, bo jutro wracam do domu, a tu tak plotą...

— Co plotą?... — spytała Madzia, blednąc.

„Może o spacerze do Botanicznego ogrodu?“ dodała w myśli.

— Bo... proszę pani... Eh! co mam owijać w bawełnę, kiedy to pewnie głupstwo... — prawił zakłopotany Miętlewicz. — Oto, co mówią, proszę pani... Że pani chodzi do jakichś akuszerek i do szpitala podrzutków...

— Byłam tam.

— Pani?...

— Byłam u pani Turkawcowej, odwiedzieć Stellę, która tam umarła, a w szpitalu — zobaczyć jej dziecko, które umiera...

— U Stelli?... Więc umarła biedaczka!... — zawołał Miętlewicz. — I pani ją odwiedzała?...

Podniósł się z kanapki i ciągle szastając nogami, ucałował Madzi obie ręce.

— Pani to chyba jest święta — szepnął.

— Cóż w tem dziwnego?...

— Ale ludzie — ciągnął Miętlewicz i otarł zaczerwienione oczy — ludzie, proszę pani, to są... nierogate świnie z przeproszeniem. Tyle tylko powiem...

Znowu otarł oczy, znowu ucałował ręce Madzi i, ukłoniwszy się, wybiegł z pokoju.

„Prawdziwy prowincyonalista — myślała Madzia, wzruszając ramionami. — Jego dziwią plotki!...“

W chwili, kiedy Miętlewicz wyszedł z bramy, wszedł w nią pan Kazimierz, zmierzając do mieszkania Madzi. Miał minę rozzłoszczonego tryumfatora i, wstępując na schody, powtarzał w duchu:

„Takaś to ty, panienko?... Gniewasz się, jak królowa, a pisujesz listy bezimienne, ażeby swego wielbiciela zmusić do ożenku... I ja się na nią złapałem!...“

Zapukał do drzwi, wszedł do pokoju Madzi z twarzą zuchwałą i dopiero na progu zdjął kapelusz.

Na widok pana Kazimierza, Madzia zmarszczyła brwi. W tej chwili elegancki młody człowiek, zrobił na niej marne wrażenie; już nietylko przestała wierzyć w jego geniusz, ale nawet jego wdzięki wydawały jej się pospolitemi.

„Cóż to za porównanie z Solskim?—pomyślała.— I ja dla tego człowieka zataiłam grzech na spowiedzi... przed naszym kochanym proboszczem!...“

Pogardliwe myśli tak wyraźnie odbiły się na fizyognomii Madzi, a jej zachowanie było tak imponujące, że pana Kazimierza opuściła energia, z jaką tu wszedł. Przywitał się nieśmiało i nieśmiało usiadł przy piecu na krześle; tem nieśmielej, że Madzia nie prosiła go siedzieć.

Po chwili jednak opanował się, a gdy Madzia obojętnym głosem zapytała:

— Cóż pana do mnie sprowadza?

Pan Kazimierz uczuł gniew i odparł, zuchwale patrząc jej w oczy:

— Chciałem się zapytać... co to za pogłoski krążą o pani?...

— O mnie?... — spytała, a oczy jej błysnęły. — Czy nie o tym spacerze, na którym pan był moim przewodnikiem?

— Nie, proszę pani... O tem odemnie nikt nie będzie wiedział... Natomiast dużo mówią o wizytach pani w szpitalu, to znowu u... jakiejś...

Panno Magdaleno, któż jest tak nieoględnym...— dodał pan Kazimierz miększym tonem.

Ale w Madzi burzył się gniew.

— O wizytach w szpitalu i u tej pani, już wiedzą moi rodzice i brat i z pewnością nie potępią mnie za to...

Pan Kazimierz umilkł i otarł spocone czoło.

— Czy tyle miał mi pan do powiedzenia? — odezwała się po chwili Madzia tonem, który na panu Kazimierzu zrobił wrażenie obelgi.

— Nietylko, proszę pani... — odparł rozdrażniony.. — Chciałem jeszcze zapytać: czy pani nie zna tego pisma... Chociaż zdaje się być zmienione...

Sięgnął do kieszeni i, ostro patrząc w oczy, podał Madzi list, którego dolna połowa była odcięta.

Madzia spokojnie wzięła papier i czytała:

„Człowiek uczciwy, jeżeli wywabia niewinną i niedoświadczoną dziewczynę na spacery samotne, powinien znać obowiązki, jakie na niego spadają. Bo

choć zapewne nie pierwszy raz zdarza mu się spacerować z niedoświadczonemi dziewczętami, dla tej jednak należałoby zrobić wyjątek, bądź ze względu na jej piękność i szlachetny charakter, bądź — że oprócz dobrego imienia, nie posiada nic więcej...“

Madzia czytała list szeroko otwartemi oczyma. Nagle, uderzając się w czoło, szepnęła do siebie:

— Ada!... Ach, więc to ta zazdrość?...

Pan Kazimierz zerwał się z krzesła.

— Co pani mówi?... — zawołał. — To jest pismo panny Ady?...

Wydarł list z rąk Madzi i wpatrując się, mówił:

— Ależ tak... pismo zmienione, ale jej... Aha!... aha!... A ja ślepy...

— Zdaje się jednak, że już pan przejrzał... — odezwała się Madzia z drwiącym uśmiechem.

Pan Kazimierz patrzył to na list, to na Madzię. Nigdy jej nie widział taką; nigdy nawet nie przypuszczał, ażeby pokorne i naiwne dziecko mogło takim tonem przemawiać i uśmiechać się tak ironicznie.

„Co się z niej zrobiło?... Ależ to inna kobieta!...“ — myślał.

Schował list, pochylił głowę i złożywszy przed Madzią ręce, rzekł wzruszonym głosem:

— Panno Magdaleno... nie zrozumiałem pani... Była pani dla mnie najlepszą, najszlachetniejszą siostrą... Więcej nawet, była pani głosem mojej nieszczęśliwej matki... Czy przebaczy mi pani kiedy?

Czekał, czy poda mu rękę. Ale Madzia, nie podając ręki, odparła:

— Niedługo wyjeżdżam do mego brata.. Bardzo daleko. Ponieważ nie zobaczymy się nigdy, więc mogę powiedzieć, że... nie mam do pana pretensyi... Nie obchodzi mnie nawet to, co pan zrobił...

Pan Kazimierz postał chwilę. Wreszcie ukłonił, się i wyszedł.

„Pójdzie do Ady — myślała Madzia — wytłómaczy jej, że był dla mnie najszlachetniejszym bratem, no... i pobiorą się... Ach, Ada!... ona o to była zazdrosna?...“

Patrzyła na drzwi i śmiała się cicho. Nie z pana Kazimierza, ale z tego, że czuła się jakąś inną, zupełnie inną osobą. Tamtej, dawnej Madzi, tak pełnej radości, tak różowo patrzącej się na świat— już nie było.

XV.

Pan Kazimierz zostaje bohaterem.

Pan Kazimierz, długi czas dziecko szczęścia, od paru miesięcy zaczął doznawać niepowodzeń. Panna Ada Solska była na niego obrażona, pan Stefan Solski okazywał mu prawie wzgardę; w salonach przyjmowano go chłodno, wykwintni przyjaciele odsuwali się od niego, ludzie wpływowi już nie ofiarowywali mu świetnych posad. Nareszcie jego kredyt zachwiał się tak, że nawet lichwiarze zaczęli odmawiać mu większych pożyczek.

Wszystkie te gorycze życiowe pan Kazimierz przypisywał niegodziwości swojej siostry, Heleny, która, zamiast oddać rękę Solskiemu, kokietowała mężczyzn na prawo i na lewo, nie pomijając pana Bronisława Korkowicza, piwowarczyka!...

„Helena temu winna“ — myślał pan Kazimierz, ile razy spotkała go nowa przykrość. I niechęcią do siostry, niby parasolem, zasłaniał się przeciw wichrom niepowodzeń, które od czasu do czasu zasypywały mu oczy.

Lecz wicher niebawem zamienił się na burzę.

Na trzeci dzień po spacerze z Madzią w ogrodzie Botanicznym, pan Kazimierz otrzymał list, podpisany przez Piotra Korkowicza, który wzywał go na rozmowę w ważnym interesie.

„Czego chce ode mnie ten browarnik?“ — myślał pan Kazimierz. W pierwszej chwili miał zamiar wyzwać na pojedynek Bronisława Korkowicza, za nie dość elegancki list jego ojca. Potem chciał odpisać Korkowiczowi, ojcu, że — kto, ma do niego, do pana Norskiego, interes, powinien przyjść sam. W końcu, tknięty przeczuciem, zdecydował się pójść do starego Korkowicza, no — i dać mu lekcyę grzeczności.

Poszedł nazajutrz, około drugiej po południu, do piwowara, który przywitał go w gabinecie — bez surduta i kamizelki, gdyż dzień był gorący. Za tak lekceważące przyjęcie pan Kazimierz gotów był zrobić Korkowiczowi awanturę; uspokoił się jednak, spojrzawszy na jego potężne piersi i ręce i tylko rzekł do siebie: „A to niedźwiedzisko!... Ciekawym, czego on chce?!“

Stary piwowar nie trzymał go w niepewności.

Szeroko zasiadł na fotelu, gościowi wskazał miejsce na szeslągu i rzekł:

— Pan wie, że od wtorku, siostra pańska jest moją synową?... Wzięli ślub w Częstochowie i wyjechali na miesiąc za granicę...

Pan Kazimierz obojętnie kiwnął głową.

— Tym sposobem — ciągnął Korkowicz, motając brodę — pan od wtorku należysz do naszej rodziny...

— Bardzo mi to pochlebia — odparł zimno pan Kazimierz.

— Mnie, jeszcze nie bardzo — pochwycił stary piwowar — ale mam nadzieję...

— Czy wezwał mnie pan po to, ażeby mówić mi impertynencye?... — spytał rozgniewany pan Kazimierz.

— Wcale nie. Wezwałem pana, ażeby, po naradzie z nim, uregulować jeden brzydki interes. Pan wziąłeś od niejakiego Mielnickiego, paralityka, cztery tysiące rubli... Tymczasem szlachcic nie ma z czego żyć... Musimy to jakoś załatwić...

— Cóż pana to obchodzi?... — wybuchnął pan Kazimierz.

— Proszę pana — mówił, czerwieniąc się Korkowicz — ja nie znam się na szlacheckich wyobrażeniach o godziwem i niegodziwem... Ale mój piwowarski rozum uczy mnie, że nie wolno obdzierać niedołęgów, którzy nie mają co jeść... A Mielnickiego obdarłeś pan, podnosząc cztery tysiące rubli, których gwałtownie sam potrzebował.

— Mielnicki winien był te pieniądze mojej matce... Pożyczył od niej...

— Eh! — odparł Korkowicz, machając ręką. — Widzę, że żyjesz pan złudzeniami. Świętej pamięci wasza matka nic nie mogła pożyczać nikomu, bo nic nie miała, oprócz długów.

— To nieprawda...

— Ja nie kłamię!... — krzyknął Korkowicz, uderzając pięścią w biurko. — Pytaj pan Zgierskiego... pytaj gospodarza domu, gdzie mieszkała... Spytaj wreszcie Fiszmana, który, na kilka dni przed śmiercią, odmówił jej kilkuset rubli pożyczki...

— Fiszman?...—szepnął pan Kazimierz i pobladł.

— A tak, Fiszman... Który niejednokrotnie pożyczał nieboszczce pieniędzy na pański podpis, no... i jej...

Mówiąc to, stary piwowar szkaradnie przymrużył lewe oko, a pan Kazimierz spuścił głowę.

— Znam ja was, młodzi!... — prawił Korkowicz. — Mam przecie synka, który w knajpach przesiadywał z panem... Dziś żona weźmie go w kluby, podleca; a że weźmie, jestem pewny... Pozna teraz, że babski pantofel twardszy od ojcowskiej pięści... Psi syn!... Ale nie o to chodzi. Cztery tysiące rubli trzeba oddać Mielnickiemu, bo stary zdechnie z głodu.

— Ktoś pana w błąd wprowadził — odpowiedział znacznie łagodniej pan Kazimierz. — Matka nasza miała majątek... Nie zostawiła przecie żadnych długów, owszem, gotówkę...

— Nieboszczka nic nie zostawiła prócz długów! — przerwał mu Korkowicz. — Pieniądze, które otrzymaliście po jej śmierci, pochodziły — *primo* od Arnolda, *secundo* od Solskich. Jeżeli pan nie wierzysz, spytaj poufnie ich plenipotenta Mydełkę,

tego z krzywemi nogami, który, osieł, żeni się z tą waryatką, Howardówną...

— Z panną Howard?... — szepnął mimowoli pan Kazimierz, ale wnet umilkł.

— Wreszcie — prawił Korkowicz — nic mi do majątku waszej matki. Ale chodzi o to, ażeby zwrócić cztery tysiące rubli Mielnickiemu. Szoruj więc pan do mego adwokata, załatw formalności prawne z Mielnickim, a cztery tysiące rubli i procent od kwietnia ja zapłacę.

Pan Kazimierz siedział, jak skamieniały. Korkowicz ciągnął dalej:

— A panu radzę tak: ciśnij bankiera, idź na praktykę do mego browaru... Potem wyszlę cię zagranicę, a gdy nauczysz się warzyć piwa (nie takiego, jak dotychczas!) znajdę ci porządny browar, na którym będziesz miał byt niezależny...

No i cóż?... — zakończył stary, klepiąc po ramieniu pana Kazimierza.

— Do piwowarstwa nie mam ochoty — odparł Norski — a cztery tysiące rubli pan Mielnicki musiał być dłużnym naszej matce, ponieważ sam mi to powiedział.

Korkowicz ciężko podniósł się z fotelu.

— Jeżeli robi ci to przyjemność — rzekł — to wyobrażaj sobie, że Mielnicki był winien matce... Ja zwrócę mu, co się należy i bez twego udziału; bo nie chcę, ażeby ludzie wycierali sobie zęby bratem mojej synowej. Upadam do nóg, panie Norski...

Pan Kazimierz, wzburzony, zerwał się z szezlonga, ledwie kiwnął głową Korkowiczowi i wybiegł z mieszkania.

W kilka godzin jednak odzyskał jasny pogląd na rzeczy.

„Jeżeli — myślał — ten słodownik chce zrobić prezent Mielnickiemu, to niech robi... Cóż mnie to obchodzi?... Mielnicki jest człowiek uczciwy, który przyznał dług mojej matce... Ale przecież nie tak głupi, ażeby darowywać mi cztery tysiące rubli, których nie był winien...“

Rozumowaniem tem najzupełniej uspokoił się pan Kazimierz. Na nieszczęście, w parę dni później otrzymał bezimienny list tej treści:

„Człowiek uczciwy, jeżeli wyciąga niewinną i niedoświadczoną dziewczynę na spacery samotne, powinien znać obowiązki, jakie na niego spadają. Bo choć zapewne nie pierwszy raz zdarza mu się spacerować z niedoświadczonemi dziewczętami, dla tej jednak należałoby zrobić wyjątek, bądź ze względu na jej piękność i szlachetny charakter, bądź — że oprócz dobrego imienia nie posiada nic więcej.

Należy się jednak obawiać, że ten, kto nie poczuł skrupułów w obec sparaliżowanego starca, nie zawaha się, w obec naiwnej dziewczyny!“

Wściekły gniew opanował pana Kazimierza po przeczytaniu listu. Więc o sprawie z Mielnickim wiedziano i mówiono na mieście?... Ale — kto mógł być autorem anonimu?... Chyba panna Magdalena Brzeska, która w ten sposób ciągnęła go do małżeństwa ze sobą.

Pod wpływem tych rozważań pan Kazimierz pobiegł do Madzi. Jeżeli ona pisała, zdemaskuje ją, no — i będzie miał prawo, dla zrobienia sobie honorowej satysfakcyi zostać nawet jej kochankiem. Na

wszelki jednakże wypadek pan Kazimierz odciął zakończenie listu. Bo jeżeli autorką nie jest Madzia, więc po co ma dowiadywać się o Mielnickim?

Ale Madzia przeczytała bezimienny list obojętnie, jak osoba, która wcale nie ma zamiaru wydać się za pana Kazimierza. Co ważniejsza: mimowoli zdradziła się, że poznaje rękę Ady.

„Ależ tak!... — myślał pan Kazimierz, po raz dziesiąty odczytując anonim. — Ależ tak!... I że ja odrazu tego nie poznałem...“

Wróciwszy do domu, wydobył z biurka parę listów Ady, pisanych dawniej, jeszcze w Szwajcaryi... Charakter był prawie ten sam; autorka anonimu nawet nie bardzo chciała się ukryć...

Jak do cyklonu ze wszystkich stron zlatują się wichry, tak do listu Ady zbiegło się mnóstwo wspomnień w duszy pana Kazimierza. Ile wieczorów spędził on w mieszkaniu Ady w Zurychu!... Ile wycieczek odbyli razem po szafirowych jeziorach; ile godzin zeszło im sam na sam w dolinach, zasypanych odłamami skał, przerzniętych bystrym potokiem, przeładowanych roślinnością o woni odurzającej.

Z jaką uwagą Ada słuchała jego filozoficznych i społecznych teoryi... Jak rumieniła się, gdy ją witał, a smutniała, gdy po kilku godzinach odchodził... I przez cały ten czas, ani jednym wyrazem, najlżejszym znakiem nie zdradziła się, że ona i brat popłacili długi jego matki.

Więc Ada kochała go już wówczas. Ale dla czego później ostygła? Może pod wpływem niechęci do Heleny, która tak drażniła Solskiego?...

Najpewniej jednak do Ady i jej brata doszły plotki o sprawie z Mielnickim...

Pan Kazimierz rozgorączkowany chodził po pokoju, bez światła, choć już mrok zapadł. Tak, ta nieszczęsna sprawa z Mielnickim zwichnęła jego karyerę!... Wieść o niej obiegła wszystkich znajomych, wcisnęła się do salonów, w których niedawno tak życzliwie był przyjmowany pan Kazimierz.

— Ale kto ją rozpuścił?... Chyba Zgierski. Aha, wiem...

Pan Kazimierz uderzył się w czoło: przypomniał sobie Kotowskiego.

On miał w tem największy interes, bo przecie żenił się z siostrzenicą paralityka, z panną Lewińską... On doniósł Solskiemu, bo przecie był jego lekarzem... On z pewnością mówił o sprawie z każdym, kto go chciał słuchać; a słuchaczy mogło być mnóstwo, gdyż pan Kazimierz miał wielu niechętnych.

— Pan Kotowski!... — powtarzał i zdawało mu się, że widzi przed sobą mizerną twarz i rozczochrane włosy młodego medyka, z którym niegdyś spotkali się w pokoiku panny Howard i starli się ostro w dyspucie. Potem pan Kazimierz przypomniał sobie, że nawet matka przy jakiejś okazyi postawiła mu za wzór tego pana Kotowskiego, brutala i arroganta...

„Zawsze miałem do niego antypatyę!... — pomyślał pan Kazimierz. — No, ale teraz zapłacę mu... On złamał moje, ja złamię jego życie...“

Od czasu, kiedy został lekarzem Solskich, Kotowskiemu zaczęło się dobrze powodzić w Warszawie. Mieszkał na jednej z głównych ulic, na pier-

wszem piętrze; miał salonik do przyjmowania chorych i zaczynał mieć praktykę między ludźmi zamożniejszymi. Z początku gorszono się jego niedopasowanem ubraniem i szorstkością w traktowaniu pacyentów. Lecz gdy kilka razy udała mu się kuracya, zaczęto mówić, że jest nadzwyczajnie zdolny, więc musi być nieco oryginalny.

Pewnego dnia, przed południem, do mieszkania doktora Kotowskiego, zgłosiło się dwóch panów: Pałaszewicz i Rozbijalski. Oddali bilety czysto ubranej staruszce słudze i oświadczyli, że mają do pana interes osobisty.

Doktór wytrzymał w saloniku obu panów przez kilka minut, jak przystało na szanującego się lekarza, nareszcie wyszedł i, niedbale ukłoniwszy się od progu gabinetu, zapytał:

— Który z panów życzy sobie pierwej?...

— Obaj życzymy sobie jednocześnie pomówić z panem — odparł grzecznie, pełen wykwintności pan Rozbijalski, zaczesując rudawe faworyty.

— W interesie pana Norskiego — dodał ostro niemniej elegancki pan Pałaszewicz ze sterczącemi wąsikami.

— Norskiego? — powtórzył młody doktór. — Cóż jemu jest?...

— Pan Norski cieszy się jak najlepszem zdrowiem... — odpowiedział prześlicznie wychowany pan Rozbijalski.

— Pozwoli doktór, że siądziemy — przerwał swemu towarzyszowi równie dobrze wychowany, ale mniej serdeczny pan Pałaszewicz.

— Przychodzimy zaś — ciągnął delikatnym to-

nem pan Rozbijalski — w sprawie pogłosek, które jakoby szanowny pan rozpowszechnia o panu Norskim, a które uwłaczają jego honorowi.

— Honorowi?... — powtórzył zdziwiony Kotowski.

— Chodzi o to: czy pan komukolwiek opowiadał, że pan Norski wyłudził cztery tysiące rubli od niejakiego Mielnickiego, człowieka sparaliżowanego i słabego na umyśle? — odezwał się pan Pałaszewicz.

— Pieniądze te wczoraj Mielnickiemu zostały zwrócone... Więc ani ja, ani moja narzeczona nie mamy pretensyi do pana Norskiego — odparł zmieszany Kotowski.

— Ale czy pan opowiadał o tej sprawie? — nalegał Pałaszewicz.

— Mówiłem kilku osobom, bo przecież tak było...

— Czy i z panem Solskim rozmawiał pan o tej przykrej sprawie? — zapytał łagodny Rozbijalski.

— Rozmawiałem.

— Informacye pańskie — wtrącił Pałaszewicz — nie były dokładne i zrządziły panu Norskiemu wiele szkód moralnych, skrompromitowały go... Z tego więc powodu pan Norski żąda od pana satysfakcyi honorowej.

— Jakto?... — spytał coraz mocniej zdziwiony Kotowski.

— Proszę pana — tak, że pan raczy nam przysłać swoich świadków, a my ułożymy z nimi warunki albo odwołania pogłosek, albo spotkania — rzekł Rozbijalski.

— Więc to pojedynek?!... — zawołał Kotowski.

— Prawdopodobnie.

— A jeżeli ja nie przyjmę pojedynku?... Przecież ja mówiłem prawdę...

— W takim razie pan Norski będzie miał zaszczyt zmusić pana — odpowiedział pan Pałaszewicz.

— Zmusić?... — powtórzył Kotowski.

Obaj panowie powstali, a pan Rozbijalski rzekł:

— Sądziłbym, że najlepszą rzeczą, jaką pan ma do zrobienia, jest — przysłać nam świadków. Jutro o godzinie pierwszej w południe będziemy czekać na nich w mieszkaniu pana Pałaszewicza, którego adres ma pan.

Ukłonili się i znikli tak szybko, że Kotowski przetarł oczy.

— Zwaryowali?... — rzekł do siebie. — Po cóż ja miałbym się pojedynkować z takim cymbałem?...

Tego dnia lekarz ani myślał o chorych, lecz pojechał do swego przyjaciela, adwokata Menaszki, opowiedział mu o awanturze, radząc się: czy Norskiemu i jego świadkom nie należałoby wytoczyć procesu o pogróżki?

— Ale dajże spokój! — odparł chudy i wysoki adwokat, nie posiadający na szczęście klientów. — Jedźmy lepiej do Walęckiego, to pojedynkarz, on poprowadzi interes...

— Jakto? — spytał oburzony Kotowski. — Więc ty, człowiek postępowy, zgodziłbyś się na pojedynek... zgniły zabytek wieków średnich?... i jeszcze z takim cymbałem?...

Postępowy jednak Menaszko okazał się nadzwyczajnym konserwatystą, gdy chodziło o skórę, jego przyjaciela. Rad tedy nie rad Kotowski, wzią-

wszy ze sobą adwokata, pojechał pełen trosk do Walęckiego, mrucząc przez drogę:

— Słyszane rzeczy, ażebym ja z takim cymbałem!...

Walęcki człowiek mały i krępy, ale z ognistemi oczyma, był w domu. Gdy mu opowiedziano o co chodzi, zapytał Kotowskiego:

— Dobrze pan strzelasz?...

— Ja?... Zkądże znowu!...

— Więc kup pan sobie flower i strzelaj od rana do wieczora w kartę. Już ja potrafię przeciągnąć sprawę na kilka dni.

— Ależ ja ani myślę się pojedynkować!... — wrzasnął Kotowski.

— To po cóż pan do mnie przychodzisz? — odparł Walęcki. — Najmij sobie dwu posłańców i niech oni bronią cię, jeżeli Norskiemu przyjdzie fantazya wytłuc pana kijem.

— Tak?... — odparł Kotowski. — Dobrze, będę się strzelał, jeżeli i wy jesteście przeciw mnie...

— Nie jesteśmy przeciw panu, ale co robić? — odparł Walęcki z westchnieniem.

— Mam przecie narzeczoną... w jesieni ślub... A tamten cymbał Norski...

— Jeżeli panu przeszkadza narzeczona, to zwróć jej słowo, bo nie ma innego wyjścia — prawił Walęcki.

— Jak to nie ma wyjścia?

— Po pierwsze — Norski może pana wytłuc. Po drugie — stracisz całą praktykę i miejsce u Solskiego, który nie ścierpi u siebie tchórza. Po trzecie — nikt panu nie zechce podawać ręki, a ja naj-

pierwszy. Po czwarte — sama narzeczona porzuci pana, jeżeli się ośmieszysz. Szukanie na gwałt pojedynku jest błazeństwem, ale odmawianie go jest niepraktycznością, bo od tej chwili lada osieł będzie jeździć na panu, jak na burej suce. Dla tego ucz się strzelać.

— Więc ja mam ginąć z ręki takiego cymbała?...

— Dopóki nie dowiedziesz pan, że Norski postępuje nie honorowo, nie masz prawa odmawiać mu satysfakcyi.

— A niech dyabli porwą wasze honorowe satysfakcye!... — jęczał Kotowski, chwytając się za głowę. — Oto przyjaciele!... a bodajże to pioruny!... Ginąć przez takiego osła!...

W końcu jednak upoważnił swoich przyjaciół, Walęckiego i Menaszkę, do zrobienia z jego ciałem, co im się podoba. W następstwie tej decyzyi, panowie Walęcki i Menaszko zawiadomili panów: Rozbijalskiego i Pałaszewicza, że — są do ich dyspozycyi.

Układy trwały trzy dni, w ciągu których nieszczęśliwy Kotowski, kupiwszy flower, zamiast przyjmować i odwiedzać chorych, od rana do wieczora strzelał z przedpokoju do karty, przybitej na ścianie w sypialni. Wypoczywał w tej pracy o tyle, o ile był na obiedzie u Mani Lewińskiej, która natychmiast poznała, że jej narzeczony ma jakąś zgryzotę i, w ciągu pół godziny, dowiedziała się od niego, że ma zatarg z Norskim. Narzeczony jednak był tyle ostrożnym, że nie powiedział o pojedynku.

Nadszedł wreszcie fatalny termin, a było to w piątek. O szóstej z rana panowie Walęcki i Menaszko zbudzili Kotowskiego, nalegając, ażeby pręd-

ko ubierał się, ponieważ w karecie czeka na nich doktór.

— Na dyabła doktór? — spytał, myjąc się, Kotowski.

— Możesz być ranionym...

— Tak?... — zawołał Kotowski. — Więc mam być raniony, a może nawet i zabity?... W takim razie wolę od razu nie jechać... Niech dyabli porwą takie rozprawy honorowe...

Mimo to, opłukał się z mydła, ubrał się i o wpół do siódmej wsiadł do karety, uściskawszy kolegę doktora, który miał taką minę, jakby chciał wypytać Kotowskiego o adresy jego pacyentów.

Bohater zbliżającego się dramatu przez całą podróż wyglądał oknem, lecz nie poznawał ulic, któremi przejeżdżali. Nie wypytywał również: dokąd jadą? czuł bowiem pewną ulgę, wyobrażając sobie, że plac walki znajduje się gdzieś bardzo daleko. Byłby nawet zupełnie szczęśliwy w swem opłakanem położeniu, gdyby nie zachowanie się jego towarzyszów, którzy z najzimniejszą krwią rozmawiali o teatrzykach ogródkowych, upałach, nawet o dawno minionych wyścigach, wcale nie zajmując się tem, co jego od kilku dni najbardziej interesowało.

Nagle odezwał się Walęcki:

— Chwała Bogu, już dojeżdżamy.

„Chwała Bogu!...“ — pomyślał Kotowski, przytomniej spoglądając dokoła.

Jechali brzegiem Wisły i zbliżali się do jakiegoś lasu.

Nieszczęsny Kotowski doznał w tej chwili bardzo rozmaitych uczuć: znienawidził pana Kazimierza,

a nawet Wisłę i las; gardził swoimi towarzyszami, ale nadewszystko żałował samego siebie i litował się nad sobą.

— Hola... stójcie! — zawołał.

— Czego chcesz? — zapytał go Menaszko.

— Wysiadam... Niech dyabli wezmą pojedynek...

Doktór uśmiechnął się, Walęcki schwycił Kotowskiego za ramię.

— Oszalałeś pan? — rzekł, patrząc na niego ogromnemi oczyma, w których płonęło całe piekło.

— Co ja mam narażać się dla takiego cymbała! — prawił Kotowski. — Mam narzeczoną... mam pacyentów... jestem wreszcie człowiek postępowych przekonań i nie myślę popierać zabytków zgniłej średniowiecczyzny...

— Dobrze — odparł już zniecierpliwiony Walęcki — wysiadaj pan i... powieś się! Bo po takim skandalu nie masz po co wracać do Warszawy.

— Tak? Dobrze... Więc pojadę na ten podły pojedynek. Ale pamiętajcie, że moja krew spadnie na wasze głowy.

Byli już w lasku bielańskim. Kareta zatrzymała się, wysiedli, a Kotowski spostrzegł, że jego towarzysze (Walęcki niósł w rękach skórzane zawiniątko) zaczynają okazywać mu wielką troskliwość. Wszyscy trzej rozmawiali z nim na wyścigi; ale on nie słuchał żadnego, bardziej zajmując się skórzanem zawiniątkiem, aniżeli dowcipami przyjaciół.

Przyszła mu szczęśliwa myśl do głowy.

„Co za szkoda — mówił w duchu — że niema w Warszawie Solskiego!... On, majętny kawaler. któremu dwie panny odmówiły, a przytem amator poje-

dynków, z pewnością nie oddałby mnie na łup temu rozbójnikowi... Samby się strzelał, bo wiem, że go nie lubi... Wtedy zobaczylibyśmy, ktoby potniał: Solski, czy pan Norski?... W każdym razie nie ja..."

Tak myślał, wodząc smętnym wzrokiem po Wiśle, która wydawała się bardzo szeroką, po drzewach—bardzo wysokich, nawet po niebie, które jakby zbliżyło się dziś do ziemi, choć nie przyniosło nieszczęśliwemu otuchy.

Przeciwników jeszcze nie było na miejscu. Lecz zanim Kotowski miał czas pomyśleć: może wcale nie przyjdą?... już ukazali się między drzewami, idąc tak szybko, że to nawet rozgniewało młodego lekarza.

Wymiana ukłonów — świadkowie schodzą się razem. „Może nie będzie pojedynku?" —spytał w duszy mimowolny bohater i — w chwilę później usłyszał stukanie stępli w pistoletach.

Od tego momentu biedny Kotowski już nic nie widział i nie rozumiał, o czem mówiono. Dopiero gdy Walęcki postawił go naprzeciw pana Kazimierza, szepnął:

— Może... może pan powiesz mowę?...

— Jaką?

— Więc pan chyba odwołasz?...

— Ażebyśmy się pogodzili...

— Cóż ja mam odwoływać, kiedy mówiłem prawdę — odparł Kotowski.

— W takim razie — mówił cicho Walęcki — celuj w łeb, zniżaj pistolet do biodra i nie szarp za cyngiel, tylko przyciskaj powoli. A na komendę ruszaj z miejsca...

Walęcki cofnął się do grupy świadków, a Kotowski zobaczył naprzeciw siebie nieco bladą, ale uśmiechniętą twarz pana Kazimierza.

— Marsz!

Kotowski ruszył z miejsca, lecz widząc pistolet przeciwnika skierowany ku sobie, przymknął lewe oko, a przed prawem umieścił broń w taki sposób, ażeby widzieć jak najmniej.

„O, dlaczego mój pistolet nie jest tak gruby, jak sosna!...“ — myślał.

W tej chwili pan Kazimierz strzelił, a Walęcki zaczął komenderować:

— Raz — dwa — trzy!... Halt!... Pan Kotowski traci strzał... Halt!

I tak wrzeszcząc, troskliwy sekundant przybiegł do Kotowskiego i odprowadził go na metę.

— Więc już po pojedynku? — spytał Kotowski i głęboko odetchnął.

— Cóż u dyabła, nie słyszałeś pan, że macie strzelać do trzech razy?... Ale za drugim strzałem przerwiemy, bo obaj zachowujecie się dobrze...

— Przemówże pan co... Możebyśmy się pogodzili — szepnął Kotowski.

— Celuj w łeb, zniżaj do biodra i powoli naciskaj cyngiel... — odparł Walęcki.

I odszedł do sekundatów, a przez ten czas panu Kazimierzowi podano nabity pistolet.

Teraz dopiero Kotowski spostrzegł, że lekarze już rozłożyli na trawie błyszczące narzędzia i że sekundanci stoją od niego bardzo daleko.

— Więc to tak?... — mruknął, widząc, że nawet urzędowi przyjaciele opuścili go i oddali na łaskę

i niełaskę wściekłości przeciwnika, który przestał się uśmiechać i miał złą minę.

— Marsz!

Kotowskiego opanowała rozpacz i gniew. Zrozumiał, że Norski dybie na jego skórę, a może i na życie. W oka mgnieniu uczuł w duszy lodowaty spokój. Zmierzył w głowę, zaczął zniżać lufę do biodra przeciwnika, powoli naciskając cyngiel... Strzał padł całkiem niespodzianie, a gdy w jednej chwili rozwiał się dym, Kotowski nie zobaczył naprzeciw siebie nikogo.

Jego przeciwnik leżał na ziemi, na prawym boku. Miał podkulone nogi i twarz bladą.

„Co u dyabła?...“ — pomyślał zdumiony Kotowski, nie pojmując, co się stało.

Obaj lekarze i wszyscy świadkowie pobiegli do pana Kazimierza. Kotowski stał na miejscu i patrzył. Po upływie kilku minut, przybiegł Walęcki.

— No, uczęstowałeś go pan — rzekł.

— Jakto?... — spytał Kotowski.

— Prawe płuco przejechane na wylot.

— Głupstwa pan gadasz!...

— Więc idź i zobacz.

— Ależ ja tego nie chciałem!... — jęknął Kotowski, targając sobie włosy.

— Nie o to chodzi, czegoś chciał, ale coś zrobił.

— A bodajże to najjaśniejsze pioruny!... — rozpaczał Kotowski.

Zbliżył się do nich Menaszko i obaj z Walęckim, wziąwszy pod ręce nieszczęsnego tryumfatora, gwałtem odprowadzili go do karety.

— Ja nie chciałem... nie chciałem!...

Za chwilę kareta odjechała w stronę Warszawy.

Wyzwawszy Kotowskiego na pojedynek, pan Kazimierz przypuszczał rozmaite wypadki: że jego przeciwnik padnie na miejscu, że będzie miał przestrzeloną rękę lub nogę, a nawet, że wystraszony i nieoswojony z bronią młody doktorek postrzeli którego z sekundantów. Słowem, pan Kazimierz spodziewał się wszystkiego, z wyjątkiem tej ewentualności, że — on sam może być raniony.

Upadając, pan Kazimierz nie doznał żadnego uczucia, nie wiedział: kiedy upadł, w jaki sposób i dlaczego? Ale raz znalazłszy się na ziemi, spostrzegł, że jestto zupełnie wygodna pozycya, której ani myśli zmieniać; tembardziej, że równie nagle owładnęła nim głęboka obojętność dla świata.

Gdyby można było sformułować jego ówczesne myśli, wyglądałyby one tak:

„Leżę tu (zresztą nie wiem: gdzie?) i będę leżał, dopóki mi się podoba, bo tak mi się podoba.“

Kiedy lekarze, usadowiwszy go na ziemi zaczęli rozpinać mu surdut, zdejmować kamizelkę i koszulę, pan Kazimierz postanowił im zrobić figla i udawać, że naprawdę coś mu się stało. Przymknął oczy, oparł na kimś głowę, lecz z trudnością powstrzymywał się od śmiechu. Dopiero, gdy uczuł ból pod prawą łopatką i usłyszał wyraz: „kula,“ rzekł w duchu:

„Powaryowali ci doktorzy?...“

Już nie chciało mu się otwierać oczu. Dotykano mu prawej piersi i okolicy pod prawą łopatką, a on w tych miejscach czuł ból piekący. Doznawał nieokreślonego wrażenia wewnątrz; nie był to ból,

ale jakaś zawada i obcość. Chciało mu się kaszlać, zaczęło mdleć, uczuł gorąco, zimny pot na całem ciele i w tej chwili był bardzo nieszczęśliwy. Ale przytomności nie tracił; nie chciał tylko okazywać, że ją posiada, ponieważ było mu wszystko jedno.

Przez ten czas, który jednak ciągnął się blizko godzinę, lekarze podtrzymywali pana Kazimierza, a jego przyjaciele pobiegli w stronę klasztoru. Znaleźli jakiś dom, w którym można było wynająć pokój dla chorego i wrócili do lasu z tapczanem, który niosło dwóch ludzi.

Teraz pan Kazimierz otworzył oczy i rzekł:

— Po co to?...

Chciał dodać: „ja sam pójdę..." ale ostry ból w prawem płucu nie pozwolił mu dokończyć. Ogarnęło go przerażenie i pół-sen, podczas którego zdawało mu się, że się huśta i że go mdli. Niewielkie te przykrości były tak drażniące, że pan Kazimierz uczuł na twarzy dwa strumienie łez, poczem — znowu było mu wszystko jedno.

Kiedy ocknął się, zobaczył wybieloną izbę, w której przy prostym stole siedzieli obaj lekarze. Okno naprzeciw pana Kazimierza było zasłonięte płachtą. Później (chory stracił zdolność oznaczania czasu) jakiś nieznany człowiek, przy pomocy starej kobiety, kładli mu pęcherze z lodem: jeden pod łopatką, drugi na piersi.

Pan Kazimierz chciał się o coś pytać; zamiast tego odkaszlnął i uczuł tak przykry ból, że postanowił już nigdy nie kaszlać. Spostrzegł też, że ów ból nieznośny przeszywa mu pierś za każdem śmiel-

szem odetchnięciem; więc postanowił wcale nie oddychać, albo oddychać jak najostrożniej.

Od tej chwili najważniejszem zajęciem pana Kazimierza stało się oddychanie, źródło wielkich bólów, obaw, ale i przyjemności. Zdawało mu się, że na jego piersiach leży cierpienie w postaci węża. Chłodny potwór spał; lecz ile razy pan Kazimierz spróbował odetchnąć pełniej, wąż zapuszczał mu w ciało kły, podobne do rozpalonego gwoździa. Na samą myśl o denerwującym bólu pan Kazimierz truchlał i cały swój dowcip wysilał na to, ażeby nie odetchnąć głębiej. Przygryzał wargi z radości, ile razy udało mu się oszukać śpiącego węża, a o mało nie wyskoczył z pościeli, gdy wynalazł sposób oddychania dolną częścią płuc. Nie było to oddychanie porządne, ale — nie wywoływało bólu.

Tymczasem nieznajomy człowiek i kobieta zmieniali mu pęcherze z lodem: jeden pod łopatką, drugi na piersiach. Niekiedy widywał pan Kazimierz pochyloną nad sobą twarz lekarza, który z jego strony asystował przy pojedynku.

Później ogarnął chorego pół-sen z marzeniami. Zdawało mu się, że jest uczenicą na pensyi swojej matki, której profesor (czy nie Dębicki?...) każe wydawać lekcye o Kotowskim. Kotowski?... Kotowski?... — powtarza zakłopotany pan Kazimierz, czując, że coś wie o tym przedmiocie, tylko nie może sobie przypomnieć: czy to jest człowiek, czy maszyna, czy może jaka część świata?...

Kotowski?... Kotowski?... — myśli pan Kazimierz, czując w całem ciele upał ze strachu, że dostanie zły stopień.

Raz usłyszał rozmowę:

— Pluje krwią? — pytał gruby głos.

— Ledwie parę razy.

— A gorączka?

— Bardzo mała i już przechodzi.

Pan Kazimierz otworzył oczy i zobaczył tęgiego mężczyznę z brodą. Był to Korkowicz. Chory poznał go, ale nie pamiętał nazwiska. Natomiast rozumiał doskonale, że gdyby mógł przypomnieć sobie nazwisko tego pana, wówczas bez błędu wydałby lekcyę o Kotowskim i może dostałby piątkę.

Był bardzo zmartwiony swoją niepamięcią, tudzież nadzwyczajnemi powikłaniami, które napełniały całą izbę, siadały na oknach, na stołkach, na piecu, a nawet właziły mu pod kołdrę.

Później — pan Kazimierz przestał martwić się lekcyą o Kotowskim, nie wyobrażał sobie, że jest uczenicą, nawet nie marzył, tylko spał.

Kiedy pojono go mlekiem, albo winem, czuł niesmak w ustach; kiedy go poprawiano na łóżku, zdawało mu się, że jego ręce i nogi są z ołowiu, a trzymają się tylko na nitkach. Był bardzo zmęczony i zniechęcony, a chciał tylko spać. Miał nawet zamiar powiedzieć, ażeby mu nie przeszkadzano; dał jednak spokój, przekonawszy się, że otworzenie ust i obrócenie językiem jest zbyt wielką pracą.

Dopiero w ósmym dniu choroby, ku wieczorowi, ocknął się. Uczuł rzeźwość, a spostrzegłszy w izbie nieznajomego człowieka, nagle odezwał się.

— Cóż tu, u dyabła, tak cicho?...

— O... to pan mówi?... — odparł nieznajomy tonem wielkiego zdziwienia.

— Kto pan jesteś?... — mówił pan Kazimierz, poprawiając się na poduszce. — Czy niema tu nikogo ze znajomych?... Co się to dzieje?...

— Ja jestem felczer — odparł tajemniczy nieznajomy. — Ale na dworze jest pani, co już trzeci dzień przyjeżdża dowiadywać się o pana.

— Pewnie moja siostra... Puścież ją...

Felczer wyszedł, a panu Kazimierzowi zdawało się, że zbyt długo nie wraca. Wtem otworzyły się drzwi i wbiegła jakaś osoba w czarnem okryciu, zasłonięta gęstym woalem. Prędko zbliżyła się do łóżka, upadła na kolana i, odsunąwszy woal, zaczęła całować zwieszoną rękę pana Kazimierza.

— Już myślałam — szepnęła — że nas pochowają w jednym grobie...

To była Ada Solska.

XVI.

Nowy horyzont odsłania się.

Spacer w ogrodzie Botanicznym przekonał Madzię, że pan Kazimierz potrafi być niesmacznym rozpustnikiem. Przekonał też, że ona nigdy nie kochała syna swej przełożonej, jeżeli jego pocałunki obudziły w niej tylko zdziwienie i wstręt.

Ale ostatnia wizyta pana Kazimierza u Madzi, pokazała jej charakter energicznego wielbiciela w nowem świetle. Pan Kazimierz był egoistą; tak głębokim, tak naiwnym egoistą, iż nawet nie ukrywał

swej uciechy, gdy z anonymu domyślił się, że kocha go bogata panna Solska.

Raz już widziała go Madzia tak szczerze zadowolonym, gdy w domu państwa Arnoldów zapewniła Helenę, że nie wyjdzie za Solskiego. Jak on się wtedy cieszył!... Jak, w oka mgnieniu, inaczej zaczął traktować Madzię...

Egoista! Słówko to setki razy obiło się Madzi o uszy, ale dziś dopiero odczuła jego znaczenie. Egoista to kamień, który tylko wówczas ożywia się i pięknieje, gdy sam cierpi, albo gdy może kogo wyzyskać. Ale dla cudzej niedoli jest głuchy, ślepy, nieczuły, nawet okrutny.

„Jak on gniewał się na mnie, że odwiedziłam Stellę i jej dziecko — pomyślała Madzia. — Lichy to człowiek!...“

W tej chwili Madzia poczuła gorycz i chłód. Zaczęła przypuszczać, że wszyscy ludzie są egoistami i że w tej pustyni kamiennych serc, zaledwie parę osób z Iksinowa, dom Solskich i gromadka szarytek były oazami.

Panna Eufemia, jej matka, pani Korkowiczowa, Żaneta, Helena, Zgierski i mnóstwo, mnóstwo innych osób, czy to nie egoiści?

— Ach, gdyby już Zdzisław odpisał!... — rzekła do siebie.

Niebawem zaszły drobne, ale charakterystyczne wypadki, które utwierdziły Madzię w przekonaniu, że egoizm jest najwyższem prawem świata.

Nazajutrz po wizycie pana Kazimierza, w domu, w którym Madzia miała zajęcię od godziny 12-ej do 2-ej, po lekcyi weszła do pokoju uczenic ich matka,

osoba dowcipna i przyjemna w kółku znajomych, ale opryskliwa i nieubłagana dla służby i nauczycielek. Pani ta, ubrana szykownie, kazała odejść panienkom i rzekła do Madzi, patrząc na nią w sposób impertynecki:

— Namyśliłam się. Córki moje może nie będą teraz zdawały egzaminu. Więc... żegnam panią, a oto należność...

Podała Madzi zwitek papierków i, kiwnąwszy głową, odeszła.

Madzia ledwie nie wybuchnęła płaczem. Na szczęście uratował ją nowy pogląd, że światem rządzi egoizm i — opanowała się. Wyszła do przedpokoju, gdzie nikt nie podał jej okrycia, a znalazłszy się na schodach, policzyła dane jej pieniądze!...

Brakowało dwóch rubli; ale Madzia zamiast martwić się, roześmiała się. Dziwny postępek dystyngowanej damy był dla niej jasny.

Egzamina miały odbyć się za tydzień; Madzia z uczennicami już przeszła kurs i — powtarzała. Usuwając ją w tak brutalny sposób, chlebodawczyni chciała zrobić oszczędność i zrobiła podwójną. Nie potrzebowała płacić za ostatni tydzień i — nie dopłaciła dwóch rubli za lekcye już odrobione.

Madzia dużo słyszała o tej pani, u której po kilkadziesiąt osób bywało na przyjęciach, lecz której złorzeczyły szwaczki, służba i nauczycielki: każdej bowiem urywała choćby po kilka złotych.

Wszystko to było prawdą. Ale jeszcze tydzień temu Madzi nie przyszłyby podobne myśli. Gdyby ją przed tygodniem pożegnano w taki sposób, przy-

pisywałaby winę sobie, zalałaby się łzami, wpadłaby w rozpacz.

Dziś śmiała się z ludzkiego egoizmu, który jeżeli nie ma sposobności konkurować o krociową pannę, przynajmniej w porę pozbywa się nauczycielek i oszczędza na nich dwa ruble.

„Ach, gdyby Zdzisław odpisał!... — myślała. — Może tam, gdzie on mieszka, ludzie są inni... Wreszcie są to biedacy, którzy umieją być wdzięcznymi.“

Przypomniała sobie rodzinę nauczyciela w Iksinowie, Cecylię, Stellę, praczkę z domu Korkowiczów... Wszyscy oni okazywali jej miłość, bo też *tylko ona* była im życzliwa, im opuszczonym, lub cierpiącym.

I otóż w tej chwili zaszła w niej wielka zmiana, a stało się to nagle, wśród pełnego dnia, na ruchliwej ulicy. Serce jej odwróciło się od zamożnych i zadowolonych, do opuszczonych i cierpiących. W tej chwili jasno zrozumiała (o czem instynkt ostrzegał ją od dzieciństwa), że dopiero wówczas będzie naprawdę szczęśliwą, gdy potrafi poświęcić życie opuszczonym i cierpiącym. Wiedziała, że jeżeli do którego z nich los uśmiechnie się, porzuci ją bez podziękowania i zapomni bez żalu. Ale cóż to szkodzi? Przecie samotnych i zbolałych nie zabraknie nigdy, a ona tym tylko chce służyć.

„Ach, gdyby ten Zdzisław prędzej odpisał!... — mówiła do siebie. — Za kilka lat wrócilibyśmy tutaj. Byłabym opiekunką, lekarką, nauczycielką jego robotników, a gdyby oni mnie nie potrzebowali, gdzież jest taka okolica, w której brakłoby nieszczęśliwych?... Ten głodny, ten obdarty, tamten chory, inny nie

może zająć się własnemi dziećmi... Oto moje królestwo, nie salony, w których hoduje się egoizm...“

Upłynęła doba spokojnie, ale w Madzi z godziny na godzinę wzrastała gorycz. Chwilami zdawało się jej, że i w drugim domu wymówią jej lekcye. Nie wymówiono jednak; owszem, witano i żegnano ją uprzejmie. Bo też ten dom był nie bogaty; nie odbywały się w nim przyjęcia na kilkadziesiąt osób i nie było możności przerzucać nauczycielek.

Lecz następnego dnia, o dziewiątej rano, wpadła do Madzi zmęczona i zgorączkowana Mania Lewińska.

— Ach, moja droga, moja jedyna — zawołała Mania, rzucając się Madzi na szyję — ty tylko możesz nas uratować...

— Cóż się stało? — spytała Madzia spokojnie, a w duchu rzekła:

„Może Kotowski dostał dymisyę, a ta biedaczka, dla uratowania go, każe mi wyjść za Solskiego?“

— Wyobraź sobie, moja droga — mówiła Mania Lewińska — że Władek Kotowski ma jakieś nieporozumienie z tym nieznośnym panem Norskim...

Jakże daleko odsunęły się czasy, kiedy Mania Lewińska, klęcząc przed Madzią, nie śmiała nazywać jej inaczej tylko panią!

— Jakieś ważne nieporozumienie — ciągnęła Mania.

Madzia spojrzała na nią zdziwiona. Panna Lewińska prawiła dalej:

— Władek nie chce mi nic powiedzieć... ale ja jestem bardzo, bardzo niespokojna... Ty jesteś serdeczną przyjaciółką pana Norskiego, więc wybadaj

go: o co to chodzi?... no, i ułagódź!... Przecież my nie długo mamy pobrać się z Władkiem, więc, gdyby, broń Boże, pojedynek...

W tem miejscu panna Lewińska zaniosła się od płaczu. Ale Madzię nie wzruszyła jej rozpacz, a rozdrażniło żądanie.

— Zmiłuj się Maniu — odparła — nie tak dawno prosiłaś mnie o protekcyę dla pana Władysława u Solskiego, który miał być moim narzeczonym... Dziś wysyłasz mnie znowu do pana Norskiego... Z jakiej racyi?...

— Wy tak z sobą dobrze żyjecie... — szlochała Mania. — Jesteś jego przyjaciółką... on bywa u ciebie... chodzisz z nim na spacery...

Płakała tak, że Madzi żal się zrobiło.

— Słuchaj, Maniu—rzekła, tuląc zrozpaczoną.— Pan Norski już nie bywa u mnie... obraził się... Ale nie płacz. On w tej chwili raczej myśli o ożenieniu się, aniżeli o pojedynkach... Bądź zatem spokojna.

Mani Lewińskiej odrazu obeschły śliczne oczy.

— Tak?... — rzekła. — Więc i on się żeni?... A, chwała Bogu... chwała Bogu!... Kto myśli żenić się, temu nie przychodzą do głowy takie straszne zamiary, jak pojedynek...

— Wreszcie, moja droga, z jakiego powodu miałby być pojedynek między tymi panami, kiedy oni bodaj że się nie znają? — spytała Madzia.

Wówczas Mania Lewińska zaczęła opowiadać, że jej wuj, Mielnicki, uznał się dłużnikiem nieboszczki pani Latter, co nie zdaje się być prawdą, że skutkiem tego przeznaczył dzieciom nieboszczki 4,000 rubli, które w najkrytyczniejszej chwili podniósł pan

Kazimierz. Dodała jednak, że owe 4,000 rubli z procentami zwrócił im w imieniu pana Kazimierza pan Korkowicz i że Helena Norska już wyszła za mąż za młodego Korkowicza.

Madzia, słuchając, uczuła dla pana Kazimierza litość i pogardę. Ona wiedziała, że Mielnicki nie był dłużnikiem pani Latter.

Po tej rozmowie obie panny pożegnały się serdecznie. We wspomnieniach Madzi pan Kazimierz był zagrzebany na wieki. Mania Lewińska wróciła do domu uspokojona, słusznie rozumując, że jeżeli pan Kazimierz myśli się żenić, to nie może narażać się na pojedynek z Kotowskim, który zresztą, jako lekarz, postępowiec i człowiek pełen energii, mógłby narobić swemu przeciwnikowi wielkiego nieszczęścia.

„Także miałam się czego martwić! — myślała Mania Lewińska, idąc ulicą, gdzie wszyscy panowie oglądali się za nią. — Chybaby oszalał ten Norski, gdyby wyzwał Władka na pojedynek... Władka, którego ja nawet boję się czasem!...“

Upłynęło znowu parę dni spokojnie.

W sobotę, kiedy Madzia skręcała z Marszałkowskiej na Królewską, zajechał jej drogę lekki powozik. Z powozu wyskoczył pan Korkowicz ojciec i, schwyciwszy ją za rękę, zaczął mówić:

— Jakże się pani ma!... Jak to dobrze, że panią spotkałem... Jestem w takim kłopocie...

„Czy znowu chce, ażebym u nich była nauczycielką?...“ — pomyślała zdumiona Madzia.

— Wyobraź sobie pani — prawił zadyszany — że ten osieł, Norski, miał wczoraj pojedynek z doktorem Kotowskim, no i dostał kulą w piersi... na wylot!...

— Kto?... — zawołała Madzia.

— Naturalnie, że Norski. Ten Kotowski, to wściekłe zwierzę... Darował mu pierwszy strzał, a za drugim tak kropnął Kazieczka, że leży bestya bez przytomności w chałupie na Bielanach... Ale... ale... mój Bronek już ożenił się z panną Heleną Norską. Ona mu dopiero da!... ona mu dopiero pokaże!... — wołał, aż ludzie oglądali się na ulicy. — Majestatyczna kobieta. Jak Boga kocham, sambym się z nią ożenił... Za rok jużby mnie nie było na świecie; ale cobym użył...

— Ale... — wtrąciła Madzia.

— Przepraszam. Otóż ranny, choć to gałgan większy od mego Bronka, zawsze jednak jest dystyngowanym człowiekiem, naszym kuzynem i, jeżeli nie mają go dyabli wziąć, potrzebuje pilnego dozoru... macierzyńskiego!... Felczer i baba, która jest przy nim, nie wystarczą... A że pani podobno znasz się z zakonnicami od świętego Kazimierza (tak przynajmniej twierdziła moja żona, która teraz jest na wsi), więc kochana panno Magdaleno...

— Cóż ja mogę zrobić?...

— Idź do tych zakonnic i poproś, ażeby wydelegowały jedną, czy dwie, do pilnowania tego osła... Zapłacę, ile zechcą: trzysta, pięćset rubli... Przecie chłopca nie można tak zostawić, boć to szlacheckie dziecko... z wielkich panów... A z takim, to jak z angielskim prosięciem: jeżeli natychmiast nie dasz mu weterynarza, lepiej dorznąć... No i cóż?...

— Owszem, pójdę do świętego Kazimierza — odparła Madzia.

— Niech cię Bóg błogosławi, panno Magdaleno!—

zawołał stary piwowar. — Odwiózłbym cię tam, ale muszę gnać do chirurga, a z nim na Bielany... Zaś mojej synowej nie zawiadomię o nieszczęściu, bo zepsułbym Bronkowi miodowy miesiąc, a to taka bestya zawzięta, że narobiłby nowych długów ze zmartwienia... Bądź pani zdrowa... całuje rączki!

Uścisnął Madzię za rękę i wskoczył do powoziku, który ugiął się pod jego ciężarem. Niecierpliwe konie, przysiadłszy na zadach, ruszyły z miejsca.

Madzia była tak przerażona, że, zamiast do Krakowskiego Przedmieścia, poszła w stronę ulicy Granicznej. Dopiero po kilkuset krokach ocknęła się i zawróciła.

„Miał pojedynek?... więc niesłusznie posądziłam go, że poluje na bogatą pannę. Przestrzelili mu pierś, jak Cynadrowskiemu... Może i on umrze?... śmierć, dokoła śmierć!... Jakieś przestrogi, tem straszniejsze, że nie wiem: zkąd pochodzą...“

Serce gwałtownie jej biło, uczuła zawrot głowy, więc na rogu placu Ewangelickiego napiła się wody sodowej u przekupki, utrzymującej syfon pod gołem niebem. Woda uspokoiła ją.

„Ciężko raniony — myślała Madzia — leży na Bielanach pod opieką felczera i baby... Cierpi i jest opuszczony, prawie jak Stella!... Gdyby tu była Helenka, czuwałabym razem z nią... Chociaż... Może pomyślałby, że kocham się w nim i chcę wydać się za mąż?...“

Była tak osłabioną, że wsiadła w dorożkę i kazała jechać do świętego Kazimierza. W kilka minut później czekała na matkę Apolonię w parlatoryum,

które dziś już nie robiło na niej przykrego wrażenia. Może mniej zwracała uwagi.

Wkrótce w sieni rozległy się posuwiste kroki i weszła staruszka.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... Jak się masz, moje dziecko? Widzę, że nie zapomniałaś o mnie; a może znowu masz jaką protegowaną śpiewaczkę... O, ale jesteś mizerna — mówiła zakonnica, ściskając Madzię.

— Jestem zmartwiona i przestraszona — odparła Madzia i opowiedziała staruszce o celu swojej wizyty.

Matka Apolonia słuchała z uwagą; ale twarz jej sposępniała, a wielki kapelusz zaczął się chwiać pospiesznie.

— Moje dziecko — rzekła zakonnica po chwili — wprawdzie człowiek, raniony w pojedynku, jest jak samobójca... No, ale za to Pan Bóg będzie go sądził... Otóż nie śmiałybyśmy odmówić państwu Korkowiczom podobnej usługi, gdyby nie brak siostr. Mamy ich tak mało, że nie możemy delegować do osób prywatnych, bez uszczerbku dla szpitali. Niech tego pana przewiozą do szpitala. Ale ty źle wyglądasz?...

— Przeraził mnie ten wypadek... Pani pewnie widywała rannych: czy człowiek z przestrzeloną piersią może żyć?...

— Wszystko zależy od Boga. Gdy Bóg chce kogo ocalić, ocali, mimo najcięższych okaleczeń. Zresztą, mężczyzni są jak koty: przestrzelą mu głowę, szyję, piersi, a on przychodzi do zdrowia, jeżeli

się tak Bogu podoba. Niepotrzebujecie się państwo niepokoić.

Staruszka pilnie przypatrywała się Madzi, nagle rzekła, biorąc ją za rękę:

— Eee... moje dziecko... tylko już mi się ocknij... Chodź ze mną, pokażę ci nasz instytut... Nie można tak przejmować się wypadkami, które lekkomyślny człowiek dobrowolnie ściąga na swoją głowę... Ale prawda, wy, świeckie damy, śmiałe w salonowych rozmowach, których nie każda z nas odważyłaby się słuchać, tracicie głowę przy chorych...

Tak mówiąc, matka Apolonia zaczęła oprowadzać Madzię po gmachu. Pokazała jej skromną kapliczkę, przed której drzwiami przechodzące szarytki padały na kolana, schylając białe kapelusze. Potem obeszły duże sypialnie sierot, małe pokoiki zakonnic, gdzie stało po kilka łóżek zasłoniętych firankami. Następnie przeszły do sal, gdzie sieroty, na podziw dobrze wyglądające, uczyły się szyć i łatać bieliznę.

Wszędzie uderzała Madzię olśniewająca czystość i spokój, dziwny spokój, który koił głęboko wstrząśniętą jej duszę. Zdawało się jej, że wszystkie troski, gorycze i bóle zostawiła za progiem tego szczególnego domu, którego mieszkanki robiły wrażenie krzątających się mrówek.

— Tu jest nasz refektarz — mówiła matka Apolonia, otwierając pokój o dwu oknach. — Przy tym stole siedzą: matka wizytatorka, matka asystentka, siostra ekonomka i podekonomka. Przy tamtych dwu stołach mieszczą się siostry kornetowe, a za tym

pulpitem jedna z nich czyta w czasie obiadu przypadające na dzień rozmyślania...

— Panie nie rozmawiają przy obiedzie?

— Ależ do czego byłoby to podobne! — odparła zgorszona matka Apolonia. — My w ogóle mało rozmawiamy, bo niema czasu... A tu, widzisz, jest kapliczka do odprawiania modlitw wieczornych...

— Cóż panie robią w instytucie?... — przepraszam, że zapytuję...

— Wszystko. Dozorujemy kuchni, pierzemy, myjemy podłogi, szyjemy bieliznę, suknie, pościel... Wszystko co nam potrzeba, robimy same.

— A kiedyż panie wstają?

— Kładziemy się o 9-ej wieczór, wstajemy o 4-ej rano. Potem msza święta i — do pracy...

— A młode siostry i kandydatki robią to samo?

— Jeżeli nie więcej—mówiła matka Apolonia.— Chcemy, ażeby przekonały się, że życie nasze nie jest łatwe. To też zostają tylko te, które naprawdę mają powołanie.

— Ach, piękne powołanie, ale ciężkie... Czy żadna z tych pań nie żałuje swego wejścia tutaj?... Niektóre takie ładne... Może nie jedna wolałaby zostać żoną i matką, nie zaś opiekunką cudzych dzieci...

— Alboż my zatrzymujemy te, którym trafia się wyjść za mąż?... — odparła zdziwiona matka Apolonia. — Owszem, z naszych nowicyuszek, nawet sióstr kornetowych bywają dobre żony. Ale nie każdą wabi świat... Taka woli być siostrą cierpiących, matką sierot i oblubienicą Chrystusa...

Madzia cofnęła się.

— Oblubienicą Chrystusa!... — powtórzyła zdławionym głosem.

— Co tobie dziecko?... — zawołała matka Apolonia, chwytając ją za rękę.

Madzia oparła się o ścianę i przetarła oczy. Po chwili odpowiedziała z uśmiechem:

— Śmiałam się z osób nerwowych... Ale dziś widzę, że sama mam nerwy...

Przestraszona szarytka zaprowadziła Madzię do jakiegoś pokoiku, usadowiła na kanapie i wybiegła na korytarz. Wkrótce powróciła, niosąc kieliszek cienkiego wina i parę sucharków.

— Napij się dziecko — mówiła — zjedz trochę... Może ci czczo?... Tobie coś jest... Bój się Boga, powiedz wszystko, jak matce...

Wino i sucharek przywróciły energię Madzi. Odzyskała humor i, naturalnym głosem, zaczęła mówić:

— Ach, proszę pani, to nic strasznego... Tylko było tak. Raz weszłam na posiedzenie pewnej jasnowidzącej, w chwili kiedy spała. Gdy weszłam, ona zwróciła się w moją stronę i powiedziała mniej więcej te słowa: „oto oblubienica... ale oblubieńca nie widzę, choć jest wielki i potężny.“ Więc teraz, kiedy pani wspomniała o oblubienicach Chrystusa, zrobiło mi się coś dziwnego...

— Zlękłaś się, ażebyśmy cię nie zatrzymały u siebie, a może i nie zamurowały w jakiej komórce! — odparła, śmiejąc się, staruszka. — Bądź spokojna. Tyle zgłasza się do nas kandydatek, że ledwie mogłybyśmy przyjąć czwartą część ich, gdyby było miejsce. Nie my wciągamy, ale nas proszą.

— To i mnie nie przyjęłybyście panie, gdybym kiedy namyśliła się wejść? — wesoło zapytała Madzia.

— Takich, które dopiero muszą namyślać się, wcale nie przyjmujemy.

— A jakież?

Staruszka zadumała się.

— Widzisz — zaczęła po pauzie — my, szarytki, jesteśmy ułomne istoty, zwyczajnie jak ludzie; może nawet gorsze i z pewnością gorsze od innych ludzi. Ale, wszystkie osoby, należące do tego zgromadzenia, mają jedną wspólną cechę; nie wiem, czy to wrodzony instynkt, czy niezasłużona łaska Boża... Oto, w każdej z naszych sióstr, nad jej osobistemi skłonnościami, góruje — chęć służenia bliźnim, opuszczonym i cierpiącym. Wiem, że panie światowe mają daleko więcej serca aniżeli my; że są lepsze, ukształceńsze, delikatniejsze i czulsze od nas. My jesteśmy proste kobiety, już oswojone z niedolą, niekiedy zmęczone; więc to, co u światowych osób jest naprawdę poświęceniem, dla nas jest potrzebą istnienia, prawie egoizmem. Z tego powodu nasze nibyto zasługi w obec bliźnich, nie są żadnemi zasługami; jak całoroczna zieloność sosny nie jest jej cnotą w porównaniu z drzewami, które na zimę tracą liście. Z tego powodu człowiek światowy jednym dobrym uczynkiem może zdobyć Królestwo Niebieskie, którego my nie zdobędziemy nosząc całe życie habit i pielęgnując chorych. Jak ptak rodzi się do latania, tak osoba, mająca kiedyś, za łaską Bożą, zostać szarytką, rodzi się do służenia cierpiącym. Kto tego powołania nie ma w duszy, nie będzie zakonnikiem, choćby go zamurowano w klasztorze. I ty,

moja droga, choć jesteś dobra i miłosierna dla biednych, nie zostaniesz szarytką.

Madzia zarumieniła się i spuściła oczy. Ona nie ma powołania na szarytkę!... Ależ całe jej dotychczasowe życie było ciągłem rwaniem się do tego, ażeby służyć nieszczęśliwym...

— Ty, kochanko, zostaniesz na świecie — mówiła staruszka — a tam więcej zrobisz dobrego ludziom i łatwiej uzyskasz Królestwo Niebieskie, aniżeli my tutaj.

— Więc tylko tego trzeba, ażeby wejść do klasztoru?... — szepnęła Madzia.

— Przedewszystkiem, to nie jest klasztor, tylko zgromadzenie, z którego nawet występują siostry — objaśniła matka Apolonia. — Powtóre, odpowiem ci na pytanie.

Ażeby zostać szarytką, nie wystarcza potrzeba służenia bliźnim. Poświęcać się można i na świecie, nie wyrzekając się swobody i godziwych rozrywek. Tymczasem u nas życie jest zamknięte i surowe, praca duża i brak swobody, za którą tak bardzo tęsknicie. Z tego powodu tylko dwie kategorye osób zgłaszają się do nas i znajdują szczęście: albo takie, które świat zniechęcił, karmiąc je zbyt wielką goryczą, albo te, które myśląc ciągle o Bogu i życiu wiecznem, nic nie znajdują dla siebie między rzeczami doczesnemi.

— Gdybyż tamten świat istniał!... — mimowoli szepnęła Madzia.

Staruszka cofnęła się, przeżegnała, lecz po chwili rzekła łagodnie:

— Biednaś ty, moje dziecko. Ale, zdaje mi się,

jesteś tak dobra i niewinna, że Bóg nie odmówi ci swej łaski.

Madzię znowu na mgnienie oka przeniknął strach. Przypomniały jej się groźne słowa matki Apolonii, że—niekiedy sam Bóg zastępuje drogę ludziom, ażeby ich nawrócić.

Wypocząwszy i orzeźwiwszy się, Madzia pożegnała staruszkę. Szarytka serdecznie ucałowała ją, ale w jej fizyognomii i tonie czuć było, że ma żal do Madzi.

— A przychodź-że do nas... nie zapominaj!... — rzekła matka Apolonia.

Kiedy Madzia wyszła na ulicę, uczuła jakby cień tęsknoty za poczciwą zakonnicą, za spokojnym gmachem, za czystością jego korytarzy, za gromadą dziewczynek sierot, za zielonością ogrodu i ciszą. Ciszą, której tam tak było pełno, że strumieniami wlała się w duszę Madzi.

Gdyby szarytki wynajmowały mieszkania w swoim instytucie, sprowadziłaby się do nich natychmiast.

„Gdybym była szarytką — rzekła do siebie Madzia — mogłabym dozorować pana Kazimierza bez obawy podejrzeń i plotek...“

I może nie myślałaby o Solskim, z którego chwilowemi, lecz natrętnemi wspomnieniami coraz częściej przychodziło jej walczyć.

„Ach, niechże już Zdzisław odpisze!... — myślała. — Przecie mógłby odpisać do tej pory...“

Reszta dnia upłynęła Madzi na męczącem oczekiwaniu jakichś złych nowin; zdawało jej się, że

lada chwila doniosą jej o śmierci pana Kazimierza, o nowym pojedynku, może o chorobie ojca?...

Czekała i czekała rozgorączkowana; serce jej biło, ile razy wchodził kto na schody szybszym krokiem... Ale złych nowin nie było.

„Jestem rozdrażniona — mówiła do siebie. — Ach, gdyby można wyjechać na wieś!... Gdyby mi poczciwe zakonnice pozwoliły codzień przez kilka godzin posiedzieć w ich ogródku—już byłabym zdrowsza...“

Tej nocy Madzia nie spała, tylko drzemiąc, marzyła. Zdawało jej się, że ogląda jakąś panoramę, w której po za szkłami przesuwają się cienie nadnaturalnej wielkości: pan Kazimierz, Cynadrowski, Stella i pani Latter. Jednocześnie jakiś głos, monotonny i znudzony, prawił w formie objaśnień:

„Oto, co jest warte życie ludzkie!... Pani Latter, uwielbiana i podziwiana przez wszystkich, jest garścią prochu... Na mogile Cynadrowskiego już zwiędły kwiaty, posadzone ręką Cecylii... Stella, w której kochała się młodzież iksinowska, a panny zazdrościły jej oklasków i bukietów, leży w bezimiennym grobie... Kazimierz Norski, taki piękny, zdolny i szczęśliwy, wkrótce zamieni się w tlen, wodór, tłuszcz i żelazo... Oto jest życie ludzkie!...“

Madzia budziła się, patrzyła na ścianę, na którą z okna padał blask gwiaździstej nocy i myślała:

„Czy jest na świecie panna w moim wieku, której sen płoszą takie dziwaczne widziadła?...“

Ale że już zobojętniało jej cierpienie, więc znowu przymykała oczy, ażeby zobaczyć inne cmentarne sceny i usłyszeć znudzony i smutny głos, który mó-

wił o nędzy ludzkiego życia, a później — nawet nie wiadomo o czem.

„Jeżeli Zdzisław nie odpisze mi, oszaleję, albo zabiję się!... — myślała Madzia. — I pewno, że zabiję się... Wszystko mi śmierć zapowiada...“

Nazajutrz w południe Madzia poszła do panny Malinowskiej, która już wróciła ze wsi. Pomimo niedzieli, na pensyi było gwarno; na korytarzach snuły się panienki z matkami, biegali nauczyciele, omijały Madzię damy klasowe, tak zajęte, że nie miały czasu nawet przywitać się z nią.

Już Madzia, ażeby nie zabierać czasu przełożonej, chciała cofnąć się i wrócić za kilka godzin, kiedy ukazała się panna Malinowska i zaprowadziła ją do swego pokoju.

— Głowa mi pęka!... — mówiła zaaferowana przełożona. — Od dwóch dni wróciłam ze wsi i odrazu wpadłam jak do młyna... Cóż, jakże się pani ma, panno Magdaleno?...

Była zmieszana i zakłopotana, ale Madzia przypisała to nadmiarowi zajęć powakacyjnych. Aby więc nie zabierać czasu przełożonej, rzekła:

— Przychodzę przeprosić panią, że pewnie nie będę mogła być tu damą klasową...

— Doprawdy?... — przerwała panna Malinowska i pochmurna jej twarz rozjaśniła się. — Jakież pani ma zamiary?

— Chcę jechać do mego brata, który jest dyrektorem fabryk pod Moskwą. A za parę lat wrócimy tu... Brat założy fabrykę, ja będę mu gospodarowała i otworzę szkółkę dla dzieci naszych robotników...

— Wybornie robisz, że jedziesz do brata! — zawołała z niezwykłem ożywieniem panna Malinowska. — Zamiast twardego chleba nauczycielki, będziesz miała własny dom, możesz wyjść za mąż, a nadewszystko usuniesz się z Warszawy... Nieznośne miasto!... Cóż, kiedy chcesz jechać?

— Lada dzień czekam na list od brata. Może za tydzień wyjadę...

— Życzę ci powodzenia — mówiła przełożona, całując Madzię. — Bardzo dobra myśl. A wstąpże do mnie, przed wyjazdem i... uciekaj, uciekaj ztąd jak najdalej!...

Panna Malinowska pobiegła do kancelaryi; Madzia, wracając do domu, zastanawiała się:

„Co to znaczy?... Dlaczego ona każe mi uciekać z Warszawy?... Ach, rozumiem!... Już i ją męczy bakalarstwo, tem więcej dziś, kiedy ze wsi wpadła w chaos... Ale ma słuszność, że Warszawa jest nieznośna...“

Teraz dla Madzi zaczęły się przykre czasy. Już i w drugim domu, z powodu wejścia panienek na pensyę, skończyły się lekcye, tak, że oprócz paru godzin z siostrzenicą Dębickiego, Madzia nie miała zajęcia.

Każdego poranku trapiła ją niepokonana chęć wyjścia, ale — po co i dokąd? Siedziała więc samotna w domu, trwożąc się, że nic nie robi, gdy inni pracują i czekając na list od Zdzisława.

„Dziś z pewnością przyjdzie — myślała. — Nie było z rana, więc będzie po południu... Nie było dziś, więc niezawodnie jutro...“

Ile razy na trzeciem piętrze pojawił się listo-

nosz, którego kroki już poznawała Madzia, biegła rozgorączkowana do drzwi.

— A do mnie ma pan list?... — pytała. — Do Brzeskiej?

— Niema, proszę pani — odpowiadał listonosz, kłaniając się i uśmiechając.

— To nie może być!... Niech pan poszuka w torbie...

Listonosz wydobywał pakę listów i przerzucał je razem z Madzią. Do niej nic nie było.

— Nie dobry Zdzisław!... — szeptała z żalem.

Pocieszała się, że może gdzieś wyjechał na kilka dni, na parę tygodni i — byle wrócił do swoich fabryk — wezwie ją natychmiast. Niekiedy jednak przychodziło jej na myśl, że brat mógł wyjechać na wakacye, że będzie siedział jeszcze miesiąc... Wtedy ogarniała ją rozpacz.

„Co przez ten czas będę robić?...“ — mówiła, z trwogą wyobrażając sobie noce bezsenne i upalne, dni nieskończenie długie, bez pracy, bez znajomych, nawet bez możności wychodzenia z domu.

Raz, postanowiła wyjechać bodaj na kilka dni do Iksinowa; ale wnet wyrzekła się projektu. Przypomniała sobie plotki z powodu Stelli i jej dziecka i — straciła odwagę zobaczenia się w takiej chwili z matką.

A jakby ją tam przyjęli dawni znajomi? Ilu pytań i uwag musiałaby wysłuchać za zerwanie z Solskim?... Wreszcie może nadejść list od Zdzisława...

Raz, ukończywszy lekcye z Zosią, wzięła ją do Łazienek. Spacerowały do wieczora, karmiły łabę-

dzie i wyobrażały sobie, jakby to było dobrze, gdyby im pozwolono pływać czółnem po sadzawce. Po tej przechadzce Madzia uczuła się rzeźwiejszą i weselszą. Lecz, gdy odprowadziwszy Zosię do Dębickiego, do pałacu Solskich, zobaczyła oświetlone okna Ady, opanował ją straszny żal.

Już nigdy tu nie wróci... Już nigdy nie zobaczy Solskiego!... Wiele rzeczy jeszcze mogłoby się zmienić, gdyby nie ten nieszczęsny spacer z panem Kazimierzem. Po co ona z nim chodziła?... Po co on ją całował i stargał wszystkie węzły, jakie łączyły ją z Solskim? Bo przecie po tem, co się stało, ona nie mogłaby zostać żoną Solskiego.

Pan Kazimierz odniósł karę za swój czyn; a teraz co ją spotka?... Już ją spotkało: zaczęła bowiem rozumieć, że tylko Solski mógł pogodzić ją z życiem i otworzyć nieznane widnokręgi szczęścia. Przy nim znalazłaby spokój i cel, przy nim ukoiłaby się i rozwinęła jej dusza, dziś pełna zwątpień i rozterek, usychająca jak liść zerwany, który nie wie, gdzie nim los rzuci.

Jednego dnia, po obiedzie (było to w tydzień po pojedynku pana Kazimierza) do Madzi przywlókł się zmęczony Dębicki. Przepraszał, że ją tak rzadko odwiedza, tłómacząc się trudnością wchodzenia na trzecie piętro, pytał, czy ma lekcye? czy jest zdrowa? rozcierał sobie głowę za uchem i — w końcu zaczął rozprawiać o pogodzie, z miną człowieka, który nie może wybrnąć z kłopotu.

— Mój panie profesorze — przerwała Madzia z uśmiechem — chyba nie po to odwiedził mnie pan,

ażeby mówić o upałach?... Domyślam się niemiłej wiadomości i chcę usłyszeć jaknajprędzej...

— Owszem... bardzo miłej... Ale... ale, co ja mam się wdawać w dyplomacyę!... — rzekł Dębicki, machając ręką.

— Właśnie, tak będzie lepiej.

— Otóż — sprawa jest taka. Wie pani, że Norski miał pojedynek...

— Umarł? — spytała zalękniona Madzia.

— Ależ do czego podobne! Pan Kazimierz uciekłby nawet z niedużej szubienicy; zaszkodzi mu dopiero wysoka... Otóż tedy w interesie tego szczęśliwca była dziś u mnie panna Ada... Klękła przedemną i zaleciła, ażebym ja ukląkł przed panią, czego naturalnie nie zrobię i — błagał... a wie pani o co?...

— Ani domyślam się.

— O to — prawił Dębicki — ażeby pani nie robiła sobie ceremonii i ażeby pan Norski nie robił sobie ceremonii, tylko — ażebyście oboje pobrali się również bez ceremonii. Pannie Adzie bowiem wiadomo, że pani kochasz Norskiego, a Norski panią. Jeżeli więc krępujecie się względami materyalnemi, to panna Ada będzie was błagać na klęczkach, ażebyście przyjęli od niej 30 tysięcy rubli na zagospodarowanie się...

W tym punkcie mowy Dębickiego, Madzia zaczęła się śmiać tak serdecznie, że matematyk otworzył usta jak do ziewania i wykonywał kilka bezsensownych ruchów, które, według jego opinii, miały oznaczać szaloną wesołość.

— Więcej pani powiem — ciągnął Dębicki — machając rękoma jak podskubana gęś, która myśli

o lataniu. — Więcej powiem: panna Ada sama durzy się w tym Norskim (wczoraj jeździła na Bielany, a dziś wybiera się tam). Panna Ada ubóstwia biednego pana Kazimierza i, jeżeli chce swatać z nim panią, to robi najwyższą ofiarę... Poświęca się dla was niewdzięczników!

— Niechże się nie poświęca — odparła Madzia. — Przysięgam panu i gotowa jestem powtórzyć to wobec Ady i pana Kazimierza, że gdyby on był jeden na świecie, jeszczebym nie wyszła za niego. Były chwile, kiedy zdawało mi się, że kocham się w nim. Ale dziś, poznawszy go bliżej, przekonałam się, że jest dla mnie tak obojętny, jak drzewo albo kamień — dodała rumieniąc się. — Rozumiem, że kobieta nawet dla złego mężczyzny może wszystko poświęcić, zgubić się, ale pod warunkiem, że wierzy w jego zdolności i charakter. A ja tę wiarę straciłam.

— Powtórzę Adzie pierwszą część wyznania pani — rzekł Dębicki — o tem, że nie kochasz pana Kazimierza. Ale o opiniach o nim zamilczę.

Madzia dała brawo profesorowi i znowu zaczęła się śmiać; jej zaś towarzysz pomagał jej, jak umiał minami, które miały oznaczać gwałtowny wybuch ukontentowania, a właściwie nie oznaczały nic.

XVII.

Mrok i światło.

W chwili kiedy zarumienionej Madzi oczy napełniły się łzami, a uczony matematyk robił takie grymasy, jak ścięta głowa pod wpływem prądu elektrycznego, drzwi pokoiku otworzyły się i na progu stanął dziwny człowiek.

Był to mężczyzna młody, dość wysoki, ubrany w długie palto. Miał ciemny zarost, który w przykry sposób uwydatniał niezdrową bladość jego cery. Kiedy zdjął kapelusz, odsłonił duże szare oczy, otoczone ciemną obwódką i — zaklęśnięte skronie.

Przybysz spojrzał na Dębickiego, potem na Madzię, która, przypatrując mu się, z gasnącym uśmiechem na ustach, podniosła się z kanapki.

— Nie poznajesz mnie?... — zapytał gość chrypliwym głosem.

— Zdzisław?... — szepnęła przerażona Madzia.

— Widzisz, nie odrazu mnie poznałaś... To musiałem się zmienić!...

Madzia pobiegła do niego z wyciągniętemi rękoma. Ale gość odsunął ją.

— Nie dotykaj — rzekł — zarazisz się...

Madzia gwałtem rzuciła mu się na szyję i zaczęła całować.

— Zdzisław!... Zdziś... kochany Zdziś!... Co ty mówisz?... co to znaczy?...

Gość nie bronił się, ale w taki sposób manewrował głową, ażeby Madzia nie mogła pocałować go w usta.

— No, dość już.—Lepiej zapoznaj mnie z tym panem, który patrzy na nas jak na waryatów.

— Mój brat Zdzisław... Mój poczciwy przyjaciel, profesor Dębicki...—mówiła zdyszana Madzia.

Zdzisław podał rękę Dębickiemu i usiadłszy na kanapce, rzekł sentencyonalnie:

— Nieprzyjaciele pójdą za naszym pogrzebem, ażeby sprawdzić, czy naprawdę umarliśmy i czy nas dobrze zakopano? Zaś przyjaciele idą, ażeby się zabawić.

Madzia patrzyła na niego zdumiona.

— Zkąd się tu wziąłeś?... Co się z tobą dzieje?...—pytała.

— Rzuciłem robotę—odparł brat—i szukam wygodnego miejsca, ażeby umrzeć. Cóż tak patrzysz na mnie?... Prosta rzecz. Mam galopujące suchoty i dogorywam. Gdyby nie strach przed śmiercią, który w niepojęty sposób potęguje resztkę moich sił, jużbym nie żył... Od trzech tygodni sypiam, siedząc w fotelu. Gdybym się raz położył, w tej samej chwili spadłbym głową na dół w przepaść wiekuistej nocy, z którą borykam się, lecz która dziś, czy jutro, zwycięży... Co za potworna rzecz, istnieć chwilkę, po to, ażeby na zawsze stać się nicością... Na zawsze!...

Madzia słuchała go blada, od czasu do czasu chwytając się za czoło. Dębicki utkwił w nim łagodne spojrzenie. Chory podniecony uwagą swoich słuchaczów, mówił dalej wzruszonym głosem:

— Wy, ludzie zdrowi, nie macie pojęcia, co to jest śmierć. Wam przedstawia się ona, jak liryczny poemat, nie jako ciemność, w której gnije i cuchnie trup opuszczony, bez możności znalezienia drogi do ratunku. Wy nie zadajecie sobie pytania: jakie sny mogą rodzić się w mózgu, w którym zwolna sączy się krew rozłożona... Jakich wrażeń doznaje resztka człowieka, gdy na jej twarz zamiast powietrza i słonecznych promieni, spada piasek i robactwo...

— Boże miłosierny, jakież to straszne... — szepnęła Madzia, zasłaniając oczy.

— A przedewszystkiem obrzydliwe — wtrącił Dębicki.

— Hę?... — zapytał chory.

— I niedorzeczne — dodał Dębicki.

— Powiedz, Madziuś, temu staremu panu — rzekł gniewnie chory — że ja jestem chemik i dyrektor zakładów przemysłowych... Nie żak!...

— Wychowałem ze trzydziestu takich dyrektorów, jak pan — mówił spokojnie Dębicki. — Dla tego powiem ci, że ani chemia nie nauczyła cię trzeźwo myśleć, ani dyrektorstwo panować nad sobą.

Brzeski aż się cofnął i z najwyższem zdumieniem patrzył na profesora.

— A to oryginał!... — mruknął. — Jeszcze nie spotkałem podobnego impertynenta.

— Boś pan zapewne jeszcze nie miał okazyi przerażać młodych panien wizyjami, które im mogą wydawać się bardzo dramatyczne, ale rozważniejszego człowieka przyprawiają o mdłości.

Brzeski zerwał się i, wytrząsając pięściami, mówił chrypliwym głosem:

— Ależ, mój panie, ja umieram... Ja, dziś, jutro, umrę... A pan jesteś zdrów, jak byk...

— Od wielu lat jestem ciężko chory na serce — odparł Dębicki.—Nie ma takiej minuty, w ciągu której byłbym pewny życia. Mimo to, nie straszę panien...

— Toś pan chory na serce?... — przerwał Brzeski. — Bardzo mi przyjemnie!... — dodał, ściskając go za rękę. — Przyjemnie mi poznać kolegę... Możebyś się pan otruł ze mną na spółkę, bo głupio tak czekać... Mam pyszny kwas pruski...

Madzia, patrząc na nich, załamywała ręce. Zaczęło jej się mącić w głowie.

— I pan ciągle myślisz o tego rodzaju tematach? — spytał Dębicki.

— Paradny!... A o czemże ja mam myśleć, o czem mogę?... W dzień, kiedy patrzę na ludzi i na ich gorączkę życia, czuję się obcym między nimi i wyobrażam sobie tę okropną chwilę, w której cała ich praca i mądrość, zbiorowy krzyk całej ludzkości nie zdoła mnie obudzić i przypomnieć, że byłem kiedyś takim, jak oni. W nocy nie gaszę światła i ciągle spoglądam za siebie; bo zdaje mi się, że z lada szpary wysunie się niepochwytny cień, który w oka mgnieniu zapełni mój pokój, całą ziemię, cały wszechświat... I pogrąży mnie w tak bezdennej niepamięci, że gdyby nie jakaś mądrość nadludzka po raz drugi wlała świeżej krwi do żył, już nie przypomniałbym sobie, że kiedykolwiek istniałem. Wszystko byłoby mi obce, nawet nasz ogród w Iksinowie... Nicby mnie wzruszyło, nawet twoje zdziwienie, Madziu i płacz naszych rodziców...

— Och, Zdzisiu... Zdzisiu, co ty mówisz? — szeptała Madzia, zalewając się łzami.

— Jak na osobę konającą, wymowa pańska jest dość obfita — rzekł Dębicki. — Nie wiem, czy umrzesz pan na suchoty, ale że możesz dostać się do szpitala obłąkanych, to pewne...

— Jestem przytomny! — oburzył się Brzeski, którego słowa te dotknęły. — Każdy ma prawo mówić o tem, co go zajmuje; no, a chyba kres życia jest interesującym tematem dla tego, kto je traci...

Zaczął chodzić po pokoju, wzruszać ramionami i mruczeć.

Madzia w osłupieniu przypatrywała mu się. I to jest jej brat, ten wesoły, rozhukany Zdzisław, z którym bawili się, będąc dziećmi?... Tak niedawno huśtał się na wierzchołku lipy, a dziś już mówi o śmierci w sposób, który wpędzał ją w rozpacz!

Zarazem jednak Madzia spostrzegła, że Dębicki wywarł na jej bracie silne wrażenie. Prawie odgadła, że w duszy chorego, obok męczącej obawy śmierci, pojawiła się jakaś inna obawa. Może obłąkania, o którem wspomniał profesor?... W każdym razie, odwrócenie uwagi od jednego przedmiotu nie było złem.

„Ale Dębicki... Zkąd jemu wziął się taki ton ironiczny i zuchwały?... Nie miałam pojęcia, ażeby ten cichy człowiek zdobył się na coś podobnego...“ — myślała Madzia.

Brat jej wciąż spacerował i mruczał coraz wyraźniej:

— Daję słowo, że pyszny jest ten jegomość!... Dyabli wiedzą, po co włóczy się do mojej siostry

i mnie, bratu, nie pozwala mówić z nią o tem, co mi dolega?... Za miesiąc, może za tydzień, będę leżał w ciasnej trumnie, w chłodnym kościele sam... Wtedy wszystkim zejdę z drogi... Ale on już dzisiaj chciałby zrobić ze mnie trupa... Dla jakichś głupich konwenansów, wedle których nieprzyzwoicie jest narzekać, on dławi moją indywidualność, przerywa mi prąd myśli, może już ostatni!...

— Pan stanowczo chcesz dostać bzika — odezwał się Dębicki.

— Idź-że pan do licha ze swoją psychiatryą! Czyliż gadam od rzeczy?...

— Nie możesz wyjść po za obręb jednej myśli. To jest monomania.

— Ależ zastanów się pan — mówił zadyszany Brzeski, trzęsąc mu pięściami koło nosa — zastanów się, że ta jedna myśl, to wielka myśl... Przecież w dole, do którego rzucicie moje zwłoki, psuć się będzie już nietylko człowiek, ale cały wszechświat... Wszechświat, który odbija się w moim mózgu, żyje i jeszcze dziś — jest... Ale jutro już go nie będzie... Dla was moja śmierć będzie tylko zniknięciem jednostki, ale dla mnie — unicestwieniem całego świata: wszystkich ludzi, jacy na nim żyją, wszystkich krajobrazów, słońca, gwiazd, całej przeszłości i przyszłości świata... Zrozum-że pan: to, co dla was jest zwykłym wypadkiem (dopóki sami mu nie ulegniecie), dla mnie jest powszechną katastrofą; nic nie zostanie z tego, co widzę, com widział i o czem kiedykolwiek myślałem...

— Krótko mówiąc — rzekł Dębicki — panu zdaje się, że po tak zwanej śmierci, następuje nicość?

Brzeski z uwagą spojrzał na profesora.

— Jakto... zdaje mi się? — odparł. — Nie zdaje mi się, tylko tak jest... A panu co się zdaje?...

— A ja jestem przekonany, że po śmierci następuje dalszy ciąg życia, które różni się od obecnego tylko tem, że jest bezporównania pełniejsze.

— Pan kpi ze mnie?... — spytał Brzeski.

— Ani myślę kpić. Jestem pewny tego, co utrzymuję. Dzięki czemu, będąc bardziej zagrożony, aniżeli pan, mam jednak dobry humor, podczas gdy pan jesteś w melodramatycznym nastroju.

Madzia słuchała z natężoną uwagą; jej brat osłupiał. Nagle zapytał Dębickiego.

— Przepraszam... Pan profesor jesteś teolog, czy filolog?...

— Nie. Jestem matematyk.

— I mówi pan, a raczej — wierzy pan, że śmierć...

— Jest dalszym i pełniejszym ciągiem życia — dokończył Dębicki.

Brzeski odsunął się od niego i usiadł na kanapce. Madzia czuła, że w sercu brata toczy się walka niespodziewana i ciężka. Przemknęło jej przez myśl, że jednak jest okrucieństwem ze strony Dębickiego budzić podobne nadzieje; lecz zarazem opanowała ją ciekawość: na jakiej zasadzie on to mówi? Prawda, że Dębicki już nieraz robił podobne wzmianki.

„Nicość i — życie wieczne... Życie wieczne!..." — na samą myśl o tem w sercu Madzi zbudziła się taka szalona radość, że była gotowa nietylko uspokajać brata, ale i umrzeć z nim, byle prędzej posiąść owo życie pełniejsze...

— I to pan mówi, pan... matematyk?... — ode-

zwał się Brzeski. — Wbrew głosowi wiedzy, która na miejscu metafizycznych przywidzeń stawia dwa pewniki: siłę i materyę... Obie one — mówił zamyślony — wytwarzają ciągły prąd bytu, na którym pojawiają się fale pojedyńcze, trwają jakiś czas i — nikną, ażeby ustąpić miejsca innym falom... Jedną z takich fal jestem ja i... oto już dobiegam kresu!...

— A cóż to jest owa siła i materya — spytał Dębicki.

— To, co oddziaływa na nasze zmysły na odczynniki chemiczne, na wagę, termometr, manometr, galwanometr i tak dalej — odpowiedział Brzeski i znowu zamyślił się.

— Tyle panu powiedziała nauka i nic więcej?

— Nic.

— No, dla mnie była łaskawsza — mówił Dębicki. — Matematyka mówi mi o liczbach różnych typów, z których tylko jeden podpada pod zmysły, a także — o wymiarach i kształtach, których w żaden sposób nie możemy dostrzedz zmysłami. Fizyka uczy, że energia wszechświata jest niezniszczalną, a chemia powiada, że to, co nazywamy materyą, równie jest niezniszczalne i składa się z niepodpadających pod zmysły atomów. Biologia pokazuje mi nieskończone bogactwo form życia, którego początek i natura przechodzi nasze doświadczenie. Nareszcie psychologia wylicza całą litanię własności i zjawisk, które nie podpadają pod zmysły, lecz niemniej doskonale są znane każdemu człowiekowi z obserwacyi nad samym sobą.

Ale, proszę pana, gdzie tu jest dowód, że po śmierci następuje nicość?... — dodał po chwili Dębi-

cki. — I czem mianowicie jest ta nicość?... Jaka zmysłowa obserwacya wykryła nicość we wszechświecie, którego najdrobniejszą szczelinę wypełnia albo ważka materya, albo nie ważki, ale realny eter?

— Ja panu nie mówię o nicości w świecie materyalnym, ale o unicestwieniu procesów psychicznych, które trwają pewien czas, a potem gasną na zawsze... — odparł Brzeski.

— Zkąd-że pan wie o tem, że procesy psychiczne gasną? W jaki sposób objawia się to zgaśnięcie?

Brzeski uśmiechnął się pierwszy raz.

— Paradny pan jesteś!... A twardy sen, zemdlenie, zachloroformowanie — cóż to jest?

— Jestto chwilowe zawieszenie nie procesów psychicznych, ale naszej świadomości o nich; po czem świadomość budzi się napowrót.

— Ale po śmierci nie nastąpi nowe przebudzenie, gdyż organizm nasz ulega rozkładowi — odparł Brzeski.

— I to mówi chemik!... Jeżeli panu chodzi o rozkład organizmu, toć on rozkłada się ciągle, w każdej sekundzie. Niedość na tem; organizm nasz co najmniej raz na rok zmienia się całkowicie: ani jedna cząstka nie pozostaje w nim ta sama, chyba produkt obcy. Z czego wynika, że co najmniej raz na rok, siedmdziesiąt kilogramów ludzkiego ciała staje się trupem i że pan, który masz około trzydziestu lat, już ze trzydzieści razy oddawałeś swój organizm powietrzu i ziemi. Żadna z owych trzydziestu śmierci nie unicestwiła pana, nawet nie zaniepokoiła cię i dopiero na myśl o trzydziestej pierwszej robisz awanturę, rozczulasz się nad swemi zwłokami,

ba! nawet grozisz końcem świata. Czem zaś te — najnowsze — zwłoki mają być lepszemi od kilkudziesięciu poprzednich?... dalibóg nie rozumiem.

— Eh! — zawołał Brzeski, śmiejąc się, co bardzo zdziwiło jego siostrę — jeżeli profesor ma takie argumenta, to upadam do nóg... Opowiada stare bajdy teologiczne, z których śmieją się nawet księże gospodynie i myśli, że to filozofia...

— Może ja panu opowiem i nowsze bajdy... — zaczął Dębicki.

— O, niech pan mówi... niech pan mówi! — zawołała Madzia.

I, zerwawszy się z kanapki, pocałowała profesora w ramię, poczem — cofnęła się zawstydzona.

— Ta filozofia — ciągnął Dębicki — z której jesteś dumny, a która tak pięknie przygotowała cię do spotkania ze śmiercią, ta filozofia wierzy i twierdzi, że: niema realnych skutków bez realnych przyczyn. Wszak prawda? Na tej zasadzie, jeżeli słup barometru podnosi się w górę, mówimy: zwiększyło się ciśnienie atmosfery, choć nie widzimy ciśnienia, ani atmosfery. Podobnie, jeżeli igiełka galwanometru, wprowadzonego w obwód, odchyla się, mówimy: o, po tym obwodzie przebiega prąd elektryczny. Słowem, sądzimy, że zmiany, zachodzące w bezmyślnym słupie rtęci i w bezmyślnej igle magnesowanej, muszą mieć przyczyny realne, choć ich nie widzimy, nie słyszymy, nie wąchamy i tak dalej.

Zobaczmy teraz inny fakt. Od wielu wieków, miliony i setki milionów ludzi czują instynktownie, że, — życie ich nie kończy się wraz ze śmiercią. Równie dawno tysiące potężnych umysłów, większa

część najznakomitszych geniuszów ludzkości, wierzy świadomie i formułuje sobie dość określone pojęcia: o duszy, życiu wiecznem, o świecie pozazmysłowym, wreszcie — o Bogu.

Mamy więc skutek i to objawiający się w najdoskonalszych mechanizmach, bo w ludziach. A jeżeli ruchy igły magnesowej świadczą o przebiegającym prądzie, z jakiego powodu ruch umysłów ku niewidzialnym bytom miałby nie posiadać rzeczywistej przyczyny?...

— Także zwietrzały argument — odparł Brzeski. — Niema żadnych bytów po za materyalnych, tylko w ludziach jest silne pragnienie życia, instynkt zachowawczy. I on to fantazyonuje sobie na temat przyszłości.

— Chwała Bogu, mamy więc przykład nieużytecznego i pustego instynktu. Jeżeli bocian, albo skowronek, pod jesień odlatuje na południe, wiemy, że znajdzie tam kraj ciepły i zasobny; ale gdy człowiek tęskni do wieczności, wówczas mówimy mu, że jego nadzieje są urojeniami. Wyborny jest taki pozytywizm.

— Cóż robić, jeżeli tak jest?... Wreszcie ludzki instynkt zachowawczy jest użytecznym dla utrzymania i rozwoju naszego gatunku. Pozwala zdrowym jednostkom obmyśleć daleko sięgające plany, które wykonywają inni; chorym zaś i konającym osładza chwile przedśmiertne.

— Aha! — odparł Dębicki. — Więc Bóg, czy natura, a w każdym razie jakaś wyższa siła, której zawdzięczamy istnienie, wymyśliła cały szereg transcendentalnych oszustw, w tym celu, ażebyś pan nie

nudził się, czy nie martwił w ostatnich chwilach życia? Szczególny zamęt pojęć. Przecież, według was, materyalistów, natura jest samą prawdą, nigdy nie kłamie... A raczej kłamie w jednym wypadku: kiedy obdarza człowieka wstrętem do śmierci!...

Pozwolisz pan, że będę innego zdania. Wstręt do śmierci znaczy poprostu to, że między śmiercią i duszą istnieje głęboka dysharmonia. Ryba, wyjęta z wody na powietrze, albo ptak, zanurzony pod wodę, rzuca się i niepokoi w taki sam sposób, jak człowiek, który myśli o nicości. Nicość bowiem jest trucizną duszy. Pan karmisz się rozmyślaniami o niej i dla tego jesteś pełen trwogi, prawie szalejesz; ja nie wierzę w nicość, ale w życie i dlatego żartuję ze śmierci. Pan jesteś chory, ja jestem zdrów moralnie.

Podniósł się i zaczął szukać kapelusza. Na dworze było już ciemno.

— Pan profesor wychodzi?...—zawołała Madzia, chwytając go za rękę.

— Jestem zmęczony—odparł Dębicki zwykłym głosem. Zagasł w nim mówca, a został człowiek stary i chory.

— Profesorze — odezwał się Brzeski — jedźcie państwo ze mną do hotelu, a zjemy razem kolacyę... Zafunduję wam szampana... Wiesz, Madziuś, mam przy sobie trzy tysiące rubli, a na siedm tysięcy jestem ubezpieczony. Będziecie mieli po mnie...

— Znowu wracasz do swego! — przerwała siostra. — Widzi pan profesor: dopóki pan mówił, on był weselszy; a teraz, kiedy pan chce odejść...

— Zwymyślał mnie profesor, bo zwymyślał —

rzekł wesoło Brzeski. — Ale muszę przyznać, że mikstura poskutkowała.

— Już nawróciłeś się pan? — spytał z półuśmieszkiem Dębicki.

— No, tego chyba nie będzie. Ale zwrócił mi pan uwagę, że przed śmiercią mogę zwaryować, i to... otrzeźwiło mnie. Nie dziwcie mi się — mówił Brzeski. — Od kilku tygodni jestem sam, wciąż oblegany przez myśl o śmierci... Tymczasem człowiek jest zwierzę towarzyskie i nie może zajmować się ciągle jedynym tematem.

— Zdzisiu — zawołała Madzia — ja ci przysięgam, że będziesz zdrów... Prawda, panie profesorze, że on niema suchot?...

— Być może.

— Ach, gdyby tak było... gdyby on chciał się leczyć i zaczął tak myśleć, jak pan profesor, wie pan co?... Wyszłabym za pana! — rzekła Madzia z zapałem.

— Szkoda fatygi — odpowiedział Dębicki. — Ale zechciej tylko pani wyjść za mąż, a wyswatam cię i to dobrze...

— Nigdy... — odparła ciszej, a na jej twarzy odmalował się taki żal, że Dębicki postanowił już nie poruszać tego przedmiotu.

Dębicki pożegnał siostrę i brata i wyszedł obiecując przyjść do hotelu Europejskiego, gdzie mieszkał Brzeski. Gdy już był na schodach, wybiegła za nim Madzia i zapytała szeptem, mocno ściskając go za rękę:

— Cóż pan myśli o Zdzisławie?...

— Zdaje mi się, że on jest ciężko chory.

— Ależ chodzi... mówi...

Dębicki wzruszył ramionami i zaczął powoli złazić ze schodów.

Gdy Madzia wróciła do pokoiku, brat odezwał się z oburzeniem:

— Zabawna jesteś z temi sekretami na korytarzu. Wiem, że pytałaś o moje zdrowie. Ale cokolwiek odpowiedziałby ci ten twój filozof, nie zmieni mego przekonania. Jestem skazany, to darmo... Umrę lada tydzień. Ale swoją drogą ten stary oddał mi przysługę. Już potrafię zapełnić sobie resztę czasu rozmyślając o jego wierze w życie przyszłe... Szczęśliwy człowiek — idealista... optymista!... My, dzisiejsi, nie potrafimy być takimi.

— Więc ty nie wierzysz temu, co on mówił?— spytała zdziwiona Madzia.

— Moje dziecko, to są stare poglądy, ale nie dowody, a jeszcze mniej fakta. Wierzy się faktom, nie frazesom.

— Wiesz, Zdzisław — rzekła nagle Madzia — ja zatelegrafuje do tatki, że tu jesteś...

Brat porwał ją za ręce.

— Niech cię Bóg broni!... — zawołał z wybuchem gniewu. — Ja uciekam zagranicę, ażeby nie spotkać rodziców....

— Więc ja pojadę z tobą... Mam pieniądze...

— Nie po-je-dziesz!... — odparł stanowczo. — Pozwólcie mi przynajmniej umrzeć, jak mi się podoba... Nie chcę pożegnań... łez... awantur...

— Zdzisławie!...

— Słuchaj, Madziu... musimy rozciąć tę sprawę raz na zawsze. Gdybyś zawiadomiła ojca, czy ma-

tkę, gdyby kto z nich tu przyjechał, albo gdybyś ty uparła się jechać ze mną, przysięgam ci na honor, że otruję się... Zrozumiałaś?

Madzia zaczęła cicho płakać.

— Pocieszaj mnie, jak chcesz — mówił w rozdrażnieniu — sprowadzaj Dębickiego (byle nie doktorów...), rób ze mną, co ci się podoba, ale — żadnych scen, żadnych objawów czułości... Tak długo żyłem bez was, że śmierć między wami uważałbym za torturę dla siebie...

— Jakże, więc mamy cię opuścić?...

— Musicie... a ty przedewszystkiem...

— Ach, co mówisz?... — zawołała, całując go po rękach.

— Dosyć... proszę cię... Nie dręcz mnie łzami, bo... wyskoczę oknem na ulicę. Powiedziałem ci, czego żądam i do czego możecie mnie popchnąć waszym sentymentalizmem...

A teraz, jeżeli chcesz, odwieź mnie do hotelu.

Mówił to z obłąkanemi oczyma, zadyszany, wściekły. Madzia zrozumiała, że opierać się nie może. Otarła łzy, ubrała się, tłumiąc łkanie, pomogła bratu włożyć palto i odwiozła go do hotelu.

Zdzisław przez całą drogę był rozdrażniony. Gdy znaleźli się w numerze, zaczął oglądać sobie język w lustrze, rachować puls, następnie wydobył z walizki termometr i włożył go pod pachę.

— Uwierzyć nie mogę, ażebyś naprawdę był ciężko chory — odezwała się Madzia. — Zkąd ci to przyszło?...

— Zaziębiłem się... miałem zapalenie płuc... zaniedbałem i — dziś jest pasztet.

— Myśleliśmy, żeś zupełnie wyleczony.

— I ja tak myślałem z początku. A później już nie było sensu alarmować was... Nicbyście nie pomogli.

Siedział, zapatrzony w sufit, rozgorączkowany i, co kilka minut, badał puls. Ażeby odwrócić jego uwagę od myśli, które, jak niewidzialne stado kruków, unosiły się nad jego głową, Madzia zaczęła opowiadać swoją historyę z dwu lat ostatnich. Dla niej samej był to rachunek sumienia; ale brat niebardzo go słuchał. A gdy zapytała, co o niej myśli? odparł:

— Moja droga, alboż człowiek, stojący nad grobem, może myśleć o czemkolwiek, wyjąwszy grobu?... Reszta wszystko głupstwo!

— I ty tak mówisz po tem, co słyszałeś od Dębickiego?

— Frazesy!... — odpowiedział.

Umilkli oboje. On iskrzącemi oczyma patrzył na świece, Madzia gryzła usta, ażeby nie wybuchnąć płaczem.

Około północy Madzia zapytała brata, czy nie chce mu się spać?

— Dajże spokój!... — odparł. — Alboż ja kiedy sypiam w nocy?... Boję się, ażeby mnie śmierć nie zaskoczyła... Drzemię w dzień, bo wśród gwaru, zdaje mi się, że jestem bezpieczniejszy.

— Połóż się teraz... kochany... — rzekła, klękając przy nim.

— Oszalałaś?... Ja nigdy nie kładę się, bo może mnie krew zadusić...

— Spróbuj dziś... Jestem przecież przy tobie... To nie choroba, ale bezsenność i nieporządne życie wyczerpuje twoje siły. Gdybyś co noc spał w łóżku, wygodnie, przekonałbyś się, że nie jesteś tak chory.

Ściskała jego rękę suchą i gorącą. Zdzisław rozmyślał, wreszcie rzekł:

— Tak... sen w łóżku uśmiecha mi się... Ale boję się...

— Spróbuj... Ja ci wysoko ustawię poduszki, będziesz jak na fotelu.

Brzeski patrzył na łóżko.

— Spróbowałbym. Ale... jeżeli skonam ci w rękach?...

— Nie bój się, dziecko... Ja będę czuwać przy tobie. Podłożę ci ręce pod plecy i gdybym spostrzegła, że ci niewygodnie, zaraz cię podniosę...

Brzeski uśmiechnął się, przeszedł do łóżka i usiadł. Próbował pochylić się na poduszki, ale strach go ogarniał.

Wówczas Madzia usadowiła go na środku pościeli i ostrożnie zaczęła układać nogi.

Zdzisław bronił się, drżał i mówił ze spazmatycznym śmiechem:

— No, już dosyć... Już siedzę na łóżku... Zrobiłem olbrzymi postęp, bo dawniej uciekałem od niego... Dajże spokój... Madziuś... złota, kochana... nie kładź mnie... Przecież ja ci w rękach umrę...

Ale Madzia już położyła go na poduszkach.

— Cóż, źle ci?... — spytała.

— Dobrze mi... tylko czy to na długo wystarczy?... Odsuń, kochanko, te świece ze stołu, bo pa-

trzą mi prosto w oczy, jak gdybym już był trupem... Aa.... tylko trzymaj mnie za rękę, albo podnieś mnie...

Madzia wyrwała mu się i, powstawszy, prędko przeniosła świece ze stołu na komodę.

— Widzisz — rzekła, siadając przy nim i znowu biorąc go za rękę. — Nic ci się nie stało, choć odeszłam...

— Ale jak mi serce bije!... — szepnął.

Powoli jednak uspokoił się.

Madzia siedziała przy nim, wsłuchując się w jego prędki oddech i wyczuwając bicie pulsu.

— Oryginał jest ten twój Dębicki — odezwał się chory. — Ciągle widzę go... Co za poglądy!... Ale i mnie trochę zamącił głowę.

Wyobraź sobie — zaczął po chwili — dawniej gdy przyszła noc, widziałem u sufitu jakby czarną listwę... Była to właściwie czarna kurtyna, która powoli opuszczała się na pokój... Rozumiałem, że gdy opuści się na wysokość mego czoła, przestanę myśleć, bo za tą zasłoną już nie ma nic, tylko czarność... Nieskończona czarność, sięgająca aż za granicę drogi mlecznej, mgławic... a tak gęsta, tak gęsta, jak żelazo. Okropny gąszcz otaczał mnie ze wszystkich stron i dusił.

Później, zdawało mi się, że jestem punktem... niczem i leżę w niezmiernej pustce, którą kiedyś zapełniał wszechświat. Wszechświat znikł, razem z mojem życiem, jak znika obraz człowieka na powierzchni zamąconej wody... Wszechświat znikł i została po nim tylko pustka bez kształtu, bez barwy, bez kierunku... Ach, gdybyś wiedziała, jak mnie to dręczyło...

— Więc nie myśl o tem — szepnęła Madzia.

— Owszem, myślę nawet w tej chwili — odparł z uśmiechem — bo stało się coś dziwnego. Widzę i teraz czarną zasłonę, jak od sufitu zwiesza się nad moją głową... Ale wiesz co?.... Dziś wydaje mi się, że ta czarność nie jest ani tak bardzo gruba, ani tak bardzo gęsta... Że byle światło rzucić na nią, ona ustąpi jak cień... I że po za nią, jest jeszcze mnóstwo, ale to mnóstwo miejsca... cała nieskończoność, w której może być coś...

Odpoczął i mówił:

— Widzę i teraz ową pustkę bez koloru i bez kierunku, która mnie najokropniej przerażała... Ale wpatrując się w nią śmielej, zaczynam dostrzegać jakieś zmącone kształty... Nie jest to jeszcze nic określonego, ale już niema tej suchości, tej zabijającej jednolitości, wśród której nic nie mogłoby się utworzyć...

Wszystko to są skutki gawęd twojego Dębickiego.

— Więc zaczynasz przekonywać się?... — wtrąciła siostra.

— Oh, nie!... żywo zaprotestował. — Jest to bardzo naturalny proces. Na szare i puste tło moich rozmyślań, on rzucił garść jakiś frazesów, które z konieczności muszą rysować się w mojej wyobraźni... Urządził mnie stary lis!... Od tej pory nie będę mógł pomyśleć o nicości, jak się należy: ile razy zobaczę ją, muszę zarazem widzieć produkty jego bajań...

Chory uspakajał się.

— Madziuś — rzekł stłumionym głosem — gdybym zasnął, zaraz mnie obudź, bo... widzisz... A gdybyś spostrzegła, że przestaję oddychać, schwyć mnie za ramiona i posadź na łóżku... Nawet pryśnij mi wodą na twarz... Jest tu woda?...

W parę minut później spał. Madzia, patrząc na niego, myślała, że niepodobna, ażeby ten człowiek naprawdę był śmiertelnie chory. Jest chory, ale przedewszystkiem zdenerwowany i zmęczony nieregularnem życiem.

Otucha jej wzrosła, gdy Zdzisław, zbudziwszy się, około 5-ej rano, powiedział, że nie pamięta nocy tak doskonale przespanej.

Trochę kaszlał, trochę czuł się znużonym, lecz Madzi to nie dziwiło.

„Jest lepiej, aniżeli myślałam w pierwszej chwili“ — powiedziała sobie.

XVIII.

. . . .

Około 10-tej z rana, Zdzisław, z porady Madzi przebrał się od stóp do głów w świeżą bieliznę i nowe ubranie. To wprowadziło go w tak doskonały humor, że zaczął nucić chrapliwym głosem, oświadczył, że ma wilczy apetyt i kazał podać na śniadanie herbaty, jaj, tudzież surowej szynki.

Lecz, gdy numerowy przyniósł posiłek, Zdzisław wypił jedno jajko, krzywiąc się, a kawałek szynki, który wziął do ust, wyplunął.

— Oto widzisz — rzekł do Madzi — takie moje życie. Organizm spala się z nienormalną prędkością, a apetyt nie wypełnia braków.

Zaczął oglądać w lustrze swoją twarz mizerną i zapadniętą, żółtawy język, spieczone usta; następnie, z zegarkiem w ręku, liczył puls i oddechy, a nareszcie — założył pod pachę termometr.

— Kochanie — rzekła Madzia, wieszając mu się na szyi — wezwij doktorów... Mnie się zdaje, że ty jesteś więcej imaginacyjny, aniżeli chory...

— Niech dyabli porwą doktorów! — zawołał, odsuwając ją. — Mam ich dosyć... Już opukali mnie i wysłuchali ze wszystkich stron...

— Cóż ci to szkodzi?

— Drażnią mnie... Przeszedłem z dziesięć konsyliów, a kiedy pomyślę o jedenastem, robi mi się tak, jakbym szedł na rusztowanie...

Dopóki mnie nie kładą na kanapie — dodał spokojniej — a sami nie kładą się na mnie, dopóki nie widzę ich głupich min, jeszcze mogę się łudzić... Dopiero ich auskultatory, młotki, podniesione brwi i katowska delikatność przypominają mi, że nieodwołalnie jestem skazany...

— Ależ Zdzisiu, ty nie jesteś tak chory... Poproś więc kilku najlepszych i wprost zażądaj, ażeby powiedzieli prawdę...

— Niech ich dyabli wezmą z ich prawdą!... Już probowałem tego. W pierwszej chwili każdy mówi, że to nic; później, kiedy go nacisnę, przyznaje, że jestem śmiertelnie chory, a w końcu, myśląc, że mnie zbyt przeraził, chce wszysko obrócić w żart.

Gdy to mówił, na twarz wystąpiły mu silne wypieki. Zaczął chodzić po pokoju i prawić rozdrażnionym głosem:

— Na co mi lekarze?... Myślisz, że nie mam książek, że nie wystudyowałem suchot i nie badam siebie?... Nad wieczorem gorączka, nad ranem poty, brak apetytu, oddech przyspieszony i nieregularny, puls to samo, ciągle strata na wadze...

— Ale mało kaszlesz... — wtrąciła Madzia.

— Co to znaczy!

— I przecie pomimo osłabienia, jesteś silny...

— Chwilowa poprawa, po której znowu się pogorszy.

— Więc ty nie chcesz się leczyć! — zawołała Madzia z rozpaczą.

— Owszem — odparł — chcę. Kazali jechać do Meranu — jadę. Tam zbada mnie Tapeiner, jedyny znawca suchot i powie zdanie, do którego się zastosuję.

Madzia złożyła ręce i, patrząc na brata pełnemi łez oczyma, rzekła błagalnym głosem:

— Ja z tobą pojadę do Meranu... Ja mam pieniądze...

Zdzisław zamyślił się.

— Owszem — odpowiedział. — Po konsultacyi z Tapeinerem, napiszę po ciebie.

— Po co?... Ja teraz chcę jechać... Ja...

Brat cofnął się od niej i, uderzywszy się ręką w piersi, odparł z zimnym gniewem:

— Słuchaj, Madziu. Jeżeli dasz znać rodzicom, albo będziesz mi się narzucała ze swojem towarzystwem, przysięgam, że się otruję... Tu, w tym nu-

merze!... Pozwólcie mi, choć przez tydzień... dwa tygodnie, robić, co mnie się podoba, a nie to, co wam.

Madzia ostatecznie zrozumiała, że musi spełnić wolę brata. Zarazem jednak nie mogła oprzeć się nadziei, że brat nie jest ciężko chory.

— Zobaczysz... — rzekła — przekonasz się, że będziesz zdrów...

— Jakaś ty zabawna! — odparł. — Czy myślisz, że i ja nie przypuszczam tego?... Nauka mówi mi, że prawdopodobnie mam suchoty płucne, gardlane, nawet kiszkowe... Ale rozsądek niekiedy ostrzega, że mogę się mylić i że istnieje jakaś tysiączna część prawdopodobieństwa, że nietylko odzyskam zdrowie, ale nawet będę mógł pracować...

— O, tak... mów tak zawsze!... — zawołała Madzia, rzucając mu się na szyję. — Ale zaraz mnie wezwiesz, jak tylko przyjedziesz do Meranu?

— Natychmiast po konsultacyi z Tapeinerem.

— I już ciągle będę z tobą?...

— Do śmierci — odparł, całując ją w czoło. — Gdybyś nawet uciekła, pogonię za tobą. Wiem, że ty jedna możesz mnie pielęgnować... Tylko... nie sprzeciwiaj mi się.

— No... więc jedź do Meranu! — rzekła Madzia stanowczo.

— Zaraz... cierpliwości!... Dajże mi parę dni odpocząć...

Roześmieli się oboje.

— Oj, ty... ty, hipokondryku... — gromiła go siostra.

— Może być, że to hipokondrya.

— Wiesz — odezwała się po chwili — kiedy je-

steś tak bogaty, to weź dorożkę i wyjedźmy na parę godzin na powietrze.

— Co tu u was za powietrze! — odparł. — W górach będę miał powietrze, a tu... wolę zaczekać na tego oryginała... Pierwszy raz w życiu widzę matematyka, który z najzimniejszą krwią utrzymuje, że wierzy w nieśmiertelność duszy...

— On naprawdę wierzy i musi mieć jekieś dowody.

— Szczęśliwy!... — westchnął Zdzisław.

W południe przyszedł do hotelu Dębicki, ubrany w świąteczne szaty. Miał bronzowy surdut, trochę ciasny w plecach, białą pikową kamizelkę, która odstawała z przodu i jasno-popielate spodnie z niedużą plamką niżej prawego kolana. W jednej ręce trzymał kapelusz i laskę, w drugiej letni paltot, którego rękaw wlókł się po podłodze.

Na widok pięknie odzianego profesora, oboje Brzescy nie mogli powstrzymać się od uśmiechu.

— Aha! — zawołał Dębicki — suchoty ustępują przy siostrze?...

— Wie pan profesor — rzekła Madzia, witając go — że Zdzisław dzisiejszej nocy pierwszy raz spał w łóżku?... Ubrany, ale leżał...

— A co ciekawsze — dodał Brzeski — że na tle pośmiertnej nicości, zaczęły pokazywać mi się jakieś kształty... ruch...

— Dosyć prędko — odparł Dębicki.

— Konieczny skutek wczorajszej rozmowy z panem. Zamknięte oczy, w stanie normalnym, widzą tylko ciemność; ale gdy podrażni je światło jaskrawe, wówczas na tle ciemności muszą ukazać się widziadła.

— Dobry znak — rzekł Dębicki. — Dowodzi, że nie zamarł w panu zmysł duchowy.

— Ach, jaki pan dobry!... — zawołała Madzia. — Niech pan jeszcze mówi, jak wczoraj, a jestem pewna, że Zdzisław nawróci się...

Brzeski uśmiechnął się, Dębicki odparł chłodno:

— Po to przyszedłem, ażeby dokończyć wczorajszej rozmowy. Ale muszę ostrzedz, moi państwo, że nie mam zamiaru was nawracać. Nie jestem apostołem, ani wy zgubionemi owcami z mojej owczarni. Jesteście dla mnie tem, czem dla chemika odczynniki chemiczne, a dla fizyka: termometr, galwanometr... Do tego przyznaję się z góry...

Ton Dębickiego był tak oschły, że po obliczu Madzi przemknął cień niezadowolenia. Ale Zdzisław uścisnął za rękę profesora.

— Znowu imponuje mi pan — rzekł. — Istotnie teorya nieśmiertelności duszy, wykładana w tym celu, ażeby pocieszyć chorego, byłaby... przepraszam... nędzną zabawką. Ja — niech pan nie nazwie tego zarozumiałością — już za wiele umiem, ażeby mógł mnie kto zmistyfikować frazesem; a pan jest zanadto uczciwy i poważny, ażeby dopuścić się tego.

Dębicki położył kapelusz na imbryku i maśle, w kącie postawił laskę, która upadła, a sam usiadł na fotelu i złożywszy ręce, bez wstępu zapytał Zdzisława:

— Dlaczego nie wierzysz pan w istnienie duszy, różnej i odrębnej od ciała?

— Bo jej nigdy nikt nie widział — odparł Brzeski.

Madzia drgnęła. Dziwne przebiegło ją uczucie w obec tak prostego sformułowania kwestyi.

— A dlaczego — mówił Dębicki — wierzysz pan, że zjawisko, zwane światłem, polega na 400 do 800 trylionów drgań na sekundę? Kto widział te drgania?

— Wiadomość o drganiach wynika z rachunku, opartego na fakcie, że: dwa promienie światła, uderzając o siebie, mogą się przygasić.

— A czy to, że ja, pan i wszyscy ludzie myślą i czują, nie jest faktem, co najmniej równie dobrym, jak wzajemne przygaszanie się promieni światła?

— Ale fakt myślenia wcale nie dowodzi, że dusza jest czemś odrębnem od ciała. Wszakże ona może być i jest na pewno ruchem cząsteczek mózgu. Bez mózgu nie ma myśli.

— A o tem zkąd pan wie?... Do czasów Gilberta sądzono, że elektryczność istnieje tylko w bursztynie; dziś wiemy, że może ona istnieć w całym wszechświecie. Zwyczajni ludzie sądzą, że w tem miejscu, gdzie marznie woda, a jeszcze bardziej — merkuryusz, nie ma ciepła; fizycy zaś są pewni, że jeszcze o 250 i 260 stopni poniżej zamarzania wody — jest ciepło. Ztąd wniosek, że aczkolwiek duszę dzisiaj upatrujemy tylko w mózgu, nasi następcy mogą widzieć ją w roślinie, w kamieniu, nawet w tem, co nazywa się — barometryczną próżnią.

— No — rzekł Zdzisław — to są dopiero przypuszczenia. Tymczasem fakt, że myśl jest funkcyą mózgu.

— O... właśnie! Może pan zechce dowieść tego? — wtrącił Dębicki.

— Dowody pan zna — odparł Brzeski — więc wyliczę tylko ich nagłówki. Widzimy w świecie zwierzęcym, że większemu rozwojowi mózgu odpowiada większy rozwój umysłowości. Ze świata zaś ludzkiego wiemy, że nadmierny, albo skąpy napływ krwi do mózgu, osłabia lub unicestwia samo myślenie. Że alkohol, kawa, herbata, podniecając krążenie krwi, podniecają proces myślenia. Że gdy mózg więdnie na starość, słabną zarazem zdolności umysłowe...

Decydującemi są doświadczenia Flourensa, który niszczył świadomość w gołębiach, wycinając im warstwy mózgu; lecz gdy mózg odrastał, gołąb odzyskiwał świadomość...

Zresztą — co mam więcej mówić?... Zna pan drugi tom Moleschotta, pod tytułem: „Krążenie życia.“ A ty, Madziu, możesz przeczytać bodaj 18-ty list: „O myśli.“

— Teraz ja proszę pana — rzekł Dębicki — ażebyś nie posądził mnie o arrogancyę. Otóż, od bardzo dawna, nie mogę wyjść z podziwu, że ludzie tej bystrości, co Moleschott, albo Vogt, są tak naiwnymi w kwestyi dowodów. Powiem krótko. Wszystkie doświadczenia robione nad mózgiem: badania produktów chemicznych, temperatury mózgu, jego prądów elektrycznych, wszystkie uszkodzenia mózgu, umyślne czy przypadkowe, dowiodły tylko jednej rzeczy, że — mózg jest organem ducha. Człowiek z uszkodzonym mózgiem źle myśli, czy nie może objawiać, że myśli; jak człowiek z uszkodzonem okiem źle widzi lub wcale nie widzi, a człowiek z uszkodzoną nogą—źle chodzi lub wcale nie chodzi. Tymczasem w naturze zjawisko ruchu bynajmniej nie jest związane z mu-

skułami, ani wrażliwość na światło — z okiem. Spadający kamień porusza się, choć nie ma muskułów, ani nerwów; płytka fotograficzna i selen są wrażliwe na światło, choć nie posiadają nerwu optycznego, soczewki, tęczówki i tak dalej.

Jeżeli więc ruch mechaniczny może istnieć po za granicami muskułów, a wrażliwość na światło po za granicami oka, dlaczegóżby, myśl, czucie, świadomość, nie miały istnieć po za obrębem mózgu? Bez mózgu nie ma myśli... bez bursztynu nie ma elektryczności!... Pomyśl pan, czy to nie dziecińświetwo?...

— Pysznie!... — zawołał Brzeski. — Teraz zostaje profesorowi tylko, pokazać nam duszę w kamieniu lub w barometrycznej próżni...

— Nie, panie. Nie pokażę ci ani duszy, ani tego łańcucha, którym zmierzono odległość ziemi, bodajby od księżyca, ani 400 trylionów drgań na sekundę... Są to bowiem fakta, nie podpadające pod zmysły. Ale zrobię co innego: pokażę panu nowe zagadnienia dla myśli.

— Nie jest to wprawdzie to samo... — wtrącił Zdzisław.

— Znajdzie się i to samo. Tymczasem posłuchaj pan. Z górą przed stoma laty, ktoś zapytywał Woltera: czy dusza ludzka może żyć po śmierci? Na to wielki satyryk odpowiedział: czy śpiew słowika zostaje po śmierci słowika?...

Jestto dowcip, kryjący w sobie niezmierną prawdę. Ale wie pan, co się stało w niecały wiek po tej genialnej odpowiedzi?... Przyszedł Hirn, Joule, Meyer i — dowiedli, że po śmierci słowika nie zo-

staje wprawdzie śpiew słowika, ale—energia, ukryta w tym śpiewie — zostaje i zostanie na całą wieczność. Innemi słowy: śpiew słowika, jako drganie powietrza, działające na nasz słuch, znika; ale utajony w nim: iloczyn z połowy kwadratu prędkości przez masę, czyli to, co stanowi duszę śpiewu, żyć będzie na wieki. W naturze niema potęgi, która mogłaby zniszczyć ten byt niewidzialny, a jednak rzeczywisty.

— No, to jeszcze nie jest nieśmiertelność duszy indywidualnej, czyjegoś *ja*... — przerwał Zdzisław.

— Zaczekaj pan!... To nie jest — to, ale zawsze — jest coś, a raczej dwa *cosie:* jakiś byt rzeczywisty, choć niewidzialny i — jakaś wieczność, o której mówią nie baby pod kościołem, ale fizycy. Niech więc pan zapamięta, że są rzeczywistości nie podpadające pod zmysły i że jest nieśmiertelność dowiedziona w sposób naukowy...

— Ale nie dla mojej duszy...

— Przyjdzie i to; nie zaraz, ale przyjdzie. W tej chwili zwrócę uwagę pańską, że nieśmiertelność energii i materyi, dowiedziona faktami i rachunkiem dopiero w naszych czasach, była przeczuwana od tysięcy lat. Przeczucia te wyraźnie formułowali greccy filozofowie, Spencer zaś mniema, że: przeczucie niezniszczalności materyi i energii narzuca się każdemu umysłowi w sposób konieczny. Nauka więc pod tym względem nie zrobiła nowego odkrycia, lecz tylko — potwierdziła to, co ogół niejasno odczuwał.

Otóż nie zaprzeczysz pan, że ludzkość w nie-

równie wyższym stopniu posiada przeczucie nieśmiertelności duszy. Nie widzi ona wyraźnie, ale spostrzega jakieś ogólne kontury tej prawdy; powszechność zaś przeczuć stanowi ważną wskazówkę...

— Są jednak ludzie, nie mający tych przeczuć — wtrącił Brzeski.

— Są też ludzie niewrażliwi na światło, ślepi. Pociesz się pan jednak, że jak dla kompensaty istnieją ludzie obdarzeni wyjątkowo dobrym wzrokiem, którzy bez szkieł widzą księżyce Jowisza, tak również istnieją obdarowani wyjątkowo silnym zmysłem duchowym. Ci rozprawiają o duszy i o świecie nadzmysłowym, jak my o Saskim placu, na który w tej chwili patrzymy.

Wstręt do nicości, wrodzony naturze ludzkiej, tembardziej zastanawia, że nicość przedstawiamy sobie jako twardy sen. Otóż my z twardym snem jesteśmy oswojeni, równie dobrze jak ze stanem czuwania. Więcej nawet — twardy sen jest bardzo przyjemnem zjawiskiem, a naodwrót życie, czuwanie, bywa przepełnione cierpieniami. Mimo to wszystko, myśl o wiecznym śnie przeraża nas, a myśl o wiecznem czuwaniu, choćby nawet nie wolnem od przykrości, napełnia nas pociechą.

Nicość jest wstrętna ludzkiej naturze, pociąg do życia wiecznego prawie powszechny. Jeżeli więc, mimo to, istnieje szkoła filozoficzna, która wierzy i głosi nicość, to powinna mieć jakieś potężne dowody. Nie ci bowiem dowodzą, którzy podzielają wiarę powszechną, a raczej: instynkt powszechny w pewnym kierunku, ale ci, którzy wskazują nowy kierunek.

Otóż, jak się pan przekonasz, system dowodów materyalistycznych, nietylko nie ma wartości naukowej, ale opiera się na tak rażących niedorzecznościach, że zdumiewają.

— Już zaczynam się zdumiewać — wtrącił Brzeski — ale... tem, co pan powiedział.

Madzia wpatrywała się w Dębickiego, jak w dziwowisko. Prawie nie śmiała oddychać.

— Opowiem bajkę — ciągnął profesor. — Ktoś uderzony faktem, że zwykli ludzie zachwycają się niknącemi obrazami, postanowił osobiście zbadać tę kwestyę. W tym celu poszedł na przedstawienie niknących obrazów, ale, ażeby nie poddawać się wrażeniom tłumów, które bardzo często są omylne, wie pan co zrobił?... Zalepił sobie oba oczy...

— Puszcza się profesor!... — zawołał Brzeski.

— Zaczekaj pan. Siędzi tedy na przedstawieniu nasz filozof z zalepionymi oczyma, słyszy muzykę katarynki, brawa publiczności i robi wnioski.

Uważam — mówi sobie — że ci państwo najczęściej biją brawa wówczas, gdy katarynka gra melodye smętne, a śmieją się, gdy gra skoczne. Widzowie z pierwszego rzędu są najbardziej ożywieni, gdyż — siedzą na wyściełanych krzesłach. Przy ostatniej zaś seryi obrazów dlatego panowało tak uroczyste milczenie, ponieważ latarnia zaczęła kopcić i swąd napełnił salę.

Cobyś pan powiedział o takim badaczu niknących obrazów?... — zapytał nagle Dębicki.

— Że jest głupiec — odparł Zdzisław.

— Masz pan słuszność. Badacz ten jest głupcem, ponieważ do badania pewnej grupy zjawisk

użył niewłaściwego zmysłu, a co gorsze: zapieczętował sobie właściwy zmysł.

Teraz opowiem drugą bajkę — ciągnął Dębicki. — Inny mędrzec chciał zbadać własności światła. W tym celu zapalił lampę naftową i wykonał na niej szereg doświadczeń, z których okazało się:

Że nafta nieczysta daje gorsze światło, aniżeli czysta; że przy podnoszeniu knota światło wzmacnia się, a przy zniżaniu knota światło słabnie. Że światło również słabnie, gdy na knocie utworzy się grzybek, albo gdy knot będziemy naciskać patykiem i tak dalej.

Wreszcie skończył eksperymenta i na ich zasadzie ogłosił, że: światło jest funkcyą knota i nafty; po za knotem i naftą nie istnieje. Światło nie ma żadnych innych własności, oprócz tych, które można zbadać na knocie za pomocą szrubki i patyka. Po spaleniu się knota, światło ginie i tak dalej.

Tymczasem ktoś obeznany z optyką odparł mu na to: że światło może istnieć po za swojem źródłem, czego dowodzą bodaj gwiazdy, które od wieków mogły zgasnąć, a niemniej światło od nich wciąż przepływa nieskończoność. Że światło ma własności różne, aniżeli knot: odbija się, załamuje się, dzieli się na pojedyncze barwy, polaryzuje się i tak dalej. Że nareszcie potrzeba być głupcem, ażeby nie odróżniać światła od knota, albo opierać optykę na produktach spalenia nafty.

Otóż, kochany panie Zdzisławie, w człowieku są trzy różne rzeczy: organizm, który odpowiada knotowi, zjawiska fizyologiczne, odpowiadające płomieniowi, który powstaje ze spalenia się nafty w po-

wietrzu i — dusza, która odpowiada światłu. Ta dusza ma swoje własności po za cielesne i swoje zjawiska po za fizyologiczne. Ta dusza nie jest produktem strawienia i utleniania pokarmów, ale jest oryginalną formą energii, czy ruchów, które odbywają się nie w substancyi mózgowej, ale w jakiejś całkiem innej, może być w eterze, wypełniającym wszechświat.

— Nie dość jasno chwytam cel pańskiego porównania — wtrącił Brzeski.

— Widzi pan, chciałem to powiedzieć, że materyalizm zyskał niby faktyczne podstawy, od czasu, gdy za pomocą fizyologii chciano wytłómaczyć, a może i zastąpić psychologię. Cóż się pokazało? Oto, że kalecząc mózg, można paraliżować ruchy, wywołać zapominanie wyrazów, zakłócić uwagę, nawet przyćmić świadomość. Czyli: kalecząc knot, można wywołać kopcenie lampy, nawet zgasić światło.

Czy jednak fizyologia objaśniła nam naturę duszy? Wcale nie. Nie ona bowiem odkryła, że zasadniczemi objawami duszy jest: myśl, uczucie, wola; nie fizyologia też powiedziała nam, że posiadamy: zdolności bierne, pamięć, twórczość, współczucie, cele... Zatem fizyologia, z całym systemem swoich cięć, podwiązywań, elektryzowań, zatruć i tak dalej, nie jest organem właściwym do badania duszy, jak węch albo słuch nie są organami właściwemi do badania obrazów niknących.

Naturę duszy, czyli: rozmaite jej zdolności i nieskończone łańcuchy duchowych zjawisk, odkrył nam nie wzrok, nie skalpel, ale — wewnętrzna obserwacya, nasze *poczucie samych siebie.* Więc to *poczucie* jest

właściwym zmysłem, jedynym zmysłem, którym *bezpośrednio* możemy badać naszą duszę.

Nie twierdzę, że anatomia i fizyologia na nic nie przydadzą się psychologii. Owszem: odkrycie prędkości wrażeń, ogrzewania się mózgu w czasie pracy, zużywanie się pewnych materyałów, elektryczne prądy mózgowe i mnóstwo innych odkryć, mogą mieć olbrzymią doniosłość praktyczną. Dzięki anatomii i fizyologii poznajemy bliżej tę zdumiewającą fabrykę, w której dokonywają się najcudowniejsze działania w naturze. Może nadejść czas, że anatomia i fizyologia opiszą nam i wytłómaczą budowę każdego mechanizmu wykonawczego, z jakiego składa się nasz system nerwowy. Ale nigdy nie wytłómaczą i nie opiszą zasadniczej własności ducha, jaką jest — *czucie*.

Czuję kolor czerwony i zielony, czuję tony wysokie i niskie, czuję twardość i miękkość, ciepło i zimno; czuję zapach octu i róży, czuję głód i trudność w oddychaniu, czuję ruchy moich rąk i nóg. Czuję radość i smutek, miłość i nienawiść, czuję, że czegoś pragnę a czegoś lękam się, czuję, że pamiętam przeszłość. Czuję wreszcie, że jedne z moich kombinacyi umysłowych odpowiadają faktom spostrzeżonym przez zmysły, a inne kombinacye są — mojemi własnemi utworami.

Słowem — odkrywam cały świat zjawisk, będących tylko: rozmaitemi formami czucia, tego dziwnego czucia, które czuje nawet — samo siebie. A jednocześnie spostrzegam, że ani fizyka, ani chemia, ani teorya komórek, ani wszystkie razem wzięte doświadczenia fizyologiczne, nie powiedzą mi: *czem jest*

czucie? Jest to fakt elementarny i, dla każdego człowieka, jedyny.

Wiem, że w przestrzeni krążą i palą się miliony słońc, że do koła mnie żyją miliony istot, że wszyscy ludzie — myślą, cieszą się, pragną, pamiętają. Ale wiem również, że czucie, które ja posiadam i którem ogarniam cały świat, że to moje czucie, jest jedyne w naturze. Ja za nikogo czuć nie mogę i nikt za mnie; ja nikomu nie zajrzę w głąb jego uczucia i nikt nie zajrzy w moje. Pod tym względem jestem istotą wyłączną i niezastąpioną. I z tego punktu miałeś pan racyę, twierdząc wczoraj, że gdyby zgasł twój duch, czyli — twoje czucie, razem z niem zginąłby jeden wszechświat.

Otóż to *czucie*, to *moje czucie*, nie jest własnością tego, co nazywamy: organizmem materyalnym.

— To zaczyna być interesujące — odezwał się zamyślony Brzeski.

— Pozwolisz pan, że zrobię jeszcze jedno zboczenie — mówił profesor. — Poglądy materyalistyczne popularyzują się dosyć łatwo, szczególniej między młodzieżą, która zaczyna studyować nauki przyrodnicze. Przyczyną tego jest małe ukształcenie filozoficzne, dalej — popęd do nowości, który cechuje wiek młody, wreszcie — jasność nauk przyrodniczych i porządek, jaki w nich panuje.

Są to jednak przyczyny drugorzędne. Ale wiesz pan, co stanowi fundament popularności materyalizmu?... Prawie niepodobna uwierzyć, a przecie tak jest: podstawą łatwości, z jaką ludzie przyjmują materyalistyczne poglądy, jest... Domyśl się pan, co?... Oto — pewne gramatyczne skrócenie!...

Mówimy zwykle w ten sposób: „Ogień parzy — kamień jest ciężki — dwa a dwa jest cztery — słońce jest odległe od ziemi o 21 milionów mil geograficznych.“ Są to skrócone formy mówienia; dokładnie bowiem należałoby tak mówić: „Ja czuję, że ogień parzy — ja czuję, że kamień jest ciężki — ja ciągle doświadczam, że dwa a dwa jest cztery — ja, na podstawie spostrzeżeń, czyli zmysłowych czuć, wywnioskowałem, że słońce jest od nas odległe na 21 milionów mil...“

Różnica tych dwu form mówienia jest olbrzymia. Człowiek bowiem, nie ukształcony filozoficznie, mówiąc krótko: „kamień jest ciężki,“ wyobraża sobie, że głosi jakąś prawdę bezwarunkową, która istnieje po za nim. Lecz gdy powiemy: „ja czuję, że kamień jest ciężki,“ rozumiemy w tej samej chwili, że dla naszej wiedzy ciężkość kamienia nie jest żadnem objawieniem, ale — jest tylko: sformułowaniem stanu naszego czucia.

Otóż, wszystkie nasze sądy o świecie zewnętrznym, wszystkie tak hucznie reklamowane „obserwacye i eksperymenta“ opierają się na tych zasadniczych faktach, że „ja coś czuję, ja coś wiem i ja w coś wierzę.“ Czy świat realny naprawdę istnieje? i czy on wygląda tak, jak my go widzimy? czyli też na odwrót — cała natura jest tylko złudzeniem naszych zmysłów, niknącym obrazem, który trwa dopóty, dopóki żyjemy sami? tego nie jesteśmy pewni.

Jedno tylko dla nas niewątpliwe, że: czujemy samych siebie i — coś, co nie jest nami, czyli: czujemy własną duszę, na którą działają jakieś wpływy zewnętrzne.

Z tego objaśnienia wypływają dwa ważne wnioski.

Pierwszy jest ten, że: nielogicznie jest tłómaczyć zjawiska duchowe za pomocą zjawisk materyalnych; nielogicznie jest objaśniać prawdę pewniejszą, za pomocą prawdy mniej pewnej.

To, co nazywamy „naturą,“ jest sumą naszych czuć: wzrokowych, dotykowych, muskularnych, słuchowych, czyli: jest *wyrobem* naszego ducha. Nie mamy więc prawa uważać siebie za wyrób natury, jak zegarmistrz nie ma prawa mówić, że sam został zbudowany przez zegary. Tem mniej mamy prawa twierdzić, że nasza dusza jest wytworem komórek mózgowych, albo: tlenu, azotu, węgla, wodoru, fosforu... To, co nazywamy np. fosforem, jest sumą wrażeń, które odczuwa nasza dusza, więc ta — odczuwająca dusza jest czemś innem, aniżeli suma jej wrażeń, jest co najmniej płótnem, na którem odbijają się wrażenia.

Druga kwestya jest jeszcze ciekawsza. Materyaliści mówią: „natura składa się z sił i materyi,“ trzeba zaś mówić: „natura składa się z sił i materyi, a przedewszystkiem — z duszy, która ją odczuwa i określa.“ To więc, co nazywamy: *rzeczywistością*, *bytem*, nie jest *podwójne* (siła i materya), ale *potrójne* (duch, siła i materya) i pierwsza jednostka z tej trójki, mianowicie: duch, jest dla nas pewniejszą, aniżeli dwie inne: siła i materya.

Otóż z tej uwagi wypływa wniosek olbrzymiej doniosłości: jeżeli fizyka i chemia dowiodła niezniszczalności siły i materyi, tem samem dowiodła — niezniszczalności ducha. Duch bowiem, siła i materya nie są trzema rzeczami niezależnemi od siebie, ale

jakby trzema bokami tego samego trójkąta. Mój duch, który wzniósł się tak wysoko, że dostrzegł nieśmiertelność swoich własnych utworów, sam również musi być nieśmiertelny, tylko pełniejszy, bogatszy od nich w chwale nieśmiertelności.

W tem miejscu Madzia rozpłakała się.

— Czegóż ty beczysz?... — zapytał brat.

— Albo nie słyszysz?... — odparła.

— Słyszę traktat, który mnie rzeczywiście zdumiewa. Ależ to jest tylko system filozoficzny, kombinacya umysłowa...

— Ale ja ją lepiej rozumiem, aniżeli wasze tłuszcze, fosfory i żelaza, które mi zatruły życie... A i tobie, Zdzisiu i... wielu innym!

Brzeskiemu błyszczały oczy i wystąpiły na twarz wypieki; Madzia płakała. Dębicki siedział na fotelu z rękoma opartemi na rozstawionych nogach, z wysuniętą wargą, spokojny, jakby nie widział tych ludzi, tylko długie łańcuchy swoich rozumowań.

— Jestem bardzo rozdrażniony...—szepnął Brzeski i zaczął chodzić po pokoju, od czasu do czasu pocierając czoło.

— Hę?... — spytał profesor. — Cóż to, gorzej panu?...

— Przeciwnie, jest mi lepiej—odparł Zdzisław z uśmiechem — daleko lepiej!... Ale zmęczyłem się. Otwierasz pan przedemną nowy wszechświat; ale tak różny od tego, który znam, tak przytłaczający swoją fantastycznością, że poprostu... mąci mi się w głowie...

— Rozumiem...—rzekł Dębicki, krzywiąc się.— Tyle się pan naczytałeś o swoich farbach, olejach, komórkach i atomach, że nie miałeś czasu na kwe-

stye filozoficzne. Nie wygimnastykowany umysł... Więc i męczysz się pan, jak człowiek, który pierwszy raz wsiadł na konia.

XIX.

. . . .

Oboje Brzescy uprosili Dębickiego, ażeby zjadł z nimi obiad. Zgodził się, pod warunkiem, że pozwolą mu zajrzeć do domu, do Zosi.

W godzinę był z powrotem. Jedli obiad w numerze we troje, a przez ten czas Zdzisław z doskonałym humorem opowiadał im o swojej karyerze przemysłowej, na której mógł zrobić duży majątek i zabezpieczyć przyszłość rodzicom i siostrom.

— Zrobisz jeszcze majątek!... — zawołała z przekonaniem Madzia.

— Phy... — odparł niedbale — może i tak będzie. Pierwej jednak muszę rozmówić się z Tapeinerem.

Madzia z wdzięcznością spojrzała na profesora. Trudno było o lepszy dowód, że jakaś korzystna zmiana zaszła w usposobieniu jej brata.

Po obiedzie, na wniosek Madzi, poszli we trójkę do Saskiego ogrodu. Wlekli się, jak dziady na odpust, a znalazłszy w alei od Marszałkowskiej ulicy pustą ławkę, zasiedli.

Gdy Zdzisław trochę odsunął się od nich, Madzia szepnęła do Dębickiego:

— Wie pan, on już nic nie mówi o śmierci...

Brat usłyszał to i odparł:

— Nietylko nie mówię, ale nawet nie myślę. Nie wiem, czy kiedy spotkamy się w innym świecie... Ale przyjemniej myśleć o kwestyach, dotyczących duszy, aniżeli o gniciu i nicości.

Pan Dębicki ma słuszność: my, młodzi, nie posiadamy ukształcenia filozoficznego, a nawet — mamy wstręt do metafizyki. Tymczasem metafizyka uczy, że na świat można patrzeć z innego punktu, niż materyalistyczny. I nic nie stracilibyśmy na nowym poglądzie. Bo jeżeli spotka nas nicość, przynajmniej nie martwilibyśmy się zawcześnie. Ale jeżeli naprawdę jest za wrotami śmierci, jakiś świat doskonalszy, to filozofia materyalistyczna złą usługę oddaje ludzkości...

Chociaż... wszystko to może być tylko fantastycznem marzeniem!... — rzekł po chwili. — Mnie, rozdrażnionego, metafizyka może uspokoić na parę dni. Ale gdyby wszyscy ludzie zapomnieli o rzeczywistości!...

Dębicki uśmiechnął się.

— Jak to trudno — mówił — otrząsnąć się z nałogów. Dla pana dusza, w obec materyi, wciąż zdaje się posiadać mniejszy stopień rzeczywistości, aniżeli ciało. Tymczasem dusza jest bardziej rzeczywistą, niż ciało, jest jedyną rzeczywistością. Boisz się pan, ażeby ludzkość nie utonęła w marzeniach, czyli w rozważaniu świata duchowego. Ależ tym światem musimy się zajmować, bo on jest nami i w nas, naszą istotą i przyszłością; zresztą — jest co najmniej zwierciadłem, w którem odbija się natura zmysłowa. O na-

turze zaś i życiu realnem ludzie nie zapomną: głód, chłód, pragnienie i tysiące innych bodźców są doskonałemi środkami mnemonicznemi. Trzeba tylko zachować równowagę: nie topić się we własnem wnętrzu i nie rozpraszać w zmysłach, ale — chodząc po ziemi, trzymać głowę w niebie, dopóki nie przeniesiemy się tam całkowicie.

Co się tycze metafizyki, z której tak wytrząsa się materyalizm, ach, panie Brzeski, jak ten materyalizm nie zna nauki nowożytnej! Przecie to rzecz wiadoma, że wielka nauka, stanowczo przekroczyła granice zmysłowości i wypłynęła na ocean metafizyki. Tak jest i łudzić się nie można.

Weź pan astronomię, która mówi, że światło, ubiegające 300 tysięcy wiorst na sekundę, musi lecieć do najbliższych gwiazd stałych przez cztery lata, dwadzieścia lat, pięćset lat i tysiące lat... Gdzie pan masz środki na uzmysłowienie tego rodzaju odległości?...

Weź pan fizykę, która, chcąc objaśnić nam wymiary atomu, daje taki przykład. W główce szpilki jest ośm sekstylionów atomów. Gdybyśmy co sekundę odrzucali z tej główki po milionie atomów, w takim razie skończylibyśmy nasz rachunek w ciągu 253 tysięcy lat!... Nie dziw, że po tego rodzaju rachunku, Clerk Maxwell powiedział: „To, co widzimy, zrobione jest z tego, czego się nie widzi.“

A przypomnij pan sobie te setki trylionów drgań eteru na sekundę?... Albo weź pan sam ów eter. Jest on tysiąc kwadrylionów razy rzadszy od wody, ale nie jest ani gazem, ani płynem, raczej ciałem stałem i ciągłem, rodzajem galarety. Eter jest także mi-

liard razy mniej sztywnym od stali, ale każdy cal angielski ugniata z siłą 17 bilionów funtów. Powiedz pan, czy to nie jest najfantastyczniejsza metafizyka?... A przecież jest ona tylko wnioskiem z obserwacyi naukowych nad ciałami i zjawiskami materyalnemi.

— Więc człowiek zawsze musi wątpić!... Nigdy nie pozna prawdy!... — zawołał z goryczą Zdzisław, uderzając laską w ziemię.

— Palcem nigdy nie dotknie prawdy, ani nie dojrzy jej okiem. Ale zawsze znajdzie ją duchem i w duchu — odparł Dębicki.

Ponieważ zerwał się wiatr chłodny, więc opuścili ogród i wrócili do numeru. Dębicki zajął fotel, a Madzia usadowiła brata w pozycyi pół-leżącej na kanapie.

— Należy nam się od profesora objaśnienie — zaczął Brzeski. — Powiedział pan, że czucie, owo: moje czucie, nie jest własnością organizmu materyalnego. Więc... czegóż?...

— Wytłómaczę się — odparł Dębicki. — Ale pierwej pan powiedz mi: w jaki sposób wyobrażasz sobie materyalnie proces myślenia? Co tam robi się w mózgu?

— Kwestya ta nie jest jeszcze jasna dla anatomii i fizyologii, nie wiemy: jak się to robi, tylko odgadujemy...

— Mój Zdzisiu, daj temu spokój — przerwała Madzia — bo znowu zostaniesz materyalistą...

Zdzisław uśmiechnął się i mówił:

— Trzeba pamiętać, że komórki nerwowe są machinami bardzo rozmaitego typu. Jedne przykładają się do kurczenia mięśni, inne są wrażliwemi:

te wyłącznie na światło, tamte wyłącznie na dźwięk, owe na ciepło, jeszcze inne na zapachy. A ponieważ komórki nerwowe odznaczają się tak wielką rozmaitością uzdolnień, można więc przypuścić, że niektóre z nich posiadają w zawiązku — zdolność myślenia. Ile razy w komórce zajdzie jakaś zmiana, najpewniej chemiczna, której towarzyszy ciepło i elektryczność, tyle razy budzi się w owej komórce niby iskierka procesu umysłowego. A jak z pojedynczych iskier tworzy się wielki płomień, tak z elementarnych, prawie niewyraźnych skutkiem swojej małości, procesów duchowych, powstaje rozległa i wyraźna myśl o czemś...

— Ach, Zdzisławie!... — zawołała Madzia — nie mów tak... Pamiętasz przecie, co powiedział pan profesor?... Zobaczysz, że ci to zaszkodzi...

— Jej ciągle zdaje się, że jest jeszcze na pensyi — odparł brat. — Muszę jednak przyznać — ciągnął dalej — że psychiczna strona myślenia nie przedstawia mi się zbyt jasno... Jakich zmian chemicznych potrzeba, ażeby w komórce obudziło się czucie? Czy każdy proces chemiczny jest czuciem, czy przywilej ten posiadają tylko komórki mózgowe?... nie umiałbym odpowiedzieć. Trochę lepiej rozumiem proces kojarzenia się wyobrażeń.

Oto leży na komodzie cytryna. Światło od niej pada na moją siatkówkę i maluje tam obraz. Obraz ten po nerwie optycznym przechodzi do zrazów wzrokowych, a od nich do mózgu.

Teraz przypuśćmy, że w mózgu są następne typy komórek: jedną z nich podrażnia żółty kolor, drugą kształt, trzecią wielkość cytryny. Trzy te-

komórki, podrażnione jednocześnie, ze swej strony drażnią część mózgu, w której mieści się zdolność mówienia, i — budzą wyraz: cytryna.

Nie koniec na tem. Od owych trzech komórek idą nitki do innych. Jedna więc nitka może podrażnić komórkę, odpowiadającą zapachowi cytryny, a inna — komórkę kwaśnego smaku. Komórka smaku może podrażnić komórki pragnienia i wody, tudzież grupę komórek, odpowiadających wyobrażeniu: cukier. Wszystkie te komórki drażnią odpowiednie grupy komórek wyrazowych, a komórki wyrazowe, za pomocą rozmaitych pośredników, oddziaływają na mięśnie: płuc, krtani, języka, ust i — człowiek myśli a potem mówi zdanie: „napiłbym się wody z cytryną i cukrem."

Trzeba dodać, że komórki mózgowe mają zdolność przechowywania jakby: śladów wrażeń dawniejszych i ta ich zdolność jest podstawą pamięci. Skończyłem.

Madzia pytającym wzrokiem spojrzała na Dębickiego.

— Cóż — odparł profesor — z tem kojarzeniem wyobrażeń może być tak, jak mówił pan Zdzisław, a może nie być tak. Fizyologia wierzy tylko w doświadczenia zmysłowe, więc dopóki nie dostrzeże zmysłami owych rozmaitych komórek: do koloru żółtego, do formy owalnej, do kwaśnego smaku, dopóki nie pokaże działania na siebie tych komórek, i porządku, w jakim rozwija się działanie, dopóty to, co mówił pan Zdzisław o kojarzeniu wyobrażeń, będzie tylko hipotezą i nie powiem: zrozumiałą hipotezą.

Zbijać ani dowodzić tego nie potrzebuję. Wolę

dowieść czego innego, że — *czucie*, wraz ze swojemi rozgałęzieniami, które nazywamy: spostrzeganiem, wnioskowaniem, świadomością i w ogóle — myśleniem, w żaden sposób nie może być produktem mózgu.

Moje czucie, które każdy z nas posiada, jest faktem elementarnym. Jeżeli niepodobna dać ślepemu pojęcia o tem: co znaczy kolor, choćby za pomocą najzawilszej kombinacyi: dźwięków, zapachów, dotykań, to jeszcze mniej podobna, za pomocą jakichkolwiek ruchów nerwowych, jakichkolwiek procesów fizycznych czy chemicznych — objaśnić zjawisko czucia. Czucie odsłania przed nami cały świat; ale milion takich widzialnych i dotykalnych światów, nie objaśni czucia. Może kiedyś chemia rozłoży pierwiastki chemiczne, może kiedyś potrafi z ołowiu robić złoto. Ale nikt i nigdy nie rozłoży tego pierwiastku: *ja czuję* i nikt z procesów chemicznych i fizycznych nie zrobi *czucia*.

A jeżeli zapytacie o dowód, odpowiem: takie jest nasze najgłębsze uczucie tej sprawy, takie jest przekonanie naszej duszy, władzy, która odczuwa całą naturę i sama jedna decyduje o prawdzie lub nieprawdzie. To też gdyby jaki fizyolog otworzył nam żywy i zdrowy mózg ludzki, gdyby pokazał jego mikroskopijne falowania i objaśnił, że: to drgnienie znaczy gniew, tamto miłość, to kolor żółty, a tamto smak kwaśny, patrzylibyśmy, może nawet zapamiętalibyśmy formy tych drgań, lecz sami — nie odczulibyśmy ani kwasu, ani miłości, ani żółtości, słowem — niczego.

Z drugiej strony, gdyby to *moje czucie* było złudzeniem, w takim razie wszystko jest złudzeniem:

natura i człowiek, siła, materya, życie i śmierć. Nie byłoby już o co troszczyć się, o czem rozmawiać i myśleć. Wtedy najwłaściwiej byłoby wziąć do łudzącej ręki złudzenie zwane pistoletem i rozsadzić nim inne złudzenie — zwane mózgiem.

Dębicki przerwał i spojrzał na swoich słuchaczy. Zdzisław leżał na kanapie z przymkniętemi oczyma; przy nim siedziała Madzia i, trzymając brata za rękę, wpatrywała się w profesora.

— Nie jesteście państwo zmęczeni?—pytał Dębicki.

— Ależ nie... — zawołała Madzia.

— Owszem—dodał Zdzisław—jesteśmy bardzo zaciekawieni... Czuję, że pan zbliża się do jakichś stanowczych dowodów...

— Ma pan racyę—rzekł Dębicki—zbliżam się do węzła kwestyi. Czy dowody, jakie wam przytoczę, będą nowemi — nie wiem. W każdym razie są mojemi i zapewne dla tego przypisuję im pewną ważność.

A teraz kilka pytań.

Czy zgadzasz się pan, że, w całym obszarze naszej wiedzy, którą nazywamy: wiedzą prawdziwą, największą prawdą jest fakt, że — my czujemy, że mamy czucie?...

— Rozumie się — odparł Brzeski.

— Czy zgadzasz się pan, że nasze czucie, jest faktem fundamentalnym. To znaczy, że czucie towarzyszy nietylko naszym wyobrażeniom o istnieniu siły, materyi, świata, praw jakie nim rządzą, ale nawet naszym wyobrażeniom o — nieistnieniu tych rzeczy? Wszak możemy myśleć o tem, że świat kiedyś zginie, że jego prawa zmienią się, że pierwiastki

chemiczne zostaną rozłożone; lecz myśląc o tych katastrofach, nie możemy pozbyć się poczucia naszych własnych myśli. Nawet wyobrażając sobie własną śmierć i nicość, jeszcze robimy to na podstawie czucia; innemi słowy: wyobrażamy sobie nawet nicość, na tle — czucia...

— No... jużci chyba tak... — mruknął Zdzisław. — Choć całe to pytanie wydaje mi się bardzo zawikłanem...

— Ależ mój kochany — zgromiła go siostra — nie mów tak!... Cóż w tem jest zawikłanego?

— Dobrze, niech będzie proste.

— Niech pan to pilnie rozważy — nalegał Dębicki. — Ja bowiem wykładam fakt, że: mechanizm naszego czucia jest rozleglejszy od mechanizmu tej części natury, którą widzimy i dotykamy. W naszem czuciu istnieją nietylko zwierciadła do odbijania realnych zjawisk natury, ale istnieją także szufladki, w których wyrabiają się pojęcia niekiedy wręcz sprzeczne z doświadczeniem. My naprzykład nie widzieliśmy wystygłego słońca, rozbitej ziemi, a choćby naszego własnego ciała w postaci rozkładających się zwłok. A jednak o wszystkich tych rzeczach możemy myśleć...

— Innemi słowy — przerwał Brzeski — profesor mówi o tem, że: człowiek posiada zdolność fantazyowania?

— Tylko o tem. Ale istnienie fantazyi dowodzi, że dusza nasza nie jest płytką fotograficzną, na której odbija się świat zmysłowy, lecz jest machiną, która z gruntu przerabia spostrzeżenia, pochodzące od świata.

— Rozumiem.

— Doskonale!... — prawił Dębicki. — A czy wierzy pan, w dalszym ciągu, że dusza nasza, czyli: rozwinięte czucie, jest — nieprzenikliwem? To znaczy, że ani ja nie mogę przeniknąć pańskiego czucia, ani pan mojego?

— Tak.

— Pysznie!... A czy zgadza się pan, że nasze czucie, czyli — dusza, jest czemś jednem jednolitem, pomimo rozgałęzień jakiemi są: zmysły zewnętrzne, zmysły wewnętrzne, pamięć, wyobraźnia, pragnienia, radości, gniewy i tak dalej?...

— No, o tem możnaby pogadać...

— Ale bardzo krótko — odparł Dębicki. — Proszę pana, to, co nazywamy naturą, składa się z mnóstwa przedmiotów oddzielnych. Są oddzielne drzewa, oddzielne krowy, oddzielne muchy, oddzielne ziarna piasku, oddzielni ludzie, oddzielne promienie światła i oddzielne zmiany, jakim ulegają te promienie. Tymczasem w duszy naszej istnieje tak potężny popęd do jedności, że tę jedność narzucamy naturze i mówimy: las, stado, rój, ława piaszczysta, społeczeństwo, optyka... Wszystkie teorye naukowe i wszystkie dzieła sztuki, wszystkie prace ludzkie i wyroby techniczne powstały ztąd, że dusza nasza narzuca swoją jedność nieskończonej rozmaitości, jaka istnieje w naturze.

Prawda, że są przedmioty na pozór jednolite, naprzykład: stół, woda, ściana... Ale ta jednolitość opiera się na niedokładności zmysłów; w gruncie rzeczy bowiem: stół, woda i ściana składają się z czą-

stek, a te cząstki z oddzielnych i nie przylegających do siebie atomów.

Krótko wówiąc: dusza nasza jest tak jednolitą, że z największą siłą narzuca swoją jednolitość wszystkiemu. I dopiero wówczas uznaje rozmaitość, gdy ją do tego gwałtem zmuszą zmysły, gdy w każdej chwili przeszkadzają jej do utworzenia jedności.

— Istotnie, że to tak wygląda—mruknął Brzeski.

— A teraz dowiodę panu twierdzenia zasadniczego. Brzmi ono tak: „Materyałem, w którym odbywa się zjawisko czucia, nie może być to, co nazywamy materyą w znaczeniu chemicznem.“ A więc ani tłuszcz, ani fosfor, ani ich kombinacye, ani żadne komórki i włókna nerwowe...

— To pan chyba cud zrobi—szepnął Zdzisław.

— Gdyby mózg był substancyą, posiadającą władzę czucia (a wiemy z fizyologii, że mózg nie posiada czucia), w takim razie: 1-o każdy atom tlenu, wodoru, fosforu i t. d., wchodzący w skład mózgu, musiałby posiadać czucie, 2-o musiałby istnieć jeden atom, do którego spływałyby doświadczenia innych atomów i ten, centralny atom, stanowiłby naszą duszę. Rozumie się, duszę nieśmiertelną, gdyż atomy, według nauki, są niezniszczalne.

— Dlaczego pan nie przypuszcza, że: z atomów nieczułych może wytworzyć się czujący agregat?... — wtrącił Brzeski.

— Zupełnie z tej samej przyczyny, dla której gromada ślepych nie utworzy agregatu, któryby mógł widzieć.

— Ależ atomy zdolne są do tworzenia agregatów, posiadających całkiem nowe własności. Kwas

siarczany naprzykład jest zupełnie różnym od siarki, tlenu i wodoru, jest rzeczą nową i nie dającą się wyrozumować z własności jego pierwiastków...

— Nie, panie — odparł Dębicki — kwas siarczany nie jest rzeczą „nową;“ on tylko ma nową postać energii chemicznej, w którą wsiąknęły energie chemiczne jego pierwiastków. Co ciekawsze, że kwas siarczany posiada mniejszą energię napiętą, aniżeli suma składających go pierwiastków. Pod tym względem związki chemiczne są podobne do spółek finansowych. Pan A. składa 100 rubli, B.—200, a C.—300; razem złożyli 600 rubli, ale z tej sumy jakaś część wsiąknie w lokal, sprzęty, księgi, potrzebne do utrzymania spółki, a zaledwie 100—200, może 400 rubli będzie kapitałem obrotowym, czyli: energią napiętą spółki.

Lecz gdyby panowie A., B. i C. pojedynczo nie mieli ani grosza, to i spółka ich także nie miałaby ani grosza, jakkolwiek ustawilibyśmy tych panów obok siebie.

Przypuśćmy jednak (co nie jest rzeczą niemożliwą), że atomy posiadają czucie, a nawet świadomość, to jeszcze zgromadzenie ich nie utworzy całości, któraby miała jakieś gromadzkie czucie i gromadzkie *ja*. Przecież ludzie są istotami czującemi, świadomemi, rozumnemi i mogą nawzajem komunikować sobie uczucia i myśli. Lecz co z tego?... Gdyby zeszło się dwu ludzi, czy milion ludzi, gdyby porozumiewali się wszelkiemi sposobami, gdyby nawet w tej samej sekundzie doznawali podobnych uczuć: miłości, radości, gniewu — to jeszcze nie utworzą razem jakiegoś nowego bytu, który posiadałby zbiorowe

czucie i mógł powiedzieć: ja, gromada, czuję to a to... Każdy bowiem z tych ludzi będzie posiadał tylko swoje własne czucie, które nie spłynie się z żadnem innem i nie utworzy wyższego czucia.

Mógłby zajść jeden wypadek, oto: gromada ludzi wybiera jakiegoś człowieka, komunikuje mu swoje myśli i tym sposobem wywołuje w nim coś, nakształt umysłowości zbiorowej. Lecz i wtedy ów człowiek będzie—czuł sam—wywołane w nim myśli.

Podobnie z atomami mózgu. Może rozmaite atomy posiadają czucie, każdy własne; może nawet komunikują je jakiemuś jednemu atomowi, który tym sposobem łączyłby w sobie rozmaitość wrażeń z jednością czucia, czyli—byłby naszem *ja,* naszą duszą nieśmiertelną — jak on. Na nieszczęście, fizyologia uczy nas, że atomy mózgu ciągle zmieniają się i choćby nawet istniał jakiś centralny atom, to i on wyleciałby z mózgu w ciągu kilku miesięcy, a wraz z nim i nasze *ja,* które przecież, z bardzo drobnemi zmianami, jest wciąż tem samem *ja.*

— No, tak!...—mruknął Brzeski po namyśle.— Ale dlaczego profesor, rozumując o atomach, zastępuje ich ludźmi, o których wiemy z góry, że mają czucie i świadomość?

— Dlatego, że nie jestem filozofem, który, dla postawienia teoryi światła, nie zajmuje się światłem, ale knotem i naftą. Mówię o czuciu, chcę wytłómaczyć czucie, więc muszę szukać nie czego innego tylko czucia, tam, gdzie ono jest, a więc—we mnie samym i w innych ludziach. Daj mi pan sposób obserwować czucie w zwierzęciu, czy w roślinie, tak,

jak mogę je obserwować w sobie, a wówczas będę mówił o zwierzętach i roślinach, a nawet o minerałach i pierwiastkach chemicznych.

— Widzi pan—odezwał się po chwili Brzeski— to, co pan mówił, niby jest dowodem, ale... nie robi wrażenia dowodu silnego...

— Cóż pan nazywasz dowodem silnym?

— Choćby mały rachunek...

— Dobrze. Dodaj pan, ile chcesz, bytów nieczujących, pomnóż byt nieczujący przez jaką chcesz liczbę, a ten rachunek przekona cię, że — nie otrzymasz czucia.

— Tak... No, a doświadczenie?... — wtrącił z uśmiechem Zdzisław.

— Weź pan gromadę czujących i świadomych ludzi, a przekonasz się, że łącząc ich w jakie zechcesz grupy, nie otrzymasz zbiorowego czucia, ani świadomości.

— To będzie doświadczenie analogiczne, nie bezpośrednie...

— A gdzie masz pan doświadczenie bezpośrednie choćby w kwestyi odległości ziemi od słońca?... — spytał Dębicki. — Mechanika, astronomia, fizyka w 99-ciu zjawiskach na 100 opierają się na dedukcyi i analogii i — mimo to — nazywają się naukami pewnemi. Dlaczegóż więc dedukcye w dziedzinie psychologii mają nie być pewnemi?... Wszak opierają się na *czuciu,* a czucie jest większym pewnikiem, aniżeli jakikolwiek inny fakt na świecie, czy w nauce.

Brzeski, leżąc, oparł głowę na ręku, wpatrywał się w profesora, rozmyślał, wreszcie rzekł:

— Ma pan słuszność, że nasze pokolenie nie jest oswojone z filozofią, czy z dyalektyką, i dlatego ja naprzykład nie potrafię zbijać pańskich poglądów. Ale... co pan sądzi o Taine'ie?...

— To wielki myśliciel i stylista — odparł Dębicki.

— Widzi pan... — ciągnął Brzeski. — A przecież między tym wielkim myślicielem i panem jest olbrzymia niezgoda, bo pan mówi o jedności naszego „ja," które nie może składać się z atomów, podczas gdy Taine dowodzi, że nasze „ja" właśnie składa się jakby z atomów, bo z nieskończenie małych wrażeń, które stoją tak blizko siebie, że zdają się tworzyć jeden łańcuch, jedną istotę. Naprawdę więc nasze jednolite „ja" jest złudzeniem.

— Proszę pana — rzekł Dębicki — kto powołuje się na autora, musi pamiętać: o czem on mówi i czego chce dowieść? Otóż Taine, o ile go rozumiem, w książce „O inteligencyi," chciał pokazać: w jaki sposób z drobnych wrażeń, pochodzących bądź ze świata zewnętrznego, bądź z naszego wnętrza — tworzą się umysłowe wizerunki tegoż świata i wnętrza? I objaśnił, że według niego, owe wizerunki podobne są do mozajkowych obrazów, które zdaleka wyglądają jak malowidło, z blizka zaś są zbiorem różnobarwnych kamyków.

Co jednak jest podstawą, do której przylepiają się owe kamyki? czem jest owa istota, ów byt, czy niebyt, który *łudzi się* jednolitością swoich mozajkowych obrazów?... o tem nie mówi. Lecz przypominam panu, że w końcu swego dzieła, Taine uznaje możliwość metafizyki i legalność jej badań. Dusza zaś

należy tymczasem do zakresu metafizyki, chociaż, mojem zdaniem, do takiej samej metafizyki należy cała dzisiejsza fizyka matematyczna z jej atomami, teoryą gazów i optyką. W chwili, gdy mówimy, że atom ma wielkość dwumilionowej części milimetra, że cząstka wodoru w ciągu sekundy uderza się dziewięć miliardów razy o cząstki sąsiednie, że światło czerwone polega na 387-miu trylionach drgań na sekundę, w tej samej chwili opuszczamy dziedzinę eksperymentu i przenosimy się na ocean metafizyki.

To darmo!... Albo trzeba wyrzec się szczytów, na jakich stanęła dzisiejsza nauka, wielka nauka i zostać płytkimi sceptykami, którzy w to tylko wierzą, czego palcem dotkną, albo musimy pogodzić się z faktem, że „rzeczy widzialne są zrobione z rzeczy niewidzialnych“ i że świat realny naprawdę zaczyna się po za granicami naszych zmysłów.

— Dziwny horyzont otwiera pan przedemną — odezwał się Brzeski. — No, ale... ta dusza... dusza nieśmiertelna!... O niej niech pan mówi...

— Dowiodłem — odpowiedział profesor — (o ile te rzeczy dadzą się podciągnąć pod rubrykę dowodów), że: dusza nie może być wynikiem zjawisk, zachodzących w materyi podzielnej, czyli tej, która podpada pod zmysły. Spróbuję teraz wytłómaczyć: jaką powinna być ta substancya, w której mieści się nasze czucie — „moje“ czucie.

Więc naprzód, substancya duchowa musi być ciągła, nie może składać się z oddzielnych cząstek, jak ciała materyalne, a w szczególności mózg... Powtóre — pewna masa tej substancyi musi być wyodrębniona od swego otoczenia, od innych mas du-

chowych; gdyż inaczej moje czucie rozlewałoby się po jakichś niezmiernych obszarach, zamiast koncentrować się w mojem „ja;“ gdyż inaczej ja odczuwałbym wrażenia pańskie, a pan moje. Po trzecie — substancya ta musi być wrażliwą nietylko na tak grube wpływy, jak naprzykład dotknięcie, albo dźwięk, ale i na tak subtelne, jak: ciepło, światło i im podobne zjawiska. Po czwarte — w tej ograniczonej masie substancyi duchowej musi być nagromadzona pewna stała ilość energii, o czem świadczy choćby nasza twórczość umysłowa, wybuchy uczuć i — wola. Wszystkie te wnioski wypływają bądź z naszych obserwacyi nad „samym sobą,“ bądź nad zewnętrznemi zjawiskami.

A teraz wyobraź pan sobie kulę, czy sześcian, czy inną bryłę, zbudowaną z substancyi czującej i ciągłej. Gdyby na bryłę tę nic nie działało, wewnątrz jej odbywałyby się jakieś jednostajne ruchy, a jej czucie miałoby formę pół-senną. W chwili jednak, gdyby bryła ta uległa dotknięciu, gdyby uderzył o nią dźwięk, promień ciepła lub światła, w masie jej powstałby nowy ruch i czucie. Ten punkt, na który działałby wpływ zewnętrzny, doznałby wrażenia, a reszta masy poczułaby, że w niej zaszła jakaś zmiana i powiedziałaby w sobie: „ja czuję wrażenie,“ jeżeli wolno użyć podobnego porównania.

Słowem: w masie jednolitej, posiadającej zdolność czucia, każda pobudka zewnętrzna wywołałaby dwa zjawiska. Jednem byłby ruch, pochodzący z zewnątrz, któremu odpowiadałoby czucie zewnętrzności; drugiem byłoby starcie nowego ruchu z ruchem

już istniejącym, któremu odpowiadałoby poczucie własnej masy, czyli: swojego „ja.“

— Ależ pan opisuje to, co zachodzi w masie mózgowej — zawołał Brzeski.

— Nie panie — odparł profesor. — Ja mówię o tem, co może zachodzić w masie „jednolitej“ i „czującej.“ Mózg zaś nie jest ani jednem, ani drugiem. Mózg jest tylko przewodnikiem, za pośrednictwem którego, świat materyalny działa na mechanizm, zbudowany z substancyi duchowej.

— W takim razie wymyślił pan jakąś substancyę nieistniejącą...

— Pociesz się pan. Substancya podobna istnieje, choć nie podpada pod zmysły. Odkryła ją zaś nie psychologia i nie metafizyka, ale — fizyka. Jest nią *eter,* materyał nie mający wagi, przenikliwy dla materyi ważkiej, delikatniejszy od najsubtelniejszych gazów, jednorodny choć nie jednolity, a zarazem *ciągły,* to jest: nie składający się z oddzielnych cząstek. Eter ten wypełnia zarówno przestrzenie międzyplanetarne i międzygwiazdowe, jak i międzyatomowe. Jednocześnie jest on rezerwoarem takich form energii, jak: ciepło, światło, elektryczność, jest zaś prawdopodobne, że to, co nazywamy z jednej strony „ciążeniem,“ a z drugiej — „ruchem“ ciał materyalnych, zawdzięcza swój byt specyalnym falowaniom eteru.

Otóż ma pan substancyę, której brakuje tylko czucia, ażeby mogła nazywać się substancyą duchową.

Ale jest jeszcze jeden szczegół niesłychanie ciekawy. Wiliam Thomson odkrył, za pomocą rachunku, następne twierdzenie:

„Gdyby jakaś siła twórcza w jednolitéj masie eteru wywołała „wiry pierścieniowe“ (podobne do kółek z dymu tytuniowego, które wypuszczają z ust wprawni palacze), wówczas te „wiry pierścieniowe“ byłyby nietylko wyodrębnione z masy eteru, ale jeszcze — byłyby niezniszczalne, czyli nieśmiertelne.“

Zdaje mi się, że teorya eteru i twierdzenie Thomsona stanowią kładkę, która połączyła fizykę z psychologią i — z powszechną wiarą ludzi w nieśmiertelność duszy.

Ponieważ Brzeski zbyt często chwytał się za głowę, więc profesor przerwał i, posiedziawszy kilka minut, pożegnał rodzeństwo.

— Ale jutro wstąpi pan do nas? — zapytała Madzia błagalnym tonem.

— Owszem — odparł, stojąc już we drzwiach.

XX.

. . . .

Drugą noc Zdzisław przespał w łóżku, a Madzia na fotelu. Dopiero o 5-tej zbudził ją kaszel brata. Przybiegła do niego i spojrzała; był spotniały, miał błyszczące oczy i wypieki na twarzy.

— Gorzej ci?... — spytała przestraszona Madzia.

— Zkąd-że znowu?... — odparł spokojnie.

— Kaszlesz...

— Cóż to za kaszel!...

— Jesteś rozgorączkowany...

— I to głupstwo. Owszem, tak wzmocnił mnie sen, że zaczynam przypuszczać... At, niedołężnieję i tyle!

— Ależ, Zdzisiu — zawołała siostra, ściskając go — właśnie uwierz w to, że musisz być zdrów, a wyzdrowiejesz...

— Może!... — odparł. — Pyszna rzecz leżeć na łóżku... — mówił dalej. — Tak, gdybyś była ze mną w czasie tego podłego zapalenia płuc, nie miałbym dziś awantury...

— Dla czegożeś mnie nie wezwał?...

— Nie śmiałem. Tyle pisałaś o swojej samodzielnej pracy, tak byłaś szczęśliwą, że sama dajesz sobie radę, że nie potrzebujesz być ciężarem i nadzwyczajnym dodatkiem w rodzinie (pamiętasz?...), iż byłoby podłością pozbawiać cię tego zadowolenia... Wreszcie, ja sam czułem się dumny z takiej siostry, z takiej emancypantki...

— Nigdy nie byłam nią... — szepnęła Madzia.

— Byłaś, moje dziecko, byłaś!... — odparł z odcieniem smutku Brzeski. — Taki już duch czasu, że wszyscy młodzi mężczyzni są pozytywistami, a kobiety emancypantkami...

Dziś — dodał po chwili — gdy, choćby tylko w imaginacyi, stanąłem nad grobem, a nadewszystko, gdy słucham tego oryginała Dębickiego, żal mi... Ach, jak inaczej urządziłbym sobie życie, gdybym wierzył w nieśmiertelność duszy!...

— Wiesz, Zdzisławie — wtrąciła Madzia — że i ja byłam bardzo nieszczęśliwa. Chociaż dzisiaj nawet nie wyobrażam sobie, jak można nie wierzyć...

— Wam łatwiej przychodzi odzyskanie wiary —

rzekł Zdzisław — mniej czytacie, mniej rozprawiacie... Ale w nas!... Po za wszelkiemi argumentami, które wyglądają bardzo rozsądnie, widzimy same znaki zapytania... Bo czyliż teorya Dębickiego jest czemś więcej, aniżeli hipotezą, fantazyą?... Chociaż... z tem *czuciem* naprawdę zabił mi klina w głowę...

— Wiesz, co mi przyszło na myśl?... — zawołała nagle Madzia.

— No?...

— Jedź jak najprędzej do Meranu i... mnie zabierz...

Brzeski wzruszył ramionami i sposępniał. Madzia znowu zrozumiała, już po raz niewiadomo który, że jej brat zaciął się na tym punkcie.

Przed 11-tą zrana zapukał do drzwi Dębicki. Madzia i jej brat przyjęli go okrzykami radości.

— Cóż tam, dobrze? — zapytał profesor.

— Niech pan sobie wyobrazi — odparła Madzia — że Zdzisław spał całą noc i jest pełen otuchy...

— Nie przesadzaj! — wtrącił brat. — Poprostu zrozumiałem, że zarówno nicość wieczna, jak i moje suchoty, nie są pewnikami... Można jeszcze o nich rozprawiać...

Dębicki wysunął dolną wargę.

— Uuu!... — mruknął. — Ależ pan naprawdę jesteś zdrowszy, aniżeli przypuszczasz, a nawet aniżeli ja myślałem...

Roześmieli się wszystko troje.

— Wie profesor — odezwał się Zdzisław — że dziś wieczór wyjadę do Meranu...

— Bardzo dobrze.

— Ale mnie ze sobą nie chce wziąć... — wtrąciła Madzia.

— Tem lepiej.

— Więc i pan profesor przeciw mnie?... — zapytała z żalem.

— Ale pan profesor winien nam dokończenie swojej teoryi — przerwał jej brat.

— Owszem, dokończę.

— O duszy, panie profesorze... o tej duszy, w którą chcę uwierzyć i... nie mogę, czy nie wszystko rozumiem... — zawołał Zdzisław.

— Proszę pana — odparł Dębicki, siadając na fotelu — zapewne słyszał pan o dwu nowych wynalazkach w dziedzinie akustyki. Jednym jest jakiś telefon, rodzaj telegrafu, który przenosi nietylko szmery, ale tony, śpiew i ludzką mowę. Drugim ma być — fonograf — cudacka machina, która jakoby utrwala artykulowane dźwięki na cynfolii, przechowuje takowe i... odtwarza wrazie potrzeby!... Wyznaję panu, że każda z tych wiadomości w pierwszej chwili rozśmieszyła mnie. Ale gdy przeczytałem opisy tych aparatów, zobaczyłem rysunki, zastanawiałem się... już dziś nie zdumiewają mnie. I nie zdziwiłbym się nawet, gdybym zobaczył na własne oczy ów telefon przenoszący i fonograf — przechowujący mowę ludzką.

To samo z każdą nową prawdą. Z początku przeraża nas, odurza, zdumiewa... A w końcu przyzwyczajamy się do niej i nawet dziwimy się, że można było wątpić o jej prawdopodobieństwie.

— Pan profesor ma zupełną racyę — wtrąciła Madzia.

— Tak — odezwał się Zdzisław. — Ale jeżeli dusza różni się od materyalnych zjawisk, w takim razie powinna posiadać jakieś niezwykłe, niematerjalne funkcye...

— Za pozwoleniem... Funkcye duszy są „zwykłe“ — dla nas; ale zarazem są i niematerjalne. Naprzykład. Wie pan, że nasze oko podobne jest do kamery fotograficznej, zamkniętej wrażliwą płytką. Na tej płytce malują się obrazy przedmiotów w ten sposób, że każdy przedmiot widzimy tylko *z jednej strony*. Pan widzisz mnie w tej chwili tylko z frontu — nie z tyłu i nie z boku; tem mniej zaś nie widzisz pan mego wnętrza. Otóż proszę pana, wyobraźnia nasza posiada tę własność, że: w jednej chwili możemy przedstawić sobie człowieka, nietylko: z przodu, z tyłu, z boków, z góry i z dołu, ale nawet — jednocześnie możemy przedstawić sobie jego płuca, serce, żołądek, słowem—wnętrze. Innemi wyrazami: nasze oko materyalne, w najlepszym razie, ogarnia tylko trzy strony równoległościanu i to w skróceniu; nasza zaś wyobraźnia ogarnia wszystkie jego ściany i wnętrze.

— Ależ panie profesorze, zjawisko to polega na kojarzeniu wyobrażeń!... — zawołał Brzeski.

— Daj pan spokój... Według teoryi kojarzenia, która jest wybiegiem w psychologii, każda ściana i wnętrze bryły, ma specyalną komórkę w mózgu, które to komórki w pewnej chwili, grają razem. Lecz tu nie chodzi o możliwą czy niemożliwą „grę komórek,“ ale o fakt, że ja — w jednej chwili — mogę czuć rzeczy, których natura nigdy nie pokazuje mi w jednej chwili... Mogę naprzykład wyobrażać sobie,

czyli—czuć w pamięci—nawet siebie samego w wieku dziecinnym, młodzieńczym, dojrzałym i obecnym, czego nikt, nigdy, nie widział i nie zobaczy, przynajmniej — w tem życiu.

— Ależ to jest kojarzenie wspomnień... pamięć!... — wtrącił Brzeski.

— A co to jest pamięć?... Pamięć jest to *X*, czy *alfa*, a wyobraźnia jest to *Y*, czy *beta*... Czego mnie te wyrazy uczą?... Niczego. W całej naturze znajdujemy ślady pamięci. Na drzewach znać ślady siekier, na polu ślady deszczów, w skorupie ziemskiej ślady epok geologicznych. Może być, że i w mózgu są tego rodzaju ślady, ale one nie są pamięcią, czyli: jednoczesnem czuciem wrażeń, faktycznie o całe lata oddalonych od siebie.

Wreszcie, powiem panu, że owe ślady na mózgu wydają mi się bardzo wątpliwemi. Gdyby człowiek odbierał na godzinę tylko 60 wrażeń, miałby ich na dzień przeszło 700, na rok przeszło 250 tysięcy, a na pięćdziesiąt lat przeszło 12 milionów. Gdzie u licha pomieści się to wszystko, jeżeli najprostsze wrażenie (według waszej psychologii) potrzebuje kilkudziesięciu, a nawet kilkuset komórek?

— Mózg składa się z bilionów komórek...

— Wybornie. Ależ gdzie są komórki, utrzymujące porządek w tej bilionowej orkiestrze?... I czyliż te rozmaite komórki, złożone z oddzielnych atomów, mogą wytworzyć jedność czucia?

Zresztą, kochany panie Zdzisławie, porównaj dwa poglądy. Ja mówię: dusza jest istotą prostą; wprawdzie nie rozumiem jej budowy, ale czuję jej prostotę. Zaś materyalizm uczy: mózg jest organem

strasznie złożonym, którego nie rozumiesz, a czucia i jedności — wcale nie możesz pojąć. Która z tych dwu teoryi nie jest prawdopodobniejsza i ma więcej sensu?

— Więc czemże jest mózg?

— Mózg jest niesłychanie ważnym organem duszy w jej życiu ziemskiem. Jak w oku zbiegają się promienie światła, a w uchu dźwięki, tak w mózgu — zbiegają się wszystkie potrącenia, przychodzące do nas z zewnątrz.

Mózg jest soczewką, która ogniskuje wrażenia: wzrokowe, słuchowe, dotykowe, węchowe, muskularne, żołądkowe, płucne i tak dalej i dla tego — ma skomplikowaną budowę. Rozmaitość świata zewnętrznego wywołała w najwyższym stopniu zawikłaną architektonikę mózgu; ale to właśnie bogactwo architektury stanowi namacalny dowód, ze mózg nie wytwarza czucia. On wytwarza potrącenia, ruchy drobinowe, które — które odczuwa niezłożona dusza.

— Mówi pan: niezłożona dusza. A czemże pan objaśni fakt, że w pewnych chorobach umysłowych: ten sam człowiek uważa siebie za inną osobę? Czem pan wytłómaczy podwójną świadomość, o której mówią psychiatrzy i Taine?...

— Tej kwestyi już nie będę rozwijał, bo mi zabraknie czasu — odparł Dębicki. — Więc powiem krótko, pod warunkiem, że nie ogłosisz mnie pan za waryata.

Nasza „materyalna osoba“ jest bryłą trójmiarową, zaś duch jest bytem — co najmniej — czterowymiarowym, rozumie się, według mego pojmowania

rzeczy. Otóż ów byt czterowymiarowy może przedstawiać się samemu sobie w postaci nietylko dwu, ale nawet — czterech różnych osób trójwymiarowych. Zatem zjawisko „zdwojonej świadomości“ stanowi nowy dowód kolosalnej różnicy, jaka istnieje między duchem i materyą.

— Więc dlaczego chorzy na dwuosobowość, w tej drugiej osobie, nie poznają samych siebie? — spytał Brzeski.

— A czy pan poznałbyś siebie, gdybym ci nagle pokazał twoją fotografię, zrobioną naprzykład z tyłu?...

— W głowie mi się kręci! — zawołał ze śmiechem Brzeski.

— Ja też nie myślę dalej wykładać tych stron psychologii, które są mniej jasne i wymagają długich przygotowań. Wierz mi tylko na słowo, że dusza ludzka, mimo całej swojej prostoty, jest pełną strasznych tajemnic, których bezpieczniej nie zaczepiać w tem życiu. Bóg, na obecną fazę wiecznego rozwoju, dał nam ciało materyalne, trójwymiarowe i pozwolił badać trójwymiarową naturę. Tego się trzymajmy i w tych granicach spełniajmy Jego wolę.

— A któż zna Jego wolę?...

— I pan ją poznasz, tylko wsłuchaj się w najgłębsze pragnienia, w najcichsze szepty własnej duszy. A jeżeli chodzi o hasło, to głoszą je wszystkie doskonalsze wyznania: przez ziemskie życie i prace — do zaziemskiego, przez wieczne życie i prace — do Boga. W tem jest cała mądrość świata i światów, jakie kiedykolwiek istniały i istnieć będą.

— Musi pan jednak przyznać — odezwał się po

chwili Zdzisław — że wszystko, cośmy słyszeli, są to dopiero hipotezy... Dusza eteryczna, cztery wymiary, wieczny rozwój!... Wszystko to może istnieć tylko w naszym umyśle, nie zaś w rzeczywistości...

Dębicki pokiwał głową.

— Kochany panie — odparł — nie wykopuj przepaści między duszą a duchowością powszechną, gdyż taka otchłań nie istnieje. Dusza nasza jest małym wszechświatem, małym zegarkiem wśród olbrzymiego zegaru. I tylko dla tego odczuwamy zjawiska natury, pojmujemy je i odgadujemy; dla tego nasz rozwój indywidualny podobny jest do rozwoju całej natury, a nasza twórczość do twórczości natury.

Jak ziarno złota ma ten sam kolor, ciężar gatunkowy, ciągłość, cieplik właściwy, co i centnar złota, tak duch nasz ma te same własności, co i duch powszechny. Z tego powodu sądzę, że człowiek, choćby miał najdziwniejsze pomysły, nie wymyśli nic takiego, coby nie istniało w rzeczywistości; byle nie wychodził z granic logiki, czyli — praw natury. A na dowód, przypomnij sobie choćby rozmaite formuły matematyczne, które z początku wydają się fantazyami, lecz, prędzej czy później, stają się wyrazem jakichś konkretnych zjawisk.

Wyobraź sobie machinę rachunkową, która daje wypadki w 20 cyfrach i pomyśl: czy aby jedna z tych cyfr nie odpowiada jakimś ilościom rzeczywistym, jeżeli machina działa prawidłowo? Jedyną wadą machiny nie jest to, że wydaje takie mnóstwo cyfr i tak rozmaitych, ale raczej — że jej cyfry są zaledwie nędzną cząstką rzeczywistości.

Toż samo z naszym umysłem. Jego najśmielsze,

najniezwyklejsze teorye, byle logiczne, muszą odpowiadać jakimś zjawiskom rzeczywistym, choćby wymykającym się z pod naszej obserwacyi. I nie w tem leży złe, że twórczość umysłowa nie zawsze godzi się ze zmysłowemi doświadczeniami, ale — że nasza twórczość jest zbyt ubogą do ogarnięcia rzeczywistości. Jest to kropla wody w oceanie, a my sami, z całą naszą fantazyą, podobni jesteśmy do kretów, nie domyślających się nawet, że ich ciasne kretowiska leżą wśród cudownych parków, między posągami i najosobliwszemi roślinami.

My, z kilkoma naszemi zmysłami, tyle wiemy o otaczającej nas rzeczywistości, ile przyrośnięta do skały ostryga wie — o bitwie morskiej, która toczy się na jej wodach.

— Jakiż cel tego wszystkiego?... Po co ta bogata rzeczywistość?... — szepnął chory.

Dębicki smutnie uśmiechnął się.

— Na to pytanie odpowiada każda wyżej rozwinięta religia, któremi niestety! wy nie zajmujecie się, gdyż to nie jest modne...

Bóg jedyny, wszechmocny i nieskończony, pragnąc mieć dokoła siebie istoty swobodne, szczęśliwe, a pojmujące go, stworzył substancye duchowe — jakieś etery... czy ja wiem zresztą co?... Dał tym substancyom zdolność czucia i niezmierną energię, lecz, chcąc je zrobić o ile można samodzielnemi, a więc w najwyższym stopniu szczęśliwemi i doskonałemi, nie stworzył im gotowych mechanizmów wewnętrznych, lecz pozwolił rozwijać się im własną pracą. Zkąd w naturze widzimy bezładną materyę kosmiczną, potem określone pierwiastki chemiczne, potem

związki chemiczne, dalej — kryształy, komórki i niższe organizmy. Wszystko to są indywidualności półświadome, które w stopniowym rozwoju dosięgają zupełnej świadomości, coraz wyższej, coraz zdolniejszej do poznania Boga.

Z tego powodu przypuszczam, że ów duch powszechny, stworzony przez Boga, nietylko z biegiem czasu dzieli się na coraz większą liczbę świadomych osobników, ale sam uświadamia się coraz lepiej i, jakby — nabiera doświadczenia. W epoce chaosu, o którym mówi zarówno nauka, jak i religie, duch powszechny działał jakby na oślep. To też wówczas nie było praw natury, czyli: zjawisk prawidłowych, rozwijających się w kierunku najmniejszego oporu. Dopiero z biegiem czasu ukazał się regularny ruch falisty, rozchodzenie się sił po linach prostych, prawo masy i odległości, równoważniki chemiczne i tak dalej.

Dziś żyjemy w epoce, kiedy ów duch powszechny, już wybudował sobie, tu i owdzie, terytorya, na których mogło zakwitnąć życie indywidualne i świadome. Nie wątpię jednak, że przyjdzie czas, kiedy cały wszechświat zostanie uświadomiony, kiedy skończy się epoka prób i omyłek, a wszystko, co jest, utworzy między sobą doskonałą harmonię. Będzie to królestwo Boże na ziemi, a raczej we wszechświecie.

Z tej teoryi — ciągnął Dębicki — wynika niezmiernie proste objaśnienie przyczyny złego na świecie.

„Jeżeli jest Bóg wszechdobry i wszechmocny— mówią pesymiści — to dla czego nie stworzył świata

doskonałym, szczęśliwym, lecz dopuścił złe i cierpienia?...“

Oto dla czego. Bóg chciał nas stworzyć, o ile można, samodzielnymi, nawet wobec Niego; więc, zamiast gotową doskonałością, obdarzył nas i całą naturę, przywilejem stopniowego, samodzielnego doskonalenia się. A że wszystko doskonali się zapomocą prób, szukania nowych dróg, błądzenia, więc nie dziw, że i w całej naturze, na każdym kroku, dzieją się błędy i one są *złem*, one pierwotnem źródłem cierpień.

Z czasem jednak ów duch powszechny nabiera doświadczenia, zapamiętywa je na wieki i, dzięki temu, wstępuje na wyższy szczebel doskonałości.

— Zawsze jednak cierpienie to przykra rzecz! — wtrącił Brzeski.

— Przykra — tak, ale i nieoceniona. Cierpienie jest tym cieniem, który uwydatnia nietylko chwile przyjemne, lecz wyraźniej określa naszą świadomość, naszą osobistość. Cierpienie i pragnienie są bodźcami, które podniecają naszą twórczość, popychają nas do doskonalenia się. Cierpienie w końcu jest jednym z bardzo silnych węzłów utrzymujących i coraz lepiej zacieśniających solidarność między ludźmi. Szczęśliwy, kto, zamiast narzekać na cierpienia, uczy się od nich.

— Co to znaczy jednak bliskość grobu!... — odezwał się po chwili Zdzisław. — Gdyby mi, rok temu, wykładał kto podobne teorye, roześmiałbym mu się w oczy. A dziś, słucham ich z przyjemnością, a nawet zapełniam niemi pustkę śmierci, która mnie tak przerażała!

— Więc ty jeszcze nie wierzysz?... — zawołała Madzia.

Chory wzruszył ramionami.

— Nic w tem złego — rzekł Dębicki. — Brat pani musi sam przemyśleć, przedyskutować z sobą samym to, co słyszy...

— A dla czegoż ja nie dyskutuję?... — wtrąciła Madzia.

— Bo pomiędzy panią, a wiarą, której uczono cię w dzieciństwie, nie przemknęło się tyle teoryj i zwątpień, ile w życiu brata. On więcej stykał się ze sceptycznym duchem czasu, aniżeli pani.

— Przeklęty ten sceptycyzm!—szepnęła Madzia.

— Proszę pani, sceptycyzm jest jednym z bodźców do szukania prawdy. Ja sam, przez dziesiątki lat wątpiłem o wszystkiem, ba! nawet o logicznych i matematycznych pewnikach. I długą drogę przeszedłem, zanim zrozumiałem, że, najważniejsze dogmaty religijne: Bóg i dusza, nietylko godzą się z naukami ścisłemi, ale wprost są fundamentem filozofji. Człowiek z niepokonaną siłą szuka teoryi, któraby ogarniała i tłomaczyła nietylko zjawiska tak zwane materyalne, ale — i naszą własną duszę, jej rozmaite, a tak realne pragnienia i nadzieje. Otóż o ile Bóg, dusza i świat duchowy otwierają przed nami nowy a rozległy horyzont, w którym mieści się wszystko o czem myślimy i co czujemy, o tyle bez Boga i ducha nawet świat zmysłowy, mimo swego porządku, staje się dla nas chaosem i piekłem. Niczego w nim nie rozumiemy i dręczymy się własnem istnieniem.

Mamy więc dwie teorye: jedna wyjaśnia wszystko,

wszystko uszlachetnia i w niesłychany sposób potęguje nasze siły; druga — wszystko upadla, zaciemnia, a nas psuje i paraliżuje. Któraż więc z tych hipotez może być prawdziwą?... jeżeli dodamy, że w naturze prawda polega na harmonii, na wspieraniu się różnych przedmiotów i zjawisk.

— Jakże pan sobie wyobraża życie wieczne?— nagle zapytał Brzeski.

— W sposób bardzo realny, choć niemateryalny, który wymaga wstępnego objaśnienia. Głęboki matematyk Babbage zrobił kiedyś taką uwagę: „Gdybyśmy mogli obserwować najdrobniejsze zjawiska w naturze, każda cząstka materyi opowiedziałaby nam wszystko, co się kiedykolwiek zdarzyło. Prześlizgująca się na powierzchni oceanu łódka zostawia bruzdę, utrwaloną na wieki za pomocą ruchu cząstek wody, które wciąż napływają... Samo powietrze jest olbrzymią biblioteką, w której zapisano wszystko, co kiedykolwiek wypowiedział kto, czy wyszeptał. Tu upamiętniono na wieki, zmieniającemi się ale niezatartemi głoskami: pierwszy krzyk niemowlęcia, ostatnie tchnienie konającego, niewykonane śluby, niedotrzymane przysięgi..."

Słowem, według Babbage'a, żadne zjawisko ziemskie nie ginie, lecz utrwala się na zawsze bodaj w dwu tak niestałych elementach, jak woda i powietrze. Tem większe mamy prawo przypuszczać, że podobne zapisywanie i uwiecznianie zjawisk dokonywa się w masie eteru...

— Czego jednak nie widzimy...—wtrącił Brzeski.

— A czy widzisz pan drgania ultrafioletowe powyżej 800 trylionów?... Albo drgania cieplikowe

od 100 do 400 trylionów, albo nieskończoną ilość mniej szybkich? Drgania eteru, zwane światłem, są tak dokładne i subtelne, że, dzięki im, znamy: kolory, kształty i wymiary przedmiotów. Czy zaś sądzisz pan, że drgania cieplikowe są mniej subtelne i że gdybyśmy mieli odpowiedni zmysł, nie moglibyśmy za pośrednictwem promieni ciepła odróżniać form, wielkości, a zapewne i jakichś innych własności przedmiotów? Pamiętaj pan, że ruchy drgające są jak pędzle, rylce i dłuta, za pomocą których każdy przedmiot i każde zjawisko zapisuje się na wieki w przestrzeniach wszechświata, czyli — w masie eteru.

Ja w tej chwili mówię, głos mój niby znika, a właściwie — przekształca się w cieplikową formę energii i — zapisuje się gdzieś... Płomień gaśnie, ale drgania świetlne i cieplikowe, które wzbudził, już zapisały się na wieki... W podobny sposób zapisuje się gdzieś w przestrzeni każdy kryształ i komórka, każdy kamień, roślina i zwierzę, każdy ruch, dźwięk, uśmiech, łza, myśl, uczucie i pragnienie. A gdybyśmy mieli oko, zdolne do chwytania promieni cieplikowych i gdybyśmy mogli dostrzegać je w odległych przestrzeniach międzyplanetarnych, zobaczylibyśmy: historyę świata, wszystkich wieków ubiegłych, wreszcie — historyę naszego własnego życia w najdrobniejszych i najbardziej tajemnych szczegółach.

Madzia otrząsnęła się.

— Jakież to straszne! — szepnęła.

— Niejeden astronom — mówił Dębicki — dziwił się: dlaczego we wszechświecie jest tyle pustego miejsca? dlaczego wszystkie gwiazdy, razem wzięte, znaczą tyle, co kropla w oceanie, wobec masy eteru? Tym-

czasem eter nie jest wcale pusty: on jest pełny zjawisk i życia, płonącego na słońcach i planetach. Każde słońce, każda planeta, każda istota materyalna, są tylko wrzecionami, które w czującej masie eteru przędą nici wiecznych i świadomych istnień.

Weź pan naszą ziemię. Ona bynajmniej nie opisuje elepsy w przestrzeni, ale olbrzymią linię grajcarkowatą, której każdy skręt ma około 130 milionów mil geograficznych długości. Rok więc nie jest pojęciem abstrakcyjnem, ale linią wykreśloną w eterze; zaś 50 lat życia ludzkiego to nie znaczy pięćdziesięciu złudzeń, lecz — 50 skrętów spiralnej, długiej na 7 miliardów mil. Nasze więc akta osobiste zajmują dosyć miejsca we wszechświecie...

— Szczęściem, eter jest tak subtelny, że nikt naszej historyi w nim nie przeczyta... — uśmiechnął się Brzeski.

— Nie łudź się pan. Eter jest tak dziwną substancyą, że, z jednej strony, bryły materyalne posuwają się w nim ze swobodą cieniów, lecz, z drugiej strony, jest on substancyą zbitą. Young, rozważając zjawiska światła, doszedł do wniosku, że ów eter może być twardy, jak dyament!...

W takim materyale dadzą się wykonywać piękne i trwałe rzeźby. To też nie dziw się pan, jeżeli kiedyś zobaczysz naszą planetę w pierwszych epokach jej istnienia; jeżeli spotkasz olbrzymie potwory, których dziś mamy tylko szczątki; jeżeli poznasz się z Peryklesem, Hannibalem, Cezarem... Gdyż oni tam są!... Ale nadewszystko myśl o tem, że w nowem życiu spotkasz siebie samego w niemowlęctwie, dziecińczęsto, chłopięctwie... bo wszystko to zostało od-

fotografowane i wyrzeźbione. Pomyśl też, że każdy czyn, spełniony tu, na ziemi, może wpływać na szczęście lub nieszczęście w tamtym świecie...

— Bajki z tysiąca i jednej nocy! — zawołał Brzeski.

— W każdym razie — odparł profesor — bajki te w dziwny sposób godzą się z najnowszemi zdobyczami nauk ścisłych i objaśniają wiele zagadek świata materyalnego. Co więcej: tłómaczą pewne wykrzykniki dusz natchnionych. „Oko nie widziało, ucho nie słyszało, rozum nie pojął — mówi jeden z ojców kościoła — co Bóg przeznaczył dla wiernych Swoich.“ A św. Teresa dodaje: „Przed życiem czuję, nie przed śmiercią, trwogę... Bo takie światy widzę tam, przed sobą, że mi ten ziemski grobową żałobą...“

— Gdybyż tak było!... — rzekł Zdzisław. — Zamiast bać się śmierci, szukalibyśmy jej...

— Szukać jej niema powodu, gdyż w tem życiu zbieramy jakby kapitał do życia przyszłego. Ale bać się!... Obawa śmierci, tak skandaliczna, a tak pospolita wśród obecnego pokolenia, jest chorobą, wynikającą z zaniedbania hygieny ducha. Zdrowie ducha wymaga, ażebyśmy równie często myśleli o Bogu i życiu wiecznem, jak: o jedzeniu i o rozrywkach; a że tego nie robimy, więc zamiera w nas zmysł duchowy i stajemy się gorszemi kalekami, niż ślepcy. Ztąd nasze życie nierówne i gorączkowe, ztąd brudny egoizm, nurzanie się w drobiazgach, brak wysokich celów i osłabiona energia. Dzisiejsza cywilizacya, która, zamiast Boga i duszy, postawiła pierwiastki chemiczne i siły, wygląda marnie, a może skończyć bankructwem.

— No, tak oburza się pan przeciw ubóstwieniu siły i materyi, a sam pan jest, zdaje się, panteistą — rzekł Zdzisław.

— Ja? — zawołał zdziwiony Dębicki.

— Przecież eter nazywa pan duchem powszechnym...

— Nie rozumiemy się. Widzi pan, według mojej hipotezy, eter czujący jest substancyą duchową, materyałem, z którego powstają dusze i który sam dąży do świadomości. Ale ten eter, ten ocean, w którym pływa sto milionów słońc, jest masą ograniczoną, formy może elipsoidalnej. Po za obrębem zaś tego oceanu, tego ducha, w którym żyjemy i którego jesteśmy częścią, może być miliony innych oceanów eterycznych, zaludnionych przez miliardy innych słońc. Może nawet wśród owych oceanów grają całkiem inne siły, rządzą inne prawa, o których nie mamy najlżejszego pojęcia.

Otóż każdy taki ocean może być odrębnym wszechświatem duchów, więcej lub mniej posuniętych w rozwoju. Ale wszystkie one są dziełem Jednego Stwórcy, o którym wiemy tylko, że — jest — i jest Wszechpotężny.

Nie stosują się do Niego pojęcia wielkości, ani czasu, gdyż same Jego dzieła nie mają początku, końca, ani granic w przestrzeni. Ten świat, w którym żyjemy i na który patrzymy, rozciąga się w trzech wymiarach i w jednym czasie... ale Bóg ogarnia nieskończoną ilość wymiarów i nieskończoną rozmaitość czasów. On z nicości tworzy przestrzeń i napełnia ją wszechświatem. On jest środkowym punktem i źródłem energii, nie dla gwiazd i mgławic, bo

gwiazdy to nędzny pył, ale dla tych eterycznych oceanów, w których unoszą się gwiazdy i mgławice.

I dziwna rzecz — ta bezmierna Moc wcale nas nie przeraża: myślimy o Niej bez trwogi, z ufnością i nadzieją, jak dzieci o ojcu. Choć między Nim i nami istnieje otchłań, której nie zapełnią wszystkie potęgi wieczności.

Czemże jest śmierć w obec Niego i czy można przypuszczać, ażeby w państwach tego Władcy najdrobniejsza rzecz obróciła się w nicość? Przecież cokolwiek jest, jest w ostatecznem źródle dziełem Jego woli, a więc i musi być wiekuistem. Nad pozornemi grobami, ludzi, rzeczy i światów, unosi się On jak słońce nad zaoraną ziemią, w którą padły nasiona, nie po to aby zginąć, ale ażeby wydać nowe, bogatsze plony.

— Cóż, Zdzisiu?.... — po chwilowej ciszy odezwała się Madzia.

— Albo ja wiem co!... — odparł. — Choć zaczyna mi się zdawać, że ludzki umysł, w którym możliwe są takie pojęcia, składa się z czegoś innego, aniżeli z fosforu i tłuszczu...

— A teraz bałbyś się śmierci?... — szepnęła siostra, biorąc go za rękę.

— Stanowczo nie. Pomyślałbym o wielkości Boga i rzekłbym: nie wiem co ze mną zrobisz Panie; ale cokolwiek zrobisz, będzie lepsze od moich teoryj.

XXI.

Odjazd.

Po obiedzie, na którym był profesor, Brzeski oświadczył, że wyjeżdża dziś wieczorem i prosił siostrę, ażeby kupiła mu w mieście kilka sztuk bielizny.

Usłyszawszy to, Madzia spojrzała na brata wzrokiem pytającym, a tak smutnym, że Dębickiemu żal jej się zrobiło. Ale Zdzisław sposępniał, odwrócił się od siostry i zaczął wyglądać oknem na Saski plac.

Już nie było rady i Madzia musiała wyrzec się projektu towarzyszenia choremu w podróży. Ale kiedy wyszła do miasta po sprawunki, profesor odezwał się:

— Ciekawym, dla czego uparłeś się pan, ażeby nie wziąć ze sobą siostry?... I panu byłoby wygodniej i ona mniej dręczyłaby się obawami...

— Tak pan sądzi?...— cierpko odpowiedział Brzeski. — A jeżeli za tydzień... dziesięć dni mnie już nie będzie... Cóż ona zrobi między obcymi, gorzej niż sama, bo z trupem?...

— Nie możesz się pan otrząsnąć ze swoich przywidzeń...

— Eh, mój profesorze, nie grajmy komedyi — odparł Brzeski. — Mam jakąś jedną setną prawdopodobieństwa, że moja choroba jest niegroźnem zakatarzeniem płuc i żołądka, z czego można wyleczyć się. Ale mam dziewięćdziesiąt dziewięć na sto szans, że to suchoty, które albo skończą się bardzo prędko, albo na rok, czy na parę lat zrobią mnie niedołężnym,

zatruję życie, zjedzą fundusz, jaki zebrałem... No a ja na inwalidę i nędzarza nie posiadam kwalifikacyi.

Zdzisław, mówiąc to, machnął ręką. Dębicki przypatrywał mu się i milczał.

Brzeski poszedł do swej walizy, wydobył sporą kopertę i, podając ją profesorowi, rzekł:

— Mam do pana prośbę. Tu jest moje świadectwo ubezpieczenia na siedm tysięcy rubli i kwity. Niech pan to weźmie do siebie. Gdyby mnie spotkała w drodze jaka nieprzyjemność...

Dębicki schował kopertę do kieszeni.

— Te pieniądze będą dla rodziców i młodszej siostry. Prócz nich, mam trzy tysiące rubli gotówką, które chciałbym zostawić Madzi. W razie wypadku, przyślę na ręce pańskie przekaz... Już niech ona to ma... przyda jej się... I niech jej pan radzi, ażeby wyszła za mąż...

— Gdyby tylko chciała! — odparł Dębicki.

— Głupie są dzisiejsze panny — mówił Brzeski. — Każdej zdaje się, że jest powołaną do wielkich rzeczy, a nie wiedzą o tem, że największą sztuką jest wychować zdrowe dzieci. Nie chcę, ażeby moja siostra zestarzała się na propagowaniu emancypacyi. Za dobra jest na to.

Niedługo wróciła Madzia z miasta. Dębicki pożegnał ich, obiecując przyjść wieczorem.

— Kupiłam ci — prawiła Madzia — dwa trykotowe ubrania (ażebyś się nie zaziębił), sześć koszul, tuzin skarpetek i chustek...

Zdzisław uśmiechnął się.

— Zaraz wszystko to przyniosą z magazynu. A tu — dodała — masz tuzin kopert i papieru listowego.

Usiadła przy stole i zaczęła pisać na kopertach swój adres.

— Cóż, dostałaś bzika?—zapytał brat, przypatrując się tej szczególnej robocie.

— Wcale nie — odparła. — Ale ponieważ musisz do mnie codzień wysyłać list, więc ułatwiam ci robotę... Nawet nie list. Napisz tylko: jestem tu a tu, zdrów... i datę. A najwyżej za tydzień, no... dziesięć dni, wyślij telegram, ażebym do ciebie przyjechała. Ja tymczasem wystaram się o paszport. Pamiętaj, nie na dłużej daję ci urlop, tylko na dziesięć dni. Jestem pewna, że gdybyś natychmiast zobaczył się z tym Tapeinerem, wezwałbyś mnie prędzej.

Brat usiadł òbok niej i, wyjmując jej pióro z ręki, rzekł:

— Zostaw te koperty. Będziesz miała odemnie codzień kartę korrespondencyjną...

— Ale codzień!...

— Z pewnością. Swoją drogą jednak, ponieważ wszyscy jesteśmy śmiertelni...

— Mój kochany, tylko tego mi nie mów — przerwała Madzia prawie z gniewem. — Przysięgam, że będziesz zdrów...

— Nie bądź dzieckiem, kochanko. Mogę być zdrów, ale może rozbić się pociąg...

— W takim razie ja z tobą jadę!.. — zawołała, zrywając się.

— Siadaj... nie bądź śmieszna... Już i ja zrozumiałem, że życie nasze jest w ręku Boga i... może nie kończy się na tej ziemi. Śmierć, to jakby wyjazd za granicę... zmysłów, do pięknego kraju, w którym wszyscy spotkamy się... Panuje tam wieczny

dzień i wiosna, po nad krajobrazami ze wszystkich części świata, ze wszystkich epok geologicznych, może nawet ze wszystkich planet....

— Dlaczego ty tak mówisz?...— spytała Madzia, patrząc na niego załzawionemi oczyma.

— Mówię, jak do kobiety rozumnej i dobrej, która wierzy w życie przyszłe. Kiedyś modliliśmy się z jednej książeczki, dziś razem odzyskaliśmy nadzieję, więc możemy pogadać o śmierci... Cóż w niej strasznego?... Jest to przejście z pokoju do pokoju... Czy wątpisz, że tam wszyscy zobaczymy się, ażeby już nigdy nie rozdzielać się?... A gdyby cię zapytano, co wolisz: czy ażeby twój brat męczył się na ziemi, jak kaleka, czy — wyjechał do szczęśliwej krainy, miałabyś serce zatrzymywać mnie tutaj?...

Madzia oparła głowę na jego ramieniu i cicho płakała.

— Płacz... płacz... przez wdzięczność dla Boga, że nam otworzył oczy, w takiej chwili, która zazwyczaj bywa przykrą... Wiem coś o tem!... Przemordowałem się kilka tygodni, ale to już minęło. Jeżeli między gwiazdami jest inny świat, ach, to on jest niepojętej piękności... Ja tak zawsze kochałem naturę, tak rwałem się do krajobrazów, które znam tylko z czytania...

— I ja... — szepnęła Madzia.

— Widzisz. Więc nie trzeba myśleć o śmierci, o rozłączeniu się, ale o tej radosnej epoce kiedy zdrowi, młodzi na wieki, spotkamy się na łąkach utkanych ze szmaragdu i złota i zaczniemy oglądać okolice, na poznanie których tu nie mieliśmy czasu, ani środków...

Pomyśl, czy wyobrażasz sobie taki kraj? Gładka równina, na której widać wdali sieć rozpadlin. Wchodzisz w jedno zagłębienie. Droga spada w wąwóz, którego pionowe ściany rosną w oczach. Po kilkunastu minutach wąwóz rozszerza się w rozległą na kilka mil okolicę, o jakiej nawet we śnie nie marzyłaś.

Widzisz niby miasto olbrzymich budowli, zadziwiających kształtami i barwami... Ostre i ścięte piramidy, ułożone z warstw czarnych, żółtych i niebieskich; ciemno-zielone pagody z jasnemi dachami; wysmukłe wieże, których każdy ganek ma inny kolor, starodawne świątynie indyjskie, różowe fortece cyklopów, kilkupiętrowe ściany bez okien w pasy szafirowe, złote i czerwone... A na placach i fantastycznie pogiętych ulicach, znienacka ukazują się jakieś kolumny, niedokończone posągi, skamieniałe wizerunki nieznanych stworzeń...

— Zkąd ci to do głowy przychodzi? — spytała Madzia z uśmiechem.

— Czy ja mało o tem czytałem!... Albo taki widok. Stoisz na ogromnej górze, obok której wznoszą się jeszcze wyższe ściany, okryte lasami. Z prawej strony masz wodospad, a przed sobą, u stóp, czarodziejską dolinę. Na całej długości przecina ją rzeczka, pełna zagięć. W głębi, daleko, widać las, a między lasem i tobą, kilkanaście parków, posadzonych i pielęgnowanych przez samą naturę.

Co jest jednak najcudowniejsze, to — kilkadziesiąt naturalnych wodotrysków, gejzerów. Z jednych, co pewien czas, wybuchają ogromne słupy wody gorącej, z innych kłęby pary; jedne wytryski mają

kształt rozłożysty, inne wysmukły; niektóre są podobne do wachlarzy, a jeden do skrzyżowanych mieczów. Nad każdym unosi się welon delikatnej mgły, na którym promienie słońca malują tęczę.

Gdybyś przeszła w całej długości tę fantastyczną dolinę, spotkałabyś na niej, lub u jej krańców, niezliczoną liczbę gejzerów, dymiące jeziora, sadzawki gorącej wody. Słyszałabyś podziemne grzmoty, widziałabyś górę czerwonej barwy, albo inną, z szafirowego szkła, wysoką na paręset metrów. Gdyby zaś przyszła ci ochota wykąpać się, znalazłabyś szczególnego rodzaju łazienkę. Składa się ona z mnóstwa kamiennych wanien, jak jaskółcze gniazda przylepionych do skały, a na każdem piętrze inna temperatura wody!

— Co ty opowiadasz?...

— Opisuję ci pusty kraj, w Północnej Ameryce, nazwany Parkiem Narodowym. Jest to prawdziwa ziemia cudów, którą najpierw — tam — zwiedzę, a i ciebie oprowadzę, gdy znowu połączymy się... Chciałabyś odbywać ze mną takie podróże? — spytał obejmując ją wpół.

Madzia zarzuciła mu rękę na szyję.

— Ale i Dębicki będzie z nami — rzekła.

— Naturalnie. On nam przecie otworzył drzwi do tych krajów.

— I... i wiesz Zdzisław, kogo jeszcze weźmiemy?... — spytała, kryjąc twarz na ramieniu brata. — Pana Solskiego... Szkoda, że go nie znasz...

— Ach, to ten magnat, który ci się oświadczył? Ciekawym, dlaczego nie przyjęłaś go.

— Byłam jakaś rozstrojona... obłąkana... Czy ja wiem zresztą, co się działo wtedy!...

— Ale teraz wyszłabyś...

— Nigdy... nigdy... — zawołała. — Teraz myślę o tem tylko, ażeby być przy tobie.

Zdzisław wzruszył ramionami. Człowiek, który spogląda w twarz wieczności, traci instynkt do miłosnych powikłań, a przynajmniej mało go obchodzą.

— Kiedy już wyjadę ztąd — odezwał się po chwili — napisz o mnie do Iksinowa, ale nie do rodziców, tylko do majora... Powiedz o wszystkiem, coś widziała... Major to człowiek doświadczony; zakomunikuje im wiadomość w taki sposób, że nie będą trwożyć się bez potrzeby.

— Jak chcesz—odparła—ale pamiętaj, że masz przysyłać mi codzień kilka słów: jestem zdrów, mieszkam tu a tu i tyle...

— Dobrze, dobrze!... — przerwał niecierpliwie.

Potem zaczął ubierać się w drogę, a Madzia spakowała walizkę.

O 8-mej wieczorem przyszedł Dębicki, o 9-tej pojechali na kolej. Kiedy Brzeski już usiadł w przedziale, Madzia weszła za nim i całując mu głowę i ręce, szepnęła:

— Mój ty kochany... mój złoty braciszku...

— No, no... tylko bez tkliwości!... — przerwał jej Zdzisław. — Bądź zdrowa, napisz do majora i... staraj się mieć rozum...

Prawie wypchnął ją z wagonu i zatrzasnął drzwiczki. Za chwilę pociąg ruszył. Madzia jeszcze raz zawołała: do widzenia!... ale Brzeski wtulił się w kąt i nawet nie wyjrzał oknem.

— Zawsze był dziwakiem!... — rzekła rozżalona Madzia do Dębickiego. — Nawet nie żegna się...

— A po ileż razy ma się żegnać?...

— Pan profesor jest taki sam, jak on...

Dębicki odwiózł Madzię do domu. Ledwie weszła na trzecie piętro do swego pokoiku, prędko rozebrała się i zasnęła jak kamień. Była bardzo znużona.

Nazajutrz, około 11-tej zrana, sama pani Burakowska przyniosła jej herbatę. Gospodarna dama miała minę, w której zakłopotanie zdawało się toczyć walkę z kwaskowatą ciekawością.

— Cóż — rzekła — już pani odwykła od swego łóżeczka?

— Jestem niem zachwycona... Nie spałam dwie nocy.

— Pilnowała pani braciszka, w hotelu Europejskim... — mówiła dama. — Czy naprawdę tak chory, że aż pani musiała go pielęgnować w hotelu?...

— Albo ja wiem. On mówi, że jest ciężko chory, ja myślę, że będzie zdrów po kilkumiesięcznym pobycie w górach.

— Szkoda, że pan Brzeski, zamiast w hotelu, nie stanął w jakiem mieszkaniu prywatnem...

— Czyliż on mógł szukać mieszkania na parę dni!... — odparła już zirytowana Madzia.

— A jeżeli taki chory — mówiła tonem łagodnym pani Burakowska — to szkoda, że pani nie towarzyszy mu zagranicę...

— Wezwie mnie, kiedy wyznaczą mu miejsce kuracyi.

— W podróży byłaby pani najpotrzebniejszą bratu...

Madzia już nie odpowiedziała i odwróciła się do okna.

„Czego odemnie chce ta baba?... — myślała z gniewem. — Przecież i ja wolałabym go odwieźć...“

Ale po wyjściu pani Burakowskiej, gniew Madzi równie prędko zgasł, jak i zapłonął. Ogarnęła ją apatya, połączona ze zdziwieniem.

„Czy naprawdę był tu Zdzisław, a ja przy nim?... Czy naprawdę Dębicki przekonywał go, że dusza jest nieśmiertelna?...“

Usiadła na kanapie i patrzyła w sufit. Zdawało jej się, że jest pogrążona w oceanie z twardego kryształu, wewnątrz którego, lotem błyskawic, przesuwają się postacie jakichś ludzi pięknych i pięknie ubranych. Ciało ich było ze światła, a odzież z tęczy. Byli oni żywi, o czemś rozmawiali między sobą, nawet patrzyli na Madzię, tylko — nie mogli porozumieć się z nią, ani ona z nimi.

Później, między dwiema niebotycznemi górami, zobaczyła szmaragdową dolinę, ustrojoną bukietami ciemno-zielonych parków i mnóstwem wodotrysków, wybuchających w formie wachlarzy i kolumn. Ale te góry, dolina, parki, rzeka i wodospady, były także zrobione z barw tęczowych, a każde drzewo, skała i fontanna — miały własne życie i duszę. Patrzyły na siebie, kochały się, nawet rozmawiały ze sobą szelestem wód i liści, tylko Madzia nie rozumiała ich języka.

Była przekonaną, że wszystko to już gdzieś widziała, że zna każdy zakątek doliny; ale kiedy to widziała?... gdzie?...

Po strasznych obrazach, jakie niedawno obudził w jej duszy materyalistyczny wykład pana Kazimierza, dziś czuła się spokojną i szczęśliwą. Nic jej nie trwożyło; a nowy, nieznany świat pociągał ją do siebie. Zdawało jej się, że w tych czasach powinna umrzeć, a raczej wsiąknąć w owe świetlane krajobrazy, które roztaczały się przed nią. A gdy pomyślała, że może ją kto żałować, zatrzymywać na szarym świecie, między ciężkiemi domami, wśród kuchennych zapachów; gdy pomyślała, że kto zapłacze po niej, jakby zazdroszcząc wiecznego szczęścia, ogarniał ją niesmak.

— Czyliż ludzie są aż tak egoistyczni?... — rzekła do siebie.

Po obiedzie, wydobyła z kuferka dawno nieotwieraną książkę nabożną i do wieczora czytała modlitwy — marząc na jawie. Każdy wyraz nabierał dla niej nowego znaczenia, każda kartka była pełna obietnic i słodkich nadziei.

Pokój napełnił się rojem duchów, które przez okno wlatywały i wylatywały bez szelestu, krążąc między spieczoną ziemią i niebem, zadumanem o rzeczach wiekuistych.

Na drugi dzień, o 7-mej zrana, wymknęła się z domu bez śniadania, z książką do nabożeństwa, a wróciła po 10-tej, jeszcze bardziej rozmarzona i uspokojona.

Była u spowiedzi.

W mieszkaniu zastała list od brata, wysłany z Granicy, a napisany ołówkiem:

„Czuję się tak silnym, że jadę wprost do Wiednia. Całą noc spałem leżąc. Jestem stworzony na konduktora.“

Ale Madzi list ten nie pocieszył; owszem przypomniał, że jej brat naprawdę był w Warszawie i że jest ciężko chory.

Zbudziło się w niej mnóstwo uczuć przykrych. Poczęła wyrzucać sobie, że Zdzisław wyjechał bez opieki; chciała gonić za nim i towarzyszyć mu, ukryta w innym wagonie. To znowu przypomniało się jej, że nic nie robi i truchlała na samą myśl, że ma przed sobą kilka dni bez celu i zajęcia, długich, pustych, zatrutych niepokojem.

„Gdyby to można przespać, albo gdzie wyjechać!...“

Około 2-ej stróż przyniósł jej bilet wizytowy z napisem: „Klara z Howardów Mydełko.“

— Ta pani — rzekł stróż — pyta się, czy ma tu przyjść?...

— Ależ, proście... proście!...

„Mydełko?... — mówiła do siebie Madzia. — Wszakże to plenipotent Solskich... I panna Howard wyszła za niego?... Naturalnie! bo zkądżeby to drugie nazwisko?... Aha, prawda, ona go tak wychwalała... Rozumny człowiek, uczciwy, ale... te nogi krzywe!...“

Szeroko otworzyły się drzwi i weszła — niegdyś panna Howard. Miała czarną, jedwabną suknię, z długim ogonem, na szyi złoty łańcuch do zegarka, na twarzy zawsze tę samą jednostajną różowość, a na płowych włosach mały, koronkowy kapelusz.

— Wybacz, panno Magdaleno — mówiła zmęczona — że przysłałam ci stróża... Ale ja teraz muszę wystrzegać się chodzenia... Jestem przecie mężatką...

— Winszuję... winszuję!... — zawołała Madzia,

całując ją i sadowiąc na kanapce. — Kiedyż to się stało?... Nikogo pani nie zawiadomiła.

— Już od czterech dni... nie należę do siebie — odparła pani Klara. — Spuściła jasne rzęsy i usiłowała jeszcze więcej zarumienić się, ale to było już niepodobieństwem. — Braliśmy ślub u Wizytek, w najściślejszem *incognito,* o 7-mej rano i... od tej chwili zaczęło się dla mnie nieprzerwane pasmo szczęścia... Mam męża, który ubóstwia mnie i którego najdumniejsza kobieta mogłaby obdarzyć uczuciem...

Wierz mi, panno Magdaleno — mówiła z zapałem — że kobieta dopiero wówczas staje się naprawdę człowiekiem, gdy wyjdzie za mąż. Pielęgnowanie rodziny, macierzyństwo — oto wzniosłe posłannictwo naszej płci... Nie mogę przeczyć — dodała skromnie — że trafiają się kłopotliwe sytuacye, nawet przykrości... Ale wszystko znika wobec przeświadczenia, że uszczęśliwiamy kogoś, kto na to zasługuje.

— Bardzo cieszę się, że pani jest zadowolona — wtrąciła Madzia.

— Zadowolona?... Powiedz pani wniebowzięta!... Przeżyłam nie cztery... właściwie — nie trzy doby, ale trzy wieki, trzy tysiącolecia... Ach, pani nawet... nawet nie domyślasz się...

Młoda mężatka nagle przerwała i dodała tonem serdecznej rady:

— Ale, ażeby zasłużyć na takie szczęście, kobieta przez całe życie musi być bardzo oględną. Dlatego... pozwól sobie powiedzieć, kochana panno Magdaleno, że czasami bywasz nieostrożną...

— Cóżem ja zrobiła?... — spytała zdziwiona Madzia.

— Nic... ja wiem, że nic... wszyscy wiemy. Ale zawsze niepotrzebne były te wizyty u podrzutków... u akuszerek... Albo i ten kilkudniowy pobyt w hotelu...

— Tam mieszkał mój brat chory... — przerwała Madzia z żalem.

— Wiemy!... wszystko wyjaśnił nam Dębicki. Ale swoją drogą, pan Zgierski mówi o pani z jakiemiś pół-uśmieszkami, a wczoraj... Wczoraj ta bezwstydna Joanna zaczepiła mnie i, wyobraź sobie pani, co mi powiedziała:

„Cóż skromna Madzia?... Robiła cnotliwe minki i — spadła na głowę...

Słyszałaś, panno Magdaleno?... Ta awaturnica... ta dwuznaczna kobieta, śmiała coś podobnego powiedzieć!...

— A, niech ich Pan Bóg ma w swojej opiece! — odparła Madzia. — Zresztą, za kilka dni wyjeżdżam do brata i plotki nic mnie już nie obchodzą.

— Więc wyjeżdżasz pani? — zapytała młoda mężatka znowu innym tonem. — Powiedz mi pani... ale powiedz szczerze: czy naprawdę gniewasz się na Adę Solską?...

— Ja?... — krzyknęła zdziwiona Madzia. — Ależ ja ją zawsze kocham...

— Domyślałam się tego, znając serce pani. A... a gdyby panna Ada przyszła tu?...

— Czy może pani pytać?...

— Rozumiem. Ada widocznie ma jakiś ważny interes do pani, ale ten safanduła Dębicki nie chce

w nim pośredniczyć... Nie wiem, o co chodzi... Jednak domyślam się, że Ada będzie żądała od pani jakiegoś załagodzenia stosunków między nią i bratem...

— Ja mam między nimi łagodzić stosunki?

— Nie wiem, nic nie wiem, droga panno Magdaleno, tylko — tak mi się wydaje... Ada zaręczyła się z panem Norskim (co za szalone szczęście ma ten chłopak!), zawiadomiła pana Stefana, ale... zdaje mi się... że dotychczas nie otrzymała odpowiedzi i jest w strachu...

— Cóż ja na to poradzę?

— Nie wiem.... nie rozumiem i proszę nic nie wspominać o moich domysłach. W każdym jednak razie, czy mogę powtórzyć słowa pani pannie Solskiej?

— Ona zawsze wiedziała, że ma we mnie szczerą przyjaciółkę — odparła Madzia.

Ponieważ w tej chwili wezwano Madzię na obiad, więc pani z Howardów Mydełko pożegnała ją bardzo czule, prosząc o sekret i — o nienarażanie się na ludzkie języki.

Rozmowy stołowników, bieganina służby, kuchenne swędy i lamenta pani Burakowskiej tak zmęczyły Madzię, że wyszła do Saskiego ogrodu.

I tam snuły się tłumy i rozlegał szmer rozmów; ale przynajmniej było widać niebo, zieloność, drzewa. Zdawało jej się, że lepiej oddycha powietrzem ogrodu i że między nieruchomemi konarami i liśćmi, które już więdną, zobaczy spokój, płochliwego ptaka, który tak dawno odleciał z jej mieszkania.

W alei, gdzie przed paroma dniami przechadzali się z bratem i Dębickim, znalazła pustą ławkę

i, usiadłszy, wlepiła oczy w kasztan. Spokój naprawdę zaczął wracać. Powoli przestała widzieć przechodniów, szmer cichnął. Zdawało się, że ogarnia ją jakieś słodkie zapomnienie, a leniwe troski, oglądając się za siebie, opuszczają jej duszę.

Znowu zobaczyła ów kryształowy bezmiar, po którym, jak barwne motyle, snuły się postacie, zrodzone ze światła i odziane tęczą.

— Czy pozwoli mi pani zapalić papierosa?...

Madzia drgnęła. Obok niej siedział młody człowiek, wyblakły, pretensyonalnie ubrany i zapalał papierosa.

— Bo jeżeli pani dym szkodzi... — mówił sąsiad.

Madzia podniosła się z ławki, ale i sąsiad też. Szedł obok niej i prawił:

— Co za przykra rzecz samotność dla tak pięknej panienki... Widzę, że pani nie musi być warszawianką, może nawet nie ma pani znajomych... A w takim razie ofiaruję pani moje usługi...

Madzia skręciła do bramy na Królewskiej, przyspieszyła kroku; ale młody człowiek szedł równo z nią i wciąż gadał.

Nagle zatrzymała się i, patrząc w oczy swemu prześladowcy, rzekła błagalnym głosem:

— Panie, jestem bardzo nieszczęśliwa... Niech mnie pan uwolni...

— Nieszczęśliwa?... — zawołał. — Ależ pocieszanie pięknych i nieszczęśliwych panienek jest moją specyalnością!... Pozwoli pani podać sobie...

I gwałtem pociągnął ją za rękę.

Madzia uczuła w gardle ściskanie, w oczach łzy. Nie chcąc robić widowiska, zasłoniła twarz

chustką; ale już nie mogła pohamować się i rozpłakała się na ulicy.

Młody człowiek nie zraził się tem bynajmniej; kręcił się około niej, plótł bez sensu, śmiał się bezczelnie i głupio. Dopiero widząc, że scena ta zaczyna interesować przechodniów, cofnął się i rzucił na pożegnanie jakieś ohydne słówko.

Madzia wpadła w wolną dorożkę i, zanosząc się od płaczu, wróciła do siebie. Ogarnął ją taki żal do okrucieństwa ludzkiego, taka bezdenna rozpacz, że — przez chwilę — chciała rzucić się oknem na ulicę.

Ale przyszło opamiętanie. Usiadła na kanapce, zamknęła oczy, zasłoniła rękoma uszy i powtarzała w duchu:

„Niema dla mnie odpoczynku... niema schronienia... niema ratunku... Boże, zmiłuj się... Boże, zmiłuj się nade mną!...“

Nagle podniosła głowę, przypomniała sobie matkę Apolonię i odrazu zmienił się bieg jej myśli.

„Po co ja chodziłam do Saskiego ogrodu?... Przecie mogę poprosić zakonnic, a one pozwolą mi całemi godzinami przesiadywać w swoim ogródku... Ach, ja już nigdy nie będę miała rozumu...“

Istotnie, co mogło być lepszego nad zamiar przepędzenia wolnych chwil w ogrodzie szarytek? Obiad i nocleg ma w domu, a resztę czasu przesiedzi na świeżem powietrzu, wśród ciszy. Chyba tego nie odmówi jej matka Apolonia, a za kilka dni — wezwie ją brat.

XXII.

Oczekiwanie.

Madzia nazajutrz poszła do św. Kazimierza, gdzie matka Apolonia odrazu powitała ją wykrzykiem:

— Jak ty wyglądasz moje dziecko?... Musisz być chora...

Wówczas Madzia opowiedziała staruszce swoją historyę z kilku dni ostatnich. Kiedy opisywała nagłe ukazanie się brata i jego rozpacz w obec bliskiej śmierci, usta zakonnicy przycięły się, a w całej fizyognomii odmalowało się gniewne niezadowolenie. Ale gdy Madzia przeszła do wykładów Dębickiego, które uspokoiły jej brata, na twarzy matki Apolonii ukazał się pobłażliwy uśmiech. Staruszka wysłuchała do końca i rzekła:

— Dobry to musi być człowiek, ten profesor, ale... po co on się tak męczył dowodzeniami?... Przecie każdy czuje, że jest Bóg i życie wieczne, byle miał odwagę rozmówić się z własnym rozsądkiem.

Potem opowiedziawszy swoją przygodę w Saskim ogrodzie, Madzia prosiła zakonnicy, ażeby jej pozwolono przesiadywać w ogrodzie zakładowym.

— To tylko parę dni — mówiła Madzia — bo Zdzisław zaraz wezwie mnie zagranicę. Ale chciałabym się trochę wzmocnić.

— Moje dziecko — odparła staruszka, całując Madzię — przychodź do nas ile razy chcesz i na jak długo chcesz. Tylko znudzisz się, bo my jeste-

śmy zajęte. Nie ma nawet książek, które mogłyby cię rozerwać...

— Może mi pani pozwoli jaką pobożną książkę... — szepnęła zarumieniona Madzia.

— Doprawdy?... — spytała matka Apolonia, patrząc na nią. — W takim razie, wiesz co, dam ci: „O naśladowaniu Chrystusa.“

Zaprowadziła Madzię do ogródka, przyniosła książkę, pobłogosławiła i — pobiegła do zajęć.

Zostawszy sama, wśród upragnionej zieloności i ciszy, Madzia uczuła taki spokój, taki zachwyt, że gotowa była obejmować drzewa, całować kwiaty i te święte mury, które jej dały przytułek. Obawiając się jednak, ażeby kto nie zobaczył jej egzaltacyi, pohamowała się i zaczęła przerzucać książkę.

Wybierała na los szczęścia — i oto, co jej wpadło w oczy:

„Czego się troszczysz, jeżeli ci się nie powodzi, jakbyś chciała i żądała? Gdzież jest ten, coby miał wszystko podług woli swojej? Ani ja, ani ty, ani ktokolwiek z ludzi na ziemi...“

— To prawda — szepnęła Madzia.

„Żyć na tej ziemi prawdziwą jest nędzą. Im bardziej człowiek chce się stać duchownym, tembardziej mu to życie gorzkiem się staje; bo tem mocniej czuje i jaśniej widzi przywarę ludzkiego zepsucia... Biada tym, którzy nie znają swojej nędzy, a jeszcze więcej biada tym, którzy to nędzne i znikome życie zamiłowali.“

— To o mnie!... — pomyślała Madzia, lecz znowu na następnej stronicy znalazła:

„Nie trać siostro ufności, abyś ku dobru du-

chownemu postąpić nie potrafiła: jeszcze nie upłynął dla ciebie czas i godzina. Po co chcesz odkładać do jutra przedsięwzięcie twoje?... Powstań, zaczynaj natychmiast i mów: teraz jest czas do działania, teraz czas do walki, teraz czas sposobny do poprawy...“

Była tak rozdrażniona i rozegzaltowana, że każde słowo miało w jej oczach wartość upomnienia, albo przepowiedni. Postanowiła czytać, gdzie się książka otworzy i z tego, co znajdzie, wyciągnąć naukę, czy wróżbę.

„Rzadko znajdzie się kto tak duchownym, aby był obnażony ze wszystkiego, co jest cielesne... Gdyby człowiek oddał cały swój majątek, jeszcze to jest niczem. Gdyby wielką odbył pokutę, jeszcze to jest mało. Gdyby ogarnął wszelką umiejętność, jeszcze mu daleko...

Nikt jednak nie jest bogatszym, nikt potężniejszym, nikt wolniejszym od tego, który wszystko opuścić i siebie najniżej kłaść umie...“

Madzia zastanowiła się. Czy ona potrafi najniżej kłaść siebie? Z pewnością — nie potrafi. Ale ze wszystkich cnót ludzkich, ta chyba jest jej najbliższą.

Czytała w innem miejscu:

„Nie można wielkiej pokładać ufności w ułomnym i śmiertelnym człowieku, choćby był kochanym i użytecznym...“

— Nawet w Zdzisławie?... — spytała.

„...ani się też zbyt smucić, jeżeli się czasem sprzeciwi i odwróci...“

— No, on mi się sprzeciwił...

„Ci, co są dziś z tobą, jutro mogą być przeciw

tobie i nawzajem: często się oni, jak wiatr, zmieniają...“

— Ada... panna Howard!...—pomyślała Madzia.

„Nie masz tu trwałego pobytu...“

— Tak, ledwie parę dni! — westchnęła.

„...gdziekolwiek obróciłabyś się, obcą będziesz i wędrownikiem...“

— Ach, jaka prawda!... Szczególniej, kiedy wyjadę zagranicę...

„...ani znajdziesz spoczynku, chyba, że się z Chrystusem połączysz...“

— Oblubienica Chrystusa?... — rzekła Madzia prawie przerażona. Ale w trwodze tej nie było niechęci, raczej zdumienie.

Odwróciła kartkę i trwoga jej wzrosła, znalazła bowiem jakby wprost do niej skierowane zapytanie:

„Po co tu się oglądasz, gdy nie tu jest miejsce twojego spoczynku...“

— A więc nie u szarytek...

„W niebieskich krainach powinno być mieszkanie twoje, a na wszystko, co jest ziemskiem, tylko jak w przechodzie spoglądać należy. Mija wszystko i ty także...“

— Czy mam umrzeć?... Ha, wola Boska!...

Zaciekawiona, wyszukała rozdziału: „O rozpamiętywaniu śmierci.“

„Prędko tu bardzo koniec z tobą nastąpi, obacz, co z innych miar z tobą się dzieje: dziś jest człowiek, jutro go już nie widać. A gdy z oczu zniknie, mija rychło i w pamięci...

...W poranku mniemaj, że nie dożyjesz wieczoru; wieczór zaś nie śmiej obiecywać sobie następnego poranka...“

— Jak biedny Zdzisław!...

„Zawsze więc bądź gotowa i żyj tak, aby cię znienacka śmierć zaskoczyć nie mogła...“

— On tak żyje... Czyliżby co naprawdę odgadywał?...

Poczuła ból w sercu i, ażeby dodać sobie otuchy, wybrała inny rozdział:

„Dobrze to jest, że doświadczamy niekiedy przykrości i ucisków; albowiem budzą one czułość w sercu człowieka.“

— To samo mówił Dębicki—pomyślała Madzia.

„...ostrzegając go, że jest wygnańcem, że na tym świecie nic takiego nie ma, na czemby oparł nadzieję.“

— Nawet na Zdzisławie?...—rzekła ze smutkiem jeszcze głębszym.

„Kiedy człowiek dobrej woli, przykrościami lub złemi myślami jest dręczony...“

— O, bardzo jestem dręczona!...

„...wtedy czuje, jak mu jest potrzebnym Bóg, bez którego żadne dobro otrzymać się nie może. Wtedy w nędzy swojej smuci się, jęczy i modli... Wtedy dopiero spostrzega należycie, iż prawdziwe bezpieczeństwo i zupełny spokój na tym świecie utrzymać się nie mogą.“

— Więc gdzież moje szczęście?... — pomyślała, nad wszelki wyraz zgnębiona.

Otworzyła na los książkę i znalazła rozdział: „O życiu zakonnem.“ Gorąco ją przeszło.

— Czy naprawdę to mi sądzono?... — spytała.

„Trzeba, ażebyś się nauczyła często zwyciężać samą siebie, jeżeli z innemi zachować chcesz pokój i zgodę... Trzeba, ażebyś się stała głupią dla Chrystusa, jeżeli chcesz zakonne prowadzić życie...“

— Zawsze byłam głupia!... — szepnęła Madzia.

„Szata zewnętrzna mało znaczy: lecz zmiana obyczajów i zupełne poskromienie namiętności prawdziwego stanowią zakonnika...“

— Aaa!... więc nie potrzebuje wstępować do zakonu, tylko zmienić obyczaje i poskromić namiętności...

„Kto szuka czegokolwiek innego, jak Boga i zbawienia duszy swojej, boleść tylko znajdzie i utrapienie.“

— No, dobrze... ale jeżeli chce pielęgnować chorego brata?...

„Zapatruj się na żywe przykłady Ojców świętych, w których jaśniała prawdziwa doskonałość i religia, a postrzeżesz, jak jest drobnem i prawie niczem, co my czynimy... Nienawidzili dusz swoich na tym świecie, aby je w życiu wiekuistem posiadać mogli...“

— Ale brata chorego nie opuścili!...

„Wyrzekli się bogactw, dostojności, zaszczytów i krewnych, nic światowego nie zatrzymali...“

Madzia zamknęła książkę, pełna troski. Zdawało jej się, że rozmawia z niewidzialnym, mistycznym nauczycielem, który każe jej wyrzec się wszystkiego dla zbawienia i Boga. W tej chwili wyrzeczenie się świata nie było dla niej przykrem: wszystkie węzły, łączące ją z ludźmi obcymi, rozluźniły się, jeżeli nie pękły. Ale jak tu opuścić rodziców, a nadewszystko brata, dla którego jej opieka była sprawą życia i śmierci?...

Dopiero chłodniejsza rozwaga przypomniała jej, że walczy ze złudzeniem.

Nikt jej przecie nie zachęca do wyrzeczenia się rodziny; nawet sam autor tej dziwnej książki zaleca tylko zmianę obyczajów i zerwanie z ziemskiemi namiętnościami.

Jeszcze raz odwróciła kartki i znalazła.

„Wspieraj mnie Panie Boże mój w dobrem przedsięwzięciu i świętej służbie Twojej: daj mi dziś dobrze zacząć; niczem bowiem jest, co dotychczas czyniłam."

— Tak!... — myślała Madzia — pensya, lekcye, sesye w stowarzyszeniu kobiet, to wszystko nic... Trzeba zmienić obyczaje, wyrzec się namiętności i całe życie poświęcić Zdzisławowi... Gdybym rok temu pojechała do niego, byłby zdrów... Niechby sobie drwili, że jestem na łasce brata i że nie pracuję samodzielnie...

Kilkugodzinna z nadzwyczajną książką rozmowa, której towarzyszył szmer drzew, szelest przelatujących ptaków, albo pobożne pieśni wychowanek sierocego zakładu, doskonały wpływ wywarła na Madzię. Ukoiło się nerwowe rozdrażnienie, a jego miejsce zajęła nieokreślona, pełna tęsknoty nadzieja. Zdawało się Madzi, że na nią i na cały świat spada jakaś subtelna mgła, w której rozpływają się wszystkie troski ziemskie i z po za której wynurza się całkiem nowy horyzont, pełen jasności i spokoju.

Przypomniała sobie widziany kiedyś obrazek. Było tam pole zarosłe wiosennemi kwiatami i gaj; po polu przechadzały się święte kobiety, a pod gajem, Matka Boska, siedząc na zydlu; przędła nić ludzkich pokoleń. Madzia miała jakby przeczucie, że lada chwila znajdzie się na owem polu, gdzie każde mgnie-

nie oka wydaje się szczęśliwą wiecznością, a wieczność — mgnieniem oka.

„Zapewne niedługo umrę“ — pomyślała bez żalu.

Około drugiej wróciła do domu. Pani Burakowska powiedziała jej, że była tu jakaś pani, wyglądająca na ubogą guwernantkę i napisała do niej list w jej pokoju.

— Służąca chciała ją podpatrywać — mówiła pani Burakowska — ażeby co nie zginęło. — Alem ją wykrzyczała; bo przecie nie każdy potrzebujący, musi zaraz kraść...

Madzia drgnęła, spojrzawszy na kopertę. Było to pismo Ady Solskiej, która wśród mnóstwa przeprosin za swoją śmiałość, oświadczyła, że będzie tu o czwartej. A ponieważ pani Burakowska zdawała się czekać na objaśnienia, dotyczące autorki listu, więc Madzia powiedziała jej, że owa uboga guwernantka jest osobą niezależną i uczciwą, której można otworzyć całe mieszkanie.

Na kilka minut przed czwartą Ada Solska zapukała do drzwi, i zatrzymawszy się u progu, rzekła nieśmiałym głosem:

— Przyjmiesz mnie Madziuś?...

Madzia pobiegła ku niej z otwartemi ramionami. Lecz Ada była tak podobną do swego brata Stefana, że Madzi zabrakło tchu i — w pierwszej chwili nie miała odwagi uściskać swojej przyjaciółki.

— Widzisz... już mnie nie kochasz!... — smutnie szepnęła Ada.

Wtem schwyciły się w objęcia i, płacząc, wśród pocałunków, zaprowadziły się na kanapkę.

— Ach, co ja wycierpiałam, nie widząc cię tak dawno.... — mówiła Ada. — Szłam tu z biciem serca...

— Trzecie piętro... — wtrąciła Madzia.

— Ależ nie dla tego, tylko... bałam się... myślałam, że jesteś na mnie śmiertelnie obrażona... A ty zawsze jesteś anioł... święta... moja ty złota Madziu...

Znowu zaczęły się całować.

— Wiesz co się stało — ciągnęła Ada. — Ten szkaradny Kotowski o mało nie zabił pana Kazimierza!... Myślałam, że umrę, ale już jesteśmy zaręczeni... Nie wiem nawet, które z nas oświadczyło się: on czy ja? Zresztą wszystko jedno.

— I jesteś szczęśliwa? — zapytała Madzia.

— Ach, nawet mnie nie pytaj... Jestem tak szczęśliwa... tak strasznie szczęśliwa, że ciągle boję się... Zdaje mi się, że umrę... że nigdy się nie pobierzemy... że panu Kazimierzowi odnowi się rana... Ale najwięcej boję się Stefka!... Już tydzień, jak napisałam mu o wszystkiem i — nie mam odpowiedzi... Ty pamiętasz, jak on nie lubił Kaz... pana Kazimierza?... Boże, z jaką ja trwogą czekam na jego przyjazd!... I powiadam ci, że gdyby między nimi doszło do jakich nieporozumień, zabiłabym się.

— Dajże spokój — przerwała Madzia. — Ostatecznie masz prawo wyjść za kogo ci się podoba.

— Aaa... prawo!... Niby ty nie znasz Stefka. Co jego obchodzą czyjeś prawa, jeżeli on ich nie uznał? Ach, gdybyś ty sprowadziła się do mnie...

— Ja?...

— Mój Madziuś — mówiła podniecona Ada — po co mamy udawać... Wiesz, jak cię kochał Stefek... a ja dodam, że kocha cię do dziś dnia, może nawet

jeszcze bardziej... Gdybyście się pogodzili... gdybyś wyszła za niego, on, pod wpływem radości przebaczyłby mi moje przywiązanie do pana Kazimierza...

Madzia rumieniła się i bladła; wzruszenie jej nie uszło uwagi Ady.

— Nie zapieraj!... — zawołała panna Solska — mój brat nie jest ci obojętnym. A jeżeli tak, więc... musisz wyjść za niego, musisz... musisz...

I zaczęła ją namiętnie całować po rękach.

Madzia cofnęła ręce i odparła.

— To nie może być... nigdy...

Ada przeszyła ją skośnemi oczyma.

— Więc chyba naprawdę kochasz pana Kazimierza?... — spytała.

— Spojrzyj na mnie — odparła Madzia, spokojnie wytrzymując jej pałający wzrok.

— Więc dla czego nie chcesz wyjść za Stefka...

— Wiesz chyba — rzekła Madzia po chwili — że i ja mam brata... ciężko chory... Lada dzień wezwie mnie i pojadę za granicę... a do końca życia muszę go pielęgnować...

— A któż ci broni czuwać nad bratem, nawet po wyjściu za Stefka?... Może myślisz, że on przeszkadzałby ci?... Nie!... Słuchaj, Madziuś: jedź teraz do brata zagranicę, a my wszyscy — Stefek, pan Kazimierz i ja, podążymy za wami. Gdziekolwiek każą osiąść twemu bratu, my tam osiądziemy: w górach, czy we Włoszech, nawet w Egipcie... A gdyby go lekarze skazali na dłuższą podróż morską, to... jeszcze i tam będziemy razem. Pan Kazimierz także potrzebuje odzyskać siły, a Stefek i ja przepadamy za podróżami... No, więc powiedz tylko słówko... je-

dno maleńkie słówko: tak — a uszczęśliwisz Stefana i... nas oboje... No, powiedz... no...

Mówiąc to, panna Solska tuliła się do Madzi...

— Powiedz: tak... powiedz...

Madzi żal się jej zrobiło.

— Zastanów się Adziuś, czy mogę myśleć o czemś podobnem? — odparła. — Mnie serce pęka na myśl o moim biedaku, który... gdzieś tam... leży samotny w gorączce, może... bez nadziei, a ty mi każesz... Powiedz, gdybyś na seryo stawiała mi podobne żądanie, czy nie byłoby to okrucieństwem?... Ja już i tak jestem nieszczęśliwa...

— Masz słuszność — odparła Ada poważnie. — Dziś mówić o tem, byłoby egoizmem z mojej strony... Ale kiedyś... mam w Bogu nadzieję...

Madzia, milcząc, siedziała ze spuszczonemi oczyma.

— Cóż robisz, powiedz mi?... — rzekła nagle panna Solska, ażeby zmienić temat rozmowy.

— Czekam na listy od brata... na telegram, którym mnie wezwie... A tymczasem chodzę do szarytek.

— Po co? — zapytała zdziwiona Ada.

— Siedzę u nich w ogródku, ażeby trochę odpocząć na świeżem powietrzu i czytam Tomasza a Kempis.

— A nie mogłabyś to przychodzić do naszego ogrodu?... — spytała Ada, lecz pomiarkowawszy się dodała: Wreszcie może tamten spokojny kącik i bliskość zakonnic, korzystniej dziś wpływają na ciebie biedaczko... O, ja wiem, co to znaczy niepewność i oczekiwanie!...

Pożegnały się serdecznie. Madzia tego dnia nie poszła do szarytek, lecz napisała długi list do Iksinowa, do majora. Opowiedziała mu o chorobie Zdzisława i prosiła, ażeby, w sekrecie przed rodzicami, wyrobił jej paszport.

Od tej pory znowu zaczęło się dla Madzi szczególne życie. Dobrze sypiała, nie wiele jadła i całe dni przepędzała w ogrodzie szarytek, czytając albo żywoty świętych, albo Tomasza a Kempis.

Gdyby spytano: ile czasu upłynęło jej w ten sposób? nie umiałaby odpowiedzieć. Zdawało jej się, że powolnym ruchem spada w jakąś błękitną otchłań obojętności dla spraw ziemskich. Z każdą chwilą otaczający ją świat tracił rzeczywistość, która natomiast wynurzała się z nieznanej głębiny. Było z nią jak z człowiekiem, który, w chwili bardzo wyraźnego snu, mówi: a jednak to tylko sen; ci ludzie są przywidzeniem i ja sam jestem kimś innym...

Niekiedy trafiały się jej przebudzenia. To przyszedł list, w którym Zdzisław donosił, że jest zdrów i zabawi kilka dni w Wiedniu dla obejrzenia miasta. To znalazła w swoim pokoju bilet wizytowy pana Stefana Zgierskiego, a innym razem pani Heleny z Norskich Korkowiczowej. To znowu jakaś znajoma w demonstracyjny sposób nie przywitała się z nią na ulicy; ale czy to była panna Żaneta narzeczona Fajkowskiego, czy Mania Lewińska?... Madzia nie zauważyła.

Jednego dnia pani Burakowska, z miną zakłopotaną, przypomniała Madzi, że kasyerka składu materyałów aptecznych wraca do swego pokoju i że Madzia musi pomyśleć o mieszkaniu dla siebie.

— To niech mnie pani przeprowadzi do pokoju obok kuchni, który jest wolny... Przecież to tylko na parę dni. Za parę dni brat mnie wezwie i wyjadę.

— Tak... ale i ten pokój... Zgłaszają się kandydatki... —mówiła pani Burakowska. A potem dodała:

— Na parę dni może pani przeprowadzić się do hotelu.

Madzia wstrząsnęła się: w słowach tych uczuła prawie obelgę. Spojrzała na gospodynię i chciała zapytać: co to znaczy?...

Lecz w tej chwili znowu ogarnął ją apatyczny spokój i znowu zaczęła pogrążać się w ową otchłań, w której rzeczy ziemskie rozpuszczały się, jak lodowate góry w słońcu.

Nie odpowiedziała nic pani Burakowskiej i poszła do szarytek. Zdawało się jej, że na tym świecie nie ma ważniejszych zajęć, jak czytać świętobliwe książki, pomagać sierotom przy szyciu bielizny, albo śpiewać z niemi pobożne pieśni.

Raz, w czasie obiadu, pani Burakowska oddała jej list z Iksinowa. Madzia na adresie poznała rękę matki.

„Winszuję ci — pisała doktorowa — skutków samodzielności. Całe miasto mówi, że straciłaś miejsce u panny Malinowskiej przez złe prowadzenie, że nic nie robisz, tylko spacerujesz z kawalerami a nawet— że bywasz w hotelach. Nie rozumiem źródła tych haniebnych pogłosek, ale z miny ojca widzę, że i on coś słyszał, bo od kilku dni wygląda jak z krzyża zdjęty.

Ile w tem wszystkiem prawdy? nie pytam się ciebie; zbierasz plon waszej nikczemnej emancypacyi,

i lekceważenia rodzicielskich przestróg. Nie gniewam się też, nie upominam cię, ani rad nie udzielam. Ale przypominam, że nosisz nazwisko, które należy do Zofii i do Zdzisława Brzeskich i jeżeli myślisz dalej w taki sposób pracować samodzielnie, to przynajmnej weź sobie pseudonim, jak zrobiła twoja zmarła przyjaciółka Stella.“

Madzia zbladła i, nieskończywszy obiadu, wyszła do swego pokoiku. Zapłakała cicho, poleżała na łóżku — i w godzinę później była w ogrodzie szarytek, z Tomaszem a Kempis w ręku.

„Nie jest prawdziwie cierpliwym — czytała — kto nie chce cierpieć, tylko ile mu się zdaje i od kogo mu się podoba. Prawdziwie cierpliwy nie uważa, jaki człowiek go trapi... Lecz zarówno od wszelkiego stworzenia, ilekolwiek i kiedykolwiek mu się co przeciwnego zdarzy, wszystko z ręki Boskiej wdzięcznie przyjmuje i za niezmierny zysk poczyta. Bo nic, jakkolwiek byłoby drobnem, byle dla Boga zniesionem, bez zasługi przed Bogiem przejść nie może...“

„Nie trap się córko — mówiła w innem miejscu książka — jeśli niektórzy źle o tobie myślą i mówią, czegobyś nie rada słyszeć. Ty gorzej jeszcze o sobie myśleć powinnaś i wierzyć, że nikt nie jest słabszym od ciebie... Nie w uściech ludzi pokój twój zakładaj: czyli bowiem o tobie dobrze, czy źle sądzić będą, ty przez to nie staniesz się innym człowiekiem. Gdzież jest prawdziwy spokój i prawdziwa chwała? Czyliż nie we mnie?“

— A jednak ten surowy list — myślała Ma-

dzia — pochodzi od matki, która odtrąca mnie w imieniu rodziny. I za co?...

Uczuła ból w sercu i zaczęła przeglądać inny rozdział.

„Trzeba pominąć wszelkie stworzenia — radził duch — siebie samego zupełnie opuścić i wynieść się myślą aż do owego stanowiska, z którego widzieć się daje, że niema nic między stworzeniami, coby Tobie Stworzycielu wszechrzeczy było podobne... Co tylko Bogiem nie jest, niczem jest i za nic poczytane być powinno.“

Odpoczęła i wyszukała rozdział: „O pragnieniu życia wiekuistego.“

„Córko! Kiedy poczuwasz w sobie wlaną z góry żądzę wiekuistej szczęśliwości i z więzów ciała wyjść pragniesz, abyś mogła oglądać niczem nieprzyćmioną światłość moją; rozszerz serce twoje i w radosnej wdzięczności przyjm to święte natchnienie...

...Musisz jeszcze być doświadczoną na ziemi i przez wiele utrapień przechodzić. Wieść się będzie, co się podoba innym: nie uda się, co się podoba tobie. Słuchanem będzie, co inni mówią, a co ty mówisz, poczytywanem za nic. Inni prosić będą i otrzymają; ty prosić będziesz i nic nie wskórasz. Słynąć inni będą w uściech ludzi, o tobie nikt ani wspomni...

...Lecz zważaj, córko! owoc tych dolegliwości, prędki ich koniec i nader wielką nagrodę: a zamiast twardego ciężaru, uczujesz cierpliwość twoją najsilniej pokrzepioną. Bo za tę marną wolę, której teraz dobrowolnie odstępujesz, w niebie na zawsze wolę twoją mieć będziesz... Tam oddam chwałę za

poniesione obelgi, radość za smutek, a za miejsce poniżenia królewskie na wieki siedlisko...“

Kiedy mrok zapadł i Madzia zamknęła książkę, dziwiła się, że jej taką przykrość sprawił list matki. Czyliż nie zapowiedziano jej, że jeszcze przez wiele utrapień musi przechodzić?... A czy cierpienia nie stracą całej wartości, jeśli nie potrafi przenosić ich z rezygnacyą?

Przeszło znowu kilka dni, w ciągu których nie odbierała listów od brata.

„Zapewne nie chce mu się pisać — myślała. — A może jest w drodze?... A może chce zrobić mi niespodziankę i lada godzina przyśle telegram, ażebym przyjeżdżała?...

Ale po za przypuszczeniami jasno określonemi, gdzieś, w głębi duszy, nurtowały dwie obawy: że Zdzisław cięższej zachorował, albo... wyparł się jej, jak matka...

Obaw tych Madzia nietylko nie sformułowała, lecz nawet nie pozwoliła im uświadomić się. Ilekroć na tle jej niepokojów począł zarysowywać się frazes: „cięższej zachorował,“ Madzia szeptała „Zdrowaś Marya,“ albo chwytała Tomasza a Kempis i pogrążała się w czytaniu.

W ciągu tygodnia spowiadała się drugi raz, tym razem w kaplicy szarytek; otoczyła się pobożnemi książkami i całe dnie myślała o Bogu, ostatniej, ale i najpotężniejszej nadziei cierpiących. Dusza jej coraz głębiej zatapiała się w niebie; w pamięci coraz dokładniej zacierały się stosunki ziemskie.

„Co tylko Bogiem nie jest, niczem nie jest i za

nic poczytane być powinno“ — powtarzała coraz częściej, wśród coraz gwałtowniejszych uniesień.

Nareszcie, jednego południa, bryftrygier przyniósł jej odrazu dwie karty korespondencyjne z Wiednia. W obu Zdzisław donosił, że zajęty jest zwiedzaniem pięknych okolic tamtejszych i że jeszcze nie zwoływał konsylium lekarzy.

„Jak on nie dba o siebie...“ — pomyślała Madzia z goryczą.

Nagle wzrok jej padł na datę jednej z kart: był 5-ty września, a na drugiej 3-ci.

— Trzeci jest dzisiaj — rzekła — a piąty pojutrze... Dlaczego on pisał daty wcześniejsze?... Czy jest tak chory, że traci pamięć, czy... już go tak znudziły listy do mnie?...

Nie jadła obiadu, tylko, mówiąc pacierz, pobiegła do szarytek. Trochę popracowała w szwalni z sierotami, a potem wyszła do ogrodu ze swoją ukochaną książką.

„Kiedy człowiek dojdzie do tego — czytała — iż u żadnego stworzenia nie szuka pociechy, wtedy dopiero w Bogu doskonale smakować zaczyna. Wtedy spokojnym będzie, jakkolwiek się rzeczy obrócą.

Wtedy ani się pomyślnością zbyt uraduje, ani lada przeciwnością stroska. Lecz odda się całkowicie i z ufnością Bogu, który dla niego wszędzie jest wszystkiem; dla którego w istocie nic nie ginie, ani umiera, ale wszystko dla Niego żyje i służy na każde Jego skinienie...“

— To samo mówił Dębicki — rzekła. To przypomnienie napełniło ją radością, tem żywszą, gdy,

przerzucając kartki znalazła jakby proroctwo dla siebie:

„Przyjdzie pokój w dniu jednym, który jest Bogu wiadomy. A dzień ten będzie nie jak w doczesnym życiu, przeplatany nocą, lecz będzie to światłość wiekuista, jasność nieskończona, pokój trwały i spoczynek bezpieczny...“

— Słowo w słowo, to mówił Dębicki...

Niepokój jej odleciał, kiedy czytała półgłosem, rozmarzona, pełna zachwytu:

„Wielką rzeczą jest miłość i wielkiem ze wszechmiar dobrem, która jedynie lekkiem czyni wszystko, co jest trudne... Miłość ciężaru nie czuje, o trudy nie dba, porywa się nad siły, nie pyta o niepodobieństwo, bo wszystko mniema dla siebie podobnem i dozwolonem...“

„Miłość czuwa i wśród snu nie zasypia. Wśród pracy nie utrudza się, wśród pętów nie jest spętana; wśród trwogi nie mięsza się, lecz jak żywy płomień w górę wybucha i bezpiecznie przechodzi.“

Madzi zdawało się, że widzi otwarte niebo i słyszy nieśmiertelne chóry, zawodzące pieśń tryumfu:

„Nad wszystko i we wszystkiem spoczniesz duszo Moja w Panu, bo On jest wiekuistym spoczynkiem świętych.

Nad wszelkie dary i łaski, które wlać i udzielić możesz; nad wszelką radość i uniesienie, jaką myśl uczuć i pojąć zdoła.

Nad aniołów i archaniołów i nad wszystkie niebios zastępy; nad wszystko widome i nad wszystko czem nie jesteś Ty, o Boże mój!...“

W tej chwili ktoś dotknął jej ramienia. Madzia odwróciła głowę i zobaczyła młodą szarytkę.

— Co siostra każe? — zapytała z uśmiechem.

— Matka Apolonia prosi panią do parlatoryum.

Madzia poszła za siostrą odurzona, pełna niebiańskich widzeń. Nagle oprzytomniała: w parlatoryum, obok matki Apolonii stał Dębicki. Jego policzki były jakby obwisłe i miały ziemistą barwę.

Madzia spojrzała na niego, na staruszkę zakonnicę i parę razy potarła czoło. A gdy Dęcicki drżącą ręka powoli zaczął wydobywać jakiś papier z kieszeni, Madzia powstrzymała go i rzekła:

— Wiem, Zdzisław nie żyje.

XXIII.

Na jakie brzegi niekiedy wyrzucają fale świata?

W połowie września, około siódmej wieczorem, od tłumu przechodniów, którzy mijali pałac Solskich, oderwał się niewysoki jegomość, w szarym paltocie i skręcił na dziedziniec.

Przy żelaznej bramie nie było nikogo; z budki stróża, gdzie płonęło czerwone światło, dolatywały tęskne i fałszywe dźwięki skrzypców. Na pustym dziedzińcu więdły suchotnicze drzewka i biegało kilkoro dzieci, bawiących się ciskaniem bengalskich zapałek. Zresztą była cisza.

Jegomość w szarym paltocie spojrzał na korpus pałacu, ostro rysujący się na złotych blaskach zorzy

wieczornej, potem — na lewe skrzydło, nad którem już lśniła Wega. Zajrzał w okna biblioteki, gdzie panowała ciemność, powoli zbliżył się do drzwi frontowych i znikł pod kolumnami.

Drzwi były otwarte, a po marmurowej posadzce sieni przechadzała się cisza i pustka. Jegomość równym krokiem wszedł na pierwsze piętro, wyjął z kieszeni klucz i otworzył pokoje, należące do pana tego domu.

Wszędzie mrok, cisza i pustka.

Gość, nie zdejmując kapelusza, minął kilka salonów, gdzie jakby w oczekiwaniu na powrót gospodarza, zdjęto pokrowce z mebli. Potem wszedł do pokojów Ady Solskiej, równie cichych, mrocznych i pustych; nareszcie skręcił do mieszkania, które niegdyś zajmowała Madzia.

Uczuł świeży powiew i spostrzegł, że balkon jest otwarty. Zatrzymał się we drzwiach i patrzył na ogród, którego drzewa brunatniały i żółkły; na złoty zachód i na Wegę, płonący brylant wśród nieba.

Wieczór był pogodny i ciepły, niby pocałunek odchodzącego lata; ale nad roślinnością już unosił się melancholijny czar jesieni, której nieujęta mgła przenika ludzką istotę i skrapla się w duszy jako łza bezprzyczynowego żalu.

Gość oparł się na poręczy balkonu; widać wpatrywał się w niedostrzegalne kształty nocy i wsłuchiwał się w niemą melodyę jesieni, bo ciężko westchnął.

W tej chwili, w altance stojącej prawie pod balkonem, odezwał się gruby głos:

— Tak mnie bolą nagniotki... Założyłbym się, że jutro wieczór będzie słota.

— Więc włóż aniołku pantofle — odezwał się głos niewieści.

„Aha — pomyślał gość — pan Mydełko obchodzi w tej altance miodowy miesiąc...

— Kiedy nie chce mi się szukać pantofli — odparł bas.

— Ja ci znajdę, duszko...

— Trzeba jeszcze ściągać buty!... — mruknął bas.

— Ależ ja ci zdejmę... Przecieżeś ty mój... cały mój... moja pieszczotka... mój koteczek...

„Uhum!... — rzekł gość do siebie. — Ekspanna Howard mocno awanturuje się, jak na śmiertelną nieprzyjaciółkę mężczyzn.

I dziwić się teraz, że Ada robi głupstwa!...“

Cicho opuścił balkon i usiadł na fotelu. Położył kapelusz na komodzie, oparł głowę o poręcz i dumał, dumał...

Nagle zdało mu się, że słyszy szelest kobiecej sukni. Chciał się zerwać... To nic. Tylko zeschły liść z balkonu wsunął się do pokoju.

— Ach — szepnął — co ja zrobiłem... co ja zrobiłem!...

Teraz naprawdę z dalszych apartamentów doleciał go odgłos stąpań i rozmowa.

Gość przeszedł do mieszkania Ady i przez otwarte drzwi zobaczył w salonie dwóch ludzi: jeden był niski i pękaty, drugi odziany w liberyę, trzymał w ręku kandelabr z zapalonemi świecami.

— No, niech pan patrzy, gdzie jest? Przecie

pan hrabia nie szpilka!... — gniewał się ten z kandelabrem.

— A ja ci mówię, że hrabia przyjechał i najwyżej kwadrans temu wszedł do siebie. Ładnie pilnujecie pałacu!... — odpowiedział pękaty.

Jegomość w szarym paltocie wszedł do sali, a pękaty pan zawołał:

— O, widzisz gapiu!... Najniższy sługa pana hrabiego — dodał, kłaniając się.

Lokaj osłupiał, zobaczywszy w salonie obcego człowieka, a omało nie rzucił na ziemię kandelabru, gdy przekonał się, że tym obcym jest jego pan.

— Zanieś światło do gabinetu — rzekł Solski do lokaja. — Proszę, panie Zgierski... cóż nowego?

Lokaj zdjął palto z Solskiego, zapalił w gabinecie cztery gazowe lampy i — wyszedł, blady z trwogi. Wówczas pan Zgierski zaczął zniżonym głosem:

— Ważne wiadomości. Nasi współzawodnicy już blokują pana Kazimierza Norskiego, licząc, że za jego pośrednictwem uda im się zdobyć część akcyi naszej cukrowni.

— Wątpię — odparł niedbale Solski, rzucając się na fotel przed biurkiem. — Mój przyszły szwagier za wiele ma rozumu, ażeby pozbywał się takich papierów.

Gdyby piorun ześlizgnął się po okrągłych kształtach pana Zgierskiego, nie zdziwiłby go więcej, aniżeli taka odpowiedź. Solski nazywa pana Kazimierza swoim szwagrem?... Koniec świata!...

Była chwila ciszy. Lecz, że pan Zgierski dławił się milczeniem, więc zaczął, tym razem z innego tonu.

— Ale co za fatalny wypadek... Biedny doktór Kotowski do dziś dnia nie może strawić swojego strzału... Schudł, zmizerniał...

— Tak — odpowiedział Solski — powinien był mierzyć w lewy bok i trochę niżej. No, ale trudno.

Pan Zgierski aż oparł się o biurko i naprawdę oniemiał.

— Cóż — odezwał się Solski — panna Brzeska wciąż jest u szarytek?

— Gorzej!... — pochwycił pan Zgierski. — Wczoraj właśnie przyjechał jej ojciec ze starym majorem (pamięta pan hrabia?...) i pozwolił pannie Magdalenie zostać szarytką. Panna Ada, pan Norski, pani Helena Korkowiczowa, słowem — wszyscy jesteśmy zrozpaczeni. Ale co robić?...

— Cóż ostatecznie skłoniło pannę Brzeską?... — spytał Solski, opierając się na ręku, w taki sposób, ażeby przysłonić twarz.

— Ostatnią kroplą goryczy była śmierć brata, o czem miałem zaszczyt pisać hrabiemu... Ale właściwy grunt przygotowały plotki... oszczerstwo, które nie cofa się nawet w obec tak świętych istot... Przez parę miesięcy Warszawa poprostu wyła... A za co?... Że ten prawdziwy anioł w ludzkiem ciele odwiedził konającą, chciał pomódz sierocie i pielęgnował chorego brata!...

Wszystkie niegdyś przyjaciółki (z wyjątkiem drugiego anioła: panny Ady) opuściły nieszczęśliwą... ba! nawet dały jej uczuć swoje niezadowolenie. No, a był to taki dzień, że panna Magdalena mogła znaleźć się na bruku; gdyż gospodyni, od której wynajęła lokal, kazała rzeczy jej wynieść na korytarz...

— Tak!... — odparł Solski. — Zdaje mi się jednak, że i pan cisnąłeś tam parę kamyków...

— Ja?... — krzyknął Zgierski, uderzając się w piersi. — Ja?... Czy dlatego, że uważałem za obowiązek komunikować hrabiemu wszystko, co doszło do mojej wiadomości?... Musi przecie hrabia przyznać, że zawsze byłem ścisły i nigdy nie splamiłem się kłamstwem...

— No tak... Ja też nie stawiam zarzutów... Zresztą, wypadek nie wpłynie na nasze stosunki... Owszem, pan będzie miał teraz ośmset rubli pensyi.

— A więc hrabia nie gniewa się na mnie!... — zawołał dramatycznym głosem pan Zgierski. — Hrabia nie stracił dla mnie szacunku?...

— Nigdy go nie miałem — mruknął Solski, ale tak cicho i niewyraźnie, że pan Zgierski mógł nieusłyszeć.

I z pewnością nie słyszał. Z całą bowiem swobodą i elegancyą zaczął rozmowę o kwestyi cukrowniczej, a w kilka minut jak najczulej pożegnał Solskiego.

Tymczasem służba, ustroiwszy się w liberyę, oświetliła wszystkie salony; w kuchni zapłonął ogień, a z kredensu wydobyto porcelanę i srebra. Po ósmej, przed główne drzwi zajechała kareta; zaś w chwilę później do pokoju Solskiego weszła jego siostra, Ada.

Ciemny strój potęgował śmiertelną bladość jej twarzy; ale w drobnej postaci malowała się niezłomna energia, a w skośnych oczach migotały iskry.

Solski powstał od biórka i serdecznie ucałował siostrę.

— Jakże się miewasz?—spytał tonem niezwykle łagodnym.

W najwyższym stopniu zdumiona Ada cofnęła się i, znowu przybierając postawę obronną, zapytała:

— Czy odebrałeś list mój, w końcu sierpnia?

Solski patrzył na nią z uśmiechem.

— Chcesz powiedzieć — czy wiem, że zaręczyłaś się z Norskim?... Ależ wiem i nietylko od ciebie.

— I cóż ty na to?...

— Proszę Boga, ażeby was błogosławił; a swoją drogą radzę ci zrobić przed ślubem intercyzę. Chętnie nawet będę ci służył w tej sprawie, jeżeli zażądasz.

W tej chwili Ada upadła na kolana, objęła brata za nogi i, całując je, szeptała z płaczem:

— Ty mój bracie jedyny... mój ojcze... moja matko... Ach, jak ja ciebie kocham!...

Solski podniósł ją, zaprowadził na kanapę, otarł oczy i tuląc ją, odparł:

— Czy naprawdę myślałaś, że byłbym zdolny przeszkadzać ci do szczęścia?

— I ty to mówisz, Stefku, ty?... Więc on może prosić cię o moją rękę?...

— Naturalnie. Jestem przecież twoim opiekunem.

Ada jeszcze raz chciała upaść bratu do nóg, lecz nie pozwolił. Zdjął z niej kapelusz, okrywkę i stopniowo uspokoił, tak, iż odzyskała dobry humor.

— Boże!... — mówiła — jak ja już dawno nie śmiałam się...

Na herbatę, do gabinetu Ady, przywlókł się Dębicki. Gdy służba odeszła i zostali tylko we troje Solski, widocznie wzruszony, zapytał:

— Cóż z panną Magdaleną, profesorze?...

— A no... nic. Wstępuje do szarytek. Ojciec już pozwolił; dziś pisali jakieś podania...

Solskiemu twarz pociemniała.

— I profesor mówisz o tem tak spokojnie?...

— On zawsze taki spokojny... — wtrąciła Ada.

Dębicki podniósł na nich niebieskie, łagodne oczy.

— Dlaczego miałbym mówić inaczej?... — odpowiedział. — Przecież i jej należy się, jeżeli nie szczęście, to przynajmniej spokojność.

A po chwili milczenia dodał:

— Chorzy, kalecy, zwierzęta, nawet przestępcy znajdują dla siebie przytułek i odpowiednie warunki bytu. Z jakiej-że racyi dusza wyjątkowo szlachetna ma być pozbawiona tych praw?...

— Jakto? — wybuchnął Solski — więc sądzisz pan, że habit...

— Pozwoli jej opiekować się sierotami, doglądać chorych, pomagać nieszczęśliwym, bez narażenia się na obelgi i krzywdy... — odpowiedział Dębicki. — Ona zawsze czuła do tego pociąg, no i dziś znalazła pole...

Solski wzruszył ramionami i zaczął bębnić w stół; wreszcie rzekł:

— Ale, ale... Wiesz Ada, kogo spotkałem w Wiedniu?... Ludwika Krukowskiego i jego siostrę. Wystawowa para dziwaków!... Otóż oni mieszkali w Iksinowie, znali Brzeskich, a nawet Ludwik starał się o pannę Magdalenę i dostał odkosza...

Pomimo to, nie masz pojęcia, z jaką czcią mówili o całej familii, a w szczególności o pannie Magdalenie. W tej kobiecie jest naprawdę coś nadludzkiego... A jednak rzucano na nią najpodlejsze

oszczerstwa, właśnie z czasów pobytu w Iksinowie. Mówiono, że romansowała z jakimś starym majorem, który zapisał jej majątek...

— Ten major jest w Warszawie — wtrącił Dębicki.

— A co najgorsza, powiedziano, że przez pannę Magdalenę zabił się jakiś urzędnik pocztowy...

Wszystko nikczemny fałsz!... — mówił dalej Solski, uderzając pięścią w stół. — Zabił się urzędnik, ale przez tę właśnie pannę, która swoją winę bezczelnie zwaliła na Madzię... Krukowski opowiedział mi to ze szczegółami...

— Tobie tę plotkę podszepnięto w Warszawie? — spytała Ada.

— Rozumie się... Dla tego wyjechałem zagranicę.

— Dla czegóżeś mnie nie zapytał?

— Ach, czy ja wiem... Byłem napół obłąkany... Prawda, że reflektował mnie profesor, tłómaczył zachowanie się panny Magdaleny względem nas... Już zacząłem uspokajać się, gdy... spadła plotka o tym urzędniku i o zapisie majora...

I pomyśleć, że to ja, razem z bezimienną ciżbą łotrów, popchnąłem ją do klasztoru!...

Solski zerwał się rozgorączkowany i, chodząc, mówił:

— Dziecinny projekt, zamykać się u szarytek! Ona przecie, żyjąc wśród ludzi, więcej dobrego może zrobić, aniżeli tam... Profesor ma obowiązek wytłómaczyć jej... Przecież te same ochrony, szpitale i czy ja już wiem co, panna Magdalena może mieć u siebie, a wpływ — bezporównania większy. To... to jest

zbiegostwo — wołał zmienionym głosem — to zdrada społeczeństwa!... Świat ma aż zanadto kobiet, które myślą o zabawach, strojach, kokieteryi... ale takich, jak ona, brak mu, i dlatego jest źle...

— Stefan ma racyę... — wtrąciła Ada, surowo patrząc na Dębickiego.

— Robiłem, com mógł — odpowiedział profesor — przytaczałem najrozmaitsze argumenta, ale... Argument przekonywa myśl spokojną, nie leczy zranionego uczucia.

— Więc powiedz jej, że zakopując się w tym grobie żywych, zdradza... Nie, to jeszcze za słabe... ona okrada ludzkość... Niech sobie przypomni, jeżeli jest tak pobożna — ciągnął rozdrażniony Solski — przypowieść o zakopanych talentach... Bóg nie na to daje ludziom wielkie zalety, ażeby uciekali na pustynię... To jest gorsze aniżeli nienawiść; to jest pycha i pogarda dla człowieczeństwa...

Profesor kiwał głową.

— Mój kochany, masz racyę — rzekł. — Mniej więcej to samo mówiłem nietylko ja, ale przedewszystkiem ów stary major, który wścieka się na pannę Magdalenę nie gorzej od ciebie. I wiesz, co odpowiedziała?...

„Zlitujcie się, nie ciągnijcie mnie tam, zkąd uciekłam; gdzie straciłam spokój i wiarę, a mogłam stracić rozum. Mnie tu jest dobrze, a tam było mi strasznie.“

Oto są słowa panny Brzeskiej.

— Jest biedactwo ogromnie rozdrażniona; sama to uważałam — wtrąciła Ada.

— Zapewne — rzekł Dębicki.

— Ale rozdrażnienia przechodzą — dodał Solski.

— Może i to przejdzie — odparł Dębicki.

— Ach, jesteś profesor nieznośny ze swoim spokojem!... — zawołał Solski.

— I ty byłbyś spokojniejszy, gdybyś w tym wypadku, zamiast zdrady, zbiegostwa, czy rozdrażnionych nerwów, widział tylko — prawo natury.

— Co znowu, co?... — zawołał Solski, zatrzymując się przed swoim nauczycielem.

Dębicki patrzył na niego i zapytał:

— Czy wiesz o tem, że panna Magdalena jest naprawdę istotą wyjątkową?

— Sam tak zawsze mówiłem... To geniusz... geniusz uczucia w kobiecej postaci... Ani śladu egoizmu, tylko jakieś utożsamienie się, czy rozpłynienie w cudzych sercach... Ona zawsze czuła za wszystko i wszystkich, prawie zapominając o sobie.

— Doskonałego wyrazu użyłeś: geniusz uczucia — prawił Dębicki. — Tak... Są geniusze woli, którzy mają wielkie cele i umieją robić odpowiednie plany, choć niezawsze dopisują im środki. Są geniusze myśli, których wzrok ogarnia bardzo szeroki horyzont i trafia w rdzeń każdej kwestyi, lecz znowu ci niezawsze znajdują słuchaczów. I są geniusze uczucia, którzy, jak dobrze powiedziałeś czują za wszystko i wszystkich, lecz sami — u nikogo nie znajdują oddźwięku.

Otóż widzisz: wspólną cechą nadzwyczajnych jednostek jest — brak proporcyi, między nimi a ogółem, który składa się z ludzi miernych. My doskonale umiemy oceniać — naprzykład — piękność, majątek, powodzenie; ale stanowczo brak nam zmysłu, do ta-

ksowania wielkich celów, szerokich rzutów oka, albo serc anielskich...

— To parodoksal... — wtrącił Solski.

— Bynajmniej, to są codzienne fakta. Spojrzyj dokoła: kto odegrywa głośne role, zdobywa majątki i cieszy się powodzeniem? W 90 na 100 wypadków nie nadzwyczajna zdolność, ale trochę wydatniejsza miernota. I to jest naturalne: nawet ślepy oceni przedmiot wyższy od niego o pół łokcia; ale w żaden sposób nie oceni góry, choćbyś go na jej szczyt zaprowadził.

— Zdaje mi się, że pan jest niesprawiedliwy— odezwała się Ada.

— Więc niech pani weźmie historyę. My, którzy czytamy już skomentowane dzieła geniuszów, albo korzystamy z ich prac, jesteśmy przekonani, że nic łatwiejszego, jak poznać się na geniuszu. Tymczasem, który z nich był odrazu poznany?... Filantropów męczono lub wyśmiewano; wynalazców nazywano waryatami, a reformatorów heretykami. Można głowę postawić o zakład, że z dwu ludzi, stających do jakiegoś wyścigu w dziedzinie ducha, mierność odrazu zdobędzie podziw i oklaski, a geniusz — tylko zaniepokoi widzów. I dopiero następujące pokolenia dostrzegają, że jeden prześlicznie chodził po wyszlifowanych gościńcach, a drugi stwarzał nowe światy. Znałem matematyka, którego formuły sięgają nieledwie do początków stworzenia i — nie mógł dostać wyższej posady nad tysiąc rubli; podczas gdy jego koledzy buchalterowie mieli po kilka tysięcy. Ukazywano mi przyrodnika, który robił odkrycia w no-

wej dziedzinie zjawisk, a któremu zarzucali antagoniści, że nie wie — ile pies ma zębów i jakie?

Nareszcie z tej garstki dam, na które patrzyliśmy wszyscy: piękna panna Norska zdobyła majątek, postrzelona panna Howard dostała męża, Bogu ducha winna Lewińska będzie miała męża i majątek, a wszystkie trzy — wielki szacunek u świata. Tylko panna Brzeska, wychłostana plotkami, musi aż do szarytek uciekać przed potwarzą. Biada orłom w menażeryi, szczęśliwe gęsi w kojcu!

— Wiem co zrobię... — rzekł nagle Solski i strzelił z palców.

— Ach, jak to dobrze! — zawołała Ada, zawsze pełna wiary w praktyczność brata.

— Gdzie mieszka doktór Brzeski?... — zapytał Stefan. — Pójdziemy tam jutro i profesor zapozna mnie z nim.

— Oni mieszkają na Dziekance, bo to według majora najporządniejszy hotel w Warszawie — odparł Dębicki. — Jeżeli jednak masz jakieś plany, to nie rachuj na pomoc Brzeskiego, tylko na majora. To dzielny starzec, a przytem znał twego dziadka.

— Doprawdy?

Na tem skończono rozmowę i wszyscy rozeszli się. Ale w mieszkaniu Stefana świeciło się do 3-ej rano.

Nazajutrz, około południa, Solski, w towarzystwie profesora, zapukał do drzwi numeru na Dziekance. Otworzył im siwy starzec z najeżonemi wąsami i faworytami, trzymający ogromną fajkę w zębach.

W głębi pokoju, pod oknem, siedział ktoś drugi, który na widok gości nawet głowy nie podniósł.

Starzec z fajką, spostrzegłszy Stefana, przysłonił oczy ręką jak daszkiem, przypatrzył się i zawołał:

— Hę?... a kto to? Czy nie Solski...

— Solski — odparł pan Stefan.

— Słowo stało się ciałem!... — krzyczał popędliwy starzec. — Przecie ten chłopak wygląda, jakby odziedziczył skórę po swoim dziadku... Chodź — ino tu...

Obejrzał go, pocałował w czoło i prawił:

— Wiesz ty, że twój dziad, Stefan, komenderował naszą brygadą?... Aaa... co to był za żołnierz!... W ogień i wodę poleciałby za sztandarem i za spódnicą... Jeżeli i ty wdałeś się w niego, no to niech was nie znam!...

Profesor przedstawił pana Stefana doktorowi Brzeskiemu, który wciąż siedział na krześle zgięty i nieruchomy.

— Toś pan chyba wczoraj wrócił z zagranicy? — zapytał doktór. — Straciłem tam syna...

— O, tylko już daj pokój z tym synem!... — zawołał major. — Gdybyś się o niego nie starał, nie byłbyś stracił.

— Łatwo ci żartować, bo nie masz dzieci... — westchnął doktór.

— Jak to?... Co to?... — wybuchnął major. — Owszem, tem więcej cierpię, że nietylko nie wiem, który mi umarł, ale nawet nie wiem, jak mu było na imię. Syn... syn... syn!... I my umrzemy, choć

także jesteśmy synami. Nie spadliśmy przecie jak żaby z deszczem...

— Miał 27 lat — mówił jednostajnym głosem doktór — już pracował na siebie, ba!... na nas i umarł... Nic nie wiemy, co się z nim dzieje, czekamy listu z Moskwy, a tu przychodzi telegram z Wiednia... I jeszcze taka dziwna śmierć...

— Szczególniej dla ciebie dziwna! — wtrącił major. — Małoś to ludzi wyprawił na tamten świat?

Solski spojrzał na majora z wymówką; starzec spostrzegł to i odparł:

— Gorszysz się?... Mój kochany, gdybym ja mu nie lał pomyj na łeb, to jutro leliby mu zimną wodę. Po co on ma siedzieć jak sowa w dziupli i dumać?... Niech klnie, niech płacze, niech się modli, to i ja będę mu pomagał... Ale za te dumania będę drwił i sobaczył, aż mu krew popłynie oczyma.

Rzeczywiście doktór podniósł głowę i spojrzał na swoich gości mniej apatycznym wzrokiém.

— A jeszcze w dodatku — rzekł — i córka wstępuje mi do szarytek. Straszna rzecz, jak to nieszczęście nigdy samo nie chodzi.

— W tej właśnie sprawie przyszliśmy... — wtrącił Dębicki.

Solski podniósł się z krzesła.

— Panie doktorze — zaczął — sądzę, że nazwisko moje nie jest panu obcem...

— A tak... Byliście oboje z siostrą serdecznymi przyjaciółmi Madzi. Wiem, wiem...

Uścisnął Solskiego, który, pocałowawszy go w ramię, rzekł wzruszony:

— Panie, mam zaszczyt prosić o rękę pańskiej córki Magdaleny...

— Albo ona już moja!... — odparł doktór.

— Tere fere!... — zawołał major. I całując drugi raz w głowę Solskiego, mówił:

— Owszem, oddajemy ci Madzię, tylko odbierz ją zakonnicom... Powiadam ci, Solski — prawił starzec, wytrząsając mu ręką pod nosem — jeżeli ona zrobi na tobie dobry interes, boś słyszę magnat, to ty na niej zrobisz tysiąc razy lepszy. Niech mnie dyabli porwą, jak tu stoję, że milszej i szlachetniejszej dziewczyny, nie znajdziesz na całym świecie...

Aż ochrypł stary, tak wrzeszczał.

— Właśnie — zaczął Dębicki — chcieliśmy się naradzić nad sposobami wydobycia panny Magdaleny...

— Dajcież spokój — odezwał się doktór — przecież jej tam nie więżą...

— Co tu radzić?... — przerwał major. — Ty, mój Solski, nie radź się ojca, ani tego drugiego niedołęgi — profesora. Tylko, jeżeli płynie w tobie krew dziada, wyjdź na podwórze, gdzie dają jeść kaczkom i przypatrz się kaczorowi.

Co robi zakochany kaczor?... Myślisz, że wzdycha, albo naradza się z kim?... Gdzie tam... On naprzód zjada swoją porcyę i porcyę panny, a potem — bez żadnych madrygałów — bierze ukochaną za czub i prowadzi do urzędnika stanu cywilnego. Taki był nasz dawny system, dobry system. A spróbuj tylko z babą ceregiele — nie wybrniesz z tarapatów!

Swoją drogą uchwalono, że jeszcze dziś, pójdą

do Madzi: ojciec, major i Dębicki i oświadczą Solskiego.

— Głupie te oświadczyny! — mruczał major. — Ja, dopóki nie mówiłem nic, miałem szczęście w miłości; ale niech tylko odezwałem się z komplimentem, czy oświadczeniem, zaraz pokazywali mi drzwi... Czy to baby umieją gadać?... czy one nawet rozumieją ludzki język!...

Około godziny drugiej Solski pożegnał hotelowe towarzystwo, a doktór, Dębicki i major także opuścili numer i wolnym krokiem, przystając i oglądając się, ciągnęli w stronę Tamki. Major opowiadał, jak za jego czasów wyglądała Warszawa: który dom zwalono, a który przebudowano; gdzie były odwachy, a gdzie kawiarnie. Niejednokrotnie też zatrzymywali się przed sklepowemi wystawami, które bardzo gniewały majora.

— Ci kupcy — mówił — którym przez okna można cały sklep obejrzeć, wyglądają jak chorzy z wiecznie otwartem gardłem. Co jabym miał przed lada błaznem wywracać kieszeń i prezentować mój majątek, jak gdyby mnie posądzali, żem go ukradł?

Tak idąc i rozmawiając, w godzinę niespełna znaleźli się w instytucie św. Kazimierza i poprosili matkę Apolonię do parlatoryum.

Tu wystąpił major i oświadczył sędziwej zakonnicy, że Madzia już nie będzie szarytką, ponieważ prosił o jej rękę pan Stefan Solski, wnuk generała pieszej brygady.

— Zapewne, że gdyby Madzia wyszła za mąż, byłoby to najlepiej, ale... niech panowie pogadają z nią samą — odpowiedziała matka Apolonia.

Posłano po Madzię. Ukazała się po upływie kilku minut, mizerna, w czarnej sukni i białym czepeczku na głowie.

Dębicki, spojrzawszy na nią, postanowił nie odzywać się; ale major wcale nie stracił energii.

— Wyglądasz, moja kochana — rzekł — jak strach na wróble... Ale nie o to chodzi. Pan Solski (słuchaj z uwagą!) syn mego generała, prosi o twoją rękę. A my wszyscy zgadzamy się.

Madzia silnie zarumieniła się; potem zbladła. Chwilę milczała, przyciskając ręką serce, następnie odparła cicho:

— Ja nigdy nie wyjdę za mąż...

— Ależ zastanów się — przerwał major — przecież to Solski prosi o twoją rękę. Wnuk mego gene...

— Tembardziej. Ja nie mogę wyjść za mąż.

— Trzysta tysięcy!... — krzyknął major, ostro patrząc na matkę Apolonię. — Dlaczego nie możesz wyjść za mąż?

Madzia milczała.

— Widzę — rzekł starzec, siniejąc — że tej dziewczynie spętano nietylko wolność, ale nawet język... Niechże pani będzie łaskawa zrobi ten cud, ażeby nam wyjaśniła przyczynę swego postanowienia — zwrócił się do szarytki.

— Moje dziecko — rzekła matka Apolonia — powiedz panom, dlaczego nie chcesz wyjść za mąż.

Madzia spojrzała na matkę Apolonię błagalnym wzrokiem; ale staruszka miała spuszczone oczy.

— Trzeba koniecznie?... — spytała Madzia.

— Trzeba.

— Nie mogę wyjść za mąż... — zaczęła Madzia głosem drżącym i bezdźwięcznym — nie mogę wyjść za mąż, bo...

— Bo co?... — spytał major.

— Bo należałam do innego — dokończyła Madzia.

Dębicki obejrzał się za kapeluszem, doktór podniósł smutne oczy na córkę, matka Apolonia patrzyła w ziemię... Tylko major nie stracił otuchy.

— Cóż to znaczy: należałam do innego? Powiedz, już niema co taić...

— Jeden pan... — zaszlochała Madzia — jeden pan całował mnie...

Zakryła twarz rękoma i odwróciła się od swoich sędziów.

— Ile razy tak było? — spytała matka Apolonia.

— Raz, ale... bardzo długo...

— Jak długo?

— Może z pięć... może z dziesięć minut...

— Nie może być... — mruknął Dębicki. Zbyt długo zatamowany oddech...

— Et!... głupiutka jesteś, kochanko — westchnął major. — Ażeby zaś pan Solski miał powód do zazdrości, to...

Objął Madzię i pocałował w oba policzki zalane łzami.

— Biegnij teraz na rynek — mówił — i każ otrąbić, że cię jeszcze jeden pan całował... Moje dziecko, gdyby na niebie zapisywano: ile razy całujemy ładne dziewczęta, albo one nas, nigdy nie zobaczylibyśmy słońca... Takie zebrałyby się chmury z tych napisów.

— Możesz odejść, Madziu — odezwała się matka Apolonia.

Madzia zniknęła za drzwiami.

— No, dobrze — znowu zabrał głos major. — Wyprawiłaś pani dziewczynę, a tymczasem my nic nie wiemy...

— Szanuję wiek pański — odparła zakonnica — ale...

— Naprzód — nie szanuj pani mego wieku, bo nie wiadomo, kto z nas starszy... Powtóre...

— A powtóre — przerwała stanowczo matka Apolonia — tylko jedno z nas może zostać w tym pokoju: pan, albo ja...

Major osłupiał. Wnet, jednak zebrawszy myśli, rzekł do Dębickiego:

— Nie mówiłem, że bylem odezwał się przy babach — zaraz wypychają mnie za drzwi?...

Prędko wybiegł na dziedziniec i, z najzimniejszą krwią, zaczął nabijać tytuniem ogromną fajkę, którą dotychczas ukrywał pod paltotem.

— Bardzo panią przepraszam — odezwał się zakłopotany doktór — za mego przyjaciela. Ale to starzec... jak dziecko...

— Proszę pana — rzekła z uśmiechem zakonnica — widujemy gorzej chorych...

— Z czemże wracamy? — wtrącił Dębicki, kolejno spoglądając na doktora i na szarytkę.

Matka Apolonia wzruszyła ramionami.

— Słyszeli panowie — odparła. — Myślę jednak, że przedewszystkiem biedne to dziecko musi się uspokoić.

— I ja tak sądzę.

— Nadto zaś — dodała zakonnica — mojem zdaniem... należałoby powtórzyć panu Solskiemu dzisiejszą rozmowę...

— Zapewne... tak... — odpowiedział profesor.

Pożegnali obaj staruszkę i wyszli do majora, który już kilka razy zaglądał do nich przez okno.

. . . .

O 5-tej nad wieczorem Solski był w parlatoryum i niecierpliwie oczekiwał na matkę Apolonię.

Gdy ukazała się, powiedział, kim jest i prosił, ażeby mu pozwolono zobaczyć pannę Brzeską.

— Przepraszam pana — odparła staruszka — ale Madzia jest tak rozstrojona, że nawet nie chciałabym jej zawiadamiać o pańskich odwiedzinach.

— Więc kiedyż?... — spytał — usiłując zapanować nad sobą.

— Powiem jej o tem za kilka dni.

— Więc dopiero za kilka dni mogę się zobaczyć?

Zakonnica lekko zmarszczyła brwi; nie podobał jej się ten nacisk.

— Zobaczyć się z nią?... — powtórzyła. — To chyba nie prędko nastąpi...

— Zdaje mi się, że pani zna moje zamiary względem panny Brzeskiej?...

— Znam, panie, i szczerze pragnęłabym, ażeby się spełniły. Dlatego... niech pan przyjmie ode mnie radę...

— Słucham...

— Przedewszystkiem pozwólcie jej wrócić do równowagi moralnej, której biedne dziecko zostało pozbawione. Niech uspokoi się i odzyska zdrowie...

— Kiedyż pani przypuszcza?... — zapytał z prośbą w głosie.

— Uspokoić się może za kilka miesięcy, jeżeli... nie zajdzie nic nowego...

— Pani — rzekł, wyciągając rękę. — Czy sądzi pani, że mogę mieć nadzieję?... Że serce panny Magdaleny zwróci się kiedy do mnie?...

Staruszka spojrzała na niego surowo.

— Tylko Bóg wie o tem — odparła. — On jeden panuje nad sercami wybranych.

KONIEC.

SPIS RZECZY.